



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Kartoteka 64

Jussi
Adler-Olsen

Jussi
Adler-Olsen
Kartoteka
64

Z języka duńskiego przełożyła
Joanna Cymbrykiewicz



WYDAWNICTWO
SONIA DĄBKA

Tytuł oryginału:

JOURNAL 64

Copyright © Jussi Adler-Olsen and JP/Politikens Hus A/S, København 2010

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny frontu: Jadwiga Malik

Wykonanie okładki: Marcin Słociński / Szara Sowa

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Iwona Wyrwisz, Marta Chmarzyńska, Aleksandra Mól

ISBN: 978-83-8110-537-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

Epilog

Przypisy

Gorąco dziękuję Hanne Adler-Olsen za codzienną inspirację i zachętę oraz mądre, wnikliwe uwagi. Dziękuję też Freddy'emu Miltonowi, Eddiemu Kiranowi, Hanne Petersen, Michy Schmalstiegowi i Karlowi Andersenowi za istotne i wyczerpujące komentarze oraz Anne C. Andersen za sokoli wzrok i niepojętą energię. Podziękowania należą się Nielsowi i Marianne Haarbo oraz Gitte i Peterowi Q. Rannesom, a także ośrodkowi dla pisarzy i tłumaczy Det Danske Forfatter- og Oversættercenter Hald za gościnność. Dziękuję komisarzowi policji Leifowi Christensenowi za szczodrość w dzieleniu się swoim doświadczeniem i poprawki odnoszące się do policji. Składam podziękowania spółce A/S Sund og Bælt, archiwum DR, Marianne Fryd, Kurtowi Rehderowi, Birthe Frid-Nielsen, Ulli Yde, Fridzie Thorup, Gyrit Kaarber, Karlowi Ravnowi i Søs Novelli za ich wkład w moją kwerendę dotyczącą Zakładu dla Kobiet na Sprogø.

*Zadedykowane mojej mamie i mojemu tacie,
Karen-Margrethe i Henry'emu Olsenom,
oraz moim siostrze Elsebeth, Marianne i Vippe.*

prolog

Listopad 1985

W chwili nieuwagi dała się ponieść uczuciom. Chłodna, delikatna lampka szampana w palcach, szum głosów i dłoń męża lekko obejmująca ją w pasie. Tylko zakochanie i ułamki sekund z odległego dzieciństwa mogły się z tym równać. Swojska paplanina jej babci. Stłumiony śmiech, gdy zapadało się w sen. Śmiech ludzi, których od dawna już nie ma.

Nete zacisnęła usta, by nie dać się ponieść sentymentom. Czasem jej się to zdarzało.

Wyprostowała się, spoglądając na paletę wielobarwnych sukienek i rząd wyprostowanych pleców. Wiele osób przybyło na kolację na cześć tegorocznego duńskiego zdobywcy Wielkiej Nagrody Skandynawskiej w dziedzinie medycyny. Uczeni, lekarze, śmietanka towarzyska. To towarzystwo nie było jej środowiskiem naturalnym, ale z biegiem lat czuła się w nim coraz lepiej.

Zaczerpnęła powietrza, by westchnąć z zadowoleniem, gdy przez tłum kobiet o wysoko upiętych fryzurach i mężczyzn o ciasno zawiązanych muszkach poczuła bardzo wyraźnie, jak wbija się w nią czyjś wzrok. Coś jak trudne do określenia, niepokojące wyładowania elektryczne, które może wywołać spojrzenie nieżyczliwego człowieka. Instynktownie się przesunęła, jak ścigane zwierzę szukające schronienia w zaroślach. Położyła dłoń na ramieniu męża, próbując się uśmiechnąć, podczas gdy jej wzrok błędził między ubranymi elegancko postaciami i drżącą poświatą z kandelabrow.

Jakaś kobieta odchyliła z rozbawieniem głowę, odsłaniając widok na przeciwległą ścianę sali.

Stał tam.

Jego sylwetka górowała nad resztą jak latarnia morska. Pomimo przygarbienia i krzywych nóg i tak przypominał wielką, dziką bestię, której oczy przesuwwały się po tłumie ludzi niczym reflektory.

Znów poczuła głęboko w trzewiach, jak intensywnie ją obserwuje, i zrozumiała,

że jeśli nie zareaguje tu i teraz, jej życie w ciągu paru sekund legnie w gruzach.

– Andreas – powiedziała, chwytając się za szyję, która już lepiała się od potu. – Moglibyśmy wyjść? Nie czuję się zbyt dobrze.

To wystarczyło. Jej mąż uniósł ciemne brwi, skinął do pozostałych i oddalił się od nich, ujmując ją pod rękę. Kochała go za takie gesty.

– Dziękuję – powiedziała. – Niestety, znów mam atak.

Kiwnął głową. Sam znał to aż nazbyt dobrze. Długie, ciemne wieczory w salonie w towarzystwie nadciągającej migreny.

To ich łączyło.

Gdy dotarli do monumentalnych schodów, wysoki mężczyzna zaszedł ich z boku i stanął przed nimi.

Zauważyła, że wyraźnie się postarzał. Niegdyś błyszczące oczy zmatowiały, włosy trudno było rozpoznać. Dwadzieścia pięć lat robi swoje.

– Nete, ty tutaj? – spytał. – Ostatnia osoba, którą spodziewałbym się spotkać w tym towarzystwie.

Wyminęła go, ciągnąc za sobą męża, ale to nie powstrzymało prześladowcy.

– Nie pamiętasz mnie? – rozległ się głos za jej plecami. – Owszem, pamiętasz. Curt Wad. Pamiętasz mnie na pewno.

Zrównał się z nimi u podnóża schodów.

– Czyżbyś była dziwką dyrektora Rosena? Kto by pomyślał, że zajdziesz tak wysoko.

Próbowała pociągnąć za sobą męża, ale Andreas Rosen nie słynął z bagatelizowania problemów. Tego też nie zbagatelizował.

– Czy mógłby pan zostawić moją żonę w spokoju? – spytał, a jego stonowanej wypowiedzi towarzyszyło spojrzenie wróżące wybuch wściekłości.

– No proszę. – Nieproszony gość cofnął się o krok. – Wciągnęłaś w swoją sieć Andreasa Rosena. Dobra robota. – Posłał jej coś, co można by wziąć za uśmiezek, ale ona za dobrze go znała. – To mi zupełnie umknęło. Musisz wiedzieć, że nie bywam zbyt często w tych kręgach i nie czytam prasy plotkarskiej.

Widziała w zwolnionym tempie, że jej mąż pogardliwie kręci głową. Poczuła, jak chwyta ją za rękę i ciągnie za sobą. Przez chwilę nie mogła złapać oddechu. Odgłos ich kroków brzmiał jak niezsynchronizowane echo. „Uciekajmy stąd!” – mówiło.

Gdy byli już w szatni, głos za ich plecami odezwał się znów.

– Panie Rosen! Może pan tego nie wie, ale pańska żona jest dziwką. Prosta dziewczyną ze Sprogø¹, której wszystko jedno, przed kim rozkłada nogi. Że ten jej kretyński mózg nie odróżnia prawdy od kłamstwa i...

Poczuła szarpnięcie w nadgarstku, gdy jej mąż się obrócił. Kilka osób próbowało uspokoić mężczyznę zakłócającego uroczystość. Paru młodszych lekarzy, którzy się tu zbiegli, podeszło ku niemu, groźną postawą dobitnie podkreślając, że jego obecność jest tu niepożądana.

– Andreas, daj spokój! – zawołała, gdy podszedł do grupki otaczającej dręczyciela, ale jej mąż nie słuchał. Samiec alfa zaczął już znakować swoje terytorium.

– Nie wiem, kim pan jest – powiedział. – Ale sugeruję, by od tej chwili przestał się pan pokazywać publicznie, dopóki nie nauczy się pan zasad obcowania z ludźmi.

Chudy osobnik wystawił głowę ponad przytrzymujących go mężczyzn i wszyscy obecni w szatni skupili się na jego spierzchniętych wargach. Panie szatniarki stojące za ladą i oddzielające futra od prochowców, ludzie przemykający obok, szoferzy czekający przy drzwiach wahadłowych.

Wtedy padły słowa, które musiały paść.

– Proszę zapytać Nete, gdzie została wysterylizowana, panie Rosen. Proszę ją zapytać, ile miała aborcji i o to, jak się człowiek czuje po pięciu dniach spędzonych w izolatce. Dopóki jej pan o to nie spyta, proszę mi nie wypominać braku dobrych manier. Do tego potrzeba kogoś lepszego, panie Rosen.

Curt Wad wyrwał się z otaczającej go grupki i odsunął na bok, patrząc nienawistnie.

– Idę! – zawołał. – A ciebie, Nete – wymierzył w nią drżący palec – ciebie niech piekło pochłonie! Tam właśnie trafisz.

Gdy zamknęły się za nim drzwi wahadłowe, w całym pomieszczeniu podniósł się szum.

– To był Curt Wad – szepnął ktoś za ich plecami. – Kolega ze studiów dzisiejszego laureata. I to zdecydowanie najlepsza rzecz, jaką można o nim powiedzieć.

A jednak znalazła się w pułapce. Zdemaskowana.

Ludzie mierzyli ją wzrokiem. Zastanawiali się, co zdradzało jej prawdziwe ja. Czy wycięcie jest zbyt głębokie? A może biodra zbyt wulgarne? Usta?

Gdy wydawano im płaszcz, ciepły oddech szatniarki wydawał się wręcz jadowity. „Nie jesteś lepsza ode mnie” – zdawała się mówić.

Wyszli szybko.

Spuściła wzrok, ujmując męża pod rękę.

Swojego ukochanego męża, któremu teraz nie śmiała spojrzeć w oczy.

Wysłuchiwała się w cichy, monotony szum silnika.

Sunąc przez mrok, nie zamienili ze sobą ani słowa, siedząc każde sobie i spoglądając w jesienną ciemność zza pulsującego rytmu wycieraczek.

Może on czekał na jakieś dementi, ale nie mogła mu go dać.

Może ona czekała, aż on pierwszy wyciągnie do niej rękę, pomoże wydostać się z tego kaftana bezpieczeństwa. Spojrzy na nią po prostu i powie, że to bez znaczenia. Że liczy się tylko jedenaście wspólnych lat.

Nie te trzydzieści siedem, które przeżyła przedtem.

Ale on włączył radio i muzyczna wrzawa wypełniła wnętrze samochodu; Sting towarzyszył im w drodze na południe przez Zelandię, zaś Sade i Madonna przez wyspę Falster i cieśninę Guldborgsund. To była noc młodych, osobliwych rozśpiewanych głosów, jedyna łącząca ich więź.

Wszystko inne przestało istnieć.

Paręset metrów przed wioską Blans, kilka kilometrów od domu, zjechał z drogi na pole.

– Opowiedz mi o tym – zażądał, kierując wzrok na otaczającą ich ciemność. Żadnego ciepłego słowa, nawet jej imienia na pocieszenie. Po prostu „opowiedz mi o tym”.

Zamknęła oczy. Prosiła, by zrozumiał, że to wszystko kwestia okoliczności i że właśnie mężczyzna, który ją oskarżył, ponosi winę za jej nieszczęście.

Ale poza tym wszystko, co zostało powiedziane, jest prawdą. Przyznała to cichym głosem.

Wszystko to prawda.

Przez wszechogarniającą, bolesną chwilę słychać było tylko jego oddech, po czym odwrócił się do niej z pociemniałymi oczami.

– To dlatego nie mogliśmy mieć dzieci – rzekł.

Skinęła głową. Zaciśnęła usta i opowiedziała, jak było. Owszem, jest winna kłamstw i przemilczeń, przyznaje. Jako młoda dziewczyna została osadzona w ośrodku na Sprogø, ale nie ze swojej winy, lecz w wyniku ciągu nieporozumień, nadużyć, rozczarowań. Wyłącznie dlatego. I owszem, miała aborcje i została wysterylizowana, ale ten okropny człowiek, którego właśnie spotkali...

Położył dłoń na jej ręce; bijący z niej chłód poraził ją jak prąd i sprawił, że zamilkła.

Następnie wrzucił bieg, puścił sprzęgło, przemknął przez wieś i błyskawicznie przyspieszył, jadąc pośród łąk ciemnym odcinkiem tuż nad wodą.

– Przykro mi, Nete, ale nie umiem ci wybaczyć, że latami kazałaś mi ślepo wierzyć, że możemy zostać rodzicami. Po prostu nie potrafię. A jeśli chodzi o resztę, to to, co usłyszałem, napawa mnie wstrętem. – Zamilkł na chwilę, a ona poczuła, jak jej skronie robią się lodowate, a kark się napina.

Uniósł arogancko głowę. Z taką samą arogancją prowadził negocjacje z ludźmi, którzy według niego nie zasługiwali na jego szacunek. Z taką samą pewnością siebie puszczał mimo uszu kiepskie porady.

– Spakuję swoje rzeczy – powiedział aż nazbyt wyraźnie. – Masz tydzień, żeby poszukać sobie czegoś innego. Możesz zabrać z Havnegaard, co ci się tylko podoba. Niczego ci nie zabraknie.

Powoli odwróciła twarz i utkwiała wzrok w wodzie. Uchyliła okno, wdychając zapach wodorostów niesionych przez czarne fale, które w końcu pochwycą i ją.

Wróciło uczucie znane z samotnych, wypełnionych rozpaczą dni na Sprogø, gdzie to samo falujące morze kusiło, by położyć kres nieszczęśliwemu życiu.

„Niczego ci nie zabraknie” – powiedział, tak jakby miało to jakieś znaczenie.

Czyli naprawdę nic o niej nie wiedział.

Na chwilę utkwiała wzrok w dacie na zegarku, 14 listopada 1985, i czując, jak drżą jej wargi, obróciła ku niemu głowę.

Jego ciemne oczy wyglądały jak oczodoły w czaszce. Skupiony był tylko na pokonywaniu zakrętu i na drodze.

Wtedy powoli uniosła rękę w stronę kierownicy, chwyciła ją i gdy zaczął protestować, szarpnęła z całej siły.

Na nic się zdała ogromna moc samochodu; droga umknęła im spod kół, a metaliczny dźwięk, z jakim auto przedarło się przez ścianę zieleni, zagłuszył

ostatnie protesty jej męża.

Gdy wpadli do wody, poczuła się niemal, jakby wracała do domu.

1

Listopad 2010

Carl Mørck usłyszał o wydarzeniach minionej nocy przez radio policyjne, gdy wyjeżdżał do pracy ze swego szeregowca w Allerød. W normalnych okolicznościach działania obyczajówki nie przyciągnęłyby jego uwagi, ale w tym przypadku było inaczej.

Właścicielka agencji towarzyskiej została napadnięta i oblana kwasem siarkowym w swoim mieszkaniu na Enghavevej, więc personel oddziału oparzeń Szpitala Królewskiego miał co robić.

Teraz poszukiwano świadków, na razie bezskutecznie.

Przywleczono już na przesłuchanie grupkę niedomytych facetów z Litwy, ale wraz z upływem godzin stało się jasne, że sprawcą mógł być tylko jeden z podejrzanych, ale nie mogli go przydybać. Brakowało materiału dowodowego. Przy przyjęciu do szpitala poszkodowana oświadczyła, że nie jest w stanie wskazać winnego, więc całą hałastrę trzeba było wypuścić.

Brzmiało to dziwnie znajomo.

Idąc przez plac Polititorvet na parking, spotkał Sopła, czyli Brandura Isaksena z posterunku City.

– Znowu leziesz wkurzać ludzi? – rzucił Carl w przelocie, a ten nieszczęsny idiota przystanął, traktując to jako zaproszenie do rozmowy.

– Tym razem trafiło na siostrę Baka – powiedział chłodno.

Mørck spojrział na niego nieprzytomnym wzrokiem. O czym on, u diabła, bredzi?

– Kiepska sprawa – odparł; to zawsze pasuje.

– Chyba słyszałeś o tym napadzie na Enghavevej? Nie wyglądała dobrze – ciągnął. – Lekarze ze Szpitala Królewskiego mieli w nocy pełne ręce roboty. Czy ty przypadkiem nie znasz się dobrze z Børgem Bakiem?

Carla aż odrzuciło. Z Børgem Bakiem?! Czy się znali? Z podkomisarzem kryminalnym z Departamentu A, który poprosił o urlop, a potem w najgorszym czasie sam się oddelegował na emeryturę? Z tym świętoszkowatym dupkiem?

– Jesteśmy przyjaciółmi w podobnym stopniu jak ty i ja – odparł półgębkiem.

Isaksen kiwnął głową z zaciętą miną. Owszem, miłość panująca między tą dwójką przygniotłaby do ziemi skrzydła motyla.

– Znasz też siostrę Børgego, Esther Bak? – spytał.

Carl spojrział w stronę kolumnady, gdzie ujrzał Rose drepczącą z torebką wielkości walizki przewieszoną przez ramię. A ta co wyrabia? Zamierza zrobić sobie w biurze wakacje?

Zauważył, że Isaksen podążył za jego spojrzeniem, i odwrócił wzrok.

– Nigdy jej nie poznałem, ale chyba ma burdel, nie? – odparł Mørck. – A to bardziej twoja domena niż moja, więc nie mieszaj mnie w to.

Kąciaki ust Isaksena poddały się prawu ciężenia.

– Licz się z tym, że Bak wparuje na komendę i będzie chciał się w to mieszać.

Carl miał wątpliwości. Przecież Bak rzucił służbę, bo nie znosił swojej pracy i nienawidził przychodzić na Komendę Główną.

– Niech sobie przychodzi, na zdrowie – odpowiedział. – Byle nie do mnie do piwnicy.

Isaksen przecesał palcami swoje czarne jak smoła, rozczochrane o poranku włosy.

– Nie, no, jasna sprawa. Masz tam u siebie co robić, bzykając tamtą, co?

Machnął głową w kierunku Rose, która już zniknęła na schodach.

Pokręcił głową. Niech diabli wezmą Isaksena i jego bzdurne pomysły. Bzykać Rose! To już lepiej wstąpić do zakonu męskiego w Bratysławie.

– Carl – zagaił strażnik w budce wartowniczej trzydzieści sekund później. – Ta psycholożka Mona Ibsen zostawiła to dla ciebie. – Podał mu przez drzwi szarą kopertę, uroczyście, jakby stanowiło to najważniejszy punkt dnia.

Mørck spojrział na nią z ciekawością. Kto wie, czy nie stanowiło.

Strażnik usiadł.

– Słyszałem, że Assad przyszedł tu już o czwartej. Widzę, że się bardzo przykłada do swoich zadań w tej piwnicy. Przygotowuje zamach terrorystyczny na Komendę Główną czy jak? – zaniósł się śmiechem, ale ucichł pod wpływem ciężkiego jak ołów spojrzenia policjanta.

– Sam go spytaj – odparł Carl, myśląc o kobiecie, którą aresztowano na lotnisku za samo wypowiedzenie słowa „bomba”. Lapsus wart pierwszych stron gazet.

W jego oczach to tutaj było o wiele gorsze.

Już na najniższych stopniach spiralnych schodów zorientował się, że Rose ma dobry dzień. Ciężki zapach goździków i jaśminu uderzył go w nozdrza, przywołując na myśl pewną starszą kobietę w Øster Brønderslev, która szczypała w pośladki wszystkich zagląających do niej mężczyzn. Gdy Rose pachniała w ten sposób, człowieka zaczynała boleć głowa, choć wyjątkowo nie z powodu jej zgryźliwych odzywek.

Assad wysnuł teorię, że dostała te perfumy w spadku, ale inni byli zdania, że mdlące mieszanki tego typu wciąż można kupić w pewnych indyjskich sklepikach, które nie były zainteresowane powrotem klientów.

– Cześć, Carl, pozwól tutaj! – zagrzmiała ze swojego biura.

Westchnął. Co znowu?

Minął graciarnię Assada, wsunął głowę do sterylnej czystego gabinetu Rose i jego wzrok spoczął na wielkiej torbie, którą dopiero co przytaszczyła. Zdaniem Carla nie tylko perfumy Rose wzbudzały tego dnia niepokój. Podobnie rzecz się miała z wystającym z torby gigantycznym stosem papierów.

– Yyyy – zaczął ostrożnie, wskazując na papiery. – Co to jest?

Spojrzała na niego oczami obwiedzionymi czarnymi jak węgiel kreskami zwiastującymi problemy.

– Stare sprawy, które walały się po biurkach szefów policji przez ostatni rok. Sprawy, które nie trafiły do nas od razu. Kto jak kto, ale ty powinieneś coś wiedzieć o podobnym partactwie.

Ostatnią aluzję okrasiała gardłowym prychnięciem, które zapewne można było zinterpretować jako śmiech.

– Teczki zostały omyłkowo dostarczone do oddziału krajowego EUROPOL-u. Właśnie je przyniosłam.

Carl uniósł brwi. Jeszcze więcej spraw, więc dlaczego, u licha, ona się uśmiecha?

– Tak, tak. Wiem, co sobie myślisz. To na pewno najgorsza wiadomość dnia – uprzedziła go. – Ale nie widziałeś jeszcze tej teczki. Nie jest z oddziału krajowego, leżała już na moim biurku, kiedy przyszłam.

Podążyła mu sfatygowaną tekturową teczkę, chcąc zapewne, by natychmiast zabrał się do jej przeglądania, ale tu się myliła. Złych wiadomości nie przyjmuje się ot

tak, przed porannym papierosem, a poza tym wszystko ma swój ustalony bieg. Przecież dopiero co przyszedł, do cholery.

Pokręcił głową, wrócił do siebie, rzucił teczkę na stół, a kurtkę na krzesło w kącie.

W gabinecie unosił się zatechły zapach, a świetlówka migiała wyjątkowo intensywnie. Najtrudniejsze do przetrwania są środy.

Zapalił papierosa i poczłapał do Assadowego schowka na szczotki, gdzie wszystko wyglądało tak jak zazwyczaj. Dywanik modlitewny był rozłożony na ziemi, a w powietrzu unosiły się gęste kłęby miętowych oparów. Radio tranzystorowe nastawione było na coś, co uznać by można za okrzyki godowe delfinów połączone z chórem gospel, odtwarzane na magnetofonie szpulowym o luźnym pasku napędowym.

Stambuł à la carte.

– Dzień dobry – powiedział Mørck.

Assad powoli obrócił głowę w jego stronę. Wschód słońca nad Kuwejtem nie mógł się równać odcieniem czerwieni z imponującym narządem węchu tego nieszczęśnika.

– Boże miły, Assad, to nie wygląda dobrze. – Carl cofnął się o krok na jego widok. Jeśli grypa już musi grasować w ich piwnicznej czeluści, niech przynajmniej jego ominie.

– To przyszło wczoraj – smarknął Assad. Równie wilgotnych psich oczu ze świecą by szukać.

– Wracaj do domu, i to natychmiast! – polecił Carl i wyszedł. Nie było potrzeby ciągnąć tej rozmowy, Assad i tak nie posłucha.

Wrócił bezpiecznie do siebie i wyłożył nogi na biurko, zastanawiając się po raz pierwszy w życiu, czyby nie wykupić wakacji na Gran Canarii. Czternaście dni pod parasolem ze skąpo odzianą Moną u boku, he? Grypa może sobie hulać po ulicach Kopenhagi ile wlezie.

Uśmiechnął się na tę myśl, wyjął kopertę od Mony i ją otworzył. Już sam zapach wystarczył: delikatny i zmysłowy – Mona Ibsen w pigułce. A nie ciężkie jak ołów bombardowanie zmysłów w wydaniu Rose.

Początek brzmiał: „Moje słodkie kochanie”.

Carl się uśmiechnął. Tak czule i słodko nie przemawiano do niego od czasu,

kiedy leżał w szpitalu w Brønderslev z sześcioma szwami na brzuchu i ślepą kiszka w słoiku.

Moje słodkie kochanie,
dzisiaj o 19.30 umawiamy się u mnie na gęś², okej? Przyjdź w garniturze i przynieś czerwone wino. Ja zapewnię niespodzianki.

Całuję, Mona

Carl poczuł ciepło napływające do policzków. Co za kobieta!

Zamknął oczy i zaciągnął się głęboko papierosem, próbując wyobrazić sobie, co kryje się pod słowem „niespodzianki”. Nie były to wyobrażenia dla każdego.

– Co tak siedzisz i uśmiechasz się z zamkniętymi oczami? – zagrzmiało z tyłu. – Nie zamierzasz spojrzeć do tej teczki, którą ci dałam?

Rose stała w drzwiach z założonymi rękami i schyloną głową. Czyli nie zniknie, dopóki on nie zareaguje.

Zdusił papierosa i sięgnął po teczkę. Lepiej już mieć to za sobą, bo będzie tu stała, dopóki nie zawiąże sobie rąk w supły.

W teczce znajdowało się dziesięć wyblakłych kartek z sądu w Hjørring. Już po pierwszej stronie zorientował się, co to takiego.

Jak, u diabła, ta sprawa mogła wylądować u Rose?

Pospiesznie przejrzał pierwszą stronę, znając z góry kolejność zdań. Lato 1978. Utonięcie mężczyzny w strumieniu Nørreå. Właściciel dużej fabryki maszyn, zapalony wędkarz sportowy i członek różnych stowarzyszeń. Cztery pary świeżych odcisków stóp wokół stołka wędkarskiego i podniszczonej torby. Nie zginął żaden sprzęt, włączając kołowrotek i wędki za ponad pięćset koron każda. Ładna pogoda, sekcja zwłok nie wykazała nic podejrzanego, żadnej wady serca czy zawału. Po prostu utonięcie.

Gdyby nie fakt, że woda w tym miejscu miała nieco ponad pół metra głębokości, sprawę już na wstępie zaklasyfikowano by jako wypadek.

Ale Mørck wiedział, że to nie samo zdarzenie wzbudziło zainteresowanie Rose, nie wzbudził go także fakt, że sprawa nie została wyjaśniona, w związku z czym automatycznie wylądowała u nich w piwnicy. Chodziło o to, że do akt sprawy dołączono zdjęcia i że na dwóch z nich widniała podobizna Carla.

Westchnął. Mężczyzna nazywał się Birger Mørck i był jego rodzonym stryjem.

Jowialny i wielkoduszny człowiek, którego podziwiali zarówno jego syn Ronny, jak i Carl, i dlatego zabierał ich ze sobą na wycieczki. Dokładnie jak tamtego dnia, gdy mieli poznać tajniki i triki wędkarstwa.

Ale dwie dziewczyny z Kopenhagi, które zjechały rowerami całą Danię, właśnie zbliżały się do celu w Skagen, mając na sobie cienkie koszulki, ponętnie lepiące się do spoconych ciał.

Widok tych dwóch jasnowłosych hipisek, pokonujących z trudem ciąg pagórków, poraził Carla i jego kuzyna Ronny'ego jak uderzenie pioruna, więc upuścili wędkę i rzucili się przez pole niczym cielęta, czujące po raz pierwszy w życiu trawę pod kopytami.

Gdy dwie godziny później wrócili nad potok z zarysami obcisłych bluzek dziewczyn na zawsze wypalonymi na siatkówkach, Birger Mørck już nie żył.

Po licznych przesłuchaniach i posądzeniach policja w Hjørring dała sobie spokój ze sprawą i mimo że nigdy nie dotarło do dwóch kopenhaskich dziewcząt, stanowiących jedyne alibi młodych panów, Ronny i Carl zostali oczyszczeni z podejrzeń. Ojciec Carla był zły i zrozpaczony przez wiele miesięcy, ale innych konsekwencji nie było.

– Nie najgorzej wtedy wyglądałeś. Ile miałeś lat? – spytała Rose, nadal stojąc w drzwiach.

Wypuścił teczkę z rąk na stół. Nie miał ochoty, by przypomniano mu o tym czasie.

– Ile miałem lat? Siedemnaście, a Ronny dwadzieścia siedem – westchnął. – Orientujesz się w ogóle, dlaczego ta sprawa wypłynęła tak nagle?

– Dlaczego?! – Postukała się w głowę ostrymi jak igły kłykciami. – Halo, książkę z bajki, obudź się! Przecież właśnie tym się zajmujemy, nie? Grzebiemy w starych, niewyjaśnionych zabójstwach!

– Owszem. Ale po pierwsze, tę sprawę uznano za nieszczęśliwy wypadek, po drugie, chyba sama nie wyrosła ci z fotela, co?

– Może powinnam spytać policję z Hjørring, dlaczego właśnie teraz do nas spłynęła?

Carl uniósł brwi. Tak, może właśnie powinna?

Obróciła się na pięcie i stukając obcasami, wróciła na swoje terytorium. Sygnał odebrany.

Zapatrzył się przed siebie. Dlaczego, u diabła, ta sprawa w ogóle powraca? Jakby już nie przysporzyła dość problemów.

Spojrzał jeszcze raz na zdjęcie swoje i Ronny'ego i odsunął teczkę w stronę sterty z innymi sprawami. Było, minęło, nic tego nie zmieni, a przed czterema minutami przeczytał list Mony, w którym nazywała go „swoim słodkim kochaniem”. Trzeba mieć priorytety.

Uśmiechnął się, wygrzebał komórkę z kieszeni i spojrzał ze złością na małe przyciski. Jeśli wyśle Monie SMS-a, samo pisanie zajmie mu dziesięć minut, a jeśli do niej zadzwoni, będzie musiał czekać, aż odbierze.

Westchnął i wziął się do pisania. Nie ulega wątpliwości, że technologia klawiatur komórkowych musiała zostać stworzona przez pigmeja z palcami jak spaghetti i że normalny, średniej budowy mężczyzna z Europy Północnej musiał się w związku z tym czuć jak hipopotam grający na flecie.

Napisawszy, przyjrzał się efektom swoich wysiłków, przepuszczając z westchnieniem szereg literówek. Mona na pewno zrozumie sens: jest amator na jej świąteczną gęś.

W chwili gdy odłożył telefon, w drzwiach pojawiła się głowa.

Od ostatniego razu zaczeska została przystrzyżona, a skórzana kurtka odbyła wizytę w prasowni, ale noszący ją człowiek był niepokładany jak zawsze.

– Bak?! Co tu robisz, do diaska? – spytał.

– Nie udawaj, że nie wiesz – odparł mężczyzna, który miał wory pod oczami z niewyspania. – Bo już wyłazę ze skóry, dlatego!

Klapnął na krzesło naprzeciwko Carla pomimo jego niemych protestów.

– Moja siostra Esther już nigdy nie będzie sobą. A ten dupek, który chlusnął jej w twarz kwasem, siedzi sobie w sklepie w suterenie na Eskildsgade i śmieje się do rozpuku. Zapewne rozumiesz, że jako były policjant nie jestem dumny z tego, że moja siostra prowadzi burdel, ale chyba nie sądzisz, że gnojkwowi powinno się upiec?

– Nie mam pojęcia, dlaczego przyszedłeś, Bak. Pogadaj z ludźmi z City albo przynajmniej z Marcusem Jacobsenem czy z którymś z innych szefów, jeśli uważasz, że sprawa jest źle prowadzona. Nie zajmuję się rozbojami ani obyczajówką, przecież wiesz.

– Przyszedłem prosić ciebie i Assada, byście ze mną pojechali i zmusili gnojka

do przyznania się do winy.

Mørck poczuł, jak marszczy mu się czoło u nasady włosów. Pocięło go?

– Dostałeś tu taką jedną sprawę, ale to już pewnie zauważyłeś – ciągnął Bak. – To ja ją tu przysłałem. Parę miesięcy temu przekazał mi ją kolega z Hjørring. Dziś w nocy położyłem ją u Rose.

Carl spojrzął na faceta, zastanawiając się, jakie ma opcje. Na razie nasuwały mu się trzy.

Pierwsza przewidywała przywalenie gościowi w pysk. Druga – kopnięcie go w tyłek. Carl jednak wybrał trzecią.

– Owszem, teczka leży tam – powiedział, wskazując na papierowy armagedon w kącie biurka. – Dlaczego nie przekazałeś tej sprawy mnie? Byłoby trochę grzeczniej.

Bak uśmiechnął się zdawkowo.

– A od kiedy to grzeczność między nami przyniosła jakieś rezultaty? Nie, stary. Chciałem mieć pewność, że ktoś inny z wydziału zobaczy tę sprawę, dzięki czemu ona nagle nie zniknie, okej?

Dwie pozostałe opcje znów nabrały aktualności. Dobrze, że ten palant już tu na co dzień nie bywa.

– Trzymałem tę sprawę u siebie, czekając na właściwą okazję. Kapujesz?

– Skąd! Jaką okazję?

– Potrzebuję twojej pomocy!

– Nie myśl sobie, że spuszczę łomot ewentualnemu sprawcy, bo machasz mi przed nosem sprawą sprzed trzydziestu lat. A wiesz dlaczego? – Carl wyliczał na palcach każdy kolejny argument. – Po pierwsze! Sprawa jest przedawniona. Po drugie! To był nieszczęśliwy wypadek, mój stryj utonął. Musiał poczuć się źle i wpadł do potoku; tak brzmiał wniosek prowadzących sprawę. Po trzecie! Gdy to się stało, nie było tam ani mnie, ani mojego kuzyna. Po czwarte! W przeciwieństwie do ciebie jestem porządnym gliniarzem, który wystrzega się spuszczenia manta podejrzanym.

Carl wstrzymał się na chwilę z ostatnim zdaniem. O ile się orientował, Bak nie mógł mieć na niego niczego w tym stylu. W każdym razie jego wyraz twarzy na to nie wskazywał.

– I po piąte! – Wyprostował pięć palców, po czym zacisnął pięść. – Jeśli już

miałbym komuś przyłożyć, to raczej pewnemu panu, który bawi się w policjanta, choć już nim nie jest.

Z twarzy Baka zniknął uśmiech.

– Rozumiem. Powiem ci w takim razie, że jeden z moich dawnych kolegów z Hjørring lubi wyjazdy do Tajlandii. Czternaście dni w Bangkoku i te sprawy.

„A co mnie to, kurna, obchodzi?” – pomyślał Mørck.

– Twój kuzyn Ronny, zdaje się, też to lubi, podobnie jak dobrze się napić – ciągnął Bak. – I wiesz co? Jak twój kuzyn Ronny ma już dobrze w czubie, lubi też sobie pogadać.

Carl stłumił głębokie westchnięcie. Ronny, ten skończony pajac! Znów są z nim problemy? Widzieli się ostatnio co najmniej dziesięć lat temu na pechowej confirmacji w Odder, kiedy to Ronny nie stronił przy barze ani od trunku, ani od kelnerek. Niby nic takiego, może poza faktem, że jedna z kelnerek była aż nazbyt chętna, a do tego niepełnoletnia, nie wspominając już o tym, że była siostrą confirmanta. Skandalowi udało się zapobiec, ale zapadł on w pamięć odderskiej gałęzi rodziny. Nie, Ronny subtelnością nie grzeszył.

Machnął lekceważąco ręką. Co go, do czarta, obchodzą sprawki Ronny’ego?

– Idź na górę do Marcusa i gadaj, co ci się żywnie podoba, Bak, ale znasz go przecież. Powie dokładnie to samo co ja. Nie bije się podejrzanych i nie grozi byłym kolegom starymi historiami, jak ta tutaj.

Bak odchylił się na krześle.

– I w tym barze w Tajlandii, w obecności świadków, twój kuzyn przechwalał się na prawo i lewo, że zabił swojego ojca.

Mørck zmrużył oczy. Nie brzmiało to zbyt wiarygodnie.

– Ach tak, czyżby? To chyba mózg mu się zlasował od alkoholu! Ale zgłoś to, jeśli uważasz za stosowne. Wiem, że nie utopił swojego ojca, bo był w tym czasie ze mną.

– Twierdził jednocześnie, że byłeś z nim. Fajnego masz kuzyna.

Carl z całej siły zmarszczył brwi i wstał wyprostowany, starając się nadać klatkę piersiową.

– Chodź no tu, Assad! – krzyknął na pełny regulator prosto w twarz Baka.

Po zaledwie dziesięciu sekundach niedomagający osobnik stał już w drzwiach, pociągając nosem.

– Assad, moja droga, dręczona przez grypę, istoto. Czy byłbyś tak miły i kaszlnął na tego tu durnia? Tylko weź głęboki wdech.

– Co jeszcze leżało na tej stercie z nowymi sprawami, Rose?

Wyglądała, jakby zastanawiała się, czy nie wziąć całej sterty i mu jej nie wręczyć, ale Carl wiedział, co się święci. Coś już przykuło jej uwagę.

– Ta dzisiejsza historia burdelmamy skojarzyła mi się ze sprawą, którą właśnie dostaliśmy z Kolding. Leżała na tej kupce, którą przyniosłam z EUROPOL-u.

– Wiesz, że kobieta, którą nazywasz burdelmamą, jest siostrą Baka?

Rose kiwnęła głową.

– Nie znam gościa, ale plotki się szybko rozchodzą. To ten, co tu przed chwilą był, prawda? – Postukała w teczkę leżącą na samym wierzchu i otworzyła ją polakierowanymi na czarno paznokciami. – Słuchaj uważnie, Carl, bo będziesz musiał sam to czytać.

– Tak, tak – odparł, błędząc wzrokiem po jej opływowym, szarobiałym środowisku pracy. Aż człowiek tęsknił za jej alter ego, Yrsą i jej różowym piekiełkiem.

– Sprawa dotyczy kobiety o nazwisku Rita Nielsen, „pseudonim artystyczny” – Rose wykonała znak cudzysłowu w powietrzu – Louise Ciccone. Używała go przez jakiś czas w latach osiemdziesiątych, kiedy oferowała tak zwany... – cudzysłów znów się pojawił – „taniec erotyczny” w klubach nocnych w obszarze Trójkąta³. Wielokrotnie karana za oszustwa, a potem za stręczycielstwo i sutenerstwo. Prowadzi agencję towarzyską w Kolding w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, po czym nagle znika w Kopenhadze w osiemdziesiątym siódmym. W trakcie śledztwa lotna brygada szuka przyczyny jej zniknięcia przede wszystkim w środkowojutlandzkich i kopenhaskich środowiskach pornograficznych, ale po trzech miesiącach sprawa zostaje zarzucona z adnotacją, że najprawdopodobniej w grę wchodzi samobójstwo. Jest tam też napisane, że w międzyczasie pojawiło się sporo nowych, poważnych zadań, więc nie można było marnotrawić już sił na tę sprawę.

Odłożyła teczkę na stół, robiąc cierpką minę.

– Zarzucona. Na bank to samo stanie się ze sprawą Esther Bak. Czy może ty widziałeś tu kogoś, kto miotałby się jak w panice, chcąc dopaść bydlę, które zrobiło to tej nieszczęsnej kobiecie?

Carl wzruszył ramionami. Jedyne panika, jaką było mu dane zobaczyć dziś rano, malowała się na skwaszonej twarzy jego przybranego syna Jespera, gdy obudził go o siódmej z prośbą, by zasuwał na swój kurs przygotowawczy do egzaminu HF w Gentofte o własnych siłach.

– Z tego, co widzę, absolutnie nic tego dnia nie wskazywało na jej tendencje samobójcze – ciągnęła. – Rita Nielsen wsiada do swego wypaszonego białego mercedesa 500 SEC i spokojnie odjeżdża spod domu! Parę godzin później zapada się pod ziemię, właściwie tyle.

Wyciągnęła zdjęcie i rzuciła mu pod nos. Była to fotka samochodu stojącego przy krawężniku z kabiną ogołoconą przez złodziei.

Co za fura! Na tej masce co najmniej połowa przebojowych dziewcząt z Vesterbro wiałaby się w swoich sztucznych futerkach kupionych za uciulane pieniądze. Jego służbowy grat się nie umywał.

– Ostatnio widziano ją czwartego września osiemdziesiątego siódmego roku i dzięki transakcjom na jej karcie możemy prześledzić jej działania od miejsca zamieszkania w Kolding o godzinie piątej, przez Fionię, gdzie tankuje benzynę, i dalej na promie przez Wielki Bełt aż do samej Kopenhagi, gdzie w kiosku na Nørrebrogade kupuje papierosy o dziesiątej dziesięć. Od tej chwili nikt jej nie widział. Jej mercedesa znaleziono parę dni później na Kapelvej, doszczętnie okradzionego. Skórzane siedzenia, koło zapasowe, radio samochodowe, magnetofon kasetowy i mnóstwo innych rzeczy. Nawet kierownicę buchnęli. Zostało tylko parę kaset i książek w schowku.

Carl podrapał się po podbródku.

– W tamtych czasach niewiele sklepów miało terminale do kart płatniczych, co dopiero kiosk na Nørrebro. Po co tyle zachodu z płaceniem kartą kredytową? Musiała na pewno załadować kartę do terminala, a potem złożyć podpis, i to wszystko dla nędznej paczki papierosów? Przecież to wymaga cierpliwości.

Rose wzruszyła ramionami.

– Może nie lubiła gotówki. Może nie lubiła dotykać pieniędzy. Może wolała trzymać pieniądze w banku i płaciła z odsetek. Może miała tylko pięćsetkę, a właściciel kiosku nie miał z czego wydać. Może...

– Stop, stop, wystarczy. – Carl zamachał rękami. – Ale powiedz mi: na czym opierano teorię o samobójstwie? Poważna choroba, problemy finansowe? Czy to

dlatego zapłaciła za fajki kartą kredytową?

Wzruszyła ramionami gdzieś pod swoim grafitowym, nazbyt masywnym swetrem, prawdopodobnie zrobionym na drutach przez Yrse.

– Taa, dobre pytanie. To rzeczywiście trochę dziwne. Rita Nielsen alias Louise Ciccone była zamożną kobietą, a wnioskuje z jej niegodnego pozazdrozczenia curriculum vitae również taką, która nie dała sobie w kaszę dmuchać. Jej „dziewczynki” z Kolding określały ją jako twardą jak stal i nie do zdarcia. Jedna z nich powiedziała, że prędzej wymordowałyby resztę ludzkości, niż sama się zabiła.

– Hm! – Carla ogarnęło dziwne przeczucie, co go rozzłościło. Ale zainteresowanie zostało wzbudzone. Spokojnie i niespiesznie zaczęły kielkować w nim pytania. Między innymi to o papierosy. Czy kupuje się papierosy tuż przed popełnieniem samobójstwa? Owszem, może i tak, by uspokoić myśli i cały organizm.

Cholera! Młyn w jego głowie już zaczął pracować pełną parą, i na co mu to? Jak już się za to weźmie, będzie miał roboty po uszy.

– Więc w przeciwieństwie do naszych licznych kolegów uważasz, że mamy do czynienia z przestępstwem? Ale czy w ogóle coś w tej sprawie wskazuje, że może chodzić o zabójstwo? – zawiesił głos. – Dysponujesz czymś, na czym mogłabyś się oprzeć, oprócz faktu, że sprawa została zarzucona, a nie umorzona?

Pod gigantycznym swetrem znów odnotowano ruch. Czyli nic nie miała.

Carl wlepił wzrok w teczkę. Rita Nielsen na zdjęciu przypiętym spinaczem do pierwszej strony wyglądała na bardzo silną osobę. Chuda dolna część twarzy i bardzo szerokie kości policzkowe. Oczy błyszczące przekorą i wolą walki. Widać było, że olewa tabliczkę, którą trzyma na piersi do zdjęcia policyjnego. Na pewno nie po raz pierwszy robiono jej zdjęcie do archiwów policyjnych. Nie, na kobietach takich jak ona kara więzienia nie robiła wrażenia. Była twardzielką w czystej postaci, jak to określiły dziwki z jej stajni.

Dlaczego, u diabła, miałyby się targnąć na własne życie?

Przysunął do siebie teczkę, ignorując uśmieшки Rose.

Czyli rozpoczyna się kolejna sprawa dzięki temu pomalowanemu na czarno monstrum.

2

Listopad 2010

Zielona furgonetka przyjechała dokładnie o 12.30, zgodnie z umową.

– Muszę objechać dzisiaj jeszcze pięć miejsc na Zelandii, panie Wad – powiedział kierowca – więc mam nadzieję, że wszystko przygotowane.

Dobry człowiek z tego Mikaela. Dziesięć lat pracy i ani jednego pytania. Schludny, zadbany i uprzejmy. Dokładnie ten typ, który najlepiej reprezentował Czyste Linie wśród zwyczajnych ludzi. Dzięki takim ludziom inni nabierali ochoty, by zapisać się do partii. Spokojni, niezawodni i z ciepłym spojrzeniem niebieskich oczu. Bardzo jasne, falujące włosy zawsze miał uczesane. Spokojny nawet w krytycznych sytuacjach, jak ta sprzed miesiąca podczas zamieszek w Haderslev w trakcie jednego z zebrań założycielskich partii, kiedy to dziewięciu demonstrantów z hasłami ziejącymi nienawiścią dostało nauczkę, że ludzi z sercem po właściwej stronie nie powinno się lekceważyć.

Właśnie dzięki ludziom takim jak Mikael sytuację opanowano jeszcze przed przybyciem policji.

Nie, tych demonstrantów z pewnością już więcej nie zobaczą.

Curt Wad otworzył drzwi do dawnej stajni Szkoły Królewskiej⁴, odsunął na bok starą metalową tabliczkę znajdującą się nad niewielką zamrażarką i wstukał swój dziewięciocyfrowy kod na pulpicie, jak to robił już niezliczoną ilość razy. Odczekał chwilę, aż w ścianie rozlegnie się kliknięcie i środkowa część odsunie się na bok.

W głębi dużej ciemnej komory trzymał wszystko, czego nie powinien widzieć nikt oprócz jego pobratymców. Zamrażarka z ludzkimi płodami z nielegalnych aborcji, szafki z aktami, listy członków, laptop, którego używał na konferencjach, i stare notatki z czasów jego ojca, stanowiące podstawę ich działalności.

Otworzył zamrażarkę i wyjął pudełko z workami, które natychmiast podał kierowcy.

– Tu są płody, które kremujemy własnym sumptem. Mam nadzieję, że

zamrażarka w samochodzie nie jest jeszcze pełna.

Kierowca się uśmiechnął.

– Nie, jest jeszcze trochę miejsca.

– A tu przesyłki kurierskie do naszych ludzi, zobaczysz, do kogo.

– Dobrze – odparł kierowca, rzucając okiem na koperty. – Niestety, dotrę do Fredensborga dopiero w przyszłym tygodniu. Wczoraj objechałem całą północną Zelandię.

– To nie takie ważne, bylebyś dotarł do Aarhus. Jesteś tam jutro, prawda?

Kierowca kiwnął głową i zajął do plastikowego pudełka.

– Tego się na pewno pozbędziemy. Mamy też płody, które mam zawieźć do krematorium w Glostrup?

Curt Wad zamknął przesuwne drzwi do komory i podszedł do zamrażarki na zewnątrz. Trzeba było zajrzeć głębiej.

– Tak, są tutaj – odparł, otwierając pokrywę zamrażarki i wyjmując kolejne plastikowe pudełko. Położył je na podłodze i zdjął plastikową koszulkę na dokumenty z półki nad zamrażarką. – Tu są papiery odnoszące się do płodów. – Podał kierowcy dokumenty. – Wszystko w najlepszym porządku.

Kierowca opatrzył każdy worek w pudełku odpowiednią notatką.

– Wszystko w porządku, bez dwóch zdań – powiedział i zaniósł wszystko do furgonetki. Rozdzielił zawartość pudełek do dwóch minizamrażarek, posortował korespondencję wewnętrzną do przegródek przeznaczonych dla poszczególnych stowarzyszeń, dotknął palcami daszka czapki i grzecznie się pożegnał.

Curt Wad uniósł rękę w geście pożegnania, gdy furgonetka zniknęła na ulicy Brøndbyøstervej.

„Jakie to błogosławieństwo, że w moim wieku nadal można działać dla sprawy” – pomyślał z zadowoleniem.

– Och, w życiu nie dałbym ci osiemdziesięciu ośmiu lat! – powtarzali ludzie i mieli rację. Przeglądając się w lustrze, również on dostrzegał, że z powodzeniem można by mu dać piętnaście lat mniej. Wiedział doskonale dlaczego.

„W życiu chodzi o to, by żyć w zgodzie ze swoimi ideałami” – brzmiało motto jego ojca. Mądre słowa, według których sam postępował. Oczywiście, były też koszty, ale dopóki głowa jest sprawna, to ciało też.

Curt przeszedł przez ogród do drzwi na tyłach domu; zawsze tak robił

w godzinach konsultacji lekarskich. Kiedy jego następca przyjmował w gabinecie od frontu, tamta część domu przestawała należeć do Curta, tak to już było. Poza tym miał co robić, tworząc partię. Nie, czas, kiedy to on dokonywał sortowania ludzi i zabijania, już minął. Jego następca robił to równie dobrze i gorliwie.

Wyjął kawiarzkę i odmierzył łyżeczką kawę, wygładzając ją palcem tak, żeby nie było jej ani za dużo, ani za mało. Żołądek Beate zrobił się ostatnio delikatny, więc to ważne.

– O, jesteś w kuchni, Curt?

Przyszedł jego następca, Karl-Johan Henriksen. Podobnie jak Curt, lubił ubierać się w świeżo wyprany i wyprasowany kitel. Bo bez względu na to, jak obcy się człowiek wydaje swoim pacjentom, przez ten świeżo wyprany i wyprasowany kitel patrzą na lekarzy jak na autorytety, którym spokojnie zawierzają życie. Naiwni idioci.

– Lekka niestrawność – wyjaśnił Henriksen, biorąc szklankę z szafki. – Gorące kasztany, masło i czerwone wino doskonale smakują, ale ciężko się je wspomina.

Uśmiechnął się, napełnił szklankę wodą i wsypał torebkę środka na zgagę.

– Był już kierowca, więc obie zamrażarki są puste, Karl-Johan. Możesz spokojnie je znów wypełniać.

Curt uśmiechnął się do swego ucznia, bo były to zbędne słowa. Henriksen był może nawet bardziej efektywny niż Curt kiedykolwiek.

– Tak, zaraz zacznę. Dziś mamy trzy aborcje. Dwie standardowe i jedna inna – Henriksen odwzajemnił uśmiech, podczas gdy zawartość szklanki syczała wesoło.

– To znaczy?

– Somalijka z Tåstrupgård, skierowana przez Benta Lyngsøe. Przekazano mi, że to ciąża bliźniacza – zakończył, unosząc znacząco brwi, i wypił zawartość szklanki.

O tak, Karl-Johan Henriksen był dobrym nabytkiem zarówno dla partii, jak i dla Tajemnej Walki.

– Źle się dziś czujesz, moja piękna Beate? – spytał ostrożnie, wchodząc do pokoju z tacą.

Od ponad dziesięciu lat nie mogła odpowiedzieć, ale umiała się uśmiechać. Choć stała się niewymownie krucha, a uroda i duch młodości już dawno temu ją opuściły, Curt nie potrafił znieść myśli, że któregoś dnia, ba, zapewne już niedługo, będzie musiał żyć bez niej.

„Oby doczekała dnia, kiedy wypowiemy jej imię na mównicy parlamentu, wyrażając wdzięczność za jej zaangażowanie” – pomyślał, ujmując jej dłoń, lekko jak puch.

Nachylił się, pocałował ją ostrożnie, czując, jak jej dłoń lekko drży. Więcej nie było mu trzeba.

– Proszę, moja najdroższa – powiedział, przystawiając filizankę do jej warg i dmuchając lekko na kawę. – Ani gorąca, ani zimna. Taka, jaką lubisz.

Ułożyła w dzióbek zapadnięte wargi, które tak czule całowały jego i ich dwóch synów, kiedy najbardziej tego potrzebowali, i wolno i bezgłośnie zasysała płyn. W jej oczach widać było, że kawa jej smakuje. W tych oczach, które tak dużo widziały i w których jego wzrok szukał schronienia w rzadkich chwilach wątpliwości.

– Później idę do telewizji, Beate. Ja, Lønberg i Caspersen. Będą chcieli nas docisnąć, jeśli będą mogli, ale nie zdołają. I zbierzemy owoce kilkudziesięcioletniej pracy, i zdobędziemy dziś głosy. Mnóstwo głosów ludzi myślących tak jak my. Niech dziennikarze sobie uważają, że jesteśmy trzema starymi piernikami – zaśmiał się. – Bo też jesteśmy. Ale będą zakładać, że nie myślimy logicznie. Że można nas przyłapać na pleceni bzdur i na nieściskościach – pogłaskał ją po głowie. – Włączę telewizję, żebyś mogła obejrzeć.

Jakob Ramberger był zdolnym i zawsze dobrze przygotowanym dziennikarzem. Tylko on wchodził w grę, po tym jak w ostatnim czasie skrytykowano szereg nieudolnych wywiadów. Mądry dziennikarz bał się bardziej widzów niż pracodawców, a Ramberger był mądry i sporo potrafił. Umiał przyszpilić czołowych polityków przy odsłoniętej kurtynie i dobrać się do skóry związkowcom, gwiazdom rocka, przestępcom i biznesmenom o znikomej odpowiedzialności ekonomicznej.

Dlatego Curt Wad był zachwycony, że to właśnie Ramberger ma przeprowadzać z nimi wywiad, bo tym razem nie uda mu się nikogo przydybać, a to odbije się echem w małej Danii.

Ramberger i jego goście w studiu przywitali się uprzejmie w sali, w której jego koledzy przygotowywali kolejne wiadomości, ale gdy tylko Ramberger puścił dłonie ofiar swoich wywiadów, każdy okopał się na swoim stanowisku.

– Właśnie poinformowali państwo ministerstwo spraw wewnętrznych, że Czyste

Linie zebrały wystarczającą ilość podpisów, by wystartować w następnych wyborach parlamentarnych – zagaił dziennikarz po krótkiej i niezbyt pochlebnej prezentacji. – Gratuluję, ale od razu zapytam, co państwa zdaniem Czyste Linie mają duńskiemu wyborcy do zaoferowania, czego jeszcze nie oferują mu istniejące partie?

– Mówi pan „on” o duńskim wyborcy, wiedząc, że większość stanowią kobiety? – uśmiechnął się Curt Wad i kiwnął głową do kamery. – Szczerze rzecz ujmując, czy duński wyborca ma jakikolwiek wybór poza podziękowaniem starym partiom?

Prowadzący wywiad spojrział na niego.

– Nie są już panowie pierwszej młodości. Średnia wieku wynosi siedemdziesiąt jeden lat, a pan, panie Wad, bezdyskusyjnie ją zawyża ze swoimi osiemdziesięcioma ośmioma latami, więc z ręką na sercu: nie sądzi pan, że w pana przypadku jest jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat za późno na próbę wywierania wpływu na rządy w Danii?

– Jeśli dobrze pamiętam, najbardziej wpływowy człowiek w Danii jest prawie dziesięć lat starszy niż ja – odparł Wad. – Wszyscy Duńczycy zaopatrują się w jego sklepach, grzeją jego gazem i kupują towary przywożone do kraju na jego statkach. Jeśli ma pan odwagę zaprosić tego niezwykle człowieka do studia i kpić z jego wieku, to może mnie pan zaprosić tu ponownie i zadać to samo pytanie.

Dziennikarz kiwnął głową.

– Chodzi mi jedynie o to, że trudno sobie wyobrazić, jak przeciętny Duńczyk może czuć się reprezentowany w parlamencie przez mężczyzn starszych od siebie o pokolenie, a nawet dwa. Nie kupuje się przecież mleka, którego data przydatności upłynęła przed miesiącem.

– Nie, podobnie jak nie kupuje się owoców zupełnie niedojrzałych, jak politycy, którzy aktualnie nami rządzą. Uważam, że powinniśmy odsunąć na bok spożywcze metafory, panie Ramberger. Poza tym nasza trójka nie startuje do Folketingu. W naszym programie jest wyraźnie napisane, że po dostarczeniu wszystkich podpisów zwołamy zebranie partii, na którym wybrani zostaną kandydaci do parlamentu.

– Skoro już mowa o państwa programie, to opiera się on głównie na normach moralnych, ideach i ideologiach, co przywodzi na myśl czasy, do których nie

chciałoby się wracać. Reżimy polityczne, które prześladowały mniejszości i słabszych członków społeczeństwa: niepełnosprawnych umysłowo, mniejszości etniczne i biedniejszych obywateli.

– W takim razie trzeba to uznać za błąd, bo nie ma mowy o żadnym porównaniu – wtrącił się Lønberg. – Przeciwnie, w naszym programie chodzi o to, że wychodząc od zasad odpowiedzialności i humanizmu, chcemy rozstrzygać każdą sprawę indywidualnie, odżegnując się od myślenia skarbonką, bo wówczas problemów nie rozpatruje się poważnie i dogłębnie. Dlatego nasze hasło brzmi prosto: „Zmiana na lepsze”. I będzie to coś zupełnie innego, niż pan sugeruje.

Dziennikarz się uśmiechnął.

– Brzmi doskonale, ale nasuwa się pytanie, czy w ogóle dotrzecie tak daleko, by mieć na cokolwiek wpływ. I nie jest to bynajmniej moje prywatne zdanie. Gazety wielokrotnie pisały o waszym programie politycznym, że można go z powodzeniem porównać do nazistowskiego programu czystości rasowej. Sztywne dogmaty, według których świat składa się z ras toczących ze sobą wieczną walkę. Istnienie ras wyższych i niższych, a wyższa...

– Tak, wyższa zostanie unicestwiona, jeśli będzie mieszać się z niższą – wtrącił Caspersen. – Słyszę, że zarówno gazety, jak i pan, panie Ramberger, odwiedziliście Google, by poczytać o nazizmie – ciągnął. – Tyle że nasza partia nie pochwała dyskryminacji, niesprawiedliwości ani braku humanizmu. Wręcz przeciwnie. Twierdzimy po prostu, że nie należy podtrzymywać życia, które nie ma szans na jaką taką godność. Trzeba wytyczyć granice, do czego lekarze i zwykli ludzie są zmuszani i na co narażani. Trzeba wytyczyć granice, jak wielkich cierpień można przysporzyć rodzinom i jak duże koszty państwo musi ponosić tylko dlatego, że politycy wtrącają się do wszystkiego, nie do końca rozumiejąc konsekwencje tych ingerencji.

Potem miała miejsce długa debata, po której nastąpiły telefony od zwykłych Duńczyków, dotyczące wszelkich możliwych zagadnień: przymusowej sterylizacji przestępców i osób, które z powodu chorób psychicznych bądź upośledzenia intelektualnego nie potrafią zająć się swoim potomstwem. Interwencji społecznych, które miałyby odebrać wielodzietnym rodzinom dofinansowanie. Karania klientów prostytutek, zamknięcia granic, niewpuszczania imigrantów bez wykształcenia i wielu innych.

Debata była gorąca; wielu widzów kipiało ze złości, gdy przełączono ich na antenę, ale równie wielu demonstrowało reakcję odwrotną.

Ten program był bezcenny.

– O przyszłości będą decydować ludzie mający nasze przekonania i siłę – stwierdził potem Caspersen, gdy wracali do domu.

– Tak, ale walka się jeszcze nie skończyła – odezwał się Lønberg. – Miejmy nadzieję, że dziś zrobiliśmy dobre wrażenie.

– A jakże – zaśmiał się Caspersen. – W każdym razie ty, Curt, zrobiłeś wrażenie.

Curt wiedział, co ma na myśli. Dziennikarz zapytał, czy to prawda, że przez wiele lat musiał się tłumaczyć przed systemem z wielu spraw. Rozeźlił się, ale tego nie okazał. Odpowiedział za to, że każdy mądry, dobry lekarz w którymś momencie swego życia narusza zasady etyczne. Tylko w takim wypadku może twierdzić, że wypełnia Boską wolę.

Lønberg się uśmiechnął.

– Tak, Ramberger zaniemówił.

Wad nie odwzajemnił uśmiechu.

– Głupio mu odpowiedziałem. Całe szczęście, że nie zaczął drążyć. Musimy przez cały czas uważać, do czego oni się dogrzebią, słyszycie? Jeśli prasa zdobędzie najmniejszą pożywkę, zrobią wszystko, by nas zniszczyć. Trzeba pamiętać, że mamy przyjaciół tylko we własnych szeregach. Jesteśmy w identycznej sytuacji co Partia Postępu i Partia Danii, gdy nikt ich nie brał na poważnie. Pozostaje mieć nadzieję, że prasa da nam tyle spokoju na budowanie partii, co dała swego czasu tamtym dwóm.

Caspersen zmarszczył brwi.

– Nie mam wątpliwości, że wejdziemy następnym razem do Folketingu. Wszystkie chwytaki dozwolone. Ale wiecie, o co chodzi. Jeśli trzeba będzie poświęcić pracę w Tajnej Walce, to jest to tego warte.

Wad spojrział na niego. Każda grupa ma swojego Judasza. Caspersen był znany ze swojej pracy jako adwokat w procesach i z polityki lokalnej, więc ze swoim doświadczeniem organizacyjnym zdobył sobie u nich silną pozycję. Ale w dniu, w którym zacznie liczyć srebrniki, koniec z nim. Już Wad tego dopilnuje.

Nikt nie tknie działalności w Tajnej Walce bez jego pozwolenia.

Siedziała przed ekranem telewizora, gdzie ją przeniósł przed wyjściem, tak by

pielęgniarka tylko ją przewinęła i dała jej coś do picia.

Stał w pewnej odległości, obserwując ją. Światło padające z kryształowego żyrandola sprawiało, że na jej włosach tańczyły diamenty. Jej twarz przybrała wyraz lekkości jak wówczas, gdy po raz pierwszy dla niego tańczyła. Może marzyła o innych dniach, kiedy życie stało przed nimi otworem.

– Widziałas program, mój aniele? – spytał cicho, żeby jej nie wystraszyć.

Beate uśmiechnęła się przelotnie, ale jej wzrok wciąż był odległy. Wiedział przecież, jak nieliczne są takie chwile. Że wylew do mózgu jest jak klin oddzielający duszę żony od otaczającego ją życia, ale i tak miał wrażenie, że może coś zrozumiała.

– Położę cię już, Beate. Już dawno powinnaś być w łóżku.

Wziął szczupłą postać na rękę. Kiedy byli młodzi, unosił ją jak piórko. Potem nadeszły lata, kiedy nie starczało mu sił, by unieść krągłą, dojrzałą kobietę, ale teraz znów bez problemu brał ją na rękę.

Może powinien się cieszyć, że tak jest, ale się nie cieszył. Gdy kładł ją do łóżka, zadrżał. Tak szybko teraz zamykała oczy. Niemal zanim położyła głowę na poduszce.

– Widzę to, moja kochana, życie gaśnie. Wkrótce nadejdzie nasza kolej.

Kiedy już znalazł się z powrotem w salonie, wyłączył telewizor, podszedł do antycznego barku i nalał sobie koniaku.

– Za dziesięć lat będę jeszcze żył, Beate, obiecuję – powiedział do siebie. – Zanim się znów spotkamy, wszystkie nasze wizje się zrealizują.

Kiwnął głową, opróżniając lampkę jednym haustem.

– I nikt, moja przyjaciółko, nikt nas nie powstrzyma.

3

Listopad 1985

Pierwszą rzeczą, jaką zarejestrowała, było ciało obce w nosie i głosy nad jej głową. Przytłumione, ale władcze. Wysokie i łagodne.

Pod powiekami jej oczy się poruszały, jakby szukając miejsca, które pomoże jej zrozumieć. I zasnęła, zatapiając się w ciemność i swój spokojny oddech, śniąc o ulotnych letnich dniach i beztroskiej zabawie.

Nagle uderzył ją ból w środkowej części kręgosłupa, promieniujący w dół.

Raptownie wygięła głowę do tyłu, a cała dolna część ciała zlała się w jeden długi, bolesny spazm.

– Dajemy jej pięć jednostek więcej – powiedział głos, osuwając się w mgłę i zostawiając ją w tej samej próżni co wcześniej.

Nete urodziła się kochana, jako późne dziecko i jedyna dziewczynka w gromadce dzieci, którym mimo skromnych warunków niczego nie brakowało.

Jej matka miała dobre ręce: ręce do pieśczot i prac domowych, a córka była jej lustrzanym odbiciem. Błysk w oku, kraciasta sukienka, zawsze obecna tam, gdzie było coś do roboty w ich małym gospodarstwie.

Gdy miała cztery lata, tata przyprowadził ogiera do ich gospodarstwa i się uśmiechnął, a najstarszy brat przyciągnął po bruku ich klacz.

Bliźniacy się śmiali, bo prącie ogiera zaczęło pod nim ożywać, Nete zaś cofnęła się o krok, gdy wielkie zwierzę wspięło się na ich słodką Molly i przycisnęło do niej podbrzusze.

Chciała krzyknąć, żeby przestali, ale jej ojciec roześmiał się bezzębny ustami i powiedział, że niedługo przybędzie im zwierzę pociągowe.

Wtedy Nete zrozumiała, że życie często zaczyna się równie dramatycznie, jak się kończy, i że cała sztuka polega na tym, by cieszyć się tym, co rozgrywa się pomiędzy jedną chwilą a drugą.

– Miał przecież dobre życie – mawiał zawsze jej ojciec, podcinając gardło

wyrywającemu się prosiakowi. To samo powiedział o żonie, gdy leżała w trumnie, w wieku zaledwie trzydziestu ośmiu lat.

Te słowa ciążyły w głowie Nete, gdy w końcu przebudziła się na metalowym, szpitalnym łóżku i zdezorientowana rozglądała się w mroku.

Wokół niej migąły światełka aparatury medycznej. Nie wiedziała, do czego służy.

Obróciła się, tylko trochę, ale efekt był zaskakujący: jej głowa automatycznie odchyliła się do tyłu, a płuca się rozszerzyły, przyprowadzając struny głosowe o eksplozję.

Nie odebrała krzyków jako własnych, bo ból płynący od nóg wszystko zagłuszył. Ale krzyczała.

Przytłumione światło wpadło przez raptownie otwarte drzwi, kładąc się na jej ciało, i nagle otoczyło ją pandemonium świateł błyskających jak jarzeniówki i zdecydowanych rąk manipulujących przy jej ciele.

– Spokojnie, pani Rosen – powiedział czyjś głos, po czym nastąpił zastrzyk i uspokajające słowa, ale tym razem kobieta nie zniknęła.

– Gdzie jestem? – spytała, gdy dolną część ciała ogarnęło pulsujące gorąco.

– W szpitalu w Nykøbing Falster. Jest pani w dobrych rękach.

Przez ułamek sekundy widziała, jak pielęgniarka obraca głowę do koleżanki i unosi brwi.

Właśnie w tej chwili przypomniała sobie, co się stało.

Wyciągnęli jej z nozdrzy rurki z tlenem i zaczesali włosy do tyłu, tak jakby musieli ją wystroić do przyjęcia ostatecznego wyroku. Że życie już się skończyło.

W nogach jej łóżka stała trójka lekarzy, gdy ordynator przekazał jej wiadomość, patrząc na nią szarymi oczami spod wypielęgnowanych brwi.

– Pani mąż zginął na miejscu, pani Rosen – brzmiały pierwsze słowa, które wypowiedział. – Przykro nam – padło znacznie później. Chodziło o to, by przekazać fakty we właściwej kolejności. Andreas Rosen najprawdopodobniej zginął przygnieciony blokiem silnika, który wbił się do połowy fotela kierowcy, więc zamiast skupiać się na tym, komu nie można już było pomóc, skoncentrowano się na wydostaniu Nete, a służby ratunkowe wykonały naprawdę wzorową pracę.

Lekarz mówił tak, jakby czekał na jej uśmiech.

– Uratowaliśmy pani nogę, pani Rosen. Prawdopodobnie będzie pani lekko

kuleć, ale lepsze to niż rozwiązanie alternatywne.

Wtedy przestała słuchać.

Andreas nie żył.

On nie żył, a ona nie przeszła z nim na drugą stronę i teraz będzie musiała żyć bez niego. Bez jedyne go człowieka, którego kochała głęboko i bezgranicznie. Bez jedyne go człowieka, który sprawił, że czuła się kompletna.

Właśnie jego zabiła.

– Odpływa już – powiedział jeden z lekarzy, ale to nie była prawda. Po prostu wycofała się tam, gdzie rozpacz, porażka i splot przyczyn stapiały się w jedno i gdzie twarz Curta Wada jaśniała płomieniem tak jasnym jak ogień piekielny.

Gdyby nie on, wszystko w jej życiu wyglądałoby inaczej.

Gdyby nie on i ta cała reszta.

I Nete stłumiła krzyk i łzy, które powinny były popłynąć strumieniem, i poprzysięgła sobie, że nim pożegna się z życiem, wszyscy oni odczują, czego ją pozbawili.

Słyszała, jak wychodzą. Zdążyli już o niej zapomnieć, teraz liczyła się kolejna sala.

Gdy pogrzebali mamę, w domu zaczęto używać wulgarne go języka, a pięcioletnia Nete szybko się uczyła. Słowo Boże i przykazania są dobre na niedzielę – powiedział jej ojciec. I Nete nauczyła się słów, z którymi inne dziewczęta zaznajamiały się w znacznie późniejszym wieku. Kolaboranci, którzy pracowali dla Niemców, naprawiając ich sprzęt wojskowy w Odense, nazywali się „ohydne zasrane gnojki”, a ci, którzy im sprzyjali, byli „śmierdzącymi dupkami”. Rzeczy nazywało się po imieniu, więc jaja to były jaja.

Jak ktoś chciał mówić elegancko, to musiał sobie poszukać innego miejsca.

Dlatego już pierwszego dnia w szkole Nete poczuła, co znaczy dostać policzek. Sześćdziesięcioro uczniów stojących rzędem przed budynkiem, Nete na samym przedzie.

– Ale tu kurewsko dużo dzieci – powiedziała głośno, zaskarbiając sobie permanentną niechęć i gniew dyrektorki oraz poznając skuteczność jej prawej ręki.

Później, gdy zaczerwienienie na policzku nabrało sianej barwy, zachęcona przez paru wiejskich chłopaków w wieku konfirmacyjnym opowiedziała, jak jej starsi bracia mówili, że można doprowadzić członek do wytrysku, poruszając napletkiem

w tę i z powrotem.

Tego samego wieczora siedziała zapłakana w świetlicy, próbując wytłumaczyć ojcu, skąd na jej twarzy wzięły się krwawe wybroczyny.

– Zasłużyłaś sobie na to – orzekł jej ojciec i na tym się skończyło. Pracował od trzeciej nad ranem i padał już z nóg. Było tak, praktycznie odkąd najstarszy najął się do pracy w Birkelse, a bliźniacy wyruszyli w morze z portu w Hvide Sande.

Potem od czasu do czasu przychodziły ze szkoły skargi na Nete, ale jej ojciec nigdy nie zajął się tym na poważnie.

A mała Nete nic nie rozumiała.

Tydzień po wypadku jedna z młodych pielęgniarek stanęła przy jej łóżku i zapytała, czy może chce się skontaktować z kimś bliskim.

– Jest pani chyba jedyną osobą na oddziale, której nikt nie odwiedza – powiedziała, zapewne chcąc ją zmotywować do wyjścia ze skorupy milczenia, w której Nete się znajdowała. Sprawiała tylko, że skorupa stała się twardsza.

– Nie, nie ma takiej osoby – odparła i poprosiła, by zostawić ją w świętym spokoju.

Tego samego wieczoru zjawił się młody adwokat z Maribo twierdzący, że jest pełnomocnikiem jej męża i że wkrótce konieczne będzie złożenie paru podpisów, tak by można było zatwierdzić zapis testamentu. Jej stan zdrowia go nie zainteresował

– Zastanawiała się już pani, czy chce prowadzić firmę męża, pani Rosen? – spytał, tak jakby wcześniej debatowali nad tą sprawą.

Pokręciła głową. Jak mógł o to pytać? Była laborantką; poznała męża w jego firmie w tym właśnie charakterze i to wszystko.

– Będzie pani w stanie uczestniczyć w jutrzejszym pogrzebie? – spytał na koniec.

Nete poczuła, jak zagryza zębami dolną wargę, jak zatrzymuje się jej oddech i cały świat wraz z nim. Jak światło na suficie nagle robi się zbyt ostre.

– Pogrzebie? – Więcej nie była w stanie powiedzieć.

– Tak. Siostra pani męża, Tina, zadbała o wszystko z pomocą naszej kancelarii. Wytyczne pani męża są klarowne, więc ceremonia żałobna i wszystko, co się z nią wiąże, odbędzie się w kościele w Stokkemarkie jutro o godzinie trzynastej. Zgodnie z jego życzeniem w ciszy i przy obecności tylko najbliższej rodziny.

Nie miała siły słuchać dalej.

4

Listopad 2010

Nowy telefon w gabinecie Assada był zupełnym kłopotem. Gdy czeski kurant rozbrzmiewał pełną parą, a Assada akurat nie było w pobliżu, by go odebrać, trzeba było wysłuchać wielu taktów, nim się wyłączył. Carl prosił go dwukrotnie, by wyniósł to ustrojstwo, ale Assad twierdził, że służbowy telefon na komendzie trzeszczy, a skoro ma ten, to co stoi na przeszkodzie, by go używać?

„Najgorszych wrogów znajdziesz między przyjaciółmi” – pomyślał Carl, gdy na dzwonek telefonu jego nogi poderwały się z najniższej szuflady biurka.

– Wymień wreszcie to paskudztwo! – zawołał, na co Assad wymamrotał coś w odpowiedzi. – Słyszałeś?! – spytał Mørck, gdy pociągająca nosem głowa pojawiła się w drzwiach.

Milczał. Może niepożądane pytania powodowały gromadzenie smarków w przewodzie słuchowym.

– Dzwonił ten Bak – odezwał się za to Assad. – Jest na Eskildsgade przed tym mieszkaniem w suterenie, gdzie mieszka ten Litwin, który napadł na jego siostrę.

– Co ty mówisz? Børge Bak! Cholera, chyba rzuciłeś słuchawkę, co, Assad?

– Nie, on sam rzucił, ale tuż przedtem powiedział, że jeśli tam nie przyjedziemy, to tym gorzej dla ciebie, Carl.

– Dla mnie? Więc dlaczego, u licha, zadzwonił do ciebie?

Assad wzruszył ramionami.

– Byłem tu tej nocy, kiedy przyszedł i zostawił akta sprawy u Rose. Napadli na jego siostrę, wiedziałeś?

– Tak, pewnie.

– Mówił, że wie, kto to był, a ja mu zauważyłem, że w ogóle nie powinien się na to godzić.

Carl spojrział w ciemne, znękaną grypą oczy. Co temu człowiekowi tłucze się po łbie? Czyżby była wyściełana wełną z dromadera?

– Boże święty, Assad! On już nie jest policjantem. To, w co on nas chce wplątać,

nazywa się po duńsku samosąd i jest karalne. Wiesz, co to oznacza, Assad? To oznacza darmowy, obficie zastawiony stół przez dość długi czas; oznacza to też, że kiedy pewnego dnia opuścisz Hotel Odsiadka, zastawionego stołu już nie uświadczysz. *Adios, amigo!*

– Nie znam tego hotelu i dlaczego teraz mówisz o jedzeniu? Nie mogę nic jeść, jak jestem taki przewieszony.

Mørck pokręcił głową.

– Przeziębiony, Assad, mówi się: przeziębiony.

Czyżby przeziębienie odcisnęło też piętno na jego słownictwie?

Carl sięgnął po swój telefon i wystukał numer szefa Wydziału Zabójstw, Marcusa Jacobsena. Zazwyczaj władczy głos zabrzmiał jakoś nosowo.

– Tak, tak – odparł, gdy kolega poinformował go o telefonie Baka. – Bak był u mnie w gabinecie o ósmej, domagając się, bym go przywrócił na dawne stanowisko. Chwilecz...

Mørck doliczył się ośmiu kichnięć, nim biedak wrócił do telefonu. Kolejny zapowietrzony obszar, gdzie końmi Carla nie zawłoka.

– Problem w tym, że Bak ma rację. Ten Litwin, Linas Verslovas, ma wyrok za podobny napad w Wilnie. Nie ulega wątpliwości, że czerpie korzyści majątkowe w środowisku prostytutek. Po prostu nie potrafimy tego udowodnić – ciągnął.

– Olej. Słyszałem przez radio policyjne, jak mówiła, że nie potrafi wskazać, kto ją napadł, a jednak powiedziała to swemu bratu.

– Nie, on zapewnia, że wcale nie. Ale już wcześniej miała problemy z tym Verslovasem, to Bak wie na pewno.

– A w tej właśnie chwili Børge „były” Bak bawi się w policjanta na Vesterbro.

Rozległo się kilka kichnięć.

– Więc może powinienes tam pojechać, Carl, i go powstrzymać. Chyba tyle jesteśmy winni dawnemu koledze.

– Serio? – odparował, ale Marcus Jacobsen już zdążył zakończyć rozmowę. Nawet szef Wydziału Zabójstw musi się poddać pod naporem smarków.

– Co tam, Carl? – spytał Assad za jego plecami, tak jakby sam nie zdążył się zorientować. W każdym razie był już ubrany w swoją zabytkową puchową kurtkę. – Powiedziałem Rose, że nie będzie nas tak parę godzin, ale ona nic nie słyszała. Ma w głowie tylko tę Ritę Nielsen.

Dziwny człowiek z tego Assada. Jak w tym stanie mógł w ogóle rozważyć wyjście na gęstą od chlapy, listopadową kopenhaską pogodę? Czyżby zawodził instynkt przetrwania? A może pył pustynny zapiaszczył mu system postrzegania?

Mørck westchnął, biorąc z krzesła płaszcz.

– Chwileczkę – powiedział, gdy mozolili się z piwnicy po schodach. – Dlaczego byłeś tu tak wcześniej? Ktoś wspominał, że już koło czwartej.

Carl spodziewał się konkretnej informacji jak na przykład: „Rozmawiałem z wujkiem na Skypie, ta pora pasuje mu najbardziej”, ale nie proszącego spojrzenia, pasującego raczej do człowieka, który stoi w obliczu najgorszych męczarni.

– Czy to nie wszystko jedno? – spytał, ale nie z Mørkiem takie numery. „Wszystko jedno” to jedna z tych bredni, które ludzie potrafią wciskać w sytuacjach, w których na pewno nie jest wszystko jedno. Carl nie znał gorszego sformułowania, może oprócz „nie chce mi się” i „no tak, ale...”.

– Jeśli chcesz poprawić nieco jakość naszych rozmów, Assad, to nadstaw ucha. Kiedy o coś pytam, to nie ma „wszystko jedno”.

– Słucham? Co mam nadstawić?

– Rany, po prostu mi odpowiedz – odparł Carl z irytacją, wciągając rękaw płaszcza. – Dlaczego byłeś tu tak wcześniej? Czy chodzi o rodzinę?

– Tak.

– Posłuchaj, Assad. Jeśli masz problemy z żoną, to nie moja sprawa. Ale jeśli chcesz porozmawiać z wujkiem, czy kim tam, na komputerze, to nie musisz tego robić przed zapianiem kura, co? Nie masz w domu komputera czy jak?

– Dlaczego mówisz na mnie „kura”, Carl?

Ręka Carla zagościła w rękawie na dobre.

– Assad, do diaska, to takie powiedzenie. Nie masz w domu komputera?

Wzruszył ramionami.

– Nie, teraz nie mam. To wszystko trudno wytłumaczyć, Carl. Może po prostu pojedziemy zobaczyć, jak Bak?

Dawno, dawno temu, gdy Carl wciągał swoje białe rękawiczki, rozpoczynając poranny patrol w tej części Vesterbro, ze zdezelowanych okien wychylali się ludzie, drażniąc się z nim z kopenhaskim akcentem, że tacy zasrani jutlandzcy gliniarze niech lepiej wkładają swoje gumki i zmiatają z powrotem na

gnojowisko. Wtedy się przy tym wzdragał, ale dziś tęsknił za tym wszystkim. Kiedy tak tu stał, rozglądając się po dzielnicy, w której pozbawieni talentu architekci zdolali oczarować bezmózgich lokalnych polityków wizją śmierdzących, brzydkich betonowych klocków, od tamtych czasów dzieliły go lata świetlne. Przy tych bocznych uliczkach mieszkali już tylko ludzie, którzy nie mieli co ze sobą zrobić. Tak po prostu. A wszyscy byli lokatorzy przenieśli się do jeszcze mniej urokliwego Ishøj, z sentymentem wracając do dawnych czasów tutaj.

O nie, żeby zobaczyć solidne budynki z cegły, z gzymsami i poczerniałymi od sadzy kominami, należało zapuścić się w cholernie odległe zaułki ulicy Istedgade. Jeśli natomiast chciało się popatrzeć na betonowe skorupy, obwisłe dresy czy mężczyzn o nieprzystępnych twarzach, to było to właściwe miejsce. Tutaj nigeryjscy alfonsi koegzystowali ze wschodnioeuropejskimi oszustami. Panowały tu korzystne warunki nawet dla najbardziej wstydlivych i dziwacznych rodzajów przestępstw.

Børge Bak odbywał w tych rejonach służbę znacznie dłużej niż ktokolwiek inny z Wydziału Zabójstw, więc znał wszystkie zasady tego miejsca, a jedna z nich brzmiała: nigdy, przenigdy nie wchodzić do zamkniętego pomieszczenia, jeśli nie masz kolegi, który cię ubezpiecza.

Teraz Carl i Assad stali w ulewie, analizując smutny pejzaż ulic, na których nikogo nie było, włączając Baka. Czyli zapewne zignorował zasady.

– Mówił, że tam na nas poczeka – powiedział Assad, wskazując na schody prowadzące do zupełnie zrujnowanego sklepiku o matowych szybach, mieszczącego się w suterenie.

– Jesteś pewien, że to ten adres?

– Tak, na bąk.

„To powiedzenie się jednak Assadowi pokręciło” – pomyślał Carl, czytając wyblakłą od słońca kartkę, zatknietą za szybę piwnicznych drzwi. „Kaunas Trading/Linas Verslovas” – głosił napis. Na pozór zupełnie niewinnie, ale tego typu firmy zniknęły równie szybko, jak się pojawiały, a ich właściciele byli równie obrzydliwi co obślizgłe odbojnice w porcie.

W radiowozie Assad przytaczał cytaty z policyjnych akt Linasa Verslovasa. Wielokrotnie przyprowadzano go na Komendę Główną i za każdym razem puszczano wolno. Opisywany jako bezwzględny psychopata o niewiarygodnej

umiejętności przekonywania głupich i naiwnych ludzi z Europy Wschodniej, by wzięli na siebie winę za jego machlojki w zamian za drobną opłatę. Więzienie Vestre pękało już od nich w szwach.

Carl chwycił za klamkę i pchnął; dzwonek nad wejściem zadźwięczał, gdy drzwi się otworzyły, ukazując podłużne pomieszczenie, w którym nie było niczego poza opakowaniami i zmiętymi papierami zostawionymi na podłodze przez byłego właściciela.

Jednocześnie usłyszeli głuchy dźwięk dobiegający z zaplecza. Brzmiał jak cios pięścią, lecz nie nastąpił po nim oczekiwany jęk.

– Bak! – zawołał Mørck. – Jesteś tam? – Położył rękę na kaburze pistoletu, przygotowując się do wyjęcia i odbezpieczenia broni.

– Nic mi nie jest! – dobiegło ich zza zniszczonych, tekturowych drzwi.

Carl uchylił je ostrożnie i ocenił widok, który za nimi zobaczył.

Obaj mężczyźni byli mocno poturbowani, ale chudy, żylasty Litwin oberwał bardziej. Tatuaż węża wijącego się wokół jego szyi otaczały krwawe wybroczyny sprawiające, że wydawał się wręcz trójwymiarowy.

Twarz Carla wykrzywił grymas. Dobrze, że to nie jego gęba.

– Bak, co ty wyprawiasz, do cholery? Zgłupiałeś, chłopie?

– Dźgnął mnie. – Bak wykonał ruch głową w stronę podłogi, gdzie leżał nóż z zakrwawionym czubkiem. Jeden z tych diabelskich noży motylkowych, otwierających się za pomocą jednego ruchu. Gdyby to od Carla zależało, za posiadanie takiego czegoś należałoby płacić z miejsca z pół miliona.

– Dobrze się czujesz? – spytał, a Bak kiwnął głową.

– Powierzchna rana na przedramieniu, nic poważnego. To był unik, więc napiszesz w raporcie „działanie w samoobronie” – stwierdził i uderzył pięścią Litwina tak mocno w grzbiet nosa, że Assad drgnął.

– Kuwa! – ryknął bladziuch łamaną duńszczyzną, gdy Carl wkroczył między nich. – Widzieli to! Ja nic zrobić! On tu wtarg! Walił mnie! Co ja robić? – pieklił się Litwin. Nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat i już tkwił po uszy w gównie.

Kilka kolejnych poszatkowanych zdań, które padły jak z procy, dotyczyło jego całkowitej niewinności. Że nie wie nic o żadnym napadzie w żadnym burdelu i że już mówił to policji tysiąc razy.

– Chodź, Bak, idziemy. Już! – zarządził Carl, co Bak skwitował jeszcze jednym

ciosem pięści tak silnym, że mężczyzna przeleciał nad stołem.

– Nie ujdzie mu to na sucho, że oblał kwasem moją siostrę. – Bak obrócił się do Carla; wszystkie mięśnie jego twarzy drżały. – Masz świadomość, że ona straci wzrok w jednym oku? Że pół głowy będzie jedną wielką blizną? Ten facet musi stąd zniknąć, kapujesz?

– Jeśli nie przestaniesz, wezwę ludzi z posterunku City, Bak, a wtedy bekniesz za wszystko, jak leci. – Carl nie żartował.

Assad pokręcił głową.

– Chwileczkę – powiedział, ominął Carla, chwycił Baka i odciągnął go tak mocno, że aż popękały szwy skórzanej kurtki.

– Zabrać czarny idiota ode mnie! – zawołał Litwin, gdy Assad go złapał i zaciągnął pod inne drzwi na końcu lokalu.

Litwin odgrażał się, że zabije wszystkich tu obecnych, jeśli natychmiast się stąd nie zbiorą. Że rozpląta im brzuchy, a głowy odetnie. Tego typu groźby, które same w sobie wystarczają, by za nie przymknąć, zazwyczaj traktuje się poważnie, gdy pochodzą od kogoś takiego jak on.

Właśnie wtedy Assad chwycił Litwina za kołnierz tak mocno, że protesty uwięzły mu w gardle, po czym otworzył drzwi na dodatkowe zaplecze i zawłókł go do środka.

Bak i Mørck spojrzeli po sobie, gdy Assad kopniakiem zamknął za sobą drzwi.

– Assad! Tylko go nie zabij, zrozumiano? – zawołał Carl na wszelki wypadek.

Milczenie panujące za drzwiami biło na alarm.

Bak się uśmiechnął, a Carl zrozumiał dlaczego – on został pozbawiony wszystkich swoich narzędzi. Żadnego wymachiwania pistoletem, żadnych telefonów na posterunek City. Nie podejmie ryzyka, by wpakować swego pomocnika w kłopoty, Bak doskonale o tym wiedział.

– Tak, marudzisz, Mørck. – Bak pokiwał głową, podwijając rękaw i oceniając zadrapanie na przedramieniu. Konieczne będzie założenie paru szwów. Wyciągnął z kieszeni mocno pobrudzoną chusteczkę do nosa i ciasno owinął wokół rany. Carl nigdy by tego nie zrobił, ale pał go lichem. Jak się nabawi zakażenia krwi, to może go to nauczy zachowywać smarki dla siebie.

– Ale znam dobrze twoją przeszłość, Carl. Ty i Anker wiedzieliście lepiej niż ktokolwiek, jak z tych bydlaków coś wydusić. Dobrzy z was byli partnerzy, ty i on.

Gdyby Hardy do was nie dołączył, mogłoby się to źle skończyć. Więc nie przychodź tu i nie zgrywaj obrażonego.

Carl spojrział na drzwi prowadzące na zaplecze. Co Assad tam wyprawia, do kurwy nędzy? Następnie obrócił się do Baka.

– Gównu wiesz, Børge Bak. Nie wiem, skąd czerpiesz swoje przypuszczenia, ale licz się z tym, że się mylisz.

– Zrobiłem rekonesans. To cud, że uniknąłeś dyscyplinarki. Ale trzeba wam oddać, że mieliście dobre rezultaty podczas przesłuchań. Może dlatego – spuścił mankiet koszuli – chcę wrócić na komendę. Powinieneś mi w tym pomóc – dodał. – Wiem, że Marcus jest temu niechętny, ale wiem też, że twoje zdanie ma dla niego pewne znaczenie, nie rozumiem dlaczego.

Carl pokręcił głową. Jeśli wyczucie sytuacji to rzecz wrodzona, to jego całkowity brak aż bił po oczach w łańcuchach DNA Baka.

Wykonał kilka kroków i otworzył drzwi na zaplecze.

Widok, jaki tam zastał, należał do wyjątkowo pokojowych. Litwin siedział na brzegu stołu, wpatrując się w Assada jak zahipnotyzowany. Jego twarz, przedtem wykrzywiona i gniewna, wyrażała głęboką powagę. Krew została zmyta z twarzy, ramiona znajdowały się na właściwym miejscu.

Gdy Assad skinął głową, wstał, minął Baka i Carla, nawet na nich nie spoglądając, bez słowa podniósł swoją torbę z podłogi, podszedł do szafki i otworzył szufladę. Wyciągnął z niej ubrania, buty i zwitek banknotów i wcisnął je na oślep do torby.

Assad stał w milczeniu w kilkumetrowej odległości i przyglądał się mężczyźnie; wciąż miał czerwony nos i mokre, psie oczy. Nie wyglądał na kogoś, kogo można by się przestraszyć.

– Dać mi to teraz? – spytał Litwin, wskazując na rękę Assada.

Dwa zdjęcia i portfel przeszły z rąk do rąk.

Otworzył portfel i przejrzał przegródki: niezła sumka pieniędzy i plastikowe karty.

– Dać mi też prawo jazdy – zażądał, ale Assad pokręcił głową. Widać już to przedyskutowali.

– To znikam – powiedział Litwin. Bak już chciał zaprotestować, ale Assad tylko pokręcił głową; to też miał pod kontrolą.

– Masz trzydzieści godzin i zupełnie sekundy dłużej! Czy to zrozumiane? – spytał spokojnie Assad, a Litwin kiwnął głową.

– Co jest, do cholery? Chwila! Nie możesz go tak po prostu wypuścić! – wrzasnął Bak, ale ucichł, gdy Assad zwrócił się do niego, mówiąc spokojnie:

– Odtąd on jest moim człowiekiem, Bak, nie rozumiesz? Zapomnij o nim, jasne?

Bak pobladł, ale po chwili jego twarz odzyskała normalne kolory. Charyzma emanująca z Assada przypominała świeżo uzbrojoną bombę wodorową. Sprawa wymknęła się Bakowi spod kontroli i musiał się z tym pogodzić.

Zanim Litwin otworzył drzwi i wyszedł z lokalu od frontu, zdążyli jeszcze zerknąć na jego tatuaż z węzem i odnotować, że prawie zgubił but. To była całkowita przemiana. Zniknęły pozory, został tylko dwudziestopięcioletni chłopak, który uciekał, ratując życie.

– Możesz teraz powiedzieć siostrze, że się zemściliście – rzekł Assad, pociągając nosem. – Nigdy go więcej nie zobaczycie. Gwarantuję!

Carl zmarszczył brwi, ale nie odezwał się, dopóki nie znaleźli się na chodniku przed wozem służbowym.

– Co się tam stało, Assad? – spytał. – Co mu zrobiłeś? I o co chodzi z tymi trzydziestoma godzinami?

– Po prostu chwyciłem go za kołnierz i wymieniłem parę nazwisk, Carl. Nazwisk ludzi, których można napuścić na niego i jego rodzinę, jeśli nie wyniesie się z kraju. Że wszystko mi jedno, co on teraz robi, ale że powinien dobrze się ukryć, jeśli nie chce, by oni go znaleźli – kiwnął głową Assad. – Ale i tak znajdą, jeśli zechcą.

W spojrzeniu, które Bak posłał Assadowi, kryła się gromadzona przez lata podejrzliwość.

– Ci faceci boją się tylko jednego: ruskiej mafii – powiedział Bak. – I nie mów mi, że masz tu na coś wpływ.

Czekał na odpowiedź Assada, ale ta nie padła.

– Czyli to oznacza, idioto, że puściłeś gościa wolno.

Assad przechylił głowę i spojrzał na Baka oczami o czerwonych obwódkach.

– Moim zdaniem powinienes powiedzieć swojemu siostrze, że wszystko już dobrze. Nie wracamy na komendę, Carl? Napiłbym się gorącej herbaty.

5

Listopad 2010

Wzrok Carla błędził między leżącą na biurku teczką sprawy a telewizorem z płaskim ekranem na ścianie. Żadne z nich nie stanowiło pokusy. Na TV2 News duńska minister spraw zagranicznych paradowała w szpilkach, starając się robić wrażenie kompetentnej, podczas gdy obłaskawieni dziennikarze kiwali głowami i gięli się wpół pod spojrzeniem jej ciskających błyskawice oczu, zaś tuż przed nim, na biurku, leżałateczka dotycząca utonięcia jego stryja w 1978 roku.

Wybór jak między dżumą a cholera.

Podrapał się za uchem i zamknął oczy. Co za cholernie gówniany dzień. Żadnego próżnowania i odprężenia, wbrew jego nadziejom.

Metrowa półka nowych spraw, przy czym dwie zdążyły już totalnie zaabsorbować Rose, szczególnie ta Rity Nielsen, właścicielki burdelu, która zaginęła w Kopenhadze. Już samo to kiepsko wróżyło. Nie wspominając nawet, że Assad po przeciwnej stronie korytarza strzykał smarkami co siedem sekund, tak że z jego schowka na szczotki wydostawały się całe zastępy bakterii. Był chory jak diabli, co nie przeszkodziło mu niecałe półtorej godziny temu przycisnąć bezceremonialnymi groźbami potwornie zatwardziałego przestępcę, i to tak, że facet uciekał gdzie pieprz rośnie z grozą malującą się na twarzy. Co, u diabła, Assad kombinuje? Nawet jego dawny partner Anker, który autentycznie potrafił napędzić ludziom stracha, nie mógł się z nim równać.

I jeszcze ta pieprzona sprawa z dawnych czasów. Dlaczego jego kuzyn Ronny bredził w tajskim barze, że śmierć stryja nie była wypadkiem, skoro Carl dobrze wiedział, że była? I dlaczego Ronny twierdził, że to on sam zabił swego ojca, skoro było to niemożliwe? Przecież kiedy to się stało, on i Carl stali obok siebie na Hjørringvejen, gapiąc się na cztery kopenhaskie piersi, więc to nie mógł być Ronny. A teraz, do jasnej anielki, Bak mu opowiada, że Ronny twierdzi, jakoby Carl też w tym brał udział.

Mørck pokręcił głową, wyłączył telewizję z minister spraw zagranicznych, tą

pustogłową, zadowoloną z siebie furiatką, i chwycił słuchawkę telefonu.

Skończyło się na czterech daremnych połączeniach z czterema różnymi adresami. Zerknął do ewidencji ludności i wykonał kolejnych kilka telefonów, również na próżno. Ten Ronny opanował niezwykłą sztukę znikania w ruchomych piaskach społeczeństwa.

Czyli Lis będzie musiała dogrzebać się do gościa, gdziekolwiek na świecie się podziewał.

Po trwającym pół minuty sygnale oczekiwania Carl się podniósł, czując narastającą irytację. Dlaczego sekretarki na górze nie odbierają, do diaska?

W drodze na drugie piętro minął wielu czerwono noszących ludzi o ponurych twarzach. Kurka wodna, jak ta grypa zaatakowała. Mijając ich, trzymał prawą rękę przed sobą. „Idź precz, grypowy szatanie” – myślał, kiwając z dystansem głową do kichających i kaszlących kolegów o oczach tak błyszczących i wyrazie twarzy tak zboliałym, że można by pomyśleć, że świat chyli się ku zagładzie.

Za to na górze w Wydziale Zabójstw było cicho jak w grobie. Jakby wszyscy mordercy, których ludzie z wydziału na przestrzeni lat zakuli w kajdanki, zjednoczyli się we wspólnym akcie zemsty za pomocą broni bakteriologicznej. Czyżby Wydział Zabójstw koniec końców zasłużył sobie na swoje imię? Czy wszyscy kopnęli w kalendarz, skoro panuje tu taka martwota?

Nie było tu w każdym razie seksownej Lis, gnącej się zalotnie za kontuarem niby flaming; co dziwniejsze, nie widać też było pani Sørensen. Tego złego jak osa babska, które ruszało się z miejsca tylko po to, by iść do toalety.

– Gdzie są wszyscy, do cholery? – krzyknął, aż zadźwięczały zszywacze.

– Ej no, Mørck, zamknij się! – zaskrzeczał głos zza otwartych drzwi pośrodku korytarza.

Carl wetknął głowę do pogrążonego w nieładzie gabinetu; wobec widoku sterty papierów i zniszczonych mebli jego zabałaganiona piwnica wyglądała jak luksusowy apartament na statku wycieczkowym.

Skinął do głowy schowanej za stertą papierów i zdążył zadać pytanie, zanim Terje Ploug zwrócił ku niemu potwornie przeziębioną twarz.

– Powiedz mi, gdzie są wszyscy? Szerzy się tu u was epidemia grypy?

Odpowiedź, którą uzyskał, mówiła wszystko. Pięć metodycznych kichnięć plus kaszelek i zasmarkane nozdrza.

– Okej! – powiedział Carl z akcentem na ostatnią sylabę, cofając się nieco.

– Lars Bjørn jest w sali odpraw z którąś z sekcji, a Marcus w terenie – rozległ się zakatarzony głos. – Ale skoro już przyszedłeś, to mamy nowy trop w sprawie pistoletu na gwoździe. Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– Aha. – Wzrok Carla oderwał się od czerwonego nosa i stracił ostrość. Już sporo czasu minęło, odkąd do niego, Ankera i Hardy’ego strzelano w tej walącej się ruderze na Amager. Czy nigdy się od tego nie uwolni?

– Ten drewniany barak, gdzie was postrzelono po znalezieniu Georga Madsena z gwoździem w mózgu, został dziś rano zrównany z ziemią – oświadczył Ploug cierpko.

– Okej, najwyższy czas. – Carl wsunął dłonie do kieszeni; lepiły się.

– Buldożery zabrały się za niego tak ostro, że zerwały wierzchnią warstwę ziemi.

– Aha, i co znaleźli? – spytał. Już teraz nie miał siły słuchać. Zastrana sprawa.

– Drewnianą skrzynię zbitą gwoździami z pistoletu Paslode, a wewnątrz worek z częściami ciała w różnym stanie. Odkryli tę skrzynię godzinę temu i powiadomili policję. Technicy i Marcus tam są.

Jasny gwint. Teraz na jakiś czas Hardy i on znów nie zaznają spokoju.

– Nie mamy wątpliwości, że morderstwo Georga Madsena i tych dwóch z Sorø, co ich zamordowano pistoletem na gwoździe, jest powiązane ze zwłokami w skrzyni – dodał Terje Ploug, wycierając załzawione kąciki oczu chusteczką, którą należałoby komisyjnie spalić.

– A na czym to opieracie?

– Na tym, że w czaszce nieboszczyka tkwił stosunkowo długi gwóźdź.

Carl kiwnął głową. Sensowna dedukcja.

– Chciałbym, żebyś za pół godziny pojechał ze mną na miejsce.

– Muszę? Co mam tam z tobą robić? To już nie jest moja sprawa.

Wnioskując po wyrazie twarzy Terjego Plouga, Carl mógł równie dobrze oświadczyć, że od dzisiaj będzie chodził tylko w różowych sweterkach z wielbłądziej wełny lub zajmował się wyłącznie sprawami dotyczącymi trójłapych dalmatyńczyków.

– Marcus jest innego zdania – powiedział tylko.

Oczywiście, że to była również sprawa Carla. Jaśniejąca na jego skroni blizna codziennie mu o tym przypominała. Znamię Kainowe, świadczące o tchórzostwie

i odretwieniu w najbardziej decydującym momencie jego życia.

Carl przesunął wzrokiem po ścianach Plouga; wiszących na nich oskarżycielskich zdjęć z miejsc przestępstw wystarczyłoby, by napełnić średniej wielkości karton do przeprowadzek.

– Okej – powiedział w końcu. – Ale pojedę sam – dodał oktawę niżej niż zazwyczaj. Nie ma zakichanego zamiaru siedzieć niczym bierny uczestnik w bakteriologicznej mieszarce Plouga. Już lepiej iść pieszo.

– Wielkie nieba, ty tutaj? – rozległ się zza kontuaru głos pani Sørensen, gdy chwilę później Carl przedefilował koło terytorium sekretarek z głową pełną obrazów z tego feralnego dnia, kiedy Anker stracił życie, a Hardy został kaleką.

Jej głos przepełniały złowróżbna łagodność i przychylność, więc Carl obrócił się powoli z napiętymi strunami głosowymi, gotowy do kontrataku.

Stała kilka metrów od niego, ale wyglądała tak odmiennie, że mógł ją równie dobrze obserwować jak punkcik w odległości stu metrów.

Nie w tym rzecz, że nosiła inne ubranie niż normalnie. Nadal wyglądała jak osoba, która wchodzi do lumpeksu z opaską na oczach. Ale oczy i przesuszone, ciemne i obecnie dość krótkie włosy lśniły jak lakierki na dworskim balu, a co gorsza, na jej policzkach widniały dwie czerwone plamy, co można było przypisać zarówno dobremu krążeniu, jak i temu, że jest w niej nadspodziewanie więcej życia.

– Miło cię widzieć – powiedziała. Mój ty Boże! To było niemal surrealistyczne.

– Hm – mruknął Carl. Kto by się ośmielił na coś więcej? – Wiesz może, gdzie jest Lis? Chora jak wszyscy? – spytał ostrożnie, gotów, że zostanie zalany przekleństwami i żółcią.

– Jest w sali odpraw i robi notatki, ale później ma iść do archiwum. Mam jej przekazać, by do ciebie kuknęła?

Carl przełknął ślinę. Powiedziała „kuknęła”? Naprawdę słyszał, jak Wilczyca Ilse alias pani Sørensen użyła słowa „kuknąć”?

Właśnie w tej pełnej oszołomienia sekundzie zdobył się na koślawy uśmiech i zdecydowanym krokiem poszedł w stronę schodów.

– Tak, szefie – wybulgotał Assad. – O czym tak chciałeś ze mną porozmawiać?

Carl zacisnął oczy.

– To bardzo proste, Assad. Opowiedz mi ze szczegółami, co wydarzyło się na

zaplaczu na Eskildsgade.

– Co się wydarzyło? Nic, oprócz tego, że facet podstawił uszu.

– No tak, Assad, ale dlaczego? Kim i czym mu zagroziłeś? Litewskiego przestępcy nie nastraszyś ot tak baśnią Andersena, co?

– Noo, one potrafią być straszne. Na przykład ta z tą z zatrutym jabłkiem, co...

Carl westchnął.

– To nie Andersen napisał *Królewnę Śnieżkę*, Assad!! Zagroziłeś, że kim go poszczujesz?

Assad wahał się przez chwilę, po czym wziął głęboki wdech i spojrzał Carlowi prosto w oczy.

– Powiedziałem tylko, że chcę zachować jego prawo jazdy, bo przefaksuję je do takich ludzi, z którymi tak kiedyś pracowałem, i żeby wracał do domu do rodziny i wyprowadził ich z domu, bo jeśli ktoś będzie w domu, jak przyjdą moi znajomi, albo jeśli nadal będzie wtedy w Danii, to spuszczą dom z dymem.

– Z dymem? Nie możemy tego nikomu powtarzać, Assad, rozumiesz? – zrobił teatralną pauzę, ale tamten nie odwrócił wzroku.

– I co, on w to tak po prostu uwierzył? – drążył Carl. – Ale dlaczego? Do kogo niby miałeś to przefaksować, że ten Litwin aż tak się wystraszył?

Assad wyciągnął z kieszeni kartkę papieru. Gdy ją rozłożył, na górze widać było napis „Linas Verslovas”, a pod nim niekorzystne, acz oddające podobieństwo zdjęcie, kilka zdawkowych informacji i jakieś esy-floresy w języku, którego ni w ząb nie rozumiał.

– Zdobyłem o nim informacje, zanim tam pojechaliśmy i z nim „porozmawialiśmy” – wyjaśnił Assad, wykonując w powietrzu znak cudzysłowu. – Mam je od przyjaciół z Wilna. Jeśli chcą, mogą wejść do archiwów policyjnych.

Carl zmarszczył brwi.

– Chcesz powiedzieć, że masz te informacje od ludzi z litewskiego wywiadu?

Assad kiwnął głową, aż kapnęło mu z nosa.

– I ci ludzie przeczytali tłumaczenie tego, co tam było, przez telefon.

Z nosa znów kapnęło.

– No proszę. Wyobrażam sobie, że muszą tam być ładne kwiatki. I zagroziłeś temu Linasowi Verslovasowi, że tajna policja czy jak oni się tam nazywają, będą represjonować jego rodzinę? Naprawdę miał powody, by w to wierzyć?

Assad wzruszył ramionami.

Carl sięgnął ręką i przysunął do siebie plastikową koszulkę na dokumenty.

– Mam twoje dokumenty z Urzędu do spraw Cudzoziemców od dnia, którego do mnie przyszedłeś, Assad, i wreszcie gruntownie się im przyjrzałem.

Carl poczuł, jak para ciemnych oczu wlepia się ciężko w jego głowę.

– O ile dobrze widzę, wszystkie szczegóły dotyczące twojej przeszłości zgadzają się z tym, co mi powiedziałeś. – Podniósł wzrok na swojego pomocnika.

– Tak, co jeszcze, Carl?

– Ale nic więcej tam nie ma. Ani słowa o tym, co robiłeś, zanim przyjechałeś do Danii. Nic o tym, dlaczego jesteś uprawniony do pobytu w Danii, żadnej informacji, dzięki komu twój wniosek o azyl został rozpatrzony w ekspresowym tempie. Ani słowa o dacie urodzenia twojej żony i dzieci czy ewentualnym życiu prywatnym. Tylko imiona, to wszystko. To dziwnie nietypowy i niekompletny zestaw informacji. Można wręcz pomyśleć, że ktoś dobrał się do papierów i je podrasował.

Assad znów wzruszył ramionami. Widać ten gest służył za uniwersalną odpowiedź.

– Teraz mówisz, że masz przyjaciół w litewskim wywiadzie i że są w stanie ci pomóc w kwestii grózb i poufnych informacji, gdy tylko podniesiesz słuchawkę. Ale wiesz co, Assad?

Znów wzruszył ramionami, ale tym razem wzrok zrobił się czujniejszy.

– To znaczy, że możesz więcej niż sam szef Policyjnych Służb Wywiadowczych. Ponowne wzruszenie ramion.

– Możliwe. Ale co chcesz przez to powiedzieć?

– Co chcę powiedzieć? – Carl wyprostował się i cisnął koszulkę na biurko. – Chcę powiedzieć: jak, do jasnej cholery, dorobiłeś się takiej pozycji? Właśnie to chcę wiedzieć, a nic tu o tym nie ma.

– Carl, posłuchaj. Czy źle nam tu razem w piwnicy? Dlaczego musimy w tym grzebać?

– Bo dziś sam przekroczyłeś granicę trywialnej ciekawości.

– Że co?

– Do cholery, człowieku! Nie możesz mi powiedzieć, że pracowałeś dla syryjskiego wywiadu, że narobiłeś w przeszłości tyle gnoju, że urwą ci łeb, gdy

tylko wrócisz do kraju, i że tu, w Danii, świadczyłeś przysługi dla Policyjnych albo Wojskowych Służb Wywiadowczych czy dla jakichś innych bandytów, więc nie pozostało im nic innego, jak pozwolić ci płatać się tu po piwnicy za przyzwoitą pensję? Dlaczego nie możesz mi tego wszystkiego powiedzieć?

– Owszem, mógłbym, jeśli byłoby tak, jak mówisz, ale wcale nie jest, Carl. Zgadza się tylko to, że wykonałem dla Danii jakąś pracę i dlatego tu jestem i właśnie dlatego nie mogę tak nic powiedzieć. Ale może któregoś dnia.

– Czyli masz przyjaciół na Litwie. Gdzie jeszcze masz przyjaciół, możesz mi zdradzić? Może się tak zdarzyć, że innym razem mogą się nam przydać, jeśli tylko będę wiedział, prawda?

– Jeśli będzie taka potrzeba, Carl, to na pewno tak powiem, niech cię o to głowa boli!

Mørck opuścił ramiona.

– Mówi się: niech cię o to głowa nie boli, Assad. – Spróbował się uśmiechnąć do swojego przeziębionego pomocnika. – Ale na przyszłość, zanim wykręcisz taki numer jak dziś, daj mi cynk, dobrze?

– Co ci dać?

– Daj mi znać, uprzedź mnie, zanim coś zrobisz, okej?

Wydał dolną wargę i kiwnął głową.

– Jeszcze jedna rzecz, Assad. Możesz mi wyjaśnić, co robisz na komendzie tak wcześnie rano? Czy to coś, o czym nie powinienem wiedzieć, skoro musi przebiegać pod osłoną nocy? I dlaczego nie mogę odwiedzić cię u ciebie na Kongevejen? I dlaczego widziałem, jak kłócisz się z facetami, którzy na pierwszy rzut oka też pochodzą z Bliskiego Wschodu? Dlaczego ty i Samir Ghazi z komisariatu Rødovre skaczeecie sobie do oczu przy każdym spotkaniu?

– To sprawa prywatna, Carl.

Powiedział to w sposób, który wywarł na Mørcku wrażenie. To było uderzające. Jak odrzucenie wyciągniętej ręki przez kumpla. Jak jednoznaczny komunikat, że bez względu na to, ile razem przeszli, Carl nie załapywał się nawet na drugi szereg. Nie było dla niego po prostu miejsca w życiu Assada poza murami komendy. Kluczowym słowem było zaufanie, a tego nie miał za grosz.

– Tak też myślałam. Gawędzicie tu sobie, przystojniaczki? – rozległ się z korytarza znajomy głos.

Lis ukazała komplet zębów w uwodzicielskim uśmiechu i mrugnęła do nich, stając w drzwiach. Co za fatalne wyczucie czasu.

Carl spojrział na Assada, który momentalnie przybrał zrelaksowaną pozę i zrobił zadowoloną minę.

– Och, moje kochanie – powiedziała Lis, podchodząc bliżej i gładząc Assada po granatowoczarnym policzku. – Ty też się przeziębłeś? Oczy masz całe we łzach. I ty go zmuszasz do przychodzenia do pracy. Nie widzisz, jaki biedak jest bezbronny? – zwróciła się do Carla z wyrzutem czającym się głęboko w niebieskich oczach. – Ploug kazał przekazać, że czekają na ciebie na Amager.

6

Sierpień 1987

Dopiero kiedy dotarła do końca ulicy Korsgade i usiadła na ławce pod kasztanami tuż przy drzwiach wejściowych do domu, zwracając wzrok na jezioro Peblinge, poczuła się zupełnie wolna od dezaprobaty miasta i więzienia swego ciała.

Przekonała się, że w latach osiemdziesiątych na ulicach dominują piękne i kształtne ciała, a właśnie z tym miała problem. Szczególnie dziś.

Zamknęła oczy, złapała się za łydkę i pomasowała ją ostrożnie. Położyła czubki palców w miejscach, gdzie wystawały kości, i pomyślała o swojej dawnej mantrze: „jestem dobra”, „jestem dobra”, ale dziś brzmiała pusto, bez względu na to, co się akcentowało. Minęło też sporo czasu, odkąd ostatnio powtarzała sobie te słowa.

Przechyliła się do przodu, objęła ramionami kolana i przyłożyła do nich czoło, bębniąc delikatnie stopami o podłoże. Zazwyczaj trochę pomagało na przenikliwe bóle.

Spacer do domu towarowego Daells Varehus i z powrotem do ulicy Peblinge Dossering był forsowny i zaowocował bólami. W pogruchotanej kości piszczelowej, wypychającej stopę do środka, w kostce, która przy każdym kroku musiała nadrabiać za centymetry, o które noga się skróciła. W biodrze, próbującym ją odciążyć.

Bolało, ale nie to było najgorsze. Kiedy szła ulicą Nørregade, patrzyła sztywno przed siebie, próbując nie utykać, choć wiedziała, że to się nie uda. Trudno było to zaakceptować. Przed dwoma laty była atrakcyjną i gibką kobietą, a teraz czuła się jak cień samej siebie.

Cieniom najlepiej jest w cieniu, myślała aż do dziś. Duże miasto łagodzi bardziej niż otwarta przestrzeń. Z tego powodu przed niemal dwoma laty przeprowadziła się do Kopenhagi. Z dała od wstydu, smutku i lodowatego chłodu rdzennych mieszkańców wyspy Lolland.

Wyprowadziła się z Havnegaard, by zapomnieć, aż stało się to.

Nete zacisnęła usta, gdy kilka młodych kobiet o bezwstydnie radosnych

twarzach i głosach przeszło obok z wózkami dziecięcymi.

Oderwała od nich wzrok i spojrzała najpierw na jednego z lokalnych młokosów, który paradował ze swoim brzydkim, nieokiełznanym mieszańcem mordercą, a potem na ptactwo wodne, przypominające plamki na jeziorze.

Przekłęte życie. Przed trzema kwadransami jej życie zatrzęsło się w posadach z powodu dwudziestu sekund w windzie Daells Varehus. Tyle wystarczyło. Zaledwie dwadzieścia sekund.

Zamknęła oczy i odtworzyła sobie wszystko. Kroki w stronę windy na czwartym piętrze. Wciśnięcie przycisku. Ulga, że nie będzie musiała czekać dłużej niż parę sekund, nim drzwi się otworzą.

Ale właśnie ta ulga zagościła w niej jak wirus.

Wybrała niewłaściwą windę. Gdyby pojechała windą na drugim końcu działu, mogłaby wieść życie jak dotąd. Dawać się wsysać kolosalnym gmachom Nørrebro i bastionom ulic.

Pokręciła głową. Teraz wszystko się zmieniło. Te brzemiennie w skutki sekundy unicestwiły pozostałości po Nete Rosen. Umarła, zniknęła, została wymazana. Teraz była znowu Nete Hermansen. Dziewczyna ze Sprogø ostatecznie zmartwychwstała.

Na dobre i na złe.

Osiem tygodni po wypadku odesłali ją ze szpitala do domu bez rozdierających scen pożegnania, a przez kolejne miesiące mieszkała sama w Havnegaard. Adwokaci mieli co robić, bo majątek był spory, a od czasu do czasu w rowach i krzakach czyhali paparazzi. Kiedy w wypadku samochodowym zginęła jedna z najważniejszych osobistości duńskiego biznesu, trzeba było to sprzedać na pierwszych stronach, a co sprzedaje się lepiej niż wdowa o kulach i zbolącej twarzy? Ale Nete zaciągała zasłony, pozwalając, by świat gorączkował się bez jej udziału. Doskonale wiedziała, co myślą ludzie. Że ta gąska, która utorowała sobie drogę do łóżka szefa przez laboratorium badawcze, nie zasługiwała na to, by być tam, gdzie jest. Że przez cały czas otoczenie płaszczyło się przed nią wyłącznie z uwagi na jej męża i pieniądze, na nic innego.

Nadal tak się czuła. Nawet niektóre pielęgniarki, które przychodziły do domu, nie potrafiły ukryć pogardy, ale szybko się ich pozbyła.

W tamtych miesiącach historię o śmiertelnym wypadku Andreasa Rosena

podgrzewały dodatkowo plotki i zeznania świadków. Przeszłość zacisnęła się wokół niej jak pętla, a gdy zabierali ją na posterunek w Maribo, mieszkańcy miasteczka stali w oknach, uśmiechając się. Wszyscy już wiedzieli, że ludzie mieszkający naprzeciwko miejsca wypadku widzieli coś wyglądającego na szarpaninę w kabinie samochodu tuż przed tym, jak auto przedarło się przez żywopłot i pionowo wylądowało w wodzie.

Ale Nete się nie załamała i nie wyznała swego grzechu ani przed mieszkańcami, ani nikim innym. Tylko sama przed sobą.

Nie, na niczym jej nie przyłapią. Już dawno temu nauczyła się stać prosto nawet podczas największego sztormu.

I tak uniknęła odpowiedzialności.

Powoli rozebrała się przy oknach wychodzących na jezioro i spokojnie usiadła na krześle przed lustrem w sypialni. Blizna nad kością łonową była bardziej widoczna, w miarę jak owłosienie łonowe się przerzedzało. Prawie niezauważalna, wąska białoliliowa linia wyznaczająca granicę między szczęściem a upadkiem, między życiem a śmiercią. Blizna po tym, jak ją wysterylizowali.

Pogładziła się po jałowym, wiotkim brzuchu, zaciskając zęby. Głaskała, dopóki skóra nie zaczęła piec, nogi drżeć, oddech nie zwiększył częstotliwości i myśli się nie wypaliły.

Zaledwie cztery godziny wcześniej siedziała w kuchni z katalogiem domu towarowego, zauroczona jasnoróżowym pulowerem na piątej stronie.

„Katalog jesień 1987” – brzmiał obiecujący napis. „Elegancka dzianina” – było napisane nad obrazkiem na którejś z kolejnych stron.

Wpatrywała się w to różowe cudo przez parującą kawę i myślała, że taki dziergany, wzorzysty sweter wraz z bluzką koszulową z poduszkami na ramionach wprowadzi ją w nowe czasy. Bo choć przeżywała wielką żalobę, przed nią były jeszcze całe lata życia i wkrótce będzie na nie gotowa.

Dlatego około dwóch godzin temu stała w windzie z siatką z zakupami w ręce i odczuwała wielką radość. Dokładnie godzinę i pięćdziesiąt dziewięć minut temu winda zatrzymała się na trzecim piętrze, wszedł do niej wysoki mężczyzna i stanął tak blisko niej, że poczuła jego zapach.

Nie zaszczycił jej ani jednym spojrzeniem, ale ona go widziała. Przyglądała mu się, wstrzymując oddech i wciskając się w popłochu w kąt, z policzkami pałającymi

gniewem i z nadzieją, że się nie obróci i nie pochwyci w lustrach jej spojrzenia.

Widać było, że jest człowiekiem tryskającym zadowoleniem z życia i samego siebie. Miał nad wszystkim kontrolę, jak to się mówiło. Kontrolę nad życiem i pomimo upływających lat – również nad przyszłością.

To bydlę.

Godzinę pięćdziesiąt osiem minut i czterdzieści sekund temu wysiadł z windy na drugim piętrze, zostawiając Nete z zaciśniętymi pięściami i z trudem łapiącą powietrze. Przez kolejne długie minuty nie czuła nic. Jeździła windą w górę i w dół, nie reagując na zatroskane pytania innych klientów. Była wystarczająco zajęta uspokajaniem myśli i rytmu serca.

Gdy znów znalazła się na ulicy, nie miała reklamówki. Komu potrzebny jest różowy sweter i koszula z poduszkami w miejscu, do którego zmierza jej życie?

I teraz siedziała w swoim mieszkaniu na czwartym piętrze, naga, ze zbrukanym życiem i duszą, knując, jak najlepiej się zemścić i na kim.

Uśmiechnęła się przelotnie. Dotarło do niej właśnie, że może to wcale nie ona miała pecha. Może właśnie to szatańskie bydlę, którego los szczęśliwie przeciął jej drogę.

Czuła się tak w pierwszych godzinach po tym, jak Curt Wad kolejny raz wkroczył w jej życie.

Latem przyjeżdżał kuzyn Tage. Niepokorny chłopak, którego nie potrafiła poskromić ani szkoła, ani ulica w Assens. „Za dużo mięśni na tak mały mózdzek” – mawiał stryj, ale Nete uwielbiała, gdy przyjeżdżał. Wreszcie miała kogoś, kto na kilka tygodni sprawiał, że doba nie była za krótka. Karmienie kur było odpowiednim zajęciem dla małej dziewczynki i właściwie tylko ono. A Tage uwielbiał babrać palce w gnojówce, więc chlew i obora stały się jego domeną. Tylko podczas pobytu Tagego szła spać bez obolałych ramion i nóg, dlatego Nete kochała Tagego.

Może dlatego kochała go trochę za mocno.

– Kto cię nauczył mówić takie świństwa? – besztła dyrektorka po wakacjach. Tak, zawsze tuż po wakacjach dostawała największe cięgi, bo ulubione słowa Tagego, takie jak „rznąć”, „dymać” i „sterczący wacek”, były czymś bardzo odległym w samotnym świecie dyrektorki.

Właśnie takie słowa oraz piegowata beztroska Tagego stanowiły pierwsze

kamienie w brukowanej drodze wiodącej do Curta Wada.

Śliskie kamienie.

Wstała od toaletki i ubrała się, sporządzając w głowie listę, która otworzyła naczynia włosowate jej skóry i sprawiła, że zmarszczyła czoło.

Gdzieś tam żyli ludzie niezasługujący na to, by oddychać. Ludzie patrzący tylko przed siebie, nigdy wstecz; znała kilkoro z nich. Pytanie, jakie powinni ponieść konsekwencje.

Przeszła długim korytarzem do pokoju na samym końcu, gdzie stał stół odziedziczony po ojcu.

Zjadła przy tym stole co najmniej tysiąc posiłków z ojcem, pochylonym nad jedzeniem. Milczącym, zgorzkniałym, zmęczonym życiem i bólem. Bywało, że podnosił wzrok, próbując wykrzesać z siebie uśmiech, ale nawet na to brakowało mu sił.

Gdyby nie ona, chwyciłby za sznur i powiesił się na wiele lat przed tym, kiedy się to faktycznie stało. Tak wpływały na niego reumatyzm, samotność i jałowość umysłu.

Pogłaskała ciemny kant, o który zawsze opierał przedramiona, i przejechała palcami aż na sam środek stołu, gdzie od jej przeprowadzki niemal dwa lata temu leżała brązowa koperta.

Była pognieciona i zniszczona, tak często ją otwierała i oglądała papiery.

„Panna laborantka Nete Hermansen, Szkoła Techniczna w Aarhus, Halmstadgade, Aarhus N.” – widniało na kopercie. Czerwonym kolorem poczta dopisała numer i kod. Tyle razy była im za to wdzięczna.

Ostrożnie przesunęła palcami po znaczku i dacie. Minęło prawie siedemnaście lat, odkąd wiadomość trafiła do jej skrzynki. Całe życie temu.

Otworzyła kopertę, wyjęła list i rozłożyła go.

Najdroższa Nete,

kręte i nieprzeniknione są ścieżki, którymi dotarłem do tego, co się z Tobą działo, odkąd wsiadłaś do pociągu na dworcu w Bredebro i uśmiechając się, pomachałaś nam na do widzenia.

Wiedz, że wszystko, czego dowiedziałem się o Twoim dalszym postępowaniu w życiu przez ostatnich sześć lat, uradowało mnie tak

dogłębnie, że nie sposób tego opisać.

Wiesz już zapewne, że jesteś dobra, prawda? Że brak umiejętności pisania dało się przewyciężyć i że dla Ciebie również jest miejsce na ziemi. I to jakie miejsce! Jestem z Ciebie taki dumny, kochana Nete. Egzamin gimnazjalny z najwyższymi ocenami, najlepsza uczennica w Szkole Laborantek w Zespole Szkół Technicznych w Aabenraa, a wkrótce będziesz technikiem laboratoryjnym w Aarhus, jakie to imponujące! Może się zastanawiasz, skąd to wszystko wiem, więc powiem Ci, że tak się zabawnie składa, że firma Interlab SA, która zatrudnia Cię od 1 stycznia, została założona przez mojego starego przyjaciela, Christophera Hale'a, a jego syn Daniel jest nawet moim chrześniakiem, więc często się spotykamy. Ostatnio na dorocznym zjeździe rodzinnym przy wycinaniu serduszek bożonarodzeniowych i robieniu faworków w pierwszą niedzielę Adwentu.

Spytałem przyjaciela, czym się ostatnio zajmuje, i wyobraź sobie, właśnie przeczytał stertę podań i pokazał mi to, które wybrał. Możesz sobie w ogóle wyobrazić, jaką miałem niespodziankę, widząc Twoje imię? I wybacz brak dyskrecji, którą było przeczytanie Twego podania i życiorysu. Szczerze mówiąc, uroniłem łzę wzruszenia.

Więc tak, Nete, nie musisz znosić sentymentów starszego pana, ale wiedz, że Marianne i ja jesteśmy bezbrzeżnie szczęśliwi dzięki Tobie i że spokojnie możesz wyprostować plecy i wykrzyczeć całemu światu to krótkie zdanie, które wiele lat temu sformułowaliśmy: Jestem dobra!

PAMIĘTAJ o tym, moja dziewczynko!

Życzymy Ci szczęścia w dalszych poczynaniach.

Najszczęśliwsze pozdrowienia

Marianne i Erik Hansthölmowie

Bredbro, 14 grudnia 1970

Przeczytała list trzy razy, trzykrotnie zatrzymując się przy słowach „Wiesz już zapewne, że jesteś dobra”.

– Jestem dobra! – powiedziała głośno po chwili, przywołując roześmianą twarz Erika Hansthölna. Kiedy pierwszy raz usłyszała to zdanie, miała zaledwie dwadzieścia cztery lata, a teraz ma pięćdziesiąt. Kiedy minęły te lata? Mogła się

z nim skontaktować, póki był na to czas.

Wzięła głęboki oddech i przechyliła głowę, studiując nachylenie liter, wielkie litery i każdy maleńki kleks, zostawiony przez jego pióro wieczne.

Następnie wyjęła z koperty kolejną kartkę i siedziała jakiś czas, patrząc na nią ze łzami w oczach. Od tamtego czasu otrzymała wiele dyplomów i świadectw, ale ten był pierwszy i najważniejszy w jej życiu. Zrobił go dla niej Erik Hanstholm; wielki gest.

Na samej górze wykonany starannymi, drukowanymi literami widniał napis „DYPLOM”, a poniżej w czterech liniach rozmieszczonych po całej kartce: „Nikogo, kto to przeczyta, nie można nazwać analfabetą”.

Tylko tyle.

Otarła oczy i zacisnęła usta. Jakie to bezmyślne i egoistyczne z jej strony, że nigdy się do niego nie odezwała. Jak ułożyłoby się jej życie, gdyby nie on i jego żona Marianne? A teraz było za późno. Trzy lata temu przeczytała w nekrologu: „zmarł po długiej chorobie”.

„Po długiej chorobie”, cokolwiek się za tym kryło.

Pisała do Marianne Hanstholm, by złożyć kondolencje, ale listy wracały. „Może i jej już nie było” – pomyślała wtedy. Kto więc został w jej świecie oprócz tych, którzy zniszczyli jej życie?

Nikt.

Nete złożyła list i dyplom i włożyła je z powrotem do koperty. Następnie podeszła do okna, wzięła z parapetu cynowy talerzyk i położyła na nim kopertę.

Gdy podłożyła pod nią ogień i kłęby dymu uniosły się aż pod sztukaterie na suficie, pierwszy raz od dłuższego czasu nie czuła już wstydu.

Poczekwała, aż żar zgaśnie i starła popiół na proch, po czym poszła z talerzykiem do salonu, gdzie stała chwilę przy parapecie, patrząc na roślinę z lepkimi włoskami. W tej chwili nie wydzielala zbyt silnego zapachu.

Wsypała popiół do doniczki i podeszła do sekretarzyka.

Na samej górze tego eleganckiego mebla leżał stos kopert z papierem listowym w kwiatki do kompletu. Prezent dla pani domu równie niezbędny co świeczki zapachowe z mankietami z materiału. Wzięła sześć kopert, po czym usiadła przy stole i każdą z nich opatrzyła nazwiskiem.

Curt Wad, Rita Nielsen, Gitte Charles, Tage Hermansen, Viggo Mogensen

i Philip Nørvig.

Jedno nazwisko na każdy okres jej życia, w którym sprawy szły w złym kierunku.

Widniejące przed nią nazwiska sprawiały wrażenie pozbawionych znaczenia, wręcz podrzędnych. Ludzie, których można wykreślić z życia jednym pociągnięciem pióra. Ale w rzeczywistości tak nie było. Te nazwiska na pewno nie były bez znaczenia. Znaczenie polegało mianowicie na tym, że ci ludzie, jeśli jeszcze żyją, chodzą sobie swobodnie po świecie, jak Curt Wad. Bez głębszej refleksji nad przeszłością i obrzydliwymi śladami zostawionymi przez życie, które wiedli.

Ale ona ich zatrzyma i zmusi do obejrzenia się za siebie. I to swoim własnym sposobem.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer ewidencji ludności.

Jej pierwsze słowa brzmiały:

– Dzień dobry, tu Nete Hermansen. Czy mógłby mnie pan poinformować, w jaki sposób mam znaleźć osoby, których nie mam aktualnych adresów?

7

Listopad 2010

Wiatr był kapryśny, więc już z dużej odległości Carl poczuł odór zwłok wiszący ciężko w wilgotnym, jesiennym powietrzu.

Za buldożerami o opuszczonych lemieszach stało kilkoro ubranych na biało ludzi z Wydziału Zabójstw, konferując z technikami kryminalnymi.

Czyli dotarli do punktu, w którym do gry wkraczali Falck i sanitariusze z Instytutu Medycyny Sądowej.

Terje Ploug stał z teczką pod pachą i ćmił fajkę, a Marcus Jacobsen papierosa, ale na niewiele się to zdało. Biedak, który spoczął w tak podłych okolicznościach, już dawno temu uległ rozkładowi, a tego rodzaju odór był najgorszy z możliwych. Był więc pewien sens w tym, że większość tu obecnych miała pozapychane organy węchu.

Carl podszedł bliżej, zaciskając nozdrza, i spojrzął na skrzynię, która wciąż tkwiła w ziemi, choć była już prawie całkowicie odsłonięta i miała otwarte wieko. Nie była taka duża, jak się spodziewał. Zaledwie trzy czwarte metra w każdą stronę, ale wystarczyło w zupełności, by zmieścić w środku skrupulatnie poćwiartowane ciało. Była solidna, zbudowana ze starych lakierowanych desek podłogowych, połączonych ze sobą na wpust i pióro. Taka trumna przeleżałaby w ziemi wiele lat, zanimby zbutwiała.

– Dlaczego nie wrzucili faceta wprost do ziemi? – spytał Carl, stojąc na skraju wykopu. – I dlaczego akurat tu? – Powiódł ręką po okolicy. – Miejsca tu przecież nie brakuje, co?

– Oglądaliśmy deski parkietowe wyniesione z baraku. – Szef Wydziału Zabójstw owinął szalik ciaśniej wokół kołnierza skórzanej kurtki i wskazał stos desek za grupą budowlańców w pomarańczowych kombinezonach.

– Wiemy więc dość dokładnie, w którym miejscu podłogi skrzynia została wkopana – ciągnął Marcus Jacobsen. – Chodzi o obszar w rogu, wzdłuż południowej ściany. Widać, że w niedalekiej przeszłości pracowała tam piła

tarczowa; technicy twierdzą, że jakieś pięć lat temu.

Carl skinął głową.

– Okej, czyli ofiarę zamordowano i poćwiartowano gdzieś indziej, a potem przywieziono tutaj.

– Tak, wszystko na to wskazuje – powiedział szef Wydziału Zabójstw, pociągając nosem. Wokół jego głowy kłębił się dym z papierosa. – Może to ostrzeżenie dla Georga Madsena, żeby zachowywał się lepiej niż ten nieszczęśnik, który tam leży.

Terje Ploug skinął głową.

– Technicy mówią, że skrzynię zakopano pod wyciętym kawałkiem parkietu. Jeśli dobrze się orientuję w tym szkicu z raportu... – wskazał plan pomieszczenia w swojej kartotece – ...to było to dokładnie pod krzesłem, na którym znaleźliście Georga Madsena z gwoździem w głowie. Tam, gdzie do was strzelano.

Carl wyprostował plecy. Nie były to informacje, dzięki którym ta środa miała szansę dołączyć do superligi. Nie ulegało wątpliwości, że przed nimi setki godzin śledztwa i grzebania w zdarzeniach, o których Carl najchętniej by zapomniał. Gdyby to zależało od niego, zawróciłby na miejscu, pojechał do baru grillowego Lufthavnsgrillen w okolicy lotniska, pochłonął kilka grillowanych kiełbasek z chlebem i solidną porcją keczupu, śledząc spokojnie wskazówki zegarka, aż po upływie trzech, czterech godzin nadszedłby czas powrotu do domu i przebrania się przed świąteczną gęsą u Mony.

Ploug wpatrywał się w niego, jakby czytając mu w myślach.

– No dobra – rzekł w końcu Mørck. – Wiemy, że faceta zamordowano gdzieś indziej i najprawdopodobniej zakopano pod podłogą Georga Madsena i za jego wiedzą. Jakich szczegółów nam brakuje? – Podrapał się po policzku i sam sobie odpowiedział: – A, tak. Musimy się tylko dowiedzieć dlaczego. Kim był ten człowiek i kto mu to zrobił, nie? Pestka! Ale ty to rozkminisz, co, Ploug? – Carl odczuwał coraz większy dyskomfort.

Przed paru laty na tym czarnym kawałku ziemi omal nie stracił życia. To stąd sanitariusze wynosili zwłoki Anker'a i zmasakrowane ciało Hardy'ego. To tu Carl zawiódł swoich przyjaciół, leżąc z podciętymi skrzydłami, sparaliżowany jak przerażone zwierzę, podczas gdy rozprawiano się z jego kumplami. A gdy skrzynia za chwilę odbędzie swoją ostatnią podróż do Instytutu Medycyny Sądowej,

wszystkie namacalne dowody dotyczące tych wydarzeń zostaną starte z powierzchni ziemi. I dobrze, i źle.

– Najprawdopodobniej to wszystko działo się za wiedzą tego Georga Madsena, ale jeśli zakopanie zwłok miało być dla niego ostrzeżeniem, to można spokojnie powiedzieć, że nie posłuchał – zauważył szef Wydziału Zabójstw.

Carl spojrzął na otwartą skrzynię stojącą za Marcusem Jacobsenem.

Czaszka leżała na boku, na jednym z czarnych worków na śmieci, w które wciąż było zapakowane poćwiartowane ciało. Wnioskując z wielkości czaszki, poobijanej zuchwy i zrośniętego po złamaniu grzbietu nosa, można było nie tylko uznać, że to mężczyzna, ale również, że mężczyzna, który niejedno przeszedł. I teraz tu leżał, bezzębny i z potylicą w stanie takiego rozkładu, że niemal strawił włosy, a przez oślizgłą masę zgnilizny widać było galwanizowany, całkiem solidny gwóźdź. Prawdopodobnie identyczny jak ten znaleziony w czaszce Georga Madsena i dwóch mechaników z warsztatu w Sorø.

Szef Wydziału Zabójstw zdjął kombinezon ochronny i skinął do fotografów.

– Za parę godzin przejrzymy skrzynię w instytucie medycyny sądowej i dowiemy się, czy trafimy na trop, który pomoże nam ustalić tożsamość ofiary – zakończył, kierując kroki do swego samochodu, zaparkowanego dalej na drodze szutrowej.

– Ploug, piszesz raport! – zawołał za nim.

Carl cofnął się o parę kroków, próbując osłabić smród zwłok, biorąc kilka głębokich wdechów w pobliżu ćmiącej się fajki Plouga.

– Terje, jaki, do diaska, przyświecał ci cel, by mnie tu ściągnąć? – spytał. – Chciałeś sprawdzić, czy się załamie?

Ploug skwitował pytanie ciężkim spojrzeniem. Miał gdzieś, czy Carl się załamie, czy nie.

– Jeśli dobrze pamiętam, dom sąsiada mieścił się tuż obok – powiedział, wskazując sąsiednią działkę. – Przecież ten człowiek musiał słyszeć albo widzieć, jak ktoś ciągnie taką wielką skrzynię do chaty obok, a potem uruchamia piłę tarczową na deskach podłogowych Georga Madsena, nie? Pamiętasz, co sąsiad mówił na ten temat?

Carl się uśmiechnął.

– Drogi Terje. Po pierwsze, sąsiad mieszkał tam od dziesięciu dni, zanim

zamordowano Georga Madsena, więc go nie znał. Na ile ja, no i technicy jesteście w stanie ocenić po tej cuchnącej masie, zwłoki leżały w ziemi od co najmniej pięciu lat, czyli na trzy lata przed morderstwem Georga Madsena, więc jakim cudem sąsiad mógł coś o tym wiedzieć? Poza tym czy to nie ty przejąłeś śledztwo, kiedy zabrali mnie do szpitala? Nie rozmawiałeś osobiście z tym człowiekiem?

– Nie, później tego samego dnia przewrócił się z zawałem serca przy samym krawężniku i zmarł, kiedy my się pakowaliśmy. Widocznie to morderstwo, okoliczności i policja zbyt mocno go poruszyły.

Carl wyduł dolną wargę. Coś takiego! Te bydlaki z pistoletem na gwoździe miały na sumieniu niemało istnień.

– Aha, nie wiedziałem.

Ploug wyciągnął notes z kieszeni na piersi.

– Czyli pewnie nie wiesz też, że ostatnio otrzymaliśmy informacje o kilku podobnych morderstwach w Holandii. W maju i wrześniu ubiegłego roku na osiedlu na obrzeżach Rotterdamu, o nazwie Schiedam, znaleziono dwóch mężczyzn zabitych pistoletem na gwoździe. Dostaliśmy stamtąd mnóstwo zdjęć.

Otworzył swoją teczkę, wskazując zdjęcia czaszek dwóch mężczyzn, podczas gdy kilku funkcjonariuszy rozciągało taśmę wokół miejsca znalezienia zwłok.

– W ich skroniach tkwiły siedemdziesięciomilimetrowe gwoździe Paslode, podobnie jak w przypadku ofiar morderstwa na Zelandii. Jeszcze dziś wyślę ci kopie materiałów i wrócimy do tematu, jak będziemy mieli raport z Instytutu Medycyny Sądowej.

„Super” – pomyślał Carl. – „Hardy będzie miał czym zająć myśli”.

Zastał Lis przed gabinetem Rose z rękami założonymi pod biustem; kiwała głową, zaaferowana trawieniem przemyśleń Rose o życiu ogólnie, a w szczególności tym w piwnicy. Dotarły do niego urywki takie jak „fatalne warunki”, „atmosfera jak w grobie” i „żałosne maniery szefa” i zgodził się w zupełności, dopóki nie dotarło do niego, że Rose mówi o nim.

– Hmm – odchrząknął w nadziei, że Rose się spłoszy, ale nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem.

– Oto i ósmy cud świata we własnej osobie – powiedziała bezczelnie, podając mu jakieś papiery. – Rzuć okiem na miejsca, które zaznaczyłam w sprawie Rity Nielsen, i ciesz się, że masz w tej jaskini pracowników, którzy doglądają dobytku,

kiedy inni ganiają sobie pod chmurką.

O Boże. Do czego to doszło? Czyli jej tak zwana bliźniaczka Yrsa pojawi się tu lada chwila.

– Pytałeś o mnie na górze – powiedziała Lis, gdy cień Rose zniknął w jej gabinecie.

– Poszukuję na próżno swojego kuzyna Ronny’ego i pomyślałem, że...

– Ach, to. – Przez chwilę wyglądała na rozczarowaną. – Bak nam co nieco zdradził, co za historia! Ale zrobię, co w mojej mocy.

Posłała mu uśmiech, przez który jego kolana zamieniły się w galarete, po czym ruszyła w stronę archiwum.

– Chwileczkę, Lis! – zastopował ją Mørck. – Co się stało z Sørensen? Nagle zaczęła robić wrażenie... aż chciałoby się powiedzieć: serdecznej.

– Och, Cata. Ostatnio chodzi na kurs NLP.

– Kurs NLP? Co to takiego?

Wtedy zadzwoniła komórka Carla. Na ekranie wyświetliło się nazwisko Mortena Hollanda. Czego, u diabła, chciał jego lokator?

– Tak, Morten? – odebrał, ruchem głowy przepaszając Lis.

– Przeszkadzam? – rozległo się ostrożnie.

– Czy góra lodowa przeszkadzała Titanicowi? Czy Brutus przeszkadzał Cezarowi? Co się dzieje? Coś się dzieje z Hardym?

– Yyy, w pewnym sensie. Dobre z tym Titanikiem, ha, ha! Ale Hardy chciałby z tobą porozmawiać.

Usłyszał, jak poduszka Hardy’ego chrobocze o słuchawkę. Morten i Hardy dopuścili się niepożądanego precedensu. Wcześniej wystarczyło, że Carl i Hardy ucieli sobie wieczorną pogawędkę po powrocie Mørcka z pracy, ale najwidoczniej to już było za mało.

– Słyszysz mnie, Carl? – Mørck przywołał obraz tego wysokiego, sparaliżowanego mężczyzny, któremu Morten przykładał telefon do ucha. Współprzymknięte oczy, zmarszczone czoło i suche usta. W głosie Hardy’ego dało się wyczuć słabo skrywane zatroskanie. Czyli na bank rozmawiał już z Terjem Plougiem.

– Dzwonił Ploug – oznajmił. – Pewnie wiesz, o co chodzi, nie?

– Wiem.

- Okej, więc o co chodzi, Carl? Możesz mi powiedzieć?
- Chodzi o to, że ci, co do nas strzelali, to bezwzględni mordercy, którzy przemocą zaprowadzają dyscyplinę w swoich szeregach.
- Dobrze wiesz, że nie to mam na myśli. – Nastąpiła pauza, jedna z tych nieprzyjemnych. Jedna z tych, które prowadzą do konfrontacji.
- Wiesz, co o tym myślę? Myślę, że Anker siedział w tym gównie. Wiedział, że w tym baraku jest trup, jeszcze zanim tam pojechaliśmy.
- Aha. I na czym to opierasz, Hardy?
- Ja to po prostu wiem. W tamtym czasie zmienił się pod wieloma względami. Zaczął wydawać więcej pieniędzy niż przedtem, zmienił się pod względem charakteru. I tego dnia nie postępował zgodnie z procedurami.
- O co ci chodzi?
- Poszedł przesłuchać sąsiada, zanim w ogóle weszliśmy do domu Georga Madsena. Skąd mógł mieć pewność, że jest tam trup?
- Przecież sąsiad sam to zgłosił.
- Carl, do jasnej cholery. Jak często się nam zdarzało, że w tego typu zgłoszeniu chodziło o martwe zwierzę albo dźwięk radia czy telewizora? Anker zawsze wchodził do środka i sprawdzał, czy to nie fałszywy alarm. Tylko nie tym razem.
- Dlaczego mówisz mi o tym właśnie teraz? Nie sądzisz, że wcześniej była ku temu sposobność?
- Pamiętasz, jak Anker nocował u mnie i Minny, kiedy wyrzuciła go żona?
- Nie.
- To trwało krótko, ale Anker tkwił wtedy w gównie. Wciągał kokainę.
- Tak, wiem o tym, mówił mi o tym ten zasrany psycholog, Kris, którego napuściła na mnie Mona. Ale wtedy o tym nie wiedziałem.
- Był zamieszany w bójkę któregoś wieczoru na mieście. Miał sporo krwi na ubraniu.
- I...?
- Bardzo dużo krwi, Carl. A potem wyrzucił to ubranie.
- I teraz widzisz związek między dzisiejszym znalezieniem zwłok i tamtym epizodem?

Znów ta pauza. Będąc jeszcze na chodzie, Hardy był jednym z najlepszych detektywów na komendzie. „Wiedza i intuicja” – tak to sam tłumaczył. Cholerna

intuicja.

- Poczekajmy, co powie sekcja zwłok, Hardy.
- Czaszce w skrzyni brakowało zębów, prawda, Carl?
- Owszem.
- A ciało było w stanie kompletnego rozkładu?
- Tak, coś w tym stylu. Nie jak zupa, ale blisko.
- Czyli za cholereę się nie dowiemy, kim był ten bandyta.
- I może niech tak zostanie, co, Hardy?

– Łatwo ci powiedzieć, Carl, bo to nie ty leżysz całymi dniami, wpatrując się w sufit z węzem podłączonym do wnętrzości, co? Jeśli Anker był wmieszany w ten syf, to jest to też jego wina, że tu leżę. Dlatego do ciebie dzwonię, Carl. Żebyś nie spuszczał z oka tej pieprzonej sprawy. A jeśli Ploug w niej namiesza, to wytargasz go za uszy. Chyba tyle jesteś winien staremu kumplowi?

Kiedy Morten Holland przeprosił i się rozłączył, Carl siedział na brzegu swego krzesła, trzymając na kolanach papiery od Rose. Nie miał zielonego pojęcia, jak trafił do gabinetu.

Zamknął na chwilę oczy, próbując przywołać twarz Ankera. Już teraz rysy twarzy jego byłego kumpla były zamazane.

Jak ma pamiętać źrenice, nozdrza, głos i wszystko inne, co świadczyło o nałogu kokainowym Ankera?

8

Listopad 2010

– Carl, zerknąłeś na to, co Rose pozaznaczała w sprawie Rity Nielsen?

Carl podniósł wzrok i ze wszystkich sił starał się nie wybuchnąć śmiechem. Przed nim stał Assad, machając niedużym stosem papierów. Najwidoczniej znalazł lekarstwo na katar, bo z jego nozdrzy sterczały dwa kłęby waty o gabarytach, które tłumaczyły, dlaczego jeszcze trudniej niż zwykle było go zrozumieć.

– Co pozaznaczała, gdzie? – spytał Carl, tłumiąc uśmiech.

– W sprawie tej, co zniknęła w Kopenhadze. Tej burdeldamy Rity Nielsen – rzucił na stół stos fotokopii. – Rose właśnie wykonuje telefony, a w międzyczasie kazała zerknąć na to.

Carl wziął kopie i wskazał kłęby waty.

– Może wyjmiesz te tampony, nie mogę się skoncentrować.

– To będę kapał, Carl.

– To sobie kap, byle na podłogę. – Kiwnął głową, gdy wata wylądowała w śmietniku, po czym spojrzał na ksera. – Jakie zaznaczenia?

Assad nachylił się niebezpiecznie blisko i przekartkował kilka stron w przód.

– Tu – powiedział, wskazując gęstwą linijek zaznaczonych na czerwono.

Carl przejrzał stronę. Był to raport policji dotyczący stanu mercedesa Rity Nielsen zaraz po jego znalezieniu. Rose zaznaczyła przedmioty, które znaleziono w schowku. Chodziło o *Drogę do północnych Włoch*, trochę cukierków, paczkę chusteczek jednorazowych, kilka broszur o Florencji i cztery kasety Madonny.

„Widać w tamtym czasie w środowisku paserów Nørrebro nie było już zapotrzebowania na Madonnę” – pomyślał Carl, odnotowując, że zapisek „kasetę z *Who's That Girl* jest pusta” Rose podkreśliła grubą kreską. „Zabawne sformułowanie” – pomyślał Carl z uśmiechem. „Jest pusta”. Można to inaczej zrozumieć.

– No dobra – powiedział. – Rzeczywiście, co za niusy, Assad. Znaleziono pustą kasetę Madonny, może powinniśmy natychmiast powiadomić prasę?

Assad spojrział na niego, nie rozumiejąc.

– I na drugiej stronie też trochę jest, bo strony są jakby w odwrotnej kolejności.

Wskazał kolejne zaznaczenia, które dotyczyły telefonicznego zgłoszenia zaginięcia Rity Nielsen z dnia 6 września 1987. Dzwoniła niejaka Lone Rasmussen z Kolding, która pracowała dla Rity Nielsen, odbierając telefony i przyjmując zamówienia na wizyty call girls. Zastanowiło ją, że Rita Nielsen nie wróciła w sobotę do Kolding zgodnie z planem. Widniała tu też adnotacja, że Lone Rasmussen jest od dawna znana policji w związku z wieloma sprawami o prostytutkę i narkotyki.

Podkreślone zdanie brzmiało: „Według Lone Rasmussen Rita Nielsen na pewno miała jakieś plany na niedzielę, bo ten dzień i kilka kolejnych było przekreślonych na czerwono w jej kalendarzu leżącym w salonie masażu, który Lone Rasmussen konsekwentnie nazywała «biurem call girls»”.

– Okej – odrzekł Carl, jednocześnie czytając dalej. Rita Nielsen miała umówione spotkania w terminach po swoim zniknięciu, co detektywi zbadali, nie ustalwszy jednak, na co miała przeznaczyć wolne dni.

– Myślę, że ta Rose to ona teraz próbuje odszukać tę Lone Rasmussen – powiedział Assad przez nos.

Carl westchnął. To się zdarzyło dwadzieścia trzy lata temu. Wnioskując z PESEL-u, Lone Rasmussen miała teraz ponad siedemdziesiąt lat. Dość zaawansowany wiek na kobietę z jej przeszłością. A jeśli wbrew wszystkiemu wciąż żyła, co może wniesć po tylu latach do tych i tak już lichych zeznań?

– Weź du zowacz, Carl. – Assad przekartkował dalej i wskazał zdanie, które przeczytał z zatkanym nosem.

– „Podczas przeszukania mieszkania Rity Nielsen w dziesiątym dniu po jej zaginięciu znaleziono kota, który był tak osłabiony, że trzeba było go uspić”.

– A niech to – powiedział Carl.

– Tak, i tu. – Assad wskazał dół strony. – „Nie znaleziono żadnych materiałów wskazujących na przestępstwo ani zapisków osobistych, pamiętników i tym podobnych, świadczących o poważnym kryzysie. Dom Rity Nielsen sprawia wrażenie uporządkowanego, ozdobionego nieco infantylnie licznymi bibelotami i wyciętymi z gazet zdjęciami Madonny, oprawionymi w ramki. Podsumowując: nic, co mogłoby wskazywać na samobójstwo, co dopiero morderstwo”.

Rose podkreśliła podwójną linią jedno zdanie: „licznymi wyciętymi z gazet zdjęciami Madonny, oprawionymi w ramki”.

Dlaczego akurat to podkreślenie? Carl wytarł sobie nos. Czyżby i jemu zaczynał się katar? Nie, to pewnie nic takiego. Do jasnej cholery, nie może się przeziębic dzisiejszego wieczora. Przecież Mona czeka.

– Hm, nie wiem, dlaczego Rose uważa, że informacja o Madonnie jest taka ważna – stwierdził Carl. – Ale sprawa z kotem jednak dziwi.

Assad skinął głową. Mity o niezamężnych kobietach i ich podejściu do zwierząt domowych z pewnością nie były przesadzone. Jeśli ma się kota, to zadba się o niego, zanim podejmie się decyzję o czymś tak drastycznym jak samobójstwo. Albo umiera się razem z nim, albo zawczasu oddaje zwierzę jakimś dobrym ludziom.

– Zakładam, że nasi koledzy z Kolding też się nad tym zastanawiali – powiedział, ale Assad pokręcił głową.

– Nie. Przyjęli, że prawdopodobnie popełniła samobójstwo pod wpływem nagłego impulsu.

Carl skinął głową. Jest to oczywiście jakaś możliwość. W końcu znajdowała się daleko od domu i kota. Nigdy nic nie wiadomo.

W korytarzu zadudnił głos Rose:

– Wy dwaj, chodźcie no tutaj, natychmiast!

Co, u licha, zaczyna im jeszcze rozkazywać? To już jej nie wystarcza, że sama decyduje, którymi sprawami się zająć? Jeśli ma zamiar używać tego tonu na stałe, to najwyższy czas tak się odszczeknąć, że mała się załamie i na powrót zamieni w Yrsę. Wprawdzie druga osobowość Rose nie była taka bystra, ale przecież całkiem głupia też nie.

– Chodź, Carl – powiedział Assad, ciągnąc go za sobą. Widać był lepiej przeszkolony.

Ubrana na czarno od stóp do głów Rose wyglądała jak kominiarz, stojąc pośrodku swego gabinetu i zasłaniając ręką mikrofon telefonu, zupełnie niewzruszona pełnym dezaprobaty spojrzeniem Carla spod zmrużonych powiek.

– To Lone Rasmussen – wyjaśniła szeptem. – Musicie usłyszeć, co ma do powiedzenia. Później wszystko wyjaśnię.

Następnie odłożyła słuchawkę na biurko i włączyła tryb głośnomówiący.

– Pani Rasmussen, jest u mnie mój szef, Carl Mørck wraz z asystentem – powiedziała. – Czy mogłaby pani powtórzyć to, co przed chwilą mówiła pani mnie?

Nazwała go szefem, dobrze. Czyli wie nadal, kto tu podejmuje decyzje, to już coś. Carl skinął do niej z aprobatą. Jednak jakoś odszukała tę Lone Rasmussen. Nie najgorzej.

– Taak? – rozległo się przeciągle przez telefon. Matowy, zachrypnięty głos podobny do tego, z jakim mimowolnie kończą narkomani, jeśli nie zerwą z nałogiem. Właściwie nawet nie był stary, tylko wyjątkowo zużyty. – Słysząc mnie teraz?

Rose potwierdziła.

– No więc mówiłam tylko, że ona kochała tego zasranego kota i że inna dziwka, nie pamiętam, jak miała na imię, kiedyś się nim zajmowała, ale i tak o tym zapomniała, i Rita się wtedy tak na nią wściekła, że wywaliła to głupie babsko na zbity pysk. Więc jak Rita wyjeżdżała, to ja go karmiłam, takim jedzeniem z puszki, ale jak jej nie było dzień czy dwa, to kot dawał sobie radę sam. Znaczy, wszędzie srał, ale Rita to prostu sprzątała.

– Czyli mówi pani, że Rita nigdy nie zostawiłaby swego kota bez należytej opieki – naprowadzała ją Rose.

– Tak, właśnie! Dziwne to było. Nie sądziłam, że kot jest w mieszkaniu, a poza tym i tak nie miałam kluczy, nie dostawało się ich od Rity ot, tak. Wtedy wiedziałabym przecież, że to biedne stworzenie umiera z głodu, chyba to rozumiecie, co?

– Tak, doskonale to rozumiemy, pani Rasmussen. I jeszcze ta druga rzecz, którą mi pani powiedziała, mogłaby to pani powtórzyć? To o Madonnie.

– A, tak. Rita miała świra na jej punkcie. Normalnie świra, serio.

– Mówiła pani, że Rita była w niej zakochana.

– No raczej. Nie gadało się o tym, ale wszyscy o tym wiedzieliśmy.

– Czyli Rita Nielsen była lesbijką? – wtrącił Carl.

– O kurde, włączył się męski głos! – zarechotała ochryple. – Znaczy, Rita różnęła się ze wszystkim, co ma puls – tu zamilkła nagle i w purytańsko urządzonym wnętrzu Rose rozległ się dźwięk, jaki wydaje ktoś usiłujący ugasić bezbrzeżne pragnienie. – Osobiście nie sądzę, by kiedykolwiek odmówiła – ciągnęła, wzięwszy

kolejnych parę łyków. – Tylko wtedy, gdy robiła to dla pieniędzy i facet, czy kogo tam przyjmowała, był spłukany.

– Czyli nie sądzi pani, że Rita popełniła samobójstwo? – drążył Carl.

W odpowiedzi rozległ się długi, ochryply rechot, po którym nastąpiło:

– Nie, do kurwy nędzy, nie sądzę.

– I nie ma pani pojęcia, co mogło się stać?

– Zielonego pojęcia. To było dziwne, ale pewnie chodziło o pieniądze, choć na koncie dużo tego było, gdy sąd w końcu rozstrzygnął sprawę mieszkania. Chyba z osiem lat mu to zajęło.

– Wszystkie swoje środki i mieszkanie zapisała w testamencie Stowarzyszeniu Ochrony Kotów, prawda?

„Znów te koty” – pomyślał Carl. – „Nie, taka kobieta nie pozwoliłaby swemu kotu umrzeć z głodu”.

– Tak, wkurzające to było. Ja tam bym chętnie wydała z parę milionów – rozległo się słabiej po drugiej stronie.

– Dobrze – odezwał się Carl. – Pozwolę sobie podsumować. Kiedy Rita pojechała do Kopenhagi w piątek, miała pani wrażenie, że wróci do domu w sobotę. Dlatego nie zajmowała się pani kotem. Sądziła pani, że nocuje w domu w Kolding w nocy z soboty na niedzielę i że potem wybiera się dokądś na parę dni, i że być może będzie się wtedy pani opiekować kotem, ale nie wiedziała pani, czy w ogóle jest w mieszkaniu, czy tak?

– Tak, coś w ten deseń.

– Czy podobne sytuacje zdarzały się wcześniej?

– No jasne. Lubiła sobie wyjechać na parę dni. Jeździła do Londynu czy gdzieś tam, oglądać musicale, bo je lubiła. Kto by nie chciał, ale ją było stać, nie?

Ostatnie zdania były bardzo niewyraźne, więc Assad stał skoncentrowany, zaciskając oczy, jakby wokół szalała burza piaskowa. Ale Carl wszystko słyszał.

– Ostatnia rzecz. W dniu, kiedy ją ostatnio widziano, Rita kupiła papierosy, płacąc kartą kredytową. Wie pani, dlaczego nie zapłaciła gotówką? W końcu to dość mała kwota.

Lone Rasmussen się zaśmiała.

– Wujek fiskus przydybał ją kiedyś ze stu tysiącami koron, które trzymała w szufladzie. Możecie sobie wyobrazić, jak drogo ją to kosztowało, bo nie umiała

wyjaśnić, skąd ma tę kasę. Od tamtej chwili wszystkie pieniądze wpływały do banku, a ona nie wypłacała nawet korony. Kupowała wszystko kartą kredytową lub płatniczą. W wielu sklepach nie mogła robić zakupów, więc dawała sobie z nimi spokój. Nie mogli się więcej do niej przyczepić. I nie przyczepili się.

– Rozumiem. – Sprawa wyjaśniona. – Szkoda, że nie dostała pani jej pieniędzy – dodał prawie szczerze. Prawdopodobnie doprowadziłoby to tylko do śmierci Lone Rasmussen, ale za to w wielkim stylu.

– Fakt, ale dostałam jej meble i wyposażenie mieszkania, bo Stowarzyszenie Ochrony Kotów ich nie chciało. I dobrze, bo miałam same rupiecie.

Carl to sobie wyobraził.

Podziękowali i przerwali połączenie. Mogą zawsze zadzwonić znowu, zapewniła.

Carl kiwnął głową. Czyli w jej życiu niewiele się działo.

Rose patrzyła na nich przez dłuższą chwilę, upewniając się, że wszystko rozumieją. Oto sprawa z potencjałem, trzeba jej się uważnie przyjrzeć.

– Coś jeszcze, Rose? – spytał Carl. – Dawaj!

– Nie wiesz za dużo o Madonnie, co, Carl? – odpowiedziała wprost.

Spojrzał na nią ze zmęczeniem. W oczach takiej Rose, przebywającej na świecie sporo krócej niż on, wyglądało to zapewne tak, że jak człowiek przekroczy trzydziestkę, to kosztuje w swoich zapatrywaniach, a kiedy ma ponad czterdzieści lat, to nigdy nie był młody. Jak, do licha, te oczy postrzegały kogoś, kto miał pięćdziesiąt i sześćdziesiąt lat, albo i jeszcze więcej?

Wzruszył ramionami. Pomimo wieku wiedział oczywiście całkiem dużo o Madonnie. Ale Rose nie musiała wiedzieć, jak jedna z jego sympatii doprowadzała go do szału piosenką *Material Girl* albo jak Vigga tańczyła przed nim nagusienka na kołdrze, kręcąc erotycznie biodrami i wyjąc: „Papa don’t preach, I’m in trouble deep. Papa don’t preach, I’ve been losing sleep”. Zdecydowanie nie był to widok, który miał ochotę komuś relacjonować.

– No, coś tam jednak wiem – odparł Carl. – Ostatnio zrobiła się religijna, prawda?

Wcale nie zaimponował tym Rose.

– Rita Nielsen otworzyła swoją agencję call girls i salon masażu w Kolding w osiemdziesiątym trzecim roku, w lokalnym środowisku porno przedstawiając się

jako Louise Ciccone. Mówi ci to coś?

Assad uniósł palec.

– Ciccone, jadłem to. Taki makaron z mięsem, nie?

Spojrzała na niego z oburzeniem.

– Prawdziwe nazwisko Madonny brzmi Madonna Louise Ciccone. Lone Rasmussen mówiła mi, że w salonie masażu puszczano wyłącznie jej płyty i że Rita zawsze próbowała naśladować makijaż i fryzurę Madonny. Kiedy zaginęła, miała tlenione, falowane włosy, inspirowane Marilyn Monroe. Takie, jakie miała Madonna podczas tournée „Who’s that Girl”. Sam popatrz!

Kliknęła myszką i po chwili na ekranie pojawiło się wyjątkowo pikantne zdjęcie Madonny z profilu, na którym nosiła kabaretki i obcisły czarny trykot. W opuszczonej ręce trzymała luźno wiszący mikrofon, miała wyrazisty makijaż z ciemnymi brwiami i jasnoblonde włosy. Owszem, świetnie pamiętał, wręcz jakby to było wczoraj, choć nie było.

– Lone Rasmussen mówiła, że dokładnie tak wyglądała. Ciemny cień na powiekach i krwistoczerwone usta. Taka była Rita Nielsen, kiedy zniknęła. Owszem, starsza, ale ładna – stwierdziła.

– Fiuu!– powiedział Assad. Wiele potrafił wyrazić tym precyzyjnym, krótkim słowem.

– Przyjrzałam się zawartości schowka w aucie Rity – ciągnęła Rose. – Były tam wszystkie albumy Madonny na kasetach, również *Who’s that Girl*, choć samej kasety brakowało, bo pewnie była w skradzionym magnetofonie. No i jeszcze ta broszurka o Florencji i *Droga do północnych Włoch*. Wszystko to układało się w całość i przyszła mi na myśl pewna rzecz. Patrzcie.

Kliknęła ikonkę na pulpicie i na ekranie pojawiła się dokładnie ta sama fotka Madonny co przedtem. Identyczna, jeśli nie liczyć faktu, że pod nią, na pasku, widniał szereg dat, które wskazywała Rose.

– „June 14 and 15 Nishinomiya Stadium, Osaka, Japan” – przeczytał Assad na głos. Bardziej po japońsku się nie dało. Coś potwornego.

– Tak, wszystkie moje źródła mówią, że stadion w rzeczywistości nazywa się Nishinomiya, ale pies to drapał – powiedziała Rose z pewną wyższością błakającą się w kącikach czarnych ust. – Spójrzcie na sam dół listy, to się ubawicie.

Carl usłyszał, jak Assad jeszcze raz czyta na głos.

– „September 6 Stadio Comunale, Florence, Italy”.

– Okej, a który rok? – spytał Carl. – Niech zgadnę, osiemdziesiąty siódmy?

Kiwnęła głową, tym razem naprawdę podekscytowana.

– Tak, to niedziela oznaczona w kalendarzu Rity Nielsen czerwonymi ukośnymi kreskami. Jeśli chcecie znać moje zdanie, wybierała się na ostatni koncert Madonny z tournée „Who’s that Girl”. Jestem tego całkowicie pewna. Rita spieszyła się tylko z Kopenhagi do domu, by się spakować i jechać na południe oglądać występ swojej idolki we Florencji.

Assad i Carl spojrzeli po sobie. Broszury, opieka nad kotem, fascynacja piosenkarką – wszystko pasowało.

– Może da radę sprawdzić, czy zabukowała bilet na samolot z Billund na szósty września osiemdziesiątego siódmego roku?

Spojrzała na niego z rozczarowaniem.

– Już to zrobiłam, nie mają w systemie takich starych informacji. W mieszkaniu też niczego nie znaleziono, więc pewnie trzeba uznać, że bilety samolotowe i bilet na koncert miała ze sobą, kiedy zaginęła.

– Czyli prawie na pewno nie mamy do czynienia z samobójstwem – stwierdził Carl krótko, klepiąc Rose po ramieniu.

Carl czytał notatki Rose o Ricie. Śledzenie poczynąń Rity Nielsen było dla Rose stosunkowo prostą sprawą, bo od najwcześniejszej młodości Rita była bacznie obserwowana przez bardziej niż sceptyczny aparat państwowy. Zaangażowane były wszystkie instancje. Komitety ochrony praw dziecka, instytucje zajmujące się upośledzonymi umysłowo, policja, szpitale i więziennictwo. Urodzona 1 kwietnia 1935 przez prostytutkę, która nie zaprzestała pracy na ulicy, a Ritę wychowywała jakaś bardzo daleka rodzina. Włamania do sklepów w wieku pięciu lat, drobne przestępstwa przez jej cały sześcioletni tryb uczęszczania do szkoły. Ośrodek opiekuńczo-wychowawczy, dom dziecka dla dziewcząt i kolejne przestępstwa. Zaczęła się prostytuować w wieku piętnastu lat, ciąża w wieku siedemnastu, następnie aborcja i zarządzenie nadzoru kuratorskiego nad Ritą jako jednostką społeczną o ograniczonych zdolnościach. Rodzina wówczas już od jakiegoś czasu nie istniała.

Po okresie nadzoru znów prostytutka, a potem pobyt w zakładzie dla upośledzonych umysłowo Instytutu Kellera w Brejning. Zdiagnozowano u niej

lekkie upośledzenie umysłowe, a po kilku próbach ucieczki i agresywnych incydentach wielokrotnie była umieszczana w ośrodku dla kobiet na wyspie Sprogø w latach 1955–1961. Kolejny raz pod kuratelą rodziny, a po następnych paru przestępstwach zniknęła z rejestrów w okresie od lata 1963 do połowy lat siedemdziesiątych, kiedy to widocznie utrzymywała się jako tancerka w różnych dużych europejskich miastach.

Następnie założyła salon masażu w Aalborgu, dorobiła się na stręczycielstwie i jej problemy socjalne się skończyły. Najwyraźniej odrobiła lekcje, bo udało jej się dochrapać fortuny na prowadzeniu burdelu i biznesu z dziewczynami na telefon, nie budząc zainteresowania władz. Płaciła podatki i pozostawiła po sobie trzy i pół miliona koron, co w przeliczeniu na dziś odpowiadało co najmniej trzykrotności tej kwoty.

Carl wyrobił sobie własne zdanie podczas lektury. Jeśli Rita Nielsen była upośledzona umysłowo, to znał wielu innych, którzy też są.

Właśnie w tym momencie włożył łokieć do kałuży na biurku i stwierdził, że z jego nosa nakapało tyle, że można by napęłnić kubek.

– Jasna cholera! – zaklął, odchylając głowę w tył i błędząc palcami w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby wytrzeć nos.

Dwie minuty później stał na korytarzu, przerywając Rose i Assadowi, którzy wieszali kopie akt sprawy na mniejszej z wielkich tablic.

Carl spojrzął na drugą tablicę, ciągnącą się od drzwi Assadowego schowka na szczotki aż do gabinetu Rose. Znajdowało się na niej po jednej kartce z każdej nierozwiązanej sprawy, którą tu przyniesiono od chwili powstania Departamentu Q. Wszystkie uporządkowane chronologicznie. Wiele spraw było ze sobą połączonych kolorowymi sznurkami, które sugerowały możliwość ich wzajemnego powiązania. Ten prosty system został wymyślony przez Assada. Niebieski sznurek między sprawami, które według Assada miały coś wspólnego, i czerwono-biały sznurek między sprawami, które rzeczywiście były ze sobą powiązane.

Aktualnie było tylko parę niebieskich sznurków, ale żadnych czerwono-białych.

Nie ulegało wątpliwości, że Assad próbował temu zaradzić.

Carl przesunął wzrokiem po dokumentach. Było tu co najmniej sto kartek. Mydło i powidło, a poza tym pewnie cała masa takich które w ogóle nie powinny tu trafić. To było zupełnie jak szukanie w stogu siana zarówno igły, jak i nici, przy

jednoczesnej próbie nawleczenia nici na igłę z rękami błądzącymi w ciemności.

– Idę do domu – oznajmił. – Wydaje mi się, że podłapałem to samo świństwo co ty, Assad. Jeśli macie ochotę siedzieć tu dłużej, to moim zdaniem powinniście zdobyć gazety z okresu, kiedy zaginęła Rita Nielsen. Proponowałbym wydania od czwartego września osiemdziesiątego siódmego aż do piętnastego września. Zobaczmy, co się wtedy działo, bo ja nic z tego nie pamiętam.

Rose zaczęła kołysać biodrami.

– Może sobie wyobrażasz, że uda się nam błyskawicznie dotrzeć do czegoś, czego wtedy nie udało się ustalić mimo mozolnej pracy detektywistycznej?

Powiedziała „mozolnej”. Zabawne słowo w ustach stosunkowo młodej osoby.

– Nie. Nic sobie nie wyobrażam oprócz kilku godzin snu w domu przed gęsią świąteczną – odrzekł, wychodząc.

9

Sierpień 1987

Matka powtarzała Nete, że ma zręczne ręce. Jej zdaniem nie ulegało wątpliwości, że któregoś dnia córka zostanie doceniona za ich sprawność. Bo oprócz mądrej głowy takie zręczne, małe rączki są najważniejszym narzędziem, którym Bóg obdarzył ludzkość. Jej ojciec skwapliwie z tego korzystał, kiedy został z Nete sam.

Gdy przewracały się słupy w ogrodzeniu, to ona je podnosiła. Podobnie było w przypadku uszczelniania zbutwiałych koryt. Zbijała przedmioty za pomocą gwoździ, a zniszczone rozbijała na kawałki. I właśnie te zwinne ręce stały się jej przekleństwem na Sprogø. To one raniły się do krwi, gdy krzewy rozpleniały się na polach. To one przez cały dzień musiały pracować, nie dostając niczego w zamian. Przynajmniej niczego dobrego.

Potem nastąpiły dobre lata, kiedy rękom dano wytchnienie, ale teraz znów muszą działać.

Zmierzyła bardzo dokładnie pokój na tyłach mieszkania, na samym końcu korytarza, używając miarki krawieckiej. Metr po metrze – na wysokość, szerokość i długość. Od wyliczonej powierzchni odjęła okna i drzwi, po czym napisała zamówienie. Narzędzia, farba, kit szpachlowy, silikon, listwy, gwoździe, mocna folia w rolkach, taśmy uszczelniające, wełna mineralna, panele podłogowe i płyty gipsowe wystarczające do położenia dwóch warstw.

W sklepie z materiałami budowlanymi Nørrebros Tømmerhandel na ulicy Ryesgade zobowiązali się dostarczyć towar nazajutrz, co jej odpowiadało, bo przy obecnym obrocie spraw nie mogła dłużej czekać.

A kiedy to wszystko wniesiono do mieszkania, pokój został zaizolowany, a ścianki postawione w ciągu dnia, kiedy sąsiad z dołu był w pracy, a sąsiadka z naprzeciwka na zakupach lub spacerowała wokół Jezior ze swoim małym tybetańskim szczaczem dywanowym.

Nikt nie powinien słyszeć, co robi u siebie na czwartym piętrze po lewej. Nikt

nie miał prawa zobaczyć jej z młotkiem czy piłą w ręce. Nikt nie będzie jej nachodził z ciekawskimi pytaniami, bo mieszkając tu od dwóch lat, pozostaje anonimowa i zamierza utrzymać ten stan do końca swoich dni.

Bez względu na to, co ma w planach.

Gdy pokój był już gotowy, stanęła w drzwiach, przyglądając się z zadowoleniem efektom swojej pracy. Najtrudniej było zainstalować izolację i płyty gipsowe na suficie, ale było to jednocześnie najważniejsze, oprócz drzwi i podłogi, którą uniosła i zaizolowała dwiema warstwami folii i wełny mineralnej. Dostosowała drzwi tak, by wciąż otwierały się do wewnątrz, mimo że położyła dywan na panelach.

Jeśli nie liczyć różnicy poziomów w stosunku do korytarza, absolutnie nic nie przykuwało tu uwagi. Pokój był gotowy. Wyszpachlowany, świeżo pomalowany, z porządnymi listwami uszczelniającymi na drzwiach i oknach, urządzone tak samo jak przedtem. Obrazy na ścianach, bibeloty na parapetach i oczywiście stół jadalny pośrodku z koronkową serwetą i sześcioma krzesłami bez podłokietników, oprócz jej własnego krzesła, stojącego u szczytu.

Obróciła się do rośliny na parapecie i czubkami palców potarła ostrożnie jej liść. Zapach był brzydki, ale nie niemiły. Bo to właśnie ta woń, woń szaleju, sprawiała, że czuła się bezpiecznie.

Wszystkie dziewczyny na Sprogø szeptały o Gitte Charles, gdy przyплыnęła na wyspę na łódce z pocztą w środku lata 1956. Ktoś powiedział, że z wykształcenia jest pielęgniarką, ale to było niemożliwe. Sanitariuszką być może, ale nie pielęgniarką, bo poza dyrektorką żaden z pracowników nie miał wykształcenia, tyle Nete wiedziała.

Nie, dziewczyny szeptały głównie dlatego, że wreszcie pojawiło się coś miłego dla oka. Kiedy tak szła, machając kokieteryjnie rękami i stawiając długie, zamaszyste kroki, przypominające, jak któraś stwierdziła, kroki Grety Garbo, wyglądała naprawdę wyjątkowo. Zdecydowanie odróżniała się od tych podstarzałych, zgorzkniałych bab, które albo były starymi pannami, albo rozwódkami, albo wdowami i z tego powodu musiały szukać zatrudnienia w tym piekielnym miejscu.

Gitte Charles miała proste plecy, była blondynką, jak Nete, z delikatnym

puszkiem na karku i z pięknie upiętymi włosami, na co nie pozwalała sobie nawet dyrektorka. Kobieta, gibka i dokładnie taka, jaka pragnęła być Nete i wiele innych dziewcząt.

Owszem, dziewczyny rzucały Gitte Charles zazdrosne, a niekiedy pożądliwe spojrzenia, ale wkrótce rozumiały, że za delikatnym wyglądem czai się diabeł. I wszystkie trzymały się od niej z daleka, oprócz Rity.

Gdy Charles, bo tak ją nazywano, znudziła się towarzystwem Rity, jej błękitne oczy spoczęły na Nete. Obiecywała jej codzienną pomoc, bezpieczeństwo, a może nawet możliwość wydostania się z wyspy.

Wszystko było jedynie kwestią tego, czy Nete zechce być miłą dla Charles. A gdyby przypadkowo wygadała się, co je łączy... lepiej niech więcej nic nie pije, jeśli chce żyć – powiedziała Charles. Bo może w tym być szaleńczo czarna.

Właśnie dzięki odrażającej groźbie tej kobiety Nete poznała szaleńczo i jego przerażające właściwości.

– *Hyoscyamus niger* – oznajmiła Charles dramatycznie i powoli, by podkreślić powagę. Już od samej nazwy Nete dostała gęśniej skórki. – Podobno używały go czarownice, by móc polecieć na sabat – ciągnęła. – I jeśli następnie je schwytano, księża i kaci używali tego samego zieleń, by oszołomić ich zmysły podczas tortur. Dlatego nazywali go maścią czarownic, więc mówię ci tylko: uważaj na niego. Może jednak będzie lepiej się do mnie dostosować?

W rezultacie Nete dostosowywała się miesiącami; ten czas był pod wieloma względami najgorszy na Sprogø.

Gdy spoglądała na morze, widziała nie tylko fale, które mogłyby ją zabrać z wyspy i ponieść ku wolności, ale też fale, które mogły wciągnąć ją w głębinę. W ciemność, gdzie nikt już by jej nie znalazł i nie skrzywdził.

Nasiona szaleńczo były jedyną rzeczą, jaką Nete zabrała ze sobą ze Sprogø, gdy w końcu opuściła wyspę. Owoce czterech lat harówki i gehenny.

Kiedy znacznie później zdobyła wykształcenie laborantki, usłyszała o wykopaliskach na terenie klasztoru, podczas których aktywowały się kilkusetletnie nasiona szaleńczo, i wkrótce potem zasiała swoje własne, stare nasiona w doniczce w nasłonecznionym miejscu.

Po krótkim czasie wyrosła z niej zielona, solidna roślina, jak jakiś feniks z popiołów, kiwając na nią jak do starej znajomej, która wyjechała na jakiś czas,

ale zdążyła już wrócić.

Przez kilka lat królowała w ziemi w Havnegaard, po czym jej potomkowie zostali zastąpieni swoimi latoroślami, które teraz rosły w mieszkaniu na poddaszu na Nørrebro. Wszystkich poprzedników Nete wysuszyła i schowała wraz z ubraniami, które miała na sobie, kiedy wydostała się ze Sprogø. To były relikwie z tamtych czasów. Ścięte liście, torebki nasienne, zasuszone łodygi i poskręcane reminiscencje czegoś, co kiedyś było pięknymi, białymi kwiatami o czarnych żyłkach i czerwonym oczku pośrodku. Nete zebrała z rośliny dwa woreczki z materiałem organicznym, wiedząc dokładnie, jak go użyć.

Może swego czasu to właśnie obecność szaleju i jego niezgłębionych sekretów sprawiła, że Nete zapragnęła zdobyć zawód laborantki. Może to on skłonił ją do zajęcia się chemią i całą jej istotą.

W każdym razie mając już zaawansowaną wiedzę o substancjach i ich działaniu na człowieka, potrafiła lepiej zrozumieć, jakiemu cudownemu i zabójczemu narzędziu natura pozwoliła rosnąć dziko na Sprogø.

Po paru próbach w kuchni na czwartym piętrze udało jej się sporządzić ekstrakt z trzech najważniejszych, aktywnych części rośliny. Wszystko wypróbowała na sobie w małych, rozcieńczonych dawkach.

Hioscyjamina przyprawiła ją o silne zatwardzenie i suchość w ustach, lekką opuchliznę na twarzy i w jamie ustnej i, oględnie mówiąc, dziwny rytm serca, ale nie zachorowała.

Bardziej bała się skopolaminy. Wiedziała, że zaledwie 50 mg stanowi dawkę śmiertelną. Nawet w małych dawkach skopolamina wykazywała silne właściwości nasenne, a do tego miała również efekt euforyzujący. Nic dziwnego, że używano jej podczas drugiej wojny światowej jako serum prawdy. W poczuciu otępienia człowiekowi robiło się po prostu wszystko jedno, co mówi i myśli.

I wreszcie atropina. Również bezbarwny alkaloid krystaliczny, który można znaleźć, podobnie jak pozostałe, w roślinach z rzędu psiankowatych. Być może przy zażyciu tej substancji Nete nie była tak ostrożna jak w przypadku pozostałych, w każdym razie miała po niej zaburzenia wzroku, poważne problemy z mową, gorączkę, zaczerwienioną, piekącą skórę i halucynacje, które niemal doprowadziły ją do utraty przytomności.

Koktajl z tych trzech składników będzie bez wątpienia stanowić śmiertelną

substancję przy zachowaniu odpowiednio wysokiego stężenia. Nete wiedziała, że można je uzyskać, gotując wszystko jak mocną herbatę, a następnie odparowując 95% wody.

Trzymała w ręce całkiem sporą butelkę ekstraktu z tych substancji; wszystkie okna były zaparowane, a w całym mieszkaniu unosił się ciężki, gorzki zapach.

Pozostało już tylko odmierzyć odpowiednią dawkę dla danego organizmu.

Nete nie używała komputera męża, odkąd się tu wprowadziła. Po co miałyby to robić? Nie było do kogo ani o czym pisać, żadnych rachunków ani korespondencji biznesowej. Żadnych arkuszy kalkulacyjnych czy dokumentów tekstowych. Ten czas już się skończył.

Ale w ten czwartek w sierpniu 1987 roku włączyła komputer i słuchając jego szumu i patrząc na pojawiający się z wolna zielony obraz na ekranie, czuła mrowienie w ciele i ssanie w żołądku.

Gdy listy zostaną napisane i wysłane, nie będzie już odwrotu. Droga biegnąca przez życie Nete zwięźła się, by mimowolnie zakończyć się jako ślepa uliczka. Tak to postrzegała, tego chciała.

Napisała kilka wersji listu, który zamierzała wysłać. Ostateczna brzmiała tak:

Drogi/Droga...

Nie widzieliśmy/widziałyśmy się już od wielu lat. Lat, które, mogę z dumą powiedzieć, powoli ułożyły się w dobre życie.

Przez te liczne lata rozmyślałam nad swoim losem i doszłam do wniosku, że wszystko, co się działo, nie mogło się wydarzyć inaczej, również z mojej winy, jak teraz rozumiem.

Dlatego wszystkie dawne wydarzenia, przykre słowa i nieporozumienia już mnie nie dręczą. Wręcz przeciwnie. Czuję duży spokój, patrząc wstecz i wiedząc, że przez to wszystko przeszłam i że nadszedł czas pojednania.

Jak być może wiesz z prasy, przez jakiś czas byłam żoną Andreasa Rosena, a spadek po nim uczynił ze mnie bardzo zamożną kobietę.

Los jednak chciał, że zapadłam na nieuleczalną chorobę i w tej chwili przebywam w szpitalu. Czasu zostało mi już niewiele.

Jako że z przyczyn wiadomych nie mogłam zostawić po sobie

spadkobierców, zdecydowałam, że podzielę się bogactwem z ludźmi, których drogi przecięły się z moją na dobre i na złe.

W związku z tym chciałabym zaprosić Cię, byś przyszedł/przyszła do mojego mieszkania na Peblinge Dossering 32 w Kopenhadze

W ŚRODĘ 4 WRZEŚNIA 1987 O GODZINIE...

Na miejscu będzie również mój adwokat, który dopilnuje, by na Twoje konto wpłynęło dziesięć milionów koron. Oczywiście, będziesz musiał/musiła odprowadzić podatek od tej darowizny, ale o to również zadba adwokat, więc nie musisz się tym kłopotać.

Jestem pewna, że potem będziemy mogli/mogły porozmawiać o naszym niespokojnym życiu. Mnie przyszłość nie może już niestety zbyt wiele zaoferować, ale za to chciałabym osłodzić Twoją. Da mi to radość i spokój ducha.

Mam nadzieję, że czujesz się dobrze, jesteś zdrowy/zdrowa i gotowy/gotowa na spotkanie ze mną. Jak już napisałam, bardzo mnie to ucieszy.

Wiem, że piszę na ostatnią chwilę, ale jestem pewna, że bez względu na swoje uprzednie plany na ten dzień uznasz, że ta krótka podróż będzie warta zachodu.

Proszę Cię o zabranie ze sobą tego zaproszenia i stawienie się punktualnie w podanym terminie, jako że adwokat i ja mamy tego dnia także inne zajęcia i spotkania.

Dołączam czek na dwa tysiące koron na pokrycie kosztów Twojej podróży.

Czekam na spotkanie z Tobą. Zapewni mi ono wielki spokój ducha, może Tobie również.

Najserdeczniejsze pozdrowienia

Nete Hermansen

Kopenhaga, czwartek 27 sierpnia 1987

„To odpowiedni list” – pomyślała, kopiując go do sześciu plików. Opatrzyła każdy szablon odpowiednim imieniem i terminem spotkania, wydrukowała je

i podpisała. Starannie i pewnie. Te sześć osób nigdy nie widziało takiego podpisu spod jej ręki.

Sześć listów. Curt Wad, Rita Nielsen, Gitte Charles, Tage Hermansen, Viggo Mogensen i Philip Nørvig. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie napisać jeszcze do swoich dwóch żyjących braci, ale zrezygnowała. Byli wtedy bardzo młodzi i mało ją znali. Poza tym byli na morzu, kiedy to się działo, a Mads, najstarszy brat, już umarł. Nie, nie można ich winić.

Dlatego teraz leżało przed nią sześć kopert. Powinno ich właściwie być dziewięć, ale wiedziała, że w trzech przypadkach uprzedziła ją śmierć, więc te rozdziały były już definitywnie zamknięte.

Śmierć zdążyła zabrać jej nauczycielkę, ordynatora i dyrektorkę. Oni się wymusknęli. Ich troje mogło się tak po prostu zlitować. Czy raczej postąpić sprawiedliwie. Bo każde z nich wyrządzało krzywdę i popełniało potworne błędy, choć przeszli przez życie, wierząc niezachwianie, że było odwrotnie. Że ich działania i życie przysłużyły się nie tylko społeczeństwu, ale też tym nieszczęśnikom, których dotyczyły.

Właśnie to dręczyło Nete. Szlag by to trafił, jak bardzo ją dręczyło.

– Chodź no tu do mnie! – warknęła jej nauczycielka. A gdy Nete się wahała, przeciągnęła ją za ucho na tyły budynku szkoły.

– Ty przeklęty potworze! Ty głupia, tępą dziewucho, jak śmiesz?! – krzyknęła i uderzyła ją w twarz swoją kościstą ręką. A gdy Nete płaczliwie zawołała, że nie rozumie, za co jest bita, nauczycielka uderzyła ją ponownie.

Rozejrzała się wokół, leżąc na ziemi, gdy pochylała się nad nią rozwścieczona twarz. Pomyślała, że zabrudziła sukienkę i że jej tacie będzie przykro, bo na pewno była droga. Próbowała ukryć się za kwiatami jabłoni opadającymi z drzew, za śpiewem skowronka, który wibrował w powietrzu nad nimi wszystkimi, za beztróskim śmiechem koleżanek po drugiej stronie budynku.

– Miarka się przebrała, nie chcę cię więcej widzieć, ty wstrętny bachorze, rozumiesz? Ty bluźniąca, nieprzyzwoita dziewucho!

Ale Nete nie rozumiała. Bawiła się z chłopakami, oni spytali, czy mogłaby podnieść sukienkę, a gdy ona, chichocząc, to zrobiła, pokazując duże, różowe majtki, odziedziczone po matce, wszyscy śmiali się do rozpuku, bo to było takie proste i bezproblemowe. Dopóki nauczycielka nie wpadła między nich i nie

zdzieliła wszystkich dookoła po twarzach. Grupka się rozpierzchnęła, została tylko Nete.

– Ty mała dziwko! – zawołała kobieta. Nete wiedziała, co to znaczy, dlatego odparowała, że wcale nie jest dziwką, a jeśli ktoś ją o to oskarża, to pewnie sam nią jest.

Przy tych słowach białka w oczach nauczycielki stały się niemal niewidoczne.

Dlatego za budynkiem szkoły tak mocno uderzyła Nete i dlatego sypnęła jej zwirem w twarz i ryknęła, że od tej chwili nie chodzi już do ich szkoły, a jeśli nadarzy się okazja, już ona oduczy tę małą wywłokę pyskowania. Zważywszy, jak zachowywała się przez wszystkie dni szkoły, nie zasługuje w życiu na nic dobrego. A to, co Nete zrobiła teraz, nie da się nigdy, przenigdy naprawić. W każdym razie już ona tego dopilnuje.

I tak się stało.

10

Listopad 2010

Zostały trzy i pół godziny do chwili, kiedy Carl miał stawić się u Mony w świeżo ułożonych włosach i wyprasowanej koszuli i wyglądać na kogoś, z kim chciałoby się przeżyć upojną noc.

Spojrzał zniechęcony na swoją poszarzałą twarz w lusterku wstecznym, parkując samochód służbowy przed skrajnym szeregowcem w Allerød. Trudno o bardziej niewykonalne zadanie.

„Dwugodzinna drzemka powinna pomóc” – pomyślał na sekundę przed tym, jak zobaczył Terjega Plouga wchodzącego na parking.

– Co znowu? – zawołał, wysiadając z auta.

Ploug wzruszył ramionami.

– Sprawa z pistoletem na gwoździe, sam wiesz. Musiałem usłyszeć wersję Hardy’ego.

– Słyszałeś ją co najmniej pięć razy.

– Tak, ale może przypomniał sobie coś nowego.

Widać było jak na dłoni, że Ploug coś wywęszył. Należał do najskrupulatniejszych osób na komendzie. Kto inny przejechałby skwapliwie trzydzieści pięć kilometrów, by dołożyć dREW do ognia zwanego podejrzeniem?

– I co, przypomniał sobie?

– Może.

– Jak to „może”, do cholery?

– Sam go spytaj – powiedział i machnął na pożegnanie, przykładając palce do skroni.

Już w przedsionku Morten Holland wybiegł mu na spotkanie. Z tym lokatorem naprawdę trudno było zachować prywatność.

Morten spojrzał na zegarek.

– Jak to dobrze, że jesteś tak wcześnie, Carl. Naprawdę dobrze. Tyle się działo

w domu. Nie wiem, czy to wszystko spałem. – Całkiem się zadyszał, rapując swoimi krótkimi zdaniami. Ostatnia rzecz, jakiej Mørck w tej chwili potrzebował.

– Prrrr! – powiedział Carl, ale to nie powstrzymało jakoś studwudziestokilowej masy mięśni i tłuszczu z galopującym katarem strun głosowych.

– Właśnie przez godzinę rozmawiałem z Viggą przez telefon. Jest bardzo źle, musisz natychmiast do niej zadzwonić.

Carl zwiesił głowę. Jeśli dotąd nie był poważnie chory, to teraz już jest. Jak to się, u licha, dzieje, że jego żona, z którą nie mieszka od lat, wciąż potrafi tak skutecznie zadziałać na jego system odpornościowy?

– Co mówiła? – spytał ze zmęczeniem.

Ale Morten Holland zasłonił się w obronnym geście swoimi bladymi rękami i machnął nimi kokieteryjnie. Niech Carl sam się dowie.

Jeszcze to.

– Coś poza tym się działo, oczywiście oprócz wizyty Terjego Plouga? – spytał resztką sił. Lepiej mieć to już za sobą, zanim padnie zemdlony.

– Tak, dzwonił Jesper z kursu przygotowawczego. Mówił, że ukradli mu portfel.

Carl pokręcił głową. Ten jego przybrany syn! Prawie trzy lata w liceum w Allerød, po czym wylatuje tuż przed końcowymi egzaminami. Na świadectwach same nędzne oceny. A teraz na drugim roku kursu przygotowawczego do egzaminu HF w Gentofte przeprowadzki protestacyjne to do domku letniskowego Viggę w Islev, to do szeregowca Carla w Allerød. Co drugi dzień inna dziewczyna u niego w pokoju, imprezy, burdy i problemy. Ale tak to przecież jest.

– Ile miał w tym portfelu?

Morten zamrugał. Aż tyle?

– Musi sobie z tym sam poradzić – oświadczył Carl, wchodząc do salonu. – Cześć, Hardy – powiedział cicho.

Chyba najgorsze było to, że gdy się wchodziło, na szpitalnym łóżku nigdy nie było najmniejszego ruchu. Że nie przywitał się nawet najdrobniejszym poruszeniem w pościeli, że nie wyciągnął ręki, którą Carl mógłby ująć.

Pogładził swego sparaliżowanego przyjaciela po czole, jak to miał w zwyczaju. Spotkało go spojrzenie niebieskich oczu, które marzyły o wszystkim innym niż to, co je otaczało.

– Oglądasz DR Update – stwierdził Carl i skinął w stronę telewizora z płaskim

ekranem, stojącego w rogu.

Hardy wygiął usta w podkówkę. Czym innym miał się zajmować?

– Był tu Terje Ploug – powiedział.

– Tak, spotkałem go na zewnątrz. Sugerował, że możesz wnieść do sprawy coś nowego, dobrze zrozumiałem? – Carl odsunął się nieco, czując łaskotanie w nosie, ale kichnięcie umarło śmiercią naturalną. – Przepraszam, będę się lepiej trzymał na dystans. Chyba mnie coś, kurde, bierze. Prawie wszyscy na komendzie są chorzy.

Hardy zdobył się na wymuszony uśmiech. Nie miał już ochoty zajmować stanowiska wobec słowa „chory”.

– Ploug opowiedział mi dziś trochę więcej o tych znalezionych zwłokach.

– Tak, były w fatalnym stanie. Poćwiartowane i powkładane do małych worków na śmieci. Te worki oczywiście trochę zahamowały proces rozkładu, ale i tak nazwałbym go nader mocno posuniętym.

– Ploug mówi, że znaleźli mniejszy worek, który najwidoczniej znajdował się w czymś w rodzaju próżni – relacjonował Hardy. – Uważa, że w środku było gorące powietrze, po czym worek bardzo szybko schłodzono. W każdym razie ciało jest bardzo dobrze zachowane.

– Aha. Czyli na pewno są tam pełnowartościowe ślady DNA. A to by oznaczało, że jesteśmy nieco bliżej wyjaśnienia. Myślę, że nam obu jest to potrzebne.

Hardy spojrzał wprost na niego.

– Zasugerowałem Plougowi, żeby sprawdzili, czy ten człowiek może być innego pochodzenia etnicznego niż my.

Carl przechylił głowę na bok, czując, jak znów cieknie mu z nosa.

– Dlaczego?

– Bo kiedy Anker mieszkał u Minny i u mnie, powiedział mi, że bił się z jakimś zasranym obcokrajowcem tego wieczora, gdy wrócił do domu w zakrwawionym ubraniu. Tyle że to nie było zakrwawione ubranie takie jak po normalnej bójce. W każdym razie nie po takiej, w jakich ja brałem udział.

– Ale co to ma, u diabła, wspólnego z tą sprawą?

– Sam się nad tym zastanawiam. Ale coś mi mówi, że Anker zdrowo przeginał, okej? Przecież już o tym rozmawialiśmy.

Carl kiwnął głową.

– Pogadamy o tym jutro, Hardy. Muszę iść teraz do łóżka przespać się parę

godzin, żeby wypocić to cholerstwo. Wieczorem idę do Mony na gęś świąteczną z niespodziankami, jak twierdzi.

– W takim razie dobrej zabawy. – Gorzko to zabrzmiało.

Carl walnął się na łóżko i pomyślał o kuracji kapeluszowej. O ile dobrze wiedział, jego ojciec wciąż ją stosował podczas choroby.

„Kładziesz się do takiego łóżka ze słupkami – mawiał. – Na jednym słupku wieszasz kapelusz, sięgasz po flaszkę wody, która zawsze powinna stać na szafce nocnej, i pijesz, dopóki nie zobaczysz kapelusza na obu słupkach. Gwarantuję, że następnego dnia będziesz zdrowy. Albo będzie ci totalnie wszystko jedno”.

Owszem, kuracja działała za każdym razem, ale co w przypadku, kiedy człowiek parę godzin później ma prowadzić samochód? Jeśli nie chce załatywać wódką? Bo za taki stan Mona z pewnością go nie nagrodzi owacjami.

Westchnął kilka razy, litując się nad sobą. Sięgnął jednak po swoją whisky Tullamore i wziął parę łyków. Przecież nie zaszkodzi.

Następnie wystukał numer Viggi na komórce, nabrał powietrza i czekał, wstrzymując oddech. Zazwyczaj działało uspokajająco.

– Och, jak dobrze, że dzwonisz – zaświergotała Vigga. Czyli wiadomo już, że kiepsko to wygląda.

– Wal śmiało. Jestem zbyt zmęczony i chory, żeby owijać w bawełnę.

– Jesteś chory! Zawsze możemy porozmawiać o tym innym razem.

O Jezu! Przecież doskonale wiedziała, że on wie, że ona nie mówi tego poważnie.

– Chodzi o pieniądze? – spytał.

– Carl! – Jej głos był aż nadto rozentuzjasmowany. Dlatego Mørck wziął szybki łyček whisky. – Gurkamal mi się oświadczył!

W tej samej sekundzie Carl przekonał się, że whisky w nosie to dość piekąca sprawa. Kaszlnął parokrotnie i otarł wydzielinę z czubka nosa, starając się nie zwracać uwagi na oczy, które momentalnie nabiegły łzami.

– Vigga, to jest bigamia, do jasnej cholery. Jesteś moją żoną, pamiętasz?

Zaśmiała się.

Carl uniósł się na łóżku i odstawił butelkę.

– Powiedz mi no, czy właśnie w ten sposób dajesz mi znać, że chcesz rozwodu? Myślisz sobie, że w świąteczną środę będę siedział w łóżku, śmiejąc się serdecznie

na wieść, że obracasz w perzynę całe moje życie? Vigga, do kurwy nędzy, nie stać mnie na rozwód, przecież wiesz. Nie będę mógł zachować domu, w którym mieszkam, jeśli podzielimy majątek. A jest to dom, w którym mieszka twój syn i w którym schronienie ma dwóch lokatorów. Nie możesz tego żądać, Vigga. Czy ty i ten Ogórkemal nie możecie po prostu zamieszkać razem, dlaczego koniecznie musicie brać ślub?

– Nasz anand karadź odbędzie się w Patiali, gdzie mieszka jego rodzina, czy to nie fantastyczne?

– Hola, hola, stop, Vigga! Nie słyszysz, co mówię? Jak mam według ciebie załatwić teraz kwestię rozwodu? Ustaliliśmy przecież, że się dogadamy, jeśli do tego dojdzie? I kogo mam karać? Nie nadażam.

– Anand karadź, głupku. Kiedy pochylamy się nad świętą księgą Sri Guru Granth Sahib, by publicznie pokazać, że chcemy się pobrać.

Carl przebiegł wzrokiem po ścianie sypialni. Wisiały na niej nadal dywaniki z czasów, gdy Vigga zagłębiała się w hinduizm i misteria Bali. Czy istnieje w ogóle jakaś religia, z którą przez te wszystkie lata nie wdała się w płomienny romans?

– Teraz to już nic nie rozumiem. Czy ty poważnie myślisz, że wyskoczę z trzystu czy czterystu tysięcy koron, by wydać cię za faceta w turbanie kryjącym półtora kilometra włosów, by mógł cię ciemnieć cały boży dzień?

Zachichotała jak pensjonarka, której udało się przeforsować przekłucie uszu.

Jeśli nie przestanie, Carl zaraz zemdleje. Sięgnął na szafkę po papierową chusteczkę i wydmuchał nos. O dziwo, nic z niego nie wypłynęło.

– Carl! Słyszę, że nie masz pojęcia o nauce Guru Nanaka. Sikhizm opowiada się za równouprawnieniem, medytacją i zarabianiem na życie w uczciwy sposób. Dzielą się z biednymi i bardzo wysoko cenią pracę. Nie znajdziesz czystszy sposobu na życie niż ten, który praktykują sikhowie.

– Okej, skoro już koniecznie muszą dzielić się z biednymi, to Ogórkemal może przecież zacząć od podzielenia się ze mną. Powiedzmy, dwieście tysięcy koron i jesteśmy kwita?

Znów ten śmiech, który nijak nie chciał się skończyć.

– Spokojnie, Carl. Pożyczysz pieniądze od Gurkamala, zanim dasz je mnie. Dostaniesz bardzo nisko oprocentowaną pożyczkę, więc nie ma się czym martwić. Szeregowce w Rønneholtparken w podobnym standardzie sprzedają się obecnie za

jeden przecinek dziewięć miliona, a my jesteśmy winni jeszcze sześćset tysięcy, więc wysupłasz połowę z pozostałego miliona przecinek trzy i możesz do tego zachować całe wyposażenie.

Połowę! Sześćset pięćdziesiąt tysięcy koron!

Carl zszokowany opadł na oparcie, rozłączając się w ciszy.

Teraz jego problemem już nie była infekcja, tylko przygniatający klatkę piersiową ciężar ołowiu.

Poczuł jej zapach, jeszcze zanim otworzyły się drzwi.

– Wejź. – Mona pociągnęła go za rękę.

Szczęście potrwało jeszcze trzy sekundy, dopóki raptownie nie skręciła do jadalni, konfrontując go z ubraną w obcisłą i ultrakrótką czarną sukienkę postacią, która nachylała się nad stołem i zapalała świece.

– A oto i Samantha, moja młodsza córka – powiedziała. – Cieszyła się, że cię pozna.

Spojrzenie, jakim obdarzył go klon Mony w dwadzieścia lat młodszym wydaniu, nie wyrażało aż takiej uciechy. Wręcz przeciwnie, szybko zlustrowała jego posuwające się zakola, nie do końca harmonijną sylwetkę i węzeł krawata, który nagle wydał mu się za mały. Dało się zauważyć, że ten widok jej nie zaimponował.

– Cześć, Carl. – Zdołała w tym krótkim powitaniu zademonstrować swoją niechęć wobec faktu, że jej matka sięgnęła do przepastnej szuflady z napisem „mężczyźni wyglądający jak siódme nieszczęście”.

– Cześć, Samantho – odrzekł, usiłując odsłonić garnitur zębów w czymś, co miało wyglądać na entuzjastyczny uśmiech. Co, u licha, musiała naopowiadać jej Mona, skoro rozczarowanie na twarzy jej córki jest aż tak widoczne?

Sytuacja nie uległa poprawie, gdy do pokoju wparował chłopczyk, doskoczył do kolan Carla i wbił w nie plastikowy miecz.

– Jestem groźnym bandytą! – wrzasnęło kędzierzawe blond monstrum imieniem Ludwig.

Niech to szlag, przeziębienie zniknęło z każdą chwilą. Jeszcze parę wstrząsów i zupełnie wyzdrowieje.

Przetrawił pierwsze danie z uśmiechem i zmrużonymi oczami, czego nauczył się z niezliczonych powtórek filmów z Richardem Gere'em, ale gdy na stół wjechała gęś, Ludwig wybałuszył oczy.

– Kapie ci z nosa do sosu! – oświadczył i wskazał czubek nosa Carla, prowokując tym samym u swojej matki parę okazałych skurczów żołądka.

Gdy chłopak zaczął pleść o bliźnie na skroni Mørcka, nazywając ją wstrętną, i nie chciał uwierzyć, że ten ma pistolet, Carlowi wyczerpały się możliwości kontrataku.

„Błagam” – pomyślał, wznosząc oczy ku niebu. „Jeśli mi nie pomożesz, pewien chłopiec za dziesięć sekund zostanie przełożony przez kolano”.

Z opresji nie wyratowała go bynajmniej piękna babcia i jej wyczucie sytuacji ani też gen dobrego wychowania dochodzący do głosu u młodej matki. Wybawiło go natomiast bzyczenie dobiegające z tylnej kieszeni, wieszczące, że spokój tego wieczoru na szczęście dobiega końca.

– Przepraszam. – Uniósł jedną rękę w stronę obu kobiet, drugą zaś sięgając po komórkę. – Tak, Assad? – zaczął, widząc na wyświetlaczu imię współpracownika. W obecnej chwili gotów był zareagować nawet na największą bzdurę, jeśli tylko byłaby mu na rękę. Byle się stąd wyrwać.

– Wybacz moje przeszkadzanie, Carl. Ale możesz mi powiedzieć, ile zaginięć rocznie zgłasza się w Danii?

Enigmatyczne pytanie, które aż prosi się o enigmatyczną odpowiedź. Idealnie.

– Sądzę, że około tysiąca pięciuset. Gdzie jesteś? – To pytanie zawsze dobrze brzmi.

– Rose i ja jeszcze jesteśmy w piwnicy. I ilu z tych tysiąca pięciuset wciąż jest tak poszukiwanych po roku, Carl?

– To zależy. Powiedziałbym, że maksymalnie dziesięć osób.

Carl wstał od stołu, próbując robić wrażenie szalenie zaabsorbowanego.

– Mamy przełom w sprawie? – spytał. To też dobry tekst.

– Nie wiem – odparł Assad. – Ty mi powiedz. Bo tylko w tym samym tygodniu, w którym zaginęła ta burdelkobieta Rita Nielsen, zgłoszono też zaginięcie dwóch innych osób, a w kolejnym tygodniu jeszcze jednej i nikt z nich nigdy się nie odnalazł. Nie sądzisz, że to bardzo dziwne? Cztery osoby przez parę dni, Carl, co ty na to? To przecież tyle, co normalnie znika przez pół roku.

– Boże święty, zaraz tam będę! – zabrzmiała fantastyczna replika końcowa całej tej rozmowy, choć Assad zapewne trochę się zdziwił. Kiedy ostatnio zareagował tak błyskawicznie?

Carl zwrócił się do towarzystwa:

– Przepraszam! Pewnie zauważyliście, że jestem dziś trochę rozkojarzony. Po części dlatego, że jestem bardzo mocno przeziębiony, więc mam ogromną nadzieję, że nikogo nie zarazę. – Pociągnął nosem, by to podkreślić i stwierdził, że nos znów jest suchy. – Hm, a po części dlatego, że mamy obecnie do ogarnięcia cztery przypadki zaginięć i wyjątkowo koszmarnie morderstwo na Amager. Bardzo mi przykro, ale muszę już iść. W przeciwnym razie to może się źle skończyć.

Utkwił wzrok w Monie, która wyglądała na mocno zafrasowaną. Zupełnie inna postawa niż ta, którą przybierała w fotelu terapeutki.

– Chodzi o tę starą sprawę, w którą byłeś wmieszany? – spytała, puszczając mimo uszu jego komplementy dotyczące wszystkich atrakcji wieczoru. – Musisz uważać. Wciąż nie zdajesz sobie sprawy, jak mocno to na ciebie oddziałuje, Carl?

Skinął głową.

– Owszem, to również ta sprawa. Ale nie martw się mną, nie zamierzam się w nic wpakować. Wszystko ze mną dobrze.

Zmarszczyła brwi. Co za cholernie gówniany wieczór. Normalnie dwa kroki wstecz. Niefortunny debiut w gronie rodzinnym. Córka go nie znosiła. On nie znosił wnuka. Ledwie spróbował gęsi, za to nasmarkał do sosu, a do tego Mona musiała wrócić do tej przekłętej sprawy. Pewnie znów na niego napuści tego psychologa z Bożej łaski, Krisa.

– Zupełnie dobrze – podsumował, celując w chłopca palcami ułożonymi w rewolwer i z uśmiechem pozorując wystrzał.

Następnym razem lepiej będzie dopytać Monę, na czym polegają jej niespodzianki.

Sierpień 1987

Tage usłyszał skrzypienie klapki skrzynki pocztowej i zaczął kląć. Odkąd sprawił sobie plakietkę „Reklamom dziękujemy”, korespondencję otrzymywał tylko z urzędu skarbowego, a ci przecież nigdy nie mieli dobrych zamiarów. Dlaczego, do cholery, tak się czepiali tych paru nędznych groszy, które zarabiał na czarno, łatając opony, szczotkując chłopakom świece i czyszcząc karburatory w skuterach? W ogóle tego nie rozumiał. Może lepiej, jakby wyciągał rękę po socjal w Middelfarcie albo plądrował domki letniskowe przy Skårup Strand, jak ci kolesie, z którymi pił?

Sięgnął po butelkę po winie, stojącą między łóżkiem a skrzynką po piwie, której używał jako szafki nocnej, sprawdził, czy w nocy ją wypełnił, po czym przyłożył butelkę do krocza i nasikał do pełna. Potem wytarł ręce w poszwę kołdry i powoli się podniósł. Zaczynał mieć dość tego, że pomieszkuje u niego ta szara myszka Mette Stamme, bo ubikacja znajdowała się za jej pokojem w budynku głównym, a tu w warsztacie, gdzie mieszkał on, deski podłogowe przegniły i wiatr świszcział przez szczeliny, a człowiek ani się obejrzy i wróci zima.

Rozejrzył się wokół. Postrzępione na brzegach rozkładówki ze starych numerów „Rapportu” z rozebranymi paniami ze smarem na piersiach. Wszędzie walały się piasty, koła i inne elementy skuterów, a betonowa podłoga zabrudzona była smarem silnikowym tworzącym zaschnięte plamy i zacieki. Trudno było odczuwać dumę z tego miejsca, ale było jego.

Uniósł rękę, sięgając na trójkątną półeczkę Amager po popielniczkę pełną niedopałków nadających się do użycia. Wybrał najlepszy, zaciągnął się spokojnie, podczas gdy żar przemierzał ostatnich dziesięć milimetrów w stronę jego brązowych od smaru palców, po czym zdusił niedopałek.

Następnie podciągnął slipy, postawił stopy na zimnej podłodze i podszedł do drzwi. Wychodząc jedną nogą na dwór, akurat sięgał ręką do skrzynki pocztowej. Do porządnej skrzynki, zbitej z płyty wiórowej z klapką podwójnej grubości, jak to

się robiło w dawnych czasach.

Najpierw rozejrzał się dobrze po ulicy. Żeby mu się nikt nie ważył marudzić, że stoi pośrodku Brenderup ze zwisającym brzuchem i w poplamionych slipach. Na to nie miał najmniejszej ochoty. „Prowincjonalne babsztyle, którym przeszkadza widok mężczyzny w sile wieku” – mawiał do swoich kolegów z ławeczki. To było dobre stwierdzenie, uwielbiał go używać. Brzmiało tak diabelnie francusko.

List, który wyjął, nie był, ku jego zdziwieniu, kopertą z okienkiem ze skarbówki albo z gminy. Była to całkiem zwyczajna biała koperta ze znaczkiem. Nie dostawał takich listów od wielu, wielu lat.

Wyprostował się, jakby tę szczególną chwilę obserwował nadawca listu czy może raczej jakby sam list miał oczy i był w stanie ocenić, czy adresat zasługuje na jego treść.

Nie znał charakteru pisma, ale ujrzał swoje nazwisko napisane starannym pismem z zawijasami, i spodobało mu się to.

Odwrócił go i natychmiast poczuł wyrzut adrenaliny do krwi. Jak zakochany poczuł gorąco w policzkach, a źrenice mu się rozszerzyły jak u ściganego.

List był zupełnie niespodziewany i napisała go Nete. Nete Hermansen, jego kuzynka. Z adresem i w ogóle. Nete, od której nie spodziewał się wiadomości już nigdy w życiu. Nie bez powodu.

Wziął głęboki wdech, zastanawiając się przez moment, czy nie włożyć listu z powrotem do skrzynki. Jakby wiatr, pogoda i sama skrzynka mogły go pochłonąć. Wyrwać go z jego rąk, żeby nie musiał konfrontować się z jego treścią.

Tak czuł.

Dzięki doświadczeniu w pracy w gospodarstwie ojca, najstarszy brat Nete, Mads, nauczył się, że podobnie jak to się ma w przypadku innych żywych stworzeń, również ludzi można podzielić na dwie grupy, mianowicie samców i samice. A jeśli się to wiedziało, to nic więcej nie było potrzebne, bo wszystko przyjdzie samo. Te dwie grupy dzieliły między siebie tajemnice świata. Wojny, rodzinę, pracę i to, co rozgrywa się w czterech ścianach. Wszystko było tak urządzone, że albo jedna, albo druga część ludzkości się czymś zajmuje.

I Mads zebrał wokół siebie na podwórku swoje młodsze rodzeństwo i kuzyna, zdjął spodnie i wskazał swój członek.

– Jak się ma takie coś, to należy się do jednego rodzaju. A jeśli zamiast tego ma

się kreskę, to należy się do drugiego. Takie to proste.

I wszyscy bracia i Tage się śmiali, po czym również Nete ściągnęła majtki, by na swój dziecięcy sposób okazać coś w rodzaju solidarności i zrozumienia.

Szczególnie Tage uważał, że to wspaniałe przeżycie, bo tam, skąd pochodził, rozbieranie przebiegało w ukryciu i prawdę mówiąc, nigdy nie rozumiał, na czym polega różnica między mężczyzną a kobietą.

Było to pierwsze lato Tagego u stryja, o wiele lepsze niż gorące dni na przystani w Assens i na wszystkich wąskich uliczkach, gdzie on i inni chłopcy bawili się paczkami po papierosach Eiffel i marzyli, by kiedyś wyruszyć w rejs.

Dobrze im było razem, Nete i jemu. Również bliźniacy byli dobrymi kompanami, ale ona była lepsza, choć prawie osiem lat młodsza od niego. Przebywanie z nią było takie bezproblemowe. Śmiała się, gdy tylko odsłaniał zęby, wkręcała się w najbardziej szalone sytuacje, gdy tylko szepnął słówko.

Pierwszy raz w życiu Tagego ktoś podziwiał, a Tage był tym zachwycony. Dlatego zabiegał, by pomóc Nete w tym, czego od niej wymagano.

Gdy bliźniacy i Mads zniknęli z małego gospodarstwa, Nete został tylko ojciec i letnie dni z Tagem. Pamiętał dokładnie, jak było jej trudno. Szczególnie z powodu okazjonalnych nagonek we wsi, nieprzewidywalnych nastrojów ojca i jego trudnego, czasami niesprawiedliwego, zachowania.

Nete i on nie byli w sobie zakochani, za to panowała między nimi przyjacielska poufałość i właśnie ta intymność wywołała skryte i podniecające pytania o dwa rodzaje ludzi i o to, co ich czasami łączy.

To właśnie Tage nauczył Nete, jak ludzie się parzą, i to właśnie on bezwiednie wszystkiego ją pozbawił.

Usiadł ciężko na łóżku, zerknął na butelkę stojącą na tokarce, rozważając, co mu bardziej posłuży: wypicie wina wiśniowego przed czy po lekturze listu.

W tle słyszał swoją lokatorkę, Mette, jak kręci się i kaszle w salonie. Nie były to dźwięki, które normalnie kojarzyłoby się z kobietą, ale przywykł do nich. Miło było też gościć ją pod kołdrą w chłodną zimową noc. Byle gminie nie przyszło do głowy, że są ze sobą na serio i kantują z zasiłkami.

Zważył list w ręce i wyjął jego zawartość. Była to elegancka kartka w kwiatki, dwukrotnie złożona. Odchylając zagięcie, spodziewał się znów zobaczyć odręczne pismo, ale kartka była zadrukowana wyraźnym pismem maszynowym. Szybko ją

przeczytał, by mieć to za sobą i już brał się za wino wiśniowe, gdy dotarł do miejsca, gdzie Nete pisała, że chce mu podarować dziesięć milionów koron, jeśli stawi się w Kopenhadze o podanej porze w wyznaczonym miejscu.

Upuścił list, patrząc, jak opada na betonową podłogę i rozchyła się.

Wtedy zobaczył, że na samym dole listu znajduje się czek, przymocowany spinaczem, i że widnieje na nim jego nazwisko i kwota dwóch tysięcy koron.

Zafiksował się na tym, że takich pieniędzy nigdy nie miał w rękach o tej porze miesiąca. Wszystko inne było nierealne. Miliony, choroba Nete, cała reszta!

Napis głosił: „Dwa tysiące koron”! Nawet jak był marynarzem, nigdy nie miał tylu pieniędzy pod koniec miesiąca. Nawet jak pracował w fabryce przyczep, nim przenieśli się do Nørre Aaby i pożegnali się z nim, bo za dużo pił.

Odpiął czek i szarpnął go pośrodku.

Owszem, był autentyczny jak jasna cholera.

Nete była zabawna, a Tage – rozochocony. Gdy przyciągnięto byka do jedynej krowy w gospodarstwie, Nete spytała, czy jemu też tak może stać jak bykowi, a gdy zademonstrował, że tak, kwiczała ze śmiechu, jak po którymś z dowcipów opowiadanych przez jej braci bliźniaków. Nawet jak się całowali, była bezceremonialna i beztroska, a Tagego to cieszyło. Przyjechał, by sprawdzić się przy niej, bo zawsze myślał o niej w ten sposób, choć dopiero teraz nabrała kształtów. Miał elegancki, brązowy mundur wojskowy z furażerką przypiętą na ramieniu, był wąski w pasie i to zadziałało, dzięki bykowi i krowie, dla których nadeszła pora na nieunikniony doroczny rytuał.

Nete uważała, że Tage jest dorosły i ma rację, więc gdy poprosił ją, by rozebrała się na strychu i zrobiła mu dobrze, nie wahała się. Dlaczego miałaby się wahać? Przecież wszyscy mówili, że tak to właśnie się dzieje, że tak jest między samicą a samcem.

A gdy nic wielkiego się nie wydarzyło, powtarzali czasami to, czego się nauczyli: że przyjemność, którą mogą dać ciało i wzajemna bliskość, nie może się z niczym równać.

Gdy zaszła w ciążę, miała piętnaście lat. I choć się ucieszyła i powiedziała Tagemu, że będą razem do końca życia, on zaprzeczył, jakoby miał z ojcostwem cokolwiek wspólnego. Jeśli to faktycznie prawda, że jest ojcem jej bękarta – krzyknął – to wpędzi go to w tarapaty, bo ona jest nieletnia, a to karalne. A on,

kurwa, nie pójdzie za to siedzieć.

Ojciec wierzył w wyjaśnienia Nete, dopóki nie zlał Tagego do nieprzytomności, a ten dalej się wypierał. Jego synowie nigdy w ten sposób nie reagowali na tak konkretne przesłuchania, więc oczywiście mu uwierzył.

Od tamtej pory Tage nie zobaczył już Nete. Słyszał o niej to i owo i czasami odczuwał wielki wstyd.

W końcu postanowił o wszystkim zapomnieć.

Przygotowywał się przez dwa dni. Moczył ręce w oleju smarowym, tarł i szorował, aż spękana skóra zaróżowiła się i zrobiła delikatna z wyglądu. Golił się parę razy dziennie, dopóki znów nie był gładki i błyszczący. U fryzjera przyjęli go jak syna marnotrawnego; strzyżenie, mycie i szczodra porcja pachnideł zostały mu zaaplikowane ze znanstwem właściwym jedynie fachowcom. Zęby polerował sodą tak mocno, że krwawiły mu dziąsła, i w końcu, patrząc na siebie w lustrze, zobaczył wspomnienie lepszych czasów. Jeśli ma otrzymać dziesięć milionów, zrobi to z klasą. Dla Nete musi wyglądać tak, jakby miał godne życie. Musi zobaczyć w nim tego, który kiedyś potrafił ją rozśmieszyć i do którego podchodziła z dumą.

Zadrzał na samą myśl. Jako prawie pięćdziesięcioośmiolatek zostanie podźwignięty z dna i wypnie pierś jak pełnowartościowy człowiek. Ludzie będą na niego patrzeć, a on nie będzie się bał, że robią to z wrogością.

Nocą śnił o szacunku, zazdrości i pogodnych dniach w nowym otoczeniu. Niech go gęś kopnie, jeśli będzie dalej żyć w tym marnym społeczeństwie, które miało go za zarazę. Za Chiny nie będzie mieszkał w czternastotysięcznym miasteczku, gdzie nawet kolej dogorywała, a dumą miasta była fabryka przyczep, od dawna przeniesiona gdzie indziej. Teraz jeszcze przybył im do tego uniwersytet ludowy o chorej nazwie Nordycka Szkoła Pokoju.

Wybrał największy sklep z odzieżą męską w Bogense i kupił piękny, błyszczący garnitur w niebieskie ciapki, który według uśmiechającego się półgębkiem sprzedawcy był ostatnim krzykiem mody i który po sporej przecenie kosztował dokładnie tyle, że wystarczyło mu pieniędzy z czeku na odrobinę benzyny do skutera i bilet w obie strony relacji Ejby-Kopenhaga.

Gdy wsiadłszy na velo solexa, ruszył przez miasto, była to jego chwila. Nigdy przedtem spojrzenia, którymi go obdarzano, tak go nie łechtały. Nigdy przedtem

nie czuł się tak gotów na życie i los, które go do siebie przywoływały.

12

Sierpień 1987

Przez niemal całe lata osiemdziesiąte Curt Wad z wielką satysfakcją obserwował, jak tendencje prawicowe coraz bardziej rozpowszechniają się wśród ludzi, a teraz, pod koniec sierpnia 1987 prawie wszystkie media wróżyły, że prawica ponownie wygra wybory.

Był to wyjątkowo sprzyjający czas dla Curta Wada i jego pobratymców. Partia Postępu grzmiała przeciwko obcym, coraz więcej stowarzyszeń chrześcijańskich i ruchów narodowych gromadziło się wokół wytrawnych, populistycznych agitatorów, którzy ze swadą pastwili się nad zepsuciem moralnym, nie wykazując nawet cienia czułości czy sentymentu wobec powszechnie obowiązujących zasad dotyczących praw człowieka.

Przyświecała im idea, że ludzie nie rodzą się jednakowi i równi, więc muszą nauczyć się z tym żyć.

Owszem, to był dobry czas dla Curta Wada i tego, za czym się opowiadał. Wreszcie dla tego rodzaju idei zaistniała pomyślna atmosfera zarówno w Folketingu, jak i w niektórych inicjatywach oddolnych. Jednocześnie pieniądze spływały do spółki Czyste Linie, jego oczka w głowie, którą pracownicy usiłował przekształcić w partię o wielu oddziałach lokalnych i z reprezentacją w Christiansborgu. Ta przemiana moralna była zupełnie jak powrót do lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych, w każdym razie dzieliła ją przepaść od odrażających lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy hałaśliwa młodzież wychodziła na ulice, głosząc wolną miłość i socjalizm, od czasów, kiedy ozłacano nikczemne jednostki z nizin społecznych, a zachowania aspołeczne tłumaczono niewystarczającą opieką państwa i społeczeństwa.

Nie, te czasy już minęły. W latach osiemdziesiątych każdy był kowalem swojego losu. A niektórzy byli całkiem niezłymi kowalami; dało się to odczuć, gdy co dzień na konto Czystych Linii Curta wpływały dobrowolne datki od uczciwych obywateli i fundacji.

Rezultaty też były. Już teraz mieli w mieście dwie urzędniczki zarządzające rachunkami i dystrybucją materiałów Czystych Linii, a co najmniej cztery spośród dziewięciu lokalnych oddziałów przyjmowały w każdym tygodniu pięciu nowych członków.

Tak, wreszcie dało się odczuć rosnącą, powszechną niechęć wobec homoseksualistów, narkomanów, młodocianych przestępców, rozwiązłości, rozpleniwania się złych genów, imigrantów i uchodźców. Do tego doszedł jeszcze AIDS, przypominając o tym, co w kręgach chrześcijańskich nazywano karą boską.

W latach pięćdziesiątych nie potrzebowano takich mocnych argumentów jako środka perswazji w walce ze złem, ale wtedy dysponowano też znacznie lepszymi możliwościami kontrataku.

Ale, jak powiedziano, nastały dobre czasy. Ideologia stojąca za Czystymi Liniami szerzyła się z prędkością błyskawicy, choć nikt nie nazywał jej po imieniu: złej krwi nie należy mieszać z dobrą.

Towarzystwo stojące na straży czystej krwi w społeczeństwie i narodzie oraz wartości moralnych przez lata trzy razy zmieniało nazwę, odkąd ojciec Curta założył je w wyniku zagorzałej walki o czystość rasową i wysoki stopień moralności w życiu zwyczajnego obywatela. W latach czterdziestych nazwał je Komitetem przeciwko Rozwiązłości, potem nosiło nazwę Społeczeństwo Duńczyków i wreszcie Czyste Linie.

Idea, która zrodziła się w głowie lekarza rodzinnego z Fionii, a którą potem uszlachetnił jego syn, nie była już sprawą prywatną. Obecnie stowarzyszenie liczyło dwa tysiące członków, którzy ochoczo płacili wysokie składki. Byli to poważani obywatele, począwszy od adwokatów, lekarzy i polityków, a skończywszy na personelu opieki społecznej i pastorach. Ludzie, którzy w swojej codziennej działalności byli świadkami wielu nagannych zjawisk i którzy dysponowali wiedzą i umiejętnościami, by im zaradzić.

Gdyby ojciec Curta jeszcze żył, byłby dumny z tego, jak syn rozwinął jego idee i jak zarządza jego spuścizną, którą na przestrzeni lat zaczęli nazywać po prostu Tajemną Walką. To tu on i ludzie myślący podobnie robili rzeczy nielegalne, które próbowali zalegalizować poprzez partię Czyste Linie. To tu dzielono dzieci na te, które nie zasługiwały na życie, i te, które zasługiwały.

Curt Wad skończył właśnie rejestrowany wywiad radiowy przez telefon na temat

oficjalnych założeń Czystych Linii, gdy żona położyła przed nim stosik listów – w snopie światła słonecznego padającego na dębowe biurko.

Taki stosik listów był zawsze jak mieszanka cukierków.

Anonimy Curt wrzucał od razu do kosza. Stanowiły mniej więcej jedną trzecią.

Potem były standardowe listy z pogroźkami i słowami nienawiści; notował ich nadawców, a potem wrzucał do archiwum sekretarek w mieście. Jeśli po adresach wywnioskowały, że któryś nadawca jest gorliwym recydywistą, wówczas dzwonił do przedstawicieli oddziałów lokalnych, którzy następnie dopilnowywali, by zaniechano dalszej korespondencji tego typu. Można było to zrobić na wiele sposobów, bo większość ludzi ma coś, co woli zataić, a miejscowi adwokaci, lekarze czy pastory z regionu mieli przecież wiele archiwów do wykorzystania. Ktoś mógłby to nazwać szantażem, Curt nazywał to samoobroną.

Poza tym wśród autorów listów były też osoby, które wnioski o przyjęcie ich do stowarzyszenia; właśnie te przypadki wymagały wyjątkowej czujności. Kiedy już się kogoś przyjęło, trudno było przeprowadzić infiltrację, dlatego już na starcie należało wykazać się dużą ostrożnością. Z tego powodu Curt Wad osobiście sprawdzał pocztę.

W końcu były też bardziej typowe listy, których spektrum obejmowało zarówno pochwały, jak i narzekania i wściekłość.

Właśnie w tej ostatniej, małej kupce listów z tego dnia Curt Wad znalazł list od Nete Hermansen. Uśmiechnął się mimowolnie na widok nazwiska nadawcy. Przez wszystkie te lata niewiele było spraw tak udanych jak właśnie jej. Aż dwa razy w życiu położył kres niemoralnemu zachowaniu tej kobiety i zapobiegł zepsuciu społecznemu. Tej małej suki.

Ale czym ta pożałowania godna osoba może mu teraz zaprzętać głowę? Łzy czy awantury? Właściwie było mu wszystko jedno. Nete Hermansen była dla niego zerem i wtedy, i teraz. To, że została sama po tym, jak ten kretyń jej mąż zabił się w wypadku samochodowym tego samego wieczora, gdy Curt się na nią natknął, zbył wzruszeniem ramion.

Nie zasługiwała na nic lepszego.

Nie otworzywszy koperty, rzucił list na stosik do zarchiwizowania, do innych obojętnych mu kwestii. Nawet go to nie zaciekało. Nie to, co kiedyś, dawno, dawno temu.

Pierwszy raz usłyszał o Nete, gdy przewodniczący komisji szkolnej przyszedł do gabinetu lekarskiego ojca Curta z informacją o dziewczynie, która wpadła do strumienia Puge Mølleå i krwawiła z krocza.

– Może chodzić o poronienie, wiele na to wskazuje – powiedział przewodniczący komisji. – A doniesień, jakoby zrobili to chłopcy ze szkoły, nie należy brać poważnie. To był wypadek i w razie gdyby pana do nich wezwali, doktorze Wad, musi pan wiedzieć, że jeśli na ciele dziewczyny byłyby widoczne ślady świadczące o przemoc, to powstały w wyniku jej upadku do potoku.

– Ile ona ma lat? – spytał jego ojciec.

– Nieco ponad piętnaście.

– W takim razie ciąża nie jest tu normalnym zjawiskiem – orzekł jego ojciec.

– Sama dziewczyna też nie jest normalna, prawdę mówiąc – zaśmiał się przewodniczący. – Wiele lat temu wyrzucono ją ze szkoły za różne bezeceństwa. Zachęcanie do nieprzyzwoitości z chłopcami, brzydkie słownictwo, prostackie zachowanie i agresję zarówno wobec kolegów ze szkoły, jak i nauczycielki.

Przy tych słowach ojciec Curta odchylił głowę w pełnym zrozumieniu.

– Ach, jedna z tych! – powiedział. – Zapewne mało zdolna?

– Zdecydowanie.

– A wśród tych dobrych dzieci ze szkoły, które ta cwana dziewucha chętnie widziałaby na ławie oskarżonych, jest może jakieś, które pan przewodniczący zna osobiście?

– Owszem – przyznał, wyjmując jedno z cygar, leżących rzędem w pudełku pośrodku biurka. – Jeden z chłopaków to najmłodszy syn szwagierki mojego brata.

– Ach tak – odparł ojciec Curta. – Czyli można śmiało powiedzieć, że nastąpiło zderzenie warstw społecznych, czyż nie?

Curt miał wówczas trzydzieści lat i powoli przejmował praktykę ojca, ale nigdy jeszcze nie widział takich pacjentów jak dziewczyna, o której była mowa.

– Czym zajmuje się ta dziewczyna? – spytał Curt, co jego ojciec skwitował pełnym uznania skinieniem.

– Och, nie wiem za dużo, ale chyba pomaga ojcu w gospodarstwie.

– A ojciec to...? – dopytywał ojciec Curta.

– O ile pamiętam, nazywa się Lars Hermansen. Taki zwalisty. Prosty człowiek.

– A tak, znam go – powiedział ojciec Curta. Oczywiście, że go znał. Przecież był

przy narodzinach dziewczynki. – Ojciec jest nieco zdziwaczały, a po śmierci żony to się pogłębiło. Zamknięty w sobie, dziwny typ. Nic dziwnego, że dziewczyna też zwichrowana.

Na tym stanęło.

Zgodnie z oczekiwaniami, doktora Wada wezwano do gospodarstwa, gdzie stwierdził, że dziewczyna się wygłupiała i wpadła do potoku, stoczywszy się po skarpie i poobijawszy o kamienie i patyki leżące na brzegu. Jeśli twierdziła inaczej, to z powodu szoku i oszołomienia. Natomiast godne ubolewania jest to, że krwawiła. Czyżby była w ciąży? – spytał jej ojca.

Curt był wtedy obecny, podobnie jak przy pozostałych wizytach domowych ojca w ostatnim czasie i dokładnie pamiętał, jak twarz ojca dziewczyny poblądła przy tym pytaniu i z jakim ociąganiem pokręcił głową.

Nie ma sensu wzywać z tego powodu policji – orzekł ojciec.

Dlatego nic więcej nie zrobiono.

Wieczór znów zapowiadał się w stowarzyszeniu gorąco, co cieszyło Curta Wada. Za dziesięć minut miał się spotkać z trzema najbardziej zapracowanymi członkami Czystych Linii, którzy nie tylko utrzymywali bliskie kontakty z ludźmi z partii prawicowych, ale mieli też dojścia do urzędników w ministerstwach sprawiedliwości i spraw wewnętrznych krzywo patrzących na kierunek obierany przez państwo w kwestiach imigrantów i łączenia rodzin. Powód ich zaangażowania był, podobnie jak w wypadku wszystkich członków i ich kontaktów, prosty i logiczny: już w tej chwili do kraju zdążyło się przedostać zbyt dużo obcego elementu. Niepożądanych osobników plasujących się niżej w hierarchii.

„Zagrożenie dla duńskości” – rozbrzmiewało z wielu stron, a Curt Wad całkowicie się z tym zgadzał. To wszystko kwestia genów. Ludzie o skośnych oczach czy ciemnej skórze po prostu nie pasowali do ponadprzeciętnie urodziwych dziewcząt i chłopców o jasnych włosach i roślących, silnych ciałach. Tamilowie, Pakistańczycy, Turcy, Afgańczycy, Wietnamczycy. Jak każdy inny brud trzeba było ich powstrzymać, i to skutecznie. To nie ulegało wątpliwości.

Tego wieczoru długo dyskutowali o metodach, którymi można się posłużyć w pracy na rzecz Czystych Linii, a gdy dwóch spośród trzech mężczyzn już poszło, został ten znany Curtowi najlepiej. Świetny człowiek i lekarz, jak on sam,

z porządnym, dobrze prosperującym gabinetem na północ od Kopenhagi.

– Curt, rozmawialiśmy o Tajemnej Walce już wiele razy – rzekł i spojrzał na niego przeciągle. – Przecież znałem twojego ojca, to on wprowadził mnie w tajniki odpowiedzialności lekarskiej, gdy odbywałem staż w szpitalu w Odense. Był wspaniałym człowiekiem. Wiele się od niego nauczyłem zarówno pod względem zawodowym, jak i etycznym.

Skinęli do siebie głowami. Curt cieszył się bardzo, że miał ojca aż do sześćdziesiątego drugiego roku życia. Minęły już trzy lata od chwili, gdy jego ojciec, spełniony, umarł w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat. Czas szybko płynie.

– Twój ojciec mówił, że jeśli będę chciał się włączyć do działalności, mam przyjść do ciebie – ciągnął jego gość i zrobił długą przerwę, jakby miał całkowitą świadomość, że kolejny krok zaprowadzi go na nieskończoną drogę pełną trudnych pytań i pułapek.

– Cieszę się – odparł w końcu Curt. – Ale dlaczego akurat teraz, jeśli wolno spytać?

Gość uniósł brwi i przez dłuższą chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Oczywiście powodów jest kilka. Nasza rozmowa dzisiejszego wieczora jest jednym z nich. Również do nas w północnej Zelandii przychodzi sporo cudzoziemców, często imigrantów, którzy są ze sobą blisko spokrewnieni, a jednak się pobierają. Jak nam wiadomo, z takiego chowu wsobnego rzadko przychodzą na świat zdrowe dzieci.

Curt skinął głową; to prawda. A jednak dzieci z takich związków przychodziły na świat.

– I w takich przypadkach chciałbym móc zadziałać – dodał cicho gość.

Curt ponownie pokiwał głową. Kolejny zdolny i uczciwy człowiek w ich szeregach.

– Jesteś świadom, że decydujesz się na działalność, o której pod żadnym pozorem nie możesz z nikim rozmawiać, poza innymi również oddelegowanymi do tej pracy?

– Tak to sobie właśnie wyobrażałem.

– Mało które działanie w ramach Tajemnej Walki może ujrzeć światło dzienne, ale o tym oczywiście wiesz. Za dużo ryzykujemy.

– Tak, wiem.

– I wielu wolałoby, byś zniknął z powierzchni ziemi, jeśli byś nie potrafił trzymać języka za zębami albo nie wykonywał swoich zadań z należytą dyskrecją i dbałością.

Tamten skinął głową.

– To całkowicie zrozumiałe. Sam bym tak wolał.

– Czyli wyrażasz chęć, by wtajemniczyć cię w procedurę rekrutacji kobiet, których ciążę według nas należy przerwać i u których następnie możemy rozważyć sterylizację?

– Tak.

– Mamy specyficzną terminologię i słownictwo, którymi się w takich sytuacjach posługujemy. Mamy listy adresowe, mamy specjalnie opracowane metody aborcyjne. Jeśli cię w nie wtajemniczę, staniesz się pełnoprawnym członkiem, rozumiesz?

– Tak. Co mam zrobić, żebyście mnie przyjęli?

Curt spojrzał na niego przeciągle. Czy ma zapal? Czy te oczy zachowałyby spokój w obliczu więzienia i niesławy? Czy jego kręgosłup moralny oprze się zewnętrznej presji?

– Twoi krewni nie mogą nic wiedzieć, chyba że sami aktywnie uczestniczą w naszych działaniach.

– Moja żona nie interesuje się moją pracą, więc spokojnie. – Gość się uśmiechnął. Właśnie w tym momencie rozmowy Curt miał nadzieję zobaczyć taki uśmiech.

– Dobrze. Przejdźmy teraz do mojego gabinetu, gdzie zdejmiesz ubranie, bym mógł sprawdzić, czy nie masz na sobie podsłuchu. Następnie napiszesz o sobie kilka faktów, o których wolałbyś, by nikt się nie dowiedział oprócz nas. Jestem pewien, że podobnie jak większość masz w szafie jakiegoś trupa, prawda? Byłoby dobrze, gdyby były to kwestie powiązane z twoją praktyką lekarską.

Gość skinął głową. Nie wszyscy to robili.

– Rozumiem, że chcecie dysponować jakimiś sekretami, by mieć na mnie haka, gdybym stchórzył?

– Owszem, zapewne jakieś masz?

Znów kiwnął głową.

– Mnóstwo.

Potem, gdy Curt go przeszukał i dopilnował, by podpisał swoje wyznanie, przeszedł do obowiązkowych surowych ostrzeżeń dotyczących lojalności i milczenia w kwestii działalności i myśli przewodniej Tajemnej Walki. Gdy również one nie odstraszyły mężczyzny, Curt udzielił mu paru wskazówek, jak wywołać poronienie tak, by nie budzić podejrzeń, i wreszcie, ile czasu musi upłynąć między takimi procedurami, żeby nie zwrócić na siebie uwagi policji ani regionalnego inspektoratu do spraw zdrowia.

Podziękowali i pożegnali się, a Curt rozparł się w fotelu z tym wspaniałym uczuciem, że po raz kolejny zadziałał dla dobra swojego kraju.

Nalał sobie koniaku i usiadł przy dębowym biurku, próbując przypomnieć sobie, ile razy sam działał.

Sporo tego było, między innymi sprawa Nete Hermansen.

Jego wzrok znów powędrował na jej list, leżący na wierzchu stosiku, po czym zamknął oczy, rozkoszując się wspomnieniem o swoim pierwszym, najbardziej pamiętnym przypadku.

Listopad 2010

Późnym listopadowym wieczorem było coś pociągającego w rozświetlonych oknach, których oczy osadzone w grubych murach Komendy Głównej czuwały nad okolicą. Zawsze w jakichś gabinetach rozpatrywano sprawy niecierpiące zwłoki, bo właśnie teraz miasto obnażało swoje ostre kły. Właśnie teraz jakiejś dziwce spuszczano łomot, kumple pili na umór i dźgali się nożami, teraz gangi szykowały się do konfrontacji, teraz ginęły portfele.

Carl spędził w tym budynku tysiące godzin przy migających światłach latarni ulicznych, podczas gdy porządni obywatele spali smacznie i bezpiecznie, ale było to jednak już jakiś czas temu.

Gdyby nie te potworne męczarnie, które musiał znosić przy kolacji u Mony. Gdyby zamiast przeżywać ten nieudany wieczór, siedział na brzegu łóżka, patrząc głęboko w jej brązowe oczy. Gdyby tak to się potoczyło, w życiu nie sprawdziłby, kto do niego dzwoni o tak późnej porze. Ale tak się nie stało, a telefon od Assada stał się niemal jego wybawieniem.

Właśnie dlatego, chcąc nie chcąc, zszedł po schodach do piwnicy i kręcąc głową, spojrzał na Rose i Assada, którzy wyszli mu naprzeciw.

– Co wy tu, do diaska, robicie? – spytał, przepychając się koło nich. – Czy ty wiesz, Assad, że jesteś już dziewiętnaście godzin w pracy?

Obejrzał się przez ramię; człapanie Rose nie świadczyło o nadmiarze energii.

– A co z tobą? Dlaczego wciąż tu jesteś? Może myślicie, że uciulacie sobie wolny dzień, o to chodzi? – spytał, rzucając płaszcz na krzesło w gabinecie. – Dlaczego sprawa Rity Nielsen nie mogła poczekać do jutra?

Assad uniósł swoje gęste brwi, aż błysnęły mu przekrwione oczy, przyprawiając Carla o lekki szok.

– Tutaj są gazety, które tak oglądaliśmy – powiedział, rzucając stos na róg biurka szefa.

– Tak, ale nie przewertowaliśmy ich dokładnie – dodała Rose.

Jeśli Carl dobrze ją zna, była to gruba nieścisłość. Dostrzegł również uśmiech Assada. Na bank przeczesywali te gazety aż do zdarcia kartek, nie miał wątpliwości. Najpierw pliki wydziału dochodzeniowego dotyczące wszystkich osób zaginionych we wrześniu 1987 roku, a potem gazety. Już on ich znał.

– Nic w tym okresie nie wskazuje, by w okolicy doszło do jakichś porachunków narkotykowych, gwałtów czy czegoś podobnego – powiedziała Rose.

– Czy ktoś w ogóle dopuszczał taką możliwość, że Rita Nielsen teoretycznie mogła zaparkować wóz w innym miejscu i tym samym może to wcale nie ona postawiła mercedesa na Kapelvej? – spytał Carl. – Może nie powinniśmy w ogóle szukać w Kopenhadze. Jeśli nie zaparkowała tego samochodu osobiście, to mogła przecież zaginąć gdziekolwiek po drodze tutaj od promu przez Wielki Bełt.

– Owszem, brano to pod uwagę – odparła Rose. – Ale widzisz, według raportu policyjnego właściciel kiosku na Nørrebro dokładnie ją pamiętał, kiedy przyszli z nim porozmawiać o tej transakcji kartą. Ona rzeczywiście była tego poranka na Nørrebro.

Carl zacisnął wargi.

– Dlaczego wyjechała z domu bladym świtem? Zastanawialiście się nad tym? – spytał.

Assad kiwnął głową.

– Zdecydowanie dlatego, że była umówiona, tak sędzę.

Carl też tak sądził. Właśnie pora wyjazdu z domu go nękała. Nie wyrusza się w podróż o piątej rano, jeśli nie ma się ku temu ważnych powodów, a już szczególnie w profesji Rity Nielsen, którą siłą rzeczy zazwyczaj uprawiało się pod osłoną nocy. Nie, jej wczesny wyjazd nie miał raczej nic wspólnego z sobotnimi godzinami otwarcia sklepów w stolicy, więc co innego mogło wchodzić w rachubę, jeśli nie spotkanie w Kopenhadze tamtego przedpołudnia?

– Albo ktoś się z nią spotkał w Kopenhadze i w takim razie ten ktoś dysponuje większą wiedzą o jej zniknięciu niż my, albo też Rita nigdy nie dojechała na to spotkanie, ale wówczas ktoś musiał przynajmniej to odnotować – powiedział. – Sądzicie, że poszukiwania były wystarczające?

– Wystarczające? – Assad spojrzał na Rose, która również wyglądała, jakby nie zrozumiała. Widać w ciągu dnia zupełnie wydrenowali się z energii.

– Tak, w każdym razie wystarczające, by ktoś, kto się z nią spotkał lub miał to

zrobić, dowiedział się o jej zaginięciu – odparła Rose. – Ale posłuchaj, Carl – podjęła. – Nasi koledzy chodzili przez trzy dni od drzwi do drzwi. Pisano o tym we wszystkich gazetach i lokalnych czasopismach. Poszukiwano jej zarówno przez telewizję, jaki i ogólnokrajowe i lokalne radio i nie zainteresował się tym pies z kulawą nogą, nie licząc tego kioskarza.

– I dlatego skłaniasz się ku temu, że ktoś wiedział o jej zniknięciu, ale nie chciał się ujawnić. Sugerujesz więc, że te osoby mogły przyczynić się do jej zaginięcia, dobrze rozumiem?

Rose trzasnęła obcasami i zasalutowała.

– Tak jest, Wasza Eminencjo!

– Aha. I twierdzicie do tego, że przez te dni zaginęło wyjątkowo dużo osób, których nigdy nie znaleziono, zgadza się, Assad?

– Tak, i znaleźliśmy jeszcze jedną osobę, która się nie znalazła – powiedział Assad. – Zamówiliśmy gazety z jeszcze jednego tygodnia, by sprawdzić, czy jest w nich coś, czego nie ma na listach z okręgów policyjnych.

Carl przeanalizował ostatnie zdanie.

– Czyli włączając Ritę, mamy już... pięć osób, które nigdy się nie znalazły?! Pięcioro ludzi, którzy zniknęli bez śladu w ciągu dwóch tygodni, zgadza się?

– Owszem, w ciągu tych dwóch tygodni, na których się skoncentrowaliśmy, w całym kraju zgłoszono zaginięcie pięćdziesięciu pięciu osób, a dziesięć miesięcy później pięciorga z nich wciąż nie odnaleziono. I to się nie zmieniło po dwudziestu trzech latach. – Rose skinęła głową. – Wydaje mi się, że tyle zaginięć w tak krótkim czasie to duński rekord.

Carl głowił się, czym są ciemne cienie pod jej oczami. Czy to zmęczenie, czy może po prostu tusz do rzęs się rozmazał?

– Niech spojrzę – powiedział, przesuwając palcem po liście Rose.

Następnie wziął długopis i wykreślił jedno z nazwisk.

– Ją spokojnie możemy pominąć – stwierdził, wskazując wiek kobiety i okoliczności jej zaginięcia.

– Tak, też uważaliśmy, że jest taka stara – zgodził się Assad. – Mówię tak, choć siostra mojego ojca jest dwa lata starsza, na Gwiazdkę skończy osiemdziesiąt pięć lat, a mimo to od rana do wieczora rąbie drewno.

„Ileż słów o niczym” – pomyślał Carl.

– Posłuchaj, Assad! Ta kobieta miała demencję i zaginęła z domu starców, więc nie wydaje mi się, by narąbała się jakoś szczególnie dużo drewna. Ale pozostali na liście? Sprawdziliście ich? Jest jakieś powiązanie między nimi a zniknięciem Rity Nielsen?

Uśmiechnęli się. Do licha, ależ oni się uśmiechali!

– No, mówcie. O co chodzi?

Assad szturchnął Rose w bok; czyli to ona coś znalazła.

– Adwokat Philip Nørvig z kancelarii Nørvig & Sønderskov w Korsør – powiedziała. – Na dzień przed najważniejszym meczem piłki ręcznej swojej nastoletniej córki oświadczył, że niestety dziewczynka musi zabrać na mecz mamę zamiast niego, choć już dawno przyrzekł, że zasiądzie na trybunach. Nie wyjaśnił nic więcej, tylko że wybiera się na wyjątkowo ważne spotkanie do Kopenhagi i że nie można go przesunąć.

– I zniknął?

– Tak. Pojechał tego samego rana pociągiem z Halsskov, a potem zapadł się pod ziemię.

– Czy ktoś widział, jak wysiadał na Dworcu Centralnym?

– Tak. Kilka osób z pociągu z Korsør go rozpoznało. Był aktywny w paru stowarzyszeniach w Korsør, więc naprawdę sporo osób z okolicy wiedziało, kim jest.

– Hm, coś mi świta – powiedział Carl, ignorując katar leniwie kapiący mu z nosa. – Znany adwokat z Korsør, który zaginął. Tak, sporo pisano o tej sprawie. Nie znaleziono go później w kanale w Kopenhadze?

– Nie, całkiem zniknął – poinformował Assad. – Myślisz o kimś innym.

– Assad, czy ta sprawa nie wisiała już wcześniej na naszej tablicy?

Skinął głową. Czyli pewnie już między tą sprawą a sprawą Rity Nielsen rozciąga się czerwono-biały sznurek.

– Widzę, że masz coś o tej sprawie na kartce. Co tam jest o tym Nørvigu, Rose?

– Urodził się w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym... – zdążyła powiedzieć.

– W tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym, a niech to! – zawołał Carl. – Czyli w osiemdziesiątym siódmym miał sześćdziesiąt coś. Dość stary jak na ojca nastolatki grającej w piłkę ręczną.

– Wysłuchaj do końca, zanim mi znów przerwiesz – powiedziała Rose

znużonym głosem. Jej mruganie oczami skojarzyło mu się z mruganiem steranych życiem piosenek rockowych, których źrenice błędzą pod ciężkimi od tuszu rzęsami. Za chwilę pewnie zaśnie mu przed nosem. – Urodził się w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku – powtórzyła. – Uzyskał dyplom ukończenia studiów w zakresie prawa w Aarhus w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym. Aplikacja adwokacka u Laursena & Bondego w Vallensbæk w latach tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt–pięćdziesiąt cztery. Samodzielna praktyka w pięćdziesiątym czwartym w Korsør, uprawnienia do występowania w sądzie okręgowym w sześćdziesiątym piątym. Ożenił się z Sarą Julie Enevoldsen w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, a wziął z nią rozwód w siedemdziesiątym trzecim. Dwójka dzieci z tego małżeństwa. Następnie ożenił się ze swoją sekretarką, Mie Hansen, w siedemdziesiątym czwartym. Ich jedyne dziecko, córka Cecilie, urodziło się w tym samym roku.

W tym miejscu spojrzała wymownie spod brwi. Czyli się wyjaśniło. To dlatego był takim starym ojcem. Kolejna historia o seksie z sekretarką. Widać Philip Nørvig był człowiekiem, który wiedział, czego chce.

– Wielokrotnie kandydował na przewodniczącego miejscowego klubu sportowego i w trzech kadencjach wygrał. Pod koniec zasiadał zarówno tam, jak i w radzie gminy aż do roku osiemdziesiątego drugiego, kiedy to został zmuszony do zrzeczenia się stanowisk ze względu na oskarżenia o nadużycie zaufania w praktyce adwokackiej. Sprawa trafiła do sądu, ale nie został skazany, bo nie było wystarczających dowodów. Mimo to stracił wielu klientów, a gdy zaginął pięć lat później, miał odebrane prawo jazdy za prowadzenie po pijanemu i konto na sporym minusie.

– Hmm. – Mørck wydał dolną wargę i pomyślał, że papieroski pomogłyby teraz zarówno jego zdrowiu, jak i procesowi myślowemu.

– Nie, Carl. Proszę cię, byś teraz nie palił – powiedziała Rose.

Spojrzał na nią ze zdumieniem. Skąd, u licha...?

– Yyy, nie wiem, skąd taka myśl – odchrząknął, bo zaczęło go drapać w gardle. – Powiedz mi no, Assad. Nie masz jakiejś herbaty w tym swoim samowarze?

Brązowe oczy rozbliły na chwilę, ale po chwili Assad znów oklapł.

– Nie mam. Ale możesz za to dostać mojej pysznej kawy, co ty na to?

Carl przełknął ślinę. Grypa niechybnie wystraszy się jej na śmierć.

– Tylko nie za mocną – zastrzegł z błagalnym wzrokiem. Ostatnio kawa kosztowała go pół rolki papieru toaletowego. Nie chciałby tym razem tak ryzykować.

– Czyli jedyną rzeczą, która łączy te dwie sprawy, jest fakt, że obie osoby znikają w mniej więcej takich samych okolicznościach – rzekł. – Obie w tym dniu wybierają się do Kopenhagi. Nie wiemy, dlaczego robi to Rita Nielsen, ale Nørvig jasno komunikuje, że jedzie na spotkanie. Nie bardzo wiadomo, czym tu się kierować, Rose.

– Zapomniałeś o porze, Carl. Znikają tego samego dnia niemal o tej samej porze. To przecież naprawdę jest dziwne.

– Jakoś mnie to nie przekonuje. A te pozostałe sprawy z listy?

Spojrzała na kartkę.

– Mamy tutaj Viggo Mogensena, o którym nic nie wiemy. Po prostu znika. Ostatnio widziany w porcie w Lundeborgu, gdzie obierał kurs na Wielki Bełt swoim małym kutrem.

– Był rybakim?

– Nie, to była mała łódka. Wcześniej miał kuter, ale poszedł na złom. Pewnie w związku z tym całym unijnym zamieszaniem.

– Znalaziono w ogóle jego łódź?

– Tak, w Warnemünde. Capnęło ją kilku Polaków, którzy twierdzili, że zanim ją zabrali, całe wieki cumowała w Jyllinge. W każdym razie nie uważali tego za kradzież.

– Co mówili ludzie w porcie w Jyllinge?

– Mówili, że to nieprawda, że nie było żadnej łodzi.

– Czyżby ci Polacy ukradli facetowi łódkę i wyrzucili go za burtę?

– Nie, od sierpnia do października osiemdziesiątego siódmego roku mieli robotę w Szwecji, więc w chwili jego zaginięcia nie było ich nawet w Danii.

– Duża była ta łódka? Mogła gdzieś leżeć niezauważona?

– Kiedyś się tego dowiemy – rozległ się głos w drzwiach, gdzie stał Assad, trzymając przepiękną rzeźbioną tacę z autentycznej imitacji srebra. Carl spojrzął ze zgrozą na rozmiar filiżanek. Im mniejsze, tym gorzej. A te tutaj były miniaturowe.

– Na zdrowie, Carl – powiedział Assad z oczami płonącymi od gorączki.

Wyglądał, jakby wymagał sztucznego oddychania.

Mørck wypił kawę jednym haustem i pomyślał, że nawet nie było tak źle, jednak to wrażenie trwało cztery sekundy. Potem całe ciało zareagowało, jakby zażył mieszanekę amerykańskiej ropy i nitrogliceryny.

– Dobra, prawda? – spytał Assad.

Nic dziwnego, że miał czerwone oczy.

– Okej – parsknął Carl. – Na razie odkładamy Viggo Mogensena. Mój nos mi podpowiada, że tej sprawy nie należy łączyć z Ritą Nielsen. Mamy sprawę Mogensena na naszej tablicy, Assad?

Tamten pokręcił głową.

– Uznano, że to prawdopodobnie było utonięcie. Zadowolony człowiek, który lubił sobie golnąć. Nie żaden menel, tylko taki szalapat.

– Menel, Assad. Mówi się menel i nie pytaj mnie dlaczego. Co tam jeszcze mamy? – Spojrzał na kartkę Rose, próbując zignorować uczucie dyskomfortu, które pojawiło się po dotarciu kawy do żołądka.

– Mamy jeszcze tę tu – powiedziała Rose, wskazując na nazwisko. – Gitte Charles. Urodzona w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku w Thorshavn. Córka sklepikarza Alistaira Charlesa. Tuż po wojnie ojciec zbankrutował i rodzice się rozwiedli. Ojciec wrócił do Aberdeen, a Gitte, jej matka i młodszy brat przeprowadzili się do Vejle. Przez jakiś czas uczyła się w szkole pielęgniarstwa, ale rzuciła ją i wylądowała w Zakładzie dla Upośledzonych Umysłowo w Brejning. Potem wielokrotnie pracowała jako pomoc pielęgniarska w wielu miejscach w kraju i trafiła do szpitala na wyspie Samsø.

Rose kiwała wolno głową, czytając dalszą część tekstu.

– Reszta jest bardzo typowa dla osób, które nagle któregoś dnia znikają – powiedziała. – Spójrz. Pracuje w szpitalu w Tranebjergu na Samsø, od siedemdziesiątego pierwszego do osiemdziesiątego, i chyba ją lubią, choć parokrotnie przychodzi do pracy pijana. Otrzymuje wsparcie w kwestii nałogu i wszystko jest fajnie, dopóki któregoś dnia nie zostaje nakryta na kradzieży spirytusu ze szpitala. Okazuje się, że jej problem alkoholowy wymknął się całkowicie spod kontroli i z dnia na dzień ją zwalniają. Po paru miesiącach zostaje zatrudniona jako opiekunka domowa i jeździ rowerem do starszych i chorych na wyspie. Dogląda ich troskliwie aż do dnia, w którym okazuje się, że również ich

okrada, więc znów zostaje zwolniona. W roku osiemdziesiątym czwartym znika z rejestrów, jest bezrobotna i utrzymuje się z zasiłku. Oszałamiająca kariera to to nie jest.

– Samobójstwo?

– Takie jest założenie. Widziano ją na promie do Kalundborga i kiedy schodziła na ląd, i to tyle. Była ładnie ubrana, ale nikt z nią nie rozmawiał. I sprawę odłożono do archiwum.

– Czyli jej również nie mamy na naszej tablicy, Assad?

Assad pokręcił głową.

– Przyszło nam żyć na dziwnym świecie – stwierdził Mørck.

Co prawda, to prawda. Dziwne było również to, że jego przeziębienie prawie całkiem odpuściło, za to kiszki się wiły, błagając o zmiłowanie.

– Chwileczkę – powiedział Carl, prując na korytarz w stronę toalety. Małymi, drobnymi kroczkami i ze spiętymi pośladkami. Jasna cholera, ostatni raz pije to dziadostwo.

Usiadł na muszli ze spuszczoneymi spodniami, opierając czoło o kolana. Że też można tak szybko wydalić coś, co tak długo się jadło. Była to jedna z tych zagadek, których w żadnym razie nie miał ochoty zgłębiać.

Otarł pot z czoła, próbując skupić się na czymś innym. Sprawa zaginięcia i tak już rozgościła się w jego głowie, czekając na wydobycie. Rybak z Fionii. Pomoc pielęgnarska. prostytutka z Kolding i adwokat z Korsør. Niech go dunder świśnie, jeśli cokolwiek łączyło te sprawy. Statystyka jest tajemniczym zjawiskiem, więc oczywiście to możliwe, by w jeden weekend zaginęły bez śladu cztery niezwiązane ze sobą osoby. Więc właściwie dlaczego nie?

Tak to już jest ze zbiegami okoliczności. Najczęściej zdarzają się wtedy, gdy najmniej się ich spodziewamy.

– Znaleźliśmy coś, Carl! – rozległo się po drugiej stronie drzwi do toalety.

– Chwileczkę, Assad, zaraz będę gotowy – odrzekł, choć wcale tak nie było. Ani myśli się podnosić, dopóki skurcze nie ustaną. Nie ma zamiaru ryzykować.

Carl usłyszał trzask drzwi prowadzących na korytarz i siedział przez chwilę, oddychając spokojnie i głęboko, podczas gdy ruchy perystaltyczne na chwilę się uspokoiły. „Znaleźliśmy coś!” – powiedział Assad.

I Carl myślał gorączkowo, wiedząc dobrze, że coś mu świta, tylko nie wie gdzie.

Wiedział, że coś nie daje mu spokoju w związku z tą Gitte Charles. Tylko co?

W tych czterech sprawach jedna rzecz zwróciła jego uwagę, a mianowicie wiek zaginionych. Rita Nielsen miała pięćdziesiąt dwa lata. Philip Nørvig sześćdziesiąt dwa, Gitte Charles pięćdziesiąt trzy, a Viggo Mogensen pięćdziesiąt cztery lata. Nie jest to szczególnie typowy wiek, by zagać. Wcześniej, kiedy człowiek jest szalony, młody i targany emocjami – owszem. I później, gdy choroby, samotność i życiowe rozczarowania dają się we znaki – również. Ale ci ludzie nie byli ani młodzi, ani starzy, wszyscy byli gdzieś pośrodku, a jednak nic z tego nie można było wywnioskować. O tak, statystyka nie jest taka prosta.

Po półgodzinie zapiął pasek, obolały w tylnej partii ciała i dwa kilo lżejszy.

– Za mocną robisz tę kawę, Assad – orzekł i klapnął na fotel za biurkiem.

Asystent zaśmiał się rubasznie.

– To nie moja kawa, Carl. Masz po prostu to samo, co reszta nas. Kaszel, katar i sraczkę jak z karabinu maszynowego i może jeszcze czerwone oczy. Trwa to dwa dni, ale ty jesteś po prostu szybszy. Wszyscy na komendzie siedzieliśmy na kiblu oprócz Rose, tak sądzę. Ma widać żelazne zdrowie jak dromader. Takie dziwadło, któremu można wrzucić prosto do gęby bombę wodorową i ebolę, a ono od tego przytyje.

– Gdzie ona jest, Assad?

– Przegląda internet. Jeszcze chwilka, zaraz przyjdzie.

– Co takiego znaleźliście? – Carl powątpiewał w Assadowe wyjaśnienia genezy rewolucji żołądkowych, bo wystarczyło, by spojrzeć na filiżankę po kawie, a sensacje powróciły. Dlatego, ku zdumieniu Assada, przykrył ją kartką papieru.

– Chodzi o tę Gitte Charles. Pracowała w takim miejscu dla ludzi upośledzonych umysłowo. Tego się dowiedzieliśmy.

Carl przechylił głowę.

– I? – spytał, słysząc odgłos kroków na korytarzu.

Rose wtarabaniła się do gabinetu z ustami rozdziawionymi od ziewania.

– No to mamy powiązanie między Ritą Nielsen a Gitte Charles i jest nim to – powiedziała, kładąc palec pośrodku biało-czarnego wydruku mapy.

Widniał tam napis „Sprogø”.

Sierpień 1987

Siedziała jak przyklejona do ławki, spoglądając na bunkier przy ulicy Korsgade. Niedługo powinien tędy przechodzić narkoman z tym swoim brzydkim kundlem.

Pies wabił się Szatan i zasługiwał na to miano. Wczoraj ten zwalisty stwór chwycił cocker spaniela i nie puściłby, gdyby nie zdecydowana interwencja faceta w porządnym drewniakach. Oczywiście narkoman groził, że spuści mu manto i poszczuje go psem, ale nic z tego nie wynikło. Za dużo było gapiów, wśród których znajdowała się również Nete.

Nie, pomyślała, ten pies nie zasługuje, by paradować sobie po jej mieście. Dlatego postanowiła upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Kiełbasa leżąca na końcu Korsgade, u podnóża starego bunkra z czasów wojny, była naszprycowana taką ilością ekstraktu szaleju, że powinno wystarczyć. Łakomy pies nie będzie mógł się oprzeć, bo wędlna leżała dokładnie tam, gdzie zazwyczaj węszył, by się załatwić. Kiedy pies chwyci w pysk taki posiłek, żadna ziemską siłą go nie powstrzyma. Nie żeby podejrzewała, by jego pan w ogóle miał zamiar próbować, bo zdecydowanie nie należał do opiekunów, którzy zwracaliby uwagę, w jakich odpadkach grzebie ich pies, ale jednak.

Po paru minutach zobaczyła, jak ujadające psisko ciągnie swego pana na ścieżkę przy Peblinge Dossering. Nie minęło dziesięć sekund, a pies wyniuchał przynętę i szybkim kłapnięciem zgarnął kiełbasę z ziemi.

Jeśli jej oczy nie myliły, nawet jej nie pogryzł.

Gdy ją mijali, wstała spokojnie, sprawdziła godzinę na zegarku i pokuśtykała za nimi.

Wiedziała, że mężczyzna nie da rady przejść trasy wokół wszystkich czterech jezior, ale krótszy odcinek również powinien wystarczyć. Spacer wokół jeziora Peblinge zajmował w tym tempie około kwadransa, a to aż nadto, zważywszy na silne stężenie jej mikstury.

Już na moście Królowej Louise wyglądało na to, że pies zbacza z drogi.

W każdym razie narkoman wielokrotnie ciągnął za smycz, co skutkowało tylko tym, że uparte zwierzę szarpało pyskiem we wszystkie strony.

Po drugiej stronie mostu facet pociągnął psa na ścieżkę spacerową nad jeziorem i zaczął na niego krzyżeć, tak jakby stan psa spowodowany był wyłącznie przekorą. Przestał, gdy pies zaczął na niego warczeć, i obrócił się do niego, pokazując zęby.

Zastygli naprzeciw siebie na jakąś minutę czy dwie, podczas gdy Nete oparła się o masywną balustradę, udając, że jej wzrok przykuły wody jeziora i budynek Søvavillonen.

Jednak obserwowowała coś zupełnie innego. Kątem oka widziała, jak pies siada ciężko i rozgląda się w oszołomieniu, jakby pomyliły mu się kierunki. Język zwisał mu z pyska; to jeden z symptomów.

„Zaraz wskoczy do wody, by się napić” – pomyślała, ale pies tego nie zrobił. Ten moment musiał już minąć.

Dopiero gdy położył się na boku, charcząc, i w końcu znieruchomiał, idiota po drugiej stronie smyczy zrozumiał, jak bardzo z nim źle.

Z wyrazem twarzy, który zapewne miał wyrażać zarówno skołowanie, jak i bezradność, ciągnął za smycz, krzyżąc:

– Szatan, chodź!

Ale Szatan nigdzie się nie wybierał. Kielbasa z szalejem zrobiła swoje.

Nie minęło nawet dziesięć minut i wszystko było jak należy.

Przez godzinę słuchała muzyki poważnej w radiu na kanale P2, bo koilo ją to i nastrajało konstruktywnie. Teraz już знаła działanie szaleju i nie miała co do niego wątpliwości. Pozostała tylko kwestia, na ile zaproszeni będą trzymać się wyznaczonych terminów. W każdym razie nie miała wątpliwości, że się skuszą. Dziesięć milionów koron to mimo wszystko naprawdę dużo pieniędzy, a każdy w Królestwie Danii wiedział, że Nete ma wiele, wiele więcej. „Tak, na pewno się skuszą” – pomyślała, podczas gdy w radiu rozpoczął się serwis informacyjny.

Wieści nie były porywające. Minister do spraw kościelnych przebywała w NRD, właśnie rozpoczął się proces Izraelczyka, który ujawnił poufne informacje dotyczące broni atomowej.

Nete wstała, by pójść do kuchni i przygotować lunch, gdy usłyszała nazwisko Curta Wada.

Wzdrygnęła się. Wstrzymała oddech, jakby stanowiło to jedyne lekarstwo.

Ten sam głos co dwa lata temu. Wyniosły, wyraźny i pewny siebie. Tylko temat był inny.

– Czyste Linie opowiadają się za znacznie większą ingerencją w nazbyt łagodnie traktowaną przez społeczeństwo kwestię imigrantów. Interesuje nas też liczba urodzeń w najniższych i najsłabszych warstwach społecznych, bo dzieci urodzone z rodziców w jakiś sposób obciążonych, czy to upośledzone umysłowo, czy skazane na uzależnienia, czy obciążone genetycznie tendencjami społecznymi, stanowią istotną część problemów, z którymi na co dzień borykamy się w naszym kraju i które kosztują nas miliardy – powiedział, nie dopuszczając dziennikarza do głosu. – Proszę pomyśleć, ile byśmy oszczędzili, gdyby przestępcy nie mieli prawa do płodzenia dzieci. Opieka społeczna przestałaby wręcz mieć rację bytu, więzienia świeciłyby pustkami. Albo gdybyśmy zlikwidowali niedorzeczne wydatki na bezrobotnych imigrantów, którzy dla wygody i czerpiąc pełnymi garściami z państwowej kasy, ściągają tu całe rodziny i zapełniają nasze szkoły dziećmi nierozumiejącymi naszego języka ani zwyczajów. Proszę pomyśleć, jak by to było, gdyby wielodzietnym rodzinom żyjącym ze świadczeń społecznych i zaniedbującym swoje liczne potomstwo nagle odebrano prawo do płodzenia tylu dzieci. Dzieci, których w żadnym razie nie potrafią utrzymać. Chodzi tu bowiem o...

Nete usiadła ciężko na krześle, spoglądając ponad koronami kasztanowców.

Zrobiło jej się słabo. Kim on jest, by ośmielać się osądzać, kto zasługuje na życie, a kto nie?

Curtem Wadem, oczywiście.

Przez chwilę miała wrażenie, że zwymiotuje.

Nete stała naprzeciwko ojca. Jeszcze nigdy nie widziała, by twarz mu tak pociemniała. I żeby patrzył z taką goryczą.

– Bronilem cię przez cały czas, jak chodziłaś do szkoły, wiesz o tym, Nete?

Skinęła głową, dobrze o tym wiedziała. Nie potrafiła zliczyć, ile razy wzywano ich na rozmowę do ciemnej sali lekcyjnej, a jej ojciec protestował przeciwko groźbom kierownika i dyrektorki szkoły, choć pod koniec odpuścił na tyle, że ograniczał się do wysłuchiwania ich oskarżeń i obiecywał poprawę w imieniu Nete. Tak, pouczy ją, że ma się bać Boga i uważać, jakich słów używa. I tak, sprowadzi

ją na właściwą drogę, jeśli chodzi o jej bezpieczne zachowanie.

Ale Nete nigdy nie rozumiała, dlaczego on sam może tak brzydko przeklinać i dlaczego mówienie o samicach i samcach było niewłaściwe, skoro wszyscy w gospodarstwie twierdzili inaczej.

– Opowiadają, że jesteś głupia, ordynarnie się wyrażasz i że demoralizujesz swoje otoczenie – rzekł ojciec. – Wyrzucono cię ze szkoły, załatwiłem panią, żeby cię uczyła, choć drogo to kosztowało. Żebyś choć nauczyła się czytać, ale tego też nie potrafisz. Gdziekolwiek się ruszę, ludzie patrzą na mnie wilkiem. Jestem tym wieśniakiem, którego córka sprowadza wstyd na całą wieś. Pastor, szkoła, wszyscy się od ciebie odwrócili, a przez to też ode mnie. Nie byłeś u konfirmacji, a do tego jesteś w ciąży i twierdzisz, że zrobił to twój kuzyn.

– Bo tak jest. Zrobiliśmy to razem.

– Tyle że to nieprawda! Tage mówi, że nie miał z tobą do czynienia, więc kto to był?

– Tage i ja razem.

– Uklęknij na podłodze, Nete.

– Ale...

– KŁĘKAJ!

Zrobiła, jak kazał, i zobaczyła, jak ciężkimi krokami zbliża się do leżącego na stole worka.

– Masz – powiedział, wysypując przed nią na podłodze ziarenka ryżu, tworząc kupkę wielkości filiżanki. – Jedz!

Postawił obok dzbanek wody.

– I pij!

Rozejrzała się. Spojrzała na zdjęcie mamy, uśmiechniętej i szczuplutkiej w swojej sukni ślubnej, na witrynę z talerzami i zegar na ścianie, który od dawna nie chodził. Nic w tym pokoju nie przyniosło jej pocieszenia, nic nie podpowiadało rozwiązania.

– Gadaj, z kim się rznąłaś, Nete, albo żryj.

– Z Tagem, tylko z nim.

– Masz – warknął ojciec, trzęsącymi rękami wmuszając jej do ust pierwszą garść ryżu.

Ziarna drapały ją w gardło, choć piła, ile mogła, a gdy połykała kolejny raz,

kłuły jeszcze bardziej. Te małe, szpiczaste, ostre ziarna ryżu, leżące na podłodze niczym głowa cukru.

Gdy jej ojciec schował twarz w dłoniach, płacząc i błagając, by mu powiedziała, kto ją zapłodnił, poderwała się, tłukąc dzbanek z wodą. Cztery kroki do drzwi i już była na zewnątrz. A na dworze, na powietrzu była pewna siebie, szybka, lekka i obeznana z terenem jak mało kto.

Słyszała za plecami wołanie i krzyki ojca, a potem jego kroki w oddali, ale to jej nie powstrzymało. Zrobił to ból brzucha, który poczuła, gdy ryż zaczął absorbować kwas żołądkowy i płyny. Gdy żołądek zwiększył objętość, odchyliła głowę do tyłu, łapiąc powietrze.

– To był Taaaaageeeee! – krzyknęła ponad trzcinami i płynącym obok niej strumieniem, po czym padła na kolana i z całej siły przycisnęła pięści do podbrzusza. Przyniosło to nieznaczny ulgę, żołądek wciąż się rozszerzał; sprowokowała u siebie odruch wymiotny, wkładając palce do gardła, ale nic to nie dało.

– To był Tage, mamó, powiedz to tacie! – zapłakała z oczami zwróconymi ku niebu. Ale to nie matka odwzajemniła jej spojrzenie, tylko pięciu chłopaków z wędkami.

– To ona, Kutasowa Nete! – zawołał jeden z nich.

– Kutasowa Nete, Kutasowa Nete! – dołączyli się pozostali.

Zamknęła oczy. Wszystko w jej ciele było złe, i w brzuchu, i w podbrzuszu. W miejscach jej ciała, o których istnieniu nie miała wcześniej pojęcia. Poczuła po raz pierwszy głębokie pulsowanie w prawym oku, promieniujące do sklepienia czaszki. Poczuła po raz pierwszy zapach własnego potu. Cały jej organizm próbował krzykiem odegnąć ból i sprawić, by znów poczuła się całością.

Ale nie mogła krzyczeć, choćby nie wiadomo jak chciała, nie mogła też odpowiedzieć, gdy chłopcy spytali, czy nie podniosłaby sukienki, by mogli więcej zobaczyć.

Słyszała nadzieję w ich słowach. W tym momencie na chwilę zdradzili się, kim naprawdę są: małymi, głupimi, nieświadomymi nastolatkami, którzy zawsze robili tylko to, czego wymagają od nich ojcowie, nic więcej. To, że nie odpowiadała, nie tylko ich rozjuszyło, ale też upokorzyło, a to absolutnie najgorsze, co można było im zrobić.

– Ona jest maciorą! – zawołał jeden. – Trzeba ją wymyć w potoku!

I bez ostrzeżenia chwycili ją za nogi, ramiona i tułów i wrzucili do wody.

Usłyszeli głuchy odgłos, gdy upadła brzuchem na kamień, i zobaczyli, jak macha rękami, podczas gdy wypływająca spomiędzy jej nóg krew barwiła wodę na czerwono.

Ale nikt nic nie zrobił. Czy może raczej wszyscy coś zrobili: uciekli.

I z zimnych odmętów podniósł się krzyk.

Przydał się, bo ojciec za nim podążył, wyciągnął ją i dotaszczył do domu. Silne ramiona, które nagle zrobiły się czułe. Również on dostrzegł krew i zrozumiał, że Nete nie może się dłużej bronić.

Położył ją w łóżku, chłodząc jej podbrzusze szmatami i przepraszając za swój porywczy temperament, ale ona nie odpowiadała. Ból głowy, podbrzusza i żołądka po prostu jej to uniemożliwiały.

Od tej pory już nigdy nie wspomniał nawet słówkiem o tym, kto zrobił jej dziecko, bo dziecka już przecież nie było, to jasne. Matka Nete również miała poronienie, nie stanowiło to tajemnicy, a objawy trudno było pomylić z czymś innym. Nawet Nete to wiedziała.

Wieczorem, gdy czoło dziewczyny zrobiło się rozpalone, jej ojciec wezwał doktora Wada. Godzinę później lekarz zjawił się wraz z synem Curtem, nie dziwiąc się zupełnie stanowi Nete. Stwierdził po prostu, że wygłupiała się i wpadła do potoku, tak słyszał od pozostałych i jak widzi, tak właśnie musiało być. To godne ubolewania, że dziewczynka krwawi – orzekł i spytał jej ojca, czy była w ciąży. Nie pofatygował się nawet, by samemu to sprawdzić.

Patrzyła na twarz ojca, jak kręci głową, sparaliżowany wstydem i spłoszony.

– Przecież to by było niezgodne z prawem – powiedział jej ojciec cicho. – Więc oczywiście, że nie. Nie, niepotrzebna nam w tej sprawie policja. Wypadek to wypadek.

– Dojdiesz do siebie. – Syn doktora gładził ją zbyt długo po ramieniu, niepostrzeżenie dotykając czubkami palców jej małych piersi.

Wtedy zobaczyła Curta Wada po raz pierwszy i już wówczas czuła dyskomfort w jego obecności.

Potem jej ojciec długo na nią patrzył, zanim zebrał się w sobie i zdecydował, że zniszczy jej życie.

– Nie możesz tu dłużej zostać, Nete. Znajdziemy ci rodzinę zastępczą. Jutro porozmawiam z gminą.

Gdy w radiu skończył się wywiad z Curtem Wadem, siedziała dłuższy czas na krześle w salonie, marszcząc brwi. Nawet *Fiońska wiosna* Carla Nielsena i preludia Bacha nie mogły jej uspokoić.

Ten bydlak dostał czas antenowy. Próbowali go powstrzymać, zadając dociekliwe pytania, ale on wykorzystał swój czas i zrobił to dobrze i w odrażający sposób.

Wszystko, za czym się wtedy opowiadał, nie tylko nie uległo zmianie, ale ewoluowało do tego stopnia, że zdjęła ją groza. Curt Wad publicznie przedstawiał cel swojej działalności i pracy stowarzyszenia, żywcem wzięty z innej epoki. Epoki, w której ludzie krzyczeli „Heil!”, trzaskając obcasami, i mordowali w chorej wierze, że niektórzy są lepsi niż inni i że idzie za tym prawo do dzielenia ludzi na nadających i nienadających się do życia.

Za wszelką cenę musi sprawić, by ten bydlak połknął haczyk. Bez względu na koszty.

Drżała na całym ciele, wyszukując jego numer i musiała próbować wielokrotnie, nim wykręciła właściwy.

Dopiero za trzecim razem linia okazała się wolna, pewnie inni też słyszeli wywiad w radiu, wnioskując z takiego ruchu. Miała nadzieję, że to ludzie, którzy tak jak ona nienawidzili go za to, kim jest.

Głos Curta Wada natomiast wcale na to nie wskazywał, kiedy wreszcie podniósł słuchawkę.

– Curt Wad, Czyste Linie – odebrał bezwstydnie i ostentacyjnie.

Kiedy się przedstawiła, spytał ją z oburzeniem, jakim prawem pozwala sobie marnować jego czas na korespondencję, a teraz też na ten telefon.

Już miał rzucić słuchawkę na widełki, kiedy zebrawszy siły, powiedziała opanowanym głosem:

– Jestem śmiertelnie chora i chciałam tylko przekazać, że pogodziłam się z tym, co się między nami wydarzyło. Wysłałam list, w którym piszę, jak duża kwota zostanie udostępniona panu lub organizacjom, z którymi ma pan do czynienia. Nie wiem, czy go pan czytał, ale uważam, że powinien pan to zrobić i ustosunkować się do jego treści, bo zostało niewiele czasu.

Cicho odłożyła słuchawkę, spoglądając na butelkę z trucizną; nadciągała migrena.

Teraz zostało już tylko pięć dni.

15

Listopad 2010

Mørck obudził się z policzkiem wciśniętym w najodleglejszy kąt gabinetu, czując ostry, orientalny smród w nosie, i ujrzał tuż przed sobą dwoje badawczych oczu i połąć sterczącego, dwudniowego zarostu.

– Proszę, szefie – powiedział Assad, kołysząc szklanką z parującą, gorącą cieczą.

Carl odruchowo odwrócił nos, czując ucisk w karku, jakby chwyciło go imadło. Do diaska, jak ta herbata cuchnie.

Rozejrzał się wokół, przypominając sobie, że siedzieli wczoraj do późna i że powrót do domu po prostu go przerastał. Wetknął nos pod pachę i pożałował.

– Najprawdziwsza herbata z Ar-Rakki – wychrypiał Assad.

– Ar-Rakka? – spytał Carl. – Brzmi nieciekawie. Jesteś pewien, że to nie choroba? Coś z flegmą w gardle?

Assad się uśmiechnął.

– Ar-Rakka to piękne miasto nad Eufratem.

– Nad Eufratem? Kto słyszał o herbacie z Eufratu? I jakie to państwo, jeśli wolno spytać?

– Syria, oczywiście. – Assad wrzucił kilka łyżeczek cukru do szklanki i podał ją Carlowi.

– Assad, z tego co wiem, w Syrii nie uprawia się herbaty.

– To herbata ziołowa. Dużo w nocy pokaszlałeś.

Carl wyprostował mięśnie karku, ale nie pomogło, raczej odwrotnie.

– A Rose pojechała potem do domu?

– Nie, przez większość nocy szalała w toalecie. Nadeszła na nią pora.

– Wieczorem nie była chora.

– Ale się pochorowała.

– Gdzie jest teraz? – Oby jak najdalej stąd.

– Jest w Bibliotece Królewskiej i szuka książek o Sprogø. Jak nie szalała w toalecie, czytała o wyspie w internecie. Tu jest trochę – powiedział, podając

Carlowi spięte kartki.

– Można najpierw ochłapać twarz wodą, Assad?

– Tak, tak, a jak będziesz to czytał, możesz zjeść tyle ciastek, ile chcesz. Kupione w tym samym miejscu co herbata. Są bardzo, bardzo, bardzo dobre.

„W tym zdaniu było o jedno czy dwa «bardzo» za dużo” – pomyślał Carl ze wzrokiem utkwionym w pudełko upstrzone arabskimi znaczkami i ozdobione zdjęciem ciastka, nad którego konsumpcją zastanowiłby się nawet człowiek stojący w obliczu śmierci głodowej.

– Dziękuję – powiedział i począł do łazienki, by pobieżnie się umyć. Kwestię śniadania trzeba będzie rozwiązać w inny sposób. Lis z drugiego piętra zazwyczaj trzyma jakieś słodczy w szufladzie.

Czyli warto się przespacerować.

– Dobrze, że przyszedłeś. – Lis odsłoniła lekko krzywe zęby w obezwładniającym uśmiechu. – Odnalazłam twojego kuzyna Ronny’ego, a powiem ci, nie było to łatwe. Ten człowiek zmienia miejsca zamieszkania jak inny nocną bieliznę.

Carl pomyślał o własnych dwóch spranych T-shirtach, których używał na zmianę, i spróbował wyrzucić ten obraz z głowy.

– Gdzie jest teraz Ronny? – spytał, starając się sprawiać subtelniejsze wrażenie niż normalnie.

– Wynajął mieszkanie w Vanløse, tu masz numer komórki. To numer na kartę, w razie czego.

A niech to! Vanløse, koło którego codziennie przejeżdżał. Mały jest ten świat.

– A gdzie Nawałnica, też chora? – spytał, wskazując miejsce.

– Nie, nie tak łatwo ją pokonać, podobnie jak mnie. – Lis wskazała rękoma wyludnione gabinety. – Nie to co tych słabeuszy naokoło. Nie, Cata jest na swoim kursie NLP. Dziś ostatni dzień.

Cata? Przecież pani Sørensen to nie żadna Cata.

– Cata? Chodzi o panią Sørensen?

Lis skinęła głową.

– Właściwie to Catarina, ale mówiła, że woli Catę.

Carl zszedł chwiejnym krokiem po schodach do piwnicy.

Na drugim piętrze wszystko się pokiełbało.

– Czytałeś moje wydruki? – spytała Rose na widok Carla. Nie wyglądała kwitnąco.
– Niestety. Nie sądzisz, że powinnaś pójść do domu?
– Później, najpierw musimy o czymś porozmawiać.
– Tak przypuszczałem. O co chodzi z tym Sprogø?
– Gitte Charles i Rita Nielsen przebywały tam w tym samym czasie.
– Tak, i... – powiedział, jakby nie rozumiał, co to znaczy, ale rozumiał. Kawał dobrej roboty, wszyscy troje o tym wiedzieli.

– Mogły się znać – ciągnęła. – Gitte Charles była tam pracownicą, a Rita osadzoną.

– Osadzoną? Jak mam to rozumieć?

– Nie wiesz za dużo o Sprogø, co, Carl?

– Wiem, że to wyspa między Zelandią a Fionią, pośrodku Wielkiego Bełtu, i że widziało się ją z promu, kiedy jeszcze się nim pływało. Pośrodku wyspy stoi latarnia morska. Wzgórze i mnóstwo trawy.

– Tak, i kilka zabudowań, prawda?

– Owszem, zgadza się. Od chwili powstania mostu biegnącego nad wyspą widać je nawet wyraźnie, szczególnie gdy się jedzie od strony Zelandii. Są chyba żółte.

Wszedł Assad, tym razem ładnie uczesany i z elegancko pozacinaną twarzą. Może trzeba by zainwestować w nową żyłkę dla niego.

Rose przechyliła głowę na bok.

– Wiesz o zakładzie dla kobiet na wyspie, prawda?

– Taaak, oczywiście. Coś tam ze źle prowadzącymi się kobietami, które trafiały na wyspę na jakiś czas, nie?

– Tak, coś w tym stylu. Opowiem w skrócie, więc słuchaj uważnie. Ciebie to też dotyczy, Assad.

Podniosła palec niczym nauczycielka. Była w swoim żywiole.

– Zaczęło się to w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku od niejakiego Christiana Kellera, który był konsultantem medycznym w duńskiej opiece społecznej. Przez wiele lat szefował paru instytucjom dla upośledzonych umysłowo, między innymi w Brejning, które zbiorczo nazwano Instytutami Kellera. Należał do tego rodzaju lekarzy, którzy w ślepej wierze we własną nieomylność uważali, że potrafią ocenić i wyselekcjonować ludzi, którzy nie są w stanie zająć tak zwanego „odpowiedniego miejsca” w duńskim społeczeństwie.

Założenie placówki na Sprogø związane było z rozpowszechnionymi w tamtym czasie eugenicznymi i socjohigienicznymi teoriami na temat „złego materiału genetycznego”, urodzeń zdegenerowanych dzieci i innych takich bzdur.

Assad się uśmiechnął.

– Eugenika! Tak, tak, dobrze wiem, co to jest. To wtedy, kiedy ucina się jądra chłopcom, żeby wysoko śpiewali. Było ich naprawdę dużo w dawnych haremach na Bliskim Wschodzie.

– Assad, mówisz o eunuchach – poprawił go Carl i dopiero wtedy dostrzegł przebiegłą minę Assada. Oczywiście, że wiedział, co robi.

– Nie, Carl, ja się tak tylko nabijam. Sprawdziłem to dziś w nocy. Eugenika pochodzi z greki i oznacza „z dobrego rodu”, czyli dobre pochodzenie. Wiem o tym. To nauka o tym, jak dzieli się ludzi ze względu na ich pochodzenie i środowisko. – Poklepał Carla przyjacielsko po ramieniu. Nie było wątpliwości, że wie o tych sprawach zdecydowanie więcej niż szef.

Nagle uśmiech Assada zniknął.

– I wiesz co? Nienawidzę tego – powiedział. – Nienawidzę, jak ktoś czuje się lepszym człowiekiem niż inni. Pod względem wyższości rasy, rozumiesz. Pod względem dzielenia ludzi na bardziej i mniej wartościowych.

Patrzył prosto na Carla. Nigdy wcześniej nie wypowiadał się na takie tematy.

– Ale to o to właśnie chodzi w byciu człowiekiem, nie? – orzekł. – Żeby czuć się znacznie lepiej niż wszyscy, i wszystko gra. Wszyscy do tego dążą, prawda?

Carl kiwnął głową. Czyli Assad doświadczył dyskryminacji na własnej skórze. Oczywiście, musiał.

– W tamtych czasach kierowano się szarlatanerią – ciągnęła Rose. – Lekarze praktycznie guzik wiedzieli. Jeśli kobieta zachowywała się aspołecznie, natychmiast znajdowała się na celowniku. Zwłaszcza kobieta, która była lekko nieobyczajna, jak to się ujmowało. Mówiło się o niskim poziomie moralności seksualnej, wskazywano akurat te szczególne kobiety, jakoby roznosiły choroby weneryczne i rodziły zdeformowane dzieci. I by się ich pozbyć, umieszczano je na Sprogø bez żadnego wyroku i na nieokreślony czas. Lekarze najwyraźniej uważali, że mają prawo i obowiązek to robić, bo to przecież oni byli normalni, a te kobiety nie.

Rose zamilkła na chwilę, by nadać mocy kolejnej wypowiedzi.

– Moim zdaniem brali się za to zadufani zasrańcy, dbający o swój wizerunek, jeśli tylko któraś z gmin chciała się pozbyć kobiety, która była na bakier z mieszczańską moralnością. W ten sposób ci lekarze stawiali się na równi z Bogiem.

Carl skinął głową.

– Tak, czy może prędzej z Szatanem – dodał. – Ale mówiąc szczerze, sądziłem, że kobiety z tej wyspy były upośledzone umysłowo. Nie żeby to usprawiedliwiało takie działanie – zastrzegł pospiesznie. – Może wręcz przeciwnie.

– Tsss – syknęła Rose szyderczo. – Upośledzenie umysłowe, jasne, tak to przecież ujmowali. Może i były upośledzone według kretyńskich i prymitywnych testów na inteligencję autorstwa tych lekarzy, ale kim, u diabła, byli ci, co pozwalali sobie na nazywanie upośledzonymi umysłowo tych kobiet, które może całe życie przeżyły bez nauki? Zdecydowaną większość stanowiły po prostu przypadki społeczne i basta, ale traktowano je jak przestępców i ludzi drugiej kategorii. Oczywiście raz na jakiś czas trafiały tam osoby upośledzone czy ociężałe umysłowo, ale na pewno nie tylko. I o ile wiem, w Danii jeszcze nigdy bycie głupim nie było przestępstwem. W przeciwnym razie niewielu członków rządu przebywałoby teraz na wolności. Oni dopuszczali się po prostu skandalicznych nadużyć wobec ludzi, i tyle. Trudno było za to dostać medal od Trybunału Praw Człowieka czy Amnesty International i niech mnie licho, jeśli w tym kraju wciąż nie dzieją się podobne rzeczy. Pomyślcie o tych wszystkich ludziach unieruchamianych kaftanami bezpieczeństwa. O tych, którzy mogą sobie zgnić, nafaszerowani do nieprzytomności tabletkami i innym gównem. O tych, którym odmawia się obywatelstwa, bo nie potrafią odpowiedzieć na jakieś żalodne pytania. – Rose niemal wysyczała ostatnie zdanie.

„Jest niewyspana albo ma okres” – pomyślał Carl, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu herbatników, w które zaopatrzyła go Lis.

Chciał ją jednym poczęstować, ale pokręciła głową. No tak, teraz sobie przypomniiał, że przecież żołądek jej szwankuje. Poczęstował też Assada, ale i w nim nie znalazł amatora. Dobra nasza, będzie więcej dla niego.

– Posłuchaj, Carl. Kobiety nie mogły się wydostać ze Sprogø, wiedziałeś o tym? To był przedsiomek piekieł. Traktowano je jak chore, ale nie przechodziły żadnego leczenia, bo to nie był szpital. Nie było to też więzienie, więc lądowały tam na

nieokreślony czas. Niektóre prawie przez całe życie nie miały kontaktu z rodziną czy w ogóle ludźmi spoza wyspy. I to się ciągnęło aż do sześćdziesiątego pierwszego roku. Do cholery, Carl, to się działo w twoich czasach, zdajesz sobie sprawę? – Nie ulegało wątpliwości, że w Rose obudziło się poczucie sprawiedliwości.

Już miał zamiar zaprotestować, ale w sumie miała rację. To się faktycznie działo w jego czasach i to go zaskoczyło.

– Okej. – Kiwnął głową. – I ten Christian Keller deportował te kobiety na Sprogø, bo uważał, że nie nadają się do normalnego życia, tak było? Dlatego Rita Nielsen tam wylądowała?

– Tak, do diabła. Całą noc czytałam o tych okropnych ludziach, Kellerze i jego następcy, Wildenskovie, w Brejning. Rządy tej dwójki zaczynają się w dwudziestym trzecim roku i kończą na dwa lata przed zamknięciem zakładu w sześćdziesiątym pierwszym. Przez prawie czterdzieści lat tysiąc pięćset kobiet wylądowało na wyspie na czas nieokreślony i powiem ci, że ich życie nie było usłane różami. Surowe traktowanie, ciężka praca. Źle wykształcony personel, który traktował „dziewczyny”, bo tak je nazywano, jak podludzi i pomiatał nimi dzień i noc. Jeśli dziewczyny nie zachowywały się odpowiednio, trafiały na wiele dni do karceru. A jeśli któraś z nich zamarzyła, by wydostać się z tej zasranej wyspy, musiała liczyć się z tym, że najpierw zostanie wysterylizowana. Pod przymusem! Pozbawiano je zarówno narządów rozrodczych, jak i życia seksualnego, Carl. – Rose przechyliła głowę i kopnęła w ścianę. – Kurwa mać, ale to porąbane.

– Dobrze się czujesz, Rose? – spytał Assad, kładąc ostrożnie dłoń na jej ramieniu.

– To jest po prostu jedno z najgorszych nadużyć władzy, jakie można sobie wyobrazić – powiedziała z wyrazem twarzy, którego Carl nigdy przedtem nie widział. – Zostać skazaną na życie na odludnej wyspie, gdzie możesz sobie zgnić. My, Duńczycy, nie jesteśmy ani trochę lepsi niż ci, których najbardziej nienawidzimy – syknęła. – Jesteśmy jak ci, którzy kamienują kobiety za niewierność, jak naziści, którzy mordowali upośledzonych umysłowo i niepełnosprawnych. Czy tego, co działo się na Sprogø, nie da się porównać z sowieckimi tak zwanymi szpitalami psychiatrycznymi dla opozycjonistów czy zakładami leczniczymi dla upośledzonych umysłowo w Rumunii? Oczywiście, że

można, bo nie jesteśmy za grosz lepsi, tak?!

Odwróciła się i pobiegła w kierunku toalet. Widać rewolucje jelitowe jeszcze nie odpuściły.

– Uff – odezwał się Carl.

– Tak, strasznie się nakręciła w nocy na temat Sprogø, Carl – powiedział cicho Assad. Nie chciał ryzykować, że usłyszy go Rose. – Wydaje mi się, że trochę dziwnie się zachowuje. Może wkrótce przyśle nam Yrsę w zastępstwie.

Carl zacisnął oczy. Też miewał czasem takie podejrzania, a co dopiero teraz.

– Assad, myślisz, że Rose sama doświadczyła tego rodzaju traktowania? To sugerujesz?

Tamten rozłożył ręce.

– Mówię po prostu, że jest w niej coś, co ciśnie jak kamień w bucie.

Carl spoglądał przez chwilę na słuchawkę telefonu, nim ją podniósł i wystukał numer Ronny'ego.

Gdy sygnał wybrzmiał wystarczającą ilość razy, rzucił słuchawkę na widełki, odczekał dwadzieścia sekund i zadzwonił jeszcze raz.

– Halooo! – rozległ się ochryply, zmęczony głos, wyeksploatowany zarówno wiekiem, alkoholem, jak i nieregularnymi godzinami snu.

– Cześć, Ronny – powiedział po prostu.

Brak odzewu.

– Mówi Carl.

Nadal brak odzewu.

Krzyknął więc trochę głośniej, a później jeszcze głośniej, wywołując pewną aktywność po drugiej stronie w postaci chrapliwego łapania powietrza i odkrztuszania flegmy będącej wynikiem sześćdziesięciu papierosów, leżących teraz zapewne w popielniczce pod postacią petów.

– Mówisz, że kim jesteś? – rozległ się głos.

– Carl, twój kuzyn. Cześć jeszcze raz, Ronny.

Kolejny napad kaszlu w słuchawce.

– Co to, kurwa, jest za pora, która godzina?

Carl spojrzął na zegarek.

– Piętnaście po dziewiątej.

– Piętnaście po dziewiątej! Zupełnie zdurniałeś, człowieku! Nie mam z tobą

kontakty od dziesięciu lat i dzwonił o dziewiątej! – Po czym rzucił słuchawkę.

Nic nowego pod słońcem. Carl go sobie wyobraził. Na pewno goły, jeśli nie liczyć skarpetek, których nigdy nie zdejmował. Zapewne również w posiadaniu wyjątkowo długich paznokci i brody, rosnącej w bezładnych kępkach. Wielki facet o wielkim ciele, bez względu na to, w której części świata przebywał, najlepiej czuł się w półmroku, ze słońcem na pół gwizdka. Jeśli lubił wyjazdy do Tajlandii, to w każdym razie nie ze względu na opaleniznę.

Nie minęło dziesięć minut, a oddzwonił.

– Co to za numer telefonu, Carl? Skąd dzwonił?

– Z mojego biura w Komendzie Głównej.

– A fuj!

– Słyszałem o tobie to i owo, Ronny, możemy pogadać?

– Co o mnie słyszałeś?

– Że rozpowiadasz różne rzeczy o śmierci twojego ojca po wątpliwych barach rozsianych po całym świecie i że mnie w to wciągasz.

– Kto tak niby gada?

– Inni policjanci.

– Z komendy?! Chyba cię pogięło. Powiedz no, zdemenciałeś od naszego ostatniego spotkania? Nie, jeśli mamy się spotkać, to musi to być warte fatygi.

Za chwilę zaproponuje coś, co kosztuje pieniądze. Coś, za co Carl będzie musiał zapłacić i co można wypić.

– Możesz postawić mi browara i kanapki w Tivolihallen. To obok ciebie.

– Nie znam tego lokalu.

– Tuż naprzeciwko Rio Bravo, to chyba znasz. Na rogu Stormgade.

Skoro wiedział, że Carl zna Rio Bravo, to po kiego grzyba ten cymbał proponuje, by spotkali się gdzie indziej?

Ustalili datę, po czym Carl siedział przez chwilę, zastanawiając się, co ma powiedzieć, żeby temu tumanowi wbić cokolwiek do łba.

„To na pewno Mona” – pomyślał, gdy telefon znów się rozdzwonił. Spojrzał na zegarek: wpół do dziesiątej. To do niej podobne. Na samą myśl poczuł ucisk w żołądku.

– Taaak? – zagaił, ale głos ani nie należał do Mony, ani nie był seksowny. Zupełnie jakby ktoś pokazał mu środkowy palec tuż przed nosem.

– Nie przyszedłbyś tu na górę, Carl? – To był Tomas Laursen, który był najzdolniejszym technikiem policyjnym zachodniego rejonu stołecznego, dopóki nie przeszkodziły mu wstąpienie do pracy i duża wygrana w lotto, zaprzepaszczone przez niefortunne inwestycje. Obecnie był doskonałym menadżerem stołówki na czwartym piętrze, w każdym razie takie doszły go słuchy. I tak zbliżał się czas, by się tam udać, więc czemu nie teraz?

– Tomas, o co chodzi?

– O te zwłoki znalezione na Amager.

Jedynym faktem, jaki łączył obecną stołówkę z tą sprzed decyzji szefostwa policji, że należy iść z duchem czasu, było to, że nadal był to nieciekawym lokalem.

– Dobrze ci idzie? – spytał Carl masywnego faceta, który pokiwał głową bez przekonania.

– W każdym razie póki co nie mam czym zapłacić za to ferrari, które wczoraj zamówiłem – zarechotał i pociągnął Carla do kuchni. Wtedy uśmiech zniknął. – Wiesz, jak głośno ludzie potrafią gadać, jak tu siedzą i się obżerają? – spytał ściszym głosem. – Ja nie wiedziałem, dopóki tu nie trafiłem.

Otworzył pilznera i bez pytania wręczył go Mørckowi.

– Posłuchaj, Carl. Gdybym powiedział, że ktoś gadał o tym, że ty i Bak posprzeczałyście się o sprawę na Amager, to miał rację?

Carl wziął łyk. Ostatnimi czasy było co spłukiwać.

– Nie o tę sprawę, ale dlaczego?

– Bak w każdym razie sugerował w obecności swoich dawnych kolegów stąd, że to trochę podejrzane, że uniknąłeś ataku w tym baraku na Amager, podczas gdy Anker zabili, a Hardy jest sparaliżowany. Że chciałeś, żeby to po prostu wyglądało na atak na ciebie. Że nie mogłeś stracić przytomności przez to draśnięcie na skroni i że łatwo sfingować z małej odległości tego rodzaju strzał.

– No że kurwa mać, co za gnojek! Musiał to powiedzieć, zanim pomogłem mu w sprawie napadu na jego siostrę. Zastrany, niewdzięczny dupek. Kto lata z ozorem i rozpowiada takie plotki?

Laursen pokręcił głową. Tego nie wyjawiał. Widocznie tutaj ludzie powinni czuć się na tyle bezpiecznie, by trajkotać ile wlezie. Niby okej, ale nie wówczas, gdy plotki dotyczyły Carla.

– Obawiam się, że wielu tak o tobie myśli, ale to nie wszystko.

– Co jeszcze? – Odstawił pilznera na lodówkę. Nie będzie zalatywał piwskim, skoro za chwilę ma zamiar zjawić się przed szefem Wydziału Zabójstw i dolać oliwy do ognia.

– Technicy sądowi znaleźli wczoraj trochę rzeczy w kieszeni denata. Jedna to moneta, która zawieruszyła się w jakiejś fałdzie. Dokładniej mówiąc, jednokoronówka. Właściwie to znaleźli pięć duńskich monet w kieszeni, ale ta była najnowsza.

– Z którego roku pochodziła?

– Nie była stara, z 2006. Czyli ciało mogło leżeć w ziemi najwyżej od czterech lat. Ale jest coś jeszcze.

– Jasne, rozumiem. Co jeszcze znaleźli?

– Dwie monety z kieszeni były owinięte w przezroczystą folię spożywczą i były na nich odciski palców. Prawy palec wskazujący dwóch różnych osób.

– Okej, dopatrzyli się tam czegoś?

– Owszem. Odciski były dość wyraźne i dobrze zachowane, więc to, że monety zapakowano w folię, spełniło swoją funkcję, jak sądzę.

– Kto pozostawił te odciski?

– Jeden należał do Ankera Henningsena!

Carl wybałuszył oczy, przypominając sobie podejrzliwą twarz Hardy’ego i słysząc jego pełen goryczy głos, gdy odnosił się do nałogu kokainowego Ankera.

W tym momencie Laursen podał Carlowi pilznera, po czym spojrzał na niego badawczo:

– A drugi był twój.

Sierpień 1987

Curt Wad siedział przez chwilę, waząc w ręce list Nete, po czym otworzył go z podobnym brakiem zainteresowania, jaki odczuwał przy otwieraniu reklam firm medycznych.

Kiedyś Nete sprawiła, że poczuł chęć popełnienia nadużycia, ale to było kilkadziesiąt przypadków temu, więc po co w ogóle zajmować się teraz tą nic nieznaczącą wieśniaczką? Co go obchodzą jej zdanie i przemyślenia?

Przeczytawszy list kilkakrotnie, odłożył go z uśmiechem.

Ta mała suka gada o jałmużnie i przebaczeniu! Tego się nie spodziewał. Dlaczego miałyby wierzyć w choćby jedno napisane przez nią słowo?

– Nieźle, Nete Hermansen – rzekł. – Już ja cię prześwietlę.

Docisnął pierwszą szufladę, aż rozległo się kliknięcie w narożniku biurka. Potem pchnął lekko blat, który się poddał i odsunął na bok, odsłaniając wysoką na centymetr przestrzeń, gdzie leżał jego niezastąpiony notes z adresami i telefonami.

Zajrzał na jedną z pierwszych stron, wykręcił numer i przedstawił się.

– Potrzebuję pewnego numeru ewidencyjnego, możesz mi pomóc? Chodzi o Nete Hermansen, być może pod jej nazwiskiem po mężu, Rosen. Adres to Peblinge Dossering 32, czwarte piętro na Nørrebro, Kopenhaga. Tak, dokładnie, właśnie ona. Pamiętasz ją? Tak, miała niegłupiego męża, choć uważam, że w ostatnich latach życia pod pewnymi względami zaszwankował mu zmysł trzeźwej oceny. Już masz jej numer? No proszę, szybko poszło.

Zapisał numer ewidencyjny Nete Rosen i podziękował. Przypomniał swojemu informatorowi, że w razie potrzeby z wielką przyjemnością odwzajemni przysługę. Tak to jest w bractwach.

Zajrzał do notesu jeszcze raz, odszukał kolejny numer telefonu, wybrał go, odłożył notatnik na miejsce i dosunął blat, aż rozległo się ponowne kliknięcie.

– Cześć, Svenne, mówi Curt Wad – powiedział, gdy podniesiono słuchawkę. – Muszę dowiedzieć się czegoś o Nete Rosen, mam jej numer ewidencyjny. Według

moich informacji jest teraz leczona w którymś szpitalu. Chciałbym to potwierdzić. Tak, prawdopodobnie w Kopenhadze. Ile czasu zajmie ci sprawdzenie? Tak, jeśli udałoby ci się to zrobić dziś, byłbym zachwycony. Spróbujesz? Dobrze! Bardzo dziękuję.

Potem odchylił się na fotelu i przeczytał list jeszcze raz. Był zaskakująco dobrze napisany, zupełnie bezbłędny pod względem ortografii. Nawet interpunkcja nie pozostawiała nic do życzenia, więc nie miał wątpliwości, że ktoś musiał jej pomagać. Ograniczona dyslektyczka z brakami w edukacji. Myślała, że go nabierze.

Uśmiechnął się półgębkiem. Samo się nasuwało, że to adwokat jej pomógł. Przecież było tam napisane, że adwokat też weźmie udział w spotkaniu, jeśli Curt przyjmie zaproszenie.

Zaśmiał się do siebie na głos. Ani myśli skorzystać.

– Śmiejesz się do siebie, Curt?

Obrócił się w stronę żony i lekko pokręcił głową.

– Jestem po prostu w dobrym nastroju – odrzekł, obejmując ją w pasie, gdy podeszła do biurka.

– Nie ma powodu, by było inaczej, kochany. Przecież dobrze postępujesz.

Curt Wad kiwnął głową. Sam był dość zadowolony.

Gdy ojciec Curta przestał pracować, syn przejął jego gabinet, klientów, kartoteki pacjentów z około trzydziestoletniej działalności i różne dokumenty z Komitetu przeciw Rozwiąźłości Społeczeństwa Duńczyków. Ważne dokumenty dla Curta, trucizna w niewłaściwych rękach, ale nawet w przybliżeniu nie tak niebezpieczna jak praca, o której kierowanie został poproszony: praca dla Tajemnej Walki.

Polegała przecież nie tylko na wynajdywaniu ciężarnych, których płody nie zasługiwały na życie. Był to też mózół werbowania do ich kręgu większej liczby wykwalifikowanych ludzi. Osób, które za nic w świecie nie śmiałyby zdradzić, za czym opowiada się tajne stowarzyszenie.

Przez kilka lat praktyka lekarska Curta doskonale sprawdzała się jako centrum ich działalności, ale z czasem, gdy coraz więcej spędzeń płodów koncentrowało się w regionie stolicy, Curt zdecydował się zerwać z przeszłością i przeprowadzić do gminy Brøndby. Nieszczególnie atrakcyjne przedmieście Kopenhagi, ale jednak w sercu wydarzeń. Blisko głównych szpitali, blisko najlepszych lekarzy rodzinnych

i specjalistów z prężnie działającymi gabinetami; wreszcie blisko również do klienteli, do której Tajemna Walka adresowała swoją działalność.

Na tych przedmieściach w połowie lat sześćdziesiątych poznał swoją żonę Beate. Olśniewająca kobieta, do tego pielęgniarka, o dobrych genach, poglądach narodowościowych i przenikliwym umyśle, który odtąd bardzo mu się przydawał.

Wtajemniczył ją w swoją pracę, jeszcze zanim się pobrali, i wyjaśnił konsekwencje działalności dla Tajemnej Walki. Może spodziewał się cienia niechęci, a w najlepszym przypadku nerwowości związanej z tą pracą, tymczasem wbrew przewidywaniom wykazała się zrozumieniem i inicjatywą. Właściwie to ona nawiązała kontakt ze środowiskiem pielęgniarek i położnych. Zaledwie w ciągu roku zdobyła dla stowarzyszenia dwadzieścia pięć werbowniczek, jak sama je określała i od tej pory sprawa nabrała rozpędu. To również ona wymyśliła nazwę Czyste Linie i zaproponowała intensyfikację politycznej działalności Tajemnej Walki, równoległe z wykonywaniem prac praktycznych.

Ideał kobiety i matki.

– Spójrz, Beate. – Podał jej list, Nete i pozwolił przeczytać go w jej własnym tempie; uśmiechała się przy lekturze. Dokładnie ten sam ujmujący uśmiech, który przekazała ich dwóm wspianiałym synom.

– Co za tupet. Co na to odpowiesz, Curt? – spytała. – Jest coś na rzeczy? Może naprawdę posiadać takie pieniądze?

Skinął głową.

– Bez dwóch zdań, ale możesz być pewna, że wcale nie chce mnie ozłocić.

Wstał, odsunął zasłonę zakrywającą całą ścianę, odsłaniając tym samym pięć dużych szaf na dokumenty z ciemnozielonego metalu, których strzegł od lat. Za miesiąc będzie gotowa wielka szafa pancerna w budynku dawnej stajni, która obecnie stanowiła budynek gospodarczy, i wtedy wszystko zostanie tam przeniesione. Nikt spoza ścisłego kręgu nie miał tam czego szukać.

– Jeszcze pamiętam numer. – Ze śmiechem wyciągnął szufladę z szafy numer dwa.

– Proszę – powiedział, rzucając przed nią biało-szarą zawieszoną teczkę.

Dawno już jej nie wyjmował, bo niby po co? Ale gdy spojrział na okładkę, odchylił głowę do tyłu, tracąc na chwilę koncentrację.

Sześćdziesiąt trzy poprzednie kartoteki i historie chorób pacjentów stanowiły

sprawę wspólną dla ojca i dla niego, ale ta sprawa była wyłącznie jego. Pierwsza, którą wykonał dla Tajemnej Walki.

Na okładce widniał napis „Kartoteka 64”.

– Urodziła się osiemnastego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku, czyli jest tylko tydzień starsza ode mnie – zauważyła jego żona.

Zaśmiała się.

– Tak, ale różnica polega na tym, że ty jesteś kobietą pięćdziesięcioletnią, która wygląda na trzydzieści pięć, a ona kobieta pięćdziesięcioletnią, która z pewnością wygląda na sześćdziesiąt pięć.

– Widzę, że osadzono ją na Sprogø. Jak więc to możliwe, że tak ładnie się wysławia?

– Sądzę, że ktoś jej musiał pomagać.

Przytrzymała żonę do siebie i ścisnęła jej rękę. Nie mówił prawdy. Beate i Nete były do siebie bardzo podobne; dokładnie ten typ, który lubił: jasnowłose, niebieskookie nordyckie kobiety o miękkich kształtach i odpowiednich wymiarach. Kobiety o gładkiej skórze i ustach, które zapierały dech w piersi.

– Mówisz, że masz powody sądzić, że nie chodzi jej o to, by cię ozłocić. Ale dlaczego? W kartotece jest napisane, że miała łyżeczkowanie w pięćdziesiątym piątym, to przecież nic poważnego.

– Nete Hermansen zawsze miała wiele osobowości i potrafiła posługiwać się tą, która najlepiej pasowała do sytuacji. Jest to oczywiście spowodowane głupotą, cechami psychopatycznymi i zaburzonym postrzeganiem własnej osoby. Naturalnie nie z takimi sobie radziłem, ale muszę jednak przestrzegać środków ostrożności.

– Jakich?

– Rozpuściłem wici w stowarzyszeniu. Dowiemy się, czy rzeczywiście jest taka chora, za jaką chce uchodzić w swoim liście.

Już następnego ranka Curt Wad otrzymał odpowiedź na swoje pytania i jego przeczucia się potwierdziły.

Od wypadku samochodowego Nete i jej męża w listopadzie 1985 osoba o takim numerze ewidencyjnym nie figurowała w dokumentacji publicznych szpitali ani prywatnych klinik. Po prostu nic od czasu pobytu w szpitalu w Nykøbing Falster i kilku kontroli co pół roku w tej samej placówce, a potem w Szpitalu Królewskim w Kopenhadze.

Co ta Hermansen kombinuje? Dlaczego skłamała na temat swojej choroby? Tak, wiadomo, że chciała zwabić go do swojej sieci dobrym słowem i wiarygodnym wyjaśnieniem, dlaczego ma się to stać właśnie teraz. Ale co zamierzała zrobić, gdyby się pojawił? Chciała go ukarać? Czy była to próba zdemaskowania go? Sądzi, że taki człowiek jak on na siebie nie uważa? Myśli, że zakradnie się do niego z magnetofonem i wyciągnie z niego tajemnice i wyznania?

Zaśmiał się.

To głupia gęś, która chce go zwabić w pułapkę. Jak mogła pomyśleć o wyjawieniu tego, co swego czasu jej zrobił? Tego, co zdyskredytował adwokat Nørvig.

Roześmiał się na samą myśl. W niecałe dziesięć minut mógłby załatwić grupkę silnych duńskich patriotów, nawykłych do rozwiązań siłowych w razie potrzeby. Gdyby skorzystał z zaproszenia i stawił się w piątek w mieszkaniu Nete Hermansen z chłopakami u boku, przekonaliby się, kto zostanie ukarany, a kto zaskoczony.

Uśmiechnął się. Takie posunięcie było bardzo kuszące, ale dokładnie tego dnia miał spotkanie w nowym oddziale lokalnym w Hadsten, więc rozrywka musi ustąpić ważniejszym zadaniom.

Zrzucił jej list z biurka prosto do kosza z przeświadczeniem, że jeśli jeszcze raz spróbuje zrobić coś podobnego, on pokaże jej raz na zawsze, kto nad kim góruje i jaki los się z tym wiąże.

Wszedł do gabinetu, niespiesznie przebrał się w fartuch lekarski i wygładził go; jakkolwiek by było, to właśnie dzięki temu strojowi emanował autorytetem i kompetencją.

Następnie usiadł przy szklanym stole, przysunął kalendarz z rozpiską na dziś i przejrzał wizyty. Niezbyt forsowny dzień. Jedno skierowanie na aborcję, trzy konsultacje w sprawie niepłodności, kolejne skierowanie i jedyna sprawa na dziś z Tajemnej Walki.

Pierwszą pacjentką, która weszła, była ładna i przygaszona młoda kobieta. Według lekarza kierującego zdrowa, dobrze wychowana dziewczyna po maturze, która zdecydowała się na aborcję z powodu odejścia chłopaka i wynikłej z tego depresji.

– Masz na imię Sofie? – spytał, uśmiechając się do niej.

Zacisnęła usta. Już w tym momencie była bliska płaczu.

Curt Wad spoglądał na nią w milczeniu. Miała ładne niebieskie oczy, delikatne, wysokie czoło. Piękne brwi i przylegające uszy. Proporcjonalna, wysportowana, o delikatnych dłoniach.

– Chłopak cię zostawił, musisz to bardzo przeżywać, Sofie. Rozumiem, że bardzo go kochałaś.

Kiwnęła głową, nic nie mówiąc.

– Bo był dobry i przystojny?

Znów pokiwała głową.

– Ale może też wyjątkowo głupi, skoro wybrał najprostsze rozwiązanie, zostawiając cię?

Zaprotestowała, ale tego się spodziewał.

– Nie, nie jest głupi. Studiuje na uniwersytecie, ja też zamierzam.

Curt Wad przechylił głowę.

– Nie jesteś przekonana do tej wizyty, prawda, Sofie?

Zwiesiła głowę i znów nią pokręciła. Już płakała.

– Na razie jesteś zatrudniona w sklepie obuwniczym rodziców, czy to nie jest przyjemne zajęcie?

– Jest, ale to tylko tymczasowo. Chodzi o to, bym poszła na studia.

– Co twoi rodzice na to, że chcesz się poddać aborcji, Sofie?

– Nic nie mówią. To znaczy, mówią, że to moja decyzja. Nie wtrącają się. W każdym razie nie w negatywny sposób.

– A ty się zdecydowałaś?

– Tak.

Wstał, usiadł na fotelu obok niej i ujął ją za rękę.

– Posłuchaj, Sofie. Jesteś zdrową, młodą kobietą, a dziecko, które chcesz usunąć, jest w tej chwili całkowicie zdane na twoją łaskę. Wiem, że gdybyś zmieniła zdanie, dałabyś mu cudowne życie. Może chciałabyś, bym zadzwonił do twoich rodziców i porozmawiał z nimi o tym, co naprawdę o tym wszystkim myślą? Wyglądają mi na dobrych rodziców, którzy po prostu nie chcą wywierać na ciebie presji. Nie sądzisz, że można by posłuchać, co mają do powiedzenia? Co ty na to?

Podniosła głowę jak za naciśnięciem guzika. Czujna i niechętna, a zarazem pełna wielkich wątpliwości.

Curt Wad milczał. Wiedział, że właśnie w tym momencie powściągliwość jest

ważna.

– Jak ci mija dzień, Curt? – spytała Beate, nalewając mężowi kolejną filiżankę herbaty. Nazywała to „three o'clock tea”. Takie chwile były wielkim plusem pracowania i mieszkania pod tym samym dachem.

– Dobrze. Rano odwiódłem piękną, mądrą, młodą dziewczynę od aborcji. Zupełnie się rozkleiła, gdy jej oznajmiłem, że jej rodzice żarliwie pragną we wszystkim ją wesprzeć. Że spokojnie może urodzić dziecko i pracować w ich sklepie, na ile będzie mogła, że pomogą w opiece nad dzieckiem i że to nie musi rzutować na jej studia.

– To dobrze, Curt.

– Tak, to bardzo ładna dziewczyna. Bardzo nordycka. Dania wzbogaci się na pewno o piękne dziecko.

Uśmiechnęła się.

– A teraz? Wydaje mi się, że teraz masz coś innego. Czy to doktor Lønberg skierował do ciebie tych ludzi, którzy siedzą w poczekalni?

– Aż tak to widać?– Uśmiechnął się. – Tak, to on. Lønberg jest naprawdę dobrym nabytkiem dla stowarzyszenia. Zebrał aż piętnaście podobnych przypadków w zaledwie cztery miesiące. Wprowadziłaś do naszego zespołu bardzo efektywnych ludzi, skarbie.

Kiedy kwadrans później otworzyły się drzwi między poczekalnią a gabinetem, Curt czytał treść skierowania. Podniósł na chwilę wzrok na pacjentów i skinął przyjaźnie, porównując to, co zobaczył, z treścią notatek.

Opis był zwięzły, acz wyjątkowo wymowny.

„Matka, Camilla Hansen, 38 lat, w piątym tygodniu ciąży. Sześcioro dzieci z czterema różnymi mężczyznami, beneficjentka opieki społecznej. Pięcioro dzieci pobiera naukę w szkole specjalnej, najstarsze obecnie w zakładzie opiekuńczym. Ojciec nienarodzonego dziecka, Johnny Huurinainen, 25 lat, beneficjent opieki społecznej, trzykrotnie karany za przestępstwa przeciwko mieniu, narkoman na metadonie. Żadne z rodziców nie ma wykształcenia wykraczającego ponad szkołę podstawową.

Przez ostatnich kilka tygodni Camilla Hansen uskarża się na bóle przy oddawaniu moczu. Powodem jest chlamydia, ale nie poinformowano o tym

pacjentki. Sugeruję zabieg”.

Curt kiwnął głową do swoich myśli. Pod wszystkim względami porządny facet z tego Lønberga.

Podniósł wzrok na niedobraną parę.

Jak owad funkcjonujący wyłącznie jako maszyna do wykluwania, przyszła matka siedziała naprzeciwko, otyła, zniszczona przez papierosy, z nieuczesanymi, tłustymi włosami i liczyła, że Curt przyczyni się do tego, by rodziła kolejne całkowicie bezużyteczne dzieci, jak te, którym dała życie już sześć razy. Że pozwoli, by kolejne osobniki z paskudnym materiałem genetycznym tych dwojga podludzi zaludniały ulice Kopenhagi. Ani myślał.

Uśmiechnął się do nich; odpowiedziały mu głupie miny i odsłonięte w uśmiechu, popsute zęby. Czy oni nie mogą porządnie wyglądać nawet, jak się uśmiechają? Jakież to żalosne.

– Masz problemy podczas siusiania, prawda, Camillo? Może się temu przyjrzymy? Johnny, ty w tym czasie możesz wyjść do poczekalni. Moja żona na pewno poczęstuje cię filiżanką kawy, jeśli masz ochotę.

– Wolę colę – odparł.

Curt się uśmiechnął. Niech mu będzie i cola. Za jakieś pięć, sześć szklanek coli dostanie z powrotem swoją Camillę. Popłakującą, że lekarz musiał wykonać łyżeczkowanie, i błogo nieświadomą, że było konieczne po raz ostatni.

Listopad 2010

Doszedłszy do siebie po szoku wywołanym informacją o obecności jego odcisków palców na monecie znalezionej przy gnijących zwłokach, Carl ścisnął Laursena za ramię i poprosił, by go informował, w razie gdyby trafiło do niego więcej wieści w tym stylu. Cokolwiek interesującego. Gdyby pojawiły się nowe tropy techniczne, które jak można się spodziewać, wydział wolałby zataić przed Carlem, albo po prostu gdyby się ktoś wygadał.

– Gdzie jest Marcus? – spytał Lis z drugiego piętra.

– Na odprawie z jednym z zespołów – odparła po prostu. Czyżby unikała patrzenia mu prosto w oczy, czy miał już paranoję?

Po czym podniosła głowę i spojrzała na niego z błyskiem w oku.

– Jak tam, nadziałeś wczoraj gąskę? – spytała, rozciągając twarz w uśmiechu, który byłby oceniany w filmie z lat pięćdziesiątych.

Dobra, jeśli interesuje ją, czy Carl zabawił się wczoraj pod kołdrą czy nie, to pogłoska o monecie z jego odciskiem palca nie zdążyła stać się najgorętszym tematem wydziału.

Wparował do sali odpraw, ignorując jakieś trzydzieści par oczu, które zwróciły się ku niemu jak przyssawki.

– Przepraszam, Marcus – powiedział do wymizerowanego, bladego człowieka, unosząc brwi i podnosząc głos tak, by wszyscy go słyszeli. – Ale trzeba zająć się pewnymi sprawami, nim wymkną się spod kontroli.

Zwrócił się do ludzi siedzących na krzesłach. Wielu z nich sponiewieranych kilkudniową biegunką i smarkaniem. Z zapadniętymi policzkami, czerwonymi oczami i dość agresywnym wyrazem twarzy.

– Krążą tu pogłoski o roli, jaką rzekomo odegrałem w strzelaninie na Amager. Stawiają mnie w świetle, w którym nie powinienem się znaleźć, do diaska. Powiem to teraz i nie mam ochoty więcej o tym słyszeć, rozumiecie? Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego w kieszeni tego denata znajdowała się moneta z odciskami

palców moimi i Ankerą. Ale jeśli wysilicie te swoje zszargane gorączką głowy, to pewnie zrozumiecie, że o to właśnie chodziło, żebyście je dostali na tacy, kiedy w końcu ciało zostanie znalezione. Tyle chyba rozumiecie?

Rozejrzał się po grupie. Trudno uznać, by odzew był intensywny.

– Aha. Ale chyba się zgodzimy, że ciało można było zakopać w innym miejscu, co? Można było na przykład pogrzebać je bezpośrednio w ziemi, ale tego nie zrobiono. Czyli wszystko wskazuje na to, że ewentualne znalezienie tego ciała przez nas nie odgrywało aż takiej roli, ale sprawiłoby, że śledczy skupią się na niewłaściwym tropie, prawda?

Wciąż nikt nie kwapił się kiwnąć głową ani zaprzeczyć.

– Do kurwy nędzy, no! Tak, dobrze wiem, że zastanawialiście się, co u licha zdarzyło się podczas tamtej strzelaniny na Amager i dlaczego od tamtej pory nie angażuję się w tę sprawę. – Spojrzał wprost na Terjega Plouga, siedzącego w trzecim rzędzie. – Otóż, Ploug, nie chcę więcej myśleć o tej sprawie, bo po prostu wstydzę się tego, co zdarzyło się tamtego dnia, okej? Czy to aby nie dlatego Hardy leży teraz u mnie w salonie, a nie u siebie w domu, jak sądzicie? To jest mój sposób, by się skonfrontować z pewnymi rzeczami. Teraz nie ucieknę od Hardy’ego, ale może być i tak, że wtedy nie zrobiłem tego, co należało.

Kilku z nich poruszyło się na krzesłach. Mógł to być sygnał, że wreszcie do nich dotarło. Z drugiej strony mogli po prostu mieć hemoroidy. Z funkcjonariuszami państwowymi nigdy nie wiadomo.

– Jeszcze ostatnia rzecz. Myślicie, że jak to, kuźwa, jest, kiedy w przeciągu sekundy twoi najbliżsi koledzy leżą na tobie, tryskając krwią, a do ciebie też strzelano? I trafiono, pozwolę sobie dodać. Powinniście się nad tym zastanowić. To druzgocące dla psychiki.

– Nikt cię o nic nie oskarża, Carl – powiedział Ploug. W końcu jakaś reakcja. – Wcale nie o tej sprawie teraz dyskutujemy.

Carl przebiegł wzrokiem po sali. Ciekawe, co dzieje się we łbach tych mumii. Wielu z nich serdecznie go nienawidziło, z wzajemnością.

– Aha! W każdym razie uważam, do jasnej cholery, niech to wszystko szlag, że ludzie powinni trzymać mordy na kłódkę i pomyśleć, zanim coś chlapną. Tylko tyle!

Trzasnął drzwiami, aż cały budynek się zatrzęsł i nie zatrzymał się, dopóki nie

zasiadł przy swoim biurku, szukając zapalek, by zapalić tego diabelskiego papierosa, który drżał mu w kąciku ust.

Znaleziono monetę z jego odciskami palców w kieszeni denata, a on nie miał pojęcia, jak się tam znalazła i dlaczego. Co za dokumentne szambo.

„Dlaczego, dlaczego, dlaczego?” – kołatało mu się po głowie. Teraz już nie może ignorować tej sprawy. Do cholery jasnej, ale mu z tym źle.

Wziął głęboki oddech przez zaciśnięte zęby, czując znów, jak puls idzie do góry i rytm serca przyspiesza. „Myśl o czymś innym” – upomniął się. Nie chce znów nagle wylądować na podłodze z uciskiem w klatce piersiowej, który mógłby pozbawić życia kogoś większego i w lepszej kondycji niż on.

„Skup się na czymś innym” – pomyślał, zamykając oczy.

W tej chwili osobą, która bardziej niż ktokolwiek zasługiwała na sponiewieranie przez orkan szalejący w jego wnętrzu, był Bak.

– Już ja się, holender jasny, postaram, byś zrozumiał, że nie rozpowiada się gównianych ploteczek o Carlu Mørcku – groził na głos, szukając numeru telefonu.

– Co robisz, Carl? Siedzisz tak i gadasz ze sobą – zauważył Assad, stając w drzwiach. Jego czoło zmarszczyło się, przypominając tarę do prania.

– Spokojna głowa, Assad. Muszę tylko opierdolić Baka za to gówno, które o mnie rozpuszcza.

– Aha. To może najpierw powinieneś czegoś posłuchać, Carl. Właśnie zadzwoniłem do Szkoły Policyjnej do faceta, który nazywa się Nielsen, i rozmawiałem z nim o Rose.

Też mi pora. Dopiero co tak koncertowo się rozeźlił w cudownie konstruktywny sposób. Miały to przepierdzielić?

– Mów, skoro to nie może poczekać. Co powiedział?

– Okej. Pamiętasz, jak Rose przyszła tu pierwszy raz i Marcus Jacobsen nam mówił, że nie została policjantką, bo oblała egzamin, bo prowadziła jak nieradojda.

– Nieradojda, Assad. Owszem, coś w tym stylu.

– Zgadza się, że źle jej poszło. Nielsen mówił, że nie wyrobiła na zakręcie i rozbiła trzy porządne auta w drobny mak.

Carl kiwnął głową z uznaniem.

– No, no! Trzy auta, powiadasz?

– Tak. To, w którym siedziała, auto instruktora jazdy po śliskich nawierzchniach

i jedno, które zawadzało.

Carl spróbował to sobie wyobrazić.

– Nie powiem, naprawdę efektowne. Czyli nie będziemy dawać jej kluczyków do samochodu służbowego – mruknął.

– To nie wszystko, Carl. Pośrodku tego wszystkiego Rose dopuściła do głosu swoją Yrsę. Kiedy samochody leżały do góry nogami.

Carl poczuł, jak opada mu szczeka, a słowa padające z jego ust żyły własnym życiem:

– Alleluja i jackpot – powiedział, choć miał na myśli coś zupełnie innego. Jeśli w tej sytuacji ujawniła się bliźniaczka Rose, Yrsa, to w grę nie wchodziło zrobienie kawału czy po prostu brak wyczucia. W takim razie zupełnie straciła kontakt z rzeczywistością.

– Okej, nie brzmi to najlepiej. Co zrobili nauczyciele ze Szkoły Policyjnej?

– Sprowadzili do niej psychologa. Ale wtedy na powrót już była Rose.

– Wielkie nieba, Assad, rozmawiałeś o tym z Rose? Mam nadzieję, że nie.

Assad spojrzał na niego rozczarowany. Oczywiście, że nie rozmawiał.

– Jest coś jeszcze, Carl. Zanim trafiła do nas, miała pracę biurową na posterunku City. Pamiętasz, co Brandur Isaksen o niej mówił?

– Piąte przez dziesiąte. Coś tam, że cofając, wjechała w samochód kolegi, i że zniszczyła jakieś ważne papiery.

– Tak, i o picciu.

– Tak, i że bzykała się z paroma kolegami na zbyt mocno zakrapianej wigilii firmowej. Ten świętoszek Brandur ostrzegał mnie kiedyś, że trzeba uważać, proponując jej alkohol.

Carl pomyślał ze smutkiem o Lis z dawnych lat, zanim poznała Franka. Uważał, że w jej przypadku nieco alkoholu przy spotkaniu świątecznym byłoby jak najbardziej na miejscu. Uśmiechnął się do siebie.

– Ale nie wydaje ci się, że Brandur był po prostu zazdrosny o tych kolegów, których Rose obdarzyła swą osobliwie przystrojoną kobiecością? Co Rose robi na wigiliach firmowych, niech będzie, do licha, sprawą jej samej i pozostałych zainteresowanych. Nie Brandura, moją czy czyjąkolwiek.

– Carl, nie wiem nic o wigiliach firmowych i wszystkich innych wyskokach. Ale wiem, że jak Rose to robiła na tym firmowym spotkaniu, to nagle stała się na

powrót Yrsa. Rozmawiałem właśnie z paroma facetami z posterunku City i wszystko pamiętają. – Brwi Assada powędrowały wysoko w górę. „Tylko pomyśl!” – znaczyło to zapewne.

– W każdym razie twierdzą, że nie była wtedy Rose, bo mówiła zupełnie innym głosem i inaczej się też zachowywała. Może była jeszcze kimś trzecim, nie byli pewni – zakończył, opuszczając brwi.

Przy tej informacji należało ugryźć się w język. Trzecia osobowość, dobry Boże!

Carl poczuł, jak wiązanka przeznaczona dla Børgego Baka ulatnia mu się z głowy. Szlag by to trafił, bo przecież na nią zasłużył.

– Wiesz coś o tym, dlaczego Rose taka jest? – spytał.

– Nie przebywała w szpitalu, Carl, jeśli o to pytasz. Ale mam numer telefonu do matki Rose, więc możesz ją zapytać.

– Do matki Rose? – Głupi to on nie jest, ten Assad. Przechodzi od razu do działania.

– Dobrze, Assad. A dlaczego sam tego nie zrobisz?

– Bo... – Assad spojrzał błagalnie na Carla. – Bo wolałbym nie. Jeśli Rose się o tym dowie, to lepiej, żeby wściekła się na ciebie, prawda?

Carl rozłożył ręce w geście kapitulacji. Widać nie był to dzień, na którego przebieg ma wpływ.

Sięgnął po numer, który podał mu Assad, gestem pokazał mu, żeby zniknął, wybrał numer i poczekał. Był to stary, dobry numer z 45 na początku. Lyngby albo Virum, jeśli dobrze kojarzył.

Wprawdzie dzień był do dupy, ale przynajmniej po drugiej stronie ktoś odebrał telefon.

– Yrsa Knudsen – odezwał się głos.

Carl nie wierzył własnym uszom.

– Yyyy, Yrsa?! – wahał się przez chwilę, po czym usłyszał na korytarzu nawołującą Assada Rose. Czyli wciąż była w pracy. – Tak, przepraszam – ciągnął. – Z tej strony Carl Mørck, szef Rose. Czy rozmawiam z jej matką?

– Nie, skąd – roześmiał się basem głos. – Jestem jej siostrą.

Ki czort, ona naprawdę ma siostrę imieniem Yrsa? Głos brzmiał stosunkowo podobnie do głosu Rose, udającej Yrsę, a jednak inaczej.

– Siostrą bliźniaczką Rose?

– Nie. – Yrsa znów się zaśmiała. – W naszej rodzinie nie było żadnych bliźnięt, ale jest nas w sumie cztery.

– Cztery!!! – Może powiedział to nieco za głośno.

– Tak. Rose, ja, Vicky i Lise-Marie.

– Cztery siostry... A Rose jest najstarsza! Nie wiedziałem.

– Tak, dzieli nas tylko rok różnicy. Ojciec z matką chcieli to mieć szybko z głowy, ale żadnego chłopaka z tego nie było, więc Mutti jednak postanowiła zwinąć kram – zakończyła wybuchem charczącego śmiechu, niemal identycznego jak śmiech Rose.

– Przepraszam, właściwie zadzwoniłem, by porozmawiać z waszą matką. Mógłbym ją prosić? Jest w domu?

– Niestety nie. Mamy nie było w domu od ponad trzech lat. Widać mieszkanie jej nowego męża na Costa del Sol bardziej jej odpowiada. – Znów ten nosowy odgłos. Wesola z niej była dziewczyna.

– Okej, w takim razie przejdę do rzeczy. Mogę rozmawiać z panią w zaufaniu? Chodzi mi o to, by Rose nie dowiedziała się, że dzwoniłem.

– Nie, nie może pan!

– Yyy, aha. Czyli zamierza pani przekazać Rose, że dzwoniłem? Byłoby mi bardzo przykro.

– Nie, tego nie powiedziałam. Ostatnio w ogóle nie widzimy Rose. Ale przekażę to pozostałym, nie mamy przed sobą tajemnic.

Było to naprawdę dziwne, zupełnie wbrew zasadom.

– Rozumiem. Zatem pytam panią, czy Rose miała problemy psychiczne albo zaburzenia osobowości. Wie pani, czy była na to leczona?

– Leczenie a leczenie, nie wiem, kurczę, co mam na to odpowiedzieć. W każdym razie zżarła większość tabletek, które dostała nasza mama po śmierci ojca. I upalała się, wachała i wciągała, więc jakieś leczenie to jednak było. Tyle że nie wiem, czy pomogło.

– Pomogło na co?

– Na to, że nie chciała już być Rose, kiedy była zdołowana. Że wolała być którąś z nas pozostałych albo kimś jeszcze innym.

– Chce pani przez to powiedzieć, że ona jest chora, prawda?

– Chora! Nie wiem, czy jest chora. W każdym razie ma nierówno pod sufitem.

Tyle to i Carl wiedział.

– Zawsze tak było?

– Odkąd pamiętam. Ale pogorszyło się po śmierci taty.

– Aha. Był ku temu jakiś szczególny powód? Przepraszam, może to zabrzmiało obcesowo, ale nie o to mi chodziło. Czy okoliczności śmierci waszego ojca były szczególne?

– Owszem, były. Zginął w wypadku przy pracy. Wciągnęła go maszyna, więc musieli go poskładać na kawałku brezentu. Mój znajomy mówił, że ratownicy zdawali go technikom ze słowami: „Połapiecie się w tym?”.

Powiedziała to zaskakująco spokojnie, wręcz cynicznie.

– Przykro mi to słyszeć, potworna śmierć. Doskonale rozumiem, że musiało to na was wszystkie okropnie wpłynąć. Ale jeśli dobrze wnioskuję, to właśnie Rose najmocniej to przeżyła.

– Pracowała wtedy na letnim zastępstwie w biurze walcowni i widziała, jak ciągną ten brezent przez plac. Tak, Rose to najbardziej przeżyła.

Potworna historia, kto by tego nie przeżywał?

– Więc nagle nie chciała już być Rose, po prostu. Jednego dnia bawiła się w punka, drugiego w elegancką damę albo jedną z nas, sióstr. Nie wiem, czy jest chora, ale Lise-Marie, Vicky i ja nie chcemy z nią przebywać, kiedy nagle przeobraża się w jedną z nas, chyba pan to rozumie.

– Jak pani myśli, dlaczego się taka stała?

– Już mówiłam, ma nierówno pod sufitem. Pan pewnie też już to wie, inaczej by pan nie dzwonił.

Carl kiwnął głową. W tej rodzinie nie tylko Rose miała uzdolnienia dedukcyjne.

– Ostatnie pytanie czy dwa, z czystej ciekawości. Czy ma pani jasne, kręcone włosy, lubi róż i chodzi w plisowanych spódnicach?

Po drugiej stronie rozległ się wybuch śmiechu.

– Ja pierniczę, już tym pana uraczyła. Tak, mam jasne włosy i loki, to się zgadza. Jeśli chodzi o kolory, to też. Na przykład teraz mam paznokcie malowane na różowo i różową szminkę na ustach. Ale w plisowanej spódnicy nie chodzę od lat.

– Spódnica w szkocką kratę?

– Tak, to był całkiem fajny przerywnik po konfirmacji.

– Jeśli zajrzy pani do szafy czy gdzie tam ją pani schowała, to pewnie odkryje

pani, że ta spódnica wymknęła się spod pani kontroli.

Potem siedział, uśmiechając się. Wprawdzie nie wiedział zbyt wiele o pozostałych siostrach, ale chyba nie mogą być tak złe, żeby on i Assad sobie z nimi nie poradzili, w razie gdyby nagle pojawiły się pod postacią Rose.

Tivolihallen rzeczywiście mieściło się na przeciwległym rogu Rio Bravo, ale żadna hala to to nie była. W każdym razie nigdy nie słyszał, by piwnicę o wysokości dwa metry dwadzieścia centymetrów nazywano halą.

Kuzyn Carla siedział w głębi lokalu, bliżej ulicy, w przyjemnej odległości od toalety. Kiedy Ronny już się zadekował w takim miejscu, zazwyczaj nigdzie się nie ruszał oprócz ubikacji, by pęcherz nadążał za czynnościami przedsiębranymi przez drugi koniec wszystkożernego korpusu.

Ronny uniósł rękę, jakby Carl miał go nie rozpoznać. Owszem, postarzał się i zrobiło się go więcej, ale reszta pozostała niestety nietknięta. Wypomadowane włosy, nie w dobrym rock'n'rollowym stylu lat pięćdziesiątych, lecz w stylu biedatenora z argentyńskiego tasiemca dla średnio sytuowanych gospodyń domowych z przedmieść. Vigga określiłaby jego styl jako obleśny. Do tego dochodziła lśniąca kurtka à la mafioso i dżinsy, które nie pasowały ani do reszty, ani do samego Ronny'ego. Wielkie dupsko i chude nogi. Uroczy widok u kokieteryjnej señority z Neapolu, ale nie u niego. Podobnie buty z czubami i klamrami. Podsumowując: za dużo!

– Już zamówiłem – powiedział Ronny, wskazując dwie puste butelki po piwie.

– Rozumiem, że jedno jest moje – odparł Mørck, a Ronny pokręcił głową.

– Jeszcze dwa! – zawołał i nachylił się do Carla.

– Dobrze cię znów widzieć, kuzynie. – Chciał złapać krewniaka za rękę, ale ten w porę je cofnął. Kilkoro innych gości miałyby o czym gadać.

Spojrzał Ronny'emu głęboko w oczy i pokrótce zreferował historię Børgego Baka o opowieściach z tajlandzkiego baru.

– Tak – potwierdził Ronny. – I co z tego? – Facet się nawet nie wypierał.

– Za dużo pijesz. Mam ci załatwić wizytę w ośrodku dla uzależnionych, by cię wzięli na program dwunastu kroków? Nie myśl, że za to zapłacę, ale jeśli nie przestaniesz publicznie gadać, że zabiłeś swego ojca i że ja też w tym brałem udział, to niewykluczone, że dostaniesz się na detoks zupełnie gratis w którymś z atrakcyjnych więzień, jakimi dysponuje nasze szczodre państwo.

– Wcale że nie, ta sprawa już dawno się przedawniła. – Ronny uśmiechnął się do starszej kobiety, która przyniosła mu talerz i kolejne dwa pilznery. Suszony dorsz.

Carl rzucił okiem na menu. Rybia masakra kosztowała sto dziewięćdziesiąt pięć koron. Na pewno najdroższe danie w całym menu, ale nie ma tak dobrze, Ronny sam za to zapłaci.

– Dziękuję, piwa nie dla mnie. – Carl przysunął oba browary do kuzyna. Żeby nikt nie miał wątpliwości, kto zostanie władcą rachunków. – W Danii sprawy o morderstwo nigdy się nie przedawniają – wyjaśnił cierpko, ignorując fakt, że kelnerka drgnęła przy tym słowie.

– Carl, staruszkule – powiedział Ronny, gdy zostali już sami. – Nic się nie da udowodnić, więc wyluzuj i przestań się tak ciskać. Ojciec był dupkiem. Może i był miły w stosunku do ciebie, ale jeśli myślisz, że do mnie też, to się grubo mylisz. To zabieranie na ryby było tylko po to, by zmylić wroga i zaimponować twemu ojcu. Przecież jemu się nie chciało wędkować. Gdy tylko czmychnęliśmy do tych dziewczyn na drogę, od razu zamierzał rozłożyć się na fotelu z fajkami i sznapsem. W dupie miał ryby. Wiele z tych, które „złowił” – zrobił w powietrzu znak cudzysłowu – zabierał z domu. Nie wiedziałeś?

Mørck pokręcił głową. To zupełnie nie pasowało do człowieka, którego kochał jego ojciec, a od którego Carl tylu rzeczy się nauczył.

– To niemożliwe, Ronny. Te ryby były świeżo złowione, a sekcja zwłok wykazała jednoznacznie, że twój ojciec nie pił. Dlaczego opowiadasz takie bzdury?

Ronny uniósł brwi, pogryzł dokładnie i przełknął, zanim odrzekł:

– Byłeś wtedy dużym dzieckiem, Carl. Widziałeś tylko to, co chciałeś. I z tego co widzę, nadal jesteś dzieckiem. Skoro nie chcesz usłyszeć prawdy, to płac i zmiataj.

– To może jednak posłucham. Opowiedz mi, jak zabiłeś swego ojca i jakim cudem ja w tym uczestniczyłem.

– Pomyśl o wszystkich plakatach w swoim pokoju.

Co to, do diabła, była za odpowiedź? Jakie plakaty?

Ronny się zaśmiał.

– Tylko mi nie wmawiaj, że ja je pamiętam, a ty nie.

Carl zaczerpnął powietrza. Gostek miał zmiany w mózgu od tego chłania.

– Bruce Lee, John Saxon, Chuck Norris. – Wykonał w powietrzu kilka ciosów

karate. – Bang, bang, *Wejście smoka, Wściekłe pięści*. Te plakaty, Carl!

– Plakaty z karate?! Miałem je bardzo krótko. Wtedy już od dawna ich tam nie było. O co ci właściwie chodzi?

– JEET KUNE DOOO! – wrzasnął nagle, aż kawałki suszonej ryby wyleciały mu z ust, a goście przy sąsiednim stoliku o mało nie upuścili filiżanek. – To był twój okrzyk wojenny, Carl. Aalborg, Hjørring, Frederikshavn, Nørresundby. Jeśli w którymś z tych miast puszczali film z Bruce'em Lee, ty też tam byłeś. Nie pamiętasz tego, człowieku? Gdy tylko wolno ci było oglądać filmy nieprzeznaczone dla dzieci, już stałeś przy kasie biletowej. Więc to nie mogło być aż tyle wcześniej, co? O ile dobrze wiem, to były filmy od szesnastu lat, a gdy ojciec umarł, miałeś siedemnaście.

– Ronny, o czym ty, cholera, gadasz? Co to w ogóle ma do rzeczy?

Znów nachylił się nad stołem.

– Nauczyłeś mnie ciosu bokiem dłoni, Carl. I jak zobaczyłeś dziewczyny na tej drodze, to już się nie odwracałeś. Wtedy uderzyłem ojca w szyję. Nie jakoś strasznie mocno, ale wystarczająco, jak mówiłeś, żeby nie skrócić mu karku. Ćwiczyłem na owcach w gospodarstwie. No i wcelowałem w tętnicę szyjną, wymierzyłem mu cios i dałem mu kopa, o tak!

Carl zobaczył obrus falujący po przeciwnej stronie stołu. Niech go gęś kopnie, jeśli on tego nie demonstruje.

– Odsuń się, bo zachłapiesz mi ubranie tą rybą – odezwał się. – Wiesz co, Ronny. Nic tu się nie zgadza, po co wygadujesz takie pierdoły? Powiedziałem „cześć” do twego ojca i poszliśmy razem. Naprawdę masz taką traumę z powodu ojca, żebyś aż musiał fabrykować kłamstwa, by móc dalej żyć? Jakiś ty żaloszny.

Uśmiechnął się.

– Nie chcesz, to nie wierz. Masz ochotę na deser?

Carl pokręcił głową.

– Jeśli jeszcze raz usłyszę, że opowiadasz w ten sposób o tym wypadku, już ja ci, do kurwy nędzy, pokażę „jeet kune do”!

Wstał, zostawiając faceta z resztkami ryby i zapewne poważną zagwozdką, jak tu się wywinąć od płacenia rachunku.

W każdym razie deseru nie będzie.

– Masz się stawić u Marcusa Jacobsena – powiadomił go strażnik na komendzie.

„Jeśli zamierza mi dać upomnienie, to cholernie się wkurzę” – pomyślał, wchodząc po schodach.

– Przejdę od razu do rzeczy – oznajmił Marcus, zanim Carl zdążył zamknąć za sobą drzwi gabinetu. – I proszę cię, byś odpowiedział w stu procentach uczciwie. Wiesz, kim jest Pete Boswell?

Mørck zmarszczył brwi.

– Nie, nic mi to nie mówi – odparł.

– Dziś po południu otrzymaliśmy anonimową informację o zwłokach z Amager.

– Okej. Nie znoszę anonimowych informacji. O co chodzi?

– Że ofiara była Anglikiem. Pete Boswell, dwadzieścia dziewięć lat, czarnoskóry, jamajskiego pochodzenia. Zaginął jesienią dwa tysiące szóstego. Mieszkał w hotelu Triton, był zatrudniony w firmie handlowej, zarejestrowanej jako Kandaloo Workshop. Handel indyjskimi, indonezyjskimi i malajskimi dziełami sztuki i meblami. Mówi ci to coś?

– Absolutnie nic.

– To dziwne, bo według podanej informacji ty, Anker Henningsen i Pete Boswell spotkaliście się w dniu, w którym zniknął.

– Spotkaliśmy się? – Carl poczuł ciśnienie w czaszce. – Po kiego grzyba miałbym spotykać się z człowiekiem, który importuje meble i świecidełka? Mam ciągle te same meble, odkąd wprowadziłem się do szeregowca. Nie stać mnie na nowe, a jeślibym ich potrzebował, wybrałbym się do Ikei, jak wszyscy. Co to w ogóle ma być, Marcus?

– Tia, sam sobie zadaję to pytanie. Ale zobaczymy. Anonimowe zgłoszenia mają to do siebie, że rzadko są jednorazowe – zakończył.

Ani słowa o niefortunnym przerwaniu odprawy przez Carla.

Sierpień 1987

Gitte Charles była jak obraz, który w swoim czasie zachwyił swego twórcę, a teraz stał w kącie sklepu ze starociami z zamazaną sygnaturą. W Thorshavn już samo nazwisko sprawiało, że czuła się wyjątkowa, a jako większa dziewczynka obiecała sobie, że jeśli w jej życiu pojawi się jakiś zalotnik, nie pozbędzie się tego nazwiska. Dziewczynka o nazwisku Gitte Charles była silna i rosła; wciąż we wspomnieniach Gitte stała prosta jak kolumna. Wszystko, co wydarzyło się pomiędzy, nie było warte uwagi.

Kiedy twój tata bankrutuje i cię zostawia, świat się wali i wielkie oczekiwania się ulatniają. W każdym razie tak było w przypadku Gitte, jej matki i młodszego brata.

W Vejle znaleźli bezpieczny, choć niezbyt atrakcyjny substytut dawnego życia w mieszkaniu, które ani nie miało widoku na port, ani na wodę, i wkrótce rodzina składała się z trojga członków, obojętnych wobec siebie i zajętych swoimi sprawami. Odkąd skończyła szesnaście lat, a było to trzydzieści siedem lat temu, nie widziała matki ani brata i było jej z tym dobrze.

„Na szczęście nie wiedzą, jak kiepsko się wszystko potoczyło” – pomyślała Gitte, zaciągając się mocniej papierosem. Od poniedziałku nie miała nic do picia i doprowadzało ją to do szaleństwa. Nie żeby była uzależniona: co to, to nie. Ale ten mały kopniak, ten szum w głowie i chwilowe pieczenie na języku jakby wyciągały ją z nicości. I jak były pieniądze i nie był to koniec miesiąca, to dzięki butelce ginu miała kilka dni błogości. Więcej nie potrzebowała, nie była przecież pijaczką. Po prostu było jej smutno.

Gitte zastanawiała się przez chwilę, czyby nie wybrać się na rowerze do Tranebjergu i sprawdzić, czy któryś ze starszków z czasów, gdy pracowała jako opiekunka domowa, nie pamięta jej jeszcze z dobrej strony. Może filiżanka kawy, której mógłby towarzyszyć kieliszek nalewki wiśniowej, likieru albo porto...

Zamknęła oczy, niemal czując ten smak.

Tak, jeden kieliszek i czekanie na wypłatę zasiłku stałoby się znośniejsze. Niech to szlag, że wypłacają w takich dużych odstępach czasu.

Próbowała wyprosić wypłatę zasiłku co tydzień, ale pracownicy opieki społecznej znali ten numer. Jeśliby dostawała pieniądze raz w tygodniu, już po paru dniach stałaby u nich z wyciągniętą ręką i pustą kieszenią, a przy wypłacie comiesięcznej widywali ją tylko raz.

Musiała przyznać, że to praktyczne rozwiązanie. Nie była przecież głupia.

Spojrzała na pola i trafiła akurat na samochód pocztowy, zjeżdżający powoli od kościoła Nordby Kirke uliczką Maarup Kirkevej. O tej porze roku niewiele się działo na wyspie. Turystów nie było, bracia, którzy byli tu właścicielami niemal wszystkiego, zaszli się w swoich parkach maszyn, a wszyscy pozostali czekali tylko na wiadomości telewizyjne i nadejście wiosny.

Już prawie dwa lata mieszkała w dobudówce gospodarstwa, którego właściciel nigdy do niej nie zaglądał. Było samotnie, ale do samotności Gitte się przyzwyczaiła. Pod wieloma względami była urodzonym wyspiarzem. Życie na Wyspach Owczych, na Sprogø, a teraz na Samsø było o wiele lepsze niż lata spędzone w dużych miastach, gdzie wszyscy na siebie wśliznęli, a i tak nie chcieli mieć ze sobą do czynienia. Nie, wyspy były jej środowiskiem naturalnym. Tu można lepiej wszystko kontrolować.

Samochód pocztowy zatrzymał się na ich podwórzu; wysiadł z niego listonosz z listem. Niezbyt często się zdarzało, by gospodarz dostawał listy. Tacy jak on zadowalali się gazetkami reklamowymi z marketu Brugsen w Maarup; otoczenie już się w tym orientowało.

Zdumiała się. Listonosz wrzucił list do jej skrzynki? Pomylił się?

Gdy samochód odjechał, owinęła się ciasniej szlafrokiem, podreptała na dół w kapciach i otworzyła wieko skrzynki.

Koperta była zaadresowana odręcznie; takiego listu nie dostała od lat.

Wzięła głęboki wdech, pełna wyczekiwania, obróciła list i poczuła, jak ściska ją w żołądku z zaskoczenia i ciekawości. Było tam napisane „Nete Hermansen”.

Jeszcze kilka razy przeczytała nazwisko i adres nadawcy, po czym usiadła przy stole w kuchni, sięgając po papierosy. Siedziała długo, wpatrując się w list i wyobrażając sobie jego zawartość.

Nete Hermansen! Jak to było dawno...

Późnym latem 1956, równo pół roku po swoich dwudziestych drugich urodzinach, Gitte wsiadła na łódź pocztową z Korsør na Sprogø z głową pełną wyobrażeń, lecz praktycznie bez żadnej wiedzy o miejscu, które przez najbliższe lata miało stać się jej domem.

Konsultowała się osobiście z ordynatorem w ośrodku Brejning, by dowiedzieć się, czy to coś dla niej. Spojrzał na nią przez grube szkła swoich okularów w rogowej oprawie tymi ciepłymi, mądrymi oczami i to wystarczyło za odpowiedź. Młoda, zdrowa, naturalna dziewczyna jak ona może zdziałać w takim miejscu dużo dobrego – powiedział. Tak się też stało.

Znała upośledzonych umysłowo. Niektórzy potrafili być dość hardzi, ale ze zdecydowaną większością łatwo było dać sobie radę. Podobno na Sprogø dziewczyny nie są aż tak głupie jak te z jej oddziału w Brejning. Odpowiadało jej to.

Stały stłoczone na nadbrzeżu w swoich długich, kraciastych sukienkach, uśmiechając się szeroko i machając zawzięcie; Gitte myślała tylko o tym, że mają brzydkie włosy, a ich uśmiechy są zbyt szerokie. Potem dowiedziała się, że kobieta, którą miała zastąpić, była najbardziej znieawidzona z wszystkich. Że dziewczyny odliczały dni do chwili, gdy łódź pocztowa zabierze od nich tę babę.

Może dlatego na powitanie przytulały ją i klepały po całym ciele.

– Uuuuu, lubię cię! – ryknęła dziewczyna, która była dwukrotnie wyższa niż pozostałe, ściskając Gitte tak mocno, że zasinienia schodziły jej przez wiele kolejnych dni. Miała na imię Viola, a jej bujna postać miała się wkrótce okazać zbyt przytłaczająca.

Gitte była wyczekiwana i mile widziana.

– Z papierów z Brejning wynika, że lubisz nazywać się pielęgniarką. Do twojej wiadomości, nie zamierzam posługiwać się tym określeniem, ale też nie zaprotestuję, jeśli będziesz przy nim obstawać. Nie mamy tu zbyt wykształconego personelu, więc może uda nam się poprawić trochę pracę, jeśli pozostali pracownicy będą uważać, że mają wyżej ustawioną poprzeczkę. Możemy się tak umówić?

Na terytorium dyrektorki nie rozdawało się uśmiechów na lewo i prawo, ale za oknami, na podwórzu stała grupka roześmianych dziewczyn, które rzucały jej ukradkowe spojrzenia. Ostrzyżone jak od garnka, wyglądały jak strachy na wróble,

kiedy tak tłoczyły się razem, strojąc miny.

– Twoje papiery są w porządku, ale powinnaś wiedzieć, że długość twoich włosów może wzbudzić wśród dziewcząt niepożądane potrzeby, więc proszę, byś chowała je pod siatką, kiedy będziesz między nimi przebywać. Dopilnowałam, by sprzątnięto i przygotowano twój pokój, i oczekuję, żebyś od tej pory sama zajęła się tymi sprawami. Musisz wiedzieć, że jeśli chodzi o te rzeczy, jesteśmy tu porządniejsi i skrupulatniejsi, niż w miejscu, z którego przybywasz. Zawsze czyste ubranie, również dla dziewcząt, i obowiązkowa higiena poranna.

Kiwnęła głową do Gitte, oczekując skinięcia w odpowiedzi. Otrzymała je.

Zobaczyła Nete po raz pierwszy, gdy parę godzin później prowadzono ją przez jadalnię dziewczyn do jadalni pracowników, znajdującej się tuż obok.

Dziewczyna siedziała w oknie i spoglądała na wodę, jakby tylko to dla niej istniało. Ani inne dziewczyny, siedzące obok i rozgadane, ani duża Viola, krzycząca „halo” do Gitte, ani jedzenie na stole nie burzyły jej całkowitego spokoju. Na jej twarz padało światło, tworząc cienie, które jakby zasysały jej najskrytsze myśli, wysyłając je w świat. Już w tej przelotnej chwili zauroczyła Gitte.

Gdy dyrektorka przedstawiła nową pracownicę dziewczynom, klaskały, machały i wykrzykiwały swoje imiona, wskazując na siebie. Tylko Nete i dziewczyna siedząca naprzeciw niej zareagowały inaczej: Nete, odwracając głowę i spoglądając Gitte prosto w oczy, jakby istniał jakiś pancierz, który najpierw trzeba było przebić. Dziewczyna naprzeciwno spojrziała figlarnie, mierząc Gitte od stóp do głów.

– Jak się nazywa ta cicha dziewczyna, która wyglądała za okno? – spytała później, zasiadłszy za stołem z pracownikami.

– Nie wiem, o kim mówisz – odparła dyrektorka.

– Ta, która siedziała naprzeciwno tej wyzywającej.

– Naprzeciwno Rity, tak? Zapewne chodzi ci o Nete – odgadła jej sąsiadka. – Zawsze siedzi w tym kącie i wpatruje się w morze i mewy zrzucające małże. Ale jeśli sądzisz, że to spokojna dziewczyna, to się grubo mylisz.

Gitte otworzyła list od Nete Hermansen i przeczytała go z coraz mocniej drżącymi rękami. Gdy doszła do momentu, w którym Nete wspomniała, że chce podarować Gitte dziesięć milionów koron, zaczęła gorączkowo łapać powietrze i musiała

odłożyć list. Długo chodziła po małej kuchni, nie ośmielając się na niego spojrzeć. Poprawiała puszki z herbatą, przetała stół ścierką i wytarła pieczołowicie ręce o biodra, nim odważyła się spuścić wzrok. Dziesięć milionów koron, tak było napisane. A dalej w tekście, że do listu dołączony jest czek. Chwyła kopertę, konstatując, że to prawda. Musiała go na początku przeoczyć.

Następnie usiadła ciężko i z drżącymi ustami rozejrzała się po zapuszczonym pomieszczeniu.

– To od Nete – powtarzała wielokrotnie, po czym zdjęła szlafrok.

Czek opiewał na dwa tysiące koron. Znacznie więcej, niż kosztuje bilet na prom i pociąg do Kopenhagi, i z powrotem. Nie będzie mogła zrealizować go w banku w Tranbjergu, bo jest im winna więcej pieniędzy niż te dwa tysiące, ale może nakłoni gospodarza, by odkupił go od niej za tysiąc pięćset. I wtedy ile sił w nogach popedałuje do sklepu w Maarup.

Nie potrafiła zmierzyć się z tą sytuacją bez drobnej, namacalnej pomocy. A wybór butelek w Brugsen był bardziej niż przyzwoity.

19

Wrzesień 1987

Nete zebrała broszury ułożone w rzędki na ławie i umieściła je na parapecie. Ciekawe foldery z pięknymi, trzypokojowymi mieszkaniami w Santa Ponsa, Andratx i Porto Cristo, kilka szeregowców w Son Vida i Pollensa i jeden apartament na ostatnim piętrze w San Telmo. Rozsądne ceny i szeroki wybór. Marzenia czekały na spełnienie i teraz nadszedł czas, by to zrobić.

Podczas ostrych zim będzie wyjeżdżać z Danii, a Majorka wydawała się odpowiednim miejscem. Otoczona pięknymi widokami zamierzała zbierać owoce ciężkiej pracy swego męża i zestarzeć się z godnością.

Tak, pojutrze, kiedy już będzie po wszystkim, zamówi bilet do Palma di Mallorca i uda się na polowanie na dogodne lokum. Za tydzień już jej tu nie będzie.

Jeszcze raz wyjęła swoją listę z nazwiskami i spojrzała na nią, wyobrażając sobie przebieg całości, bo nie można było zdać się na przypadek.

Rita Nielsen 11.00–11.45

* Sprzątanie: 11.45–12.30

Tage Hermansen 12.30–13.15

* Sprzątanie: 13.15–13.45

Viggo Mortensen 13.45–14.30

* Sprzątanie: 14.30–15.00

Philip Nørvig 15.00–15.45

* Sprzątanie: 15.45–16.15

Curt Wad 16.15–17.00

* Sprzątanie: 17.00–17.30

Gitte Charles 17.30–18.15

* Sprzątanie: 18.15 –

Kiwała głową, wyobraziwszy sobie przybycie każdego z zaproszonych. Tak, dobrze to wyglądało.

Gdy tylko któreś z nich znajdzie się w jej mieszkaniu, ona wyłączy domofon. Kiedy osoba przebywająca w mieszkaniu nie będzie mogła dłużej stawiać oporu, Nete znów go włączy. Jeśli któreś z nich przyjdzie za wcześnie i zadzwoni domofonem, ona poprosi tę osobę, by sobie poszła i wróciła o umówionej godzinie. Jeśli ktoś się spóźni, przesunie go na koniec kolejki i zaproponuje, by poszedł sobie do Søvavillonen i zjadł posiłek na jej koszt. Dostosują się do niej; sytuacja i wynagrodzenie nie pozostawiają wyboru.

A gdyby się tak nieszczęśliwie złożyło, że jakaś dwójka wpadnie na siebie w drzwiach wejściowych, zadbała o odpowiednią kolejność tak, żeby były to osoby, które nigdy się wcześniej nie spotkały. To znaczy Curt Wad i Gitte Charles może i się znali ze środowiska szpitalno-terapeutycznego, ale ryzyko, że ktoś taki jak Curt Wad nie dostosuje się stuprocentowo do wyznaczonego terminu, było wyjątkowo niewielkie.

– Dobrze, że Gitte zaplanowałam na koniec – powiedziała głośno. Z nią nigdy nie wiadomo pod względem czasu. Pewnie nigdy na to nie zwracała uwagi.

Tak, plan był dobry, a czasu aż nadto.

Była pewna, że żaden z pozostałych mieszkańców klatki nie wpuściłby nikogo, kto nie przyszedł z wizytą do nich samych. Narkomani o złodziejskich skłonnościach z pobliskiego Blågårds Plads skutecznie od tego odstraszyli.

Kiedy już będzie po wszystkim, ma cały wieczór i noc, by zająć się resztą.

Musiała się jeszcze upewnić, czy pokój rzeczywiście jest szczelny, a to wymagało próby.

Wyjęła ze spizarni siatkę na zakupy i śrubokręt ze skrzynki z narzędziami stojącej na ziemi, wyszła na klatkę i klękła przed drzwiami wejściowymi. Nacięcie na łebku jednej ze śrub mocującej tabliczkę z jej nazwiskiem było nieco zużyte, ale przy mocniejszym nacisku udało jej się ją odkręcić i zdjąć tabliczkę. Włożyła ją do siatki na zakupy i zeszła po schodach na dwór.

Zadecydowała, że najpierw pójdzie do punktu dorabiania kluczy i naprawy obuwia, a potem do sklepu chemicznego na Nørrebrogade.

– Spróbuję zdążyć – powiedział ślusarz, spoglądając na tabliczkę przyniesioną

przez Nete. – Ale wykonanie nowej zajmie mi dobrą godzinę. Najpierw muszę podflekować buty.

– Przyjdę dokładnie za półtorej godziny. I proszę, by czcionka była identyczna jak obecna i by nie przekręcił pan nazwiska.

„Załatwione” – pomyślała, idąc ulicą. Na domofonie przy drzwiach wejściowych do klatki wciąż widniało nazwisko Nete Rosen, ale poprawi to sama za pomocą tuszu i nalepki. Odtąd nazywa się Nete Hermansen, papiery zostały już podpisane i przysłane. Może mieszkańcy domu będą się dziwić, ale pal to lichy.

– Potrzebuję czegoś o intensywnym zapachu – wyjaśniła sprzedawcy w chemicznym na Nørrebrogade. – Uczę biologii, a dzieci będą miały jutro lekcję o zmyśle powonienia. Mam w domu trochę środków o przyjemnym zapachu, więc muszę znaleźć coś, co ma ostrą i przenikliwą woń.

Sprzedawca uśmiechnął się do niej półgębkiem.

– To może terpentynę, dwudziestopięcioprocentową wodę amoniakalną i naftę. Polecam też, by ugotowała pani parę jajek i wzięła ze sobą butelkę octu. Dzieciakom łzy staną w oczach.

– Dziękuję, wezmę to i do tego formalinę, jakieś cztery, pięć butelek.

Pośmiali się trochę, plastikowe siatki zostały przekazane z rąk do rąk i to zadanie też już miała z głowy.

Dwie godziny później nowa tabliczka z nazwiskiem Nete Hermansen już była przykręcona. Na drzwiach, za którymi wkrótce dokona się zemsta, nie może widnieć nazwisko Rosen.

Weszła do środka, poszła do kuchni, wzięła osiem głębokich talerzy i zaniósła je do pokoju na samym końcu korytarza.

Na wszelki wypadek na blacie stołu leżały gazety. Postawiła na nich talerze i każdy z nich wypełniła innym płynem silnie pachnącym lub cuchnącym. Woda kolońska, woda lawendowa, terpentyna, nafta, benzyna do czyszczenia, ocet, spirytus i wreszcie woda amoniakalna.

Gdy wlała do talerza tę ostatnią, niewidzialny obłok oparów uderzył ją jak cios bokiem dłoni, podrażniając boleśnie nozdrza i gardło.

Zostawiła butelki, wycofując się z pokoju tak szybko, jak się dało, i zamknęła za sobą drzwi.

– Och – jęknęła i pobiegła do łazienki, gdzie kilkakrotnie obmyła twarz zimną

wodą. Wyjątkowo trudno zmyć mieszanę zapachów tych środków. Czuła wręcz, jakby przez nozdrza miały bezpośredni dostęp do mózgu.

Pokuśtykała do wszystkich czterech pokoi i pootwierała okna na oścież, by wywietrzały zapachy, które się wydostały na zewnątrz, gdy opuszczała szczelny pokój, albo wniknęły w jej ubranie.

Po godzinie zamknęła okna, postawiła butelki z formaliną na samym dole szafki kuchennej, obok skrzynki z narzędziami, wyszła z mieszkania i usiadła na ławce nad jeziorem.

Kąciki jej ust wykrzywiły się drwiąco.

To musi zadziałać.

Po godzinnym oczekiwaniu była gotowa na powrót do mieszkania. Nos oddychał już swobodnie, a ubranie porządnie się wywietrzyło dzięki łagodnej letniej bryzie. Czuła się dobrze i błogo, dotarłszy do tego etapu.

A jeśli wbrew oczekiwaniom na klatce schodowej czy w mieszkaniu da się wyczuć choćby cień zapachu, będzie musiała popracować przez całą noc. Zadanie było jasne: nie wiedziała, czy jej plan z formaliną zadziała zgodnie z założeniami, więc pokój musiał być całkowicie szczelny. W przeciwnym razie nie będzie mogła sobie pozwolić na wyjazd na Majorkę, a bardzo tego pragnęła.

Weszła na klatkę i stała w niej, węsząc. Unosił się tu nikły aromat perfum, a nawet zapach psa sąsiadki, ale nic poza tym, a jej węchowi nie można było niczego zarzucić.

Powtarzała tę czynność na każdym piętrze z tym samym rezultatem, a kiedy znalazła się już na czwartym, klękła przy swoich drzwiach i otworzyła na oścież szparę na listy, zaciągając się mocno.

Uśmiechnęła się. Wciąż nic.

Weszła do mieszkania i spotkał ją w nim ten sam zapach świeżości, który wpadł przez okno godzinę temu. Postąpiła chwilę, nie skupiając na niczym wzroku, i koncentrowała się na tym jednym zmyśle, który miał zdecydować o sukcesie bądź porażce. Wciąż nic nie czuła.

Spędziwszy kolejną godzinę w mieszkaniu, w którym nie wyczuła najmniejszego śladu oparów, weszła w końcu do szczelnego pokoju na końcu korytarza.

W niespełną sekundę z oczu trysnęły jej łzy. Przenikliwy odór niby autentyczny gaz paraliżujący wniknął w każdy por odsłoniętej skóry. Zacisnęła oczy i zasłoniła

usta, po omacku doszła do okna i jednym pchnięciem je otworzyła.

Jak człowiek, który o mało nie utonął, wystawiła głowę na zewnątrz, łapiąc powietrze i zanosząc się kaszlem, który wydawał się nie mieć końca.

Po kwadransie zawartość wszystkich ośmiu talerzy została wylana do toalety i wielokrotnie spłukana. Potem otworzyła znów na oścież wszystkie okna w mieszkaniu i gruntownie umyła talerze. A gdy nadszedł wieczór, uznała, że egzamin został zdany.

Następnie położyła obrus na stole w szczelnie zamkniętym pokoju, wyciągnęła swoją najlepszą porcelanę i nakryła. Kryształowe kieliszki, srebrne sztucce i elegancka karteczka z imieniem i nazwiskiem przy każdym miejscu.

Miało być uroczyście, w końcu było co fetować.

Potem wyjrzała na korony kasztanowców, których liście zaczynały już żółknąć. Dobrze, że wkrótce stąd znika.

Pamiętała, by przed pójściem spać zamknąć okna w szczelnym pokoju, po czym położyła warstwę przezroczystego silikonu wzdłuż brzegów ram okiennych i zadowolona spojrzała na swoją pracę.

Minie dużo, dużo czasu, nim te okna znów zostaną otwarte.

Listopad 2010

Czarne, złowróźbne chmury kłębiły się w ciszy nad głową Carla: sprawa pistoletu na gwoździe, podejrzenia Hardy'ego i monety z odciskami palców, ślub Viggi i jego wpływ na finanse Carla, przeszłość Assada, dziwactwa Rose, idiotyczna paplanina Ronny'ego i totalna kłapa na kolacji u Mony. Nigdy tyle rzeczy nie spadło na niego jednocześnie. Ledwie zdążył przenieść ciężar ciała z jednego poślądka na drugi, a już nadciągała kolejna katastrofa. Nie, takie nawarstwienie problemów nie pasowało ani trochę do zatrudnionego na etacie rozwiązywacza zagadek, których inni nie umieli rozwikłać. Można mieć nadzieję, że lada chwila ktoś utworzy wydział, którego głównym zadaniem będzie rozwiązywanie z kolei jego zagadek.

Carl westchnął głęboko, wziął papierosa i włączył TV2 News; świadomość, że inni tkwią w jeszcze większych tarapatach, dawała pewne ukojenie.

Wystarczyło jedno spojrzenie na ekran, a człowiek już miał dosyć. Pięciu dorosłych mężczyzn debatujących o polityce gospodarczej rządu opartej na mądrościach ludowych; czy istnieje coś bardziej obojętnego? Przecież i tak to donikąd nie prowadzi.

Wziął do ręki kartkę, którą Rose zostawiła mu na raporcie policyjnym, gdy on był u szefa Wydziału Zabójstw. Nędzne pół stroniczki napisane odręcznie, to naprawdę wszystko, co potrafiła znaleźć o Gitte Charles, pomocy pielęgniarskiej ze Sprogø?

Zabrał się do czytania; lektura nie była zbyt zachęcająca.

Choć Rose rozpytywała, gdzie mogła, nikt ze środowiska opiekunów domowych na Samsø nie pamiętał żadnej Gitte Charles, dlatego też nikt nic nie wiedział o kradzieżach u starszych osób, których Gitte Charles się dopuszczała. O okresie, kiedy pracowała w szpitalu w Tranebjergu, też nie udało się niczego dowiedzieć, bo w międzyczasie szpital zlikwidowano, a personel rozpierzchnął się po wszystkich zakątkach świata. Matka od dawna nie żyła, a brat wyemigrował do

Kanady, gdzie przed paroma laty również zmarł. Jedynym realnym łącznikiem z jej życiem był mężczyzna, który dwadzieścia trzy lata temu wynajmował jej mieszkanie na Maarup Kirkevej na Samsø.

Opis mężczyzny autorstwa Rose był barwny. „Gość był ociężały umysłowo, albo po prostu szczwany z niego lis. Odkąd Gitte Charles była jego najemcą, wynajmował to swoje mikroskopijne mieszkanie o powierzchni dwudziestu jeden metrów kwadratowych jakimś piętnastu, dwudziestu osobom. Nadzwyczaj dobrze ją pamiętał, ale nie miał nic mądrego do powiedzenia. To ten typ wieśniaka, co ma gnój na butach, zardzewiałe traktory na podwórzu i jest przekonany, że prawdziwe pieniądze można zarobić tylko na czarno”.

Carl odłożył kartkę i zabrał się za wyniki śledztwa policji w sprawie Gitte Charles, leżące w teczce. Również tutaj materiał był dość skąpy.

Na ekranie telewizora obraz zmienił się kilkakrotnie. Krótkie wstawki z dużymi zgromadzeniami publicznymi w sali kongresowej i twarze jakichś starszych facetów, uśmiechających się szeroko do wszystkich i wszystkiego.

Odczytując wiadomość, dziennikarz komentujący materiał okazywał lekceważenie wobec osób, których on dotyczył.

– Obecnie, gdy po licznych próbach partii Czyste Linie wreszcie udało się zebrać wystarczającą ilość podpisów, by startować w kolejnych wyborach do Folketingu, można zadać sobie pytanie, czy duńska polityka sięgnęła już dna. Od czasów Partii Postępu nie zaistniała tu jeszcze partia o tak specyficznych i kontrowersyjnych poglądach, a według wielu osób – również o nagannym charakterze. Dziś na kongresie założycielskim twórca partii, budzący kontrowersje i słynący z ekstremistycznych poglądów lekarz zajmujący się leczeniem bezpłodności Curt Wad dokonał oficjalnej prezentacji kandydatów partii do Folketingu. W przeciwieństwie do niegdysiejszego przypadku Partii Postępu wśród kandydatów znajduje się sporo prominentnych i dobrze wykształconych osób o imponujących karierach. Średnia wieku kandydatów wynosi czterdzieści dwa lata, co zadaje kłam twierdzeniu pozostałych partii, jakoby Czyste Linie reprezentowali starcy. Zarówno założyciel partii, Curt Wad, który w chwili obecnej ma osiemdziesiąt osiem lat, jak i wielu głównych członków zarządu jest od dawna na emeryturze.

W tym momencie pojawił się obraz wysokiego mężczyzny z siwymi baczkami,

z wyglądu znacznie młodszego niż 88 lat. „Curt Wad, lekarz, założyciel partii” – brzmiał napis pod jego twarzą.

– Widziałeś moją notatkę i raport policyjny o zaginięciu Gitte Charles? – wtrąciła Rose.

Carl obrócił ku niej wzrok. Po rozmowie z jej prawdziwą siostrą Yrsą trudno było podchodzić do jej powierzchowności ze stuprocentową powagą. Czy to znów tylko fasada, ten bezmiar czarnej tkaniny, makijaż i buty, zdolne nadziać kobrę w ciągu dwóch sekund?

– Yyy, tak. To znaczy troszkę.

– Niewiele się idzie dowiedzieć o tej Gitte Charles, nie licząc raportu policyjnego, który na początku dostaliśmy od Lis. Policja nie miała żadnego tropu po jej zniknięciu, więc porzeczano po prostu na jej poszukiwaniu. Wyciągnięto jej pijaństwo i choć, co dziwne, nie powiedziano wprost, że jest alkoholiczką, to sugerowano jako logiczną możliwość, że mogła ponieść śmierć pod wpływem alkoholu albo gdzieś po drodze. Jako że nie miała bliskich ani kolegów, o sprawie szybko zapomniano.

– Podobno widziano, jak wchodzi na pokład promu do Kalundborga. Brano pod uwagę teorię, że wypadła za burtę?

Na twarzy Rose pojawił się wyraz poirytowania.

– Nie, Carl, widziano ją, jak schodziła z promu, już mówiłam. Na lekturę raportu poświęciłeś, zdaje się, tylko parę sekund, co?

Postanowił puścić ostatnie zdanie mimo uszu. Pytania zbijające z pantałyku były jego specjalnością.

– Co mówił o jej zaginięciu właściciel mieszkania? – spytał. – Musiał się zdziwić, że nie wpływała kwota za wynajem.

– Wpływała, bo płaciła mu bezpośrednio opieka społeczna, podobno inaczej po prostu przepijała pieniądze. Nie, ten ciołek właściciel mieszkania ani myślał dawać znać władzom, że zniknęła, i pewnie było mu wszystko jedno, byle kasa wpływała. To sklepikarz to zgłosił. Według jego relacji trzydziestego pierwszego sierpnia Gitte Charles przyszła do sklepu, zadzierając nosa, i z tysiącem pięciuset koronami w kieszeni. Powiedziała sklepikarzowi, że dostała w spadku dużą sumę pieniędzy i wybiera się je odebrać do Kopenhagi. On się z tego śmiał, co ją uraziło.

Carla odrzuciło do tyłu.

- W spadku, powiadasz? Jest w tym coś?
- Nie, sprawdzałam w sądzie. Żadnego spadku nie było.
- Hmm. To by było zbyt sensacyjne.
- Ale i tak musisz usłyszeć zdanie, które najbardziej przykuwa uwagę.

Wzięła teczkę z biurka i otworzyła mniej więcej pośrodku raportu.

– Słuchaj. Sklepikarz zgłosił jej zaginięcie tydzień później, bo wcisnęła mu do ręki banknot pięćsetkoronowy ze słowami, że jeśli tydzień później nie wróci bogatsza o dziesięć milionów koron, to może go sobie zostawić. A jeśli wróci, on odda jej banknot wraz z filiżanką kawy i sznapssem. Czyli sklepikarz aż tak nie ryzykował, co? I pewnie dokładnie dlatego się założył.

– Dziesięć milionów! – gwizdnął Carl. – Okej, może bujała w obłokach.

– Z pewnością. Ale posłuchaj tego. Gdy sklepikarz tydzień później znalazł w porcie jej rower, to jednak poczuł się z tym wszystkim trochę nieswojo.

– Tak, to zrozumiałe. Przecież ciągle miał ten banknot. Ona nie należała do osób, które lekką ręką oddałyby komuś pięćset koron – stwierdził Carl.

– Właśnie. W raporcie jest napisane: „Właściciel sklepu Lasse Bjerg utrzymuje, że jeśli Gitte Charles naprawdę nie dostała tych dziesięciu milionów i raz na zawsze nie zostawiła za sobą dawnego życia, i nie rozpoczęła nowego, to musiało jej się przydarzyć coś strasznego”. I teraz zdania, które przykuły moją uwagę: „Bo pięćset koron było dla Gitte Charles ogromną sumą. Dlaczego miałyby dobrowolnie je oddawać?”.

– Chyba trzeba będzie przejechać się na Samsø, pogadać z tym właścicielem mieszkania i rozejrzeć po okolicy – powiedział Carl. Dobrze by było się trochę oderwać.

– Niewiele wskórasz, Carl. Sklepikarz jest w domu starców i ma zaawansowaną demencję, z właścicielem rozmawiałam, to zupełny cep, a do tego rzeczy Gitte już nie ma. Dureń sprzedał je po jakimś czasie na pchlim targu. Wszystko upchnął.

– Czyli ślepy trop.

– I to jak!

– Dobra, to co mamy? Wiemy, że dwie osoby, które się znały, w tajemniczy sposób zniknęły bez śladu tego samego dnia. Gitte Charles i Rita Nielsen. Gitte Charles, nie zostawiając po sobie żadnych przedmiotów, a w przypadku Rity Nielsen jej dawna pracownica Lone Rasmussen nadal posiada pewne rzeczy Rity,

co swoją drogą nie wnosi nic do sprawy. – W tym momencie miał zamiar wyciągnąć z paczki papierosa, ale palce zamarły w pół drogi pod wpływem lodowatego jak biegun północny spojrzenia Rose. – Możemy się zastanowić, czyby nie przejechać się do Lone Rasmussen i poszperać w pozostawionych przez nią rzeczach, ale komu by się chciało jechać w tym celu do Vejle?

– Ona już nie mieszka w Vejle – powiedziała Rose.

– A gdzie?

– W Thisted.

– To przecież jeszcze dalej.

– Tak, ale w Vejle nie mieszka.

Carl jednak wziął papierosa i szykował się do zapalenia, gdy zobaczył Assada wsuwającego się do pomieszczenia i opędzającego się zawzięcie rękami od widmowych na razie kłębow dymu. Jacy się wszyscy delikatni porobili, kurka wodna.

– Rozmawialiście o tej Gitte Charles? – spytał Assad.

Oboje kiwnęli głowami.

– Nie mam za dużo o tym rybaku Viggo Mogensenie – podjął – ale jestem gotowy z Philipem Nørviem. Umówiłem się z wdową po nim, która nadal mieszka w domu w Halsskov.

Carl odrzucił głowę do tyłu.

– I kiedy by to miało być? Chyba nie teraz.

Powieki Rose mozolnie odsłoniły źrenice. Sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej.

– Carl, weź się puknij w łeb. Nie sądzisz, że już wystarczająco długo tu siedzimy?

Spojrzał na Assada.

– Czyli jesteśmy umówieni na jutro?

Assad podniósł kciuk w górę.

– To może poprowadzę auto – powiedział.

Jeszcze tego brakowało!

– Dzwoni twój telefon, Carl – zauważyła Rose, wskazując na wibrujący na stole aparat.

Spojrzał na wyświetlacz i nie rozpoznawszy numeru, przyłożył telefon do ucha.

Odezwał się niezbyt zachęcający kobiecy głos.

– Dzień dobry, czy rozmawiam z Carlem Mørckiem? – zapytał.

– Tak, to ja.

– W takim razie prosiłabym pana o przyjscie do Tivolihallen i uregulowanie rachunku, który zostawił pański kuzyn.

Carl policzył do dziesięciu.

– Dlaczego w ogóle miałbym mieć z tym coś wspólnego?

– Mam tu menu z sandwiczami z całą epopeją na odwrocie. Przeczytam na głos: „Przepraszam, ale muszę już pędzić, żeby zdążyć na samolot. Mój kuzyn, podkomisarz policji w Wydziale Zabójstw Komendy Głównej, Carl Mørck, obiecał, że wkrótce tu zajrzy i zapłaci rachunek. Wiedzą państwo, który to. To ten, z którym siedziałem przy stole i rozmawiałem. Poprosił, bym zostawił do niego numer komórki, jeśli w międzyczasie byłby zajęty, żebyście wspólnie ustalili, w jaki sposób ma uregulować płatność”.

– Co?! – wyrwało się Carlowi. Na większą ilość słów nie starczyło mu energii.

– Znaleźliśmy tę kartkę na stole, kiedy przyszliśmy spytać, czy życzy sobie coś jeszcze.

Uczucie, które w tej sekundzie przemknęło przez głowę Carla, najlepiej określało słowo „zabawne”. Coś podobnego jak wtedy, gdy człowiek jest świeżo upieczonym harcerzem i jego zastępowy kusi go, by podczas ulewy przeszedł półtora kilometra, by przynieść oddymnicę.

– Już jadę – powiedział i postanowił w drodze powrotnej zahaczyć o Vanløse, by złożyć dzentelmenowi zwanemu Ronnym Mørckiem kurtuazyjną wizytę.

Lokum wynajmowane przez Ronny’ego nie było zbyt imponujące. Określenie go zapleczem na podwórzu byłoby zdecydowanie komplementem. Zardzewiałe schody wiodące w górę wzdłuż nagiej fasady, obskurne, betonowe pięterko i stalowe drzwi na wysokości półtorej kondygnacji. Prawie jak prototyp wejścia do kabiny operatora filmowego w zlikwidowanym kinie. Kiedy załomotał kilka razy w drzwi, usłyszał krzyk, a po trzydziestu sekundach zgrzyt zamka.

Tym razem odzienie Ronny’ego było bardziej jednolite: bielizna zdobna w plujące ogniem węże na górze i na dole i nic więcej.

– Już otworzyłem browarki – oświadczył Ronny, ciągnąc Carla do zadymionego pomieszczenia, oświetlonego częściowo przez kinkiety z abażurami ozdobionymi

wodospadami, a częściowo przez kolorowe papierowe lampy z dość namiętymi motywami erotycznymi.

– To Mae, tak ją nazywam – powiedział, wskazując Azjatkę, której ciało wielokrotnie zmieściłoby się w cielsku Ronny’ego.

Kobieta się nie odwróciła. Była zajęta, manewrując drobnymi, chudymi rękami nad garnkami i wypełniając powietrze aromatem przedmieść Pattayi z domieszką dwóch łyżek węgla drzewnego z grilla w Allerød.

– Jest zajęta, zbliża się pora jedzenia – wyjaśnił, siadając na zmalretowanej sofie, zakamuflowanej elementami odzieży przypominającymi sarong w kolorze curry.

Carl zasiadł naprzeciwko i wziął piwo, postawione przez Ronny’ego na hebanowym stoliku między nimi.

– Wisisz mi sześćset siedemdziesiąt koron i wyjaśnienie, jakim cudem jesteś już w stanie zjeść po tym posiłku, który wtranzoliłeś w Tivolihallen.

Ronny z uśmiechem poklepał się po brzuchu.

– Mam wprawę – powiedział, co sprawiło, że Tajka odwróciła się do niego z najbielszym uśmiechem, jaki Carl widział od dłuższego czasu. Nie żadna tam dwudziestopięciolatka z twarzą gładką jak lustro, jak inne importowane Tajki. Nie, ta miała zarówno swoje lata, zmarszczki od uśmiechu, jak i oczy, które wszystko rozumiały.

„Jeden zero dla Ronny’ego” – pomyślał Carl.

– Zaprosiłeś mnie, Carl. Przecież mówiłem ci przez telefon. Wezwałeś mnie na spotkanie w godzinach pracy, a to, jak wiadomo, kosztuje.

Carl wziął głęboki wdech.

– Wezwałem? W godzinach pracy? Wolno mi zapytać, czym szczególnym się zajmujesz, Ronny? Rozpocząłeś działalność jako zawodowy rozciągacz podkoszulków w rozmiarze „S”?

Zobaczył, że plecy Tajki drżą nieznacznie przy garnkach, zaś Ronny uśmiechnął się szeroko. Kobieta ma nie tylko poczucie humoru, ale widać zna też duński.

– Na zdrowie, Carl – rzucił kuzyn. – Miło znów się z tobą spotkać.

– Czyli nie mam co liczyć na zwrot moich sześciuset siedemdziesięciu koron?

– Nie. Ale możesz za to dostać najwspanialsze tom kha gai na świecie.

– Brzmi jak trucizna.

Tajka przy garnkach znów się zatrzęsała.

– To zupa kurczakowo-kokosowa z chili, kafirem i galangalem – powiedział Ronny.

– Posłuchaj – westchnął Carl. – Dobra, naciągnąłeś mnie dziś na sześćset siedemdziesiąt koron, pies to drapał. Ostatni raz ci się to udało. Ale właśnie zajmuję się ogarnianiem niezłego bajzlu, a nasza dzisiejsza pogawędka mnie zaniepokoiła. Próbujesz mnie jakoś szantażować, Ronny? Bo jeśli tak, to nie minie pięć minut, a ty i mała Mae będziecie mieli do wyboru sąd albo samolot powrotny do Galimatiasu czy skąd tam pochodzicie.

W tym momencie kobieta się obróciła i zaczęła krzyczeć po tajsku do Ronny'ego. Ten pokręcił parokrotnie głową, sprawiając wrażenie rozgniewanego, a jego krzaczaste brwi zaczęły żyć własnym życiem i mówić swoim językiem.

Następnie zwrócił się do Carla.

– Chcę ci tylko przypomnieć, że po pierwsze, to ty dziś rano zwróciłeś się do mnie, a po drugie, że moja żona May-Ying-Thahan Mørck właśnie wykreśliła cię z listy gości.

Niespełna minutę później znalazł się na zewnątrz. Kobieta miała widać duże doświadczenie i wiedziała, że jeśli wystarczająco mocno trzaska się przyborami kuchennymi, to ludzie się wycofują.

„Nasze drogi znów się rozchodzą, Ronny” – pomyślał z pełzającym przeczuciem, że może się mylić. Poczł w kieszeni wibracje telefonu i zanim spojrzł na wyświetlacz, wiedział już, że to Mona.

– Cześć, kochanie – odezwał się, markując lekkie przeziębienie. Takie, które nie mogło stać na przeszkodzie szybkiemu zaproszeniu.

– Jeśli masz ochotę na kolejną próbę zapoznania się z moją córką i Ludwigiem, to masz szansę jutro – powiedziała.

Widać było to dla niej bardzo ważne.

– Oczywiście – odparł ze swobodą większą, niż trzeba.

– Dobrze. Jutro o dziewiętnastej u mnie. I muszę ci przypomnieć, że masz jutro wizytę u Krisa o piętnastej. Już tam byłeś.

– Tak? Nie przypominam sobie – skłamał.

– Aha, w każdym razie tak jest. I Carl? Potrzebujesz tego, znam sygnały.

– Ale jutro jestem w Halsskov.

– Nie o piętnastej, okej?

– Mona, czuję się dobrze. Nie ma śladu po panice, jeśli chodzi o sprawę pistoletu na gwoździe.

– Rozmawiałam dziś z Marcusem Jacobsenem o twoim ataku histerii w sali odpraw.

– Ataku histerii?

– I muszę mieć pewność, że mężczyzna, którego wybieram na stałego kochanka, potrafi stanąć na wysokości zadania również pod względem psychicznym.

Carl przeczesywał szare komórki, poszukując właściwej odpowiedzi, ale nie było łatwo. Gdyby miał w tej chwili najlepiej wyrazić swoje uczucia, wykonałby parę kroków tańca latynoamerykańskiego, jeśli tylko potrafił.

– Sprawa wygląda tak, że przez najbliższy czas będzie ci ciężko. Muszę ci przekazać, że w skrzyni ze zwłokami znaleziono jeszcze jedną rzecz i Marcus Jacobsen poprosił, bym doniosła ci o postępie sprawy.

Wewnętrzne stepowanie ustało.

– Pod zwłokami znaleziono kartkę. Była to fotokopia zdjęcia zapakowana w plastik, a na zdjęciu znajdował się zamordowany Pete Boswell między tobą i Ankerem, obejmujący was obu za ramiona.

21

Listopad 2010

– Wyglądasz na zmęczonego, mam poprowadzić, Carl? – spytał Assad nazajutrz.

– Jestem zmęczony, ale nie poprowadzisz wozu, Assad. W każdym razie dopóki jestem w środku.

– Źle spałeś?

Carl nie odpowiedział. Spał doskonale, ale tylko przez dwie godziny, bo noc obfitowała w przemyslenia. Wieczorem Marcus Jacobsen przesłał mu mailem zdjęcie zamordowanego stojącego ramię w ramię z Carlem i Ankerem. Tym samym potwierdził, co tego samego dnia mówiła Carlowi Mona.

„Obecnie dział techniczny próbuje się dowiedzieć, czy zdjęcie może być sfabrykowane. Pewnie zgadzamy się, że tak byłoby najlepiej?” – napisał szef Wydziału Zabójstw.

No raczej! Oczywiście, że byłoby najlepiej, gdyby zdjęcie było sfabrykowane, bo przecież było. Ciekawe, czy Marcus Jacobsen liczył na przyznanie się do winy?

Nigdy w życiu nie zbliżył się do zamordowanego, w ogóle faceta nie znał, ale jednak takie rzeczy kosztują człowieka sen. Jeśli technicy nie udowodnią, że zdjęcie jest manipulacją, tylko patrzeć, a Carl zostanie zawieszony. Kto nie znał procedur Marcusa Jacobsena?

Carl spojrzął na sznur samochodów przed wozem służbowym, zaciskając mięśnie żuchwy. Gdyby był przytomniejszy, wyjechałoby pół godziny później.

– Sporo samochodów na drodze – zauważył Assad. To dopiero przenikliwy obserwator.

– Tak, jeśli ten pieprzony korek zaraz się nie rozładuje, to dojedziemy do Halsskov dopiero o dziesiątej.

– Fakt, ale mamy przed sobą cały dzień, Carl.

– Nie, muszę wrócić na piętnastą.

– Aha. W takim razie rzućmy to na podłogę. – Assad wskazał GPS. – Zjedziemy z autostrady i w mgnieniu oka będziemy na miejscu. Pokieruję cię, Carl, widzę

wszystko na mapie.

Ta uwaga kosztowała ich dodatkową godzinę. Kiedy wjeżdżali na podjazd wdowy po Philipie Nørvig, w radio rozpoczynały się właśnie wiadomości o 11.00.

– Wielkie demonstracje przed domem Curta Wada w gminie Brøndby – mówił spiker. – Wspólna akcja zainicjowana przez ruchy obywatelskie pragnie zwrócić uwagę na niedemokratyczny charakter postulatów, za którymi opowiadają się Czyste Linie. Curt Wad twierdzi...

W tym momencie Carl wyłączył silnik i wysiadł na żwir pokrywający podjazd.

– Tak, gdyby nie Herbert... – Wdowa po Philipie Nørvig skinęła w stronę swojego równolatka po siedemdziesiątce, który wszedł do salonu, by się przywitać. – ...to Cecilie i ja nie byłybyśmy po prostu w stanie pozostać w tym domu.

Mørck uprzejmie pozdrowił mężczyznę, który zamierzał się dosiąść.

– Doskonale rozumiem, że musiał to być dla pani ciężki czas. – Carl kiwnął głową. Zapewne eufemizm, jako że jej mąż nie tylko zbankrutował, ale raczył zniknąć, zostawiając cały bajzel.

– Zapytam wprost, pani Nørvig – zawahał się przez chwilę. – Chyba wciąż Nørvig, prawda?

Potarła ręką grzbiet dłoni. Widocznie pytanie wprawiło ją w konsternację.

– Tak, nie jesteśmy z Herbertem małżeństwem. Gdy Philip zaginął, ogłosiłam upadłość konsumencką i po prostu nie mogliśmy.

Carl silił się na pełen zrozumienia uśmiech, ale było mu całkowicie wszystko jedno, w jakich układach ludzie żyją.

– Czy można dopuścić taką ewentualność, że pani mąż po prostu uciekł, że go to wszystko przerosło?

– Jeśli ma pan na myśli samobójstwo, to nie. Philip był zbyt tchórzliwy, by to zrobić. – Zabrzmiało to dość obcesowo, ale może rzeczywiście wolałaby, żeby jej mąż powiesił się na sznurze na którymś z drzew w ogrodzie. Pewnie tak by było dla niej lepiej.

– Nie, chodzi mi o dosłowną ucieczkę od wszystkiego. Że może jakoś udało mu się odłożyć na boku trochę gotówki i osiedlić się gdzieś w Hendalekostanie.

Spojrzała na niego zaskoczona. Czyżby naprawdę nigdy o tym nie pomyślała?

– Niemożliwe. Philip nie znosił podróży. Od czasu do czasu błagałam go,

żebyśmy pojechali na krótką wycieczkę, wie pan, na przykład autokarem w Góry Harzu. Tylko na parę dni, ale nie, to nie dla Philipa. Nie cierpiał nowych miejsc. Myśli pan, że dlaczego otworzył gabinet w tej dziurze? Bo jest położona dwa kilometry od miejsca, w którym się wychował. Dlatego!

– No tak, ale może w tamtych okolicznościach wyjazd był po prostu konieczny. Ludzie z problemami osobistymi potrafią zniknąć na pampie Argentyny czy w górskiej wiosce na Krecie.

Zachichotała, kręcąc głową. Widać było to zupełnie nie do pomyslenia.

W tym momencie do rozmowy włączył się mężczyzna, którego nazywała Herbertem.

– Proszę wybaczyć, ale dodam może, że Philip był kolegą z klasy mojego najstarszego brata. Brat zawsze twierdził, że jest mięczakiem. – Spojrzał wymownie na swoją partnerkę, zapewne by wzmocnić swoją pozycję jako zdecydowanie lepszej partii niż poprzednik. – Kiedy jego klasa wybierała się na wycieczkę na Bornholm, Philip nie chciał jechać. Twierdził, że ni w ząb nie rozumie, co ludzie tam mówią, więc to nie dla niego. I choć nauczyciele się złościли, on obstawał przy swoim. Philipa nie należało zmuszać do czegoś, o co sam nie prosił.

– Hm, według mnie zupełnie nie robi wrażenia mięczaka, ale może w tych okolicach inaczej to wygląda. Dobrze, zatem odrzucamy tę teorię. Ani samobójstwo, ani ucieczka do innego kraju. Czyli zostaje nam tylko wypadek i zabójstwo. Do czego się państwo bardziej skłaniają?

– Myślę, że zabiło go to przekłete stowarzyszenie, do którego należał – powiedziała wdowa, patrząc na Assada.

Carl odwrócił głowę w stronę kolegi, którego ciemne brwi znajdowały się obecnie u nasady włosów w towarzystwie licznych, dobrze znanych zmarszczek na czole.

– Mie, uważam, że nie powinnaś tak mówić – odezwał się Herbert z sofy. – Nic na ten temat nie wiemy.

Carl wlepił wzrok w starszą kobietę.

– Nie nadążam. Jakie stowarzyszenie? – spytał. – W aktach policyjnych nie ma ani słowa o żadnym stowarzyszeniu.

– Bo też nigdy o tym nie wspominałam.

– Aha. Może przybliżyłaby mi pani temat?

– Owszem. Stowarzyszenie nazywało się Tajemna Walka.

Assad wyjął notatnik.

– Tajemna Walka, naprawdę malownicza nazwa. Brzmi prawie jak stary kryminał z Sherlockiem Holmesem. – Silił się na uśmiech, skrywając zupełnie inne uczucia. – Czym jest ta Tajemna Walka?

– Mie, według mnie nie powinnaś... – wtrącił się Herbert, ale Mie Nørvig się tym nie przejęła.

– Nie wiem zbyt wiele o tym stowarzyszeniu, bo Philip nigdy nic o nim nie mówił, widocznie nie mógł. Ale jednak przez wszystkie lata słyszało się to i owo. Proszę pamiętać, że byłam jego sekretarką – odparła, zbywając ręką pełną protestów gestykulację konkubenta.

– Jakie to i owo? – dopytywał Carl.

– Że niektórzy ludzie zasługują, by mieć dzieci, a inni nie. Że Philip czasem pomagał w przeforsowaniu przymusowej sterylizacji. Zajmował się tym już od wielu lat, jeszcze zanim zostałam zatrudniona w firmie. Kiedy Curt tu bywał, czasem rozmawiali o pewnej starej sprawie. To chyba była ich pierwsza wspólna sprawa, nazywali ją sprawą Hermansen. W późniejszych latach Philip był też osobą kontaktową dla lekarzy i innych adwokatów. Zarządzał całą siecią powiązań.

– Rozumiem. Ale to było przecież zgodne z duchem czasów? To znaczy, dlaczego pani mąż miałby się z tego powodu znajdować w niebezpieczeństwie? Przez lata sterylizowano wielu upośledzonych umysłowo, a władze temu przyklaskiwały.

– Tak, ale często sterylizowano i przyjmowano na przymusowe leczenie również osoby, które nie były upośledzone umysłowo. Tak było najłatwiej się ich pozbyć. Na przykład Cyganki. I kobiety z rodzin wielodzietnych, na zasiłkach, prostytutki. Jeśli Tajemnej Walce udało się je zwabić do gabinetu, te kobiety często wychodziły z niego z podwiązanymi jajowodami, a już na pewno bez płodów w macicy, jeśli takowe się tam znajdowały.

– Zaraz, muszę to jeszcze raz usłyszeć. Mówi pani, że dopuszczano się poważnych i radykalnych, a z tego, co słyszę, również zdecydowanie nielegalnych zabiegów na narządach rodnych kobiet, i to w dodatku bez ich wiedzy?

Mie Nørvig wzięła łyżeczkę i zamieszała nią w filiżance. Było to zbędne, bo

kawa wystygła i nie było w niej nic do mieszania. To była jej odpowiedź. Odtąd muszą sami szukać dalej.

– Czy ma pani cokolwiek związanego z tym stowarzyszeniem, Tajemną Walką? Notatki, kartoteki, karty pacjentów albo raporty?

– Bezpośrednio nie, ale mam teczki ze sprawami Philipa w jego dawnym gabinecie w przyziemiu.

– Poważnie, Mie, uważasz, że to dobry pomysł? Przyda się to na coś? – spytał jej partner. – Chodzi mi o to, czy mimo wszystko nie będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli damy sobie spokój z wybebeszaniem takiej starej sprawy?

Mie Nørvig nic nie odpowiedziała.

W tym momencie Assad cichutko podniósł rękę ze zbolałym wyrazem twarzy.

– Przepraszam, czy jest tu gdzieś toaleta, z której mógłbym skorzystać?

Carl nie przepadał za przekopywaniem się przez sterty starych papierów, miał od tego ludzi. Ale kiedy jeden siedział na kiblu, a drugi ubezpieczał tyły w biurze, musiał się za to zabrać.

– Gdzie mamy szukać? – spytał kobietę stojącą pośrodku piwnicznego gabinetu i rozglądającą się wokół, jakby była tu obca.

Westchnął, gdy wskazała kilka szafek na dokumenty, ukazując niezliczoną ilość zawieszanych teczek, niemiłosiernie poupychanych. Przejrzenie tego wszystkiego było nie do ogarnięcia i naprawdę najchętniej by tego uniknął.

Wzruszyła ramionami.

– Nie zaglądałam do tych szafek od wielu lat. Właściwie to nie znoszę tu przychodzić, odkąd Philip zaginął. Oczywiście myślałam, by to wszystko wyrzucić, ale to są przecież poufne dokumenty i trzeba by to zrobić w odpowiedni sposób, a to kłopotliwe. Lepiej więc zamknąć drzwi na klucz i zapomnieć; miejsca w domu jest dość – zamilkła na chwilę, znów się rozglądając.

– Tak, to spora robota – odezwał się Herbert. – Może lepiej Mie i ja w spokoju to wszystko przejrzymy. Jeśli znajdziemy coś, co mogłoby was zainteresować, zawsze możemy wam to przesłać, prawda? Powiedzcie nam po prostu, czego mamy szukać.

– Ach, już wiem! – zawołała Mie Nørvig, wskazując dużą szafę żaluzjową z jasnego drewna, szczelnie załadowaną pudłami z kopertami z nadrukiem, wizytówkami i formularzami.

Przekręciła kluczyk i żaluzjowe drzwiczki opadły ze świstem niczym ostrze gilotyny.

– To – powiedziała, wskazując niebieski notes na spirali formatu A2 z wycinkami. – Prowadziła go pierwsza żona Philipa. Od siedemdziesiątego trzeciego roku, kiedy Philip i Sara Julie się rozwiedli, wycinki nie są powklejane, po prostu leżą luzem.

– Ale rozumiem, że zaglądała pani do środka?

– Oczywiście. Potem to ja umieszczałam tam artykuły, o których wycięcie prosił mnie Philip.

– Co w takim razie chce mi pani pokazać? – spytał Carl, odnotowując, że do pokoju wszedł Assad, który nie był już blady, na ile to widać po osobie arabskiego pochodzenia. Może wizyta w toalecie pomogła.

– Dobrze się czujesz, Assad? – spytał.

– To tylko chwilowe pogorszenie, Carl – nacisnął ostrożnie na brzuch, sugerując, że niekontrolowane ruchy perystaltyczne jeszcze mogą go nawiedzić.

– Tutaj – powiedziała Mie Nørvig. – To wycinek z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, chodziło mi o tego tu – wskazała artykuł – Curt Wad. Po prostu go nie znosiłam. Po tym, jak tu bywał albo rozmawiał z Philipem przez telefon, mąż jakby zupełnie się zmieniał. Potrafił być taki buńczuczny po tych rozmowach. Nie, to nie jest dobre określenie, nie buńczuczny, po prostu twardy jak kamień, jakby nie miał w sobie uczuć. Zwracał się wtedy do mnie i naszej córki wyjątkowo chłodnym tonem, zupełnie bez powodu. Jakby zmieniała mu się osobowość, a przecież na co dzień był dość miły. W takich sytuacjach często się kłóciliśmy.

Carl spojrział na artykuł. „Czyste Linie zakładają oddział lokalny w Korsør” – brzmiał nagłówek, a pod spodem było zdjęcie. Przedstawiało Philipa Nørviga w kraciastej tweedowej marynarce, zaś mężczyzna u jego boku ubrany był w elegancki czarny garnitur i ciasno zawiązany krawat.

„Philip Nørvig i Curt Wad prowadzili spotkanie z dużym profesjonalizmem” – brzmiał podpis pod zdjęciem.

– A niech mnie szlag! – zawołał Carl, zerkając przepraszająco na parę gospodarzy. – Przecież to ten, o którym ostatnio tyle mówią! Tak, teraz przypominam sobie nazwę Czyste Linie.

To był Curt Wad w nieco młodszym wydaniu niż ten, którego poprzedniego dnia widział w telewizji. Kruczoczarne baki. Wysoki, przystojny mężczyzna w kwiecie wieku, a przy nim chudy facet ze spodniami w ostry jak brzytwa kant i uśmiechem wyglądającym na udawany i mało wyćwiczony.

– Tak, to on, Curt Wad. – Gospodyni skinęła głową.

– Aktualnie usiłuje wprowadzić Czyste Linie do Christiansborga, zgadza się?

Ponownie pokiwała głową.

– Owszem, już wcześniej próbował. Ale teraz wygląda na to, że mu się to uda, i to jest straszne, bo jest bezwzględny, silny i ma chore pomysły. W każdym razie nie powinno się ich rozpowszechniać.

– Mie, przecież nic o tym nie wiesz – wmieszał się znów Herbert.

„Co za nadgorliwiec!” – pomyślał Carl.

– Owszem, wiem – odparła Mie Nørvig, poirytowana. – I ty też wiesz! Równie bacznie jak ja śledziłeś to wszystko w gazetach. Pomyśl tylko o tym, co ten Louis Petterson przez jakiś czas opisywał, przecież o tym dyskutowaliśmy. Curt Wad i jego kamraci latami byli wmieszani w brudne sprawy: aborcje, które nazywali niezbędnym łyżeczkowaniem, i sterylizacje. Zabiegi, o których kobiety nawet nie wiedziały, że je przeszły.

Herbert zaprotestował większym poruszeniem, niżby nakazywał rozsądek.

– Moją żonę... to znaczy Mie prześladowa myśl, że Wad ponosi winę za zaginięcie Philipa. Wiecie sami, żaloba, może być...

Carl zmarszczył brwi, obserwując bardzo uważnie jego mimikę, bo Mie Nørvig nie odpuściła ani na jotę. Tak jakby podawał wyświechtane argumenty.

– Dwa lata po zrobieniu tej fotki, po tym, jak Philip poświęcił Czystym Liniom tysiące godzin, oni go wyrzucili. On! – Wskazała Curta Wada. – Przyszedł tu osobiście i wyrzucił Philipa bez najmniejszego ostrzeżenia. Twierdzili, że przywłaszczył powierzone mu środki, ale to nie była prawda. Jak również to, że Philip dopuścił się malwersacji w swojej firmie; jemu by to nawet nie przyszło do głowy. Po prostu nigdy nie miał głowy do liczb.

– Uważam, że nie powinnaś ot tak łączyć zniknięcia Philipa z Curtem Wadem i tym epizodem, Mie – powiedział Herbert, tym razem bardzo spokojnie. – Pomyśl, ten człowiek jeszcze żyje.

– Nie boję się już Curta Wada, rozmawialiśmy o tym! – Jej wybuch był

gwałtowny i towarzyszyły mu zarumienione policzki na skądinąd starannie upudrowanej twarzy. – Tym razem nie mieszaj się do rozmowy, Herbert. Pozwól mi mówić, rozumiesz?

Wycofał się. Widać było, że potem, za zamkniętymi drzwiami, odbędzie się ciąg dalszy tej rozmowy.

– Może sam jest pan członkiem Czystych Linii, panie Herbercie? – spytał Assad z kąta.

W okolicach zuchwy mężczyzny pojawiło się drgnienie, ale powstrzymał się od komentarza. Carl spojrział pytająco na Assada, który wykonał ruch głową w stronę dyplomu, wiszącego w ramce na ścianie. Carl podszedł bliżej. „Dyplom uznania” – głosił napis. „Przyznany Philipowi Nørvigowi i Herbertowi Sønderskovowi, Kancelaria Adwokacka Nørvig & Sønderskov, za ufundowanie stypendium naukowego 1972 w Korsør”.

Assad zmrużył oczy i dyskretnie skinął głową w stronę partnera Mie Nørvig.

Carl również dyskretnie odwzajemnił skinięcie. Cenne spostrzeżenie Assada.

– Pan również jest adwokatem, prawda, panie Sønderskov? – spytał Carl.

– Och, to za dużo powiedziane – odparł. – Ale byłem. Przeszedłem na emeryturę w dwa tysiące pierwszym. Ale owszem, do tamtej pory prowadziłem sprawę w sądzie apelacyjnym.

– I swego czasu z Philipem Nørvigiem byliście partnerami, prawda?

– Tak, doskonale nam się współpracowało – odrzekł mężczyzna, zniżając nieco głos – dopóki w osiemdziesiątym trzecim roku każdy z nas nie postanowił iść na swoje.

– Rozumiem, że było to po zarzutach przeciwko Philipowi Nørvigowi i jego zerwaniu z Curtem Wadem? – ciągnął Carl.

Herbert Sønderskov zmarszczył brwi. Ten lekko zgarbiony emeryt miał wieloletnie doświadczenie w zdejmowaniu oskarżeń z barków swoich klientów; teraz używał tego doświadczenia, by bronić siebie.

– Oczywiście nie podobało mi się, że Philip wpakował się w taką sytuację, ale powód naszego rozstania był bardziej praktyczny.

– O tak, bardzo praktyczny. Dostał pan zarówno jego klientów, jak jego żonę – zauważył Assad cierpko. Może trochę przeszarżował. – Czy rzeczywiście byliście przyjaciółmi, kiedy on zaginął? I gdzie pan właściwie był, kiedy to się stało?

– A, to przenosimy teraz uwagę w tę stronę? – Herbert Sønderskov zwrócił się do Carla: – Powinien pan powiedzieć swojemu pomocnikowi, że przez długi czas miałem do czynienia z policjantami i prawie codziennie konfrontowałem się z tego rodzaju uszczypliwościami i podchodami. Nie jestem o nic oskarżony i nigdy nie byłem, okej? A poza tym w tamtym czasie przebywałem na Grenlandii. Prowadziłem tam praktykę przez pół roku i wróciłem do domu dopiero po zaginięciu Philipa. Wydaje mi się, że miesiąc później, co oczywiście mogę udowodnić.

Dopiero w tym momencie obrócił się do Assada, by sprawdzić, czy jego kontratak przywołał na twarz policjanta odpowiednio skruszoną minę, ale szukał na próżno.

– Aha. A w międzyczasie żona Philipa Nørviga też okazała się wolna, prawda? – spytał Assad.

O dziwo, Mie Nørvig nie skomentowała impertynencji Assada. Czyżby myślała podobnie?

– Nie, słuchaj no pan, tego już za wiele. – Herbert Sønderskov wydał się nagle znacznie starszy, co jednak nie przeszkodziło mu trzymać w odwodzie dawnej zajadłości. – Wpuszczamy was do domu i dobrze przyjmujemy, a człowiek musi wysłuchiwać takich rzeczy. Jeśli policja rzeczywiście teraz działa w ten sposób, to nie omieszkam poświęcić pięciu minut, by odszukać numer komendanta. Jak się pan nazywał? Assad?... a nazwisko?

„Chyba muszę załagodzić sytuację” – pomyślał Carl. Zważywszy na cały ten galimatias, w którego centrum znalazł się w ostatnich dniach, więcej atrakcji nie było mu potrzebne.

– Proszę wybaczyć, panie Sønderskov, mój kolega posunął się za daleko. Jest oddelegowany z innego wydziału, w którym nawykli do rozmów z mniej wyszukaną klientelą. – I zwrócił się do Assada: – Nie poszedłbyś do samochodu i poczekał tam na mnie? Za chwilę przyjdę.

Assad wzruszył ramionami.

– Okej, szefie. Tylko pamiętaj, by sprawdzić, czy we wszystkich tych szufladach jest coś o niejkiej Ricie Nielsen – powiedział, wskazując na jedną szafę z kartotekami. – Na tej na przykład jest napisane „L do N”.

Następnie odwrócił się i udał się do drzwi krokiem, który sugerował, że albo

przez dwadzieścia godzin jeździł konno, albo jednak nie skończył jeszcze aktywności w toalecie.

– To prawda – zwrócił się Carl do Mie Nørvig. – Bardzo chciałbym sprawdzić, czy w tych szafach znajdzie się coś na temat kobiety, która zaginęła w tym samym dniu, co pani mąż. Nazywała się Rita Nielsen. Czy można?

Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął szufladę z „L do N” i zajrzał do środka. Sporo było tych Nielsenów.

W tym momencie Herbert Sønderskov zaszedł go od tyłu i zasunął szufladę.

– Obawiam się, że muszę w tym miejscu powiedzieć stop. Te dokumenty to materiał poufny, więc nie mogę pozwolić na pogwałcenie prawa klientów do anonimowości. Proszę łaskawie wyjść.

– W takim razie będę musiał uzyskać nakaz sądowy. – Carl wyjął telefon z kieszeni.

– Proszę bardzo. Ale najpierw proszę wyjść.

– To nie najlepszy pomysł. Jeśli obecnie jest tu teczka Rity Nielsen, to za godzinę może jej już nie być, kto wie? Teczki tego typu lubią nagle ożyć i dostać nóg.

– Jeśli mówię, że ma pan wyjść, to proszę to zrobić, rozumie pan? – powiedział Herbert Sønderskov chłodno. – Możliwe, że uda się wam dostać nakaz przeszukania, ale nie uprzedzajmy faktów. Znam prawo.

– Bzdura, Herbercie. – Jego partnerka zademonstrowała, kto mimo wszystko nosi spodnie w tym związku i kto w takim wypadku może wypierniczyć dziada do pokoju telewizyjnego, gdzie będzie mógł tylko pomarzyć o jedzeniu, którego ona nie zechce mu zaserwować przez tydzień. Oto dowód, że wspólne życie jest formą interakcji zawierającą najszerzy wachlarz sankcji.

Mie Nørvig wyjęła szufladę, demonstrując wprawę zdobytą przy wieloletnim wertowaniu teczek.

– Proszę. – Wyjęła jedną. – Najbardziej zbliżona do Rity Nielsen. – „Sigrid Nielsen” – brzmiał napis.

– Okej, dziękuję, coś już wiemy. – Carl skinął głową Herbertowi, który łupał na niego ze złością. – Pani Nørvig, czy byłaby pani tak dobra i sprawdziła, czy jest tam jeszcze teczka kobiety o nazwisku Gitte Charles i mężczyzny, który się nazywał Viggo Mogensen? Wówczas dam już państwu spokój.

Dwie minuty później był już na zewnątrz. W szafach nie było żadnej Gitte Charles ani Viggo Mogensena.

– Ten facet nie będzie cię ciepło wspominać, Assad – burknął Carl w samochodzie, gdy zawracali w stronę Kopenhagi.

– Nie, ale kiedy człowiek taki jak on zaczyna histeryzować, to zachowuje się jak głodny dromader, który je osty. Skubie i skubie dziadostwo, ale ugryźć nie jest odważny. Widziałeś, jak się wił? Moim zdaniem był dziwny.

Mørck zerknął na niego. Nawet z profilu widać było, że uśmiecha się od ucha do ucha.

– Powiedz no mi, Assad, czy ty w ogóle byłeś w toalecie?

Zaśmiał się.

– Nie, poszperałem w salonie i znalazłem to ze zdjęciami. – Dźwignął się nad fotel, włożył rękę pod pasek i sięgnął w okolice pośladków.

– Proszę – powiedział, wyjmując kopertę. – Znalazłem je w sypialni w szafce Mie Nørvig. Leżały w takim kartonie, w których zawsze znajdują się różne interesujące rzeczy. Wziąłem całą kopertę, bo gdybym zabrał tylko niektóre zdjęcia, to byłoby bardziej podejrzane – wyjaśnił, otwierając ją.

Logika dla ptasich mózdków.

Carl zjechał na pobocze i wziął do ręki pierwsze zdjęcie.

Była to ewidentnie pozowana fotka z okazji jakiegoś radosnego wydarzenia. Lampki szampana uniesione w stronę fotografa, wszyscy uśmiechnięci.

Assad wskazał palcem na środek fotki.

– Tu jest Philip Nørvig z inną kobietą niż Mie. Chyba możemy założyć, że to jego pierwsza żona. I popatrz tutaj. – Przesunął palec w bok. – Tu jest Herbert Sønderskov i Mie, nie tacy starzy jak teraz. Nie wydaje ci się, że widać, że już wtedy za nią szalał?

Carl skinął głową. W każdym razie Sønderskov ciasno obejmował Mie ramieniem.

– Zerknij na drugą stronę, Carl.

Obrócił zdjęcie. Napis brzmiał „4 lipca 1973. Piąty jubileusz kancelarii Nørvig i Sønderskov”.

– Popatrz, jakie jeszcze zdjęcie znalazłem.

Podał Carlowi fotkę. Kolory były zmatowiałe, a zdjęcie na pewno nie zostało

wykonane przez zawodowego fotografa. Była to fotografia ślubna Mie i Philipa Nørvigów przed ratuszem w Korsør. Ona z widocznym brzuchem, Philip Nørvig z tryumfalnym uśmiechem, który stanowił rażący kontrast z zaciętą twarzą Herberta Sønderskova stojącego parę stopni wyżej.

– Rozumiesz, o co mi chodzi, Carl?

Skinął głową.

– Philip Nørvig zrobił dzieciaka przyjaciółeczce Herberta Sønderskova. Czyli sekretarka bzykała się z obydwojma, ale puchar zgarnął Nørvig.

– Tak. Musimy sprawdzić, czy Sønderskov faktycznie był na wyjeździe, kiedy zniknął Nørvig – stwierdził Assad.

– Owszem, ale sądzę, że rzeczywiście był. W tej chwili bardziej mnie interesuje, dlaczego broni tego Curta Wada, którego Mie tak serdecznie nie znosi. Szczerze mówiąc, Curt Wad też nie sprawia wrażenia przyjemniaczka, co? Myślę, że warto powęszyć wokół kobiecej intuicji Mie Nørvig, przez którą głowiła się nad powodami zniknięcia męża.

– Warto co?

– Warto to zbadać, Assad. Dokładniej zbadać. Może włączymy w to Rose, jeśli będzie miała ochotę.

Gdy byli na wysokości reklamy McDonalda kuszącej użytkowników autostrady w Karlstrup, Rose oddzwoniła.

– Chyba nie myślisz, że w trzy sekundy zdam ci sprawozdanie z poczynąń tego dupka Curta Wada, co? On ma chyba z milion lat, co najmniej, i chyba się w życiu nie nudził.

Jej głos osiągnął tak wysoki ton, że lepiej było przerwać i nieco ją uspokoić.

– Nie, nie, Rose. Podaj mi tylko najważniejsze fakty. Szczegółami zajmiemy się później, jeśli będzie potrzeba. Powiedz mi tylko, czy istnieje jakiś materiał, który podsumowywałby jego życie. Jakiś artykuł czy coś w tym stylu. Czy Curt Wad jest zamieszany w jakieś brudne historie z prasą, z prawem czy w coś związanego ze swoją pracą. Jeśli dobrze rozumiem, mocno go krytykowano.

– Jeśli chcesz krytyki Curta Wada, to lepiej pogadaj z dziennikarzem o nazwisku Louis Petterson. Powiem ci, że ten to po nim jeździł.

– Zgadza się, dziś jego nazwisko już raz padło. Pisał coś ostatnio?

– No, niezupełnie. Najwięcej pisał jakieś pięć, sześć lat temu, a potem przestał.

– Może nie było już o czym pisać?

– Owszem, myślę, że było. W każdym razie wielu innych dziennikarzy próbowało zabrać się za poczynania Curta Wada. Ale ten Louis Petterson zaliczył kilka dużych nagłówków.

– Okej, gdzie on mieszka?

– W Holbæk, dlaczego?

– Bądź tak miła i podaj mi jego numer.

– Ejże, ejże, co tu się właśnie stało? Co powiedziałaś?

Carl zastanawiał się nad inteligentną ripostą, ale dał sobie spokój. I tak nie przychodziła mu do głowy.

– Powiedziałem „bądź tak miła”.

– Alleluja! – zawołała i podała mu numer. – Ale jeśli zamierzasz z nim rozmawiać, to lepiej idź do Vivaldiego na ulicy Ahlgade 42, bo według jego żony właśnie tam teraz jest.

– Skąd wiesz? Dzwoniłaś już do niego do domu?

– Tak, oczywiście! Myślisz, że z kim masz do czynienia? – odparowała i rzuciła słuchawką.

– Szlag – zaklął Carl, wskazując GPS. – Assad, wpisz tu Ahlgade czterdzieści dwa w Holbæk, jedziemy do knajpy – wyjaśnił, wyobrażając sobie minę Mony, gdy za chwilę zadzwoni i oznajmi jej, że musi odwołać wizytę u tego jej koleżki psychologa, Krisa.

Na bank nie będzie zachwycona.

Może wyobrażał sobie spelunę, do której nigdy nie zagląda światło dzienne, a do której z niewiadomych przyczyn upadli dziennikarze wykazują upodobanie. Ale Café Vivaldi nie była speluną, wręcz przeciwnie.

– Nie mówiłaś, że to knajpa – zauważył Assad, gdy weszli do najpiękniejszego budynku na głównej ulicy, z wieżyczką i w ogóle.

Carl rozejrzał się po przestronnym, tłocznym lokalu i dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie wie, jak facet wygląda.

– Zadzwoń do Rose i zdobądź jego rysopis – polecił, lustrując kawiarnię. Piękne, matowe szyby i sztukaterie na suficie. Wnętrze urządzone ze smakiem, dobrze oświetlone, eleganckie krzesła i ławy oraz mnóstwo detali.

„Założę się, że to ten” – pomyślał, patrząc na mężczyznę brylującego w grupce

podstarzałych facetów na podwyższeniu pośrodku lokalu. Typowo zblazowane oczy, podniszczona twarz i czujny wzrok.

Spojrzał na Assada, który rozmawiał z Rose przez komórkę, kiwając głową.

– No, który to, Assad? Czy to tamten? – spytał, wskazując na swoją ofiarę.

– Nie. – Assad szybko przesunął wzrokiem po bogatej ofercie konsumujących sałatki dziewczęcych spędów, zakochanych par, splatających palce nad filizankami z cappuccino i samotnych ludzi z gazetą przed nosem i pełnym kuflem piwa.

– Myślę, że to ten – zawyrokował, wskazując młodego faceta z włosami o mocnym odcieniu rudoblond, siedzącego na ławie w kącie przy oknie i grającego w tryktraka z mężczyzną w podobnym wieku.

„Nawet jakbym miał na to ze sto lat, i tak bym go nie wskazał” – pomyślał Carl.

Przystanęli blisko obu mężczyzn, którzy przestawiali pionki na planszy, a że najwyraźniej żaden nie zwrócił na nich uwagi, Carl odchrząknął i spytał:

– Panie Petterson, możemy zamienić słówko?

Uniósł na nich wzrok i w ułamku sekundy dokonał mentalnego przeskoku ze stanu głębokiej koncentracji do pompującej adrenalinę rzeczywistości. W niecałą sekundę Petterson zarejestrował, że obaj mężczyźni różnią się diametralnie, a jednak zaklasyfikował ich jako policjantów. Następnie opuścił wzrok na planszę, a wykonawszy kilka dodatkowych, pospiesznych ruchów, spytał kumpla, czy mogą zrobić krótką przerwę.

– Bo raczej nie stoją tu po to, by podpatrywać naszą taktykę, Mogens.

„Zaskakująco powściągliwy ten facet” – pomyślał Carl, podczas gdy kolega Pettersona skinął głową i zniknął w tłumie po drugiej stronie podwyższenia.

– Nie zajmuję się już materiałami policyjnymi – oznajmił, powoli obracając w palcach kieliszek z białym winem.

– Aha. Ale my do pana przychodzimy, bo pisywał pan na temat Curta Wada – odparł Carl.

Uśmiechnął się.

– Aaa, jesteście ze służb wywiadowczych. Już kawał czasu wywiad do mnie nie zaglądał.

– Nie, jesteśmy z kopenhaskiego Wydziału Zabójstw.

Wyraz twarzy faceta zmienił się z nieco wyniosłego na bardzo czujny, i to dzięki tylko jednej zmarszczce. Gdyby nie lata praktyki, można by tego nie zauważyć, ale

Carl miał doświadczenie. Dziennikarz polujący na dobry materiał tak nie reaguje. Wówczas by się rozjaśnił. Za słowami „zabójstwo” i „morderstwo” kryła się zawsze myśl o sowicie opłaconej wierszówce w dużym dzienniku. Ale widać było, że wcale o tym nie pomyślał, a to było wymowne.

– Jak wspomniałem, jesteście tu, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat Curta Wada, o którym tyle pan napisał. Poświęciłby nam pan dziesięć minut?

– Tak, chętnie, ale nie pisałem o nim od co najmniej pięciu lat. Straciłem wene.

„Serio, drogi przyjacielu? Więc dlaczego zdążyłeś obrócić w palcach ten kieliszek jakieś trzydzieści razy?” – pomyślał Mørck.

– Sprawdziłem pana – skłamał. – Nie jest pan na zasiłku, więc z czego pan żyje ostatnimi czasy, panie Petterson?

– Jestem zatrudniony w pewnej organizacji – odrzekł, próbując wy badać, ile właściwie Carl wie.

Dlatego Carl skinął głową.

– Tak, to wiemy, a zechce nam pan zdradzić, co to za organizacja?

– Tia. A może na przykład niech pan mi powie najpierw o zabójstwie, w sprawie którego prowadzicie śledztwo?

– Czyżbym powiedział, że prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstwa? Nie, na pewno nie, prawda, Assad?

Assad pokręcił głową.

– Tylko spokojnie – rzekł. – Nie podejrzewamy pana o nic konkretnego.

Była to przecież prawda, a jednak mężczyzna jakoś się nie uspokajał.

– W takim razie kogo i o co podejrzewacie? Poza tym czy możecie się wylegitymować?

Carl wyjął swoją odznakę i podniósł na tyle wysoko, by wszyscy siedzący w pobliżu mieli możliwość ją podziwiać.

– Chce pan zobaczyć też moją? – spytał Assad zuchwale.

Kręcąc głową, Louis Petterson dał do zrozumienia, że w żadnym wypadku nie ma takiej konieczności. Może już czas sprawić Assadowi jakiś identyfikator. Cokolwiek. Powinna wystarczyć wizytówka z logo policji.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie czterech spraw zaginięcia w tym samym okresie – wyjaśnił Carl. – Mówi coś panu nazwisko Gitte Charles? Była pomocą pielęgniarską i mieszkała na Samsø.

Pokręcił głową.

– Rita Nielsen? Viggo Mogensen?

– Nie. – Ponownie pokręcił głową. – Kiedy ci ludzie zaginęli?

– Na początku września osiemdziesiątego siódmego roku.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Miałem wtedy dwanaście lat.

– Tak, w takim razie nie pan za tym stał – uśmiechnął się Assad.

– A Philip Nørvig? Mówi to coś panu?

Petterson odchylił głowę w tył, udając, że się namyśla, ale Carla nie nabrał. Petterson dobrze wiedział, kim był Philip Nørvig, było to równie widoczne jak migająca reklama neonowa.

– Do pana wiadomości, był adwokatem w Korsør, zamieszkałym w Halsskov. Wcześniej aktywny członek Czystych Linii, wykluczony w osiemdziesiątym drugim, ale wtedy miał pan przecież siedem lat, więc to zapewne też nie pańska sprawka – ciągnął Carl z uśmiechem.

– Nie, to nazwisko też mi nic nie mówi, a powinno?

– Owszem. Opisywał pan Czyste Linie od każdej strony, czyżby nie natknął się pan na jego nazwisko?

– Tak, może. Nie jestem pewien.

„Tylko dlaczego, drogi przyjacielu?” – pomyślał Carl.

– Aha, możemy to przecież sprawdzić w archiwach prasowych. Policja jest dobra w lekturze artykułów prasowych, ale to pewnie pan wie?

Jakoś tak dziwnie pobladł.

– Co pan napisał o Tajemnej Walce? – wypalił Assad, który skądinąd miał teraz o tym nie wspominać.

Pokręcił głową. Miało to znaczyć, że nic, i na pewno było to prawdą.

– Wie pan, że to sprawdzimy, panie Petterson? I już z tego miejsca mogę panu powiedzieć, że z pańskiej mowy ciała wyczytałem, że wie pan znacznie więcej, niż ma ochotę nam wyjawić. Nie wiem, co pan wie, może zupełnie niewinne rzeczy, ale nawet jeśli, to lepiej się teraz z tego wypowiedzieć. Pracuje pan dla Curta Wada?

– Wszystko w porządku, Louis? – spytał jego kolega Mogens, podchodząc.

– Tak, tak, wszystko w porządku. Tych dwóch po prostu trafiło na fałszywy trop – po czym obrócił się do Carla i dodał spokojnie: – Nie, nie mam z tym

człowiekiem nic wspólnego. Pracuję dla organizacji o nazwie Benefice. To niezależna organizacja utrzymująca się z darowizn. Moim zadaniem jest zbieranie informacji o potknięciach Partii Danii i partii rządzącej z ostatnich dziesięciu lat, a tych nie brakuje.

– Tak, założę się, że ma pan pełne ręce roboty. Ale dziękuję, panie Petterson, doskonale, nie będziemy już musieli zaprzętać tym sobie głowy. A dla kogo gromadzi pan te informacje?

– Dla wszystkich, którzy chcą mieć do nich dostęp – poprawił się na siedzeniu. – Wiecie co, przykro mi, że nie mogę wam bardziej pomóc. Jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś więcej na temat Curta Wada, musicie sobie o nim poczytać. Na pewno macie moje artykuły, a od tamtego czasu moje życie poszło do przodu. Więc jeśli nie macie konkretnych pytań o te cztery zaginięcia, to wybaczcie, ale to mój dzień wolny.

– Co za zaskakujący obrót sprawy – stwierdził Carl na ulicy pięć minut później. – A ja chciałem tylko wiadomości w pigułce o tym Curcie Wadzie. Co, do cholery, ten gość kombinuje?

– Zaraz ci powiem, Carl. Bo teraz facet siedzi i dzwoni tu i tam. Nie obracaj się, bo patrzy na nas przez okno. Ale może poprosimy Lis, by się dowiedziała, do kogo on tak dzwoni?

Wrzesień 1987

Tego poranka Nete obudziła się z głową pulsującą z bólu. Nie miała pojęcia, czy to wynik wczorajszych eksperymentów z cuchnącymi cieczami w hermetycznie zamkniętym pokoju, czy świadomości, że w tym decydującym dniu zabije sześcioro ludzi przed upływem dwunastu godzin.

Wiedziała natomiast, że jeśli nie weźmie tabletek na migrenę, to plan spali na panewce. Może dwie pigułki by wystarczyły, ale wzięła trzy i przez godzinę czy dwie siedziała, patrząc na zegarek, podczas gdy naczynia włosowate w jej mózgu się uspokajały, a światło padające na siatkówkę przestało razić jak szok elektryczny.

Potem ustawiła filiżanki do herbaty na mahoniowym kredensie w swoim pięknym salonie, ułożyła w równym rzędzie srebrne łyżeczki i postawiła butelkę z ekstraktem z szaleju w takim miejscu, by bez problemu móc ją wyciągnąć i nalać do filiżanek potrzebną ilość substancji, gdy w końcu nadejdzie pora.

Po raz dziesiąty powtórzyła sobie przebieg swojej batalii, po czym siedząc, czekała, a angielski zegar tykał za jej plecami. Pojutrze rano samolot na Majorkę uniesie się w powietrze, a w jej umyśle zagości patynowozielona bujność Valldemossy, zostawiając za sobą przeszłość i wszystkie demony.

Teraz trzeba było tylko zapełnić grobowiec.

Rodzina zastępcza, którą załatwił jej ojciec po poronieniu w potoku, przyjęła Nete jak wyrzutka i tak już zostało.

Służbówka znajdowała się na uboczu, a praca w ciągu dnia była tak ciężka, że jedyny czas, kiedy miała kontakt z rodziną, przypadał na wspólne posiłki, które odbywały się w głębokim milczeniu. Jeśli raz na jakiś czas otworzyła usta, uciszali ją, choć z całych sił starała się ładnie wyrażać. Nawet córka i syn, którzy byli w jej wieku, nie trzymali z nią. Była obca, choć traktowali ją tak, jakby mieli nieograniczoną władzę nad jej życiem. Niewiele atrakcji, żadnych czułych słów.

Nie brakowało za to roszczeń, powagi i upomnień.

Dom rodzinny dzieliło dwadzieścia kilometrów od domu rodziny zastępczej, zaledwie godzina jazdy rowerem. Ale Nete nie miała roweru i na co dzień musiała zadowolić się nadzieją, że jej ojciec przyjedzie. Tyle że nigdy tego nie zrobił.

Po ponadpółtorarocznym pobycie u rodziny wezwano ją do salonu, gdzie posterunkowy rozmawiał z jej ojcem zastępczym. Uśmiechał się, ale na widok Nete wyraz jego twarzy się zmienił.

– Nete Hermansen, muszę cię z przykrością poinformować, że zeszłej niedzieli twój ojciec się powiesił. Dlatego władze zarekomendowały, by sprawowanie stałej opieki nad tobą zlecić tej miłej rodzinie. Oznacza to, że roztoczą nad tobą pieczę, dopóki nie skończysz dwudziestu jeden lat. Moim zdaniem powinnaś się z tego cieszyć. Poza tym twój ojciec pozostawił po sobie tylko długi.

Tak zdawkowo to można ująć. Żadnych wyrazów współczucia ani informacji o pogrzebie.

Skinęli do niej głowami. Życie Nete legło w gruzach. Audiencja skończona.

Płakała na polu, podczas gdy chłopcy i dziewczyny szeptały, jak to zazwyczaj miało miejsce wobec osób pozostających poza ich kręgiem. Czasami czuła się tak samotna, że sprawiało jej to fizyczny ból. Czasami tak niedotykana, że piekła ją skóra.

Gdyby tak choć drobna pieszczota, choćby muśnięcie po policzku, ale Nete nauczyła się żyć bez tego.

Gdy do ich miejscowości przyjechało wesołe miasteczko, inne dziewczyny z gospodarstwa zabrały się autobusem, nie mówiąc jej o tym. Dlatego stanęła przy szosie z dwiema koronami w kieszeni i wystawiła rękę, unosząc kciuk.

Samochód, który się zatrzymał, nie imponował swoją porysowaną karoserią i sfatygowanymi siedzeniami, ale kierowca miał piękny uśmiech.

Czyli na pewno nie wiedział, kim ona jest.

Powiedział, że nazywa się Viggo Mogensen i pochodzi z Lundeborga. W części bagażowej miał wędzone śledzie dla kramarza, który sprzedawał je w budce na rynku. Dwie pełne skrzynki, pachnące morzem i dymem i ogólnie niecodziennym wydarzeniem.

Gdy dwie pozostałe dziewczyny zobaczyły ją wśród karuzel i strzelnic z lodami w rękę i przystojnym młodym mężczyzną u boku, ich spojrzenia pełne były czegoś,

czego nigdy przedtem nie widziała. Później zinterpretowała to jako zazdrość, ale w tamtej chwili po prostu się przestraszyła i miała ku temu powody.

Dzień był gorący, podobnie jak letni czas z Tagem, a Viggo tak żywo opowiadał o morzu i wolnym życiu, że Nete niemal doświadczała go jak własnego. Kiełkujące poczucie szczęścia ogrzewało ją, ułatwiając Viggowi zadanie znacznie bardziej, niż miałyby to miejsce w innych okolicznościach.

Dlatego pozwoliła mu objąć się ramieniem, gdy odwoził ją do domu. Dlatego patrzyła na niego z nadzieją i pałającymi policzkami, gdy zatrzymał samochód w lesie i przyciągnął ją do siebie. I dlatego wszystko wydawało się bezpieczne, gdy założył kondom, tłumacząc, że w ten sposób będzie tylko wspaniale, a zupełnie bez ryzyka.

Za to potem robił zupełnie inne wrażenie, gdy z niej wyszedł i stwierdził, że kondom pękł. Spytała, czy teraz będzie w ciąży, być może mając nadzieję, że on powie, że wprawdzie to niewykluczone, ale w takim razie on zabierze ją ze sobą.

Tego ostatniego nie powiedział, ale w ciążę zaszła i nie musiała długo czekać, by pozostałe dziewczyny się zorientowały.

„Jak się rzyga w zbożu, to w brzuchu kiełkuje nasienie” – zawołała jedna z nich. I zaśmiewały się wszystkie, aż im chustki pospadały z głów.

Pół godziny potem stała przed swoją zastępczą matką, która drżącym głosem groziła jej sądem ostatecznym i policją, jeśli nie pozbędzie się płodu.

Tego samego dnia na podwórze gospodarstwa wjechała taksówka i syn gospodarzy został odesłany z domu. Nie chcieli ryzykować, by łączono go z tym łajdactwem, które Nete wniosła do ich życia. A ona zapewniała, że ojcem jest uprzejmy, młody mężczyzna z Lundeborga, którego poznała na targu, ale to jej nie pomogło, bo dziewczyny, które widziały ich razem, zapewniały z kolei, że to niezłe ziółko, które swoją męskość wsadza pod dziewczęce spódnice tylko dla własnej przyjemności, niczego więcej.

W rezultacie postawiono jej ultimatum. Albo zabiera się do swego dawnego lekarza w miasteczku i usuwa ciążę, albo będą zmuszeni prosić opiekę społeczną, by zgłosili sprawę policji i pozostałym służbom.

– Już próbowałam wcześniej pozbywać się płodów – powiedziała jej matka zastępcza bez cienia współczucia, po czym jej ojciec zastępczy zawiózł ją pod dom lekarza i tam wysadził. Jak już będzie gotowa, niech wróci autobusem, bo z jego

czasem tak już jest, że nie ma całego dnia. Nie życzył jej powodzenia ani nie trzymał kciuków, ale może uśmiechnął się przeprasząco. A może z radości.

Nete nigdy nie wiedziała, co on myśli.

Czekała długo, kołysząc się i uderzając kolanami o siebie w zielonej poczekalni. Od zapachu kamfory i leków czuła dyskomfort i lęk. Zajrzał jej w oczy strach przed czymś, co miało związek z narzędziami lekarskimi i kozetką; minuty upływały w żółwym tempie, podczas gdy za zamkniętymi drzwiami odbywali wizyty pacjenci z kaszlem i bólem nóg. Słyszała głos lekarza, był niski i spokojny, ale nie koił.

Gdy nadeszła jej kolej jako ostatniej pacjentki tego dnia, lekarz, młodszy niż ten, którego się spodziewała, podał jej rękę i przywitał się ciepłym głosem. To właśnie z powodu tego głosu dała sobie spokój z pierwotnymi zastrzeżeniami. A kiedy dodał, że oczywiście ją pamięta, i potem zapytał, czy dobrze jej w nowej rodzinie, kiwnęła cicho głową i już była w jego mocy.

Nie dziwiło jej, że odesłał sekretarkę do domu ani że zamknął drzwi na klucz. Za to zdumiało ją trochę, dlaczego to syn, a nie ojciec patrzy na nią, jakby już wielokrotnie się spotkali. Przecież widzieli się tylko ten jeden raz, kiedy po jej poronieniu przyszedł do niej ten stary lekarz.

– Masz wielki zaszczyt być moją pierwszą pacjentką ginekologiczną, Nete. Ojciec właśnie przekazał mi gabinet, a więc teraz to do mnie zwracaj się „doktorze”.

– No tak, ale mój ojciec zastępczy dzwonił do pana ojca, panie doktorze. Wie pan, co ma się zdarzyć?

Stał przez chwilę, mierząc ją wzrokiem, który jej się nie podobał. Podeszedł do okna, zaciągnął zasłony i obrócił się do niej ze spojrzeniem, które mówiło jej, że za fartuchem lekarskim i za tymi oczami kryje się coś bardzo osobistego.

– Tak, oczywiście, że wiem – powiedział w końcu, siadając naprzeciw niej i odrywając wzrok od jej ciała. – Niestety obecnie wygląda to tak, że w tym kraju nie można przerywać ciąży, jak się chce, więc powinnaś się cieszyć, że z usposobienia jestem równie miłosierny jak mój ojciec. Ale to wszystko zapewne wiesz? – Położył jej rękę na kolanie. – Wiesz też pewnie, że zarówno ty, jak i ja możemy wpaść w tarapaty, gdyby nasze dzisiejsze spotkanie zostało choćby słówkiem gdzieś wspomniane?

Milcząco skinęła głową i wyciągnęła w jego stronę rękę z kopertą. Jeśli nie liczyć pięciu koron, które miała w kieszeni, znajdowało się w niej wszystko, co udało jej się zaoszczędzić w ciągu ostatnich dwóch lat, a do tego banknot stukoronowy dołożony przez zastępczą matkę. Razem czterysta koron. Miała nadzieję, że to wystarczy.

– Poczekajmy z tym, Nete. Najpierw umieścmy cię na fotelu. Majtki możesz położyć na krześle.

Zrobiła, jak kazał, i wlepiła wzrok w strzemiona fotela, myśląc, że tak wysoko nie sięgnie. Zachichotała, choć odczuwała strach. To wszystko sprawiało po prostu nierealne i komiczne wrażenie.

– Hopsa! – powiedział, wkładając jej nogi w strzemiona. Leżała tak z obnażonym kroczem, dziwiąc się, że zanim zacznie się coś dziać, musi minąć tyle czasu.

Na chwilę uniosła głowę z fotela i zobaczyła go, jak stoi, mroczny, gapiąc jej się między nogi.

– Teraz leż spokojnie – nakazał, poruszając dolną częścią ciała, jakby właśnie poluzował sobie spodnie i je opuszczał.

Sekundę potem okazało się, że dobrze jej się zdawało.

Najpierw dotyk jego owłosionych ud na swoich udach. Łaskotało przez sekundę, po czym poczuła natarcie na krocze, przez które jej ciało wygięło się w łuk.

– Au! – krzyknęła, gdy się wycofał, by po chwili natrzeć raz po raz jeszcze mocniej, przytrzymując ją za kolana tak, że nie mogła ich ani do siebie przyciągnąć, ani się wyslizgnąć. Nic nie mówił, wpatrywał się tylko w jej krocze rozszerzonymi oczami.

Próbowała go powstrzymać, protestując, ale miała ściśniętą tchawicę. Wreszcie przygniótł ją całym ciężarem ciała, z twarzą przy jej twarzy. Oczy były matowe i martwe. To wcale nie było przyjemne, tak jak z Tagem i Viggim. Nic a nic. Już sam jego zapach przyprawiał ją o mdłości.

Po chwili zobaczyła, jak twarz z półprzymkniętymi powiekami unosi się, a jego usta rozchylają w krzyku.

Potem zapiął spodnie i gładził ją powoli po obolałym, lepkim kroczu.

– Teraz jesteś gotowa – powiedział. – Właśnie tak się to robi.

Nete przygryzła dolną wargę. W tej sekundzie zagościł w niej wstyd, który miał

nigdy jej nie opuścić. Wrażenie, że ciało i myśl nagle się rozłączają i każde z nich może zostać użyte przeciwko drugiemu. Czuła się nieszczęśliwa, zła i bardzo, bardzo samotna.

Widziała, jak przygotowuje maskę do narkozy, i pomyślała, że musi się stąd wydostać. Wtedy poczuła słodkawy zapach eteru, rozszerzający jej nozdrza. A gdy pogrążyła się we mgle, zdążyła się napomnieć, że kiedy to wszystko się skończy, wyda te dziesięć koron, które jej zostały, na bilet kolejowy do Odense i znajdzie to coś, co nazywa się Pomoc Matkom. Słyszała, że oferują pomoc takim jak ona. I za to, co właśnie jej zrobił, Curt Wad na pewno zapłaci.

W ten sposób rozpoczęła się trwająca całe życie katastrofa.

Kolejne dni przynosiły porażkę za porażką. Kobiety w Pomocy Matkom z początku były bardzo przyjazne, poczęstowały ją herbatą, brały za rękę i generalnie sprawiały wrażenie, że mogą jej pomóc. Dopiero kiedy opowiedziała o gwałcie, późniejszym przerwaniu ciąży i zapłaconych przez nią pieniądzech, ich twarze nagle jakoś inaczej spoważniały.

– Przede wszystkim musisz być świadoma, że rzucasz poważne oskarżenia, Nete. Do tego nie rozumiemy, że najpierw dokonujesz przerwania ciąży, a potem przychodzisz do nas. To wszystko sprawia bardzo złe wrażenie, więc zrozum, że musimy zgłosić sprawę władzom. Nie możemy pakować się w kłopoty.

Nete chciała wyjaśnić, że to jej rodzina zastępcza tak chciała. Że w żadnym razie nie życzyli sobie, by dziewczyna pozostająca pod ich opieką obnosiła się ze swoim zepsuciem i nieobyčajnym zachowaniem przed ich dziećmi oraz dziewczynami i chłopakami najętymi do pomocy w gospodarstwie. Ale Nete tego nie powiedziała, zachowując lojalność wobec rodziny zastępczej. Jak przekonała się później, jej lojalność bynajmniej nie została odwzajemniona.

Krótko potem w biurze pojawiło się dwóch policjantów w mundurach i polecili jej pójść z nimi. Miała złożyć wyjaśnienia na posterunku, ale wcześniej czekała ją wizyta w szpitalu, gdzie mieli sprawdzić, czy nie mija się z prawdą.

Po wszystkim będzie mogła przenocować w mieście pod czujną kontrolą Pomocy Matkom.

Zbadali ją gruntownie i stwierdzili, że rzeczywiście wcześniej przeszła zabieg ginekologiczny. Ubrani w fartuchy mężczyźni wkładali w nią palce, a pielęgniarki później ją wycierały.

Zadawano pytania, na które szczerze odpowiadała; na twarzach malowała się powaga, a ich ukradkowe szepty pełne były troski.

Dlatego była przekonana, że ci lekarze i pielęgniarki są po jej stronie, i dlatego się wystraszyła, widząc niezakutego w kajdanki, uśmiechniętego Curta Wada w pokoju przesłuchań na posterunku. Widać był już w komitywie z dwoma policjantami w mundurach, a mężczyzna u jego boku, który przedstawił się jako adwokat Philip Nørvig, szykował się do uprzykrzania jej życia.

Poprosili Nete, by usiadła, po czym skinęli do dwóch kobiet, które weszły do pomieszczenia. Jedną znała z Pomocy Matkom, druga się nie przedstawiła.

– Rozmawialiśmy z panem doktorem Curtem Wadem i otrzymaliśmy potwierdzenie, że dokonał łyżeczkowania twojej macicy, Nete – powiedziała ostatnia kobieta. – Mamy tu akta doktora Wada.

Położyła przed nią na stole teczkę. Na okładce było jakieś słowo, którego nie umiała przeczytać, a pod nim liczba 64. Tyle zrozumiała.

– To twoja karta, którą wypełnił doktor Wad, gdy wyszłaś z gabinetu – dodał adwokat. – Wynika z niej jednoznacznie, że przeprowadzono u ciebie łyżeczkowanie z powodu obfitych i nieregularnych krwawień, których przyczyn można upatrywać w poronieniu, jakie przeszłaś blisko dwa lata temu. Poza tym jest tu napisane, że pomimo młodego wieku przyznałaś się do niedawnego współżycia płciowego z obcymi mężczyznami, co potwierdzają twoi rodzice zastępczy. Zgadza się?

– Nie wiem, co to jest łyżeczkowanie, ale wiem, że doktor robił mi niewłaściwe rzeczy. – Zaciśnęła usta, by zapanować nad ich drżeniem. Na pewno nie doprowadzą jej do łez.

– Nete Hermansen, jak wiesz, jestem adwokatem Curta Wada i radzę ci, byś uważała z rzucaniem oskarżeń, których nie potrafisz udowodnić – mówił adwokat Nørvig, poszarzały na twarzy. – Twierdzisz, że doktor Wad wykonał u ciebie przerwanie ciąży, na co lekarze w tutejszym szpitalu w Odense nie mogli znaleźć dowodów. Curt Wad jest sumiennym, bardzo dobrym lekarzem, którego zadaniem jest pomoc ludziom, a nie dopuszczanie się nielegalnych praktyk takich jak przerywanie ciąży. Przeszłaś zabieg łyżeczkowania, owszem, ale to było przecież dla twojego dobra, prawda?

Gwałtownie nachylił się w jej stronę, jakby chciał uderzyć głową o jej głowę, ale

Nete nic nie było w stanie już bardziej wystraszyć.

– Położył się na mnie i parzył się ze mną, krzyczałam, że ma przestać. Tak było, do jasnej cholery!

Rozejrzała się. Jakby mówiła do drzew w lesie.

– Uważam, że powinnaś wystrzegać się takich wyrażeń, Nete – powiedziała kobieta z Pomocy Matkom. – To nie działa na twoją korzyść.

Adwokat rozejrzał się wymownie. W ogóle się jej nie podobał.

– Poza tym twierdzisz, że doktor Wad dopuścił się wobec ciebie nadużycia seksualnego – ciągnął – na co doktor Wad uprzejmie odpowiada, że bardzo silnie podzielał na ciebie eter, którym zostałaś znieczulona, i że w takich przypadkach pacjenci mogą mieć halucynacje. Znasz to słowo, Nete?

– Nie, ale to bez różnicy, bo on zrobił to, czego nie powinien, zanim założył mi maskę.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

– Nete, jeśli ktoś rzeczywiście miałby zamiar molestować swoją pacjentkę w takiej sytuacji, z pewnością poczekałby, aż będzie nieprzytomna, prawda? – wtrąciła się ta z kobiet, której wcześniej nie widziała. – Musisz wiedzieć, że trudno ci uwierzyć. Teraz to już w ogóle.

– Ale tak właśnie było. – Nete rozejrzała się i dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że nikt z obecnych nie stoi po jej stronie.

Wstała, znów odczuwając dyskomfort w podbrzuszu i wilgoć w majtkach.

– Chcę już wracać do domu – powiedziała. – Pojadę autobusem.

– Obawiam się, że to nie takie proste. Albo wycofasz oskarżenie, albo musimy cię tu zatrzymać – odparł jeden z policjantów. Podsunął jej papier, którego nie potrafiła przeczytać, i wskazał linijkę na samym dole.

– Po prostu tu podpisz i możesz iść.

Łatwo powiedzieć. Przecież trzeba było do tego umieć czytać i pisać.

Nete oderwała wzrok od stołu i przesunęła go na siedzącego naprzeciwko wysokiego mężczyznę. Gdy ich spojrzenia się spotkały, w oczach Curta Wada dostrzegła błysk porozumienia, który jej się nie podobał.

– Zrobił tak, jak mówiłam – oświadczyła.

Poprosili, by usiadła przy stole w rogu, podczas gdy sami się naradzali. Szczególnie kobiety wydawały się brać sprawę bardzo poważnie, a gdy zwracały

się do Curta Wada, ten parokrotnie potrząsnął głową. W końcu uniósł się na całą swoją wysokość i po kolei podał wszystkim rękę.

Czyli jemu wolno było wyjść.

Dwie godziny później siedziała na łóżku w małym pokoiku, nie wiadomo gdzie.

Poinformowali ją, że sprawa zostanie szybko przeprowadzona i że zostanie jej przydzielony adwokat z urzędu. I że rodzina zastępcza przyśle jej rzeczy.

Czyli nie chcieli jej z powrotem w gospodarstwie.

Zanim akt oskarżenia przeciwko Curtowi Wadowi trafił do sądu, minęło kilka tygodni, podczas których władze nie zasypiały gruszek w popiele. Szczególnie Philip Nørvig przykładał się do ostrzeliwania swego przeciwnika, a władze chętnie go słuchały.

Zrobiono jej test na inteligencję, wezwano świadków i wypełniano papiery przez kalkę.

Marne dwa dni przed wyznaczeniem terminu rozprawy z Nete skontaktował się wyznaczony adwokat z urzędu. Miał sześćdziesiąt pięć lat, był całkiem miły i właściwie tylko tyle można było o nim powiedzieć.

Dopiero kiedy siedziała na sali sądowej, zdała sobie ostatecznie sprawę, że nikt nie zamierza jej uwierzyć i że sprawa zabrnęła zbyt daleko, by móc ją zlekceważyć.

Ani jeden świadek nie raczył obrócić twarzy w jej stronę, składając wyjaśnienia; atmosfera na sali była lodowata.

Odrażająca i prymitywna dyrektorka jej szkoły opowiedziała o podnoszeniu spódnicy, sprośnych słowach, lenistwie i zwykłej rozwiązłości, zaś pastor, który confirmował jej kolegów, o bezbożności i szatańskich skłonnościach.

Już wtedy zapadł wyrok: „aspołeczna i upośledzona umysłowo”.

Mając tak silne skłonności aspołeczne, Nete była po prostu zepsuta moralnie i mentalnie niedorozwinięta. Społeczeństwu wychodzi na dobre brak kontaktu z takimi nieudacznikami. Kłamliwa i przebiegła, pomimo braków w nauce i edukacji, taka właśnie była. Niestabilna osobowość – powtarzali. Ani jednego łagodzącego czy pozytywnego słowa. Obsadzono ją w roli osoby, która podjudza innych do niesubordynacji, wręcz buntu, a jej odrażające, silne skłonności erotyczne od zawsze stanowiły wielkie utrapienie, a teraz, po uzyskaniu przez nią dojrzałości płciowej, stały się również niebezpieczne dla otoczenia. Kiedy wyszło, że w teście na inteligencję Bineta-Simona uzyskała wynik 72.4, wszyscy nabrali

przekonania, że Curt Wad padł ofiarą bezprzykładnego oszczerstwa i pomówienia, mimo swoich dobrych intencji.

Protestowała, twierdząc, że pytania w teście były głupie i dodała, że dała Curtowi Wadowi dokładnie czterysta koron za przerwanie ciąży. Jej ojciec zastępczy, zeznający jako świadek, zapewnił, że nie dałaby rady zebrać tylu pieniędzy. Nete była zszokowana. Albo kłamał, albo żona nie poinformowała go, że się dołożyła. Dlatego Nete zawołała, że powinni spytać jego żonę, jak było naprawdę, ale żony nie było, podobnie jak woli dotarcia do prawdy.

Potem pojawił się przewodniczący rady gminy; syn któregoś członka jego rodziny brał udział we wrzucaniu Nete do potoku Puge Mølleå. Stwierdził, że lepszym miejscem niż kolejna rodzina zastępcza będzie dla niej ośrodek wychowawczy dla dziewcząt. Powiedział, że było to wiadomo już wtedy, gdy sypiała z kim popadnie i sprowokowała poronienie, rzucając się na ostre głązy. Istna zakała ich spokojnej wiejskiej gminy.

Sąd odrzucił po kolei wszystkie oskarżenia wobec Curta Wada. W pewnej chwili zerknęła na Philipa Nørviga i zrozumiała, że jej sprawa stała się dla niego przepustką na sale sądowe. Zaś Curt Wad siedział przez cały czas z uśmiechem przyklejonym do tej swojej budzącej zaufanie twarzy.

Któregoś chłodnego lutowego dnia sędzia rozważył wszystkie za i przeciw i złożył Curtowi Wadowi wyrazy ubolewania, że tyle musiał przejść przez tę zakłamaną, aspołeczną dziewczynę.

Gdy mijał Nete, idąc w stronę drzwi, skinął do niej głową, by sąd odnotował jego wielkoduszność, ale już nie triumf i szyderstwo czające się w jego oczach. Było to mniej więcej w tym samym momencie, gdy sędzia zwrócił się do przedstawicieli instytucji społecznych, by skierować to siedemnastoletnie, niepełnoletnie dziecko pod opiekę instytucji zajmujących się upośledzonymi umysłowo, by te mogły się za nią wziąć, aż ta zepsuta jednostka zostanie zdyscyplinowana i już jako lepszy człowiek zacznie działać na rzecz dobra wspólnego.

Po dwóch dniach została przyjęta do Instytutów Kellera w Brejning.

Ordynator poinformował ją, że nie uważa, by w sposób oczywisty odstawała od normy, i że jeśli okaże się, że nie jest upośledzona umysłowo, napisze do rady gminy i Nete zostanie wypisana z placówki.

Ale tak się nie stało.
Rita już o to zadbała.

Listopad 2010

Zjazd partii Czyste Linie przerodził się w fetę, a Curt spoglądał na zebranych z dumą i ze łzami w oczach, co się nieczęsto zdarzało.

Teraz, u schyłku życia, wreszcie zebrał siły, by założyć partię polityczną, a dziś prawie dwa tysiące prawych Duńczyków oklaskiwało go z uśmiechami na ustach. Czyli jest nadzieja dla kraju jego synów. Gdyby tak Beate mogła stać u jego boku.

– Całe szczęście, że ukrócił pan tego dziennikarza, zanim skończył tę swoją prostacką tyradę – powiedział potem jeden z przewodniczących okręgów lokalnych.

Curt skinął głową. Jeśli walczy się o myśli i idee, prowokujące opór i wrogów, to trzeba otaczać się silnymi ludźmi, którzy w razie potrzeby zainterweniują. Tym razem obyło się bez nich, ale przy kolejnej okazji, która z pewnością się nadarzy, będzie miał ludzi od czarnej roboty.

O tak, tym razem problem został szybko rozwiązany, a reszta spotkania przebiegła w pełnej harmonii i obfitowała w doskonałe prezentacje postulatów wyborczych Czystych Linii i kandydatów partii do Folketingu.

– Buduje pan partię faszystowską, prawda, panie Wad? – krzyknął dziennikarz, przeciskając się przez tłum z dyktafonem wyciągniętym w stronę Curta.

Curt pokręcił głową i uśmiechnął się; tak należało postępować, gdy ludzie zanadto się zbliżali.

– Nie, zdecydowanie nie – odkrzyknął. – Ale porozmawiajmy o tym w spokojniejszych warunkach. Wtedy będę miał okazję naprowadzić pana na właściwy tor i rozwiązać pańskie wątpliwości.

Zdażył posłać ochroniarzom szybkie spojrzenie, nim pochwycili mężczyznę; wycofali się, a tłum na powrót zamknął się wokół dziennikarza. Trzeba chronić się przed idiotami, ale nie wolno atakować dziennikarza podczas pracy, musi ich tego nauczyć.

– Kim był ten facet? – spytał Lønberga, gdy zamknęły się za nimi drzwi dawnej

sali konferencyjnej.

– Nikt ważny. Jakiś z Wolnej Prasy, co to ukradkiem szykuje amunicję. Nazywa się Søren Brandt.

– A, to wiem, kto to. Obserwujcie go.

– Już to robimy.

– Chodzi mi o to, by naprawdę go pilnować.

Lønberg skinął głową, a Curt poklepał go po ramieniu, po czym otworzył drzwi do mniejszej sali konferencyjnej. Czekał tam na niego doborowy krąg ponad stu mężczyzn.

Wstąpił na niewielki podest i powiódł wzrokiem po swoich wiernych zwolennikach, wyprostowanych w fotelach i bijących mu brawa.

– Cóż, moi panowie – zaczął. – Czyżby elita łamała zakaz palenia?

Wielu uśmiechnęło się szeroko, jeden przechylił się, częstując go cygarem ze skórzanej cygarniczki. Curt Wad uśmiechnął się, odmawiając ruchem ręki.

– Nie, dziękuję, jak się już nie jest osiemdziesięciolatkiem, to trzeba uważać na zdrowie.

Roześmiali się serdecznie. Wspaniale było znaleźć się między nimi. To byli wtajemniczeni, ludzie, którym ufał. Uzdolnieni mężczyźni działający na rzecz Tajemnej Walki, większość od wielu lat. Cokolwiek by im powiedział, każde słowo padnie na żyzną glebę.

– Tak, zjazd partii wyszedł fantastycznie, więc jeśli ten wspaniały nastrój odzwierciedla nastawienie szerokiego spektrum duńskiego społeczeństwa, to sądzę, że w kolejnych wyborach możemy spodziewać się wielu więcej mandatów.

Wszyscy wstali, rozległy się krzyki i salwy oklasków.

Po dłuższej chwili Curt uciszył ich gestem ręki i wziął głęboki oddech.

– My, którzy tu siedzimy, stworzyliśmy podwaliny pod istotę Czystych Linii. To my przez lata staliśmy na barykadach, wykonując konieczną pracę. Byliśmy bojownikami o moralność i rozsądek, działaliśmy dyskretnie i w milczeniu. „Ten zbiera największą chwałę, kto zbiera ją tylko dla Pana”, jak mawiał mój ojciec.

Znów rozległy się oklaski.

Curt uśmiechnął się przelotnie.

– Dziękuję. Ojciec ucieszyłby się, gdyby mógł tu dziś być. – Schylił głowę i spojrzał na siedzących najbliżej. – Nasza praca, polegająca na sterylizowaniu

i przerywaniu ciąży u kobiet niebędących w stanie wydać na świat potomstwa godnego naszego kraju, cieszy się długą i dobrą tradycją. Dzięki tej pracy wszyscy tu obecni zrozumieliśmy, że bezczynność nie prowadzi do niczego dobrego. – Podniósł obie ręce ku zebranych w geście uznania. – My, zebrani w tej sali, nie pozostaliśmy bezczynni. – Kilka osób ponownie zaklaskało. – A teraz partia stworzona na zrębach naszych założeń i idei na drodze polityki stworzy społeczeństwo, w którym praca, wykonywana przez nas potajemnie i w konflikcie z prawem, w bliskiej przyszłości będzie mogła ujrzeć światło dzienne, zostanie zalegalizowana i stanie się powszechną praktyką.

– Racja! Racja! – zawołał ktoś.

– Jednak obawiam się, że do tego momentu nasz krąg musi ograniczyć swoje działania.

Spowodowało to niemałe poruszenie. Wielu siedziało z tłącymi się cygarami w rękach.

– Sami widzieliście, jak ten dziennikarz na sali próbował zbierać przeciwko nam amunicję. Będzie więcej takich, a naszym głównym zadaniem jest ich ukrócić. Dlatego praca, którą wykonujemy w ramach tego kręgu, musi na jakiś czas zostać zawieszona. – Rozległ się szum, ale ustał, gdy Curt uniósł rękę. – Dowiedzieliśmy się dziś rano, że jeden z naszych najlepszych przyjaciół, Hans Christian Dyrmand z Sønderborga, tak, widzę, że wielu z obecnych znało Hansa Christiana osobiście, odebrał sobie życie.

Powiódł wzrokiem po ich twarzach. Na niektórych malowało się przerażenie, na innych namysł.

– Wiemy, że Hans Christian przez ostatnich czternaście dni znajdował się pod lupą Departamentu Zdrowia. Stało się tak, choć nie powinno, że jedna z jego aborcji, a następnie sterylizacji została przeprowadzona tak niedbale, że dziewczyna musiała szukać pomocy w szpitalu w Sønderborgu. Hans Christian poniósł konsekwencje i zniszczył wszystkie kartoteki i dokumenty osobiste, po czym wybrał rozwiązanie ostateczne.

Po sali przebiegł szmer, gdy zebrani wymieniali uwagi, ale Curt nie mógł ich rozróżnić.

– Gdyby członkostwo Hansa Christiana w Tajemnej Walce wyszło na jaw, nietrudno byłoby wyobrazić sobie konsekwencje. Zapewne sam o tym wiedział.

Nasza praca w ramach Czystych Linii zostałaby obrócona wniwecz.

Nastąpiła długa pauza, podczas której nikt się nie odezwał.

– Nie możemy tolerować oznak słabości tego rodzaju w chwili, w której nasza marka ma zostać wprowadzona na rynek i zaszczepiona w duńskim narodzie dzięki partii Czyste Linie – powiedział.

Później wiele osób do niego podchodziło, by poinformować, że mimo jego napomnień zamierzają kontynuować potajemną działalność, ale przejrzą swoje dokumenty, tak by nie narażać sprawy na kompromitację.

Dokładnie to Curt Wad chciał osiągnąć. Bezpieczeństwo przede wszystkim.

– Wybierasz się na pogrzeb Hansa Christiana? – spytał później Lønberg.

Curt się uśmiechnął. Dobry człowiek z tego Lønberga. Zawsze gotów wyłapać słabości w czyjejs ocenie sytuacji, włączając Curta.

– Oczywiście, że nie, Wilfrid. Ale będzie nam go brakować, prawda?

– Tak. – Kiwnął głową. Na pewno nie było mu łatwo przekonać jednego z ich starych, dobrych przyjaciół, by łyknął te tabletki nasenne.

Wyjątkowo niełatwo.

Gdy wrócił do domu, Beate spała już w swoim łóżku.

Włączył iPhone'a, podarowanego mu przez syna, i stwierdził, że w skrzynce jest mnóstwo wiadomości.

„To musi poczekać do jutra” – pomyślał. W tej chwili był zbyt zmęczony.

Usiadł na moment na brzegu łóżka i spojrzał na twarz Beate, mrużąc oczy, by złagodzić brutalne działanie czasu. Dla niego wciąż była piękna, robił to przede wszystkim po to, by zapomnieć, jak krucha się zrobiła.

Potem pocałował ją w czoło, rozebrał się i poszedł do łazienki.

Pod prysznicem był starym mężczyzną. Tylko tam nie mógł zignorować uwiadu swojego ciała. Gdy spoglądał na siebie, widział zapadnięte, nędzne łydki o bladej, nagiej skórze, którą kiedyś pokrywało silne, czarne owłosienie. Mydło nie prześlizgiwało się po skórze brzucha z taką łatwością jak dawniej, rękami ledwie sięgał pleców.

Odchylił głowę do tyłu, próbując spłukać smutek, i poczuł bijący o twarz strumień wody.

Niełatwo było się starzeć, niełatwo puścić cugle. Owszem, przyjął dziś wyrazy uznania od zgromadzenia, ale jako człowiek schodzący na drugi plan. Człowiek,

który zrobił już, co miał zrobić. Symboliczny przywódca, który zasiądzie na tronie, nic więcej. Od dziś to inni wypowiadają się w imieniu partii. Owszem, może służyć radą, ale na walnym zgromadzeniu wskazano osoby, które mają reprezentować partię, a kto powiedział, że zawsze będą kierować się jego radami?

„Zawsze” – powtórzył w duchu. Jakież to dziwne słowo, gdy ma się osiemdziesiąt osiem lat. Jak pojęcie „zawsze” wydaje się nagle ograniczone czasowo.

Otrząsnął się z wody, próbując nie poślizgnąć się na podłodze, gdy usłyszał dzwonek telefonu, dochodzący z kieszeni spodni leżących na klapie sedesu.

– Tak – odebrał, ociekając wodą na matę łazienkową.

– Mówi Herbert Sønderskov. Cały dzień próbuję się do ciebie dodzwonić.

– Okej – odparł. – Dawnośmy się nie słyszeli, przyjacielu. Wybacz, ale przez cały dzień miałem wyłączony telefon. W Tåstrup było dziś walne zgromadzenie.

Pogratulował mu, ale głos wcale nie był radosny.

– Curt, mieliśmy wizytę policji w związku ze sprawami zaginięcia, między innymi Philipa. Jakiś Carl Mørck z Komendy Głównej. Mie parokrotnie wymieniła twoje nazwisko, w różnych kontekstach. Również Tajemnej Walki.

Curt zamilkł na moment.

– Co Mie o tym wie?

– Niewiele. W każdym razie nie ode mnie i pewnie od Philipa też nie. Po prostu zasłyszała to i owo. Wspomniała też o Louisie Pettersonie. Nie chciała zamilknąć, choć ją przestrzegalem. Ostatnio zrobiła się samowolna.

Nieciekawie to wyglądało.

– Powiedz mi, co dokładnie mówiła? – Curt marzył, wszystkie mieszki włosowe się zacisnęły, a włoski sterczały jak szczotka.

Wysłuchał opowieści Herberta Sønderskova, nie przerywając mu. Dopiero potem się wypowiedział.

– Wiesz, czy ten detektyw kontaktował się z Louisem Pettersonem?

– Nie, chciałem to sprawdzić, ale nie mam numeru komórki Louisa, a w internecie go nie znajduję, prawda?

Zapadło dłuższe milczenie, podczas którego Curt próbował oszacować zasięg konsekwencji. Było bardzo, ale to bardzo niedobrze.

– Herbert, nasza praca nigdy jeszcze nie znajdowała się w takim

niebezpieczeństwie, więc proszę, zrozum, co chcę ci przekazać. Ty i Mie musicie wyjechać, słyszysz? Pokryję wszelkie koszty. Pojedziecie na Teneryfę. W zachodniej części wyspy znajdują się wysokie skały o nazwie Acanitlados de los Gigantes. Są bardzo strome i wcinają się w morze.

– O Boże – rozległ się słaby głos.

– Herbert, posłuchaj! Nie ma innego wyjścia! To musi wyglądać na wypadek, Herbert, rozumiesz?!

Po drugiej stronie słychać było ciężki oddech.

– Herbert, tu chodzi o twojego brata, ciebie, wielu twoich przyjaciół, dobrych kolegów i znajomych. O lata nadaremnej pracy i ruinę polityczną. Jeśli Mie nie zostanie powstrzymana, pociągnie za sobą wiele osób. Mówimy tu o trwających w nieskończoność procesach sądowych, karach wieloletniego więzienia, hańbie i bankructwie. Cała nasza praca, by postawić organizację na nogi, pójdzie na marne. Tysiące godzin i miliony koron darowizn. Dziś mieliśmy walne zgromadzenie Czystych Linii, następnym razem wejdziemy do Folketingu. Ty i Mie to zaprzepaście, jeśli czegoś nie zrobisz.

Wciąż ten ciężki oddech.

– Czy w ogóle dopilnowałeś, by zniszczyć kartotekę Philipa, tak jak uzgodniliśmy? Czy wszystkie dokumenty z teczek zniknęły?

Tamten zamilkł, a to przeraziło Curta. Czyli musi sam wkroczyć do akcji i pozbyć się materiałów.

– Curt, nie mogę tego zrobić. Nie możemy po prostu wyjechać i przeczekać, aż sytuacja się uspokoi? – błagał Herbert, tak jakby nie wiedział, że na nic się to nie zda.

– Dwoje starych ludzi z duńskimi paszportami, co ty sobie myślisz, Herbert? Chyba oszalałeś. Jak wieszacie się w tłum? Policja znajdzie was bez problemu, a jeśli nie znajdzie, to my to zrobimy.

– O Boże!

– Masz dwadzieścia cztery godziny na wyjazd. Możesz wykupić jutro wycieczkę w Star Tour, a jeśli nie będzie wylotów albo miejsc, polecisz samolotem rejsowym do Madrytu, a stamtąd krajowym na Teneryfę. Na miejscu co pięć godzin będziesz robił zdjęcia miejsca, gdzie jesteś, i wysyłał je do mnie mailem, bym wiedział na bieżąco, co robicie. I nie chcę więcej słyszeć o tej sprawie, rozumiałeś?

– I nie usłyszysz – zabrzmiała pełna wahania odpowiedź.

Rozłączyli się.

„Sprawdzimy ich” – powiedział do siebie. „Wyniesiemy z domu te przekłete kartoteki i spalimy”.

Curt spojrział na rejestr ostatnich połączeń na ekranie iPhone’a. Herbert nie kłamał. Rzeczywiście wydzwaniał do Curta w półgodzinnych odstępach od wpół do pierwszej, a potem Louis Petterson dzwonił jeszcze piętnaście razy.

O bogowie, nie wróżyło to dobrze.

Policyjne śledztwo w sprawie zaginięcia Philipa Nørviga wcale go nie niepokoiło, bo i tak nie miał z nim nic wspólnego. Chodziło o wszystko to, co Mie nagadała policji.

Przecież sam swego czasu ostrzegął Philipa przed tą diabelską kobietą. A potem ostrzegął Herberta.

Czyż nie?

Młody dziennikarz oddzwonił po trwającym pół godziny stanie alertu i daremnych prób dodzwonienia się na jego komórkę.

– Przepraszam, ale za każdym razem, gdy do ciebie dzwoniłem, wyłączałem komórkę, by mnie nie namierzyli – wyjaśnił. – Nie miałem też ochoty ryzykować, by zadzwonił do mnie ten Carl Mørck i jego okropny asystent.

– Proszę o szybkie sprawozdanie – powiedział Curt i je otrzymał. – Gdzie teraz jesteś? – spytał potem.

– Siedzę na parkingu pod Kilonią.

– A dokąd się wybierasz?

– Nie musisz tego wiedzieć.

Curt skinął głową.

– Tylko spokojnie, wziąłem ze sobą wszystkie rzeczy i papiery z Benefice.

Dobry chłopiec.

Pożegnali się i Curt się ubrał. Łóżko musi poczekać.

Poszedł na piętro do kuchenki połączonej z warsztatem, wyjął szufladę spod stolika z narzędziami, następnie plastikową tackę ze śrubami, położył ją na stole warsztatowym i wydobył spod spodu starą nokię.

Podłączył ją do ładowarki, zdrapał kod z karty, aktywował telefon i wybrał numer do Caspersena. Po zaledwie dwudziestu sekundach telefon został odebrany.

– Późno już, Curt. Czemu dzwoniś z tego numeru?

– Kryzys – powiedział. – Zapisz numer i zadzwoń do mnie z telefonu na kartę. Dokładnie za pięć minut.

Caspersen postąpił zgodnie z jego poleceniem i wysłuchał wyjaśnień Curta w głębokim milczeniu.

– Mamy kogoś godnego zaufania w Komendzie Głównej? – spytał Curt na końcu.

– Nikogo. Ale mamy kogoś na posterunku City.

– Skontaktuj się z nim i powiedz, że mamy tu śledztwo policyjne, które trzeba powstrzymać. Za wszelką cenę. Powiedz, że dobrze płacimy. Byle spacyfikować tego Carla Mørcka.

Listopad 2010

Carl spojrział na zegarek, skręcając na policyjny parking z wycieraczkami szorującymi po przedniej szybie. 15.45, marne trzy kwadransy spóźnienia na to durne spotkanie z psychologiem, Krisem. Już on się o tym nasłucha od Mony dziś wieczorem. Dlaczego, do cholery, wszystko musi się tak kiepsko układać?

– Lepiej weźmy to – powiedział Assad, wyławiając automatyczny parasol z kieszeni w drzwiach samochodu.

Carl wyłączył silnik. „Nie jestem w nastroju, by dzielić z kimś parasol” – myślał, dopóki nie stanął przy wyjściu z betonowej kolubryny i nie dotarło do niego, że ktoś wyciągnął korek z niebiańskiego morza, tak że widoczność nie przekraczała metra.

– Chodź pod parasol, Carl. Dopiero co byłeś chory! – zawołał Assad.

Mørck spojrział z odrazą na parasolkę w kropki. Co, u diabła, skłoniło mężczyznę w wieku produkcyjnym do zakupu takiego paskudztwa? W dodatku różowego?

Wślizgnął się pod to dziadostwo i chwiejnie ruszył przez kałuże wraz z Assadem, dopóki nagle w deszczu nie pojawił się kolega, idąc w ich stronę z uśmiechem, jakby podejrzewał ich o coś więcej niż stosunki koleżeńskie. Co za kompromitacja.

Carl wysunął się spod parasola z wysoko uniesionym podbródkiem. Chodzenie z parasolkami i siedzenie z nagim torsem podczas lunchu na łonie natury – to nie dla takich mężczyzn jak on.

– Zmokłeś doszczętnie, Carl – zauważyli w budce wartowniczej, gdy przemknął obok, wydając dźwięki jak sfatygowany przepychacz toalet.

– Mogłabyś sprawdzić, kto stoi za organizacją Benefice, Rose? – rzucił, ignorując jej przytyki o wielorybach wyrzuconych na brzeg i przewróconych wannach.

Osuszył pobieżnie ubranie za pomocą papieru toaletowego, przyrzekając sobie, że załatwi do łazienek suszarki do rąk z podmuchem ciepłego powietrza. Takie

ustrojstwo doprowadziłoby ciepłotę jego ciała do normalności w try miga.

– Assad, rozmawiałeś z Lis? – spytał trzy czwarte rolki papieru toaletowego później, podczas gdy jego współpracownik rozkładał w swoim gabineczku dywanik modlitewny.

– Za chwilę, Carl. Najpierw modlitwa.

Carl spojrział na zegarek. Tak, za chwilę to połowa Komendy Głównej, w tym Lis, pójdzie do domu. Ktoś przecież musi przestrzegać godzin pracy.

Usiadł z plaśnięciem na swoim fotelu biurowym i zadzwonił do niej.

– Halooo – zaśpiewał głos, który brzmiał kropka w kropkę jak głos pani Sørensen.

– Yyy, Lis?

– Nie, poszła na badanie ginekologiczne. Mówi Cata, Carl.

Doprawdy, Carl spokojnie mógł się obejść bez tych szczegółów.

– Aha. Sprawdziłyście, do kogo ten Louis Petterson dzwonił dziś koło trzeciej?

– Tak, kochany.

„Kochany” – naprawdę tak powiedziała? Na jakim ona była kursie, do diaska? Wielkim Kursie Wazeliniarstwa?

– Dzwonił do niejakiego Curta Wada z regionu Brøndby. Podać ci adres?

Dwa telefony do Louisa Pettersona nie przyniosły żadnego rezultatu poza informacją, że w chwili obecnej abonent jest poza zasięgiem, ale czego się można było spodziewać? Carl ubawiłby się setnie, konfrontując Pettersona z pytaniem, dlaczego dzwonił do człowieka, z którym jak twierdził, nie miał wcale do czynienia.

Z westchnieniem spojrział na tablicę z ogłoszeniami i na skrawku papieru znalazł numer komórki do psychologa Krisa. Nie był to numer wart zapisania w książce telefonicznej, ale lepsze już to niż brnięcie aż na ulicę Anker Heegaards Gade w taką psią pogodę.

– Kris la Cour – odezwał się głos. Co, u diabła, facet ma też nazwisko?

– Carl Mørck.

– Nie mam teraz czasu z tobą rozmawiać, Carl, za chwilę mam pacjenta. Zadzwoń jutro rano.

Do kurwy nędzy, no to ma przerąbane u Mony.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam, Kris – dodał szybko. – Strasznie mi

przykro, że dziś nie zdążyłem, ale droga przez mój dzisiejszy dzień usiana była trupami i zroszona gorzkimi łzami. Błagam, przyjmij mnie w poniedziałek po południu. Wiem, że dobrze mi to zrobi.

Pauza, która nastąpiła potem, była równie straszna co ta między komendami „cel” i „pal”. Nie było wątpliwości, że ten zadufany w sobie dystrybutor wody kolońskiej przekaze wszystko Monie.

– Hm, nie żartujesz? – spytał w końcu.

Carl już miał odrzec: na jaki temat?, gdy zrozumiał pytanie.

– Absolutnie nie. Uważam, że terapia u ciebie bardzo mi posłuży – mówił, myśląc bardziej o dostępie do szczodrego pod wieloma względami ciała Mony niż o psychologicznym rozwikływaniu meandrów własnej psychiki.

– Okej, zatem poniedziałek. Może być o piętnastej, tak jak dzisiaj, pasuje?

Carl spojrział na sufit. Tak, co mu, kurde, pozostało?

– Dziękuję – powiedział i odłożył słuchawkę.

– Mam dwie sprawy – rozległo się za jego plecami.

Poczuł zapach perfum, jeszcze zanim się odezwała. Kłębił się w powietrzu niczym chmura płynu do płukania tkanin, wyjątkowo trudna do zignorowania.

Odwrócił się do Rose, stojącej w drzwiach z plikiem gazet pod pachą.

– Co to za perfumy? – spytał Carl, wiedząc doskonale, że jeśli nie będzie ostrożny, kolejne słowa mogą się przerodzić w śmiertelne ciosy sztyletem.

– Perfumy! Należą do Yrsy.

W takim razie gęba na kłódkę, język za zębami. Póki co nie będzie im dane zapomnieć o Yrsie.

– Po pierwsze, sprawdziłam tego Herberta Sønderskova, z którym spotkaliście się wczoraj w Halsskov. Twierdzi, że bezpośrednio nie mógł mieć nic wspólnego z zaginięciem Nørviga, jako że w okresie od pierwszego kwietnia do osiemnastego października przebywał na Grenlandii. Był tam zatrudniony jako prawnik przez władze lokalne.

Carl skinął głową, czując nieprzyjemne ruchy w jelitach.

– A poza tym Benefice jest instytutem analitycznym finansowanym ze środków fundacji. Oprócz kilku analityków politycznych, którzy pracują dla nich jako wolni strzelcy, mają tam jednego dziennikarza na etacie, a jest nim Louis Petterson. Pracują według „metody aktówki”, to znaczy sporządzają krótkie notatki, dzięki

którym zabiegani politycy w ciągu paru sekund mają dostęp do informacji. Według mnie wyjątkowo populistyczne, tendencyjne, a do tego kłamliwe materiały.

„Nie wątpię” – pomyślał Carl.

– Kto stoi za tą organizacją?

– Niejaka Liselotte Siemens. Jest prezesem zarządu, a jej siostra jest dyrektorem.

– Hm. Nic mi to nie mówi.

– Mnie też nie. Ale zerknęłam na nią, właściwie to spojrzałam dwadzieścia pięć lat wstecz na jej różne adresy w rejestrze ludności, nim trafiłam na coś, na czym można się oprzeć.

– Czyli?

– Mieszkała wtedy pod tym samym dachem co znany lekarz leczący niepłodność w Hellerup, o nazwisku Wilfrid Lønberg, który jest ojcem obu sióstr. A to nawet dość ciekawe.

– Aha? – Carl pochylił się w przód. – Dlaczego?

– Bo Wilfrid Lønberg jest też jednym z założycieli Czystych Linii. Nie widziałeś go w telewizji?

Carl próbował sobie przypomnieć, ale przez kiszki rwało mu się połączenie z korą mózgową.

– Okej. A po co ci te gazety?

– Assad i ja przeczesujemy jeszcze raz okres, w którym doszło do zaginięcia poszczególnych osób, ale tym razem w innych gazetach. Musimy mieć pewność, że zebraliśmy wszystkie historie.

– Dobra robota, Rose – powiedział, próbując odmierzyć odległość do toalety w kilku skokach.

Dziesięć minut później stał poblady przed Assadem.

– Idę do domu. Żołądek nie daje mi żyć. – „Zaraz powie: a nie mówiłem?” – pomyślał.

Ale Assad sięgnął pod biurko, wyjął parasolkę i podał ją Carlowi.

– Problem ma ten dromader, który nie może kaszleć i srać jednocześnie.

Cokolwiek to miało znaczyć.

W drodze do domu wciskał pedał gazu, a po ciele spływały mu strumienie potu, za które winę ponosił żołądek, zupełnie wymykający się spod kontroli. Gdyby zatrzymali go koledzy z drogówki, uznaliby, że to siła wyższa. Właściwie to

rozważał, czyby nie włączyć koguta, bo ostatni raz narobił w majtki parę dekad temu i pragnął, by przez wiele najbliższych lat te statystyki nie uległy zmianie.

Dlatego zaczął łomotać do drzwi wejściowych, gdy okazało się, że są zamknięte na klucz. Kto wpadł na taki pomysł, do jasnej cholery?

Po pięciu zbawiennych minutach na klozecie wreszcie zaznał spokoju. Dwie godziny później miał stawić się u Mony, szczerząc się w uśmiechu jak z reklamy pasty do zębów i udając kompana do zabaw dla jej potwornego wnuka.

Gdy wszedł do salonu, Hardy nie spał. Leżał, patrząc na deszcz wylewający się z zatkanych rynien.

– Gówniana pogoda – zauważył, słysząc kroki Carla. – A ja dałbym milion, by na głupie dwadzieścia sekund móc wyjść na zewnątrz.

– Cześć, Hardy. – Carl usiadł przy jego łóżku, muskając go palcami po policzku. – Wszystko ma swoje minusy. Ja właśnie się nabawiłem paskudnego nieżyty żołądka z powodu tej pogody.

– Serio? Za to też dałbym milion.

Carl się uśmiechnął i podążył za wzrokiem Hardy'ego.

Na jego kołdrze leżał otwarty list; Carl od razu rozpoznał nadawcę. Sam niedługo dostanie podobne pismo.

– Okej! Czyli dostaliście z Minną orzeczenie rozvodu, jak widzę. Jak się z tym czujesz?

Hardy zacisnął usta, chowając wzrok po wszystkich możliwych kątach, byle nie spojrzeć na pełną współczucia twarz Carla. Serce się krajało.

– Chyba nie potrafię o tym rozmawiać – powiedział po minucie głębokiej ciszy.

Mørck rozumiał go lepiej niż ktokolwiek. Byli dobrym małżeństwem, chyba najlepszym z całego otoczenia. Za parę miesięcy obchodziliby srebrne gody, ale kula również temu stanęła na przeszkodzie.

Carl skinął głową.

– Minna sama to przyniosła?

– Tak, i nasz syn. Są w porządku.

Oczywiście, że Hardy rozumiał. Dlaczego życie jego ukochanej miałoby przestać się toczyć tylko dlatego, że jego przestało?

– Największa ironia w tym, że dziś zobaczyłem promyk nadziei.

Carl poczuł, jak jego brwi mimowolnie się unoszą. Uśmiechnął się

przepraszająco, ale było już za późno.

– Tak, wiem, co myślisz, Carl. Że jestem głupkiem i że nie potrafię spojrzeć prawdzie w oczy, ale pół godziny temu Mika zrobił ze mną coś, co mówiąc wprost, bolało tak, że srałem po gaciach. W każdym razie Morten aż zatańczył po pokoju.

– Kim, do diabła, jest Mika?

– Okej, czyli naprawdę w ostatnim czasie nie bywałeś w domu. Jeśli nie wiesz, kim jest Mika, to lepiej sam spytaj Mortena. Ale przedtem zapukaj do drzwi. Przechodzą fazę prywatności – zagdakał parokrotnie, co zapewne można było podciągnąć pod śmiech.

Carl stał cichutko pod drzwiami do piwnicy Mortena, dopóki stłumiony śmiech dochodzący z pokoju nie dał mu sygnału, by zapukać.

Wślizgnął się ostrożnie do środka. Wyobrażenie bladego, nalanego Mortena w bliskim kontakcie z kimś imieniem Mika przeraziłoby każdego.

Obaj mężczyźni stali w drzwiach pokoju, który kiedyś był sauną, obejmując się słodko ramionami.

– Cześć, Carl. Pokazuję właśnie Mice moją kolekcję playmobil.

Carl sam się zorientował, jak niemądrze musiał wyglądać. Morten Holland naprawdę odważył się zaprosić tego ciemnowłosego przystojniaka, by pokazać mu swoją kolekcję playmobil?! Bił na głowę wszystkie sztuczki, do których w swoim czasie uciekał się Carl, by zwabić panie do swojej sieci.

– Dzień dobry. – Mika podał Carlowi rękę bardziej owłosioną niż klatka piersiowa Carla. – Mika Johansen. Tak, ja też jestem kolekcjonerem, tak jak Morten.

– Aaa – odparł Carl, któremu zabrakło spólgłosek.

– To znaczy, Mika nie zbiera playmobil ani kinder niespodzianek jak ja, ale zobacz, co mi podarował.

Morten podał Carlowi nieduże pudełko, na którym widniał napis „3218–A Bauarbeiter”. W środku znajdował się mały niebieski ludzik w czerwonym kasku i coś, co miało przedstawiać wielką miotłę.

– Tak, ładny – przyznał Carl, oddając pudełko.

– Ładny?! – zaśmiał się Morten, przytulając mocno gościa. – Nie jest ładny, Carl, jest fantastyczny. Teraz mam kompletną kolekcję rzemieślników od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku. A pudełko jest jak nowe. To

niewiarygodne.

Carl nie widział swojego lokatora tak rozpromienionego od czasu, gdy ten się tu wprowadził blisko trzy lata temu.

– A co ty zbierasz? – spytał Carl tego Miki, zupełnie nie chcąc tego wiedzieć.

– Zbieram stare książki o centralnym układzie nerwowym.

Carl na próżno próbował przywołać na twarz odpowiedni grymas, a śniady Adonis się roześmiał.

– Tak, wiem, że to dziwna rzecz. Ale jestem z wykształcenia fizjoterapeutą i certyfikowanym specjalistą od akupunktury, więc nie jest to pewnie aż takie dziwaczne.

– Poznaliśmy się, jak dwa tygodnie temu zeszywniał mi kark. Pamiętasz, jaką miałem nieruchomą głowę, Carl?

Czy w jakimkolwiek momencie głowa Mortena była ruchoma? Musiało mu to jakoś umknąć.

– Rozmawiałeś z Hardym? – spytał Morten.

– Tak, właśnie dlatego tu zszedłem. Mówił, że tak go bolało, że srał po gaciach. – Zwrócił się do Miki. – Wbiłeś mu igłę w oko?

Zaśmiał się wymuszenie, ale jako jedyny.

– Nie, ale kłułem go w nerwy, które najprawdopodobniej są aktywne.

– I zareagował?

– No, i to jak – stwierdził Morten.

– Będziemy próbować ustawić Hardy’ego do pozycji siedzącej – powiedział Mika. – Ma czucie w wielu częściach ciała. W punkcie na ramieniu i dwóch punktach u nasady kciuka. To bardzo krzepiące.

– Krzepiące? Jak to?

– Jestem przekonany, że żaden z nas nie jest w stanie zrozumieć, jak bardzo Hardy walczył, by stymulować czucie. Ale wiele wskazuje na to, że przy wielkim, stałym wysiłku nauczy się poruszać kciukiem.

– Okej, kciukiem! I co to niby oznacza?

Mika się uśmiechnął.

– To oznacza wszystko. To oznacza kontakt, pracę, transport, umiejętność samodzielnego decydowania.

– Mówisz o elektrycznym wózku inwalidzkim?

Nastąpiła pauza, podczas której Morten spoglądał z zachwytem na swoją zdobycz, skóra Carla zrobiła się cieplejsza, a serce zaczęło mocniej bić.

– Owszem, i wiele więcej. Mam sporo kontaktów w służbie zdrowia, a Hardy jest osobą, o którą warto i można powalczyć. Jestem stuprocentowo przekonany, że w nadchodzącym czasie jego życie może się radykalnie zmienić.

Carl stał nieruchomo. Czuł, jakby waliły się na niego ściany pokoju, nie wiedział, gdzie ma postawić nogi i gdzie podziąć wzrok. Krótko mówiąc, był poruszony jak dziecko, które nagle pojmuje, czym jest świat. To uczucie było mu tak obce, że niewiele myśląc, podszedł do tego człowieka i przytulił go. Chciał podziękować, ale słowa uwieźły mu w gardle.

Wtedy poczuł klepanie po ramieniu.

– Tak – rzekł ów przybyły anioł. – Wiem, co czujesz, Carl. To naprawdę wielka sprawa.

Na szczęście był piątek, więc sklep z zabawkami na rynku w Allerød działał pełną parą. Czasu wystarczy akurat, by znaleźć jakąś pierdołę dla wnuka Mony, ale na pewno nie coś, czego można by użyć do bicia.

– Cześć – powiedział nieco później do chłopca, który stał w przedpokoju Mony, wyglądając jak ktoś, kto potrafi się odwinąć i bez sprzętu.

Podał chłopcu prezent, wyciągając rękę i zobaczył, jak dłoń wysuwa się po niego jak wąż przystępujący do ataku.

– Dobry refleks – rzekł do Mony, kiedy dzieciak umknął z łupem i przycisnął ją do siebie tak zdecydowanie, że nie można było włożyć między nich nawet źdźbła. Naprawdę niesamowicie pięknie pachniała i wyglądała apetycznie.

– Co mu dałeś? – spytała, całując go. Jak, do diaska, może to sobie przypomnieć, mając przy sobie tak blisko te brązowe oczy?

– Yyy, taki... Phlat Ball, tak to się chyba nazywa. Takie coś, co można spłaszyc jak naleśnik, a to potem odskakuje i staje się piłką. Chyba można na tym ustawić czas.

Spojrzała na niego sceptycznie, jakby wyobrażając sobie, że Ludwig jest w stanie wpaść na wiele możliwości użytkowania zabawki, których Carl nie przewidział.

Tym razem córka Mony Samantha była lepiej przygotowana, więc podała mu tylko rękę, nie przypatrując się mniej powabnym częściom jego ciała.

Miała oczy matki. Nie mieściło mu się w głowie, jakim cudem ktoś mógł zrobić z tej bogini samotną matkę, i trwał przy tym przekonaniu, dopóki nie otworzyła ust.

– Miejmy nadzieję, że tym razem nie nakapiesz do sosu, Carl – rzuciła, wybuchając wyjątkowo niestosownym śmiechem.

Mørck próbował przyłączyć się do uciechy, ale jego śmiech brzmiał nieco fałszywie.

Gdy usiedli do kolacji, był gotów do walki. Cztery porządne tabletki z apteki zahamowały gimnastykę kiszek, a głowa była całkowicie gotowa do potyczek.

– No, Ludwig – zagał. – Jak tam piłka?

Chłopiec nie odpowiedział, może z powodu dwóch garści frytek tkwiących w poprzek w jego ustach.

– Wyrzucił ją przez okno za pierwszym zamachem – odparła jego matka. – Musisz ją przynieść z podwórka, kiedy zjesz, Ludwig, rozumiano?

Na to dzieciak też nie odpowiadał. Przynajmniej konsekwentnie.

Carl spojrział na Monę, która po prostu wzruszyła ramionami. Widać wciąż był na egzaminie.

– Jak cię postrzelili, wyleciało ci przez tę dziurę trochę mózgu? – spytał chłopczyk po kilku kolejnych garściach frytek, wskazując bliznę na skroni Carla.

– Tylko troszeczkę – odrzekł. – Więc teraz jestem tylko dwa razy mądrzejszy niż nasz premier.

– Niewiele mu to mówi – mruknęła z boku jego matka.

– Jestem dobry z matematyki, ty też? – spytał chłopiec, po raz pierwszy kierując swoje błyszczące oczy na Carla. Można by to pewnie nazwać kontaktem.

– Jestem doskonały – skłamał Carl.

– Znasz to z tysiąc osiemdziesiąt dziewięć? – spytał dzieciak. Że też w ogóle zna taką wysoką liczbę! Ile on w ogóle ma lat, pięć?

– Możesz potrzebować kartki, Carl – stwierdziła Mona, wyjmując notes i ołówek z szuflady sekretarzyka stojącego za jej plecami.

– Okej – powiedział chłopiec. – Wybierz jakąkolwiek trzycyfrową liczbę i zapisz.

Trzycyfrową. Skąd, do kurwy nędzy, pięciolatek zna takie słowa?

Carl skinął głową i zapisał 367.

– Teraz obróć liczbę.

– Obrócić. To znaczy?

– To znaczy, że masz napisać 763, prawda? Jesteś pewien, że nie wypłynęło ci więcej tego mózgu, niż myślisz? – spytała czarująca mamusia chłopca.

Carl zapisał 763.

– Teraz odejmij mniejszą liczbę od większej – rzucił geniusz o blond kędziorach.

763 minus 367. Carl zasłaniał się ręką, by nie widzieli, że ciągle odejmuje tak, jak nauczył się w trzeciej klasie.

– Yyy, 396, nie?

– Teraz obróć tę liczbę i dodaj do 396. Ile wychodzi?

– 693 plus 396, o tym mówisz? Ile wyjdzie?

– Tak.

Carl zsumował liczby, zasłaniając swoje manewry ręką.

– Wychodzi 1089 – oświadczył po drobnych problemach z liczbami w pamięci.

Chłopczyk wrzasnął z radości, gdy Carl uniósł głowę zaskoczony.

– Coś podobnego, Ludwig. Bez względu na to, od jakiej liczby zacznę, wyjdzie tysiąc osiemdziesiąt dziewięć?

Chłopiec wyglądał na rozczarowanego.

– Tak, przecież mówiłem. Ale jeśli twoja liczba początkowa to na przykład sto dwa, to po pierwszej różnicy wyjdzie ci dziewięćdziesiąt dziewięć i wtedy nie możesz napisać dziewięćdziesiąt dziewięć, tylko zero dziewięćdziesiąt dziewięć. Pamiętaj, że liczba zawsze musi być trzycyfrowa.

Carl powoli kiwnął głową.

– Mądry dzieciak – stwierdził cierpko, uśmiechając się do jego matki. – Zapewne po mamusi.

Nie odpowiedziała, więc chyba miał rację.

– Samantha jest jednym z najbardziej uzdolnionych matematyków w kraju. Ale wiele wskazuje na to, że Ludwig będzie jeszcze lepszy – odparła Mona i podała Carlowi łososia.

Dobra, matka i syn, jedno lepsze od drugiego. Piętnaście porcji talentu, dziesięć ognia w dupie i szesnaście chamstwa, co za mieszanka. Wejście do tej rodziny zdecydowanie nie będzie proste.

Kilka potyczek intelektualnych później Carlowi odpuszczono. Dwie dodatkowe porcje frytek uwieńczone trzema gałkami lodów sprawiły, że chłopczyk się

zmęczył. Pożegnali się i Mona stanęła przed nim z błyskiem w oku.

– Umówiłem się z Krisem na poniedziałek – pospieszył Carl z wyjaśnieniem. – Dzwoniłem, by przeprosić, że dziś nie zdążyłem, ale od rana mieliśmy prawdziwe urwanie głowy.

– Nie myśl o tym – powiedziała, przyciągając go do siebie w taki sposób, że Carl niemal się ugotował. – Chyba jesteś gotowy na odrobinę gimnastyki w łóżku – stwierdziła, wsuwając rękę tam, gdzie wszyscy zdrowi chłopcy gmerają przez cały Boży dzień.

Carl powoli wciągnął powietrze przez zęby. Jakaż ta kobieta jest spostrzegawcza, pewnie ma to po córce.

Po obowiązkowych manewrach wstępnych, w wyniku których Mona udała się do łazienki, by „się odświeżyć”, Carl siedział na brzegu łóżka z zarumienionymi policzkami, obrzmiałymi ustami i w zbyt ciasnych bokserkach.

Wtedy zadzwoniła komórka.

Do jasnej cholery, to był numer Rose z Komendy Głównej.

– Tak, Rose – zaczął nieco opryskliwie. – Streszczaj się, bo właśnie robię coś ważnego – dodał, czując, jak duma jego podbrzusza powoli się kurczy.

– Wypaliło, Carl.

– Co wypaliło? Dlaczego jeszcze jesteś w pracy?

– Obydwa tu jesteśmy, cześć, Carl! – usłyszał, jak w tle Assad czymś szura. Zrobili w piwnicy imprezę plenerową?

– Znaleźliśmy jeszcze jedną sprawę zaginięcia. Zgłoszono je dopiero miesiąc po pozostałych, dlatego nie trafiliśmy na nią za pierwszym razem.

– Aha, i z miejsca łączysz ją z resztą? Dlaczego?

– Nazwali ją sprawą Velo Solex. Facet wsiadł na swój motorower i pojechał z Brenderup na Fionii na stację kolejową w Ejby. Tam zaparkował motorower na stanowisku dla rowerów i od tej pory nigdy go nie widziano. Po prostu zniknął.

– I mówisz, że jaka to była data?

– Czwarty września osiemdziesiąt siedem. Ale to nie wszystko.

Carl spojrzął na drzwi do łazienki, za którymi jego erotyczne marzenie wydawało z siebie kobiece odgłosy.

– Dawaj szybko, co jeszcze?

– Nazywał się Hermansen, Carl. Tage Hermansen.

Carl zmarszczył czoło. I?

– Tak, Hermansen! – zawołał Assad w tle. – Nie pamiętasz? To nazwisko wymieniła Mie Nørvig w związku z pierwszą wspólną sprawą jej pierwszego męża i Curta Wada.

Człowiek niemal widział galop jego brwi.

– Okej – stwierdził Carl. – Musimy się temu przyjrzeć. Dobra robota, ale idźcie już oboje do domu.

– Czyli widzimy się na komendzie, co, Carl? Powiedzmy jutro o dziewiątej rano? – rozległ się w tle głos Assada.

– Yyy, jutro jest sobota, Assad. Słyszałeś o czymś takim jak dni wolne od pracy? W słuchawce zatrzeszczało; czyli Assad musiał ją przejąć.

– Posłuchaj, Carl. Jeśli ja i Rose możemy pracować w szabat, to chyba ty też możesz się w sobotę przejechać na Fionię, co?

To nie było pytanie wymagające odpowiedzi. To była przynęta, a poza tym niepodlegająca dyskusji decyzja.

Wrzesień 1987

Rita przez chwilę spoglądała na jezioro Peblinge, zrelaksowana, pełna oczekiwań i cholernie zła niktyny. Jeszcze dwa papierosy i podejdzie do kamienicy z szarej cegły, zadzwoni domofonem, otworzy brązowe drzwi i wstąpi na schody prowadzące do jej przeszłości. I wtedy dopiero wszystko się rozpęta.

Uśmiechnęła się do siebie, zahaczając wzrokiem o przebiegającego obok faceta w stroju do joggingu, a on odwzajemnił się wyzywającym spojrzeniem. Choć wcześniej wstała, była w doskonałej formie. Rozpierała ją radosna energia.

Wsunęła papierosa do ust, czując, jak facet zatrzymuje się dwadzieścia metrów dalej i zaczyna się rozciągać, podczas gdy jego oczy błędziły po jej rozpiętym płaszczu i dużym biuście.

„Nie dziś, chłoptasiu, może innym razem” – zasygnalizowała wzrokiem, zapalając papierosa.

Teraz chodziło o Nete, a ona była znacznie bardziej interesująca niż chłopak z mózgiem między nogami.

Od kiedy otworzyła list aż do dzisiejszego poranka, kiedy wskoczyła do auta i obrała kurs na Kopenhagę, to pytanie nie dawało jej spokoju. Dlaczego Nete chciała się z nią spotkać? Czy nie ustaliły dawno temu, że nigdy więcej się nie zobaczą? Nete powiedziała to wówczas bardzo dobitnie.

– „To twoja wina, że znalazłam się na tej cholernej wyspie. Ty mnie wtedy zwabiłaś”. – Rita przedrzeźniała swoją dawną przyjaciółkę, zaciągając się papierosem, a chłopak w stroju do joggingu usiłował zrozumieć, co się dzieje.

Rita się zaśmiała. To był w ogóle chory czas, te chłodne dni w 1955 roku w zakładzie dla upośledzonych.

W dniu, kiedy Nete przybyła do położonego we wschodniej Jutlandii zakładu w Brejning, cztery lekko upośledzone pensjonariuszki wdały się w taką bójkę, że budynek o wysokich sklepieniach rozbrzmiewał krzykiem, wrzaskiem i okropną

wrzawą.

Rita uwielbiała takie dni; wreszcie coś się działo. Zdecydowanie nigdy nie miała nic przeciwko przyglądaniu się, jak spuszczano komuś manto, a w tym personel opiekuńczy był doskonały.

Gdy funkcjonariusze prowadzili między sobą Nete, Rita stała przy wejściu; wystarczyło jedno zerknięcie, by się zorientowała, że oto nadchodzi dziewczyna taka sama jak ona. Bystre oczy, przestraszone brzydotą wszystkiego tego, co widzi. Ale to nie wszystko: w oczach było też widać złość. Naprawdę twarda dziewczyna, dokładnie w guście Rity.

Rita też uwielbiała złość, bo zawsze była jej siłą napędową. Kiedy kradła, kiedy podprowadzała jakiemuś idiotcie portfel albo gdy spychała na bok durniów stojących jej na drodze. Jasne, wiedziała, że złość do niczego nie prowadzi, ale wystarczało jej samo uczucie. Czując gniew, mogła wszystko.

Pokój, który znaleźli tej nowej, dzieliło od pokoju Rity zaledwie dwoje drzwi i już przy kolacji postanowiła popracować nad tą dziewczyną. Choćby nie wiem co, one dwie muszą zostać przyjaciółkami i sojuszniczkami.

Oceńnię, że dziewczyna jest parę lat młodsza od niej. Jedna z tych naiwnych i nieokrzesanych, które zazwyczaj są bystre, ale nie nauczyły się jeszcze wystarczająco dużo o życiu i ludzkiej naturze, by zrozumieć, że wszystko jest grą. Ale tego to już Rita ją nauczy.

Kiedy dziewczynie sprzykrzy się cerowanie skarpet od rana do wieczora, a pierwsze zatargi z personelem przysporzą jej problemów, będzie szukać pocieszenia u Rity. A Rita go jej udzieli. Obiecała sobie, że nim drzewa pokryją się liśćmi, one dwie udadzą się na wiosenną wycieczkę po Jutlandii. Przez Jutlandię do Hvide Sande, gdzie na pokładzie kutra rybackiego popłyną do Anglii. Jak na gigancie są dwie ładne dziewczyny, nie braknie chętnych do pomocy rybaków. Kto nie chciałby ich dwóch pod pokładem? O tak, już one rozhuśtają te kutry.

A kiedy dotrą do Anglii, nauczą się angielskiego i pójdą do pracy. I jeśli się odpowiednio postarają, kolejnym przystankiem będzie Ameryka.

Tak, Rita miała gotowy plan. Brakowało tylko osoby, z którą mogłaby go zrealizować.

Nie minęły trzy dni, a ta Nete już się wpakowała w kłopoty. Zadawała za dużo pytań, to wystarczyło. A że wyróżniała spośród tych wszystkich zdeformowanych

osobników i debili, jej pytania odbierano jako atak.

– Zachowuj się spokojnie – poradziła jej Rita na korytarzu. – Niech nie wiedzą, że jesteś bystra, to ci nigdy nie pomoże. Rób to, co mówią, i milcz. – Nagle chwyciła Nete i przyciągnęła ją do siebie. – Wydostaniesz się stąd, obiecuję ci, ale najpierw jedno pytanie: spodziewasz się, że ktoś cię tu odwiedzi na Jutlandii?

Tamta pokręciła głową.

– Czyli nie masz dokąd wracać, jeśli cię kiedyś stąd wypuszczą?

Widać było, że pytanie nią wstrząsnęło.

– O co ci chodzi z tym „kiedyś”?

– Chyba nie myślisz, że sobie stąd odejdziesz ot, tak? Wiem, że budynki są ładne, ale mimo wszystko to jest więzienie. I choć widać stąd fiord i pola, to od świata dzieli nas niewidzialny drut kolczasty. Nigdy go nie sforsujesz beze mnie, jestem tego kurewsko pewna.

Nete niespodziewanie parsknęła śmiechem.

– Tu nie wolno przeklinać – szepnęła, dając Ricie kuksańca.

Czyli była w porządku.

Wypaliwszy dwa papierosy, Rita spojrzała na zegarek. Była 10.58, czas włożyć głowę w paszczę lwa i wyłamać mu zęby.

Już miała krzyknąć do młodego mężczyzny, który teraz stał oparty o drzewo, by poczekał, aż ona wróci, ale wyobraziła sobie piękne włosy Nete i jej krągłe ciało i dała sobie spokój. Kutasy zawsze były na podorędziu. Wystarczyło pstryknąć palcami o jakiegokolwiek porze w każdym zakątku świata.

Nie rozpoznała głosu przez domofon, ale tego nie okazała.

– Neteee, jak cudownie znów cię słyszeć! – zawołała i napała na drzwi, gdy odezwał się brzęczyk. Może Nete rzeczywiście chorowała. W każdym razie tak to brzmiało.

Chwilowa i niespodziewana niepewność ulotniła się, gdy dawna znajoma otworzyła drzwi i stanęła w nich, patrząc na nią, jakby dwadzieścia sześć minionych lat było zaledwie podmuchem wiatru, a wszystkie wzajemne urazy zniknęły.

– Wejdz, Rito, jak ładnie wyglądasz. I dziękuję za punktualność – powiedziała.

Zaprowadziła ją do swego salonu i poprosiła, by usiadła. Wciąż miała duże, białe zęby i pełne usta. Wciąż te niebieskie oczy, których wyraz potrafił przejść z chłodu

w ogień, czego Rita nie spotkała u nikogo innego.

„Pięćdziesiąt lat i nadal piękna” – pomyślała, gdy Nete stała przy kredensie, obrócona tyłem do niej, i nalewała herbatę do filiżanek. Ładne, smukłe nogi w spodniach z kantem, obcisła bluzka ponad rozkołysanymi biodrami i pupa jędrna jak zawsze.

– Dobrze się trzymasz, moja piękna. Trudno mi uwierzyć, że chorujesz na coś, z czego miałabyś nie wyjść. Powiedz, że to nieprawda. Że to tylko trick, by mnie zwabić do Kopenhagi.

Nete obróciła się do niej z filiżankami w ręku i żarem w oczach, ale nie odpowiedziała. Wciąż ta sama milcząca gra jak kiedyś.

– Myślałam, że nie chcesz mnie więcej widzieć, Nete – ciągnęła, rozglądając się. Mieszkanie nie było urządzone za bogato jak na kobietę, która jak sprawdziła Rita, posiadała grube miliony. – Ale dużo o tobie myślałam, jak się pewnie domyślasz – dodała, spoglądając na dwie filiżanki.

Uśmiechnęła się. Dwie filiżanki to nie trzy.

Obróciła się do okna. Czyli nie było adwokata. Zapowiada się przyjemnie.

Pracownice personelu opiekuńczego od razu się zorientowały, że Rita i Nete się zaprzyjaźniły.

– Brakuje nam ludzi na oddziale dziecięcym – oświadczyły, zaopatrując je w łyżki.

Przez parę dni karmiły głęboko upośledzone większe dzieci, przypinane do kaloryferów, jako że nie potrafiły samodzielnie siedzieć przy stole. Była to okropnie brudna praca, którą wykonywano nieco na uboczu, by przygnębiający widok nie kłuł nikogo w oczy. A gdy ich wysiłki, by twarze dzieci były czyste jak łąza, dowiodły, że są wystarczająco dorosłe do tego zadania, w nagrodę pozwolono im zadbać również o czystość drugiego końca ich układu trawiennego.

Rita wymiotowała, bo wychowała się w środowisku, gdzie kupy widywano tylko wtedy, gdy raz na jakiś czas wybiła kanalizacja. Natomiast Nete wycierała pupy i wyzymała zabrudzone pieluchy, jakby nic innego w życiu nie robiła.

– Gówno to gówno – mówiła. – Właśnie wśród gówna się wychowałam.

I opowiedziała o krowich plackach, świńskich kupach, końskich odchodach i dniach tak długich, że posadka w ośrodku była w porównaniu z nimi jak wakacje.

Ale Nete dobrze wiedziała, że to nie wakacje. Widać to było po cieniach pod jej

oczami, słyhać było, gdy przeklinała lekarza, który oszukał ją, uznając ją za głupią za pomocą swojego idiotycznego testu na inteligencję.

– Jak sądzisz, czy któryś z lekarzy w Brejning wie, jaka to różnica wstać do dojenia krów o czwartej rano zimą i latem? – piekliła się, gdy raz na jakiś czas pojawił się między nimi jakiś biały fartuch. – Że znają zapach w oborze, jak któraś z krów ma zapalenie macicy, które nie chce samo przejść? Na pewno nie. Więc niech nie robią ze mnie idiotki tylko dlatego, że nie wiem, kto jest królem Norwegii.

Po dwóch tygodniach wycierania dzieciom buzi i pup wolno im było wychodzić z oddziału dziecięcego, kiedy im się podobało. A Rita rozpoczęła swoją krucjatę.

– Jak tam, Nete, byłaś u ordynatora? – pytała każdego ranka. – Czy może rozmawiałaś z jakimś innym lekarzem? Ordynator w ogóle napisał ten swój wniosek do rady gminy? Zaglądał do ciebie? – Brzmiało to jak salwy z broni maszynowej.

Kiedy minął kolejny tydzień, Nete miała dość.

Tego dnia, po przerwie na lunch, przesunęła wzrokiem po skośnookich twarzach, zgarbionych plecach, krótkich nogach i uciekających oczach. Zaczynało to do niej docierać.

Była jedną z tych, którymi się opiekowała, a nie chciała tego.

– Chcę rozmawiać z ordynatorem – powiedziała do jednej z pielęgniarek, która przeszła obok, kręcąc głową. A gdy powtórzyła manewr parokrotnie i nikt nie chciał jej wysłuchać, wstała i wrzasnęła ze wszystkich sił.

W sukurs przyszło jej doświadczenie Rity.

– Jeśli nie przestaniesz, to rzeczywiście porozmawiasz z ordynatorem. Ale zanim to się stanie, przez ładnych parę dni poleżysz przypięta do łóżka i będą ci dawali zastrzyki, żebyś się nie darła, masz to jak w banku.

Nete odchyliła głowę do tyłu, by nadać swojemu przesłaniu jeszcze większą siłę, ale Rita ją chwyciła.

– Jedyńm sposobem wydostania się stąd dla dziewczyn takich jak ty i ja jest albo ucieczka, albo poddanie się sterylizacji. Wiesz, jak szybko potrafią wyselekcjonować te do sterylizacji spośród tych, którym się upiecze? Wiem, że w zeszłym tygodniu ordynator z psychologiem przebadali piętnaście dziewczyn w dziesięć minut. Jak myślisz, ilu z nich się udało? Kiedy sprawy są rozpatrywane

przez komisję przy ministerstwie polityki społecznej, to możesz być pewna, że zdecydowana większość wylądaje w szpitalu w Vejle. Dlatego spytam cię jeszcze raz, Nete. Czy istnieje ktoś poza ośrodkiem, kogo ci będzie brakować? Bo jeśli nie, to ucieknij ze mną, zaraz jak podamy dzieciom kolację.

Wydarzenia kolejnych dwóch tygodni potoczyły się błyskawicznie.

Tego samego dnia ukradły białe bluzki i spódnice i wyszły przez bramę jak wszyscy pracownicy. Czmychnęły w krzaki, a potem godzina za godziną oddalały się coraz bardziej od ośrodka. Następnego ranka wybiły okno w domu parterowym, gdy jego mieszkańcy zapewne pracowali w obejściu, znalazły trochę ubrań i pieniędzy i uciekły.

Dotarły do Silkeborga w przyczepce motocykla; policja zobaczyła je po raz pierwszy, kiedy stały na drodze, łapiąc autostop do Viborga.

Szalony bieg po leśnych ścieżkach i znów były bezpieczne. Potem spały przez trzy dni w chatce myśliwskiej, żywiąc się sardynkami z puszek.

Rita przystawiała się do Nete każdej nocy. Przytulała się do jej śnieżnobiałej skóry i kładła rękę na jej piersi, ale Nete ją odpychała, mówiąc, że istnieją tylko dwa typy ludzi i dlatego jeśli dwie osoby tego samego rodzaju śpią ze sobą, to jest to nienaturalne.

Trzeciego dnia lał lodowaty deszcz i skończyło się jedzenie w puszkach. Stały przy drodze przez trzy godziny, zanim kierowca samochodu chłodni zlitował się nad dwiema zmokłymi kurami i pozwolił im się wytrzeć bawełnianymi ściereczkami w sfoferce. Oczywiście strasznie się gapił, ale jednak dowiózł je do Hvide Sande.

Rzeczywiście trafiły na szypra kutra rybackiego z błyskiem w oku, który aż się palił, by je zabrać z sobą na łowiska. A jeśli będą miłe, to z przyjemnością popłynie z nimi na otwarte morze i przekaże jakiejś równie samotnej angielskiej załodze, by mogły udać się dalej. W każdym razie tak twierdził.

Kiedy polecił im oddać mu się do dyspozycji, Nete pokręciła głową, więc musiał się zadowolić Ritą. Po parogodzinnym zabawianiu się z nią zadzwonił do brata, który był policjantem w Nørre Snede.

Zrozumiały, co się stało, dopiero kiedy dwóch osiłków z policji w Ringkøbing zakłuło je w kajdanki i poprowadziło do radiowozu.

Gdy następnego poranka wróciły do Instytutu Kellera w Brejning, zarówno Nete, jak i Rita doczekały się w końcu rozmowy z ordynatorem.

– Jesteś wstrętną i nieodpowiedzialną dziewczyną, Rito – rzekł surowo. – Mało, że nadużyłaś zaufania personelu, to jeszcze przysłużyłaś się sobie w najgorszy możliwy sposób. Masz zepsuty charakter, jesteś głupia, kłamliwa i zdeprawowana seksualnie. Jeśli puszczyć wolno takiego aspołecznego osobnika jak ty, będziesz odbywać stosunki seksualne z kim popadnie i wkrótce społeczeństwo będzie musiało się zajmować podludźmi, których spłodzisz. Dlatego dziś napisałem w twoim orzeczeniu, że będziesz leczona przymusowo, dopóki coś do ciebie nie dotrze.

Nieco później tego samego dnia Rita i Nete siedziały na tylnym siedzeniu czarnego citroena z zablokowanymi drzwiami. Na przednim siedzeniu leżały orzeczenia ordynatora, a celem podróży była wyspa Sprogø. Jechały na wyspę wyklętych kobiet.

– Nie powinnam była cię słuchać – szlochała Nete, gdy jechały przez Fionię. – To wszystko twoja wina.

– Gorzkawa – powiedziała, wzięwszy pierwszy łyk. – Może masz jakąś kawę?

Na twarzy gospodyni pojawił się nagle dziwny wyraz. Jakby Rita dopiero co podała jej prezent i zabrała go z powrotem, gdy Nete po niego sięgnęła. Nie tylko rozczarowanie. Coś większego i głębszego.

– Nie, Rito, niestety, nie mam w domu kawy – odparła Nete matowym głosem, jakby jej świat miał legnąć w gruzach.

„Teraz proponuję, że zrobi jeszcze jedną herbatę” – pomyślała Rita, bawiąc się w duchu tym, z jaką powagą Nete podchodzi do roli gospodyni.

Ale Nete niczego nie proponowała. Siedziała po prostu w miejscu, jakby wszystko nagle zaczęło się dziać w zwolnionym tempie.

Rita pokręciła głową.

– Nieważne. Masz może mleko, to trochę dolejemy? Na pewno coś to da – mówiła. Zdziwiła ją nieskrywana ulga, która odmalowała się na twarzy gospodyni.

– Oczywiście – odparła Nete, zrywając się do kuchni. – Zaraz wracam! – zawołała z głębi mieszkania.

Rita spojrzała na kredens, gdzie stał dzbanek z herbatą. Dlaczego nie postawiła go na stole? Ale może to niestosowne, kiedy chce się być gospodynią doskonałą. O takich rzeczach Rita nie miała zielonego pojęcia.

Przez chwilę zastanawiała się, czy może nie poprosić o kieliszeczek tego likieru

czy czegoś tam, co znajdowało się w małej karafce przy dzbanku, ale wtedy wparowała Nete z dzbanuszką mleka i dołała jej go z uśmiechem znacznie bardziej wymuszonym, niż wymagała tego sytuacja.

– Cukru? – spytała jeszcze.

Rita pokręciła głową. Nagle Nete wydała jej się rozgorączkowana, zupełnie jakby się spieszyła, i to Ritę zaciekało. Czy to po prostu rytuał, który trzeba mieć z głowy, zanim tamta w końcu wyciągnie do niej rękę, okaże zainteresowanie i powie, jak się cieszy, że Rita przyjęła jej zaproszenie? Czy to coś zupełnie innego?

– A gdzie ten adwokat, o którym pisałaś? – spytała Rita ze stosownym uśmiechem na wargach. Uśmiechem, który nie został odwzajemniony, zresztą zgodnie z jej przewidywaniem.

Zdażyła już przejrzeć Nete. Nie ma żadnego adwokata, nie dostanie tych dziesięciu milionów, a Nete wcale nie jest chora.

W takim razie należało dobrze to rozegrać, jeśli podróż ma się okazać warta zachodu.

„Uważaj na nią, ona coś knuje” – powiedziała Rita do siebie i skinęła głową, gdy Nete odparła, że adwokat się spóźnia i dotrze lada chwila.

Śmiechu warte. Taka piękna i bogata, a tak łatwo ją przejrzeć.

– To co, kto wypije do dna? – zaśmiała się Nete nagle, unosząc swoją filiżankę.

„Ja nie mogę, co za zmiana nastroju” – pomyślała zdezorientowana Rita, gdy nagle powróciły do niej obrazy z przeszłości.

A niech to cholera, naprawdę Nete to pamięta? Rytuał, kiedy raz na jakiś czas dziewczyny pozostawały bez dozoru podczas obiadu i nikt ich nie uciszał. Siedziały wtedy w jadalni, udając, że są wolne i że znajdują się w parku rozrywki Dyrehavsbakken, trzymając wysokie szklanki z piwem i robiąc to, na co mają ochotę.

„Kto wypije do dna?” – krzyczała zawsze w takich sytuacjach Rita, po czym wlewały w siebie wodę z kranu. I wszystkie się wtedy śmiały oprócz Nete, która siedziała w kącie, wyglądając przez okno.

Coś takiego, serio tego nie zapomniała?

I Rita uśmiechnęła się do niej, czując, że ten dzień mimo wszystko będzie udany, po czym podniosła filiżankę do ust i wypila zawartość jednym haustem.

– JA wypięłam! – zawołały zgodnym chórem i roześmiały się głośno, a Nete podeszła do kredensu, by dolać herbaty.

– Ja już dziękuję. – Rita się zaśmiała. – Że też to pamiętasz – ciągnęła, powtarzając ich okrzyk bojowy. – Tak, wtedy faktycznie się działo.

Opowiedziała kilka historii o numerach, które ona i parę innych dziewczyn zawsze wykręcały na wyspie.

Pokiwała głową sama do siebie. To dziwne, jak atmosfera w tym mieszkaniu potrafiła nagle przywołać tyle wspomnień. Dziwne, że wcale nie tych złych.

Nete odstawiła swoją filiżankę na stół i zaśmiała się innym tonem, jakby za zabawą kryło się coś jeszcze, ale nim Rita zdążyła zareagować, tamta utkwiała w niej intensywne spojrzenie i powiedziała spokojnie:

– Nie owijajmy w bawełnę, Rito. Jestem pewna, że miałabym całkiem normalne życie, gdyby nie ty. Gdybyś zostawiła mnie w spokoju, nigdy nie trafiłabym na Sprogø. Szybko się nauczyłam, jak należy się zachowywać w ośrodku. Gdybyś nie spaliła za sobą wszystkich mostów, lekarze zrozumieliby, że jestem normalna i wypuściliby mnie. Zrozumieliby, że to nie ja jestem aspołeczna, tylko moje środowisko. Że nie mają się czego bać z mojej strony. Dlaczego nie zostawiłaś mnie po prostu w spokoju?

„A więc o to chodzi” – pomyślała Rita. Czy Nete chciała rozprawić się z przeszłością? W takim razie źle trafiła. Zanim Rita zawróci furę z powrotem do Kolding, ta mała zdzira zwróci jej dziesięciokrotną wartość podróży i to, kurwa, z nawiązką.

Odchrząknęła. Chciała powiedzieć, że herbata smakowała gównianie i że Nete nigdy nie udałoby się wydostać ze Sprogø i z Brejning bez uprzedniej sterylizacji. I że jest zasraną wywłoką, która po prostu powinna wziąć odpowiedzialność za własne czyny, ale w tej chwili Ricie potwornie zaschło w ustach.

Złapała się za gardło. Dziwne wrażenie, zupełnie jakby miała atak alergii, jak wtedy, gdy zjadła coś zawierającego skorupiaki albo jakby ugryzła ją osa. Nagle skóra zaczęła ją piec, jakby dotknięta pokrzywą, a światło – razić ją w oczy.

– Co, do cholery, było w tej herbacie? – jęknęła, rozglądając się z dezorientacją. Teraz palił ją też przętyk; kiepsko to wyglądało.

Tuż przed nią wyrosła jakaś postać i podeszła bliżej. Głos miała łagodny, choć dziwnie pusty.

– Dobrze się czujesz, Rito? – spytał. – Nie sądzisz, że powinnaś się oprzeć na krześle? Boję się, że z niego spadniesz. Wiesz co, zadzwonię po lekarza. Może to udar. W twoich źrenicach widać szaleństwo.

Rita łąpała powietrze. Miedziane naczynia na półkach zaczęły jej tańczyć przed oczami, a uderzenia serca w klatce piersiowej najpierw przybrały na sile, a potem osłabły.

Wyciągnęła w stronę stojącej przed sobą postaci ciężką jak ołów rękę. Przez krótką sekundę przypominała ona zwierzę, stojące na tylnych łapach i wyciągające ku niej pazury.

Wtedy ręka opadła, a serce na chwilę niemal przestało bić.

A gdy postać stojąca przed nią zniknęła, zniknęło również światło.

Listopad 2010

Obudziła go promieniami słońca i tak głębokimi dołeczkami na policzkach, że można się było w nich schować.

– Musisz się zbierać, Carl. Jedziesz z Assadem na Fionię.

Pocałowała go i całkiem odsłoniła rolety. Widać było, że jej ciało stało się zwiewniejsze po nocnych szaleństwach. Ani słowa o tych czterech razach, kiedy musiał pędzić do toalety, żadnych zawstydzonych spojrzeń po tym, jak być może przekroczył w jej mniemaniu wiele różnych granic. Była kobietą niezależną i okazała mu, że należy do niego.

– Proszę, Carl. – Postawiła obok niego tacę. Rozkoszne zapachy, a pośrodku tych pokus leżał klucz.

– Jest twój – odrzekła, nalewając kawy. – Używaj go z rozwagą.

Podniósł go i zważył w ręce. „Zaledwie dwa i pół grama, a jednak droga do raju” – pomyślał.

Obrócił małą plastikową zawieszkę, do której był przyczepiony, i przeczytał napis drukowanymi literami: „Klucz kochanka”.

Jakoś nie był zachwycony tą etykietą.

Wyglądała na nieco zbyt zużyta.

Dzwonili do Mie Nørvig czterokrotnie, za każdym razem na próżno.

– Sprawdzimy, czy są w domu – oświadczył Carl, gdy wóz służbowy zbliżał się do Halsskov i mostu na Wielkim Bełcie.

Dom wyglądał jak przyczepa campingowa przygotowana do snu zimowego. Zamknięte okiennice, podjazd świecący pustkami, nawet wodę zakręcili – skonstatował Carl, odkręciwszy kran węża ogrodowego.

– Stąd też nic tak nie widać – zameldował Assad z nosem wciśniętym między okiennice na tyłach domu.

„Do diaska” – pomyślał Carl. Czyli zwierzyna dała dyla.

– Możemy się włamać – zaproponował Assad, wyjmując z kieszeni scyzoryk. Ten to nie ma żadnych zahamowań.

– Na Boga, Assad, włóż to z powrotem do kieszeni. Zajrzymy tu w drodze powrotnej. Może wróć.

Jednak sam w to nie wierzył.

– Tam jest Sprogø. – Carl wskazał punkt między stalowymi linami mostu na Wielkim Błęcie.

– Nie wygląda tak źle jak kiedyś – zauważył Assad, opierając nogi o deskę rozdzielczą. Czy ten człowiek nie może siedzieć normalnie w samochodzie?

– Skręcimy tutaj – powiedział Carl, kiedy dotarli do wyspy i zjazdu. Skręcił z pasa prosto w szlaban, który wyglądał na zamknięty na głucho. – Chodź, tu się zatrzymamy – rzekł Carl.

– No tak, a co potem? Będziesz musiał się wycofać i wrócić na autostradę, czy ty się dobrze czujesz?

– Włączę koguta, jak będę cofał, więc ludzie będą musieli mnie ominąć. No chodź, Assad. Jeśli zadzwonimy po pozwolenie, to zleci nam cały dzień.

Nie minęły dwie minuty, a już coś się zaczęło dziać. W ich stronę zmierzała zdecydowanym krokiem krótkowłosa kobieta ubrana w jaskrawopomarańczową kurtkę z odblaskowymi pasami biegnącymi w poprzek i bardzo eleganckie buty na wysokim obcasie. Połączenie skłaniające do refleksji.

– Nie wolno się tu zatrzymywać, proszę natychmiast stąd odjechać! Za chwilę otworzymy szlabany, byście mogli pojechać dalej na Fionię albo wrócić na Zelandię, i to szybko.

– Carl Mørck, Departament Q – odrzekł cierpko, pokazując jej odznakę. – To mój asystent, prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa. Ma pani klucze do tego miejsca?

Odniosło to rzeczywiście pewien skutek, ale jakiś autorytet jednak miała, bo cofnęła się parę kroków i przyłożyła ucho do swojej krótkofalówki. Po chwili pertraktacji obróciła się do nich z całą powagą urzędu spoczywającą ciężko na jej barkach.

– Proszę. – Podała im krótkofalówkę.

– Carl Mørck, Departament Q, Komenda Główna Policji w Kopenhadze, z kim rozmawiam?

Mężczyzna po drugiej stronie się przedstawił. Najwidoczniej jakaś gruba ryba ze spółki Połączenia przez Wielki Bełt z biurem w Korsør.

– Nie może pan tak po prostu przyjeżdżać na Sprogø bez uprzedniej weryfikacji – zakomunikował zwięźle.

– Wiem. Podobnie jak nie mogę celować pistoletem w sprawcę masakry, jeśli nie jestem z wykształcenia policjantem, do tego na służbie, co? Takie jest życie, prawda? Doskonale rozumiem pana stanowisko. Ale tak się akurat składa, że mamy pełne ręce roboty ze śledztwem w sprawie wyjątkowo odrażających czynów, które prawdopodobnie mają źródło tu na Sprogø.

– Czyli?

– Nie mogę tego panu powiedzieć. Ale zapraszam do kontaktu z komendantem policji w Kopenhadze. Na pewno uzyska pan swoją weryfikację w ciągu dwóch minut.

Był to drobny eufemizm, zważywszy, że czasami dodzwonienie się do biura komendanta zajmowało kwadrans, jako że byli tam ostatnio diabelnie zajęci.

– W takim razie tak właśnie zrobię.

– O, jak wspaniale, bardzo panu dziękuję, jesteśmy wdzięczni – odparł Carl, wyłączył krótkofalówkę i ją oddał.

– Dał nam dwadzieścia minut – rzekł do ubranej na pomarańczowo kobiety. – Jeśli zdążyłaby pani nas w tym czasie oprowadzić, to chciałbym dowiedzieć się wszystkiego, co pani wie o czasie, kiedy na wyspie znajdował się zakład dla kobiet.

Ich przewodniczka wyjaśniła, że z pierwotnego układu niewiele się ostało ze względu na liczne przebudowy.

– Na samym końcu wyspy znajdował się mały domek „Wolność”, gdzie kobiety mogły przebywać przez tydzień w godzinach dziennych. To były ich wakacje. Właściwie to w dawnych czasach było miejsce kwarantanny dla marynarzy, którzy zapadli na dżumę, ale dziś już go nie ma – ciągnęła, prowadząc ich na zamknięty podwórzec, na którym ogromne drzewo rzucało cień na bruk.

Carl rozejrzył się po czterech otaczających go skrzydłach budynku.

– Gdzie mieszkwały dziewczyny? – spytał.

Wskazała na górę.

– Tam, gdzie te małe okna dachowe. Ale wszystko zostało przebudowane. Dziś organizuje się tu kongresy i tego typu rzeczy.

– Czym zajmowały się tu dziewczęta? Mogły same o tym zdecydować?

Wzruszyła ramionami.

– Nie sędę. Uprawiały warzywa, kosiły zboże, doglądały zwierząt. A tam była szwalnia – dodała, wskazując na wschodnie skrzydło. – Upośledzone umysłowo były całkiem dobre w pracach ręcznych.

– Dziewczyny były upośledzone umysłowo?

– Tak, w każdym razie tak się mówi. Ale na pewno nie wszystkie. Chcecie zobaczyć karcer? Wciąż istnieje.

Carl skinął głową. Z wielką ochotą.

Przeszli przez jadalnię wyłożoną wysokimi niebieskimi panelami z drewna; roztaczał się z niej piękny widok na wodę.

Machnęła ręką.

– Tutaj dziewczęta przebywały tylko podczas posiłków. Personel jadał w sali obok. Integracja nie była wskazana. Na drugim końcu budynku mieszkała dyrektorka i jej zastępczyni, ale obecnie wszystko jest już przerobione. Zapraszam na górę.

Poprowadziła ich stromymi schodami do skromniejszych wnętrz. Długa umywalka z lastrykiem po jednej stronie i wąskim korytarzykiem i mnóstwem drzwi po drugiej.

– Nie miały zbyt wiele miejsca, zważywszy, że mieszkały po dwie w pokoju. – Wskazała pomieszczenie o niskim sklepieniu i ze skosami.

Następnie otworzyła drzwi do podłużnego stryżku ze zmagazynowanymi meblami, półkami, haczykami i mnóstwem rupieci.

– Tutaj dziewczyny mogły trzymać to, co nie mieściło się w pokojach – poinformowała.

Pomarańczowa kurtka poprosiła, by wrócili na korytarz, i wskazała nieduże drzwi tuż obok, wyposażone w dwa masywne zamki.

– Tutaj mamy karcer. Wtrącano tu niesubordynowane dziewczęta.

Carl wspiął się po paru schodkach i przez niskie drzwi z desek wszedł do pomieszczenia tak małego, że można było w nim tylko leżeć, i to w jednej pozycji.

– Przebywały tu przez parę dni albo dłużej. Czasami je przypinano, a jeśli były niezdyscyplinowane, dawano im zastrzyki. Nie miały tu wesoło.

Zdecydowanie oględnie powiedziane. Carl obrócił się do kolegi, który stał ze

zmarszczonymi brwiami i wyglądał kiepsko.

– Dobrze się czujesz, Assad?

Ten skinął powoli głową.

– Widziałem już po prostu takie ślady.

Wskazał na wewnętrzną stronę drzwi, na których warstwa farby nie zdołała zakryć głębokich wyłobień.

– One zostały wydrapane, Carl, możesz mi wierzyć.

Zataczając się, wyszedł z pomieszczenia i przez chwilę stał, opierając się o ścianę.

Może któregoś dnia zechce opowiedzieć, co go gryzie.

W tym momencie rozległ się sygnał krótkofalówki ich przewodniczki.

– Tak? – Wyraz jej twarzy zmienił się w ciągu dwóch sekund. – Oczywiście, przekażę. – Włożyła krótkofalówkę za pasek, przybierając bardzo zranioną minę. – Mam przekazać od mojego szefa, że nie dodzwonił się do komendanta policji i że paru moich kolegów widziało nas na monitorach, jak przechadzamy się po tutejszym terenie. Mówi, że macie stąd zniknąć. A ja dodam, że natychmiast.

– Przykro mi. Może pani powiedzieć, że panią wkręciliśmy. Ale dziękuję, widzieliśmy wystarczająco dużo.

– Dobrze się czujesz, Assad? – spytał po dłuższym milczeniu w drodze przez Fionię.

– Tak, tak, nie przejmuj się. – Poprawił się na siedzeniu. – Masz po prostu zjechać na zjeździe pięćdziesiąt pięć – dodał, wskazując na mapkę na nawigacji.

Ten mały pleciuga ani myślał się zwierzać z własnej inicjatywy.

– Za sześćset metrów skręć w prawo – polecił głos nawigacji.

– Nie musisz mnie pilotować, Assad, GPS sam sobie poradzi.

– A teraz musimy wjechać na trzysta dwadzieścia dziewięć do Hindevad – ciągnął jego pomocnik, niezrażony. – Stamtąd jest już tylko jakieś dziesięć kilometrów do Brenderup.

Carl westchnął. Brzmiało to tak, jakby mieli o dziesięć kilometrów za dużo.

Po dodatkowych komentarzach, padających co dwadzieścia sekund, Assad w końcu wskazał na cel podróży.

– To w tym domu mieszkał Tage – rzekł na dwie sekundy przed tym, jak nawigacja się z nim zgodziła.

Dom to dużo powiedziane. Raczej pociągnięty czarną bejcą drewniany barak, posklejany z resztek, począwszy od gazobetonu, a skończywszy na płytach eternitowych. Słaje w drewnie ciągnęły się od fundamentów aż po nadszarpnięty przez pogodę dach z blachy falistej. „Ozdobą miasta to on nie jest” – pomyślał Carl, wysiadając i wygładzając spodnie.

– I jesteś zupełnie pewien, że ona nas oczekuje? – spytał, zadzwoniwszy do drzwi po raz piąty.

Assad kiwnął głową.

– Tak, tak. Przemiała kobieta, wnioskując z rozmowy telefonicznej. Trochę się jąkała, ale się umówiliśmy.

Carl skinął głową. „Przemiała kobieta, wnioskując z rozmowy telefonicznej”. Ten człowiek naprawdę podciągnął się z duńskiego.

Usłyszeli atak kaszlu na schodach; zawsze to jakiś przejaw życia.

Utrzymujący się kaszel spowodowany był papierosami, kocią sierścią i oddechem alkoholowym, ale mimo tych oczywistych utrudnień i faktu, że budynek totalnie nie nadawał się na mieszkanie, podstarzała istota o nazwisku Mette Schmall posiadała umiejętność poruszania się po tym przybytku z elegancją pani na zamku Havreholm.

– Ttto znaczy, Tage i ja, nie b-b-byliśmy, ma... ma... małżeństwem, ale a-a-advokat wiedział, że mie... mie... mieszkam w tym d-d-domu, czyli nnie było to nie... niewłaściwe i dlatego g-g-go dostałam. – Zapaliła papierosa, na pewno nie pierwszego tego dnia.

– K-k-kosztował dziesięć ty...ty...tysięcy koron, t-t-to było cholernie d-d-dużo pie...pieniędzy w t-t-tysiąc dziewięćset dzie...dzie...dziewięćdziesiątym czwartym, kiedy w k-k-końcu ustalono jego status.

Carl rozejrzał się wokół. O ile go pamięć nie myliła, w tamtym czasie kamera wideo kosztowała jakieś dziesięć tysięcy koron i jak na kamerę, to było wówczas dość dużo, ale na dom? Zdecydowanie nie. Z drugiej strony kto nie wolałby kamery zamiast tej sterty podwędzonych skądś materiałów budowlanych?

– Tage m-m-mieszkał tu – powiedziała, przesuwając na bok parę kotów z zadartymi ogonami. – Nigdy t-t-tu nie w-w-wchodzę. Czuję, że to niewłaściwe.

Pchnęła drzwi zaklejone starymi reklamami różnych firm produkujących smary, a gdy weszli do środka, owionął ich odór znacznie gorszy niż ten, który dotąd im

towarzyszył.

Assad odszukał drzwi na dwór i zidentyfikował źródło smrodu: pięć butelek w kącie przy łóżku, w każdej znajdowała się resztką moczu. Wnioskując po butelkach, pierwotnie były pełne, bo na ściankach pozostał osad po odparowanej reszcie.

– N-n-no tak. Powinam je b-b-była wyrzucić – stwierdziła kobieta i cisnęła je w chwasty przed domem.

Znajdowali się w czymś rodzaju warsztatu dla rowerów i skuterów. Mnóstwo narzędzi i starych rupieci, a pośrodku tego wszystkiego stało łóżko, na którym pościel miała mniej więcej taką samą barwę jak poplamiona smarem podłoga.

– Tęże pani nie mówił, dokąd jedzie, gdy wyruszał tamtego dnia?

– Nie, nagle z-z-zrobił się ba...ba... ba... bardzo tajemniczy.

– Okej, możemy się rozejrzeć?

Pokazała gestem, że jej lokum należy do nich.

– Odkąd byli tu w-w-wtedy miejscowi policjanci, nikt tutaj nie w-w-wchodził – dodała, poprawiając kapę na łóżku. Na niewiele się to zdało.

– Ładne plakaty – stwierdził Assad, pokazując na dziewczyny z plakatów „Rapportu”.

– Tak, to było przed erą silikonu, depilacji i tatuaży – mruknął Carl i sięgnął po stertę różnych papierów, pyszniących się na wytłaczance do jajek wypełnionej kulkami z łożysk.

Trudno było uwierzyć, że jakikolwiek element tego bajzlu mógł powiedzieć im coś nowego o losie Tagego Hermansena.

– Czy Tage kiedykolwiek wspomniał osobę o nazwisku Curt Wad? – spytał Assad.

Pokręciła głową.

– Aha. A o kim mówił, pamięta pani?

Znów pokręciła głową.

– O n-n-nikim. Mówił głównie o kreidler florettach, puchach i SCO-ach.

Assad sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

– To marki motorowerów, Assad. Brrrum, brrrum, wiesz – wyjaśnił Carl, kręcąc wyobrażonymi manetkami gazu.

– Czy Tage zostawił po sobie jakieś pieniądze? – ciągnął Carl.

– Ani jednej ko...ko... korony, nie.

– Miał jakichś wrogów?

Jej śmiech przeszedł gładko w atak kaszlu. Gdy już się wykaszlała i otarła oczy, spojrzała na Carla znacząco.

– Jak p-p-pan myśli? – Potoczyła ręką po pomieszczeniu. – To tutaj to nie jest oczko w głowie obywateli.

– Okej, na pewno ludziom zależało, by zrobić coś z tym miejscem, ale niewiele się od tamtego czasu tu zmieniło, czyli to nie mogło być powodem jego zniknięcia, prawda? Przychodzi pani na myśl jakiś motyw, pani Schmall?

– Ż-ż-żaden.

Spostrzegł, że Assad grzebie przy rozkładówkach „Rapportów”. Chyba nie zamierza zabierać ich ze sobą?

Carl się obrócił i spojrzał prosto na kopertę, którą Assad trzymał mu przed nosem.

– Wisiała tam.

Assad wskazał na pinezkę tkwiącą w płycie izolacyjnej tuż nad jedną z nagich pań.

– Widać dziurę. Koperta była przypięta dwiema pinezkami, sam zobacz.

Carl zmrużył oczy. Jeśli Assad tak mówił, to na pewno tak było.

– I jedna pinezka wyleciała, więc koperta wpadła do połowy za ten plakat i wisiała na drugiej pinezce.

– Co jest ciekawego w tej kopercie? – spytał Carl, biorąc ją do ręki.

– Jest pusta, ale poczytaj z tyłu – odparł Assad.

Carl przeczytał:

– „Nete Hermansen, Peblinge Dossering 32, 2200 Kopenhaga N”.

– Tak, Carl. Odwróć ją i popatrz na stempel pocztowy.

Zrobił tak. Był zamazany, ale wciąż czytelny.

28/8 1987. Zaledwie tydzień przed zniknięciem Tagego.

Nie wiadomo, czy to w ogóle coś znaczy, bo przecież siłą rzeczy zawsze znajdowało się przedmioty wiążące się z okresem bezpośrednio przed zniknięciem ich właściciela. Nikt przecież nie porządkował swoich rzeczy przed własnym zaginięciem. Chyba że miał ku temu szczególny powód, na przykład wiedział, że zaginie.

Carl spojrzął na Assada. Nietrudno było się zorientować, że przez głowę przewijały mu się teraz tysiące myśli.

– Dzwonię do Rose – rzucił, wpisując jej numer. – Musi się dowiedzieć o tej kopercie, po prostu musi.

Carl potoczył wzrokiem po pomieszczeniu. Jeśli jest koperta, to musi być też list. Może zawieruszył się za plakatem, może pod łóżkiem albo w koszu na śmieci. Muszą to wszystko gruntownie przeszukać.

– Wie pani w ogóle, kim jest ta Nete Hermansen, pani Schmall? – spytał.

– Nie. Ale z-z-z tym na...na...nazwiskiem, to p-p-pewnie rodzina.

Po godzinie bezowocnego szperania w rzeczach Tagego i czterdziestopięciominutowej podróży przez Fionię dotarli znów do ogromnego mostu łączącego Fionię i Zelandię, którego pylony niemal sięgały chmur.

– Znów ta główniana wyspa – zauważył Assad, wskazując Sprogø wyłaniającą się przed nimi z mgły.

Spoglądał na nią w milczeniu przez kilka chwil, po czym zwrócił się do Carla.

– A co, jeśli Herberta Sønderskova i Mie Nørvig nadal nie ma w domu?

Carl spojrzął na wyspę, nad którą przejeżdżali. Wyglądała na pogrążoną w spokoju, jakby dawała wsparcie mostowi. Latarnia morska, górująca swoją bielą na zielonym wzgórzu, piękne, pochowane żółte budynki, zielone łąki i rozbuchane krzewy.

Rose nazwała ją przedsionkiem piekieł i Carl poczuł nagle, jak między balustradami autostrady pełza zło, a duchy przeszłości wyrastają przed nim z ranami na duszy i na bezpłodnych brzuchach. Czy państwo duńskie rzeczywiście sankcjonowało, ba, promowało tego typu nadużycia, za zgodą dobrze wykształconych lekarzy i fachowców z opieki społecznej? Trudno to było pojąć. A jednak. Przecież i w dzisiejszej Danii zdarzały się równie jaskrawe przypadki dyskryminacji. Widać po prostu jeszcze nie dojrzały do tego, by przerodzić się w skandale.

Pokręcił głową i przyspieszył.

– Co mówileś, Assad?

– Spytałem: Co, jeśli Herberta Sønderskova i Mie Nørvig nie ma w domu?

– Wówczas pozostaje nam scyzoryk, który masz w kieszeni.

Assad skinął głową; czyli się zgadzają. Muszą dobrać się do tych przeklętych

kartotek, by sprawdzić, o co chodziło w sprawie Hermansen, o której mówiła Mie Nørvig. Z nakazem przeszukania czy bez; zresztą i tak by go nie uzyskali, nawet gdyby o niego wystąpili.

Rozdzwoniła się komórka Carla i przełączył ją na tryb głośnomówiący.

– Tak, Rose, gdzie jesteś? – spytał.

– Przyjechałam na komendę, jak Assad zadzwonił. Lepsze to niż siedzieć w Stenløse i gapić się przed siebie. Zdążyłam już się rozeznać w sprawie – odparła bardzo podekscytowana. – I mówię wam, ale jestem zszokowana. Wyobraźcie sobie, że pod tym adresem na Nørrebro nadal mieszka niejaka Nete Hermansen. Super, co nie?

Assad uniósł kciuk w górę.

– Okej, pewnie teraz jest już starszą panią.

– Tak, jeszcze tego nie sprawdzałam, ale widzę, że w pewnym momencie była zarejestrowana pod tym adresem jako Nete Rosen. Piękne nazwisko, co? Może należałoby sobie takie sprawić. Nazywałabym się Rose Rosen, ślicznie brzmi, prawda? Może ta babka mogłaby mnie adoptować. Nie ma szansy być gorsza niż moja matka.

Assad się zaśmiał, a Carl wstrzymał od komentarza. Oficjalnie nic nie wiedział o prywatnych relacjach Rose. Gdyby wyszło na jaw, że węszył wokół jej życia u jej rzeczywistej siostry Yrsy, byłaby afera.

– Dobrze, Rose. Później zajmiemy się tą informacją. Sprawdź w międzyczasie, jakie dane mamy na jej temat, dobrze? W tej chwili jesteśmy w drodze do Halsskov, chcemy zajrzeć do kartotek Nørviga. Jeszcze coś?

– Tak, mam już lepsze rozeznanie w dokonaniach Curta Wada, bo skontaktowałam się z dziennikarzem Sørenem Brandtem, który zgromadził to i owo w związku z tą partią, za którą stoi Curt Wad.

– Czyste Linie?

– Tak. Ale moim zdaniem linie nie były takie znów czyste w jego życiu prywatnym. Ogólnie rzecz biorąc, nie jest to przyjemniaczek. Przez dłuższy czas było w jego sprawie sporo zgłoszeń i spraw sądowych, ale – o dziwo – żadnych wyroków.

– Do czego nawiązujesz?

– Do różnych rzeczy, ale jeszcze się w nie nie wgryzłam. Søren Brandt prześle

mi coś więcej, a w międzyczasie muszę przebrnąć przez stare protokoły sądowe i powinniście się z tego cieszyć, bo nie jest to moje ulubione zajęcie.

Carl skinął głową. Jego też nie.

– Odnośnie do Curta Wada istnieje stara sprawa o gwałt, którą umorzono. Potem były jeszcze trzy różne sprawy założone przez instytucję Pomoc Prawna⁵. W sześćdziesiątym siódmym, siedemdziesiątym czwartym i ostatnia w dziewięćdziesiątym szóstym. Wielokrotnie zgłaszano go za wypowiedzi rasistowskie, za podżeganie do dyskryminacji; jest też zgłoszenie naruszenia własności prywatnej i wiele o pomówienie. Wszystkie umorzono i zaledwie kilka z gruntownym uzasadnieniem, jak twierdzi Søren Brandt. Z reguły uzasadnieniem był brak dowodów.

– Czy były zarzuty zabójstwa?

– Bezpośrednio nie, ale pośrednio owszem. W wielu przypadkach oskarżenia o przymusowe aborcje. Czy to nie zabójstwo?

– Może i tak. W każdym razie sprawa jest znacznie poważniejsza, jeśli kobieta nie wyraziła zgody na zabieg.

– Tak czy siak, mamy do czynienia z człowiekiem, który przez całe swoje życie radykalnie dzielił ludzi na podludzi i dobrych obywateli. Kiedy eleganccy państwo szukali u niego pomocy w kwestii niepłodności, był dobrym człowiekiem i zupełnym jego przeciwieństwem, kiedy pojawiali się u niego tak zwani podludzie z problemami z ciążą.

– Co się wtedy działo? – Carl uzyskał już pewne podpowiedzi od Mie Nørvig, może udałoby się je teraz potwierdzić.

– Jak mówiłam, nie zapadł żaden wyrok, ale Departament Zdrowia wielokrotnie przeprowadzał kontrole w jego gabinecie lekarskim, by sprawdzić, czy usuwał kobietom ciążę bez ich zgody i wiedzy.

Carl dostrzegł, że Assad kręci się na siedzeniu obok. Czyżby ktoś kiedyś nazwał go podczłowiekiem?

– Dzięki, Rose. Porozmawiamy o tym, jak wrócimy na komendę.

– Czekaj, Carl, jeszcze jedno: jeden z sympatyków Czystych Linii, niejaki Hans Christian Dyrmand z Sønderborga, właśnie popełnił samobójstwo. Dzięki temu nawiązałam kontakt z tym dziennikarzem, Sørenem Brandtem, bo napisał na swoim blogu, że może istnieć związek między niegdysiejszą działalnością Curta Wada

i tym, co zrobił Dyrmand.

– Głupie gnojki – warknął Assad, a w jego ustach były to naprawdę mocne słowa.

Dom w Halsskov był równie opustoszały co rano, więc Assad sięgnął do kieszeni i już wybierał się na tyły domu, kiedy Mørck go powstrzymał.

– Poczekaj chwilę, zostań w aucie, Assad – polecił i ruszył do bungalowu po drugiej stronie willowej uliczki.

Gdy pokazał swoją odznakę policyjną, kobieta wlepiała w nią przerażony wzrok. Czasami reakcja była właśnie taka, czasami z kolei odznakę opluwano.

– Nie, nie. Nie wiem, gdzie są Mie i Herbert.

– Zna ich pani prywatnie?

Trochę ochłonęła.

– Tak, przyjaźnimy się. Brydź raz na dwa tygodnie, wie pan.

– I nie ma pani pojęcia, gdzie ewentualnie mogliby przebywać? Domek letniskowy, dzieci, mieszkanie wakacyjne?

– Nie, nic z tych rzeczy. Od czasu do czasu gdzieś wyjadą i wtedy ja i mój mąż doglądamy ich kwiatków, jeśli nie ma ich córki. Taki handel wymienny, rozumie pan. My przecież też mamy kwiaty, które wymagają opieki, kiedy wyjeżdżamy.

– Okiennice są zamknięte. To pewnie znaczy, że wyjechali na więcej niż parę dni.

Dotknęła karku.

– Tak, właśnie to nas niepokoi. Myśli pan, że popełniono jakieś przestępstwo?

Pokręcił głową i podziękował. Paniusia będzie się teraz nad tym głowić, a w każdym razie pilnować, co się dzieje po drugiej stronie ulicy.

Minął wóz służbowy, stwierdzając, że Assad już zniknął. Kilka sekund później zobaczył, że okiennice na parterze na bocznej ścianie domu są na wpół otwarte, a okno za nimi uchylone. Żadnego śladu, żadnej ryski. Assad z pewnością wielokrotnie już to robił.

– Idź do drzwi do piwnicy! – zawołał Assad ze środka.

Szafy na dokumenty na szczęście jeszcze tam stały. Czyli może zniknięcie właścicieli domu nie miało jednak nic wspólnego z ich wczorajszą wizytą.

– Hermansen! Musimy na początek poszukać tego nazwiska – powiedział do

Assada.

Nie minęło dwadzieścia sekund i Assad trzymał już w ręku teczkę.

– Pod H, naturalnie. Co w tym trudnego? Ale to nie Tage Hermansen.

Podał Carlowi teczkę, a ten wyjął z niej akta. „Curt Wad przeciwko Nete Hermansen” – brzmiał napis na samej górze, a pod spodem uszeregowany według dat przebieg rozprawy sądowej z 1955, pieczętki okręgu sądowego i logo firmy Philipa Nørviga.

Szybki rzut oka na akta sprawy ujawnił zwroty takie jak „oskarżenie o gwałt” i „twierdzenie, jakoby zapłaciła za przerwanie ciąży”. Wszystko przedstawione tak, jakby ciężar dowodów spoczywał jedynie na Nete Hermansen. Sprawa skończyła się uniewinnieniem Curta Wada, co wyraźnie wynikało z akt, ale nie było żadnej wzmianki o tym, co się stało z Nete Hermansen.

W tym momencie zadzwoniła komórka Carla.

– To nie jest dobry moment, Rose – ostrzegł.

– Aha, chyba jednak jest. Posłuchaj: Nete Hermansen była jedną z dziewcząt ze Sprogø. Była tam osadzona od pięćdziesiątego piątego do pięćdziesiątego dziewiątego. I co ty na to?

– Coś tak przeczuwałem – powiedział, wając w ręku teczkę.

Była bardzo lekka.

Kwadrans później kończyli właśnie załadowywanie kartotek do bagażnika wozu służbowego.

Gdy tylko zatrzasnęli klapę, zobaczyli, jak pod górę nadjeżdża w ich stronę zielona furgonetka. Sam pojazd nie zwrócił uwagi Carla, ale sposób, w jaki nagle zwolnił – owszem.

Stanął w miejscu i spojrzał prosto na samochód, podczas gdy kierowca widać nie mógł się zdecydować, czy ma się zatrzymać, czy przyspieszyć.

Po chwili kierowca ich minął, spoglądając na domy. Może szukał jakiegoś numeru, ale na eleganckiej, willowej uliczce numery były widoczne, więc skąd trudności?

Gdy mijał Carla, odwrócił głowę tak, że widać było tylko faliste, niemal białe włosy.

Wrzesień 1987

Czuł się jak król, gdy krajobrazy Zelandii przemykały za oknem pociągu. „Pęd do szczęścia” – pomyślał, wciskając koronę chłopcu z przedziału.

Tak, to był królewski czas i dzień koronacji. Dzień, w którym ziszczą się wszystkie jego najskrytsze marzenia.

Wyobraził sobie, jak Nete dotyka włosów i wita go, onieśmielona. Już czuł w ręce dokument potwierdzający przelew. Papier, który przekaże mu dziesięć milionów koron, ku uciesze urzędu skarbowego, i zapewni mu wieczne szczęście.

Ale kiedy stał przed Dworcem Głównym, zdając sobie sprawę, że musi znaleźć ulicę Nete i dotrzeć tam w niecałe pół godziny, poczuł niepokój.

Otworzywszy szarpnięciem drzwi taksówki, zapytał kierowcę, ile to będzie kosztować. A gdy usłyszał cenę i okazało się, że jest o parę koron za wysoka, poprosił kierowcę, by zawiózł go tak daleko, na ile mu pozwalała resztką pieniędzy. Potem rzucił taksówkarzowi garść monet, przejechał siedemset metrów i musiał wysiąść na Vesterbros Torv z informacją, że najszybciej będzie przejść przez Teaterpassagen, a potem przebiec się wzdłuż Jezior.

Ciało Tagego odwykło od aktywności, więc torba na ramię obijała mu się ciężko o biodro, a pot wsiąkał w jego nowe ubranie, zostawiając pod pachami ciemne plamy.

„Spóźnisz się, spóźnisz się, spóźnisz się” – dudniło mu w uszach przy każdym kroku, podczas gdy na ścieżce obok niego przemykali biegacze w różnym wieku.

Każdy wypalony papieros świstał mu w płucach, każde wypite piwo i whisky bolały w nogach.

Rozpiął marynarkę, prosząc Boga, by zdążyć, a kiedy dotarł na miejsce, była 12.35. Pięć minut za późno.

Dlatego w jego oczach stanęły łzy wdzięczności, gdy Nete go wpuściła i gdy wręczył jej zaproszenie, zgodnie z poleceniem.

Żałośnie się czuł w tym wytwornym mieszkaniu. Żałośnie, stojąc przed najlepszą

przyjaciółką, jaką miał w życiu, która jako dorosła kobieta przyjmowała go z otwartymi ramionami. Mało się nie popłakał, gdy go spytała, czy dobrze się miewa i czy ma ochotę na filiżankę herbaty, a dwie minuty później, czy wypiłby kolejną.

Tak wiele by jej powiedział, gdyby nagle się tak źle nie poczuł. Że zawsze ją kochał. Że wstyd, że tak ją zawiódł, niemal go zniszczył. Uklęknąłby i przeprosił, gdyby nie dopadły go tak gwałtowne mdłości, że całkiem bezwiednie zaczął wymiotować na swoją nową, elegancką marynarkę.

Spytała, czy źle się czuje, czy chciałby szklankę wody albo jeszcze jedną filiżankę herbaty.

– Bardzo tu gorąco – jęknął, próbując zaczerpnąć głęboko powietrza, ale płuca odmówiły posłuszeństwa. I kiedy poszła po wodę, chwycił się za serce, wiedząc, że umiera.

Nete przyglądała się przez chwilę postaci zwisającej z krzesła w tym swoim ohydny garniturze. Przez lata Tage przytył znacznie więcej, niż zakładała. Już sama waga jego tułowia sprawiła, że Nete się ugięła, przewracając go w swoją stronę, by ująć zwłoki pod rękę.

„O Boże” – pomyślała, zerkając na wahadło angielskiego zegara. „To zajmie za dużo czasu”.

Zwolniła uchwyt, upuszczając ciało na podłogę. Gdy nos i czoło Tatego uderzyły o ziemię, rozległ się trzask. Żeby tylko z tego powodu nie przyleciała tu sąsiadka z dołu.

Uklęka i pchnęła zwłoki Tatego tak mocno, że przeturlały się na bok, na sam środek jej dywanu Buchara. Zaciągnęła dywan z ciałem aż do progu wychodzącego na długi korytarz i spojrzała na niego z rezygnacją. Niech to szlag, dlaczego o tym nie pomyślała? Przecież na podłodze w korytarzu leży chodnik z włókna kokosowego; nie przeciągnie po nim zwłok, nawet leżących na dywanie. Za duży opór.

Używając wszystkich sił, dowlokła trupa za narożnik korytarza, po czym odpuściła.

Przygryzła wargę. Już Rita była dla niej niemałym wysiłkiem. Oczywiście nie była taka ciężka, ale z jakiegoś powodu jej martwe ciało sprawiało wrażenie, jakby nie miało stawów. Jakby spomiędzy każdej pary żeber wystawały ręce i nogi.

Musiała się ciągle zatrzymywać i kłaść ręce z powrotem na jej brzuchu; w końcu trzeba było je związać, wtedy jakoś to poszło.

Spojrzała na Tagego z odrazą. Na zniszczoną, spoconą twarz i nalane ramiona; zupełnie nie przypominał chłopaka, z którym kiedyś baraszkowała.

Dźwignęła ciało, układając je w pozycji siedzącej, i przechyliła do przodu. Przesunęło go to o pół metra do przodu.

Spojrzała na korytarz. W tym tempie umieszczenie go w szczelnym pokoju zajmie jej co najmniej dziesięć minut, ale co to da, jeśli teraz odpuści?

Czyli jego głowa musi znaleźć się na podłodze, trzeba go pchnąć, by przekoziółkował przez swoje ramię i powtarzać czynność ustawiania go w pozycji siedzącej, znów pchać go w przód, by przekoziółkował. Byle udało jej się pchnąć go na tyle mocno, by całość przebiegła w miarę płynnie.

Ale nie poszło tak łatwo, a chore nogi Nete, jej biodro i kręgosłup tak się nadwreżyły, że wszystkie ośrodki bólu w jej ciele dały o sobie znać.

Gdy w końcu wtaszczyła go do pokoju ze stołem jadalnym i siedmioma krzesłami, odpuściła już sobie wciąganie go na krzesło obok zwłok Rity, siedzących przed jej wizytówką, z głową opartą o bark i tułowiem przywiązany do oparcia krzesła.

Spojrzała na Tagego, leżącego z otwartymi oczami i zakrzywionymi palcami. Spartoliła robotę. Jeszcze dziś musi posadzić go na miejscu.

Nagle drgnęła. Kieszonka na piersi okropnego, połyskliwego garnituru Tagego była rozerwana. Czy od początku brakowało kawałka materiału? Musi to sprawdzić.

Była 13.40, za pięć minut przyjdzie Viggo.

Zamknęła starannie drzwi do pokoju i rozejrzała się po korytarzu, ale nigdzie nie dostrzegła strzępka ubrania. Może od początku go nie było, tylko po prostu nie zwróciła na to uwagi. Przecież ani na chwilę nie spuszczała oczu z twarzy Tagego, odkąd usiadł na krześle.

Wzięła głęboki wdech i poszła do łazienki, by doprowadzić się do porządku. Spojrzała z zadowoleniem na swoją spoconą twarz, bo przecież dobrze się spisała. Koncentrat z szaleju działał jak powinien i plan przebiegał bez zakłóceń. Oczywiście możliwe, że reakcja nastąpi wieczorem, kiedy już wszystko będzie miała za sobą. Że nagle spojrzy na tych ludzi w jadalni inaczej niż teraz. Może nie

będzie jej dawała spokoju myśl, że ich też otaczali ludzie, którzy ich kochali i mieli marzenia z ich udziałem, choć ze wszystkich sił będzie się starała do niej nie dopuścić.

Ale o tym nie chciała teraz myśleć. Tak się nie da.

Poprawiła włosy i pomyślała o osobach, na które czekała. Czy Viggo przytył równie mocno co Tage? Jeśli tak, to musi przyjść na czas. Aż się bała pomyśleć, co stałoby się w przeciwnym razie.

W momencie gdy pomyślała o gigantycznym ciele Curta Wada i wiążącej się z nim wadze, jej wzrok padł na płaszcz Rity, który wciąż wisiał na haczyku w korytarzu.

Chwyliła go i rzuciła na łóżko do leżącej już tam torebki Rity, gdy z kieszeni płaszcza wypadły papierosy.

Spoglądała na nie przez chwilę.

„Przeklęte papierosy” – pomyślała. Pieprzona słabostka Rity drogo ją kosztowała.

Listopad 2010

– Muszę wam od razu powiedzieć, że hydraulik zabronił wam, mężczyznom, korzystania z męskiej toalety na korytarzu aż do środy, kiedy przyjdzie się nią zająć – poinformowała Rose, podpierając się pod boki. – Wygląda na to, że ktoś wczoraj zatkał ubikację papierem toaletowym. Któż to mógł być?

Odwróciła głowę od Assada i wbiła natarczywy wzrok w Carla, unosząc brwi aż do kruczoczarnych włosów.

Carl rozłożył ręce w obronnym geście. Skąd ma to wiedzieć – oznaczało to w międzynarodowym języku ciała. W jego osobistym języku znaczyło to, że nic Rose do tego i że nie jest w nastroju do omawiania swoich nawyków toaletowych z podwładnym płci przeciwnej. I tyle.

– Więc kiedy będziecie korzystać z damskiej toalety, to sikajcie albo na siedząco, albo, kurde, spuszczajcie po sobie klapę.

Carl zmarszczył brwi. Zrobiło się nieco zbyt intymnie.

– Sprawdź wszystkie informacje, jakie znajdziesz o Nete Hermansen, i spisz mi je – zmienił temat. – Ale najpierw podaj mi numer do tego dziennikarza, Sørena Brandta. – Jeśli Rose ma zamiar wprowadzić go w zakłopotanie, to niech to robi we wszystkie inne dni, ale nie w dzień wolny od pracy. Są jakieś granice, do diaska.

– Ale ja właśnie porozmawiałem z tym Brandtem, Carl – odrzekł Assad, nachylając głowę nad kubkiem z parującą, zalatującą karmelem cieczą.

Carl przechylił głowę. A więc to tak!

– Mówisz, że dopiero co rozmawiałeś z Sørenem Brandtem? – Zmarszczył brwi. – Chyba mu nie powiedziałaś, że ukradliśmy te kartoteki, co?

Assad wziął się pod boki.

– Myślisz, że dromader moczy kopyta w jeziorze, z którego pije?

– Powiedziałaś, Assad?

Opuścił ręce.

– No tak, ale tylko troszeczkę. Powiedziałem, że mamy coś o Curcie Wadzie.

– I?!

– Tak, i jeszcze troszeczkę o tym Lønbergu z Czystych Linii.

– Okej, a rzeczywiście mamy?

– Tak, było pod L. Nørvig prowadził mu jakieś sprawy.

– Do tego jeszcze wrócimy. Co na to Søren Brandt?

– Mówił, że słyszał o tej Tajemnej Walce. Nawet rozmawiał z pierwszą żoną Nørviga i ona powiedziała, że pielęgniarki i lekarze całymi latami wysyłali źle sytuowane ciężarne na badania ginekologiczne do ludzi z organizacji. I te kobiety nie wiedziały, na co się decydują, a kończyło się to często aborcją. Søren Brandt ma o tym jakieś materiały, którymi się z nami wymieni, jeśli dostanie kopie tego, co my mamy.

– Wielkie nieba! Nie masz pojęcia, co robisz, Assad. Wywalą nas ze służby na zbity pysk, jeśli wyjdzie na jaw, że weszliśmy w posiadanie materiału dowodowego drogą włamania. Dawaj mi no jego numer.

Carl wystukał numer, mając złe przeczucia.

– Tak, właśnie rozmawiałem z pańskim kolegą – odezwał się Søren Brandt po krótkim wstępie. Wnioskując po głosie, był młody i ambitny. Tacy są najgorsi.

– Jeśli dobrze rozumiem, Assad mówił z panem o handlu wymiennym.

– Tak, fantastycznie. Ciągle brakuje mi powiązań między osobami stojącymi za Czystymi Liniami i Tajemną Walką. Gdyby tak się udało powstrzymać te cholerne kreatury, nim zdobędą władzę!

– Przepraszam, panie Brandt, ale obawiam się, że Assad za dużo naobiecował. Zamierzamy przekazać materiały Adwokatowi Państwowemu⁶.

Dziennikarz się zaśmiał.

– Adwokatowi Państwowemu? Co za brednia, ale szanuję, że chroni pan swoją pracę. Dziś w Danii już nie wieszają na drzewach. Spokojnie, nawet siedmioma milionami silnych rumaków nie wydrą ze mnie zeznań.

Zupełnie jakby słuchał samego siebie.

– Niech pan posłucha, panie Mørck. Ludzie skupieni wokół Curta Wada to wojownicy. Zabijają bez skrupułów nienarodzone dzieci. Mają doskonały system zacierania za sobą śladów. Mają miliony funduszy, by zatrudnić wyrobników, z którymi nikt nie chciałby zadzierać. Myśli pan, że mieszkam teraz pod adresem widniejącym w rejestrze ludności? Oczywiście, że nie. Uważam na siebie, bo oni

nie przebijają w środkach, jeśli ktoś rozsiewa wątpliwości na temat ich odrażających poglądów i prowadzonej przez nich polityki, zapewniam pana. Wystarczy wspomnieć o tym lekarzu, Hansie Christianie Dyrmandzie. Moim zdaniem został zmuszony do zażycia tych tabletek nasennych. Dlatego trzymam język za zębami, rozumie pan?

– Dopóki pan tego wszystkiego nie opublikuje, prawda?

– Owszem. I może pan być pewny, że wtedy jestem gotów iść do więzienia, by chronić moich informatorów. Byle dorwać Wada i jego bandę.

– Okej. W takim razie mogę panu powiedzieć, że prowadzimy śledztwo w sprawie kilku zaginięć, które prawdopodobnie mają związek z kobietami przetrzymywanymi na Sprogø. Czy słusznie podejrzewam, że Curt Wad też maczał w tym palce? Zdaję sobie sprawę, że minęło pięćdziesiąt lat, ale może coś pan wie.

Usłyszał, jak mężczyzna cicho nabiera powietrza, po czym zaległa cisza.

– Jest tam pan?

– Tak, tak – odezwał się. – Proszę posłuchać, potrzebna mi chwila, by się ogarnąć. Ciotka mojej matki była dziewczyną ze Sprogø. Opowiadała najobrzydliwsze historie, nie bezpośrednio o Curcie Wadzie, ale o jemu podobnych. Nie wiadomo mi, czy był zamieszany w to draństwo, ale powiem panu, że wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby był.

– Okej. Rozmawiałem z dziennikarzem, Louisem Pettersonem, który kiedyś napisał parę krytycznych artykułów o Curcie Wadzie. Zna go pan?

– Owszem, ze słyszenia. I oczywiście z jego tekstów. Jest uosobieniem wszystkiego, z czym walczą normalni dziennikarze. Pracował jako wolny strzelec i rzeczywiście dogrzebał się do czegoś naprawdę ciekawego, ale najwidoczniej Curt Wad musiał go przekabacić, angażując go w Benefice, agencję newsową o naprawdę wąskich horyzontach, i zapewne zapewniając mu sówitą gażę. Krytyczne artykuły przestały się ukazywać z dnia na dzień.

– Czy pan też dostawał tego rodzaju propozycje?

Søren Brandt się zaśmiał.

– Jeszcze nie, ale z tymi hienami nigdy nie wiadomo. W każdym razie nieźle wkurzyłem Curta Wada i Lønberga na wczorajszym zebraniu Czystych Linii.

– Okej, skoro już mowa o Lønbergu, co pan o nim wie?

– Wilfrid Lønberg, prawa ręka Curta Wada i jego pupilek. Ojciec podstawionej

prezes zarządu Benefice, współzałożyciel Czystych Linii, wyjątkowo aktywny w Tajemnej Walce. Moim zdaniem powinniście dobrać mu się do skóry. On i Curt Wad są po prostu wcieleniem Josefa Mengele.

Zobaczyli łunę ognia na długo przed dotarciem na miejsce. Trudno sobie wymarzyć lepsze warunki do tego typu obserwacji niż ciemne listopadowe popołudnie.

– Taka droga dzielnica – zauważył Assad, rozglądając się po wielkopańskich rezydencjach.

Dom Lønberga nie różnił się specjalnie od pozostałych na ulicy, wysoki i biały ze szprosowymi oknami i glazurowaną dachówką. Był tylko zlokalizowany nieco dalej od willowej uliczki niż większość, więc droga po chrzęszczącym żwirze bynajmniej nie była bezszelestna.

– Co robicie na moim terenie? – rozległ się głos.

Obeszli żywopłot i zobaczyli starszego mężczyznę w brązowym fartuchu i ciężkich rękawicach ogrodowych.

– Nie macie tu czego szukać – warknął ze złością, oddalając się od płonącej beczki po ropie, do której wrzucał papiery ze stojącej obok taczki.

– Pragnę zwrócić pańską uwagę, że tego typu ogniska na wolnym powietrzu nie są dozwolone – powiedział Carl, próbując na odległość zidentyfikować rodzaj papierów. Zapewne dokumentacja całego tego łotrostwa, za którym stał Lønberg i jemu podobni.

– Aha, a gdzie to jest napisane? Ostatnio chyba nie ma suszy, prawda?

– Ależ z przyjemnością zadzwonimy na straż pożarną w Gentofte, by wyjaśnić kwestię regulacji gminy w zakresie spalania odpadów – zwrócił się do Assada. – Assad, sprawdzisz to?

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Do licha, to tylko stare papiery, co to komu przeszkadza?

Carl wyciągnął odznakę policyjną.

– Podejrzewam, że mogłoby komuś przeszkadzać, że niszczy pan materiały, które najprawdopodobniej mogłyby odpowiedzieć na wiele pytań odnoszących się do działalności pańskiej i Curta Wada.

Tego, co zdarzyło się w kolejnych sekundach, Carl nie przewidziałby nawet w najśmielszych fantazjach. Że też mężczyzna w wieku Lønberga i o sylwetce kościotrupa potrafi zadziałać tak szybko i zdecydowanie.

Jednym ruchem wyjął z taczki całą stertę papierów, wrzucił do beczki, chwycił plastikową butelkę z benzyną stojącą na trawniku, odkręcił ją i wrzucił na wierzch całości.

Efekt był imponujący i zarówno Carl, jak i Assad musieli się sporo cofnąć, gdy słup ognia buchnął z hukiem, sięgając niemal korony okazałego buku, królującego pośrodku ogrodu.

– No – rzekł mężczyzna. – Teraz możecie dzwonić na straż pożarną. Ile to mnie może kosztować? Grzywnę w wysokości pięciu tysięcy koron? Dziesięciu tysięcy? Myślicie, że mnie nie stać?

Już się obracał, chcąc wrócić do domu, kiedy chwycił go Carl.

– Czy pana córka Liselotte wie, pod jakim draństwem się podpisuje, panie Lønberg?

– Liselotte? Draństwo? Jeśli ma pan na myśli jej stanowisko prezesa zarządu Benefice, to może być z niego dumna.

– Aha, naprawdę? Może być też dumna z aborcji przeprowadzanych w Tajemnej Walce, czy może tego już jej nie powiedzieliście? Podziela wasze spaczone zapatrywania na ludzi? Może sympatyzuje z morderstwami na niewinnych dzieciach? Z tego także może być dumna czy też nie ma pojęcia, jak sprawy się mają?

Lønberg spojrział na Carla z lodowatym chłodem, którego nie potrafiły ogrzać nawet płomienie.

– Ustalmy, że nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi. Jeśli chce pan przedstawić jakieś konkrety, proszę pojutrze zadzwonić do mojego adwokata. Kancelaria jest otwarta w poniedziałki od wpół do dziewiątej. Nazywa się Caspersen, jeśli chcecie wiedzieć. Jest w książce telefonicznej.

– No tak – odezwał się z tyłu Assad. – Caspersen. Znamy go z TV. Jeden z tych z Czystych Linii, prawda? Bardzo chętnie poznamy jego numer telefonu, bardzo dziękujemy.

Zuchwała wypowiedź osłabiła buńczuczność mężczyzny.

Carl złożył przed nim głęboki ukłon, wypowiadając szeptem słowa pożegnania:

– Na razie dziękujemy, panie Lønberg. Myślę, że dość już zobaczyliśmy i usłyszeliśmy. Proszę pozdrowić od nas Curta Wada i przekazać, że właśnie wybieramy się w odwiedziny do jednej z jego dawnych znajomych na Nørrebro.

Sprawa Hermansen, czy nie tak ją swego czasu nazywano?

Dzielnica Nørrebro była strefą wojenną. Sklecone naprędce budynki stworzyły dogodne warunki dla licznych problemów społecznych, wielu przestępstw, morza przemocy i nienawiści. Zupełnie inaczej wyglądało to kiedyś, gdy praca społeczna w tej części miasta skupiała się przede wszystkim na zapewnieniu ciężko pracującym robotnikom w miarę godnego życia. Jedynie gdy szło się wzdłuż Jezior, można było dostrzec wielkość dawnych czasów w pełnym rozkwicie.

„Jeziora są nadal najlepszą lokalizacją w mieście” – utrzymywał zawsze Antonsen z posterunku w Rødovre i miał rację. Stojąc tam i przyglądając się rzędom pięknych, atrakcyjnych budynków, ocienionych kasztanowcami i z widokiem na spokojne wody, po których pływały stadka łabędzi, nie miało się pojęcia, że zaledwie sto metrów dalej mieści się plac zabaw rockersów i gangów imigrantów i że lepiej wystrzegać się wałęsania po tych okolicach po zapadnięciu zmroku.

– Chyba jest w domu – zauważył Assad, wskazując na okna mansardowe na samej górze.

Carl skinął głową. Wszystkie okna szarej kamienicy były rzęsiście oświetlone.

– Tu policja, pani Hermansen – powiedział Carl do domofonu. – Chciałbym wejść na górę, muszę zadać pani kilka pytań. Wpuści mnie pani?

– Jakich pytań? – rozległo się w domofonie.

– Nic szczególnego, rutynowa sprawa.

– Ach, pewnie chodzi o te ostatnie strzelaniny na Blågårdsgade? Owszem, faktycznie je słyszałam. Ale proszę się odsunąć i okazać odznakę policyjną tak, żebym ją widziała. Nie otwieram drzwi przypadkowym osobom.

Carl dał znak Assadowi, że ma zostać przy drzwiach, a sam cofnął się do przejścia między miniaturowymi ogródkami na parterze, tak by światło padało mu na twarz.

Po chwili jedno z okien otworzono i wychyliła się z nich mała głowa.

Carl podniósł ku niej odznakę tak wysoko, jak potrafił.

Trzydzieści sekund później rozległ się brzęczyk domofonu.

Pokonawszy multum przyprawiających o zawał schodów, prowadzących aż na czwarte piętro, zastali drzwi na korytarz otwarte na oścież; czyli kobieta nie była aż tak wystraszona.

– Och – bąknęła, gdy Carl wszedł na nieco zatęchły korytarz, a za nim pojawiła się śniada twarz Assada. Czyli strach jednak się pojawił. Przyczyniła się do tego na pewno bezkompromisowość gangów imigrantów na Nørrebro.

– Proszę wybaczyć, nie musi się pani obawiać mojego asystenta. To najprzystojniejszy człowiek na ziemi – skłamał.

Assad podał jej rękę.

– Dzień dobry, pani Hermansen. – Ukłonił się jak uczeń na szkolnym balu. – Hafez el-Assad, ale proszę mówić po prostu Assad. Jest mi niezmiernie miło panią poznać.

Zawahała się, ale wyciągnęła rękę.

– Mają panowie ochotę na filiżankę herbaty? – spytała, ignorując kręcenie głową Carla i zapalczywe potakiwanie Assada.

Salon wyglądał jak większość salonów starszych pań. Barwny miszmasz ciężkich mebli i pamiątek z długiego życia. W oczy rzucał się tylko brak rodzinnych fotografii w ramkach. Carl rozpoznał w tym krótki opis życia Nete Hermansen autorstwa Rose. Nie bez powodu brakowało tu portretów.

Weszła do salonu z herbatą na tacy, lekko utykając. Była piękna jak na swoje siedemdziesiąt trzy lata. Jasnoblond włosy, na pewno farbowane i dość elegancko przystrzyżone. Widać było, że pieniądze zrobiły swoje, mimo że życie jej nie rozpieszczało. Pieniądze zazwyczaj mają taki wpływ.

– Jaka piękna sukienka! – zauważył Assad.

Nie odpowiedziała, ale nalała mu w pierwszej kolejności.

– Chodzi o tę strzelaninę na Blågårdsgade w zeszłym tygodniu? – spytała, siadając między nimi, i podsunęła Carlowi talerzyk z ciastkami.

Carl podziękował, prostując się na swoim fotelu z zagłówkiem.

– Nie, chodzi o to, że w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku zaginęło kilka osób, których nigdy nie odnaleziono, i mamy nadzieję, że ty... – zatrzymał się. – Możemy mówić sobie na ty?

Skinęła głową. Może z cieniem niechęci, ale trudno to było stwierdzić.

– I mamy nadzieję, że pomożesz nam dotrzeć do rozwiązania tej zagadki.

Na jej czole pojawiły się delikatne, pionowe zmarszczki.

– Dobrze, jeśli tylko będę potrafiła.

– Mam tu opis fragmentu twojego życia, Nete. I widzę, że nie było ono zbyt

proste. Musisz wiedzieć, że nas, prowadzących to śledztwo, bardzo poruszyło, jakich nadużyć musiałaś doświadczyć ty i kobiety w podobnej sytuacji.

Uniosła jedną brew. Czyżby było to dla niej nieprzyjemne? Pewnie tak.

– Przepraszam, że do tego wracam, ale wiele z zaginionych osób miało prawdopodobnie związek ze Sprogø, później o tym opowiem. – Wziął łyk herbaty, jak dla niego gorzkawa, ale zawsze lepsza niż kijowy klajster Assada. – Jesteśmy tu przede wszystkim dlatego, że prowadzimy śledztwo w sprawie zaginięcia twojego kuzyna, Tagego Hermansena, we wrześniu osiemdziesiątego siódmego roku.

Przechyliła głowę.

– Kuzyn Tage! Zaginął? Od niepamiętnych czasów nie miałam z nim kontaktu, przykro mi to słyszeć. Nie wiedziałam.

– Aha. Byliśmy dziś rano w jego warsztacie w Brenderup na Fionii i znaleźliśmy tam tę kopertę.

Wyjął ją z plastikowej koszulki i pokazał jej.

– Tak, zgadza się, zaprosiłam Tagego, by mnie odwiedził. Teraz już rozumiem, dlaczego nie odpowiedział.

– Nie masz przypadkiem kopii tego listu? Kalki czy może wydruku?

Uśmiechnęła się.

– Nie, na pewno nie mam. To był odręcznie pisany list.

Skinął głową.

– Byłaś na Sprogø w tym samym czasie co pielęgniarzka o nazwisku Gitte Charles. Pamiętasz ją?

Znów te pionowe zmarszczki.

– Tak, oczywiście. Pamiętam stamtąd wszystkich.

– W tamtych dniach zaginęła również Gitte Charles.

– Ach tak, to dziwne.

– Tak, i Rita Nielsen.

Kobieta drgnęła. Zmarszczki zniknęły, ale barki odchyliły się odrobinę do tyłu.

– Rita? Kiedy?

– Ostatnią rzeczą, jaką o niej wiadomo, to że kupiła papierosy w kiosku zaledwie kilkaset metrów stąd na Nørrebrogade dnia czwartego września osiemdziesiątego siódmego roku o dziesiątej dziesięć. Poza tym na Kapelvej znaleziono jej mercedesa. Niedaleko stąd, prawda?

Zacisnęła usta.

– Rzeczywiście to straszne. Rita odwiedziła mnie tamtego dnia. Czy to było czwartego września? Dobrze pamiętam, że to było późne lato, ale nie dokładną datę. W tamtym czasie doszłam do takiej fazy w życiu, w której musiałam skonfrontować się ze swoją przeszłością. Parę lat wcześniej straciłam męża i nie potrafiłam się z tego otrząsnąć. Właśnie dlatego zaprosiłam Ritę i Tagego.

– Czyli Rita Nielsen cię odwiedziła?

– Tak. – Wskazała na stół. – Piłyśmy herbatę z tych samych filiżanek. Spędziła tutaj parę godzin. To było dziwne doświadczenie, ale właściwie dobrze było znów ją widzieć, pamiętam to wyraźnie. Wyjaśniłyśmy sobie pewne rzeczy, rozumiecie. Podczas pobytu na Sprogø nie zawsze byłyśmy dobrymi przyjaciółkami.

– Dość intensywnie jej poszukiwano w tamtym czasie. Dlaczego nie zgłosiłaś się na policję, Nete?

– To naprawdę straszne, co się mogło z nią stać?

Przez chwilę patrzyła przed siebie. Coś było nie tak, skoro nie odpowiadała na jego pytanie.

– Dlaczego nie zgłosiłam się na policję? – powtórzyła po Carlu. – Bo nie mogłam. Następnego dnia wyjechałam na Majorkę, by kupić tam dom, dokładnie pamiętam, więc chyba przez pół roku nie czytałam duńskiej prasy. Przez pół roku, całą jesień i zimę mieszkam w Son Vida, a jedyny powód, dla którego jestem teraz w domu, to problem z kamieniem nerkowym. Wolę to załatwić w Danii.

– Masz zapewne jakieś dokumenty dotyczące tego domu?

– Oczywiście. Ale proszę mi wyjaśnić jedną sprawę. Wydaje mi się, że znajduję się na przesłuchaniu. Jeśli mnie o coś podejrzewacie, to lepiej powiedzcie to wprost.

– Nie, Nete. Ale musimy wyjaśnić pewne kwestie, w tym tę, dlaczego nie zareagowałaś na poszukiwania Rity Nielsen. Możemy zerknąć na dokumenty odnoszące się do domu?

– Czyli dobrze się składa, że nie mam ich na Majorce – powiedziała lekko urażona. – Trzymałam je tam aż do zeszłego roku, kiedy to włamano się do wszystkich domów na naszej uliczce. Lepiej się zabezpieczyć.

Wiedziała dokładnie, gdzie leżą. Położyła je przed Carlem i pokazała datę kupna.

– Kupiłam dom trzydziestego września osiemdziesiątego siódmego roku, ale

poszukiwania i negocjacje trwały trzy tygodnie. Właściciel chciał mnie oszukać, ale nie udało mu się.

– Ale...

– Tak, wiem, że to dużo czasu od czwartego września, wiem, ale tak właśnie było. Może jeszcze mam gdzieś bilety lotnicze, nie zdziwiłabym się. Żebyście się przekonali, że rzeczywiście nie było mnie w domu. Ale ich nie znajdę tak szybko.

– Zadowolę się stemplem w paszporcie albo inną formą dokumentacji – dodał Carl. – Może schowałaś gdzieś stary paszport? Pewnie są w nim pieczętki, które by to potwierdzały, prawda?

– Na pewno mam, ale musielibyście przyjść innego dnia. Muszę poszukać.

Kiwnął głową. Widać mówiła prawdę.

– Jakie relacje łączyły cię z Gitte Charles? Mogłabyś je opisać?

– Dlaczego chcecie to wiedzieć?

– Masz rację, być może źle sformułowałem pytanie. Rzecz w tym, że w sprawie Gitte Charles mamy bardzo niewiele informacji. Właściwie wszyscy, którzy ją znali, już nie żyją, więc trudno sobie wyobrazić, jaką była osobą i dlaczego zaginęła. Mogłabyś ją dla nas scharakteryzować?

Widać było wyraźnie, że było to dla niej trudne. Dlaczego więzień miałby mówić dobrze o strażniku? – tak być może brzmiał jej dylemat.

– Źle cię traktowała? Dlatego nie jest ci łatwo odpowiedzieć? – odezwał się Assad.

Nete Hermansen kiwnęła głową.

– Tak, nie jest mi łatwo.

– Bo Sprogø było niedobłą wyspą, prawda? A ona była jedną z tych, którzy cię tam trzymali, prawda? – ciągnął Assad, wbijając wzrok w talerzyk z ciastkami.

Znów skinęła głową.

– Właściwie to od wielu lat o niej nie myślałam. O Sprogø też nie. To, co tam wyczyniano, to było szaleństwo. Przetrzymywali nas odizolowane od świata, podwiązywali nam jajowody. Nazywali nas upośledzonymi umysłowo, nie wiem dlaczego. I choć Gitte Charles nie była najgorsza, to w każdym razie nie pomogła mi w żaden sposób się stamtąd wydostać.

– Nie miałaś z nią kontaktu od tamtej pory?

– Nie, na szczęście.

– To jeszcze niejaki Philip Nørvig. Pewnie go pamiętasz?

Skinęła lekko.

– On też zaginął tamtego dnia – powiedział Carl. – Wiemy od wdowy po nim, że otrzymał zaproszenie do Kopenhagi. Mówisz, że wtedy przechodziłaś czas, w którym musiałaś skonfrontować się ze swoją przeszłością. Philip Nørvig był w jakimś stopniu winny twojej niedoli, prawda? Winny tego, że sprawa przeciwko Curtowi Wadowi przybrała nieszczęśliwy obrót. Czy był jedną z osób, z którymi musiałaś się skonfrontować, Nete? Czy zaproszenie, które dostał, było od ciebie?

– Nie. Zaprosiłam tylko Tagego i Ritę, nikogo innego. – Pokręciła głową. – Nie rozumiem tego. Tyle osób w tym samym czasie i wszystkie je znałam. Co się mogło stać?

– Właśnie z tego powodu my z Departamentu Q wkroczyliśmy do akcji. Stare sprawy, sprawy pod szczególnym nadzorem, to nasza działka. A sama rozumiesz, że tak duża liczba zaginięć powiązanych ze sobą w niejasny sposób nie jest naturalna.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie powiązanej z tym lekarzem, Curtem Wadem – dodał Assad. Nieco szybciej, niż Carl planował, cały on. – Wiele związanych z nim rzeczy zahacza o kilka z tych zaginionych osób – ciągnął Assad. – Przede wszystkim o Nørviga.

– Curt Wad! – Uniosła głowę jak kot, który zobaczył ptaki w zasięgu pazurów.

– Tak, wiemy, że to on prawdopodobnie zapoczątkował pasmo nieszczęść w twoim życiu. Widzieliśmy w kartotece u Nørviga, jak udało mu się odeprzeć twoje oskarżenia i obrócić je przeciwko tobie. Przykro mi, że znów musimy to wywlekać, ale bylibyśmy bardzo zobowiązani, gdybyś podsunęła nam jakikolwiek sensowny związek między tymi zaginięciami a jego osobą.

Skinęła głową.

– Zastanowię się nad tym wszystkim.

– Twoja sprawa była prawdopodobnie jedną z pierwszych na długiej liście spraw, w których Curt Wad za nic miał prawdę i postawił na swoim, nie oglądając się na niesprawiedliwości, które tym samym spowodował. Gdyby doszło do oskarżenia Curta Wada, to całkiem możliwe, że będziemy zmuszeni wezwać cię w charakterze jednego z wielu świadków. Jak się na to zapatrujesz?

– Czy będę zeznawać przeciwko Curtowi Wadowi? Nie, zdecydowanie nie. Ten

czas mam już za sobą. Sprawiedliwość go dosięgnie i bez mojego udziału. Diabeł pewnie już zaciera ręce.

– Rozumiemy, Nete. – Assad przymierzał się do nalania sobie jeszcze jednej filiżanki herbaty.

Carl zastopował go ruchem dłoni.

– Pewnie w najbliższej przyszłości się odezwiemy, Nete. Dziękujemy za poczęstunek. – Skinieniem dał koledze znak, że seans dobiegł końca. Gdyby się pospieszyli, zdążyłby jeszcze do domu i przebrał się, a potem sprawdził, czy jego nowy klucz do komnat Mony działa bez zarzutu.

Assad podziękował. W przelocie capnął jeszcze ciastko, pochwalił je i nagle uniósł palec.

– Ej, Carl. Nie spytaliśmy jeszcze o ostatnią osobę.

Zwrócił się do Nete Hermansen.

– Zaginał wtedy też rybak z Lundeborga. Nazywał się Viggo Mortensen. Może natknęłaś się na niego przypadkiem? Z Lundeborga na Sprogø nie jest zbyt daleko łodzią.

Uśmiechnęła się.

– Nie, na pewno nigdy o nim nie słyszałam.

– Jesteś taki zmyślony, Carl. Co się dzieje w twojej głowie?

– Zamyślony, Assad, nie zmyślony. Jest o czym myśleć, nie sądzisz?

– Tak, pewnie. Też nie mogę się w tym połapać, Carl. Nie licząc tego Viggo Mortensena, to mamy tak jakby dwie sprawy w jednej: Rity i Gitte, i Curta Wada, i Nørviga, i Nete po jednej stronie. Tutaj wypada ten kuzyn Tage, bo z tego co wiemy, nie miał nic wspólnego ze Sprogø. Ale po drugiej stronie mamy Tagego i Nete. Czyli tylko ona miała z nimi wszystkimi coś wspólnego.

– Tak, może, ale nie wiemy tego na pewno. Może Curt Wad też. Właśnie tę sprawę musimy zgłębić. W każdym razie myśli o zbiorowym samobójstwie i przypadkowym nagromadzeniu niewyjaśnionych, jednoczesnych wypadków wypadły z mojego harmonogramu.

– Powtórz, Carl. Powiedziałaś jednoczesny i harmonogram?

– Nieważne, Assad. Porozmawiamy o tym później.

Sprogø 1955
Kopenhaga, wrzesień 1987

Na przystani stała grupka kobiet, machając rękami, jakby Nete i Rita były od dawna wyczekiwanyymi przyjaciółmi. Zupełnie jak dzieci, tłoczyły się w stadku, pokrzykując, łagodne i wyszorowane do czysta, a Nete nic nie rozumiała.

Jakie miały powody do uśmiechu? Łódź z Nyborga nie była przecież żadną flotą spieszącą na ratunek. Żadną Arką Noego, która przybywa, by je zabrać w bezpieczne miejsce. Słyszała, że wręcz przeciwnie. Łódź była przekleństwem.

Nete wyjrzała za reling na machające ręce, latarnię morską wznoszącą się na wzgórzu i na skupisko budynków o czerwonych dachach, żółtych murach i mnóstwie okien, które niczym oczy czuwały nad okolicą i nieszczęśnikami wokół. Między nimi otworzyły się szprosowe, przeszklone dwuskrzydłowe drzwi i mała, wyprostowana postać stanęła na podeście schodów, chwytając się poręczy. Nie ulegało wątpliwości, że był to admirał, pilnujący, by jego flota bezpiecznie zawinęła do portu, czy może raczej królowa Sprogø, która nadzorowała, by wszystko przebiegało jak powinno. Ona decydowała o wszystkim.

– Macie papierosy? – To była pierwsza rzecz, którą dziewczyny do nich zawołały. Jedna z nich wydostała się nawet poza pomost i ustawiła na belce falochronu z wyciągniętą ręką. W razie gdyby były jakieś łupy, chciała być w pierwszym rzędzie.

Dziewczęta stłoczyły się wokół nowo przybyłych jak chór gęgających gęsi. Wykrzykiwano imiona, ręce szukały kontaktu.

Nete spojrzała zmartwiona na Ritę, która z kolei czuła się jak ryba w wodzie. Owszem, Rita miała papierosy, a to torowało jej drogę na sam szczyt hierarchii. Uniosła paczki nad głową, pokazując je zebranym, po czym włożyła szybko z powrotem do kieszeni. Nic dziwnego, że to na niej skupiła się cała uwaga.

Nete przydzielono pokój na poddaszu. Okno ze stalowym obramowaniem na

suficie stanowiło jedyny jej widok na dwór i wolność. Było tam przeraźliwie zimno, a wiatr przedostawał się przez szpary w ramie okiennej. Dwa łóżka i walizka współlokatorki. Gdyby nie krucyfiks i dwa obrazki gwiazd filmowych, których nie знаła, pomieszczenie sprawiałoby wrażenie celi więziennej.

Obok znajdowały się inne pokoje, a tuż za drzwiami mieściły się umywalki z lastryka, w których się myły.

Przez całe dzieciństwo Nete pracowała, wyrzucając gnój ze stajni, ale nikt nie mógł o niej powiedzieć, że nie jest schludna, bo szorowała ramiona i ręce szczotką ryżową, a resztę ciała – gąbką.

„Jesteś chyba najczystsza dziewczyną na świecie” – mawiał zawsze Tage.

Ale tutaj mycie przy umywalkach odbywało się w tak okropnym chaosie, że trudno było to zrobić porządnie. Wszystkie dziewczyny rozebrane do połowy stały przy nich jednocześnie, myjąc się. Miały tylko pięć minut, by się wyrobić. Znów te same płatki mydlane co w Brejning, które usztywniały włosy jak hełmy żołnierskie i zdobiły w równym stopniu, a poza tym sprawiały, że po myciu pachniało się gorzej niż przed.

Resztę dnia odmierzał dzwonek o stałych porach i żelazna dyscyplina, więc Nete nienawidziła wszystkiego, co wiązało się z tym miejscem i w miarę możliwości z nikim się nie zadawała. Tak było kiedyś w jej rodzinie zastępczej, tak było i tu. Na plus mogła zapisać, że miała święty spokój, by zająć się własnym losem, ale każdemu krokowi towarzyszył wszechobecny cień: z tego miejsca nie wyrwie się ot, tak. Może jakaś przyjazna dusza spośród personelu albo dobra przyjaciółka uczyniłyby pobyt znośniejszym, ale kobiety, które ich pilnowały, były szorstkie i rozkazujące, a Rita zajęła się sobą. Handlowała, oszukiwała, wymieniała się, powoli pnąc się w górę hierarchii, aż w końcu zasiadła na tronie niczym królowa swoich ograniczonych poddanych.

W łóżku naprzeciwko Nete sypiała prosta dziewczyna, która ciągle paplała o małych dzieciach. Powtarzała, że Pan Bóg podarował jej lalkę i jeśli będzie się nią dobrze opiekowała, któregoś dnia dostanie swoje własne, małe dziecko. Nie można było z nią sensownie porozmawiać, ale było też sporo całkiem bystrych dziewczyn. Jedna chciała się uczyć, ale personel tylko ją wyśmiewał. „Luksus” – mówiły, odsyłając do pracy.

Nete też pracowała. Prosiła o możliwość pracy w stajni, ale nie dostała takiej

szansy. Podczas gdy Rita przez większość dnia siedziała w pralni, wygotowując odzież i nabijając się z innych dziewczyn, Nete obierała warzywa i myła garnki w kuchni. Gdy ją to zmęczyło i zaczęła pracować wolniej i wyglądać przez okno, stała się łatwą ofiarą. Czepiał się jej nie tylko personel, ale też inne dziewczyny. A gdy jedna z nich groziła jej nożem, przewracając ją na ziemię, Nete w reakcji na prowokację cisnęła jej w twarz gorącą pokrywką i wytrąciła garnek. Właśnie z tego powodu odbyła swoją pierwszą rozmowę z dyrektorką.

Gabinet i dyrektorka tworzyły jedną całość. Wszystko tu było chłodne i metodycznie uporządkowane. Regały z segregatorami i teczkami po jednej stronie, szafy na dokumenty po drugiej. W tych wszystkich archiwach stały rzędem ich losy, które można było wyjąć, zważyć, zmierzyć i na nie splunąć.

– Podobno stwarzasz problemy w kuchni – oświadczyła dyrektorka, unosząc palec wskazujący.

– To proszę mnie wysłać do stajni, tam nie będę stwarzać problemów – odpowiedziała Nete, obserwując, jak ręce dyrektorki błędzą po biurku. Te ręce i palce stanowiły jej okno na świat. Rita mówiła, że można z nich wyczytać jej myśli, a kto ma to wiedzieć, jak nie ona. Przecież często tu bywała.

Spoczęło na niej chłodne spojrzenie.

– Musisz wiedzieć jedną rzecz, Nete. Tu nie chodzi o to, byście cieszyły się przywilejami ułatwiającymi wam życie. Rzecz w tym, byście pomimo waszych złych charakterów i pustych głów nauczyły się, że w życiu nawet to, co nie jest zabawą, może przynieść duże korzyści. Jesteście tu po to, by się nauczyć zachowywać jak ludzie, nie jak zwierzęta, którymi wcześniej byłyście. Zrozumiano?

Nete cicho pokręciła głową, sama to ledwo zauważyła, ale dyrektorka i owszem; jej palce nagle zastygły w bezruchu.

– Mogę zdecydować, że potraktuję to jako arogancję, Nete, ale wolę to potraktować po prostu jako wyraz twojego pustogłowia, prostoty i głupoty.

Wyprostowała się na krześle. Od pasa w górę była nabita i zwalista. Z pewnością niewielu mężczyzn by się za nią obejrzało.

– Przeniosę cię do sali robót ręcznych, o parę miesięcy za wcześnie niżby wypadało, ale w kuchni już cię nie chcą.

– Aha – odparła Nete z wzrokiem wbitym w podłogę.

Myślała, że sala robót ręcznych nie może być gorsza, ale była.

Sama praca wydawała się znośna, choć Nete była kiepska w obrębianiu szwów i robieniu koronek. Najgorszy był bliski kontakt z innymi dziewczynami. Siedzenie w pokoju wypełnionym ich paplaniną i sprzeczkami. W jednej chwili potrafiły być najlepszymi przyjaciółkami, w drugiej – śmiertelnymi wrogami.

Nete wiedziała, że o wielu rzeczach w życiu nie ma pojęcia. O miejscach, historiach, zwykłych rzeczach. Ale kiedy człowiek ma, tak jak ona, trudności z literami i liczbami, to musi polegać na informacjach wpadających mu do ucha, a Nete nie przebywała w życiu ze zbyt wieloma osobami, którym udało się dotrzeć do jej głowy tą drogą.

Krótko mówiąc, potrafiła skutecznie odciąć się od otoczenia, ale w sali robót ręcznych to się nie udawało i wszystkie bzdury, którymi dziewczyny wypełniały salę, doprowadzały ją do szaleństwa. Dziesięć godzin codziennie.

– Kochana, miła Grethe, możesz przysunąć do mnie szpulkę? – potrafiła powiedzieć jedna, na co rzeczona Grethe warczała wściekle:

– Nie jestem twoją służącą, ty zaśliniona poczwaro!

Tym sposobem nastrój potrafił ulec błyskawicznej zmianie. I nie licząc Nete i tej, której to dotyczyło, wszystkie dziewczęta śmiały się i przerzucały inwektywami, dopóki się nie pogodziły i cała gromada wracała do opowiadania tych samych historii.

Oprócz braku papierosów, szeptania o przystojnych mężczyznach z łodzi i odstręczających historii o lekarzu z nożem w Korsør, nie bardzo było o czym rozmawiać.

– Oszaleję na tej zasranej wyspie – szepnęła do Rity na podwórzu tuż przed lunchem.

Rita zmierzyła ją od stóp do głów, jakby była towarem na sklepowej półce.

– Postaram się, żebyśmy miały wspólny pokój – powiedziała. Wtedy na pewno cię trochę rozweselę.

Tego samego wieczora współlokatorka Nete doznała poważnego urazu i trzeba było ją wysłać do szpitala w Korsør. Podobno zanadto zbliżyła się do kotła w pralni. Sama się o to prosiła, bo była głupia, niezdarna i cały czas myślała o tej swojej lalce.

Krzyki słychać było aż w szwalni i tkalni. Nete nie czuła się z tym zbyt dobrze.

Gdy Rita wprowadziła się do jej pokoju, w jej życiu na krótko zawitał śmiech. Zabawne historie brzmiały jeszcze śmieszniej w ustach Rity, a ona potrafiła je podłapywać. Ale jej towarzystwo miało swoją cenę. Nete przekonała się o tym już pierwszej nocy.

Protestowała, ale Rita była silna i ją zmusiła, a gdy dzięki jej zabiegom Nete dyszała z rozkoszy, pogodziła się z sytuacją.

– Trzymaj język za zębami– ostrzegła ją szeptem Rita. – Jeśli to wyjdzie na jaw, już po tobie, rozumiesz? – Nete rozumiała.

Rita była nie tylko silna ciałem, ale też duchem. Znacznie silniejsza niż Nete. Choć nie znosiła pobytu na wyspie, to w jej wyobrazeniach inna, dobra przyszłość czekała tuż za rogiem. Była przekonana, że uda jej się stąd wydostać, a pracując nad tym, wiedziała lepiej niż ktokolwiek, jak umilić sobie życie.

Dostawała najlepsze prace, podawano jej pierwszej do stołu, paliła papierosy za pralnią, nocą korzystała z uroków Nete, a przez resztę czasu była królową wszystkich dziewczyn.

– Skąd właściwie masz papierosy? – pytała ją Nete raz na jakiś czas. Odpowiedź otrzymała dopiero pewnej wiosennej nocy, kiedy dostrzegła, jak Rita ukradkiem wstaje z łóżka, wskakuje w ubranie i cichutko otwiera drzwi.

„Zaraz rozdzwoni się alarm w całym domu” – pomyślała Nete, bo we wszystkich drzwiach zamontowano mały trzpień, który wyskakiwał, gdy się je otwierało, uruchamiając alarm. Potem następowały wrzaski personelu, szarpanina i bicie oraz pobyt w jednym z pokoi do refleksji, zwanych karczerem. Ale alarm nie zadzwonił, bo Rita zablokowała go kawałkiem metalu.

Gdy Rita była już na korytarzu, Nete wstała, by sprawdzić, jak sobie poradziła. Zastosowała po prostu zmyślnie wygięty metalowy drucik, który można było wcisnąć w szparę wokół trzpienia przy otwieraniu drzwi. Takie to proste.

W niecałe dziesięć sekund Nete naciągnęła na siebie sukienkę i z bijącym sercem wymknęła się w ślad za Ritą. Wystarczyła skrzypiąca deska w podłodze czy zawias w drzwiach, by rozpętało się piekło, ale Rita przetała już szlak.

Gdy Nete dotarła do drzwi wejściowych, okazało się, że nie są zamknięte na klucz. Czyli również do nich Rita znalazła wytrych.

Zobaczyła, jak w oddali jej sylwetka przemyka pospiesznie obok kurnika i kieruje się na pola. Zupełnie jakby znała każdy kamień i bagnistą kałużę

w ciemności.

Nie ulegało wątpliwości, że Rita zmierzała do „Wolności”, jak dziewczęta nazywały mały domek położony na cyplu w zachodniej części wyspy. W tym miejscu najgrzeczniejszym dziewczynom wolno było przebywać za dnia podczas tygodnia zwanego wakacyjnym. W dawnych czasach nazywano go „domem zarazy”, bo umieszczano w nim na kwarantannie dotkniętych chorobą marynarzy. Tamtej nocy Nete przekonała się, że wciąż zasługiwał na to miano.

Na plaży obok domku cumowało kilka łódek z sieciami i skrzynkami na ryby, a w samej „Wolności” błyskało światło paru lamp naftowych.

Jak najostrożniej Nete podeszła do domku i zajrzała przez okno. Widok, który ujrzała, wprowadził ją w osłupienie. Na jednym końcu stołu leżało kilka kartonów papierosów, zaś przy drugim stała Rita, opierając się rękami o blat, wypinając nagie podbrzusze tak, by mężczyzna za jej plecami mógł bez przeszkód napierać na nią członkiem.

Za nim stało kilku innych mężczyzn, czekając na swoją kolej. Mieli zarumienione twarze, skupione na obserwacji. To byli trzej rybacy, a tego po prawej Nete znała aż nazbyt dobrze.

To był Viggo.

Bez wahania rozpoznała głos Vigga przez domofon i tym razem stała z walącym sercem, nasłuchując kroków na schodach prowadzących do jej mieszkania. Gdy otworzyła drzwi wejściowe, wiedziała od razu, że będzie trudniej niż w dwóch poprzednich przypadkach.

Przywitał się niskim głosem i wślizgnął do przedpokoju, jakby już tu bywał. Wciąż był przystojnym mężczyzną, przyprawiającym o mocniejsze bicie serca jak wtedy w wesołym miasteczku. Wysmagana wiatrem skóra z czasem zrobiła się delikatniejsza, a włosy przyprószone siwizną i miękkie z wyglądu.

Tak miękkie, że pomyślała, że musi przeczesać je palcami, kiedy już go zabije.

Listopad 2010

Carl obudził się oszołomiony. Nie wiedział, jaki jest dzień i dlaczego sypialnia przywozi mu na myśl bazar w Gellerupparken⁷. Czy to mieszanka Assadowego ulepku, opary niewywietrzzonej shoarmy i unoszący się smród gabinetu lekarskiego?

Sięgnął po zegarek i stwierdził, że jest 9.27.

– Cholera jasna! – krzyknął, wyskakując z łóżka. – Dlaczego nikt mnie nie obudził? – Teraz Jesper na pewno się spóźni, o nim samym nie mówiąc.

Zmycie z siebie wczorajszego potu i naciągnięcie na grzbiet w miarę czystego ubrania zajęło mu tylko pięć minut.

– Wstawaj, Jesper! – zawołał, waląc już drugi raz do jego drzwi. – Spóźnisz się, i to ze swojej własnej, kurde, winy!

Włożył buty i jeszcze raz załomotał do drzwi przybranego syna, po czym zszedł na dół, praktycznie nie dotykając schodów.

– Yyy, co ty wyprawiasz, Carl? Wybierasz się na sumę? Jest dopiero o dziesiątej – zauważył ostrożnie Morten, stojący przy kuchence w piżamie i swoim ulubionym fartuszk. Wyglądał jak parodia samego siebie.

– Dzień dobry, Carl – rozległo się z salonu. – Nieźle sobie pospałeś.

Uśmiechał się do niego rześki o poranku Mika, ubrany w biel od stóp do głów. Przed nim, na swoim łóżku, leżał nagi Hardy, a na stoliku na kółkach u jego boku stały dwie parujące miski z płynem, którym Mika zwilżał jego zwiotczone ciało za pomocą wyżętych ścierek.

– Właśnie myjemy Hardy’ego. Sam uznał, że nieświeżo pachnie. Robimy mu teraz kąpiel z mieszanki kamfory z mentolem, więc mówimy woni, że ma się gonić. Co na to powiesz, Hardy?

– Powiem dzień dobry – odrzekła głowa na końcu bladego, chudego i długiego ciała.

Carl zmarszczył brwi i w tej samej sekundzie, w której Jesper ryknął z piętra, że

Carl jest największym idiotą świata, kartki z kalendarza wreszcie ułożyły się w głowie Carla.

„Jasna cholera, ale syf, przecież jest niedziela” – pomyślał, podpierając głowę dłonią.

– Co tu się właściwie dzieje, otwierasz food trucka, Morten? – spytał, odnosząc się do zapachu.

Zamknął oczy, próbując przypomnieć sobie niefortunną rozmowę z Moną wczoraj wieczorem.

„Nie, nie możesz niestety przyjść, bo wybieram się z wizytą do Mathilde” – powiedziała.

„Mathilde?” – spytał. „Kto to jest?”

I sekundę później gotów był sam siebie pacnąć w kark za to kretyńskie pytanie.

„Moja starsza córka, Carl” – odparła z takim chłodem w głosie, że kręcił się w łóżku do białego rana. No żeż jasna dupa. Czy w ogóle mu mówiła, że druga córka ma na imię Mathilde? Z drugiej strony, czy on kiedykolwiek zapytał? Jasne, że nie. Mleko się rozlało.

Usłyszał, jak Morten mamrocze coś w tle, tyle że nie rozumiał co.

– Powiedz jeszcze raz – poprosił.

– Śniadanie, Carl – odparł Morten. – Smaczny, pożywny posiłek dla każdej zgłodniałej duszy, wliczając dwóch zakochanych facetów. – Przy słowie „zakochani” jego rzesy oszalały.

„Założę się, że otworzył właśnie wrota do najgłębszych pokładów swojego jestestwa” – pomyślał Carl. Naprawdę najwyższy czas.

Morten rozłożył na stole swoje specjały.

– Zapraszam, oprószone czosnkiem plasterki wędzonej kiełbasy jagnięcej z owczym serem. Sok warzywny i herbata z dzikiej róży z miodem.

„O rany” – pomyślał Carl. Może lepiej wrócić do łóżka.

– Zabieramy się dziś za trening Hardy’ego – odezwał się Mika. – Chcemy, żeby bolało, prawda, Hardy?

– Byłoby wspaniale – odparł.

– Ale nie nastawiamy się na zbyt dużo, co, Hardy?

– Nie nastawiam się na nic. Mam tylko nadzieję.

Carl obrócił się do niego, unosząc kciuk. Nie będzie się, cholera, nad sobą użalał,

skoro Hardy potrafi tak do wszystkiego podchodzić.

– Musisz zadzwonić do Viggi, Carl – powiedział Morten.

Okej. Znów mu się zrobiło siebie żal.

Carl dumiał nad poranną kielbasą, ignorując nabzdyczoną minę Jespera. Jakiś syf z tą Viggą. Kiedy już sobie odpuścił dywagacje na ten temat, nagle przyszło mu do głowy rozwiązanie tak logiczne, proste i budujące, że pięknie podziękował za posiłek, mimo że rzadko zdarzało mu się spożywać tak odrażające połączenia.

– Dobrze, że dzwonicz – zaczęła Vigga. O dziwo, w jej głosie słyhać było lekką panikę. Ona, która w normalnych okolicznościach uważała, że świat się do niej dostosuje. Ale to już nie jego wina, że zaplanowała nowy ślub, nie rozwiódłszy się z poprzednim mężem.

– No, i co ty na to? Byłeś w banku, Carl?

– Ciebie też miło słyszeć, Vigga. Nie, nie byłem. Właściwie to nie ma po co.

– Ach tak. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że spłacisz sześćset pięćdziesiąt tysięcy bez kredytu. Hardy ci przyszedł z pomocą?

Carl się zaśmiał; po tym ostrym tonie zaraz nie będzie śladu.

– Zgadzam się na te sześćset pięćdziesiąt tysięcy, których żadasz, Vigga. Zgoda. Połowa wartości domu jest twoja.

– Booże, Carl! – zatkało ją totalnie.

Carl zarechotał w duchu. Zaraz zatka ją jeszcze bardziej.

– Ale poza tym jest jeszcze wyrównanie, które dzisiaj wyliczyłem.

– Wyrównanie?

– Ależ tak, droga Viggo. Być może żyjesz jeszcze czasami hippisów, ale tu, w tym kraju, nie żywimy się już zapachem kwiatów i miłością. Pamiętaj, że znaleźliśmy się w dobie egoizmu, kiedy to człowiek działa dla własnej korzyści.

Upajał się ciszą po drugiej stronie. Że też potrafi tak długo milczeć! To jakby świętować Wigilię dwa dni z rzędu.

– Posłuchaj. Najpierw te pięć, sześć lat, kiedy Jesper mieszkał wyłącznie ze mną. Zapewniam, że trzy lata liceum drogo kosztowały, nawet jeśli go nie skończył. A kurs przygotowawczy do HF, na którym jest obecnie, też przecież kosztuje. Powiedzmy po prostu, że dzielimy się wydatkami wynoszącymi osiemdziesiąt tysięcy rocznie. Żadna instancja prawna nie uzna, że to za dużo.

– Hola, hola – wtrąciła. Tak jakby potyczka już się zaczęła. – Przecież płaciłam

za Jespera. Dwa tysiące koron miesięcznie.

Tym razem to Carla zatkało.

– Co mówisz? Mam nadzieję, że masz na to papiery, bo nie widziałem z tego ani korony.

I druga strona. Teraz jej kolej na milczenie.

– Tak, Vigga – powiedział Carl. – Myślmy o tym samym. Twój cudowny syn zakosił wszystko dla siebie.

– Gówniarz – stwierdziła po prostu.

– Okej, posłuchaj, Vigga. Co się stało, to się nie odstanie. Trzeba żyć dalej. Przecież wkrótce bierzesz ślub z Ogórkemalem w Karrystanie, więc ja zapłacę ci te sześćset pięćdziesiąt tysięcy, a ty zapłacisz mi sześć razy czterdzieści tysięcy koron za ostatnie lata Jespera w podstawówce, trzy lata liceum i najbliższe dwa lata na kursie HF. Jeśli nie chcesz mi płacić za to ostatnie, to istnieje alternatywa, że zapłacisz mi sto pięćdziesiąt tysięcy i weźmiesz go do siebie na czas HF. Ty decydujesz.

Milczenie mówiło samo za siebie. Widać Gurkamal i Jesper nie byli zaprzyjaźnieni na śmierć i życie.

– Pozostają jeszcze twoje nieruchomości. Sprawdziłem w necie, że wartość domku na działce wycenia się na pięćset tysięcy koron, więc mnie się należy dwieście pięćdziesiąt. *Summa summarum* mam ci dać sześćset pięćdziesiąt tysięcy minus dwieście czterdzieści tysięcy minus dwieście pięćdziesiąt tysięcy, co daje sto sześćdziesiąt tysięcy koron plus, oczywiście, połowę wyposażenia domu. Możesz tu wpaść i sama sobie wybrać.

Powiódł wzrokiem po umeblowaniu, po czym roześmiał się w głos.

– To niemożliwe – odparła.

– Chętnie wyślę kalkulator do Islev, jeśli twój Ogórkemal nie potrafi wykonywać działań na tak dużych liczbach – zaoferował. – Za to możesz uniknąć płacenia tych dwóch tysięcy miesięcznie na Jespera, już się wystarczająco obłowił. A ja dopilnuję, żeby przeszedł przez to HF.

Pauza, która nastąpiła potem, była tak długa, że telefonia komórkowa musiała zacierać ręce.

– Nie zgadzam się – oznajmiła Vigga.

Carl skinął głową. Oczywiście, że się nie zgadza.

– Pamiętasz tę uroczą adwokat z Lyngby Hovedgade, która załatwiała sprawę zakupu naszego domu?

Vigga mruknęła.

– W międzyczasie uzyskała prawo do reprezentowania klientów przed Sądem Najwyższym. Kieruj do niej wszystkie swoje roszczenia. I pamiętaj, Vigga: Jesper nie jest moim rodzonym synem, więc jeśli będą problemy, to dostaniesz go z całym dobrodziejstwem inwentarza. I na jedno wyjdzie.

Znów pieniądze zasilily kasę telefonii komórkowej. Zasłoniła ręką mikrofon telefonu, w każdym razie głosy, które słyssał, były bardziej przytłumione niż normalnie.

– Dobrze, Carl. Gurkamal się zgadza, więc ja też.

Niech Bóg błogosławi tego poczciwego sikha. Niech mu broda rośnie jak na substralu.

– Ale ustalmy jedną rzecz – dodała ostrzej. – Chodzi o naszą dawną umowę w sprawie mamy. Umawialiśmy się, że będziesz ją odwiedzać przynajmniej raz w tygodniu, ale tego nie robiłeś. Tym razem chcę to na piśmie. Jeśli nie odwiedzisz jej pięćdziesiąt dwa razy w roku, będzie cię to kosztowało tysiąka za każdy opuszczony raz, rozumiesz?

Carl przywołał obraz swojej teściowej. Prognozy dla innych pensjonariuszy domu starców nie należały do długoterminowych, ale z Karlą Alsing nigdy nie wiadomo. Vigga wrabiała go w wyjątkowo trudny kompromis.

– W takim razie chcę mieć dwanaście tygodni wakacji – powiedział.

– Dwanaście tygodni! Cierpisz na manię wielkości? Wydaje ci się, że jesteś jednym z tych próżniaków wybranych do Folketingu, Carl? Żaden normalny człowiek nie ma, do cholery, dwunastu tygodni wakacji. Możesz dostać pięć!

– Dziesięć – odparł.

– O nie, to za dużo. Powiedzmy, że siedem i ani dnia więcej.

– Osiem albo adwokatka z Lyngby.

Znów pauza.

– No dobrze już, dobrze – ustąpiła w końcu. – Ale co najmniej godzina za każdym razem i pierwszy raz musi być dzisiaj. A poza tym nie chcę połowy tych twoich gratów. Jeszcze nie zwariowałam, żeby chcieć to twoje paskudne radio Bang & Olufsen z osiemdziesiątego drugiego roku, skoro Gurkamal ma sprzęt

Samsunga z surround i sześcioma głośnikami. Tak że zapomnij.

To było wspaniałe, wręcz niewiarygodne. Tak to wszystko załatwił, że rozwiedzie się z Viggą za żalosne sto sześćdziesiąt tysięcy koron. A tyle nawet miał.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że chyba można teraz zadzwonić do Mony, nawet jeśli wieczór u Mathilde był solidnie zakrapiany.

Kiedy w końcu odebrała, wcale nie była zachwycona.

– Obudziłem cię? – spytał.

– Nie, mnie nie. Obudziłeś Rolfa.

Kim, do jasnej cholery, jest Rolf? Czuł się, jakby zwały się na niego niedzielne depresje z całego roku. Niekontrolowany zjazd.

– Rolfa? – spytał ostrożnie, mając złe przeczucia. – Kto to jest?

– Nieważne, Carl. Porozmawiamy o tym innym razem.

Aha, naprawdę?

– Czemu dzwonisz? Przeprosić za to, że nie znasz imienia mojej córki?

Jaka ona bezduszna. Owszem, dostał klucz dla kochanka, ale kto mówił, że Mona nie będzie wpuszczać innych, posługując się swoim własnym kluczem? Takiego, na przykład, Rolfa? To zdecydowanie przyćmiło radosną wiadomość, którą zamierzał obwieścić.

„To cholerne bydlę nazywa się Rolf” – pomyślał, próbując pozbyć się wizji dobrze utrzymanej klaty panoszącej się na jego włosciach.

– Nie, nie dlatego. Zadzwoniłem, żeby powiedzieć, że Vigga i ja ustaliliśmy dziś warunki rozwodu. Zadzwoniłem, żeby powiedzieć, że wkrótce znów będę stanu wolnego.

– No proszę – odparła bez większego entuzjazmu. – Cieszę się, że się cieszysz, Carl.

Zakończył rozmowę i siedział na brzegu łóżka z komórką luźno zwisającą w ręce.

Upadek z samego szczytu.

– Coś taki nadęty, Kalle? – spytał Jesper z korytarza.

Zaiste, najgłupsza rzecz, jaką ten łajza mógł w tym momencie powiedzieć.

– Twoja matka i ja się rozwodzimy – odparł.

– Aha, i co z tego?

– Co z tego? Nic ci to nie mówi, Jesper?

– Nie, a co mnie to obchodzi?

– Już ci wyjaśniam, przyjacielu. Obchodzi cię to o tyle, że dopływ tych dwóch tysięcy koron, które zagarniałeś sobie co miesiąc przez ostatnich parę lat, z tą sekundą się kończy. Właśnie tyle cię to obchodzi! – Carl klasnął w dłonie, by chłopak na własne oczy się przekonał, jak kasa się zatrzaskuje.

Zabawne, że ten skądinąd pomysłowy osobnik nie wpadł na żadne przekleństwo, którym mógłby się odwinąć w odpowiedzi. Za to zdołał trzasnąć wszystkim, czym się dało, gdy przechodził przez dom.

Carl pomyślał z niechęcią, że równie dobrze może od razu odbębnić obowiązek odwiedzin u kobiety o rychłym już statusie eksteściowej.

Dostrzegł mężczyznę w szaroniebieskim garniturze, opierającego się o drzwi samochodu pośrodku parkingu, ale nie licząc faktu, że odwrócił głowę, gdy Carl go mijał, wyglądał jak wielu innych młodych mężczyzn czekających, aż z któregoś z betonowych domów wychynie panienka na niedzielne tokowanie. Poza tym Carl miał gdzieś wszystko i wszystkich, bo przecież zbudził tego Rolfa, a do tego Mona była z tego powodu poirytowana. Czy może być gorzej?

Przejechał piętnaście kilometrów do Bakkegården w Bagsværd, nie zważając na korki i śliską nawierzchnię, a gdy pielęgniarka wpuściła go na teren placówki, nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem.

– Przyszedłem odwiedzić Karłę Alsing – zakomunikował krótko innej pielęgniarce na oddziale osób z demencją.

– Rozumiem, teraz śpi – otrzymał odpowiedź, która była Carlowi wyjątkowo na rękę.

– Ostatnio mamy z nią prawdziwe utrapienie – ciągnęła pielęgniarka surowo. – Pali w pokoju, choć wie, że to surowo wzbronione, bo jest zakaz na terenie całego zakładu. Nie wiemy, skąd bierze cygaretki, może panu coś o tym wiadomo?

Carl zapewnił o swojej niewinności. Od kilku miesięcy go tu nie było.

– Aha, w każdym razie właśnie skonfiskowaliśmy jej paczkę cygaretek. To naprawdę duży problem. Proszę jej przekazać, żeby brała swoje tabletki z nikotyną, kiedy najdzie ją ochota na palenie. Nie zaszkodzą, najwyżej uderzą ją trochę po kieszeni.

– Na pewno jej przekażę – obiecał Carl z roztargnieniem. – Cześć, Karla – zwrócił się do teściowej, nie licząc na odpowiedź. Kelnerka, która przepracowała

sześćdziesiąt lat w kopenhaskich lokalach nocnych, leżała na sofie z zamkniętymi oczami, wietrząc zwiotczone uda, odziana w kimono. Carl już je widział, ale jeszcze nigdy tak bardzo rozpięte.

– Och, mój miły – odparła ku jego zaskoczeniu i otworzyła oczy, mrugając tak uwodzicielsko, że nawet Jelonek Bambi się przy tym chował.

– Yyy, to ja, Carl. Twój zięć, Karlo.

– Mój przystojny, wielki, silny policjant. Przyszedłeś mnie odwiedzić? Jak cudownie!

Już miał obiecać, że od teraz będzie ją odwiedzał bardzo często, ale jak zawsze trudno było wcisnąć choć słówko do monologu kobiety, która nauczyła mówić Viggę zdaniami tak długimi, że cudem nie mdlała z braku tlenu.

– Masz ochotę na cygaretkę, Carl? – spytała, wyciągając spod poduszki za plecami paczkę advokatów i jednorazową zapalniczkę.

Otworzyła paczkę z przesadnym profesjonalizmem i poczęstowała go.

– Nie wolno ci tu palić, Karlo. Skąd masz te cygaretki?

Nachyliła się do niego tak, że kimono wyeksponowało dobrodziejstwa jej klatki piersiowej. Trochę za dużo jak na jeden raz.

– Świadczę usługi ogrodnikowi – wyznała, szturchając go łokciem w bok. – Osobiste, wiesz. – Szturchnęła jeszcze raz.

Ciężko mu było się zdecydować, czy ma uczynić znak krzyża, czy raczej chylić czoło przed libidem wieku starczego.

– Tak, tak, wiem, że mam brać tabletki nikotynowe, mówili mi.

Wyjęła opakowanie i włożyła sobie jedną do ust.

– Na początku dawali mi gumę nikotynową, ale to był zły pomysł. Tak mi sklejała protezy, że mi wylatywały z ust, więc teraz dostaję tabletki.

Wyjęła cygaretkę z paczki i zapaliła.

– I wiesz co, Carl, najlepiej jest gryźć tabletkę i palić jednocześnie.

Wrzesień 1987

– Nie, dziękuję. Nie przepadam za herbatą – powiedział Viggo, gdy Nete stała przy kredensie, już mając mu nalewać.

Obróciła się do niego ze zgrozą. Co teraz?

– Natomiast filiżanka kawy zdziałałaby cuda. Po kilkugodzinnej podróży człowiek robi się otępiały i bardzo jej potrzebuje.

Nete spojrzała na zegarek. Do diabła, już drugi raz pojawia się prośba o kawę. Dlaczego, u licha, tego nie przewidziała? Myślała po prostu, że teraz wszyscy piją herbatę, ostatnio to jakiś szal. Herbata z dzikiej róży, herbata ziołowa, herbata z mięty pieprzowej – nie istniała herbata, której ludzie by w siebie nie wlewali, i bardzo dobrze, bo herbata idealnie nadawała się do tego, by zagłuszyć smak szaleju. Choć z drugiej strony przecież kawa też. Dlaczego nie kupiła jakiejś przeklętej neski w Irmie, skoro i tak tam była?

Podniosła rękę, zasłaniając usta tak, by nie usłyszał, że jej oddech nagle przyspieszył. Co ma teraz zrobić? Nie było czasu, by lecieć na Nørrebrogade po kawę w ziarnach, gotować wodę, parzyć kawę i wkraplać do niej szalej.

– I z odrobiną mleka – odezwał się Viggo z krzesła. – Żołądek już nie ten, co kiedyś – wyjaśnił i zaniósł się śmiechem, którym swego czasu zjednał sobie Nete.

– Chwileczkę – rzuciła Nete, pędząc do kuchni, by nastawić wodę.

Szybko otworzyła spiżarnię i stwierdziła, że miała rację i w domu nie ma kawy pod żadną postacią. Zerknęła na skrzynkę z narzędziami, otworzyła wieko i spojrzała na młotek.

Jeśli miałyby go użyć, cios musiał być mocny i pojawiłyby się krew. Może nawet dużo krwi. Nie, to nie przejdzie.

Dlatego zdecydowanym ruchem wzięła ze stołu portfel, podeszła do drzwi wejściowych, otworzyła je i paroma krokami pokonała drogę do drzwi sąsiadki.

Zadzwoiła gorączkowo, licząc sekundy, podczas gdy mały spaniel tybetański warczał za drzwiami. Oczywiście mogłaby obwiązać młotek szmatą i uderzyć

Vigga w kark. To by go w każdym razie pozbawiło świadomości, a ona by mogła potem w świętym spokoju nalać mu do ust koncentrat szaleju.

Kiwnęła głową sama do siebie. Nie podobała jej się ta myśl, ale musiała tak zrobić. Ale gdy już zawróciła do mieszkania, by mieć to z głowy, za jej plecami otworzyły się drzwi.

Nete właściwie nigdy nie zwracała uwagi na sąsiadkę, ale kiedy stały teraz naprzeciw siebie, rozpoznała zmęczone życiem usta i oczy za bardzo grubymi szklami.

Chwilę jej zajęło, by się zorientować, że kobieta nie wie, kim Nete jest. Całkiem zrozumiałe, zważywszy, że pozdrowiały się na schodach jedynie parę razy, a do tego sąsiadka miała słaby wzrok.

– Przepraszam, jestem pani sąsiadką, Nete Hermansen – przedstawiła się, nie odrywając wzroku od psa, który warczał przy nogach kobiety. – Skończyła mi się kawa, a mój gość wpadł tylko na chwilę, więc może...

– Moja sąsiadka nazywa się Nete Rosen – odrzekła nieufnie. – Tak jest napisane na drzwiach.

Wzięła głęboki wdech.

– Tak, przepraszam, Hermansen to moje nazwisko panińskie, znów je noszę. Teraz jest napisane na drzwiach.

Kiedy kobieta na moment wychyliła się, dokonując oględzin dowodu na drzwiach, Nete uniosła brwi, starając się sprawiać wrażenie wiarygodnej i uczciwej, jak na porządną sąsiadkę przystało. Ale w duchu na cały głos krzyczała w desperacji.

– Oczywiście zapłacę – zastrzegła, starając się zapanować nad oddechem, otworzyła portfel i wyjęła z niego banknot dwudziestokoronowy.

– Niestety nie mam kawy – odparła sąsiadka.

Nete zmusiła się do uśmiechu, podziękowała i odwróciła się. Czyli młotek.

– Ale mam trochę neski – odezwał się głos za jej plecami.

– Za sekundę wracam! – zawołała Nete z kuchni, nalewając mleko do dzbanuszka.

– Piękny masz dom – rozległ się w drzwiach kuchni głos Vigga.

Nete niemal upuściła filiżankę z kawą, gdy po nią sięgnął. Zdecydowanie nie o to chodziło, by pił ją już teraz. Dopiero po dodaniu szaleju.

Trzymając mocno filiżankę, przepchnęła się obok niego.

– Nie, pozwól mi, proszę. Chodź i usiądź sobie – powiedziała. – Mamy sporo do ustalenia przed przybyciem adwokata.

Słyszała za plecami jego ciężkie kroki; zatrzymał się w progu jadalni.

Spojrzała w jego stronę i poczuła, jak się wzdraga, gdy nachylił się do dolnego zawiasu w drzwiach i zaczął wyciągać coś, co w nim utkwiło. Od razu się zorientowała, co to takiego. Był to kawałek materiału o silnym połysku i w niebieskie ciapki. Czyli to tu podarła się marynarka Tagego.

– Wiesz, co to jest? – spytał z uśmiechem, podając jej skrawek.

Nete lekko potrząsnęła głową, stawiając dzbanuszek z mlekiem na kredensie tuż przy butelce z ekstraktem z szaleju. W ciągu sekundy wlała go do kawy, a potem można dodać mleka.

– Słodzisz? – spytała, obracając się do niego z filiżanką w ręce.

Stał zaledwie o krok od niej.

– Szukałaś tego?

Podeszła do niego, udając, że próbuje sobie przypomnieć, co też to może być.

Zaśmiała się lekko.

– Boże drogi, skąd? Jak można w ogóle chodzić w czymś takim?

Zmarszczył brwi; nie podobało jej się to.

Po chwili podszedł do okna i w świetle przyglądał się materiałowi przez chwilę. Zbyt długo i zbyt wnikliwie.

Właśnie w tym momencie filiżanka w jej ręce zaczęła dygotać, pobrzękując.

Odwrócił się do niej i zorientował, skąd dochodzi dźwięk.

– Sprawiasz wrażenie zdenerwowanej, Nete – zauważył, spoglądając na jej rękę. – Coś nie tak?

– Nie, co miałyby być nie tak?

Postawiła filiżankę na ławie przy fotelu.

– Siadaj, Viggo, musimy porozmawiać o przyczynie, dla której cię zaprosiłam, a nie mamy niestety zbyt wiele czasu. Wypij kawę, a ja opowiem ci, co zaraz nastąpi.

Czy on nigdy nie przestanie roztrząsać sprawy tego skrawka?

Spojrzał na nią.

– Wydaje mi się, że czujesz się nieswojo. Mam rację? – Przechylił głowę, podczas gdy Nete gestem zapraszała go, by usiadł.

To naprawdę tak widać? Musi zacząć panować nad reakcjami.

– Tak, przepraszam – odparła. – Ale jak wiesz, nie jestem zdrowa.

– Przykro mi – rzekł bez współczucia, podając jej skrawek. – Spójrz. Czy to nie wygląda jak materiał z marynarki? Jak kawałek tkaniny z marynarki mógł utkwić w dolnym zawiasie drzwi?

Wzięła skrawek i przyjrzała mu się. Co miała powiedzieć?

– Chyba wiem, co to jest, i bardzo mnie to dziwi.

Zwróciła ku niemu spojrzenie odrobinę za szybko. „Co się dzieje? Co on wie?” – pomyślała.

Viggo zmarszczył brwi.

– Trochę cię to zszokowało, co, Nete? Tak mi się wydaje.

Ważąc materiał w ręce, nie odrywał wzroku od jej spojrzenia, a zmarszczki na czole się pogłębiły.

– Przyszedłem dziś godzinę za wcześniej, dlatego czekałem pod kasztanowcami, paląc papierosy. I wiesz, co się wydarzyło?

Powoli pokręciła głową, ale to nie wygładziło zmarszczek na jego czole.

– Zobaczyłem biegnącego bardzo grubego faceta w najbrzydszym garniturze, jaki kiedykolwiek widziałem, a widziałem ich w życiu niemało. Ten garnitur był uszyty z materiału identycznego jak ten. Dość charakterystyczna tkanina, nie sądzisz? I ten facet zadzwonił domofonem do klatki. Facet ubrany w taki sam materiał. – Wskazał na skrawek w jej dłoni. – Nie sądzisz, że to dziwny zbieg okoliczności, Nete?

Skinął twierdząco w odpowiedzi na własne pytanie. Wtedy wyraz jego twarzy się zmienił. Już wówczas wiedziała, że kolejne pytanie może się okazać zabójcze.

– Mieliśmy dziś przyjść dokładnie o wyznaczonej porze. Napisałaś, że to dlatego, że masz inne spotkania. Zrozumiałem to tak, że czekasz na innych gości. Dlatego moje pytanie do ciebie brzmi: czy mężczyzna w brzydkim garniturze był może jednym z nich? I jeśli tak, dlaczego nie widziałem, by wychodził? Przecież tu go nie ma?

Widać było, że najmniejsze drgnienie czy grymas da mu odpowiedź, więc po prostu uśmiechnęła się do niego, wstała i kontrolując ruchy, udała się do kuchni, otworzyła spizarnię, nachyliła się nad skrzynką z narzędziami i wyjęła młotek.

Nie zdążyła nawet obwiązać wokół niego ścierki, kiedy stanął za jej plecami,

powtarzając pytanie.

Dało jej to sygnał, by płynnym ruchem odwrócić się i zamachnąć się na niego młotkiem tak, że z trzaskiem trafił prosto w skroń.

Osunął się jak ścierka, zupełnie bez życia. Nawet nie było aż tak dużo krwi. Gdy stwierdziła, że jednak nadal oddycha, podeszła do ławy, by przynieść kawę.

Kaszlał trochę, gdy otworzywszy mu usta, wlała w niego ciepły płyn. Nie trwało to długo.

Siedziała przez chwilę, przyglądając mu się. Gdyby Viggo nie istniał na tym świecie, wszystko byłoby inaczej.

Teraz już nie istniał.

Wstyd i odraza z powodu tego, co widziała tamtej nocy w „Wolności”, przepełniały Nete do tego stopnia, że nie była w stanie na dłuższą metę tego ukryć.

Rita pytała ją parokrotnie, co się dzieje, ale Nete milczała. Tylko w ciemności, pod kołdrą, kiedy zasypiała, dochodziło między nimi do kontaktu – tego rodzaju kontaktu, którego Rita wymagała w zamian za swoją przyjaźń.

Tak jakby Nete w ogóle ta przyjaźń jeszcze była potrzebna.

Zdradziło ją jedno spojrzenie podczas świniobicia.

Kilka dziewczyn pracujących na polu, ubranych w ogrodniczki, ciągnęło właśnie prosiaka z wybiegu do rzeźnika na podwórzu, kiedy Rita stanęła przed pralnią, by również uczestniczyć w tej rozrywce. Nete wyszła z sali robót ręcznych, by na chwilę zaczerpnąć powietrza. Rita dostrzegła jej obecność i odwróciła do niej głowę; ich spojrzenia skrzyżowały się nad kwiczącym zwierzęciem.

Atmosfera w szwalni udzieliła się Nete. Był to jeden z tych dni, kiedy płacz wiązał jej w gardle, a tęsknota za innym życiem wywołała w niej poczucie gorczy. Dlatego spojrzenie, które posłała Ricie, było nieuważne, a wzrok, którym odwzajemniła się Rita – podejrzliwy i czujny.

– Teraz mi powiesz, o co chodzi – krzyknęła Rita w ich pokoju tego samego wieczora.

– Rzniesz się za papierosy, sama widziałam. I wiem, do czego tego używasz – sięgnęła pod materac Rity i wyciągnęła spod niego metalowy bolec, który blokował dzwonek alarmowy w drzwiach.

Jeśli Ritę w ogóle można było zszokować, to wtedy się udało.

– Jeśli usłyszę, że się o tym wygadałaś, to będzie z tobą źle – wyciągnęła w jej

stronę palec wskazujący. – Jeśli kiedykolwiek mnie zdradzisz albo zostawisz na lodzie, będziesz tego żałować przez resztę życia, kapujesz? – zagroziła z pałającymi oczami.

I na tym stanęło.

Później Rita zrealizowała swoją groźbę, co miało dla nich obu kolosalne konsekwencje. Musiało minąć prawie ćwierć wieku, żeby Nete mogła się zemścić. Rita i Viggo siedzieli martwi w szczelnym pokoju.

Każde ze sznurem wokół lędźwi i oczami pozbawionymi dawnego blasku.

Listopad 2010

Odkąd tych dwóch policjantów nawiązało kontakt z Herbertem Sønderskovem, Mie Nørvig i Louisem Pettersonem, wszystko zaczęło się sypać. Tworzoną starannie przez wiele lat sieć bezpieczeństwa rozpracowywano o wiele szybciej, niż Curt Wad się spodziewał.

Wiedział od początku, że jego działalność wymaga ostrożności i dyskrecji, dlatego był całkowicie przekonany, że gdy tylko pojawi się jakieś zagrożenie, zarządzenie mu już w fazie początkowej nie będzie stanowiło dla jego ludzi większego problemu. Nie spodziewał się natomiast, że będzie czuł na karku oddech odległej przeszłości.

Ale w jakiej to sprawie prowadzili śledztwo ci dwaj policjanci? Herbert Sønderskov mówił, że jakiegoś zaginięcia. Dlaczego, u licha, nie wypytał Herberta dokładnie, kiedy miał taką możliwość? Czy to oznaka demencji? Miał nadzieję, że nie.

A teraz on i Mie zapadli się pod ziemię. Herbert nie przysłał mu ani jednej fotki z miejsca, gdzie się znajduje, tak jak mu nakazał Curt, a to mogło znaczyć tylko jedno.

Curt powinien był się domyślić. Domyślić się, że kiedy przyjdzie co do czego, ten żaloszny urzędniczyna nie zdobędzie się na odwagę, by zrobić to, co konieczne.

Zatrzymał na moment galopujące myśli i pokręcił głową, po czym znów wprawił proces myślowy w ruch. Wcześniej tak nie było, musi zacząć się pilnować. Bo kto w ogóle powiedział, że Herbert nie będzie miał odwagi, żeby zabić Mie? Przecież jest tyle innych sposobów ostatecznego rozwiązania tego problemu oprócz tego, który nakazał Curt. Może któregoś dnia ktoś znajdzie w rowie gnijące zwłoki Herberta i Mie, trzymających się za ręce? Bo czy w przypadku Herberta i Mie samobójstwo nie było najlepszym rozwiązaniem? W każdym razie ta myśl nie była obca samemu Curtowi, a już szczególnie w razie gdyby wokół jego osoby rozpętało się piekło. Znał doskonale i bezbolesne sposoby odejścia z tego świata.

Co za różnica? Przecież był stary, a Beate – chora. Jego synowie to dobrze ustawieni, wolni ludzie. Czy nie chodzi przede wszystkim o Czyste Linie? O to, by zapanować nad rozwiąźnością i wulgaryzacją, które zagrażają duńskiemu społeczeństwu? Czy partia nie była dziełem jego życia? Partia i Tajemna Walka.

Nie, w tym krótkim czasie, który mu pozostał, musi bronić tych wartości. Bo patrzeć na unicestwienie dzieła swojego życia, to jakby nigdy nie istnieć. To jak zejść z tego świata bezdzietnym czy nie pozostawiwszy po sobie żadnych śladów. Myśli i idee wszystkich tych lat okazałyby się bezproduktywne. Ryzyko i szczytne ambicje – daremne. Nie mógł znieść tej wizji i zagrzało go to do walki. Nie istnieją zbyt radykalne środki, jeśli śledztwo tych dwóch policjantów miałoby stać na drodze Czystych Linii do Folketingu. Nie istnieją.

Właśnie dlatego, zachowując środki bezpieczeństwa, zainicjował łańcuszek SMS-ów, w których nakazywał członkom Tajemnej Walki dostosowanie się do decyzji podjętej na spotkaniu po walnym zgromadzeniu: wszystko trzeba spalić! Kartoteki, instruktaże, korespondencję. Wszystko! Dokumentacja pięćdziesięciu lat pracy musi pójść z dymem jeszcze tego dnia.

O własne archiwa się nie obawiał. Były bezpieczne w skrytce w budynku gospodarczym. Kiedy umrze, Mikael dostanie instrukcje, co ma się z nimi stać. Wszystko zostało zabezpieczone.

„Dobrze, że podjąłem decyzję o spaleniu” – pomyślał tego samego popołudnia, gdy zadzwonił telefon stacjonarny.

Dzwonił Caspersen.

– Rozmawiałem z naszym człowiekiem z posterunku City i mam informacje o tych dwóch funkcjonariuszach, którzy byli u Nørviga. Nie są zbyt optymistyczne.

Powiedział, że podkomisarz policji Carl Mørck i jego asystent Hafez el-Assad są związani z tak zwanym Departamentem Q Komendy Głównej. Ten ostatni podobno nie kształcił się w policji, ale za to miał nieznośnie dobrą intuicję, o której już się zrobiło głośno w stołecznych służbach.

Curt pokręcił głową. Arab! O bogowie, jakże mierziła go myśl, że kolorowy będzie wściubiał nos w jego sprawy. Jeszcze i to!

– Ogólnie rzecz biorąc, według naszego człowieka z City, Departament Q Carla Mørcka o brzydkim przydomku „departament spraw pod szczególnym nadzorem” może stanowić dość poważne zagrożenie. Nasz człowiek przyznał niechętnie, że są

znacznie efektywniejsi w pracy niż większość innych wydziałów. Dobra wiadomość jest taka, że pracują głównie na własną rękę, więc inne wydziały raczej nie są na bieżąco z ich aktualnymi zadaniami.

Kilka kwestii w tej charakterystyce wzbudziło wyjątkową czujność i niepokój Curta Wada. Na czele z faktem, że specjalnością tego Departamentu Q jest grzebanie w brudach z przeszłości.

Caspersen mówił, że dopytał się o słabe punkty obu mężczyzn i dowiedział się od człowieka z City, że Carl Mørck ma akurat na głowie dość brzydką sprawę, która w najgorszym razie może się skończyć jego zawieszeniem, o ile gość z City się orientował. Ta sprawa znajduje się obecnie w bardzo kompetentnych rękach na komendzie, więc nie będzie łatwo przy niej majstrować. A nawet jeśliby się udało, zawieszenie weszłoby w życie po upływie tygodnia, a tyle czasu chyba nie mają? Można by się wgłębić w sposób zatrudnienia Hafeza el-Assada i do czegoś się przyczepić, ale to też trochę zajmie. I znów – nie mają na to czasu.

Niestety się nie mylił. Jeśli coś ma się wydarzyć, to teraz.

– Caspersen, poproś tego człowieka z City, by przesłał mi mailem parę zdjęć tych gliniarzy – zakończył Curt.

Otworzywszy maila, siedział, studiując twarze mężczyzn. Obaj uśmiechali się półgębkiem, jakby fotograf powiedział coś śmiesznego, ale mogła to być też zwykła arogancja. Różnili się od siebie jak dzień i noc. Trochę nieokreśleni, jeśli chodzi o wiek, choć Carl Mørck prawdopodobnie jest starszy niż jego asystent. Ale Curt miał problemy z określeniem wieku Arabów.

– Nie uda wam się nas powstrzymać, idioci. – Uderzył otwartą dłońią w ekran dokładnie w momencie, gdy zadzwoniła jego komórka.

Dzwonił ich kierowca.

– Tak, Mikael, zabrałeś kartoteki z domu Nørviga?

– Obawiam się, panie Wad, że muszę odpowiedzieć przecząco.

Curt zmarszczył brwi.

– Co to ma znaczyć?

– Że uprzedziło mnie dwóch mężczyzn w granatowym peugeocie sześćset siedem. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby byli z policji. Nietrudno ich rozpoznać.

Curt pokręcił głową. Nie, nie, to niemożliwe, po prostu nie!

– To był Arab i biały mężczyzna? – spytał, znając odpowiedź.

– Niestety tak.

– Opisz mi ich.

Przyglądał się rysom twarzy na ekranie, gdy Mikael je wyliczał. Miał bystre oko, ten Mikael. I to była katastrofa, bo wszystko się zgadzało.

– Ile tego zabrali?

– Nie wiem. W każdym razie te cztery szafki na dokumenty, które mi pan opisywał, były zupełnie puste.

Trudno było słuchać takich ponurych wieści.

– Okej, Mikael. Spróbujemy je jakoś odzyskać. A jeśli się nie da, trzeba będzie zmieść tych facetów z powierzchni ziemi, rozumiesz?

– Tak, powiadomię kilku przyjaciół, by byli w pogotowiu.

– Dobrze. Dowiedz się, gdzie mieszkają ci dwaj gliniarze, i nie spuszczaście z nich oka przez okrągłą dobę, żeby można było się do nich dostać, gdy się nadarzy okazja. Jak nadejdzie odpowiedni czas, zadzwonicie do mnie, by dostać zielone światło, rozumiemy się?

Parę godzin później u Curta pojawił się Caspersen; nigdy nie widział go takiego zaniepokojonego. A był przecież pozbawionym skrupułów adwokatem, który bez mrugnięcia zabrałby ostatnie pięćdziesiąt koron nieszczęśliwej samotnej matce z piątką dzieci i przekazał jej eksmężowi podejrzanemu o przemoc domową.

– Obawiam się, że dopóki Herberta Sønderskova i Mie Nørvig nie ma na miejscu, by dokonać zgłoszenia na policję, będzie bardzo trudno coś wskórać w sprawie konfiskaty skradzionych materiałów archiwalnych, Curt. Bo chyba Mikael nie zrobił zdjęć na gorącym uczynku?

– Nie, spóźnił się. W przeciwnym wypadku już by je przecież dostarczył, prawda?

– A sąsiadka z naprzeciwka? Nie powiedziała czegoś?

– Nie, tylko że to dwaj policjanci z Kopenhagi. Ale oczywiście potrafiłaby ich zidentyfikować, jakby przyszło co do czego. Widzę, że nie wtapiają się w otoczenie.

– Na pewno nie. Ale miej świadomość, że zanim dojdzie do konfiskaty, to te materiały zawędrują daleko na Komendę Główną. Przecież nie mamy bezpośrednich dowodów, że to oni je ukradli.

– Odciski palców?

– Nie, wykluczone. Przecież poprzedniego dnia byli w domu Nørviga w całkiem legalnej sprawie. Nie nadeszły jeszcze czasy, żeby można było określić, kiedy dokładnie zostawiono odciski palców.

– Aha, czyli zostaje nam bardziej radykalne rozwiązanie, niżbyśmy tego chcieli. Zresztą już puściłem machineę w ruch. Pozostaje tylko dać sygnał.

– Mam rozumieć, że w grę wchodzi zabójstwo, Curt? W takim razie obawiam się, że nie mogę brać udziału w tej rozmowie.

– Spokojnie, Caspersen, nie będziemy cię w to mieszać. Ale musisz mieć świadomość, że w nadchodzącym czasie sprawy mogą przyjąć brutalny obrót i że to ty przejmiesz kontrolę.

– O co ci chodzi?

– O to, co powiedziałem. Jeśli to się skończy tak, jak wiele na to wskazuje, pod twoją kuratelą znajdzie się partia polityczna i dom po nieboszczykach tutaj na Brøndbyøstervej, rozumiesz? To się stanie niepostrzeżenie, przez co chcę również zaznaczyć, że pod żadnym pozorem nie pozwolę sobie, by mnie wzywano w roli świadka, jeśli miałyby do tego dojść. *Alea iacta est*.

– Broń Boże, Curt! Na początku spróbujmy odzyskać te teczki, dobrze? – odparł Caspersen. Trzymał się złotej zasady adwokatów: czego nie omawia się w szczegółach, nigdy nie zostało powiedziane. – Skontaktuję się z naszym człowiekiem z posterunku City. Zakładamy, że teczki znajdują się w tej chwili na Komendzie Głównej. Według moich informacji Departament Q stacjonuje w piwnicy, a nocą nikogo tam nie ma, więc dotarcie do archiwów Nørviga powinno być stosunkowo proste dla kogoś z posterunku City.

Curt spojrzał na niego z ulgą. Gdyby to się udało, znaleźliby się z powrotem w grze.

Nie było mu dane pozostawać długo w tym stanie ducha, bo parę chwil później zadzwonił do niego Wilfrid Lønberg, by zameldować podekscytowanym głosem, że obaj policjanci odwiedzili również jego pod prywatnym adresem.

Curt przełączył na tryb głośnomówiący, by Caspersen również słyszał. On też miał sporo do stracenia.

– Pojawili się nagle, bez zapowiedzi. A ja właśnie paliłem papiery. Gdybym szybko nie zareagował i nie wrzucił wszystkiego do ognia, byłoby po nas. Uważaj na tych dwóch, Curt. Zanim się obejrzysz, pojawią się też nagle u ciebie albo kogoś

innego z pierwszej linii. Lepiej wyślij ludziom jeszcze jedno ostrzeżenie.

– Dlaczego u ciebie byli?

– Nie mam pojęcia. Myślę, że po prostu przyszli na przeszpiegi. I faktycznie im się udało. Teraz już wiedzą, że coś jest na rzeczy.

– Natychmiast wysyłam łańcuszek SMS-ów. – Caspersen odszedł na bok.

– Zabrali się ostro do roboty, Curt. Wydaje mi się, że chodzi im przede wszystkim o ciebie, ale uwierz mi, wiedzą więcej, niż powinni. Tak konkretnie to nie mówili za dużo, wspomnieli tylko o Benefice i jakiejś Nete Hermansen. Znasz to nazwisko? Wybierali się na Nørrebro, by z nią porozmawiać. Zapewne są już w drodze.

Curt przetarł ręką czoło. Powietrze nagle wydało mu się bardzo suche.

– Tak, wiem, kim jest Nete Hermansen, i dziwi mnie, że jeszcze żyje, ale można temu zaradzić. Zobaczmy, jak się to rozwinie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Wnioskując po tej ostatniej sprawie, masz rację. Widać chodzi o mnie prywatnie. Nie wiem dlaczego, ale wcale nie muszę wiedzieć.

– Jak to? Przecież musisz.

– Chodzi mi raczej o to, że nim się obejrzymy, będzie po wszystkim. Wy pilnujcie Czystych Linii, ja zajmę się resztą.

Kiedy Caspersen wyszedł, wyraźnie przygnębiony wydarzeniami ostatnich dni, Curt oddzwonił do Mikaela i powiedział mu, że jeśli się pośpieszą, może uda im się namierzyć obu policjantów na Peblinge Dossering. Stamtąd będzie można ich śledzić.

Półtorej godziny później Mikael oddzwonił i poinformował, że niestety nie zdążyli, ale teraz na parkingu przed domem Carla Mørcka został zainstalowany ich człowiek. Natomiast Hafez el-Assad się wymknął. W każdym razie mieszkanie na Heimdalsgade, które podał w rejestrze mieszkańców, jest puste.

W niedzielę wczesnym rankiem Curt wezwał lekarza dyżurnego. W ciągu ostatnich paru godzin stan Beate, leżącej obok niego w łóżku, się pogorszył – częściej słyszał głębokie westchnienia i nierówny oddech.

– Panie Wad – powiedział lekarz, którego znał jako fachowca medycyny rodzinnej z Hvidovre. – Jak sam pan kompetentnie stwierdził już w naszej rozmowie telefonicznej, tak również ja się obawiam, że pańskiej małżonce pozostało już niewiele czasu. Serce jest po prostu zmęczone, więc to kwestia dni

czy może nawet godzin. Jest pan absolutnie pewien, że nie chce, bym wezwał karetkę?

Wzruszył ramionami.

– Na co się to zda? – spytał. – Nie, chcę zostać z nią do samego końca. Ale dziękuję.

Gdy byli już sami, położył się obok niej na łóżku, sięgając po jej rękę. Tę drobną dłoń, która tak często głaskała go po policzku. Ukochaną małą dłoń.

Spojrzał przez balkon na świtający dzień, żałując przez chwilę, że nie ma Boga. Pomodliłby się wtedy cicho za swoją ukochaną i jej ostatnie chwile. Trzy dni temu był gotów na to, co nieuniknione, i na to, że będzie musiał jakoś żyć. Dziś już nie był.

Zerknął na fiolkę tabletek nasennych, silnych, małych i łatwych do połknięcia. Zajęłoby to zaledwie dwadzieścia sekund. Uśmiechnął się do siebie przelotnie. I oczywiście minuta na przyniesienie szklanki wody.

– Uważasz, że byłoby lepiej, gdybym zażył je teraz, kochanie? – wyszeptał, ściskając jej rękę. Gdyby tak mogła się odezwać. Jaka to wielka samotność...

Pogłaskał ją czule po przeredzonych włosach. Ileż razy je podziwiał, gdy czesała się przed lustrem, a włosy lśniły w świetle. Życie tak szybko minęło.

– Och, Beate. Kochałem cię całym sercem. Byłaś i jesteś światłem mojego życia. Gdybym mógł przeżyć z tobą życie jeszcze raz, zrobiłbym to. Każdą sekundę. Gdybyś tak mogła obudzić się na chwilę, bym ci to wszystko powiedział, mój kochany, najdroższy przyjacielu.

Obrócił się do niej i przysunął cicho do płytko oddychającego, wędnącego i najbardziej zachwycającego ciała, jakie kiedykolwiek widział.

Gdy się obudził, dochodziła dwunasta. W jego głowie rozlegało się dzwonięcie.

Uniósł głowę i stwierdził bez ulgi, że klatka piersiowa Beate wciąż lekko się porusza. Nie mogłaby po prostu umrzeć tak, żeby nie musiał na to patrzeć?

„Weź się w garść, Curt” – zwymyślał sam siebie. Choćby nie wiem co, Beate nie umrze sama, po prostu nie.

Wyjrzał przez drzwi balkonowe. Na zewnątrz panowała listopadowa szaruga, nagie gałęzie mirabelki smagał wiatr.

„Niedobry dzień” – pomyślał, sięgając po obie komórki. Co go obudziło?

Na komórkach nie było żadnych wiadomości, ale gdy wcisnął wyświetlacz

telefonu stacjonarnego, zobaczył numer, którego nie rozpoznał.

Jednym przyciskiem aktywował funkcję oddzwaniania i po paru sekundach ogarnęło go przeświadczenie, że nie powinien był tego robić.

– Tu Søren Brandt – odezwał się głos, którego nie miał ochoty słyszeć.

– Nie mamy o czym ze sobą rozmawiać – rzekł krótko.

– Chyba jednak mamy. Chciałbym zapytać, czy przeczytał pan na moim blogu o samobójstwie Hansa Christiana Dyrmanda?

Facet po drugiej stronie odczekał chwilę, by się przekonać, czy uzyska odpowiedź na swoje pytanie, ale jej nie uzyskał.

Cholerny bydlak, przeklęty internet.

– Rozmawiałem z wdową po Dyrmandzie – ciągnęła ta dziennikarska kanalia. – Zupełnie nie rozumie kroku swojego męża. Mógłby pan to skomentować?

– Absolutnie nie. Słabo go znałem. I proszę posłuchać, jestem pogrążony w smutku. Moja żona leży na łożu śmierci. Proszę wykazać się przyzwoitością i zostawić mnie w spokoju; możemy porozmawiać innego dnia.

– Przykro mi. Wszedłem w posiadanie informacji, że znajduje się pan na celowniku policji w związku ze sprawą zaginięcia. Ale podejrzewam, że tego też nie może pan skomentować, zgadza się?

– Jaką sprawą zaginięcia? – Nie miał zielonego pojęcia, o co chodziło, a słyszał to już drugi raz.

– To już sprawa między panem i policją. Ale domniemywam, że nad wyraz chętnie wymieniliby się ze mną informacjami na temat przestępczej działalności Tajemnej Walki. Zatem moje ostatnie pytanie brzmi, czy pan i Wilfrid Lønberg zamierzacie umieścić w programie Czystych Linii działania takie jak na przykład przymusowe aborcje?

– Och, proszę mnie nie szkalować. Musi pan wiedzieć, że zamierzam porozmawiać z policją. A jeśli upubliczni pan cokolwiek bez żadnej dokumentacji, to zaręczam, że będzie to pana bardzo drogo kosztowało.

– Okej. To znaczy, dokumentacji mam całkiem sporo, ale dziękuję za komentarz. Będę miał co napisać w mowie niezależnej.

I odłożył słuchawkę. On ją odłożył! Curt gotował się ze złości.

O jakiej dokumentacji może być mowa? Czyżby kartoteka Nørviga dotarła rzeczywiście aż tak daleko? To będzie gwóźdź do trumny Brandta.

Wziął bezpieczną komórkę i wybrał numer Caspersena.

– Jak wyglądają sprawy po nocnej wizycie na Komendzie Głównej, Caspersen?

– Obawiam się, że niedobrze. Nasz człowiek bez problemu dostał się do środka, ale kiedy zszedł do piwnicy, nakrył go ten Hafez el-Assad. Najwidoczniej tam sypia.

– Niech to szlag! Myślisz, że pilnuje kartoteki?

– Obawiam się, że tak.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś, by mi to przekazać, Caspersen?

– Ależ dzwoniłem. Wielokrotnie, dziś rano. Nie na ten telefon, z którego dzwonisz. Na twoją drugą komórkę.

– Ostatnio nie używam swojego iPhone'a ze względów bezpieczeństwa.

– Ale dzwoniłem też na stacjonarny.

Curt sięgnął do aparatu i wcisnął wyświetlacz. Rzeczywiście. Przed rozmową z Sørenem Brandtem zarejestrowano sporo nieodebranych połączeń. Caspersen musiał dzwonić co najmniej co dwadzieścia minut od ósmej rano.

Czyżby naprawdę spał tak smacznie u boku Beate? I czy będzie to ich ostatnia wspólna noc?

Zakończył rozmowę i spojrzał na żonę, namyślając się.

Cała trójka musi zniknąć, nie ma innego wyjścia. Arab, Carl Mørck i Søren Brandt. Z Nete Hermansen rozprawi się kiedy indziej. Nie stanowiła zagrożenia o takim kalibrze jak tamci.

Wybrał numer Mikaela na bezpiecznej komórce.

– Możemy namierzyć Sørena Brandta?

– Tak mi się wydaje. Aktualnie przebywa w domku letniskowym w Høve na Vej 5.

– Skąd to wiemy?

– Bo nie spuszczamy z niego oka, odkąd zakłócił walne zgromadzenie.

Curt się uśmiechnął, pierwszy raz tego dnia.

– Dobrze, Mikael, bardzo dobrze. A co z Carlem Mørckiem? Macie kontrolę nad jego poczynaniami?

– Mamy. Aktualnie przemieszcza się po parkingu koło swego domu. Nasz człowiek go śledzi, a zna się na rzeczy. Kiedyś pracował w wywiadzie. Ale nadal nie wiem, gdzie przebywa Arab.

– To mogę ci powiedzieć. Znajduje się w piwnicy Komendy Głównej, więc zainstaluj jakąś spokojną osobę koło terminalu pocztowego, by miała oko na to, kiedy nasz cel opuści budynek. I jeszcze jedno, Mikael...

– Tak?

– Kiedy dziś w nocy w domu Carla Mørcka wszyscy będą spali, wydarzy się wypadek, rozumiesz?

– Pożar?

– Tak. Niech się zacznie w kuchni. Eksplozja i dużo dymu. I przekaz naszym ludziom, żeby wydostali się stamtąd niezauważeni.

– Ja się tym zajmę.

– W porządku. To dobrze się zakamufluj i szybko uciekaj.

– Tak zrobię. A co z Sørenem Brandtem?

– Na niego możesz od razu napuścić swoje psy.

Listopad 2010

Carl obudził się, bo ktoś go szarpał.

Otworzył oczy i stwierdził, że pochyła się nad nim niewyraźna postać. Gdy chciał wstać, zakreśliło mu się w głowie i nagle w zagadkowy sposób znalazł się na podłodze przy łóżku. Coś było bardzo, ale to bardzo nie tak.

Nagle ku własnemu zdumieniu poczuł powiew z otwartego okna i wyczuł zapach gazu.

– Obudziłem Jespera! – zawołał ktoś z korytarza. – Wymiotuje, co mam robić?

– Przewróć go na bok. Otworzyłeś okno? – odkrzyknęła ciemnowłosa postać, stojąca przy Mørcku.

Poczuł parę uderzeń po policzkach.

– Carl, spójrz na mnie. Skup na mnie wzrok, rozumiesz? Dobrze się czujesz?

Kiwnął głową, ale bez przekonania.

– Musimy sprowadzić cię na dół. Tutaj jest wciąż za dużo gazu, idziemy?

Powoli się uniósł, zatoczył się w korytarzu i spojrzał w dół schodów, które wydały mu się nieskończenie głęboką otchłanią. Dopiero kiedy usadzono go na krześle przy otwartych drzwiach do ogrodu, wszystko zaczęło nabierać kształtów, konturów oraz sensu.

Wlepił wzrok w stojącego przy nim chłopaka Mortena.

– Co jest? – wybełkotał. – Jeszcze tu jesteś? Wprowadziłeś się?

– Chyba wszyscy powinniśmy się z tego cieszyć – rozległa się cierpka uwaga z łóżka Hardy'ego.

Carl spojrzał ociężale w stronę łóżka.

– Co tu się stało?

Na schodach rozległ się łoskot; to Morten włókł Jespera. Wyglądał znacznie gorzej niż wtedy, gdy wrócił z dwutygodniowego maratonu imprez na Kos.

Mika wskazał w stronę kuchni.

– W domu był ktoś o bardzo brzydkich intencjach.

Carl podniósł się z wysiłkiem i poszedł za nim.

Od razu zauważył na podłodze dużą butlę gazową, plastikową, nowego typu. Sam takiej nie posiadał, bo tym starym żółtym od ogrodowego grilla na gaz nic nie dolegało. Dlaczego tu stała z wężem przymocowanym do regulatora?

– Skąd się tu wzięła? – spytał Carl, wciąż zbyt otumaniony, by przypomnieć sobie imię stojącego obok faceta.

– Nie było jej tu o drugiej w nocy, kiedy sprawdzałem stan Hardy’ego – odparł tamten.

– Hardy’ego?

– Tak, silnie zareagował na wczorajszą terapię. Oblewał się potem, miał bóle głowy. To dobry znak, że tak silnie reaguje na moją stymulację. I to z pewnością uratowało nam życie.

– Nie, ty je uratowałeś, Mika! – zawołał z łóżka Hardy.

Racja, tak miał właśnie na imię. Mika.

– Wyjaśnij mi to! – W Carlu obudził się instynkt policjanta.

– Od wczorajszego wieczora zaglądałem do Hardy’ego co dwie godziny i miałem zamiar to robić przez kolejny dzień czy dwa, by zaobserwować dokładnie, co się z nim dzieje. Pół godziny temu, gdy zadzwonił mój budzik, poczułem zapach gazu, który w piwnicy był bardzo wyraźny, ale jak wszedłem tu na parter, to prawie mnie powalił. Zakręciłem butlę z gazem, otworzyłem okna i dostrzegłem, że na kuchence stoi garnek, z którego unosi się dym. Kiedy zajrzałem do środka, zobaczyłem, że dno jest zupełnie suche, jeśli nie liczyć odrobiny oliwy z oliwek, i że wewnątrz leży kawałek nadpalonego ręcznika papierowego. To on się tlił.

Wskazał kuchenne okno.

– Wyrzuciłem go przez okno w pół sekundy. Gdybym przyszedł chwilę później, papier zająłby się ogniem.

Carl skinął głową do swego kolegi z komórki kryminalistycznej do spraw pożarów, Erlinga Holma. Ściślej rzecz biorąc, nie był to ani jego rejon, ani sprawa, ale Carl nie miał ochoty mieszać w to policji z Hillerød, a Erling Holm mieszkał tylko pięć kilometrów stąd, w Lynge.

– Ale to, kuźwa, przemyślane, Carl. Jakies dwadzieścia, trzydzieści sekund później i papier buchnąłby płomieniem, zapalając gaz. A wnioskując po wadze butli, to naprawdę dużo się go ulotniło. Przy tak dużym pokrętle i mocnym wężu

odprowadzającym wszystko zajęłoby, jak sądzę, jakieś dwadzieścia minut. – Pokręcił głową. – Dlatego sprawca nie włączył prądu pod garnkiem na pełny regulator. Liczył na to, że cały dom wypełni się gazem, zanim zacznie się fajczyć.

– Chyba nietrudno się domyślić, co by się wtedy stało, prawda, Erling?

– Wówczas Departament Q musiałby rozejrzeć się za nowym szefem.

– Duży wybuch?

– I tak, i nie. Ale efektowna eksplozja, po której wszystkie pomieszczenia i całe wyposażenie stanęłyby w płomieniach jednocześnie.

– No tak, ale Jesper, Hardy i ja pewnie byśmy do tego momentu śmiertelnie zatruli się gazem.

– Wątpię. Gaz nie jest do tego stopnia trujący. Ale bólu głowy można się nabawić – zaśmiał się. Osobliwy humor mają ci techniczni od pożarów. – Momentalnie byście spłonęli, a ci w piwnicy nie daliby rady wyjść. Ale najbardziej szatańskie jest to, że wcale nie jest powiedziane, że nasi technicy dowiedliby, że to podpalenie. Na pewno zlokalizowalibyśmy jego źródło jako połączenie butli gazowej i garnka, ale to równie dobrze mógł być wypadek. Rezultat niedbałości, jakich wiele w epoce grilla. Szczerze mówiąc, uważam, że sprawcy uszłoby to na sucho.

– Chyba żartujesz.

– Jakies pomysły, kto mógł to zrobić, Carl?

– Owszem. Ktoś z pistoletem na gwoździe. Na zamku widać malutkie ślady. Poza tym nic mi nie wiadomo.

– Podejrzenia?

– Tak, tych człowiek ma zawsze pod dostatkiem.

Carl podziękował Erlingowi i upewnił się, że wszyscy domownicy czują się dobrze, zanim ruszył na szybką rundkę po sąsiadach, by się dowiedzieć, czy coś widzieli. Większość była poirytowana i zaspana; któż nie jest o piątej nad ranem? Ale generalnie większość się przejęła i wykazała współczucie. Tyle że nie uzyskał żadnej pomocy w identyfikacji kogokolwiek.

Nie minęła godzina, a do domu wparowała Vigga z włosami sterczącymi we wszystkie strony i Gurkamal z turbanem, wielkimi białymi zębami i mamucią brodą w odwodzie.

– Boże – jęknęła. – Chyba Jesperowi nic się nie stało?

– Nie, poza tym, że obrzygał sofę i łóżko Hardy’ego, a ponadto pierwszy raz od bardzo długiego czasu kwilił za mamusią.

– Och, dobry Boże, biedactwo! – Ani słowa o stanie Carla. Różnica między prawie eksmężem a synem została zaznaczona.

Słyszał w tle, jak hołubi swego potomka, gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

– Jeśli to ten dupek przyniósł kolejną butlę – zawołał Hardy – to przekażcie mu, że mamy jeszcze trochę w tej poprzedniej. Ale może niech wpadnie w przyszłym tygodniu.

„Co, u licha, Mika z nim zrobił?” – pomyślał Carl, otwierając drzwi wejściowe.

Stojąca przed nim dziewczyna była blada z braku snu, miała sine cienie pod oczami, kolczyk w wardze i maksymalnie szesnaście lat.

– Hej – przywitała się. Wskazała za siebie w stronę domu sąsiada z naprzeciwka, Kenna, skręcając się z zażenowania. – Jestem dziewczyną Petera i byliśmy na afterku w klubie młodzieżowym, więc miałam spać u niego, bo mieszkam w Blovstrød, a tam tak późno nie jeżdżą autobusy. Przyszliśmy do domu parę godzin temu, a Kenn zszedł do nas do piwnicy trochę później, po tym jak był pan u niego, by się dowiedzieć, czy nie widział dziś w nocy czegoś dziwnego w okolicy waszego domu. I przekazał nam, co się stało, a my mu odpowiedzieliśmy, że coś widzieliśmy, gdy wracaliśmy do domu, i Kenn chciał, żebym tu przyszła i to panu powiedziała.

Carl uniósł brwi. Taka zupełnie zaspana to ona nie była, zważywszy na ilość słów, jaką miała w repertuarze.

– Okej. Powiedz wprost, co widziałaś.

– Kiedy przechodziliśmy, widziałam mężczyznę przy pana drzwiach. Spytałam Petera, czy go zna, ale był zbyt zajęty wszystkim innym, by w ogóle popatrzeć – zachichotała.

Carl zaczął drążyć.

– Jak wyglądał? Zwróciłaś uwagę?

– Tak, przecież stał przy drzwiach, a tam jest dużo światła. Wyglądało na to, że majstrował przy zamku, ale nie obrócił się na tyle, żebym mogła zobaczyć go od przodu.

Carl poczuł, jak jego ramiona opadają o kilka stopni.

– Ten facet był dość wysoki i z tego, co było widać, ładnie zbudowany i miał na

sobie bardzo ciemne ubranie. Płaszcz albo długą wiatrówkę czy coś w tym stylu. I nosił czarną czapkę, taką jak Peter. A spod czapki widać było bardzo jasne włosy. Prawie białe. A obok niego stała jakaś butla czy coś w tym stylu.

„Bardzo jasne włosy” – powiedziała. Tylko tyle, a jednak wystarczyło. Jeśli Carl się nie mylił, to jasnowłosy pomocnik Curta Wada, którego widział w Halsskov, miał więcej talentów niż prowadzenie furgonetki.

– Dziękuję – rzekł Carl. – Bardzo się cieszę, że masz oczy dookoła głowy. Dobrze, że tu przyszedłeś.

Przestępowała z nogi na nogę, zażenowana.

– Widziałeś może, czy miał na sobie rękawiczki?

– Noo, tak – odparła, przestając się kręcić. – Faktycznie miał. Takie wycięte na grzbiecie dłoni.

Carl skinął głową. W takim razie jego koledzy nie muszą sprawdzać odcisków palców na butli. Pozostało pytanie, czy uda się namierzyć ten specyficzny regulator, ale mocno w to wątpił, bo przecież było ich trochę w obrocie.

– Jeśli tutaj wszystko w porządku, to jadę na komendę – oznajmił chwilę później w salonie. Vigga chwyciła go mocno.

– Podpisz tu najpierw. Jeden egzemplarz jest dla ciebie, drugi dla powiatu, trzeci dla mnie. – Położyła trzy kartki na kuchennym stole. „Umowa o podziale majątku” – brzmiał nagłówek.

Przeczytał ją pospiesznie. Były to dokładnie ich ustalenia z poprzedniego dnia, więc ominie go ta robota.

– Dobrze, Vigga. Muszę stwierdzić, że rzeczywiście wszystko tu zawarłeś: pieniądze, wizyty u twojej matki i w ogóle. Władze na pewno się ucieszą, że na tę okoliczność udzielasz mi ośmiu tygodni wakacji. Wielka wspaniałomyślność – zaśmiał się jadowicie i podpisał obok jej bazgrołów.

– I wniosek o rozwód – dodała, podsuwając mu bardziej oficjalny dokument. Również tu złożył podpis.

– Dziękuję, mój dawny kochanku – chlipnęła.

Miło powiedziane, ale ten „kochanek” przypomniał mu o Rolfie Mony, co już nie było miłe. Jeszcze nie poradził sobie z rozczarowaniem, bo przecież Mona nie była pierwszą lepszą. To zajmie trochę czasu.

Zachichotał pod nosem. Vigga nazywała go „dawnym kochankiem”. Czy to nie

zbyt trywialne pożegnanie jak na tak burzliwe i egzotyczne małżeństwo? Jego zdaniem owszem.

Zostawił papiery uśmiechniętemu i kłaniającemu się Gurkamalowi, który jak na komendę wyciągnął rękę w stronę Carla.

– Dziękuję za żonę – rzekł z zabawnym akcentem. No to dobili targu.

Vigga się uśmiechnęła.

– Skoro wszystkie papiery mamy już załatwione, to mogę ci powiedzieć, że w przyszłym tygodniu wprowadzam się do mieszkania przy sklepie Gurkamala.

– Mam nadzieję, że jest tam cieplej niż w domku na działce – odparł Carl.

– Bo właśnie wczoraj wieczorem sprzedałam domek za sześćset tysięcy i chciałabym zachować te dodatkowe paręset tysięcy, które dostałam za dom, a których nie ma w umowie. Co ty na to?

Carl oniemiał. Widać ten Gurkamal faktycznie nauczył ją robienia interesów szybciej, niż dromader nauczy się galopować, jeśliby to ująć w terminologii Assada.

– Dobrze, że cię widzę, Carl – powiedział Laursen na spiralnych schodach. – Nie idziesz na górę?

– Owszem, ale wybieram się do Marcusa Jacobsena.

– Właśnie wracam z gabinetu szefa, przyniosłem mu jedzenie. Jest w trakcie spotkania. A poza tym wszystko w porządku? – spytał w drodze na ostatnie piętro.

– W porządku, jeśli nie liczyć tego, że jest poniedziałek, moja przyszła ekszona mnie oskubała, moja kobieta chodzi do łóżka z innymi, wszyscy domownicy zatruli się gazem, a mój dom w nocy prawie eksplodował. Do tego ten syf na komendzie. Dobrze, że chociaż nie mam już sraczki.

– To świetnie – stwierdził Laursen trzy stopnie przed nim. Nie przyswoił ani słowa. – Posłuchaj – powiedział, gdy usiedli na zapleczu kuchni pomiędzy lodówkami i różnymi produktami warzywnymi. – Kwestia zdjęcia z tobą, Ankerem i tym zamordowanym w sprawie pistoletu na gwoździe poszła do przodu. Przeanalizowano je we wszystkich możliwych miejscach i mogę cię pocieszyć, że większość uważa, że jest to cyfrowy zlepek kilku fotografii.

– Oczywiście, że jest, od początku mówiłem. To jest jakiś spisek. Może ktoś, komu kiedyś zaszkodziłem. Wiesz, jacy żądni zemsty potrafią być bandyci, których człowiek dostaje w swoje łapy. Niektórzy latami siedzą w więzieniu, obmyślając

zemstę, więc to musi się zdarzyć raz na jakiś czas. W każdym razie nie znam tego Pete'a Boswella, z którym próbują mnie spiknąć.

Laursen skinął głową.

– Fotka jest całkowicie pozbawiona pikseli. Tak jakby wszystkie najmniejsze części składowe się ze sobą zlały. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

– Co to oznacza?

– Że ewentualne przejścia między zdjęciami nie są widoczne. Może zestawiono ze sobą kilka fotografii i robiono im zdjęcia w nieskończoność za pomocą polaroidu, po czym zdjęcie z polaroidu sfotografowano aparatem analogowym i wywołano film. Ale może być też zamazane po zeskanowaniu go i przepuszczeniu przez komputerowy program do obróbki zdjęć, a potem wydrukowane na papierze fotograficznym. Nie wiemy. Nie potrafimy zidentyfikować pochodzenia papieru.

– Większość z tego, co mówisz, brzmi w moich uszach jak bełkot.

– Po prostu dziś mamy dużo możliwości. Podobnie jak parę lat temu, kiedy Pete Boswell zasilał szeregi żywych.

– Aha, ale to chyba dobrze, prawda?

– Tia. Właśnie dlatego cię tu ściągnąłem. – Podał Carlowi piwo, ale ten podziękował. – Jeszcze nie ma ostatecznych wniosków, a nie wszyscy w dziale technicznym uważają, że zdjęcie jest nieautentyczne. To wszystko, o czym mówiłem, niczego w rzeczywistości nie dowodzi. Po prostu to dziwne i niektórzy uważają, że ktoś próbował usunąć dowody na to, że fotka została sfabrykowana.

– I co to wszystko znaczy? Wciąż zastanawiacie się, czy zasługuję na napiętnowanie? Próbujesz ostrzec mnie przed zawieszeniem?

– Nie. Próbuję tylko powiedzieć, że to chwilę zajmie. Ale myślę, że Terje lepiej ci to wyłuszczy. – Machnął w stronę stołówki.

– Terje Ploug tu jest?

– Tak, codziennie o tej samej porze, jeśli nie jest w terenie. Jeden z moich najwierniejszych klientów, więc rozmawiaj z nim grzecznie.

Znalazł Terjego w kącie na samym końcu.

– Bawimy się w chowanego? – spytał, siadając z łokciami tuż przy talerzu Terjego, zawierającym nadzwyczaj poprawny politycznie zestaw warzyw.

– Dobrze, że przyszedłeś, Carl. Ostatnio trudno cię złapać. Laursen wspominał ci

o zdjęciu?

– Tak. Widać jeszcze nie zostałem uniewinniony.

– Uniewinniony? O ile wiem, o nic cię nie oskarżono, prawda?

Carl machnął głową.

– Oficjalnie nie.

– Dobrze. Sprawa wygląda tak: prowadzący śledztwo w sprawie morderstw w warsztacie w Sorø, detektywi badający morderstwa w Schiedam w Holandii i ja za parę tygodni albo miesięcy usiądziemy razem, by porównać wszystkie poszlaki, wątki poboczne i fakty w licznych już sprawach z pistoletem na gwoździe.

– I teraz mi mówisz, że zostanę wezwany w charakterze świadka.

– Nie, mówię, że właśnie nie będziesz.

– Bo jestem o coś oskarżony czy co?

– Wyluzuj, Carl. Wiemy, że ktoś chce się do ciebie dobrać i nie, nie jesteś o nic oskarżony. Ale kiedy już dojdziemy do opracowywania wspólnego raportu, będziemy cię prosić o jego ewaluację.

– Aha. Pomimo odcisków palców na monetach, dziwnych zdjęć i podejrzeń Hardy’ego, jakoby Anker miał do czynienia z tym czarnoskórym i że mogłem znać Georga Madsena?

– Pomimo tego, Carl. Jestem pewien, że jesteś osobą, która najwięcej zyska, jeśli śledztwo w tej sprawie zostanie przeprowadzone gruntownie.

Parę razy poklepał Mørcka po ręce. To było prawie wzruszające.

– Dobry i uczciwy policjant stara się bardzo, by przeprowadzić sprawę porządnie i uważam, że Terjemu należy się za to szacunek, Carl – powiedział szef Wydziału Zabójstw. W narożnym gabinecie wciąż śmierdziało „daniem dnia” Laursena. Czyżby pani Sørensen złagodniała do tego stopnia, że pozwalała na to, by brudne talerze w gabinecie Marcusa Jacobsena leżały więcej niż pięć minut po odłożeniu ostatniego widelca?

– Tak, dobrze to wygląda. – Carl kiwnął głową. – I trochę wkurzająco, bo prawdę mówiąc, mam tej sprawy po dziurki w nosie.

Marcus skinął głową.

– Rozmawiałem z Erlingiem od pożarów. Słyszałem, że miałeś w nocy niezapowiedzianą wizytę.

– Nic poważnego się nie stało.

– Całe szczęście! Ale dlaczego się to zdarzyło, Carl?

– Bo ktoś życzy mi, bym nawiewał, gdzie pieprz rośnie. W każdym razie nie sądzę, by w rachubę wchodziły eksdziewczyny mojego przybranego syna. – Mørck silił się na uśmiech.

– Kto, Carl?

– Na pewno któryś z ludzi Curta Wada, tego od Czystych Linii.

Szef Wydziału Zabójstw skinął głową.

– Wchodzimy mu w paradę. I ja właśnie w tej sprawie. Chciałbym prosić o założenie podsłuchu na jego telefonie i telefonach Wilfrida Lønberga i Louisa Pettersona.

– Obawiam się, Carl, że nie poprę tego wniosku.

Carl parokrotnie zapytał dlaczego, naburmuszył się, rozzłościł, a na koniec wyraził rozczarowanie, ale nic nie uzyskał oprócz napomnienia, że ma uważać, i informacji, że jeśli zdarzy się coś niezwykłego, ma to zgłosić Marcusowi.

„Niezwykłego” – jak dziwnie brzmi to słowo w tym gabinecie. Przecież wszystko, z czym mieli do czynienia w pracy, było niezwykłe.

Carl wstał. „Niezwykłego?!” Cóż by powiedział na to, że w niedoświetlonych, piwnicznych gabinetach Departamentu Q znajduje się stos archiwów, w których posiadanie weszli w sposób niezwykły nawet jak na standardy tych gabinetów?

Gdy wyszedł, obie panie od wszystkiego stały w sekretariacie, machając do niego.

– Cześć, Carl – odezwała się Lis słodko jak miód, a jedną dziesiątą sekundy później pani Sørensen zaćwierkała dokładnie tak samo. Te same słowa, ta sama modulacja, ten sam uśmiech i otwartość.

Doprawdy, co za wolta!

– Yyy... Cata! – powiedział, zwracając się do osoby, która z łatwością potrafiła sprawić, że wszyscy wytrawni śledczy wybierali długą drogę okrężną, byleby się z nią nie zetknąć. Carl też.

– Może opowiesz mi, na czym polega ten kurs NLP, na który chodziłaś? Co to takiego? To zaraźliwe?

Wzruszyła ramionami, udając ekscytację, że została zapytana, uśmiechnęła się do Lis i podeszła niebezpiecznie blisko do Carla.

– To oznacza Programowanie Neurolingwistyczne. – Mówiła z takim mistycyzmem w głosie, jakby opowiadała o uwodzicielskim arabskim szejku. –

Niełatwo to w pełni wyjaśnić, ale mogę przecież dać przykład.

Ramiona znów powędrowały w górę, co miało stanowić mały przedsmak tego, co go czeka.

Podeszła do swojej torebki i wyciągnęła z niej kawałek kredy. Dziwna rzecz jak na torebkę. Czy kreda nie jest przypadkiem zarezerwowana dla kieszeni chwackich młodzieńców? Gdzie się, do cholery, podziały różnice między płciami?

Schyliła się, narysowała dwa kółka na podłodze, co samo w sobie przyprawiłoby ją o zasłabnięcie jeszcze parę tygodni temu, gdyby, rzecz jasna, zrobił to ktoś inny, i nakreśliła znak minusa w jednym, a plusa w drugim kółku.

– Proszę, Carl. Pozytywne kółko z plusem i kółko negatywne z minusem. Stań najpierw w jednym, a potem w drugim kółku i wypowiedz dokładnie to samo zdanie. W negatywnym kółku udawaj, że zwracasz się do osoby, której nie znosisz, a w pozytywnym do osoby, którą bardzo lubisz.

– Aha, to cały kurs? Bo jeśli tak, to sam wcześniej bym się w tym połapał.

– No dobrze, to posłuchajmy – odezwała się Lis, splatając ręce pod swoim nadobnym biustem i podchodząc bliżej. Kto by się oparł?

– Weźmy coś prostego. Powiedz na przykład: „Chyba ścięłaś włosy, prawda?”. Powiedz to najpierw w grzeczny sposób, a potem w nieprzyjemny.

– Nie rozumiem – skłamał, patrząc na krótkie włosy obu kobiet. To by było za łatwe. Włosy pani Sørensen nie miały do końca tego samego uroku, jeśli można tak to ująć.

– No to zademonstruję wypowiedź pozytywną – oświadczyła Lis. – A Cata potem zademonstruje negatywną.

„Powinno być odwrotnie” – pomyślał Carl, niezauważalnie szurając wokół siebie nogą.

– Chyba ścięłaś włosy, prawda? – Lis uśmiechnęła się całą sobą. – Tak się mówi do osoby, którą się lubi. Teraz ty, Cata.

Cata zachichotała, próbując się uspokoić.

– Chyba ścięłaś włosy, prawda? – Wyglądała naprawdę ponuro. Prawie tak jak dawniej.

I obie wybuchnęły śmiechem. Cóż za psiapsiółkowa idylla.

– Aha, no proszę. Naprawdę zaskakująca różnica. Ale co to ma wspólnego z kursem?

Pani Sørensen się opanowała.

– Ma to z kursem tyle wspólnego, że dzięki takim ćwiczeniom człowiek z jednej strony uczy się rozumieć, jaki wpływ wywiera na otoczenie za pomocą drobnych akcentów, a z drugiej rozpoznaje efekty tego, co mówi i jakie sygnały wysyła. I, co jest ważnym efektem ubocznym, również tego, jak to na niego wpływa.

– Czy nie można tego krótko ująć tak: to, co mówisz, do ciebie wraca?

– Owszem. A czy ty wiesz, jak działasz na ludzi, Carl? Właśnie tego uczy ten kurs.

„Nauczyłem się tego, kurka, jak miałem siedem lat” – pomyślał.

– Czasami twoje wypowiedzi mogą sprawiać wrażenie obcesowych – ciągnęła pani Sørensen.

„Dzięki za komplement. Że też słyszę to od ciebie” – pomyślał.

– Dziękuję, że mówicie to z życzliwością – rzekł, zbierając się do wyjścia. – Na pewno to przemyślę.

– Carl, najpierw wypróbuj ćwiczenie. Wejdź do któregoś z kółek – naciskała Cata. Spojrzała na podłogę, by wskazać, od którego powinien zacząć, i skonstatowała, że Carlowi udało się zetrzeć całe to dziadostwo czubkiem buta, kiedy odgrywały swoje role.

– Ups! – powiedział. – Jest mi naprawdę bardzo przykro. – I wycofał się z ich aury. – Miłego dnia, drogie panie. Niech was humor nie opuszcza.

Wrzesień 1987

Kiedy stała przy oknie, wyglądając na zewnątrz, jakaś część jej nienawiści zdążyła się ulotnić. Tak jakby cios w skroń Vigga i jego ostatnie, słabe oddechy, gdy wiała mu do ust szaleju, wyjęły drzazgę z jej umysłu.

Przesunęła wzrokiem po Peblinge Dossering i mrowiu ludzi cieszących się późnym latem. Przyglądała się uważnie, jak przechadzają się zwyczajne osoby, każda ze swoim życiem, losem i pewnie też tajemnicami i trupami w szafie.

I usta Nete zaczęły drżeć. Nagle to wszystko po prostu ją przerosło. Przecież dla Boga również Tage, Rita i Viggo byli ludźmi, a teraz umarli z jej ręki.

Zamknęła oczy, myśląc o tym. Twarz Vigga była taka podekscytowana i pełna ciepła, gdy Nete otworzyła drzwi. Tage był pełen wdzięczności. A teraz przyszła kolej na Nørviga – adwokata, który nie chciał jej wysłuchać, kiedy była w największej potrzebie. Tego, który bardziej dbał o dobre imię Curta Wada niż o jej być albo nie być.

Ale czy miała prawo zrobić mu to, co on zrobił jej? Pozbawić go życia?

Ta myśl i zwątpienie nie dawały jej spokoju, gdy dostrzegła nad jeziorem szczupłego mężczyznę stojącego przed domem.

Choć minęło ponad trzydzieści lat, trudno było się pomylić. Ta sama prowincjonalna tweedowa marynarka ze skórzanymi guzikami. Ta sama brązowa dyplomatka pod pachą. Widać się nie zmienił, a jednak jego język ciała mówił, że jest inny niż kiedyś.

Przespacerował się parę kroków w tę i z powrotem między kasztanowcami, spojrzał na jezioro i odchylił głowę. Wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa i parokrotnie przyłożył rękę do twarzy, jakby ocierał pot albo łzy.

Wtedy zorientowała się, że marynarka jest na niego za duża. Że ona i poliestrowe spodnie brzydsko się marszczą na ramionach i kolanach. Był to komplet ubrań kupionych w lepszych czasach i dla znacznie cięższej osoby.

Przez krótką chwilę zrobiło jej się żal mężczyzny, który nic nie podejrzewając,

stał jedną nogą na szafocie.

A jeśli ma dzieci, które go kochają? Wnuki?

Już samo słowo „dzieci” sprawiło, że zacisnęła pięści i zaczęła mrugać w niekontrolowany sposób. A czy ona mogła urodzić dzieci, które by ją pokochały? Czyja to była wina?

Nie, musi myśleć o sobie. Jutro po południu zostawi to życie za sobą, a będzie to niemożliwe, jeśli nie skończy tego, co rozpoczęła. Na piśmie przyobiegała komuś, kto jest z wykształcenia adwokatem, że otrzyma dziesięć milionów koron, a taki człowiek z pewnością nie da jej się wymknąć, jeśli nie dotrzyma obietnicy.

Na pewno nie Philip Nørvig.

Stał przed nią, nie taki wysoki, jak zapamiętała, wlepiając w nią oczy jak skruszony szczeniak ze zmarszczonymi brwiami. Tak jakby od spotkania z nią wszystko zależało, a pierwsze wrażenie, jakie na niej zrobi, było sprawą życia i śmierci.

Wtedy, gdy kłamał przed sądem i zmuszał ją do mówienia głupot, jego oczy miały znacznie twardszy i zimniejszy wyraz. Wtedy nawet nie mrugnął ani nie dał się wyprowadzić z równowagi przez jej wybuchy emocji. Był głuchy na jej płacz, ślepy na łzy.

Czy to naprawdę te same bezwzględne oczy, które teraz kierowały się na podłogę, gdy zaprosiła go do środka? Ten sam nieprzejednany głos, który jej teraz dziękował?

Spytała, czy chce się napić herbaty, a on z wdzięcznością odpowiedział twierdząco, próbując unieść wzrok i spojrzeć jej w oczy.

Podawała mu filiżankę i patrzyła, jak bez słowa ją opróżnia. Na chwilę ściągnął brwi.

„Może mu nie smakowała” – pomyślała, ale podał jej filiżankę, prosząc o więcej.

– Przepraszam, Nete, ale muszę się wzmocnić, bo mam bardzo dużo do powiedzenia.

Potem uniósł głowę prosto na nią i zaczął mówić to wszystko, co powinno zostać niewypowiedziane. Na to czas już minął.

– Gdy dostałem twój list... – zrobił krótką pauzę. – Przepraszam, mogę się do ciebie zwracać na ty? – spytał.

Skinęła głową. Wcześniej tego nie unikał, dlaczego miałby to robić teraz?

– Gdy dostałem twój list, Nete, skonfrontowałem się nagle z czymś, co od dawna

mnie nękało. Z czymś, co chciałbym teraz naprawić, jeśli to w ogóle możliwe. Muszę wyznać, że przyjechałem do Kopenhagi również po to, by ratować byt własny i mojej rodziny. Pieniądze odgrywają tu pewną rolę, przyznaję, ale przyjechałem też, by powiedzieć przepraszam – odchrząknął i wziął kolejny łyk.

– Przez ostatnie lata często wspominałem tę zdesperowaną dziewczynę, która szukała pomocy w sądzie, zanim osadzono ją w Brejning. Wspominałem ciebie, Nete. I rozmyślałem o tym, co sprawiło, że byłem w stanie odeprzeć wszystkie ataki, jakie przypuszczałaś na Curta Wada. Przecież dobrze wiedziałem, że możesz mówić prawdę. Kłamstwa, jakobyś była nierozgarnięta i niebezpieczna, nijak się miały do dziewczyny, która siedziała na miejscu dla świadka, walcząc o swoje życie.

Na chwilę zwiesił głowę, po czym znów ją uniósł, a jego blada cera była jeszcze bardziej bezbarwna niż przedtem.

– Wyparłem cię z pamięci, gdy tylko sprawę zamknięto. Nie było cię w moich myślach ani życiu aż do dnia, kiedy przeczytałem o tobie w gazetach. Że wyszłaś za Andreasa Rosena i jesteś zdolną piękną kobietą – skinął do niej głową. – Tak, od razu rozpoznałem twoją twarz. Zacząłem znów o tobie myśleć, było mi wstyd.

Wziął jeszcze jeden łyczek herbaty, a Nete spojrzała na zegarek. Za parę sekund trucizna zacznie działać, choć tego nie chciała, nie teraz. Czy czas nie mógłby po prostu stanąć w miejscu? Właśnie dokonywało się jej zadośćuczynienie. Jak mogła pozwolić mu pić dalej? Przecież było wyraźnie widać, że on się kaja.

Kiedy powrócił do swego wątku, odwróciła głowę. Zło, które czyniła, było zbyt wyraziste, gdy widziała jego pełne ufności oczy. Zupełnie się nie spodziewała, że mogą nim targać takie uczucia. Nie nastawiała się na to.

– W tamtym czasie pracowałem z Curtem Wadem od wielu lat, a w takiej sytuacji człowiek jest oczarowany. Tak, przyznaję, że niestety nie mam tak silnej osobowości jak on. – Pokręcił głową, pijąc dalej. – Ale kiedy zobaczyłem cię na okładce tego tygodnika, postanowiłem dokonać rewizji swoich dawnych spraw i czynów i wiesz, co sobie uświadomiłem?

Nie czekał na jej odpowiedź, więc nie widział, jak powoli zwraca na niego oczy i kręci głową.

– Uświadomiłem sobie, że całymi latami wykorzystywano mnie i zwodzono i właśnie w tamtym czasie zacząłem naprawdę wielu rzeczy żałować. Wiesz, że

było mi bardzo trudno przyznać się do błędów. Ale przy przeglądaniu moich teczek i spraw zrozumiałem, że Curt Wad notorycznie oszukiwał mnie swoimi kłamstwami, przemilczeniami i mrzonkami. Że metodycznie mnie wykorzystywał.

Przesunął filiżankę w jej stronę i na chwilę zwątpiła, czy aby na pewno dodała do niej szaleju.

Nalała mu kolejną porcję i wtedy dostrzegła, że zaczął się pocić i ciężiej oddychać. Widać sam na to nie zwrócił uwagi. Za dużo miał na sercu.

– Misją życiową Curta Wada było i jest szkodzenie ludziom, którzy jego zdaniem nie zasługują na to, by dzielić świat z nim i innymi tak zwanymi prawymi, normalnymi Duńczykami. Muszę ze wstydem wyznać, że osobiście dokonał znacznie powyżej pięciuset aborcji wbrew woli i wiedzy ciężarnych kobiet, i podejrzewam, że wykonał równie wiele zabiegów sterylizacji. – Spojrzał na nią, tak jakby on sam miał wówczas w ręku nóż. – Och, Boże, to takie straszne. Choćby nie wiem co, muszę to z siebie wyrzucić. – Westchnienie, które z siebie wydał, musiał tłumić w sobie latami. – Poprzez pracę w organizacji Tajemna Walka, której administrację prowadziłem przez wiele lat, nawiązał kontakt z dziesiątkami lekarzy o podobnych poglądach i motywacji. Zasięg tego wszystkiego jest trudny do wyobrażenia.

Nete spróbowała i niestety nie przyszło jej to z łatwością.

Zacisnęła usta, próbując zapanować nad łzami, zbierającymi się w oczach.

– Pomogłem zabić tysiące nienarodzonych dzieci. – Gorączkowo zaczerpnął powietrza i kontynuował drżącym głosem: – Zniszczyć życie takiej samej liczbie niewinnych kobiet. Niosłem ludziom smutek i nieszczęście. – Głos trząśł mu się teraz do tego stopnia, że musiał zamilknąć.

Zwrócił ku niej spojrzenie, szukając przebaczenia. To było ewidentne, a Nete nie wiedziała już, co ma powiedzieć czy zrobić. Zachowywała pozory neutralności, ale była bliska załamania. Czy to, co zrobiła temu człowiekowi, naprawdę jest sprawiedliwe? Naprawdę?

Przez chwilę miała ochotę złapać go za rękę, okazać przebaczenie i pomóc w spokoju osunąć się w nieświadomość. Ale nie umiała się na to zdobyć. Może dlatego, że było jej wstyd, a może dłoń kierowała się własną wolą.

– Kilka lat temu chciałem ujawnić to, co wiem. To wszystko zaczęło mi za bardzo ciążyć, ale Curt Wad to udaremnił i wszystko mi odebrał. Moją praktykę

adwokacką, honor, szacunek do samego siebie. Miałem kiedyś partnera w kancelarii, nazywał się Herbert Sønderskov. Curt namówił go, by podał mu o mnie informacje, które pogrążyłyby mnie na zawsze. Klóciłem się z nimi oboma, groziłem, że ujawnię wszystko o Tajemnej Walce, więc anonimowo donieśli policji, że dokonywałem nadużyć na kontaktach klientów. I choć to była nieprawda, postarali się, by wyglądało to wiarygodnie. Przecież mieli wszystkie papiery, kontakty i umiejętności.

Jego głowa opadła, oczy zaczęły błędzić.

– Herbert, ten bydlak. Zawsze chodziło mu o moją żonę. To on mnie straszył, że jeśli raz na zawsze nie zamilknę na temat Tajemnej Walki i się nie uspokoję, to dopilnują, bym wylądował w więzieniu. – Pokręcił głową. – Miałem przecież córkę, która spaliłaby się ze wstydu, gdyby tak się stało, więc byłem w potrzasku. Wad był niebezpieczny i nadal jest, Nete... Posłuchaj, co mam ci do powiedzenia: trzymaj się z dala od tego człowieka.

Przechylił się do przodu, ciągle mówiąc, ale bardzo niewyraźnie. Coś o ojcu Wada, który uważał się za Boga. Coś o szalonych, zadufanych w sobie i niewiarygodnie cynicznych ludziach.

– Żona mi wybaczyła bankructwo – podjął nagle wyraźnym głosem. – Więc dziękuję Bogu, że okazał mi... – przez chwilę szukał słowa, kaszląc i próbując przełknąć ślinę – łaskę spotkania z tobą, Nete. Przyrzekam Bogu, że odtąd go nie opuszczę. Dzięki twoim pieniądzom moja rodzina i ja...

Opadł przed siebie, uderzając łokciem o oparcie krzesła. Przez chwilę wyglądało na to, że będzie wymiotował, krztusząc się i błędząc zdeorientowanym wzrokiem, po czym raptownie się wyprostował.

– Skąd tu nagle tyle ludzi, Nete? – Sprawiał wrażenie przestraszonego.

Próbowała coś powiedzieć, ale nie panowała również nad słowami.

– Dlaczego wszyscy na mnie patrzą? – wybełkotał, kierując się do światła wpadającego przez okna.

Rozpłakał się, wyciągając ręce przed siebie i łapiąc powietrze.

A Nete płakała wraz z nim.

Listopad 2010

Assad i Rose jeszcze nigdy nie wyglądali tak podobnie. Marsowe miny i nawet cienia uśmiechu.

– Chorzy ludzie – powiedziała Rose. – Trzeba by ich usadzić w rzędzie i zmusić do łykania tego ich gazu, tak żeby eksplodowali i zniknęli. Jakie to podłe, że gotowi byli spalić pięcioro ludzi tylko po to, by zamknąć ci usta, Carl. Nie pojmuję tego.

– Mnie zamknęli usta, o tak. – Assad ułożył zero z palca wskazującego i kciuka. – Czyli wiemy, że jesteśmy na właściwym tropie, Carl. Te świńskie bestie mają naprawdę dużo brudu pod dywanem. – Uderzył pięścią w otwartą dłoń. Gdyby włożyć tam palce, bolałoby jak diabli. – Dorwiemy ich – ciągnął. – Będziemy pracować dzień i noc i zamkniemy tę zasraną partię i Tajemną Walkę, i wszystko, w czym działa Curt Wad.

– Dobrze, Assad. Ale obawiam się, że nie będzie łatwo, a już na pewno nie będzie bezpiecznie. Myślę, że lepiej, byście przez parę najbliższych dni stąd nie wychodzili. – Uśmiechnął się. – I tak właściwie nie wychodzicie.

– W każdym razie dobrze, że tu byłem w sobotę w nocy – dodał Assad. – Bo ktoś tu wahał. Miał na sobie mundur policyjny, ale doznał szoku, gdy wyszedłem ze swojego gabinetu.

„Aha, kto by nie doznał o tej porze i do tego na widok zaspanych oczu Assada?” – pomyślał Carl.

– Dowiedziałeś się, co chciał i skąd był?

– Gadał jakieś bzdury. Coś o kluczu do archiwum i inne takie brednie. Jestem pewien, że czegoś u nas szukał. Szedł do twojego gabinetu, Carl.

– Widocznie ta organizacja ma długie macki – zwrócił się do Rose. – Gdzie ukryłaś teczki z archiwum Nørviga, Rose?

– Są w męskiej toalecie, a skoro o tym mowa, chciałabym wspomnieć, że kiedy korzystacie z damskiej, to macie, kurde, opuszczać deskę, jeśli już koniecznie

musicie sikać na stojąco.

– Dlaczego? – spytał Assad. Czyli znalazł się winowajca.

– Gdybyś wiedział, ile razy brałam udział w tej dyskusji, to wolałbyś teraz zbijać bąki na obozie harcerskim na wyspie Langeland.

Assad spojrział na niego, nic nie rozumiejąc, co Carl z kolei dobrze rozumiał.

– Okej, no to słuchaj. Czyli nie opuszczasz deski po skorzystaniu z toalety. – Podniosła palec do góry. – Po pierwsze. Wszystkie deski od toalet są od spodu bardzo nieestetyczne i śmierdzą sikami i kupą. Czasami nawet bardzo. Po drugie. Kiedy do toalety wejdzie kobieta, musi dotknąć deski, zanim na niej usiądzie. Po trzecie. To jest wstrętne, bo wtedy ma się na palcach bakterie z sików, a zaraz się trzeba będzie podetrzeć. Bardzo niehigieniczne. Ale może nigdy nie słyszałeś o infekcjach intymnych? Po czwarte. Ze względu na wasze lenistwo trzeba myć ręce dwukrotnie. Czy to rozsądne? Nie! – Podparła się pod boki. – Gdybyś od razu po wysikaniu się opuścił deskę, to wszystko by grało, bo przecież i tak zaraz umyłbyś ręce, miejmy nadzieję.

Assad stał przez chwilę, namyślając się.

– Uważasz w takim razie, że lepiej, bym podnosił deskę, zanim się wysikam? Bo wtedy to ja musiałbym umyć ręce, zanim zacznę, żeby nie mieć palców w sikach.

Palce Rose znów uniosły się do góry.

– Po pierwsze, właśnie dlatego wy mężczyźni też powinniście sikać na siedząco. Po drugie. Jeśli uważacie się za zbyt wyrefinowanych i męskich, by to robić, weźcie pod uwagę, że całkiem sporo mężczyzn o normalnie zbudowanym układzie trawiennym raz na jakiś czas musi usiąść, by zrobić kupę, a wtedy przecież opuszczacie deskę, z czego wnoszę, że jednak nie sracie na stojąco.

– Nie musimy jej spuszczać, jeśli przed nami była tam jakaś pani! Wtedy jest opuszczona – odparł Assad. – I wiesz co, Rose? Chyba odszukam moje eleganckie, zielone gumowe rękawiczki i wyczyszczę męską toaletę z pomocą tych oto dwóch dobrych przyjaciół. – Uniósł obie ręce. – Potrafią podnosić deski w toaletach i grzebać w odpływie. Tacy są wyrefinowani, pani Delikatnicka.

Carl obserwował, jak Rose szykowała się, by nagłą inwazję rumieńców przekuć w karczemną awanturę, i odruchowo wkroczył między zwaśnione strony. Lepiej, by już nie ciągnęli tej dyskusji. Całe szczęście, że sam odebrał jako takie wychowanie w domu. Ale też w jego domu rodzinnym kłapa toalety pokryta była

pomarańczowym pokrowcem frotte.

– Uważam, że powinniśmy wrócić do poważnych spraw, ludzie – wmieszał się Carl. – Mój dom usiłowano podpalić. Tu w piwnicy ktoś polował na nasze materiały. Wejść do toalety, w której chowasz teczki od Nørviga, to żaden problem, więc czy trzymanie ich tam jest dobrym pomysłem? Bo nie wydaje mi się, że tabliczka „Toaleta nieczynna” powstrzymałaby złodziei, jeśli nabraliby ochoty tam zajrzeć, nie sądzisz, Rose?

Wyjęła z kieszeni klucz.

– Nie, ale to by ich mogło powstrzymać. A skoro mowa o bezpieczeństwie, to wcale nie mam zamiaru przebywać na komendzie dłużej, niż to konieczne. Aż tak przytulnie tu znów nie jest. Mam w torebce przedmioty, którymi mogę się bronić, i tak pozostanie.

Carl pomyślał o gazie pieprzowym i paralizatorach, wyjątkowo nieprzyjemnym spręcie, na który nie miała pozwolenia.

– Aha, ale i tak uważaj, Rose.

Wykrzywiła się do niego, co niemal samo w sobie stanowiło broń.

– Przejrzałam już wszystkie teczki Nørviga i zapisałam w swojej bazie danych wszystkie nazwiska pozwanych. – Położyła przed nim na stole plik spiętych ze sobą kartek. – Oto lista. Zwróć, proszę, uwagę, że część protokołów opatrzona jest podpisem aplikanta adwokackiego Alberta Caspersena. Nadmienię tym słuchaczom, którzy mogą go nie znać, że jest jedną z czołowych postaci Czystych Linii i można się spodziewać, że wysforuje się na czoło aparatu partyjnego, prawdopodobnie jako przewodniczący partii.

– Okej, czyli był zatrudniony u Nørviga? – spytał Carl.

– Tak, u Nørviga i Sønderskova. Gdy zakończyli współpracę partnerską, Caspersen odszedł do kancelarii adwokackiej w Kopenhadze.

Carl spojrział na kartkę. Rose sporządziła cztery kolumny dla każdej sprawy. Jedną z nazwiskiem oskarżonego, którego broniła kancelaria, jedną z nazwiskiem poszkodowanego i dwie ostatnie odpowiednio z datą i rodzajem sprawy.

W kolumnie „rodzaj sprawy” znajdowało się wyjątkowo dużo skarg dotyczących nadużyć testów na inteligencję, zwykłej fuszerki lekarskiej i, co najważniejsze, „chybionych” bądź niepotrzebnych zabiegów ginekologicznych. W kolumnie „nazwisko poszkodowanego” widniały zarówno pospolite duńskie nazwiska, jak

i nazwiska o cudzoziemskim brzmieniu.

– Wybrałam sobie parę spraw i gruntownie się z nimi zapoznałam – relacjonowała Rose. – Nie mam wątpliwości, że to najbardziej metodyczne świństwo, jakie kiedykolwiek widziałam. Nierówne traktowanie i mentalność panów w czystej postaci. Jeśli to tylko czubek góry lodowej, to ci ludzie ponoszą odpowiedzialność za mnóstwo przestępstw wobec kobiet i nienarodzonych dzieci.

Wskazała pięć nazwisk pojawiających się najczęściej. Curt Wad, Wilfrid Lønberg i trzech innych.

– Jeśli sprawdzicie na stronie domowej Czystych Linii, to cztery nazwiska wciąż się tam pojawiają jako nazwiska wpływowych członków. Ten piąty nie żyje. Co powiecie, mości panowie?

– Jeśli te bydlaki będą miały w Danii coś do gadania, to rozpęta się wojna, mówię ci, Carl – warknął Assad, ignorując piekielny hałas, jakim nękał ich jego wkurzający telefon już dziesiąty raz tego ranka.

Mørck spojrzał czujnie na współpracownika. Ta sprawa dotykała go znacznie bardziej niż zazwyczaj; właściwie dotyczyło to obojga jego pomocników. Jakby godziła ich prosto w serce. Wiadomo było, że wysłała w teren dwoje ludzi poranionych wewnętrznie, ale Carl i tak dziwił się tak dużemu zaangażowaniu w sprawę Assada, który wydawał się wręcz wstrząśnięty.

– Jeśli można bezkarnie deportować kobiety na wyspę – ciągnął niezrażony Assad, ściągając ciemne brwi nad nasadą nosa – zabić naprawdę dużo zdrowych płodów i wysterylizować wiele kobiet, to można robić wszystko bezkarnie, tak uważam, Carl. A to niedobrze, jeśli jednocześnie zasiada się w Folketingu.

– Posłuchajcie oboje. Prowadzimy śledztwo przede wszystkim w sprawie zaginięcia pięciorga ludzi, prawda? Rity Nielsen, Gitte Charles, Philipa Nørviga, Viggę Mortensena i Tagego Hermansena. Wszyscy znikają w mniej więcej tym samym czasie i nigdy się nie odnajdują. Już samo to jest frapujące i każe podejrzewać, że doszło do przestępstwa. Zidentyfikowaliśmy wspólny mianownik w postaci zakładu dla kobiet na Sprogø i Nete Hermansen po jednej stronie. Z drugiej strony sporo dzieje się też wokół Curta Wada i jego działalności, co zdecydowanie zwraca na siebie uwagę. Może powinniśmy celować w Curta Wada i jego pracę i idee, a może nie. Ale naszym nadrzędnym celem jest wyjaśnienie tych pięciu spraw zaginięcia, resztę zostawmy służbom specjalnym albo

Krajowemu Biuru Śledczemu. To duża sprawa, za duża dla trojga ludzi. I niebezpieczna.

Assad nie krył niezadowolenia.

– Carl, sam widziałeś wydrapane ślady na drzwiach karceru na Sprogø. Sam słyszałeś, co Mie Nørvig mówiła o Curcie Wadzie. Sam przeczytałeś tę listę. Musimy się zbierać, żeby porozmawiać z tym starym idiotą o tych wszystkich łajdactwach, których się dopuścił. Nic więcej nie powiem.

Carl uniósł rękę. Dobrze się złożyło, że telefon przerwał tę kotłowaną. W każdym razie tak uważał, dopóki nie stwierdził, że dzwoni Mona.

– Tak, Mono? – powiedział chłodniej, niż zamierzał.

Za to żarowi w jej głosie nic nie dolegało.

– Nie mam od ciebie wieści, Carl. Czyżbyś zgubił swój klucz?

Carl przemieścił się nieco w głąb piwnicy.

– Nie, ale nie chciałem się narzucać. Mogłoby się przecież zdarzyć, że w twojej sypialni nadal bawi Rolf.

Pauza nie była nieprzyjemna, ale jednak smutna. Jest tyle sposobów powiedzenia kobiecie, za którą się szaleje, że nie chce się jej z nikim dzielić. A rezultatem niemal zawsze jest zerwanie.

Odliczał sekundy, gotów się rozłączyć z czystej frustracji, gdy wybuch śmiechu o wysokości Olimpu prawie wgniół mu błonę bębenkową do wnętrza czaszki.

– A niech mnie licho, jaki z ciebie słodziak, Carl. Jesteś zazdrosny o psa, kochanie. Mathilde zostawiła mi pod opieką swego szczeniaka rasy cairn terier na czas wyjazdu szkoleniowego.

– Psa? – Z Carla uszła nerwowość. – Dlaczego, u diabła, kiedy zadzwoniłem, wyjeżdżasz ze zdaniem typu „nie przejmuj się tym, porozmawiamy o tym innym razem”? Zupełnie się zdołowałem!

– Tak, mój miły. Ale może to cię nauczy, że kiedy do pewnego rodzaju kobiet ich mężczyźni dzwonią na pół godziny, zanim one przed lustrem zdążą się zrobić na bóstwa, to nie są gotowe na pogaduszki.

– Chyba twoje słowa oznaczają, że to był test.

Zaśmiała się.

– Jesteś naprawdę zdolnym policjantem, Carl. Kolejna tajemnica rozwikłana.

– Zaliczyłem test?

– Możemy o tym porozmawiać wieczorem. Z Rolfem pomiędzy nami.

Zjechali z Roskildevej w Brøndbyøstervej, po której obu stronach piętrzyły się wieżowce.

– Dość dobrze znam Brøndby Nord – oświadczył Assad. – A ty, Carl?

Skinął głową. Ile razy bywał tu na patrolu! Podobno kiedyś Brøndbyøster było tętniącym życiem miasteczkiem z trzema rynkami oferującymi wszystko, czego dusza zapagnie. Były to dobre dzielnice, których mieszkańcy posiadali siłę nabywczą. A potem wkroczyły rzędem wielkie centra handlowe: Rødovre, Glostrup, Hvidovre, Bilka w Ishøj i Hundige i nagle całe miasteczko zamarło. Masowo zamykano sklepy, zniknęły dobre, doskonale prowadzone sklepiki, a teraz już prawie nic nie zostało. Brøndby było być może gminą o najbardziej zaniedbanym życiu biznesowym na skalę całego kraju. Gdzie podziały się deptak, ścisłe centrum, kino i świetlica? Obecnie mieszkali tu tylko obywatele z samochodami albo ludzie o niewygórowanych wymaganiach wobec otoczenia.

Dawało się to odczuć na rynku Brøndbyøster Torv, podobnie jak na Nygårds Plads. Poza drużyną futbolową Brøndby nie było tu zbyt wiele powodów do dumy. Krótko mówiąc, gmina o nader skromnym potencjale, co dotyczyło szczególnie Brøndby Nord.

– Tak, Assad, znam je całkiem dobrze. Dlaczego?

– Jestem pewien, że niewiele ciężarnych kobiet z Brøndby Nord przeszłoby przez dyskryminujące ucho igielne Curta Wada. Byłoby jak podczas selekcji na rampie w obozach koncentracyjnych, gdy Żydzi wysiadali z pociągów.

Może i mocno powiedziane, ale Carl i tak kiwnął głową, spoglądając przed siebie na wiadukt nad torami kolejki podmiejskiej. W dalszej części drogi majaczyła stara wioska. Oaza w asfaltowej dżungli. Stare, kryte strzechą dachy i autentyczne drzewa owocowe, których nikt nie szczepił. Nie brakowało tu miejsca na odpoczynek i grillowanie w ogrodzie.

– Musimy przejechać przez Vestre Gade – odezwał się Assad, zerkając na GPS. – Brøndbyøstervej jest jednokierunkowa, więc musisz dojechać aż do Park Allé, zakręcić i zawrócić.

Carl spojrzął na oznakowanie. Zgadza się. I gdy tylko wjechał na wiejską drogę, zobaczył cień furgonetki, wyjeżdżającej pędem z bocznej uliczki. Zanim Carl zdążył zareagować, uderzyła z ogromną siłą w prawą, tylną część peugeot, tak że

stracił przyczepność i zarzuciło go na chodnik, gdzie zahamował na żywopłocie z ligustrów. Przez trwające wieczność sekundy wszystko zdominował chaos tłuczonych szyb samochodu, trzask miażdżonego metalu i uderzenia poduszek powietrznych, które aktywowały się prosto w ich twarze. I już było po wszystkim. Usłyszeli syk silnika i krzyki ludzi zza żywopłotu, nic więcej.

Spojrzeli po sobie zszokowani, ale też z ulgą, gdy poduszki powietrzne opadły.

– Co z moim żywopłotem? – spytał starszy pan natychmiast, gdy wygramolili się z auta. Ani słowa o tym, czy nic im się nie stało. Na szczęście nic.

Mørck wzruszył ramionami.

– Proszę zapytać w swojej firmie ubezpieczeniowej. Nie jestem ekspertem od ratowania żywopłotów. – Rozejrzał się po najbliższej stojących obserwatorach. – Czy ktoś z państwa widział, jak do tego doszło?

– Tak, to była furgonetka, która jechała cholernie szybko pod prąd na jednokierunkowej i zjechała z powrotem na Brøndbyøstervej – odrzekł ktoś. – Chyba zniknęła przy Højstens Boulevard.

– Przyjechała z Brøndbytoften. Wydaje mi się, że stała tam przez jakiś czas, ale nie wiem, co to za furgonetka, oprócz tego że była niebieska – dorzucił ktoś inny.

– Nie, szara – dodał jeszcze ktoś.

– Zapewne nikt z was nie zapisał numerów – powiedział Carl, oglądając szkody. Może od razu dzwonić do wydziału ruchu drogowego i się wypowiadać. Niech to szlag. Jak ich znał, Assad i on będą musieli wrócić kolejką.

Miał rację w kwestii swoich pozostałych przemyśleń; na niewiele się zda wypytywanie ludzi pracujących w małych firmach w Brøndbytoften, czy coś na ten temat wiedzą.

To był najzwyczajniejszy zamach na ich życie, nie żaden wypadek.

– A niech mnie, dom Curta Wada stoi dokładnie naprzeciwko Szkoły Policyjnej! Trudno sobie wyobrazić lepszą przykrywkę dla ciemnych sprawek, co, Assad? Kto by tu szukał?

Assad wskazał mosiężną tabliczkę, przytwierdzoną do muru z żółtej cegły przy drzwiach wejściowych.

– Jego nazwiska nie ma na szyldzie, Carl. Tu jest napisane „lek. med. Karl-Johan Henriksen, specjalista ginekolog i chirurg”.

– Tak, Curt Wad sprzedał swój gabinet. Są dwa dzwonki. Może spróbujemy z tym

wyżej?

Usłyszeli za drzwiami stłumiony dźwięk miniaturowego Big Bena. Gdy po wielokrotnych próbach dzwonienia oboma dzwonkami nie doczekali się żadnej reakcji, weszli na posesję przez podjazd między węglem domu a starym, pomalowanym na żółto budynkiem stajni z dachem krytym dachówką starą jak świat.

Ogród był nieduży, podłużny i zwieńczony krzakami śnieguliczki i płotem z desek. Ładne grządki i podupadający budynek gospodarczy na wspornikach.

Pozwoliwszy sobie wejść na środek ogrodu, Carl stwierdził, że z pomieszczenia przypominającego pokój kominkowy, przez szybę energooszczędną spogląda na nich starszy mężczyzna. Nie było wątpliwości, że to Curt Wad.

Pokręcił głową, na co Carl wyciągnął w stronę szyby odznakę policyjną, ale ten tylko pokręcił głową kolejny raz. Widać nie był w nastroju, by ich wpuszczać.

Wtedy Assad wszedł po schodkach i szarpał za drzwi do ogrodu, dopóki się nie otworzyły.

– Panie Wad – powiedział do otwartych drzwi. – Możemy wejść?

Carl spojrział przez szybę na mężczyznę. Mówił coś ze złością, ale Mørck nie słyszał co.

– Bardzo dziękujemy – odparł Assad i wślizgnął się do salonu.

„Zuchwalec” – pomyślał Carl, deptając mu po piętach.

– To jest wtargnięcie! Proszę, by panowie sobie stąd poszli – zaprotestował mężczyzna. – Na górze moja żona leży na łożu śmierci, a ja nie mam humoru na odwiedzinę.

– W takim razie wszystkim nam brakuje humoru – stwierdził Assad.

Carl pociągnął go za rękaw.

– Przykro nam to słyszeć, panie Wad. Postaramy się streszczać.

Usiadł bez zaproszenia na wysokiej, rustykalnej sofie o dębowych bokach, choć gospodarz domu stał.

– Mamy wrażenie, że dobrze pan wie, dlaczego tu jesteśmy, bo dzisiejszego poranka był pan zajęty różnego rodzaju szachrajstwami. Niech mi będzie wolno krótko podsumować.

Carl zrobił małą, teatralną pauzę, by zobaczyć reakcję Wada na aluzję do dwóch prób morderstwa, ale ta nie nastąpiła. Jego nastawienie było takie, że mają sobie

iść, i to natychmiast.

– Wprawdzie wzięliśmy pod lupę pańską działalność w rozmaitych stowarzyszeniach i partiach, ale przyszedliśmy przede wszystkim dlatego, że chcemy się dowiedzieć, czy pańskie nazwisko łączy się z kilkoma przypadkami zaginięcia na początku września osiemdziesiątego siódmego roku. Zanim zadam panu konkretne pytania, może chciałby pan nam coś powiedzieć?

– Tak. Proszę stąd wyjść.

– Nie rozumiem – stwierdził Assad. – Dałbym sobie głowę uciąć, że dopiero co nas pan zaprosił.

To był Assad w wersji pozbawionej błysku w oku. Bardzo natarczywy, na granicy agresji. Carl będzie musiał trzymać go na krótkiej smyczy.

Starzec chciał coś odburknąć, ale Carl podniósł rękę.

– Jak mówiłem, tylko parę prostych pytań. A ty, Assad, się nie odzywaj.

Mørck się rozejrzył. Jedne drzwi do ogrodu, drugie do czegoś, co wyglądało na jadalnię, i podwójne drzwi, zamknięte. Wszystkie drzwi w okleinie imitującej drewno tekowe; typowe dla stylistyki lat sześćdziesiątych.

– Czy Karl-Johan Henriksen ma swój gabinet za tymi drzwiami? Jest teraz zamknięty?

Curt Wad skinął głową. Był czujny i się hamował, jak ocenił Carl, ale pewnie gdy pytania staną się bardziej dociekliwe, znów wybuchnie wściekłością.

– Czyli od drzwi wejściowych muszą prowadzić trzy drogi. Po schodach na górę, gdzie znajduje się pańska żona, w lewo do gabinetu i w prawo przez jadalnię i dalej, prawdopodobnie do części kuchennej.

Znów kiwnął głową. Pewnie dziwił go rozwój sprawy, ale wolał milczeć.

Carl jeszcze raz sprawdził drzwi do salonu.

„Gdyby nas za chwilę zaatakowano, to prawdopodobnie przez podwójne drzwi do gabinetu” – pomyślał Carl, więc zwrócił na nie szczególną uwagę, nie oddalając ręki od kabury z pistoletem.

– O jakich zaginięciach mowa? – spytał w końcu starzec.

– Niejakiego Philipa Nørviga, z którym jak wiem, pan pracował.

– Ach tak. Nie widziałem go od dwudziestu pięciu lat. Ale mówiłeś o wielu zaginięciach. Jakie jeszcze?

Okej, przeszedł z nim na ty, więc ton był już bardziej wyluzowany.

– Ludzie, którzy mają jakieś powiązania ze Sprogø – odparł.

– Nie mam żadnych powiązań ze Sprogø, pochodzę z Fionii – odrzekł gospodarz z uśmiechem.

– Tak, ale jednak przyczyniłeś się do kierowania kobiet na wyspę i reprezentowałeś organizację, która chętnie i niczym dobrze naoliwiony mechanizm wysyłała tam kobiety od pięćdziesiątego piątego do sześćdziesiątego pierwszego roku. Ta sama organizacja była wmieszana w niezwykle dużą liczbę spraw dotyczących przymusowych aborcji i bezprawnych sterylizacji.

Uśmiechnął się szerzej.

– A czy w takiej sprawie choć raz zapadł wyrok? Nie, nie zapadł. Wszystko to czcza gadanina. O Boże drogi, chodzi o parę upośledzonych umysłowo ze Sprogø? Zupełnie nie rozumiem, co to ma wspólnego ze sprawami, które badacie. Może powinniście raczej porozmawiać z Nørvigiem.

– Nørvig zaginął w osiemdziesiątym siódmym.

– Owszem, tak twierdzicie, ale może miał ku temu powody. Może to on stał za tym, czym się teraz zajmujecie. Szukaliście go gruntownie, jak sądzicie?

Co za tupet.

– Nie mam już ochoty wysłuchiwać tak tych bzdur, Carl – warknął Assad i zwrócił się bezpośrednio do Curta Wada. – Wiedziałeś, że tu jedziemy, prawda? Nawet nie podszedłeś do drzwi, żeby sprawdzić, kto dzwoni. Bo wiedziałeś, że furgonetka, którą na nas nasłałeś, nas nie powstrzymała. To dopiero syf, co?

Assad podszedł do niego blisko. Za szybko to postępuje. Z Curta Wada trzeba było jeszcze wyciągnąć parę szczegółów. Inaczej się po prostu zatnie.

– Nie, Carl, czekaj – powiedział Assad, widząc, że Mørck chce się wmieszać. Chwycił starego, który był co najmniej półtorej głowy wyższy od niego, luźno w pasie i pchnął go na fotel stojący w rogu przy kominku. – No, teraz mamy nad tobą większą kontrolę. Dziś w nocy próbowaliście spalić Carla i jego przyjaciół na śmierć, ale na szczęście się to nie udało. A poprzedniej nocy próbowaliście ukraść coś policji. Spaliliście też dokumenty i otaczacie się ludźmi, którzy robią za was brudną robotę. Myślisz, że będę do ciebie grzeczniejszy, niż ty jesteś do nas? W takim razie się mylisz.

Curt Wad spojrzał na Assada wciąż uśmiechnięty i opanowany. Po prostu aż prosił się o manto.

W tym miejscu włączył się Carl, równie agresywnym tonem co Assad.

– Wiesz, gdzie się podział Louis Petterson, Wad?

– Kto?

– Ach, te sztuczki. Nie znasz własnych pracowników z Benefice?

– Co to jest Benefice?

– W takim razie wyjaśnij mi, dlaczego Louis Petterson dzwonił do ciebie tuż po tym, jak zadaliśmy mu mnóstwo pytań w kawiarni w Holbæk.

Uśmiech nieco przybladł. Carl widział, że Assad też to dostrzegł. Zareagował, kiedy pierwszy raz wspomnieli o bezpośrednio z nim związanym konkretnie. *Touché*.

– I dlaczego wcześniej dzwonił do ciebie Herbert Sønderskov? Według moich informacji krótko po naszej wizycie, którą złożyliśmy w domu jego i Mie Nørvig w Halsskov. Jakiś komentarz?

– Żadnego. – Curt Wad położył ciężko ręce na podłokietnikach i ich nie ruszał. Sygnał, że ucina rozmowę.

– Tajemna Walka! – wypalił więc Carl. – Ciekawe zjawisko, o którym duńskie społeczeństwo na pewno wkrótce usłyszy coś więcej. Co masz na ten temat do powiedzenia? W końcu jesteś założycielem, czyż nie?

Brak odpowiedzi, tylko mocniejszy uścisk na oparciach.

– Jesteś skłonny przyznać się do tego, że masz udział w zniknięciu Philipa Nørviga? Bo może się tak zdarzyć, że skupimy się za to na reszcie tych bredni z partiami politycznymi i sekretnymi lozami.

To był decydujący moment: reakcja Wada. Doświadczenie Carla mówiło, że nawet jeśli byłaby nieznaczną, stanie się wskazówką, jaką strategię należy obrać wobec tego zatwardziałego człowieka. Skorzysta z szansy, by wydać sam siebie, oszczędzając partię, czy będzie wolał się ratować? Carl skłaniał się ku temu ostatniemu.

Ale Wad w ogóle nie zareagował, co zbiło ich z tropu.

Carl spojrział na Assada. Zauważył to? Że sprawa Nørviga z perspektywy Curta Wada w żadnym razie nie stanowiła alternatywy dla kwestii Tajemnej Walki. Że nie wykorzystał drobnej sprawy, żeby uratować wielką. Okej, wytrawni, profesjonalni przestępcy nie wahaliby się przy takiej gratce, ale Wad się nie ugiął. Czyli może nie miał jednak nic wspólnego z tymi cholernymi zaginięciami; nie

można tego wykluczyć. Czy może był zdecydowanie bardziej skomplikowanym człowiekiem, niż Carl podejrzewał?

W każdym razie znów byli w punkcie wyjścia.

– Caspersen nadal dla ciebie pracuje, prawda? Podobnie jak w tamtych sprawach, gdy ty, Lønberg i wielu innych z Czystych Linii niszczyliście życie niewinnych ludzi?

Na te pytania Wad też nie zareagował i Assad aż wyłaził ze skóry.

– Wiesz w ogóle, że dzisiaj „linie” można pisać tylko przez „j”, ty stary durniu?
8 – palnął.

Carl odnotował, że uwaga Assada, choć niewinna, głęboko ubodła Wada. W każdym razie ostatnie pytanie zirytowało starego bardziej niż cała reszta. Że pod względem językowym poprawia go ten natrętny, mały czarnuch – to było dla niego po prostu zbyt prowokujące, widać to było gołym okiem.

– Jak nazywa się twój kierowca, ten z jasnymi włosami, który postawił u mnie butlę z gazem? – bombardował dalej Carl. I w końcu: – Pamiętasz Nete Hermansen?

Wad się wyprostował.

– Proszę, by panowie stąd wyszli. – Czyli znów zrobił się oficjalny. – Moja małżonka umiera i dlatego proszę was, byście uszanowali nasz ostatni, wspólny czas.

– Tak jak ty uszanowałeś Nete, jak wyrzuciłeś ją na wyspę? Jak szanowałeś kobiety, które nie przypadły ci do tego zdegenerowanego, obłąkanego gustu i których dzieci zamordowałeś, zanim się urodziły? – spytał Carl z tym samym uśmiechem, którym Curt Wad sam przed chwilą się posługiwał.

– Przestań porównywać te dwie rzeczy. – Wad wstał. – Ach, mam dość waszej hipokryzji. – Nachylił się do Assada. – Może też chciałbyś płodzić głupie, czarne bachory, myśląc, że możesz je nazywać Duńczykami, ty żalosny, brzydki człowieczku?

– No, czyli wychodzi. – Uśmiechnął się Assad. – Wychodzi z ciebie bydlę. Brzydkie bydlę, Wad.

– Ech, przesunę się, ty tępy czarnuchu. Zmiataj do swego kraju, ty podczłowieku.

Następnie zwrócił się do Mørcka.

– Tak, kierowałem na Sprogø aspołeczne, głupie dziewczęta z silnie odstającymi od normy skłonnościami seksualnymi, tak, sterylizowano je i powinieneś mi dziś za to dziękować, bo ich potomkowie rozbiegliby się po mieście jak szczury, a ty i twoi koledzy nie potrafilibyście powstrzymać ich przestępczych zachowań i prymitywnych instynktów. Niech was piekło pochłonie. Gdybym był młodszy...

Wyciągnął ku nim pięści, a Assad był gotów dać mu się wykazać. Jednak Wad był znacznie bardziej kruchy, niż pokazywały to ekrany telewizorów. Sprawiał wręcz komiczne wrażenie: prężący się, zgrywający macho starzec w salonie z witryną i galimatiasem stylów właściwym dla długiego życia. Ale Carl wiedział swoje. Nie było w nim nic komicznego, a kruchość dotyczyła tylko ciała. Bronią Wada był mózg, a ten pozostał nienaruszony, zimny i miał złe zamiary.

Carl chwycił swojego pomocnika i poprowadził go w stronę drzwi do ogrodu.

– Dopadną go jeszcze, Assad, spokojnie – powiedział, gdy wlekli się ulicą Brøndbyøstervej w stronę stacji kolejki podmiejskiej.

Ale Assad nie był przekonany.

– Oni! Mówisz „oni”, a nie „my” – odparł. – Nie wiem, kim są ci, którzy mają go powstrzymać. Curt Wad ma osiemdziesiąt osiem lat, Carl. Jeśli nie my, nikt go nie dopadnie przed Allahem.

W pociągu niewiele rozmawiali, każdy zatopiony w swoich myślach.

– Zwróciłeś uwagę, jaki ten dupek jest arogancki? Nie miał nawet alarmu w domu – powiedział w pewnym momencie Assad. – Ktoś mógłby się włamać do niego w sekundę i powinien to zrobić, bo inaczej on zdąży zniszczyć ważne materiały. To akurat pewne.

Nie wyjaśnił dokładniej, kto się krył pod słowem „ktoś”.

– Nie zrobisz tego, Assad – uciął Carl. – Jedno włamanie tygodniowo to aż nadto.

Nie było konieczności rozwijać tego tematu, więc na tym poprzestali.

Minęło zaledwie pięć minut od ich powrotu na komendę, gdy Rose weszła do Carla z wydrukiem faksu.

– Znalazłam to w faksie. Jest do Assada. Numer nadawcy jest chyba z Litwy. Dość nieprzyjemne zdjęcie, prawda? Wiecie, dlaczego nam je przysłano?

Carl rzucił okiem na zdjęcie i zalał go chłód.

– Assad, chodź no tu! – zawołał.

Trochę to trwało, nie to, co zawsze. To był ciężki dzień.

– Tak, co tam? – spytał, kiedy wreszcie przyszedł.

Carl wskazał faks.

– Trudno nie rozpoznać tego tatuażu, co Assad?

Assad spojrział na tatuaż smoka, podzielony na pół na prawie odrąbanej głowie Linasa Verslovasa. Na twarzy malował się i strach, i zdumienie.

Niestety na twarzy Assada – nie.

– Oj, niedobrze – stwierdził – ale ja nie mam z tym nic wspólnego, Carl.

– Czyli mówisz, że nie ma w tym twojej bezpośredniej ani pośredniej winy? – Carl uderzył w wydruk. On też miał zszargane nerwy, ale co w tym dziwnego?

– Z pośrednią to nigdy nie wiadomo. Nie zrobiłem niczego z rozmysłem.

Carl zaczął szukać swoich papierosów. Po prostu musiał zapalić.

– Myślę, że faktycznie nie, Assad, ale dlaczego, do cholery, policja z Litwy czy skąd tam przyszedł ten diabelny faks, uważa, że powinieneś o tym wiedzieć? Gdzie jest moja zapalniczka, niech to szlag. Widziałeś ją?

– Nie wiem, dlaczego powinienem o tym wiedzieć, Carl. Mogę przecież do nich zadzwonić i zapytać. – Ostatnie zdanie brzmiało bardziej zjadliwie, niż musiało.

– Wiesz co, Assad? Zostawmy to na później. Uważam, że teraz powinieneś wrócić do domu czy gdzie tam bywasz i zresetować się trochę. Bo sprawiasz wrażenie, jakbyś miał lada chwila wykipieć.

– Dziwne, Carl, że ty się tak nie czujesz. Ale jeśli tak uważasz, to pójdę sobie. – Nie okazał tego, ale był bardziej rozzłoszczony, niż Mørck miał dotąd okazję zaobserwować.

Poszedł, a zapalniczka Carla demonstracyjnie wystawała z tylnej kieszeni jego spodni.

Wszystko nie tak.

Wrzesień 1987

Gdy głowa opadła Nørvigowi na pierś, w życiu Nete zaległa całkowita cisza. Spoglądała na nią śmierć we własnej osobie i przywoływała do siebie w ogień piekielny. Teraz już jej nie było.

Nigdy przedtem nie czuła jej tak blisko. Nawet kiedy umarła jej matka, nawet kiedy leżąc na szpitalnym łóżku, dowiedziała się, że jej mąż zginął w wypadku samochodowym.

Uklękła przed krzesłem, na którym siedział Philip Nørvig z zapłakanymi, otwartymi oczami, już nie oddychając.

Wyciągnęła drżące ręce, próbując dotknąć jego zastygłych w spazmie palców i szukając słów, których nie mogła znaleźć. Może chciała po prostu powiedzieć przepraszam, ale to jakoś nie wystarczało.

„Miał córkę” – pomyślała, czując, jak dygot z wnętrza brzucha rozchodzi się po całym ciele.

Miał córkę. Te martwe ręce już nigdy nie pogłaszczą jej policzka.

– Przestań, Nete! – krzyknęła nagle w głos, widząc, dokąd to prowadzi. – Odrażający bydlak – warknęła w stronę zwłok. Nie będzie do niej przychodził ze swoją skruchą, sądząc, że jej życie z tego powodu ulegnie poprawie. Zemstę też jej ukradnie? Najpierw wolność i macierzyństwo, a teraz też jej tryumf?

– Chodź tu – mruknęła, wkładając ręce pod jego pachy i poczuła, jak w nozdrza uderzą ją smród. Nie było wątpliwości, że w ostatnich sekundach się wypróżnił i że w związku z tym presja czasu będzie jeszcze większa.

Spojrzała na zegarek. Była 16.00, za kwadrans kolej Curta Wada. Choć po nim przychodziła jeszcze Gitte, to jednak on był ukoronowaniem jej dzieła.

Ściągnęła Nørviga z krzesła i stwierdziła, że pod nim na siedzisku widnieje duża, brązowa, cuchnąca plama odchodów.

Nørvig zostawił w jej życiu swój ostatni ślad.

Zawinąwszy go w ręcznik kąpielowy i zawlekłszy do szczelnego pokoju, zaczęła gorączkowo szorować krzesło; wszystkie okna w salonie i w kuchni były otwarte na oścież. Jednak ani plama, ani zapach nie chciały zniknąć i w obecnej chwili, o 16.14, każdy kąt i bibelot w pokoju krzyczały wniebogłosy, że w mieszkaniu coś jest bardzo nie tak.

O 16.16 krzesło zostało wepchnięte do kąta w szczelnym pokoju, a miejsce, w którym wcześniej stało, ziało pustką. Przez chwilę zastanawiała się, czyby nie wstawić tam krzesła z jadalni, ale odrzuciła ten pomysł. A innych krzesel nie miała.

„Curt Wad musi usiąść na sofie obok kredensu, kiedy będę mieszać szalej z herbatą” – pomyślała. „Będę musiała stać tak, by to zasłonić, nie ma innego wyjścia”.

Czas płynął, Nete co dwadzieścia sekund podchodziła do okna, ale Curt Wad nie przychodził.

Gdy uwięzienie Nete trwało ponad półtora bolesnego roku, na dziedzińcu zakładu pojawił się nagle młody mężczyzna, robiąc zdjęcia wody. Kłębiła się wokół niego grupka dziewcząt ze Sprogø, szepcząc i oglądając go od stóp do głów, jakby był łatwą zdobyczą, ale mężczyzna był mocno zbudowany i wysoki, a okazjonalne dotknięcia dziewcząt, gdy zanadto się z nim spoufaliły, nie robiły na nim wrażenia.

Jej ojciec powiedziałby, że to chwacki typ. Zarumienione policzki jak u wytrawnego wieśniaka i włosy lśniące życiem, a nie płatkami mydłanymi.

Eskortowały go cztery kobiety z personelu, a gdy zrobiło się zbyt gęsto, odepchnęły dziewczęta do tyłu i przegoniły je do obowiązków. Tymczasem Nete schowała się za drzewem pośrodku dziedzińca i czekała na okazję.

Mężczyzna rozejrzał się wokół, wyjął notatnik i zaczął zapisywać swoje wrażenia.

– Czy mógłbym porozmawiać z którąś z dziewcząt? – Nete podsłuchiwała, jak pyta jedną z pracownic, a dwie się roześmiały ze słowami, że jeśli ceni sobie własną niewinność, lepiej by zrobił, rozmawiając tylko z nimi.

– Ja na pewno będę się pilnować – oznajmiła Nete dobitnie, idąc w stronę grupki z uśmiechem, który jej ojciec nazywał „sznurem pereł”.

Po spojrzeniach wychowawczyń wywnioskowała, że czeka ją kara, i to surowa.

– Wracaj do pracy – nakazała wydra, najniższa z czterech wychowawczyń, asystentka dyrektorki. Miało to brzmieć przyjaźnie, ale Nete wiedziała swoje. Była

zranioną kobietą, dokładnie tak jak pozostałe. Miała zgorzkniałe usta, a w jej życiu było miejsce tylko na ostre słowa. „Taka, co jej żaden chłop nie chciał” – mawiała Rita. „Ma przyjemność w tym, że inni cierpią bardziej niż ona”.

– Nie, chwileczkę – powiedział dziennikarz. – Chciałbym z nią porozmawiać. Sprawia wrażenie spokojnej.

Wydra zachichotała, nic nie odpowiadając.

Zbliżył się o krok.

– Jestem z tygodnika „Fotoreportaż”, chciałabyś ze mną chwilę porozmawiać?

Nete pospiesznie skinęła głową, pomimo przewiercających ją czterech par oczu.

Zwrócił się do personelu.

– Tylko dziesięć minut przy pomoście. Parę pytań i parę zdjęć. Mogą panie stać w pobliżu i interweniować, gdybym nie potrafił się obronić – zaśmiał się.

Gdy się wycofały, jedna z nich na znak wydry oderwała się od grupy i poszła do gabinetu dyrektorki.

„Masz tylko moment” – pomyślała Nete, wyprzedzając dziennikarza w przejściu prowadzącym między budynkami do przystani.

Tego dnia światło było wyjątkowo ostre, a przy pomoście cumowała motorówka, którą dziennikarz tu przy płynął. Widziała już mężczyznę kierującego łodzią przy innej okazji; uśmiechał się i machał.

Oddałaby lata życia, by wejść na pokład tej łodzi i popłynąć na stały ląd.

– Nie jestem upośledzona umysłowo ani nienormalna pod innymi względami – powiedziała szybko dziennikarzowi, odwracając się do niego. – Zostałam osadzona na wyspie po tym, jak zgwałcił mnie lekarz o nazwisku Curt Wad. Może go pan sprawdzić w książce telefonicznej.

Dziennikarz raptownie przechylił głowę na bok.

– Aha. Mówisz, że zostałam zgwałcona?

– Tak.

– Przez lekarza, który nazywa się Curt Wad?

– Tak. Może pan sprawdzić w papierach sądowych. Była sprawa, którą przegrałam.

Powoli kiwnął głową, ale nic nie zapisał. Dlaczego tego nie zrobił?

– A ty się nazywasz...? – spytał.

– Nete Hermansen.

Teraz za to zapisał.

– Mówisz, że jesteś zupełnie normalna, ale przecież wiem, że wszystkie dziewczyny trafiają na wyspę z jakąś diagnozą. Jaka jest twoja?

– Diagnozą? – Nie znała tego słowa.

Uśmiechnął się.

– Nete, potrafisz mi powiedzieć, jakie jest trzecie co do wielkości miasto w Danii?

Odwróciła wzrok w stronę wzgórza z drzewkami owocowymi, wiedząc doskonale, dokąd to prowadzi. Jeszcze trzy pytania i przypnie jej łątkę.

– Wiem, że nie Odense, bo Odense jest drugie co do wielkości – odparła.

Kiwnął głową.

– Pochodzisz może z Fionii?

– Tak. Urodziłam się kilka kilometrów od Assens.

– To może opowiesz mi trochę o domu Hansa Christiana Andersena w Odense, dobrze? Jakiego jest koloru?

Nete pokręciła głową.

– Nie mógłby mnie pan stąd zabrać? Opowiem panu mnóstwo rzeczy, których się pan tu nie dowie. Rzeczy, o których pan nie ma pojęcia.

– Jak na przykład?

– Pewne rzeczy o personelu. Jeśli ktoś jest dla nas miły, to go szybko wyrzucają z powrotem na stały ląd. Kiedy jesteśmy nieposłuszne, biją nas i wsadzają do „pokoju do refleksji”.

– „Pokój do refleksji”?

– Tak, to karcer. Pomieszczenie z łóżkiem, niczym więcej.

– No tak, ale przecież to nie jest pobyt wakacyjny, prawda?

Pokręciła głową. Nie rozumiał.

– Możemy się stąd wydostać, tylko jeśli nas pokroją i wysterylizują.

Kiwnął głową.

– Tak, wiem. To po to, byście nie mogły wydawać na świat dzieci, którymi później nie będziecie potrafiły się opiekować. Nie sądzisz, że to humanitarne?

– Humanitarne?

– Ludzkie.

– Dlaczego nie mogłabym mieć dzieci? Czy moje dzieci są gorsze od innych

ludzi?

Spojrzał na Nete i na trzy kobiety z personelu, które poszły ich tropem i z odległości kilku kroków próbowały podsłuchać ich rozmowę.

– Wskaż tę, która bije – poprosił.

Nete się obróciła.

– Wszystkie trzy biją, ale ta najniższa bije najmocniej. Najczęściej w kark, tak że potem przez wiele dni jest się zeszywniałym.

– Aha. Posłuchaj, widzę, że idzie tu dyrektorka. Udziel mi jeszcze jakiejś informacji. Czego wam, na przykład, nie wolno?

– Personel chowa wszystkie przyprawy. Tylko jak przychodzą goście, na stole stoją sól, pieprz, ocet i takie tam.

Uśmiechnął się.

– Tak, tak, jeśli tylko tyle, to nie jest tak źle. Przecież jedzenie jest dobre, sam próbowałem.

– Najgorsze jest to, że nas nienawidzą. Że jesteśmy im obojętne. Że traktują nas wszystkie tak samo i nie chcą nas słuchać.

Roześmiał się.

– Musiałabyś poznać mojego szefa. Dokładnie go opisałaś.

Usłyszała, jak grupka personelu za jej plecami rozstępuje się i na koniec poczuła, jak dyrektorka chwytą ją za ramię i odciąga, a mężczyzna w łódce, zapaliwszy cygaretkę, majstruje przy swoim sprzęcie rybackim.

Nie usłyszano jej, w każdym razie tak naprawdę. Modliła się na próżno. Była tylko kępą trawy.

Z początku leżała w karczerze i płakała. A gdy to nie pomagało, wrzeszczała na całe gardło, że mają ją wypuścić, a do tego kopała i drapała w drzwi. Gdy miały dość wysłuchiwania dudnienia i łomotania, kilka z nich weszło do celi, siłą wsadziło jej ręce w kaftan bezpieczeństwa i przypięło ją do łóżka.

Przez wiele godzin płakała, mówiąc do matowobiałej ściany, jakby mogła się zawalić, otwierając przed nią drogę do wolności. W końcu drzwi się otworzyły i do środka wkroczyła dyrektorka, a za nią nadgorliwa mała wydra, jej asystentka.

– Rozmawiałam z panem Williamem z „Fotoreportażu”. Powinnaś się cieszyć, że nie zechciał wydrukować tych dyrdymałów, których mu naopowiadałaś.

– Nie naopowiadałam mu żadnych dyrdymałów. Nigdy nie kłamie.

Nete nie zauważyła ręki, która świsnęła w powietrzu, uderzając ją nad ustami, ale miała się już na baczności, widząc, jak wydra cofa rękę i zamierza się po raz kolejny.

– Wystarczy, panno Jespersen. Obejdzie się bez tego – powiedziała dyrektorka. – Jestem przyzwyczajona do tego typu historii.

Spojrzała znów na Nete. Może to mimo wszystko ona spośród wszystkich pracowników miała na co dzień w oczach najwięcej ciepła, ale w tej chwili była zimna jak lód.

– Dzwoniłam do Curta Wada, by go poinformować, że wciąż obstajesz przy tych swoich nieprzyzwoitych, bezpodstawnych kłamstwach na jego temat. Uważałam, że dobrze by było poznać jego zdanie, co powinnam z tobą zrobić. Mówi, że przy twoim miernym i kłamliwym umyśle nie istnieje coś takiego jak zbyt długa kara. – Poklepała Nete po ręce. – To nie jego decyzja, ale będę trzymać się jego słów. Na początek zostaniesz tu na tydzień, a potem zobaczymy, jak zareagujesz. Jeśli będziesz grzeczna i nie będziesz wrzeszczeć, już jutro zdejmemy ci kaftan bezpieczeństwa. Co ty na to? Umowa stoi?

Nete szarpnęła się w pasach.

Protest bez słów.

„Gdzie on się podziewa?” – pomyślała Nete. Czyżby Curt Wad rzeczywiście nie zamierzał się zjawić? Czy naprawdę był aż tak arogancki, że nawet perspektywa dziesięciu milionów nie zdołała go wywabić z nory? Tego się jednak nie spodziewała.

Pokręciła głową z rozpaczą. Tylko tego brakowało. Gdy zamykała oczy, zwłoki cherlawego adwokata wciąż wlepiały w nią zagubione spojrzenie, ale Nørvig był przecież tylko pacholkiem Wada, a skoro jego nie oszczędziła, to już na pewno nie chciała oszczędzić Curta Wada.

Przygryzła wargę, spoglądając na angielski zegar, którego wahadło bezlitośnie się kołysało.

Może pojechałaby na Majorkę, nie zakończywszy sprawy? Nie, wiedziała, że nie może. Złapanie Curta Wada w sieć było najważniejsze.

– Przyłaż, przyłaż, przyłaż, ty bydlaku! – mamrotała, biorąc robótkę ręczną i błyskawicznie łapiąc zgubione oczka. Przy każdym dźwięku uderzających o siebie drutów jej spojrzenie przez otwarte okna na ścieżkę nad jeziorem było

coraz intensywniejsze.

Czy ta wysoka postać przy pagórku to on? Nie. A ten za nim? Też nie.

„Co mam teraz zrobić?” – pomyślała.

I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. Nie do domofonu, ale bezpośrednio przy drzwiach wejściowych, a ją przeszedł dreszcz aż do szpiku kości.

Odłożyła robótkę i rozejrzała się, czy wszystko jest w porządku.

Tak, ekstrakt gotowy. Dzbanek z herbatą przykryty ocieplaczem. Papiery z fikcyjnym logo fikcyjnego adwokata leżały na koronkowym obrusie na ławie koło sofy. Wydęła nozdrza. Na tyle, na ile potrafiła ocenić, zapachy po Nørvigu zdążyły wywietrzeć.

Podeszła do drzwi, myśląc, że przydałby się judasz. Wzięła głęboki wdech i uniosła wzrok, gotowa spotkać wzrok Curta Wada.

– A jednak znalazłam trochę kawy. Chwilę to zajęło przy moim słabym wzroku – powiedział głos, dobiegający z miejsca położonego pół metra niżej, niż Nete się spodziewała.

Jej sąsiadka wyciągała do niej rękę z wypełnioną do połowy torebką w niebieską kratę i robiła wszystko, by w miarę byстрыm okiem zerknąć do wnętrza mieszkania. Co może być ciekawszego, niż zajrzeć w tajemny świat sąsiada?

Ale Nete nie zaprosiła jej do środka.

– Bardzo dziękuję. – Wzięła torebkę. – Nesca była doskonała, ale taka kawa to oczywiście numer jeden. Czy mogłabym zapłacić od razu? Przez najbliższych kilka tygodni nie będę mogła pani oddać kawy, bo wyjeżdżam.

Kobieta skinęła głową, więc Nete pospieszyła do salonu i wyjęła portfel z torebki. Wybiła już 16.35, a Curta Wada wciąż nie było. Kiedy zadzwoni do drzwi, sąsiadki ma już tu nie być. Dość pomyśleć, co by się działo w razie poszukiwań przez gazety czy telewizję. Panie w typie tej sąsiadki oglądają to pudło od rana do wieczora. Kiedy słabł największy ruch na ulicy, słychać było nawet dźwięk telewizora.

– Ładnie tu u pani – stwierdziła sąsiadka za jej plecami.

Nete obróciła się wokół własnej osi. Kobieta poszła za nią i teraz znajdowała się w salonie, rozglądając się ciekawie. Jej zainteresowanie przykuły głównie papiery na stoliku i otwarte okna.

– Dziękuję, też jestem dość zadowolona – powiedziała Nete, dając jej dziesięć

koron. – Bardzo dziękuję za pomoc, miło z pani strony.

– Gdzie jest pani gość? – spytała.

– Ach, ma jakieś sprawy do załatwienia w mieście.

– To może wypiliśmy razem filiżankę kawy, skoro pani czeka? – zaproponowała.

Nete pokręciła głową.

– Niestety, nie teraz. Przy innej okazji. W tej chwili muszę uporządkować papiery.

Skinęła przyjaźnie do kobiety, która wyglądała na rozczarowaną, ujęła ją pod ramię i poprowadziła na klatkę schodową.

– Bardzo dziękuję za pani pomoc – zakończyła, zamykając drzwi wejściowe.

Postała jeszcze przez pół minuty, opierając się plecami o drzwi i czekając na trzask zamka u tamtej.

A co, jeśli znów przyjdzie, kiedy tu będą Curt Wad albo Gitte Charles? Ją też rąbnąć w pakiecie?

Nete pokręciła głową, wyobrażając sobie, jak zleci się tu policja, zadając pytania. To by po prostu było zbyt ryzykowne.

– O Boże, niech już więcej nie przychodzi – powiedziała cicho.

Nie dlatego, by sądziła, że pomoże jej jakaś siła wyższa. Nie, z modłami do niebios nigdy nie wiązała większych nadziei.

Tego nauczyło ją doświadczenie.

Czwarty dzień o chlebie i wodzie był trudny. Świat Nete nagle się skurczył, nie było w nim miejsca ani na płacz, ani na modlitwy, które zanosila do Boga w poprzednich dniach, a przede wszystkim po nocach.

Za to krzyczała za powietrzem, wolnością, a przede wszystkim za swoją mamą.

– Chodź tu, mammo, pomóż mi! Przytulę się do ciebie, prosząc, byś na zawsze ze mną została – zawodziła nieprzerwanie. Ach, gdyby tak mogła usiąść z mamą w ogródku na ich gospodarstwie i łuskać fasolę. Jaka by była...

Przystopowała, gdy rozległo się łomotanie do drzwi i krzyk, że ma się zamknąć. Nie był to nikt z personelu, lecz któraś z dziewczyn z pierwszego piętra. Rozdzwonił się alarm na korytarzu, bo dziewczyny go aktywowały, wychodząc ze swoich pokojów. Po wrzaskach, krzykach i zwykłym zgiełku nastąpiły ostre napomnienia dyrektorki i szuranie przy zasuwie na drzwiach do celi.

Niespełna dwadzieścia sekund później Nete pchnięto w głąb pomieszczenia. Z krzykiem odrzuciła głowę do tyłu, gdy wkłuto w nią długą igłę. Wtedy obraz przed jej oczami się zamazał.

Gdy się obudziła z rękami unieruchomionymi przez skórzane pasy, nie miała już siły krzyczeć.

Leżała tak bez słowa przez cały dzień, a gdy chcieli ją nakarmić, odwracała głowę, myśląc o azylu na wyspie, za pagórkami ze śliwami, i o słońcu padającym przez listowie i krzewy, tworzącym migotliwe wiązki promieni. I wspominała ślad odcisnięty na sianie w stodole po jej igraszkach miłosnych z Tagem.

Myślała intensywnie i ze skupieniem, bo jeśli nie uważała, w głębi duszy pojawiała się wbrew jej woli buńczuczna twarz Curta Wada.

Nie, nie chciała o nim myśleć. To podłe, wszawie bydlę zniszczyło jej życie. Wiedziała już, że nie wróci z wyspy taka jak dawniej. Życie przeszło jej koło nosa, a za każdym razem, gdy jej klatka piersiowa unosiła się w oddechu, pragnęła, by on ustał.

– Ostatnia wieczerza została już spożyta – powiedziała do siebie. Po wszystkich szatańskich uczynkach Curta Wada nie wyobrażała sobie dalszego życia.

Kiedy przez wiele dni nie przyjmowała jedzenia i przestała się wypróżniać, wezwali lekarza z lądu.

Wyobrażał sobie, że jest aniołem zbawicielem, w każdym razie nazywał siebie „pomocą w potrzebie”, ale pomoc okazała się wbiciem igły w ramię i przewiezieniem do szpitala w Korsør.

Zatrzymali ją na obserwacji i odwrócili się od niej, gdy tylko zaczęła błagać ich o zmiłowanie i wynikającą z miłości bliźniego wiarę, że jest po prostu zwykłą dziewczyną, którą spotkało nieszczęście.

Tylko jeden jedyny raz na sali znajdował się człowiek, który potrafił słuchać, ale wtedy Nete dostała taką ilość leków, że przez cały dzień przysypiała.

Był to dwudziestokilkuletni mężczyzna, który odwiedzał małą, niedosłyszącą dziewczynkę. Przywieziono ją rano i teraz leżała za zasłoną naprzeciwko. Nete słyszała, że ma leukemię, i choć nie wiedziała, co to jest, wiedziała, że dziewczynka umrze. W swoim zamroczeniu widziała to w oczach rodziców, gdy odwracali się plecami do dziecka. Z tak wielu względów Nete zazdrościła małej. Uwolnić się od niedoli tego świata w otoczeniu kochających ludzi, czy to nie łaska?

I jeszcze ten mężczyzna, który przychodził, by ulżyć jej w ostatnim czasie, czytając jej albo pomagając czytać samodzielnie.

I Nete zamknęła oczy, słuchając, jak jego spokojny głos wspiera cienki, wysoki głosik w formowaniu sylab, słów i zdań tak, by miały sens, w takim tempie, że nawet Nete w swoim stanie otępienia potrafiła nadążyć.

A gdy skończyli historyjkę, mężczyzna powiedział, że przyjdzie do niej poczytać następnego dnia.

Mijając Nete, uśmiechnął się ciepło.

Ten uśmiech chwycił ją za serce i sprawił, że tego samego wieczora troszkę zjadła.

Dwa dni później dziewczynka zmarła, a Nete pojechała z powrotem na Sprogø, jeszcze bardziej milcząca i zamknięta w sobie niż przedtem. Nawet Rita dała jej nocą spokój, ale też miała zupełnie inne wyzwania. Wszystkie je miały.

Bo tą samą łodzią, która przywiozła Nete z powrotem na wyspę, przybyła też Gitte Charles.

Listopad 2010

Leżąc na boku w podwójnym łóżku i patrząc na niemal przezroczyste powieki ukochanej, które nie otworzyły się od trzech dni, Curt Wad miał mnóstwo czasu, by kląć wydarzenia ostatnich dni.

Wszystko się waliło. Środki bezpieczeństwa, których zadaniem było zlikwidować przeszkody, stały się przyczyną fatalnych błędów, a ludzie, którzy przedtem milczeli, zaczęli mówić.

Czuł się zupełnie tak, jakby nowe tryumfy Czystych Linii zostały przyćmione przez niepowodzenia, które jak głodne psy zasadzały się na niego i na sens jego życia.

Dlaczego nie udało im się powstrzymać tych dwóch policjantów? To się po prostu musiało udać. Mikael, Lønberg i Caspersen przyrzekli, że zrobią co w ich mocy, a okazało się, że to za mało.

Przez twarz Beate przeszedł skurcz, ledwie zauważalny, a jednak Curt drgnął.

Spojrzał na swoją sękatą dłoń gładzącą ją po policzku i dziwnie się poczuł. Ręka jakby stapiała się w jedno z jej skórą. Czyli proces starzenia w jej przypadku wcale nie był bardziej zaawansowany niż w jego. Ale za parę godzin ona umrze, a on nie. Do tej różnicy będzie musiał się odnieść, jeśli chciał żyć. A teraz czuł, że nie chce. Tyle że będzie musiał. Są zadania do rozwiązania, ale kiedy się z nimi upora, to na pewno trzeba będzie poszukać takiego nagrobka, na którym kamieniarz wygraweruje dwa imiona jednocześnie.

Usłyszał natarczywy dźwięk i spojrzał na szafkę nocną. Dzwonił jego iPhone, a nie bezpieczny numer, z którego obecnie korzystał. Wychylił się, wziął go i otworzył wiadomość, która nadeszła.

Był to link od Herberta Sønderskova.

„Czyli jednak wykonał zadanie, to dobrze” – pomyślał Curt. Osoba, która za dużo miała ozorem, wypadła z obiegu. Tak powinno być.

Kliknął w link i odczekał chwilę, aż na ekranie pojawiło się zdjęcie. Poderwał

się, widząc jego zdradziecką zawartość.

Na zdjęciu uśmiechnięty Herbert i równie uśmiechnięta Mie machali do niego na tle okazałego, bujnego krajobrazu. Nad zdjęciem widniał krótki tekst: „Nigdy nas nie znajdziesz”.

Skopiowawszy plik na laptop, otworzył zdjęcie i powiększył je tak, że wypełniało cały ekran. Zrobiono je przed zaledwie trzema minutami, a niebo nad nimi było zupełnie czerwone od zachodzącego słońca. Za ich plecami widać było palmy, a jeszcze dalej z tyłu ciemnoskórych ludzi i bezkresny, błękitny ocean.

Następnie otworzył w iPhone aplikacji Planets i wybrał „Globe”, gdzie podana była aktualna pozycja słońca nad kulą ziemską. Jedyńm tropikalnym miejscem na ziemi, gdzie słońce zachodziło przed dziesięcioma minutami, był południowy kraniec Madagaskaru. Resztę świata na osi zachodu słońca stanowił otwarty ocean, bliskowschodnie pustynie i miejsca o klimacie umiarkowanym na terenie dawnego imperium sowieckiego.

Jako że tych dwoje stało tyłem do zachodu słońca, musieli się znajdować w zachodniej części wyspy. Dużej wyspy, rzecz jasna, ale nie na tyle dużej, by mogła stać się oazą zapomnienia. Gdyby wysłał Mikaela na tę południową wyspę, prosząc, by wypytywał o dwójkę starszych Skandynawów o siwych włosach, dopadłby ich w okamgnieniu. Trochę pieniędzy tu i tam zawsze się przydaje, a w wielkim morzu pływają rekiny potrafiące zacierać ślady.

To była pierwsza dobra wiadomość tego dnia.

Uśmiechnął się, czując jeszcze raz, jak wracają mu siły. „Nie ma nic bardziej destrukcyjnego niż decyzje podjęte bez przekonania i niemożność działania” – mawiał zawsze jego ojciec. To był mądry człowiek.

Odchylił w tył swoje sztywne ciało, by wyrzeć na drogę i młodych aspirantów policyjnych odgrywających scenki naprzeciwko pod drzewami na Lindehjørnet. Z niezadowoleniem stwierdził, że część adeptów, przeprowadzających sfingowane zatrzymania fikcyjnych przestępców, ma brązową skórę. Wtedy rozdzwoniła się leżąca na stole nokia.

– Mówi Mikael. Ja i jeden z naszych pomocników, którego nazwiska nie musisz znać, zaobserwowaliśmy siedem minut temu, że Hafez el-Assad opuścił Komendę Główną i właśnie schodzi po schodach na perony Dworca Głównego z mostu Tietgensbro. Co mamy robić?

Co mają robić? Czy to nie oczywiste?

– Śledźcie go. Jeśli macie możliwość schwytać go niepostrzeżenie, zróbcie to, a potem się go pozbadźcie. Zostaw włączony telefon, bym był na bieżąco, dobrze? I dopilnuj, żeby pod żadnym pozorem was nie zauważył.

– We dwóch sobie poradzimy. Zachowamy od gościa odległość, spokojnie.

Curt się uśmiechnął. Druga dobra wiadomość tego dnia. Może wszystko się jednak odwróci.

Położył się z powrotem w łóżku obok umierającego ciała, z nokią przyciśniętą uchem do poduszki. Dwa skrajne i zupełnie różne światy zderzały się ze sobą. Śmierć i życie w pigułce.

Leżąc od kilku minut i czując, że oddech Beate niemal ustał, usłyszał w komórce szept.

– Jesteśmy w kolejce jadącej w stronę Tåstrup. Może doprowadzi nas do swojego właściwego miejsca zamieszkania. Siedzimy na obu końcach wagonu, blisko drzwi, więc gwarantuję ci, że się nam nie wymknie.

Curt go pochwalił, obrócił się do Beate i dotknął palcami jej szyi. Wciąż był puls, ale słaby i kapryśny, jak sama śmierć.

Zamknął na chwilę oczy i zdrzemnął się, wspominając piękne różane policzki i śmiech potrafiący odegnać wszystkie zmartwienia. „Trudno uwierzyć, że można być aż tak młodym” – pomyślał.

– JUŻ! – rozległo się nagle w komórce. Curt obudził się gwałtownie. – Wsiadł na stacji Brøndbyøster. Jestem przekonany, że wybiera się do ciebie.

Upłynęło aż tyle czasu? Otrząsnął się z odrętwienia i uniósł do połowy w łóżku, trzymając komórkę przy uchu.

– Zachowajcie odległość, sam go tutaj przyjmę. Ale musicie być dyskretni, bo chłopcy ze Szkoły Policyjnej mają naprzeciwko ćwiczenia. Latają tam, bawiąc się w policjantów i złodziei.

Curt się uśmiechnął. To będzie gorące przywitanie.

Chciał powiedzieć Beate, że musi mieć więcej cierpliwości, bo przez chwilę go nie będzie, gdy dostrzegł, że ma otwarte oczy i głowę odchyloną do tyłu.

Na parę sekund wstrzymał oddech i potem chwycił go łapczywie, patrząc na ukochane, zmatowiałe i martwe oczy. Patrzyły w bok, tam, gdzie leżał, jakby w ostatnim momencie szukały kontaktu. A on to przespał, to straszne. Nie było go

z nią, gdy tego potrzebowała.

Początkowo czuł słabe pulsowanie w brzuchu, które rozprzestrzeniało się na resztę ciała w niekontrolowanym tempie, aż dotarło do klatki piersiowej niczym spazm; z jego ust wydobyły się gardłowe dźwięki. Twarz wykrzywiła się tak, że graniczyło to z bólem, a jego szlochaniu towarzyszyło przeciągłe, prawie niesłyszalne wycie.

Siedział tak przez kilka minut, trzymając ją za rękę. Potem zamknął jej oczy i wstał, nie oglądając się za siebie.

W pomieszczeniu przy jadalni odszukał kij bejsbolowy swoich synów, mocno sfatygowany tysiącami uderzeń piłek tenisowych. Zważył go w ręce i uznał, że jest wystarczająco ciężki, po czym wyszedł na podwórze i ustawił się na czatach za węglem budynku gospodarczego.

Dobiegały go głośne krzyki i wesołe komentarze z ulicy, gdzie aspiranci dawali upust swoim marzeniom o oddzielaniu ziarna od plew. Curt też się za to zabierał. Jeśli mu się uda, uderzy Hafeza el-Assada prosto w kark i szybko zaciągnie ciało w bezpieczne miejsce do domu. Kiedy pojawią się pozostali, pomogą mu zawlec zwłoki do skrytki, gdy ucichną ćwiczenia na ulicy i zapadnie zmrok.

Wtedy zabrzęczała komórka w jego kieszeni.

– Tak – odebrał szeptem. – Gdzie jesteście?

– Stoimy na rozwidleniu między Vester Gade i Brøndbyøstervej. On zniknął.

Curt zmarszczył brwi.

– Co?

– Czmychnął między rząd czerwonych szeregowców i już go nie było.

– Chodźcie tu szybko, niech każdy idzie osobno.

Wyłączył komórkę, rozglądając się. Znajdował się w bezpiecznym narożniku podwórza z murem wysokości człowieka za plecami, wychodzącym na Tværgaden. Facet mógł przyjść tylko jedną drogą, czyli po podjeździe wzdłuż budynku gospodarczego. Jest gotowy.

Nie minęło pięć minut, gdy usłyszał ostrożne kroki na podjeździe. Ostrożne kroki, które zbliżały się do niego. Badawcze kroki, stawiane na płytkach i zbliżające się metr po metrze.

Ścisnął mocniej kij i wcisnął się głębiej do narożnika. Powoli wciągnął powietrze i powstrzymał je, czekając, aż pojawi się głowa.

Na ułamek sekundy przed zadaniem ciosu osobnik się cofnął.

– Curt, to ja – powiedział głos nienależący do Araba.

Następnie postać pokazała się w pełni. Był to jeden z ich pomocników. Mikael korzystał z jego pomocy raz na jakiś czas przy większych zadaniach.

– Dureń – syknął Curt. – Idź stąd, spłoszysz go. Wynocha na ulicę i dopilnuj, żeby cię nie zobaczył.

Stał przez chwilę z walącym sercem, przeklinając idiotów, którymi, jak widać, się otacza. „Chodź tu, mały, głupi Arabie” – myślał, podczas gdy policyjne ćwiczenia po drugiej stronie ulicy cichły. „Miejmy to już za sobą”.

Nie zdążył nawet dokończyć tej myśli, bo usłyszał uderzenie w mur za swoimi plecami, a potem kątem oka zobaczył ręce przerzucane przez jego krawędź.

Nim się dobrze obrócił, mężczyzna zdążył przeskoczyć. Jak kot wylądował przed Curtem w skulonej pozycji i patrzył na niego oczami osoby, która dopięła swego.

– Musimy porozmawiać – rzucił Arab, a Curt uniósł kij bejsbolowy i zamachnął się w kierunku jego głowy.

Tamten przeturlał się na bok, podparł się jedną ręką, uniósł do pozycji stojącej i kiedy cios padł i kij z głuchym odgłosem uderzył w płytki, mężczyzna doskoczył do niego i chwycił Curta mocno za tułów.

– Wchodzimy do środka, jasne? – wyszeptał. – Za dużo tu hien.

Wzmocnił uścisk, aż Curtowi zabrakło tchu. „Pomocy!” – chciał wrzasnąć, ale nie starczyło mu powietrza.

Arab przeciągnął go szybko po podjeździe na trawnik przy tylnych drzwiach. Jeszcze parę sekund, a udałoby mu się, ale odgłos pospiesznych kroków na podjeździe i postać Mikaela, który nagle przed nimi wyrósł, sprawiły, że jego napastnik ścisnął tak mocno, że Curt prawie stracił przytomność. Ale za chwilę go puścił.

Curt leżał przez chwilę z głową w trawie, słysząc za sobą kotłowanie, uderzenia i przekleństwa w dwóch różnych językach.

Z trudem dźwignął się i powłókł w kierunku drzwi garażowych, gdzie wciąż leżał kij bejsbolowy.

Gdy go podniósł, Arab znów przed nim stał.

Curt spojrzał instynktownie na trawnik, na nieprzytomnego Mikaela. „Kim,

u licha ciężkiego, jest stojący przed nim człowiek?”

– Rzuć to – rozkazał ten Hafez el-Assad tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Dźwięk ciężkiego kawałka drewna upadającego na płytki dobrze oddawał uczucie, jakie ogarnęło Curta.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał.

– Znam takich jak ty lepiej, niż sądzisz, nie wymkniesz się – powiedział mężczyzna. – Chcę się dowiedzieć wszystkiego o twojej działalności i jestem przekonany, że masz w domu wszystko, czego potrzebujemy, ty morderco.

Chwycił go mocno za przegub i pociągnął za sobą.

Gdy dotarli do tylnych drzwi, nagle ktoś zamachnął się ze świstem, uderzając Araba w bok głowy; rozległ się brzydki dźwięk i jego ciało się osunęło.

– I już – powiedział głos za jego plecami. Był to pomocnik Mikaela. – Daleko nie zaszedł.

W niedługim czasie od telefonu, który Curt wykonał do swego następcy w gabinecie lekarskim, na parterze rozległ się chrobot zamka.

– Dziękuję, że tak szybko przyszedłeś, Karl-Johan – rzekł, prowadząc go do sypialni.

Karl-Johan Henriksen zrobił, co do niego należało, po czym zdjął stetoskop i spojrzał na niego z powagą.

– Bardzo mi przykro, Curt – powiedział. – Niech spoczywa w pokoju.

Drżącymi rękoma wypisał akt zgonu, sprawiając wrażenie bardziej poruszonego niż owdowiały mężczyzna.

– Co mam teraz robić, Curt?

– Mam umowę z jednym z naszych sponsorów, doskonałym przedsiębiorcą pogrzebowym z Karslunde. Właśnie z nim rozmawiałem; wybieram się do niego wieczorem. Jutro idę do pastora. Beate spocznie w starej części cmentarza, tuż przy kościele Brøndbyøster Kirke.

Curt odebrał akt zgonu oraz uścisk dłoni i kondolencje od Karla-Johana Henriksena.

I tak ten długi, trwający wieczność rozdział dobiegł końca.

Cóż za burzliwy dzień.

Zajrzał do żony i stwierdził, że ciało zaczęło już stygnąć. Jakież ulotne jest życie.

Doprowadziwszy do porządku i Beate, i sypialnię, wziął kluczyki do samochodu

i wyszedł do budynku gospodarczego. Otworzył skrytkę i skonstatował, że w śniadym ciele, leżącym na betonowej podłodze, wciąż tli się życie.

– Baw się dobrze, głupi Arabie. Jeśli po moim powrocie od przedsiębiorcy pogrzebowego będziesz jeszcze żył, trzeba ci będzie trochę pomóc.

Wrzesień 1987

Plany Gitte krystalizowały się, w miarę jak zbliżała się do Kopenhagi.

Dziesięć milionów to dużo pieniędzy, ale Nete miała wiele, wiele więcej, a kiedy ma się tylko pięćdziesiąt trzy lata, jak Gitte, to dziesięć milionów nie wystarczy do końca życia. Nie z jej podejściem do pieniędzy i marzeniami. Jeśli będzie na siebie uważać i przestanie tyle pić, to może przecież pożyć jeszcze z trzydzieści, czterdzieści lat, a nie trzeba szczególnych umiejętności w rachunkach, by zrozumieć, że dziesięć milionów to za mało na tak długi okres.

Dlatego plan był taki, że Gitte spróbuje przejąć kontrolę nad wszystkim, co Nete posiada. Nie znała jeszcze środków i sposobu, to będzie zależało do sytuacji. Najlepiej by było, gdyby Nete wciąż była podatna na manipulację. Ale jeśli rzeczywiście jest chora, jak sama sugerowała, to trzeba zawczasu stać się dla niej kimś nieodzownym. Już ona weźmie się za cały ten bajzel z testamentem i podpisami.

A jeśli okaże się, że Nete jest z nią nie po drodze, można się przecież uciec do brutalniejszych środków. Gitte się do tego nie paliła, ale na pewno niczego nie można wykluczyć. Już wcześniej wyprawiała nieuleczalnie chorych ludzi na tamten świat szybciej, niż los to sobie umyślił.

To Rita Nielsen odkryła jako pierwsza słabość Gitte do kobiet. Potrafiła tak zawrócić Gitte w głowie tymi swoimi miękkimi ustami i modną grzywką, że tej zasychało w ustach. Było to oczywiście zakazane, ale jeśli miało się na sobie wilgotną, obcisłą koszulę, a w mocy Gitte leżało, czy wyśle ją do pracy na bagnach, czy nie, to przecież Gitte ustalała reguły.

Dlatego fantastycznie się złożyło, że Rita Nielsen była chętna. Że to miękkie ciało szukało zaspokojenia i że Gitte mogła mu je dać.

Przez długi czas wszystko było w porządku, dopóki Rita się dostosowywała, ale gdy któregoś wieczora wstała, zasłaniając bluzką piersi, dobre czasy się skończyły.

– Muszę się stąd wydostać, a ty musisz mi w tym pomóc – oznajmiła. – Powiedz dyrektorce, że się poprawiłam i że rekomendujesz, by mnie stąd wypuścili, zrozumiano?

Gitte nie nawykła do takiego tonu płynącego z ust dziewcząt ze Sprogø i nie zamierzała go tolerować. Kiedy Gitte używała swego ostrego języka, dziewczęta rozpięzchały się we wszystkie strony i tak miało pozostać. Podziwiała ją i bały się jej jak kata, którym we właściwych chwilach potrafiła być.

Nikt nie wysyłał tylu dziewczyn do pokojów do refleksji co Gitte. Nikt nie robił takiego rabanu jak ona, kiedy któraś z dziewcząt była zbyt arogancka. Pozostałe pracowniczki uważały, że tak powinno być i podziwiała ją, bo przecież była pielęgniarką i dobrze wyglądała.

Gitte zastanawiała się przez chwilę, czy nie uderzyć Rity za jej bezczelność, ale za długo się wahała i to ona dostała siarczysty policzek, od którego straciła oddech i upadła do tyłu. Jak ta prosta dziewczucha śmie podnosić na nią rękę?

– Doskonale wiesz, że mogę cię zniszczyć. Mogę opisać każdy szczegół twojego ciała i zamierzam to zrobić w obecności dyrektorki, jeśli mi nie pomożesz – mówiła Rita spokojnie, siadając na niej okrakiem. – Kiedy powiem dyrektorce, jak mnie zmuszasz, bym cię obmacywała, to z samego opisu twojego ciała zorientuje się, że nie kłamię. I dlatego odeślesz mnie z powrotem na ląd. Wiem, że to lekarze decydują, ale na pewno dasz radę.

Śledząc wzrokiem gęsi nad czubkami drzew, Gitte skinęła nieznacznie głową.

Rita na pewno trafi na stały ląd, ale dopiero wtedy, gdy Gitte się spodoba. Ani chwili wcześniej.

Kolejnego poranka Gitte uszczypnęła się mocno w policzki i załomotała do drzwi dyrektorki, po czym wtargnęła do środka, przywitana spojrzeniem tyleż przestraszonym, co zaskoczonym.

– Dobry Boże, Gitte Charles! Co się stało?

Gitte wstrzymała oddech i obróciła się nieco, by dyrektorka mogła dojrzeć, że nie dość, że jej biały fartuch jest podarty, to jeszcze nie ma pod spodem majtek.

Docisnęła struny głosowe tak, by drżały i ze wstydem spojrzała w podłogę, opowiadając o ataku i swojej bezskutecznej obronie.

– Dlatego rekomendowałabym, by Ritę Nielsen umieścić w karczerze na dziesięć dni i poza tym pozbawić ją wszystkich przywilejów – zakończyła, a po tańcu

palców dyrektorki i jej przerażonym spojrzeniu poznała, że jej prośba zostanie spełniona.

– A po odbyciu kary musimy się zastanowić, czy nie poddać jej sterylizacji i następnie stąd usunąć. Jej fiksacja na punkcie popędu seksualnego jest ogromna. Jeśli tego nie zrobimy, na pewno może w przyszłości być dla społeczeństwa niemałym obciążeniem.

Palce dyrektorki się wygięły, ale jej wzrok utkwiony był w pobrudzonej szyi kobiety.

– Oczywiście, Gitte – powiedziała po prostu, wstając.

Rita zrobiła karczemną awanturę, ale jej oskarżenia wobec Gitte zostały odrzucone, a ona sama była zszokowana, że manewr nie tylko się nie powiódł, lecz wręcz obrócił przeciwko niej. Być w tym momencie w skórze Gitte stanowiło czystą przyjemność.

– Oczywiście, że znasz ciało Gitte, tak jak twierdzisz – mówiła dyrektorka. – Przecież sama ją zaatakowałaś. Nie, moja droga. Znam twoją bezduszną i złą naturę i wiem, będziesz próbować odwrócić sytuację, ale mnie nie nabierzesz. Bo czego innego można się spodziewać po dziewczynie o tak miernych zdolnościach umysłowych i odrażającej przeszłości?

Pogłoska o tych wydarzeniach szybko się rozniosła. Zanim zapadła noc, dotarła do stodół, na pola, do kurnika i wszystkich zakątków instytucji. Rita krzyczała i wrzeszczała w celi, i dostała więcej niż jedną strzykawkę, a wiele z koleżanek Gitte, a nawet część dziewcząt, triumfowało.

Wypuszczono ją, ale na krótko, bo Rita była twardą dziewczyną i miała problemy z trzymaniem języka za zębami, więc zaledwie tydzień później znów leżała przypięta w celi i wrzeszczała jak opętana.

– Nete Hermansen jest dobrą dziewczyną, nie powinna dzielić pokoju z tym potworem – powiedziała Gitte dyrektorce. I tak wszystkie rzeczy Rity usunięto, a Nete miała cały pokój dla siebie.

Przez to wszystko spojrzała na Gitte innymi oczami, co ta szybko zauważyła.

Nete sama wystąpiła z inicjatywą. Z naiwnością, nadzieją i absolutną aprobatą Gitte.

Wyznaczono je do przeciągania beczek z węglem z łodzi i jedna z dziewczyn skrzyła nogę, nadwerężając stopę, i wyła niczym pies w zagrodzie dla byków.

Wszystkie się zleciały, wbrew krzykom i biciu personelu, i pośrodku tego rozgardiaszu Nete i Gitte znalazły się nagle blisko siebie.

– Zostałam tu umieszczona omyłkowo – wyszeptała Nete z lśnjącymi oczami. – Nie jestem głupia. Wiem, że wiele innych tutaj też nie jest, ale nie jestem też wulgarną dziewczyną, która się źle prowadzi, jak to się mówi. Czy moja sprawa nie mogłaby zostać rozpatrzona jeszcze raz?

Była wyjątkowo urocza. Pełne usta i ciało tak zwarte i jędrne jak żadnej innej dziewczyny na wyspie. Gitte chciała ją mieć, wiedziała to od dawna, a teraz pojawiła się na to szansa.

Słuchała, kiedy wokół rozlegały się krzyki, i już sam fakt, że ktoś jej słucha, wywołał u dziewczyny łyzy. Gitte ujęła ją więc za rękę i poprowadziła parę kroków dalej, na podwórze. Zadziało cudownie. Przez ciało dziewczyny przeszedł dreszcz, jakby dotyk i uwaga stanowiły klucz do wszystkiego. I Gitte otarła jej łyzy, i w ciszy pociągnęła ją w stronę bagien Stæremosen, kiwając dokładnie w tych momentach, co trzeba.

Było to bardzo niewinne i w ciągu dziesięciu minut dziewczyna zatraciła się w zaufaniu.

– Zrobię co w mojej mocy, ale nie mogę ci niczego obiecać – powiedziała Gitte. Jeszcze nigdy nie widziała tak przekonującego uśmiechu.

Nie było aż tak łatwo, jak Gitte przypuszczała. Pomimo licznych rozmów podczas przechadzek po bagnach Nete nie wykazywała chęci, by się jej oddać.

Pośrednio na ratunek przyszedł Gitte kot żony latarnika, Mickey.

Intensywna rywalizacja dwóch kogutów w kurniku latarnika zakłócała sen jego rodziny przez kilka nocy, a koguty nie dawały się schwytać. Dlatego pomocnik latarnika został wysłany na pola i łąki w celu zebrania podwiędnego szaleju, by uspić cały kurnik jednocześnie za pomocą dymu z ich łodyg, a potem złapać jednego z kogutów i ukręcić mu łeb.

Pojedyncze zioła odrzucono na bok do kałuży, gdzie przez jakiś czas fermentowały, dopóki zapach nie zwabił kota Mickeya, który napił się z tej kałuży wody.

Widzieli, jak miotał się po drzewach z góry na dół, zanim położył się przed zewnętrzną spiżarnią i wyzionął ducha, pokręciwszy się jeszcze wokół własnej osi.

Wszyscy oprócz żony latarnika ubawili się setnie tym wydarzeniem, Gitte zaś

dzięki niemu poznała historię tej rzadkiej rośliny, rosnącej na Sprogø, która zadziwiająco działała na tego, kto ją spożyje.

Zamówiła na ten temat książki z lądu i wkrótce wiedziała na tyle dużo, by móc samej eksperymentować.

Władza nad życiem fascynowała Gitte, o czym przekonała się jedna z pyskatech dziewcząt. Gitte zanurzyła papieros w wyciągu z tego dziadostwa, a potem go wysuszyła. Gdy nadszedł właściwy dzień, podłożyła papieros tak, by dziewczyna przypadkowo znalazła go w kieszeni swojej kraciastej sukienki.

Słyszały, jak wyła i dziwacznie zawodziła za Kopcem, jak nazywały stos kamieni, wyznaczający punkt leżący dokładnie pośrodku między Zelandią i Fionią. Zazwyczaj stała tam, paląc w samotności, ale nie zdziwiły się, gdy nagle zamilkła.

Dziewczyna oczywiście przeżyła, ale już nigdy nie była tą samą pyskatą i twardą osobą. Lęk przed śmiercią zostawił w niej zbyt głębokie ślady.

„Dobrze” – pomyślała Gitte. „Mam czym grozić Nete”.

Grożenie śmiercią i szaleństwem oraz świadomość, do czego właściwie Gitte jej potrzebowała, zszokowały Nete do tego stopnia, że nawet nie potrafiła płakać. Jakby w jej anioła wybawcę wstąpiło całe zło tego świata, a wszystkie marzenia Nete o powrocie do normalnego życia się ulotniły.

Gitte rozumiała jej reakcję i bardzo jej ona odpowiadała. Utrzymywała ją w przekonaniu, że o ile będzie zadowolona Gitte, ta nie ustanie w wysiłkach, by przekonać dyrektorkę do ponownego rozpatrzenia jej sprawy. W ten sposób Nete przez dość długi czas była całkowicie uległa i Gitte musiała przyznać z niechęcią, że uzależniła się od tego układu. To właśnie on czynił znośnym życie w izolacji między zgorzkniałymi, mściwymi i mdłymi kobietami, tak innymi od niej samej. Owszem, ten związek sprawił, że chciała, by nic się nie zmieniło.

Z Nete leżącą u jej boku w wysokiej trawie mogła odciąć się od wszystkiego i odetchnąć swobodnie w tym więzieniu.

Oczywiście to Rita wbiła się między nie jak klin, o czym Gitte przekonała się później.

W dniu, kiedy Ritę ostatecznie wypuszczono z pokoju do refleksji, dyrektorka miała już wątpliwości.

– Jeśli chodzi o sterylizację, muszę się poradzić lekarza – powiedziała. – Na pewno wkrótce przyplynie na wyspę, wtedy zobaczymy – dodała.

Ale wizyty lekarza następowały w tak długich odstępach czasu, że Rita wykorzystwała ten okres na zemstę i otworzyła Nete oczy, mówiąc jej, że tej jej Gitte Charles nie można ufać i że jedynym sposobem jest dla nich ucieczka.

Wtedy wojna rozpoczęła się na dobre.

Listopad 2010

– Dzwoniłam do niego już piętnaście razy, Carl, nie odpowiada. Jestem pewna, że wyłączył komórkę. Ale dlaczego? Przecież nigdy tego nie robi. – Rose była autentycznie zmartwiona. – Ty też jesteś idiotą. Tuż przed jego wyjściem oskarżyłeś go o morderstwo tego Litwina, Verslovasa.

Mørck pokręcił głową.

– Wcale nie, Rose, ale przecież faks ze zdjęciem zwłok aż się prosił o pytania. W takich przypadkach żadne z nas nie może być traktowane ulgowo.

Stała przed nim, podpierając się rękami pod boki.

– Posłuchaj no. Mam gdzieś twoje podejrzenia. Jeśli Assad mówi, że nie ma nic wspólnego z tym, że ten psychopatyczny bydlak Linas Verslovas już nie może babrać się w gównie, to taka jest prawda, nie? Problem polega na tym, że nas naciskasz, Carl, i że nie bierzesz pod uwagę naszych uczuć. Właśnie z tym masz problem.

Fiu, fiu, ale przemowa. Baba umiała wykręcić kota ogonem, co stanowiło jej zaletę podczas śledztwa, ale w przypadku spraw prywatnych było zdecydowanie jej wadą. Mógł sobie darować te oskarżenia.

– Tak, tak, Rose. O ile wiem, ty i Assad doskonale zawiadujecie kwestią nacisków i uczuć we własnym zakresie. Ale wybacz, w tej chwili nie mam czasu na filozofię miłości bliźniego. Muszę iść na górę na opierdziel od Marcusa Jacobsena.

– Całkiem rozbity? I chcesz nowy samochód, powiadasz? – szef Wydziału Zabójstw spojrział na niego z rozpaczą. – Mamy listopad, Carl. Słyszałeś kiedyś o budżecie?

– Tak się składa, Marcus, że za dużo o nim nie słyszałem. Dotacja na Departament Q wynosi w tym roku osiem milionów, zgadza się? Gdzie się, do diaska, podziały te pieniądze?

Marcus Jacobsen zwiesił ramiona.

– Będziemy się znów zreć o pieniądze, Carl? Przecież wiesz, że rozdzielamy je między wszystkie wydziały, prawda?

– Owszem, pieniądze mojego wydziału, a ja dostaję około jednej piątej wszystkiego, czyż nie? Państwo duńskie ma w piwnicy bardzo tani departament, nie uważasz?

– Aha, ale nie dostaniesz nowego samochodu, bo nie mamy na koncie takich pieniędzy. Nie masz pojęcia, ile ostatnio mamy ciężkich spraw.

Na to Carl już nie odpowiedział, bo akurat miał pojęcie. Tyle że nie o tym była mowa.

Marcus wygrzebał kolejną gumę nikotynową i teraz jego usta były już prawie pełne. Świetnie, że udało mu się odstawić fajki, ale ilość gum nikotynowych sprawiła, że w ciągu ostatniej doby, kiedy przeziębienie już mu minęło, zrobił się trochę naspeedowany.

– Wydaje mi się, że w Wydziale Ruchu Drogowego mamy jeszcze peugeota sześćset siedem – rzekł. – Będziesz musiał go dzielić z kilkoma innymi osobami, ale to musi wystarczyć do nowego roku budżetowego, prawda, Carl?

– Nie ma mowy.

Westchnął głęboko.

– Dobrze, w takim razie opowiadaj. Masz pięć minut.

– Pięć minut nie wystarczy.

– Próbuje.

Kwadrans później Marcus o mało nie eksplodował.

– Włamujecie się do Nørviga, kradniecie dokumenty, wkraczacie do domu powszechnie znanego człowieka wbrew jego woli, kiedy jego żona leży na łożu śmierci. Plus co najmniej dwieście innych godnych krytyki rzeczy.

– Leży na łożu śmierci? Tego akurat nie wiemy, czy jego żona faktycznie umiera. Nigdy nie używałeś numeru z pogrzebem swojej nieistniejącej ciotki, kiedy był ci potrzebny dzień wolny?

W tym momencie szefowi Wydziału Zabójstw klajster z gum do żucia niemal wpadł do rozwścieczonego gardła.

– Oczywiście, że nie i mam wielką nadzieję, że ty też tego nie robiłeś za moich rządów. Posłuchaj mnie. Te archiwa muszą natychmiast znaleźć się u mnie. A kiedy wróci Assad, poinformuj go, że może zmiatać z komendy w tym samym

tempie, w którym na nią przybył. I natychmiast zarzucacie tę sprawę! W przeciwnym razie narobicie szkód, których nie będę miał czasu naprawiać.

– Aha. Ale jeśli zarzucimy tę sprawę, to w budżecie na przyszły rok zabraknie ci sześć przecinek osiem miliona.

– A to oznacza?

– Po co w ogóle komu jakiś Departament Q, jeśli zarzucimy sprawę?

– Carl, próbuję tylko powiedzieć, że naprawdę stąpasz po cienkim lodzie. Jeśli spokojnie i, co ważne, zza biurka nie będziesz potrafił zdobyć twardych dowodów na działalność przestępczą Curta Wada i innych wiodących członków Czystych Linii, to trzymaj się od nich z daleka. I jeszcze jedna rzecz. Koniec z bezpośrednimi kontaktami z Curtem Wadem, rozumiano?

Mørck pokiwał głową. A więc to tak. Czy wszystko jest po prostu polityką?

– Zaczęliśmy od rozmowy o samochodzie – uczeplił się.

– Tak, tak, załatwię to. Idź na dół po te archiwa.

Przez całą drogę do sekretariatu Mørck kopał wszystkie listwy przypodłogowe po kolei. Gówniana rozmowa.

– Spokojnie, Carl. – Lis podawała właśnie przez kontuar jakieś papiery facetowi z czarnymi kręconymi włosami, ubranemu w zimową kurtkę policyjną.

Obrócił się do Carla i skinął mu. Znana twarz.

– Samir! – wykrzyknął Carl. Rzeczywiście, to bardzo elegancki nieprzyjaciel Assada. – Jak tam, macie coś do roboty w Rødovre? – spytał. – Czy Antonsen wreszcie poszedł na emeryturę i zabrał do domu wszystkie sprawy?

Zachichotał ze swojego nieudanego wstępu, ale był w tym osamotniony.

– Dziękuję, wszystko u nas w porządku. Mamy tylko trochę roboty papierkowej. – Zważył w ręce plik papierów przed nosem Carla.

– Posłuchaj, Samir, skoro już tu jesteś. Co się właściwie dzieje między tobą a Assadem? I nie mów mi, że nic. Wyjaśnij mi po prostu, o co chodzi. Pomogłoby mi to, rozumiesz.

– Pomogłoby? To chyba dlatego, że sam zrozumiałeś, jaki on jest dysfunkcyjny.

– Dysfunkcyjny? O co ci chodzi? Wcale nie jest, skąd taka myśl?

– Sam go spytaj, to nie moja sprawa. Ale on po prostu przegina i ja mu to powiedziałem. Widocznie sobie z tym nie radzi.

Carl chwycił go za ramię.

– Posłuchaj, Samir. Nie wiem, z czym on sobie radzi, a z czym nie, ale mam dziwne wrażenie, że ty to wiesz, okej? I jeśli ty albo Assad nie wyśpiewacie tego z własnej woli, to może będę musiał to z ciebie wycisnąć, kiedy sytuacja do tego dojrzeje.

– Aha, rozumiem, Mørck. Zawsze możesz próbować.

Wyrwał się i oddalił korytarzem.

Lis spojrzała na Mørcka z mieszaniną współczucia i troski.

– Carl, nie przejmuj się tak tym samochodem. To się da załatwić.

W tym przybytku plotki doprawdy przemieszczały się lotem błyskawicy.

– Wciąż żadnych wieści od Assada?

Rose pokręciła głową. Wyglądała na naprawdę zmartwioną.

– Czemu tak nagle zaczęłaś się niepokoić o Assada, Rose?

– Bo ostatnio parokrotnie widziałam go poruszonego. A wcześniej tak nie bywało.

Carl wiedział, o co jej chodzi. Była bystra.

– Polecono nam zanieść archiwa Nørviga na drugie piętro, Rose.

– Aha. No to chyba powinieneś brać się do roboty.

Carl opuścił nieco głowę, by krążenie krwi zupełnie nie ustało.

– Czemu jesteś taka cięta, Rose?

– Ależ nie powinieneś się tym kłopotać. Przecież nie masz teraz czasu na filozofię miłości bliźniego.

Carl opanowywał się przez parę sekund, po czym spokojnie jej powiedział, że jeśli nie będzie się streszczać z tymi zasranymi teczkami, to poprosi ją, by zmiatała do domu i przysłała w zastępstwie Yrse.

I wcale nie żartował.

Rose zmarszczyła brwi.

– Wiesz co, Carl. Ty masz chyba nierówno pod sufitem.

Słyszał, jak nosi teczki, tymczasem sam wielokrotnie zadzwonił na numer telefonu Assada, przebierając nogami pod stołem. Jasna cholera, że też Assad musiał się z nim przekomarzać o tę zapalniczkę. Jeśli wkrótce nie zapali papierosa, dostanie skurczów w nogach.

– To na razie! – rozległ się nagły okrzyk na korytarzu. Carl obrócił się do drzwi

i zdążył tylko zobaczyć, jak mignęła mu, ubrana w płaszcz i z różową torebką na ramieniu.

I tyle.

Zwija manatki w chwili niedoli? Kurwa! Carl miał ochotę się rozpłakać, myśląc o tym, co nastąpi później. Czyli jutro Rose na bank przyśle swoje alter ego, Yrse. Jak dobrze pójdzie.

Na stole zabręczczała komórka. Dzwoniła Lis.

– Załatwiliśmy sprawę samochodu. Jeśli przejdiesz na parking przy Krajowym Biurze Śledczym, to wyślę kogoś, kto pokaże ci auto i da kluczyki.

Carl skinął głową. Najwyższy, kurde, czas. Teraz pozostało już tylko odnaleźć Assada. Udzieliło mu się zaniepokojenie Rose.

Dwie minuty później znajdował się na parkingu, rozglądając się z dezorientacją. Nie było żadnego auta ani nikogo z kluczykami. Zmarszczył brwi i już miał dzwonić do Lis, gdy na końcu parkingu zamigły światła samochodu.

Carl podszedł bliżej i dostrzegł, że Rose ze swoją fluorescencyjną torbą na kolanach siedzi na siedzeniu pasażera w samochodzie mniejszym niż jego tylna kieszeń. Przełknął z trudnością ślinę, zszokowany choćby intensywnym kolorem, który przypominał mu, że ser pleśniowy, włożony przez niego do lodówki dwa miesiące temu, pewnie nadal tam jest.

– Co to jest, do kurwy nędzy, i co ty w tym robisz, Rose? – zawołał przez drzwi kierowcy.

– To jest ford ka, a ty się wybierasz do Assada, prawda?

Skinął głową. Intuicja tego stworzenia była godna podziwu.

– Chcę jechać z tobą. A to jest samochód, który Marcus Jacobsen wynajął dla ciebie na resztę roku. – W tym momencie z trudem opanowywała się, żeby nie wybuchnąć śmiechem, ale po chwili spoważniała. – Chodź, Carl. Zaraz zrobi się ciemno.

Kłęczeli przed szparą na listy w drzwiach mieszkania na Heimdalsgade, przeszedłszy przez korytarz na zewnątrz budynku. Zgodnie z przewidywaniami Carla w środku nie było ani mebli, ani Assada.

Kiedy Carl był tu ostatnio, zaatakowała go starannie wytatuowana para braci o obcych nazwiskach i bicepsach wielkości orzechów kokosowych. Tym razem musiał zadowolić się zwykłym rwetesem domowych rozrób i krzykami w języku,

który równie dobrze mógł być serbsko-chorwackim, jak i somalijskim. Imprezowa dzielnica.

– Od dość długiego czasu mieszka w domu na Kongevejen, nie pytaj mnie dlaczego – powiedział Carl, ładując się do zaopatrzonego w koła pudełka na kapelusze.

Przez kwadrans jechali, nie mówiąc nic do siebie, po czym stanęli przed bielonym wapnem wiejskim domkiem, który niemal stąpił się ze ścianą lasu. Dokładnie w miejscu, gdzie droga do Bistrup przechodzi w Kongevejen.

– Tutaj go też nie ma, Carl – zauważyła Rose. – Masz właściwy adres?

– W każdym razie ten adres mi podał.

Podobnie jak Rose, spojrzął na dwa nazwiska, duńskie do szpiku kości. Kto nie miał znajomych posiadających jednocześnie dwa domy, którzy gonią w piątkę ze względu na zastój na rynku nieruchomości? Złote czasy, kiedy ministrowie finansów myśleli tyłkiem, a banki wewnętrzną kieszenią, jeszcze zupełnie nie minęły.

Minęło zaledwie dziesięć sekund i w drzwiach stanęła energiczna, ciemnowłosa kobieta, która zapewniła go, że gdyby ktoś imieniem Assad nie miał dachu nad głową, to mogłby sobie przez parę dni przekimać na ich kanapie za dobre słowo i zapłatę. Ale ani ona, ani jej przyjaciółka takiego kogoś nie znają.

Zostali z niczym.

– Nie orientujesz się nawet, gdzie mieszkają twoi podwładni, Carl? – pastwiła się Rose, gdy wsiedli do auta. – Wydawało mi się, że odwoziłeś Assada do domu i w ogóle, a nie sądzę, by akurat w tych sprawach zawiodła cię twoja wrodzona ciekawość.

Carl przełknął zniewagę.

– Aha. A co ty wiesz na temat domowych spraw Assada, mądralo?

Spojrzała przez przednią szybę, błędząc wzrokiem.

– Niewiele. Na początku opowiadał coś o żonie i dwóch córkach, ale to było dawno. Jeśli mam być szczerą, to nie sądzę, by wciąż z nimi mieszkał.

Carl powoli skinął głową, bo też miał takie podejrzenia.

– A co ze znajomymi? Wspominał coś o znajomych? Może mieszka u któregoś z nich.

Pokręciła głową.

– Trudno w to uwierzyć, ale czuję w kościach, że Assad w ogóle nie ma domu.

– Na jakiej podstawie tak twierdzisz? – spytał.

– Mam wrażenie, że ostatnio często sypia na komendzie. Wydaje mi się, że czasami dla pozorów wychodzi nocą na parę godzin, ale nie mamy tu rejestratorów czasu pracy, więc trudno to stwierdzić, prawda?

– A co z ubraniem? Przecież nie chodzi codziennie w tym samym, prawda? Musi gdzieś mieć jakąś bazę, co?

– Można sprawdzić jego szuflady i szafki na komendzie, może tam są. Pranie można załatwić w mieście, a teraz jak sobie o tym myślę, to widywałam go raz na jakiś czas z workami. Po prostu zawsze sądziłam, że taszczy ten swój dziwny kłajster ze sklepu dla imigrantów.

Carl westchnął. Bez względu na to, co taszczył, na niewiele im się to teraz zdało.

– Pewnie wyszedł po prostu, żeby ochłonać. Zobaczysz, na pewno jest już z powrotem na komendzie. Zadzwoń do niego, Rose.

Uniosła brwi ze swoją zwyczajową miną pod tytułem „dlaczego-sam-tego-nie-zrobisz?”, ale jednak go posłuchała.

– Wiedziałeś, że ma pocztę głosową w swoim nowym telefonie, Carl? – spytała z uchem przy komórce.

Pokręcił głową.

– Co mówi?

– Mówi, że załatwia sprawę służbową, ale na pewno wróci przed osiemnastą.

– A która jest teraz?

– Dochodzi dziewiętnasta. Powinien był wrócić godzinę temu.

Carl wyjął swój telefon i wybrał numer do budki wartowniczej na Komendzie Głównej.

Nie, nie widzieli Assada.

„Sprawa służbowa” – nagrał Assad na poczcie głosowej. Dziwne.

Rose przerwała połączenie i otarła twarz.

– Myślisz o tym samym co ja, Carl? Zważywszy na stan, w którym się znajdował, mógł na to wpaść.

Carl siedział przez chwilę, mrugając z powodu świateł samochodowych, mijających ich w pędzie na dość uczęszczanej drodze.

– Tak, tego się właśnie obawiam.

Zaparkowali pigmejski samochodzik na ulicy Tværgade naprzeciwko Szkoły Policyjnej; dwadzieścia pięć metrów dalej, u wylotu tej sielankowej, wiejskiej uliczki znajdował się dom Curta Wada. Z tego, co byli w stanie dostrzec na odległość przez płot z plecionki, spowijała go całkowita ciemność.

– Nie wygląda to obiecująco – stwierdził Carl.

– Sama nie wiem – odparła Rose. – Cieszę się tylko, że jesteśmy uzbrojeni, bo zapaliły mi się wszystkie światełka ostrzegawcze.

Carl poklepał pistolet służbowy.

– Ja osobiście czuję się uzbrojony, ale co ty masz w torbie?

Wskazał na workowatą różową torbę, którą Rose na pewno podwędziła swojej prawdziwej siostrze Yrsie.

Nie odpowiedziała, ale za to zakręciła nią nad głową i cisnęła z hukiem w zielony plastikowy śmietnik, który jeden z mieszkańców uliczki wystawił przed dom.

Gdy dostrzegli rozmiar zniszczeń, które torba poczyniła śmietnikowi – obecnie leżącemu cztery metry głębiej na podjeździe, a śmieci rozsypały się na cztery strony świata – wzięli nogi za pas i jeszcze zanim zapaliło się światło przy drzwiach, wjechali za zabudowanie gospodarcze na rogu.

– Co ty, na Boga, masz w tej torbie, Rose? Głazy? – spytał szeptem przed podjazdem na posesję Curta Wada na Brøndbyøstervej.

– Nic. Tylko dzieła zebrane Szekspira w skórzanej oprawie.

Minutę później Carl po raz drugi tego dnia stał w ogrodzie willi i zaglądał przez okna do pokoju kominkowego Curta Wada. Tym razem jednak z Rose, zachowującą właściwą odległość i błędzącą wzrokiem w mroku.

Musiała dawno nie być w terenie, bo robiła wrażenie niespokojnej, ale też wszędzie panowała ciemność, prawdziwa, głęboka ciemność. Nawet gwiazdy nad wioską udały się na spoczynek.

Carl podszedł bliżej i szarpnął drzwi do ogrodu. Były zamknięte na klucz, ale framuga wyglądała na słabą. „Co w tej sytuacji zrobiłby Assad?” – pomyślał i szarpnął tak mocno, że odrzwia zaskrzypiały.

Wtedy chwycił mocno za klamkę ze stali nierdzewnej, wziął kilka wdechów, zebrał siły, zaparł się stopą o mur i szarpnął tak mocno, że aż strzyknęło mu w ramieniu. W rezultacie stoczył się ze schodków i wylądował w trawie

w towarzystwie klamki. Jasny gwint, ale go to ramię napieprza.

– W porządku – powiedziała Rose, stwierdzając, że wprawdzie drzwi i zamek pozostały nienaruszone, za to szyba w drzwiach pękła nie tylko wzdłuż, ale tysiącrotnie w poprzek.

Podniosła odzianą w obuwie stopę i ostrożnie docisnęła szybę.

Zadziałało. Szyba zniknęła w salonie ze stosunkowo skromnym brzękiem; Carl liczył sekundy w nadziei, że przypuszczenia Assada na temat braku alarmu w domu były uzasadnione. Carl w każdym razie miał średnią ochotę tłumaczyć nocnym stróżom z firmy ochroniarskiej, że alarm sam się włączył, bo szyba nagle sama z siebie wpadła do salonu.

– Dlaczego nie ma alarmu? – wyszeptała Rose. – Przecież w domu jest gabinet lekarski.

– Na pewno jest w samym gabinecie, mówię ci – odparł Carl szeptem.

„Ta akcja jest zupełnie bezsensowna. Po co włamywać się do domu, w którym nie ma Assada?” – pomyślał Carl. Czyżby kobieca intuicja stała się również jego siłą napędową? Czy może odczuwał chęć potraktowania tego bydlaka dawką jego własnego, gorzkiego lekarstwa?

– Co teraz, Carl? – spytała szeptem Rose.

– Chciałbym sprawdzić, co jest na piętrze, bo wydaje mi się, że coś zagadkowego. A nuż pomoże nam to dociec, co zdarzyło się u mnie w domu. Curt Wad dziś przed południem zapodał historię o swojej żonie, która umiera na piętrze. Ale gdyby to rzeczywiście była prawda, czy nie przebywałby teraz w domu? Bo kto zostawia umierającą żonę w ciemnym domu? Nikt. Nie, na pewno ma na górze coś innego, co chce ukryć przed światem. Tak mi podpowiada moja intuicja.

Carl włączył swoją latarkę i oświetlił drogę przez jadalnię i sień, gdzie kwiciasta roleta na drzwiach wejściowych chroniła przed ciekawskimi spojrzeniami. Chwycił za klamkę w drzwiach do gabinetu lekarskiego; było dokładnie tak, jak przypuszczał. Drzwi były nie tylko masywne, ale na bank również zabezpieczone stalowymi płytami i małymi, sprytnymi urządzeniami, gotowymi bić na alarm przy próbie otwarcia przez osoby niepowołane.

Carl spojrzął na wbudowane schody z szafką narożną na półpiętrze. Po obu stronach znajdowały się okrągłe poręcze z drzewa tekowego i szary chodnik, podwinięty na jednym narożniku. Pokonał schody paroma krokami.

Na górze nie było tak reprezentacyjnie jak na parterze. Kilka szaf w zabudowie na długim, ciemnym korytarzu z pokojami po obu stronach, które wyglądały, jakby dopiero co opuściły je dzieci. Na ścianach pod skosami wciąż zdjęcia idoli, tanie kanapy do spania w duże, kwiciaste wzory.

Dostrzegł, że spod drzwi na samym końcu korytarza z szafami sączy się słabe światło. Wyłączył latarkę i ścisnął Rose za ramię.

– Może Curt Wad jest w środku, choć nie sądzę – wyszeptał tak blisko ucha Rose, że dotykał go wargami. – Wtedy na pewno zjawiłby się, kiedy forsowaliśmy drzwi do ogrodu. Choć nigdy nie wiadomo. Może to typ, który czeka w środku ze śrutówką, to do niego podobne. Schowaj się za mną i bądź gotowa paść na ziemię.

– Jeśli to on i nie jest uzbrojony, to jak wyjaśnisz naszą obecność?

– Że otrzymaliśmy zgłoszenie – odparł szeptem, modląc się, żeby później nie musiał powtarzać tego wyjaśnienia przed Marcusem Jacobsenem.

Podkraść się jak najbliżej do drzwi w okleinie koloru drzewa tekowego i na chwilę wstrzymał oddech, zsuwając rękę na pistolet.

„Raz, dwa, trzy” – odliczył sam dla siebie, kopnął w drzwi jedną nogą, obracając się dla bezpieczeństwa do ściany na drugiej.

– Otrzymaliśmy stąd wezwanie, panie Wad – powiedział normalnym głosem, widząc, że światło w pokoju zamigotało, jakby pochodziło z żywego źródła.

Wychylił się ostrożnie, tak że wyjrzał za framugę drzwi, wiedząc dobrze, że to niemądre, i zobaczył drobną postać leżącą na kapie łóżka z białym prześcieradłem zakrywającym dolną część ciała i zasuszonym bukietem w objęciach. Oświetlał ją tylko mały znicz, zapalony przez jej ukochanego.

Rose weszła do środka i w pokoju zapanowała cisza. Śmierć zawsze tak działa.

Stali przez chwilę, patrząc na zmarłą; Rose wydała ciche westchnienie.

– To chyba jej bukiet ślubny, Carl – wyszeptała.

Mørck z trudnością przełknął ślinę.

– Wynośmy się stąd, to, co zrobiliśmy, było zupełnie idiotyczne – powiedział Carl w ogrodzie przy rozbitych drzwiach. Podniósł z ziemi metalową klamkę, wytarł ją gruntownie chusteczką do nosa i wypuścił z rąk. – Mam nadzieję, że za dużo tam nie dotykałaś rękami, zostawiając na wszystkim odciski palców – dodał.

– Czyś ty oszalał, byłam zbyt zajęta myśleniem, że mam zakręcić torbą, gdyby ciebie rozwalili w drobny mak – odparła. Bardzo troskliwie pomyślane. – Podaj mi

latarkę – poprosiła. – Nie znoszę błędzić po omacku.

Zaczęła wymachiwać latarką na wszystkie strony niczym uczeń w poszukiwaniu przygód. Teraz wszyscy w promieniu kilometra nabrali już podejrzeń o dokonującym się właśnie włamaniu. Oby człowiek od zniszczonego śmietnika już nie stał na czatach.

– Kieruj snop światła na ziemię – upomniał Carl.

Tak zrobiła.

I się zatrzymała.

Kałuża krwi na skraju trawnika, na którą zaświeciła, nie była duża, ale jednak tam była. Przesunęła światłem latarki obok i znalazła jeszcze jedną plamę krwi za rogami domu, na samym podjeździe. Małą kałużę, która rozprzestrzeniła się dalej, tworząc ledwie widzialną strużkę z plamek ciągnących się do budynku gospodarczego.

Przeżucie powróciło ze zdwojoną siłą. Coś tu było bardzo niedobrze.

Gdyby tak zobaczyli te ślady, zanim włamali się do domu, wezwaliby posiłki. Ale nie, sprawy musiały się pokomplikować.

Carl zastanowił się przez chwilę.

Choć jednak. Może to nawet i dobrze, że tyle rzeczy wskazuje na to, że coś jest bardzo nie tak. Kto w ogóle powiedział, że to oni się włamali? W każdym razie nie oni sami.

– Zadzwoń na policję w Glostrup, by to zgłosić – oznajmił. – Przyda się nam bardziej sformalizowane podejście do tej sprawy.

– Nie mówieś, że Marcus Jacobsen zabronił ci zbliżać się do Curta Wada? – spytała, przesuwając światłem latarki w tę i z powrotem po wszystkich trojgu drzwiach budynku gospodarczego.

– Owszem.

– Aha, no to dlaczego znajdujesz się koło domu Curta Wada?

– Masz rację, ale i tak zadzwonię. – Wyciągnął telefon z kieszeni. Ludzie z Glostrup ustalą, jaki samochód ma Curt Wad, i co równie ważne, będą mogli błyskawicznie wszcząć poszukiwania. Może jego auto znajduje się gdzieś na drodze, wioząc w bagażniku rannego człowieka. Może nim być Assad. Fantazja Carla w obecnym momencie nie miała granic.

– Zaczekaj – powiedziała Rose. – Patrz!

Zaświeciła latarką na kłódkę na środkowych drzwiach do dawnej stodoły. Zupełnie zwykła kłódka, jakie można kupić w Netto za dziesięć koron, nosiła na mosiężnej płytce dwa ślady, przypominające do złudzenia odciski palców.

Włożyła do ust palec wskazujący i rozpuściła substancję, którą odcisnięto ślady, i polizała palec.

Skinęła głową. Smak krwi.

Carl spojrział jeszcze raz na zamek i wyjął pistolet z kabury. Oczywiście najłatwiej by było wystrzelić pocisk w okucie zamka, ale Carl wybrał inny sposób i walił rękojeścią w zamek, dopóki nie poddały się i palce, i śruby.

Gdy zamek w końcu odpuścił i wypadł, rozległy się rzadkie i pełne uznania brawa Rose.

– Teraz już i tak wszystko jedno – stwierdziła, szukając po omacku kontaktu na ścianie przy drzwiach.

Błysnęło parę razy i chłodne światło jarzeniówki ukazało im pomieszczenie, które mogłoby się znaleźć w każdym budynku gospodarczym w mieście, z którego pochodził Carl. Na jednej ścianie półki z osłonkami na doniczki, sfatygowanymi garnkami i patelniami i mnóstwo cebulek kwiatowych, których nie wsadzono do ziemi ani w tym, ani w zeszłym roku. Po drugiej stronie bucząca zamrażarka, a przed nią metalowa drabina z wiszącymi stopniami, prowadząca przez klapę do pomieszczenia na strychu, gdzie widać było gołą żarówkę elektryczną o mocy najwyżej dwudziestu pięciu watów.

Carl wdrapał się po drabinie i rozejrzał się po wypełnionym po brzegi pomieszczeniu, którego zasadniczy składnik stanowiły obrazy i stare materace, a resztę – ocean plastikowych worków ze starymi ubraniami.

Poświecił po skośnych ścianach pokrytych jutą, myśląc, że musiała to być dobra kryjówka dla mieszkańców domu, którym przyszło spędzać tu swoje młodzińcze lata.

– O Boże, Carl – dobiegło go z dołu od Rose.

Kłapa od zamrażarki była otwarta, a Rose odchyliła od niej głowę tak, że serce Carla zaczęło walić jak młotem.

– Fuj, do diaska. – Skrzywiła się.

„Okej” – pomyślał Carl. Nie powiedziałaaby tak, gdyby leżał w niej Assad.

Carl zszedł i zajrzał do zamrażarki. Znajdowała się w niej biała plastikowa

skrzynka wypełniona przezroczystymi workami z ludzkimi płodami. Doliczył się ośmiu. Małe istoty, z których nigdy nic nie będzie. Nie powiedziała w tej sytuacji „fuj, do diaska”. Targały nim zupełnie inne uczucia.

– Nie znamy okoliczności, Rose.

Pokręciła głową, zaciskając usta. Ta sprawa musiała bardzo mocno ją poruszyć.

– Krew, którą widziałas na zewnątrz, może pochodzić z któregoś z tych worków, Rose. Może ten nowy lekarz upuścił go na podjeździe, podniósł, a potem mogło z niego pocieknąć na płytki. To by tłumaczyło odciski palców. Krew pochodzi z worków.

Pokręciła głową.

– Nie, krew na dworze jest dość świeża, a te płody są zupełnie zamrożone – powiedziała wskazując skrzynkę. – Widzisz, żeby któryś worek był przedziurawiony?

Celna uwaga. Jakoś wolniej dziś kojarzył.

– Posłuchaj, nie wyjaśnimy tego bez pomocy – rzekł. – Z mojego punktu widzenia mamy tylko dwie opcje. Albo stąd zmiatamy, póki na to czas, albo też dzwoniemy na policję w Glostrup i zgłaszamy im nasze podejrzenia, co uważam za właściwe rozwiązanie. No i w końcu powinniśmy zadzwonić jeszcze raz na numer telefonu Assada na komendzie – dodał. – Może już wrócił. – Kiwnął głową sam do siebie. – Może jego komórka już jest naładowana.

Wyjął swój telefon, podczas gdy Rose stała, kręcąc głową.

– Czujesz, że tu śmierdzi spalenizną? – spytała.

Carl nic nie czuł; ponownie dodzwonił się na pocztę głosową Assada.

– Popatrz. – Rose wskazała na sufit.

Carl wybrał numer komórki Assada i spojrzał w górę. Czy to była smuga dymu, czy po prostu kurz wirujący w słabym świetle?

Zobaczył, jak tylna partia ciała Rose tańczy, pnąc się po drabinie, podczas gdy operator komórkowy poinformował, że z abonentem nie można nawiązać kontaktu.

– Dymi się! – krzyknęła z góry – i to od ciebie z dołu.

Błyskawicznie znalazła się na dole.

– Pomieszczenie na górze jest głębsze niż to tutaj, mimo skośnych ścian. Dym unosi się skądś tam. – Wskazała ścianę szczytową.

Carl widział, że ściana składała się jakby z dwóch płyt, prawdopodobnie

gipsowych.

„Jeśli za nimi jest jakieś pomieszczenie, to raczej nie da się do niego stąd wejść” – pomyślał, dostrzegając po chwili dym wydobywający się spomiędzy płyt.

Rose dopadła do ściany i zastukała.

– Posłuchaj! Jedna płyta wydaje się solidna, ale ta druga rezonuje – powiedziała. – Jakby była z metalu. Daję słowo, że to drzwi przesuwne, Carl.

Skinął głową i rozejrzał się wokół. Jeśli drzwi nie uruchamia się za pomocą pilota, gdzieś w tym pomieszczeniu musi znajdować się coś, czym można je otworzyć.

– Czego szukamy? – spytała Rose.

– Kontaktów, wihajstrów na ścianie, które nie wyglądają standardowo, przewodów albo śladów po nich – odparł Carl, czując nagle narastającą panikę.

– Takich jak to! – zawołała Rose, wskazując ścianę nad zamrażarką.

Carl, przeczesawszy wzrokiem ścianę od końca do końca, dostrzegł to, o czym mówiła. Miała rację. Na ścianie widniała linia sugerująca, że dawno temu w tym miejscu dokonano jej naprawy.

Powędrował wzrokiem wzdłuż linii aż do mosiężnego okucia wiszącego na ścianie nad zamrażarką; na pewno pochodziło ze statku lub jakiejś większej maszyny.

Uniósł okucie z gwoźdźca i znalazł pod nim małą stalową klapkę, którą otworzył.

– Cholera jasna! – krzyknął, kiedy dym, wydobywający się spomiędzy płyt, zgęstniał. W skrzyneczce na ścianie nie krył się wcale kontakt, ale wyświetlacz i przyciski z literami i cyframi. Odgadnięcie kombinacji, która aktywowałaby maszynę i przesunęła drzwi, było zupełnie nierealne.

– Tworząc szyfry, ludzie używają na chybił trafił a to imion dzieci, a to daty urodzin żony, numerów osobistych czy swoich szczęśliwych liczb. Jak, do cholery, mamy to odgadnąć? – jęknął Carl, rozglądając się za czymś, czym można by sforsować ścianę.

Tymczasem Rose uruchomiła swój codzienny, metodyczny tok myślenia.

– Zaczniemy od tego, co pamiętamy, Carl – powiedziała, podchodząc do klawiatury.

– Gówno pamiętam. Facet nazywa się Curt Wad i ma osiemdziesiąt osiem lat. Tyle.

– Okej, rozumiem – odparła.

Zaczęła wpisywać. Czyste Linie – na próżno. Tajemna Walka – też nic.

Wytrwale, choć błyskawicznie wpisywała nazwy kartotek, protokołów, tytuły wycinków o Curcie Wadzie, nad którymi ślęczała przez ostatnie dni. Zapamiętała nawet datę jego urodzin i urodzin jego żony.

Postała przez chwilę, namyślając się, podczas gdy Carl dzielił swoją uwagę między dym wydostający się ze szpary a światła samochodów, omiatające co jakiś czas budynek.

Wtem uniosła powoli głowę w jego stronę, dając mu do zrozumienia, że za poważnymi, pomalowanymi na czarno oczami zaświtał pomysł tyleż logiczny, co prawdopodobny.

Patrzył na jej palce, gdy wpisywała.

H-E-R-M-A-N-S-E-N.

Rozległo się kliknięcie i płyty na ścianie przesunęły się, odkrywając sekretny pokój za potężnymi kłęбами dymu unoszącego się ze środka. W chwili, gdy do pomieszczenia dostał się tlen, buchnął płomień.

– Cholera! – wrzasnął Carl, wrywając Rose latarkę i wskazując do środka.

Zobaczył kolejną zamrażarkę i rząd regałów ze stertami papierów, ale jego wzrok i wszystkie inne zmysły skupiły się na postaci leżącej bez życia na ziemi.

Płomień lizał już nogawki spodni Assada, kiedy Carl go wyciągał, wołając do Rose, by rzuciła na niego swój płaszcz i zduśła ogień.

– O Boże, nie, o Boże, nie, on chyba nie oddycha – krzyczała.

Carl jeszcze raz rzucił okiem do środka pomieszczenia, widząc, że ogień rozbuchał się na tyle, że uratowanie czegokolwiek ze środka stało się niemożliwe.

Ostatnią rzeczą, na jaką zwrócił uwagę, zanim wydostali się z budynku gospodarczego, niosąc między sobą Assada, był fakt, że w małym archiwum nie ostała się prawie żadna powierzchnia, na której nie widniałby wykonany krwią napis „ASSAD TU BYŁ!” i że przy zamrażarce leżała stopiona zapalniczka, do złudzenia przypominająca tę, która zaledwie parę godzin temu spoczywała u Carla na biurku.

Zanim pojawił się lekarz, przybyła karetka i ratownicy wciągnęli Assada ostrożnie i wprawnie na nosze, próbując tchnąć w niego życie za pomocą maski tlenowej.

Rose milczała jak grób. Widać było, że lada chwila może się załamać.

– Powiedźcie, że on z tego wyjdzie – prosił Carl ratowników, walcząc z zalewem uczuć, o których istnieniu nie miał pojęcia.

Uniósł brwi, próbując zapanować nad łzami, ale i tak się pojawiły. „Cholera, Assad, przyjacielu, nie wygłupiaj się”.

– Jeszcze żyje – odrzekł jeden z mężczyzn. – Ale takie zatrucie dymem może być fatalne w skutkach. Sadze mogą spowodować uszkodzenie płuc, musicie się z tym liczyć. A uderzenie w kark też brzydko wygląda. W grę może wchodzić pęknięcie czaszki i pogłębiające się krwotoki wewnętrzne. Znacze go?

Carl bez słowa kiwnął głową. Było mu ciężko, ale to nic w porównaniu z tym, co przeżywała Rose.

– Trzeba mieć nadzieję – powiedział ratownik, podczas gdy strażacy, nawołując się, rozwijali węże gaśnicze.

Carl objął Rose ramionami, czując, że drży na całym ciele.

– Już dobrze, Rose. Assad na pewno z tego wyjdzie. – Sam słyszał, jak fałszywie to zabrzmiało.

Gdy minutę później pojawił się lekarz pogotowia, natychmiast rozerwał koszulę Assada, by szybko ocenić rytm serca oraz głębokość i jakość oddechu. Najwyraźniej coś mu przeszkodziło, bo szarpał się z ciałem Assada, po czym wyciągnął z jego koszuli jakieś papiery i rzucił je na chodnik.

Carl je podniósł.

Jeden stanowił kilka spiętych arkuszy, na których było napisane „Lista członków Tajemnej Walki”.

Napis na drugiej głosił: „Kartoteka 64”.

Wrzesień 1987

Była 17.20 i Nete zdążyła już zrobić sporo rzędków w swojej robótce.

Pod otwartymi na oścież oknami przetaczały się tabuny ludzi w różnych konfiguracjach i wieku, wielu stało przed budynkiem, ale Curta Wada wśród nich nie było.

Próbowała przywołać swoją ostatnią rozmowę z nim. Chwilę, w której się rozłączył i odłożył słuchawkę. Czy nie miała wówczas wrażenia, że wpadł w jej sieć? Owszem, miała, to niestety był błąd. A może jednak?

Może stał gdzieś tam pod osłoną drzew i obserwował, co się dzieje. Czyżby widział, jak do środka wchodzi Philip Nørvig i już nie wychodzi? Czyżby?

Potarła się po karku. Bez Curta Wada nie zazna ani triumfu, ani spokoju. Zaczęła odczuwać napięcie w mięśniach karku. Jeśli zaraz nie weźmie leków, dopadnie ją migrena, a nie miała na to ani czasu, ani siły. Właśnie teraz bardziej niż kiedykolwiek musi być gotowa i jasno myśleć.

W toalecie wyjęła z szafki na lekarstwa buteleczkę z tabletkami i stwierdziła, że została tylko jedna.

„Bogu dzięki, że w bieliźniarce mam zapasową” – pomyślała, wychodząc na korytarz i spoglądając na zamknięte drzwi do jadalni. Czyli musi jeszcze raz wejść do krainy srebrnej zastawy, karafek z wodą, kryształowych kieliszków i wystygłych ciał, które spożyły już swoją ostatnią wieczerzę.

Szybko otworzyła drzwi do szczelnego pokoju i równie szybko je za sobą zamknęła, bo smród, z wina Philipa Nørviga, zrobił się już bardzo zauważalny.

Spojrzała z wyrzutem na jego zwłoki. Zabranie się za niego będzie trudnym zadaniem, kiedy przyjdzie czas na przygotowywanie ciał. „Tak może zresztą być też z nimi wszystkimi” – pomyślała, wyjmując buteleczkę.

Usiadła u szczytu stołu, spoglądając na swoje ofiary.

Nie licząc Tagego, który ciągle leżał na podłodze jak mors wyrzucony na brzeg, wszyscy siedzieli schludnie obok siebie, Rita, Viggo i Philip.

Nalała sobie kieliszek wody, włożyła do ust trzy tabletki, wiedząc dobrze, że to o jedną za dużo, i uniosła kryształowy kieliszek w stronę matowych oczu i zwieszonych głów.

– Na zdrowie, mości państwo – powiedziała, popijając pigułki.

Zaśmiała się ze swego toastu, myśląc o całej tej formalinie, którą będzie musiała wlać w usta swoich milczących gości. To powinno zahamować procesy gnilne.

– Jeszcze dostaniecie swój napitek, ale na razie musicie trochę poczekać. Za chwilę towarzystwo się powiększy. Kilkoro z nich już ją zna, to Gitte Charles. Tak, dobrze słyszeliście. Ta jasnowłosa diablica, która zatrwała życie wielu z nas na piekielnej wyspie. Kiedyś była atrakcyjną osobą, więc miejmy nadzieję, że nadal jest. Nie chcemy przecież, by zaniżała nam tu poziom.

Zaniosła się śmiechem, ale napięcie w karku stłumiło jej wesołość. Podniosła się, dygnęła w stronę gości i pospiesznie wyszła.

Gitte Charles nie może na nią czekać.

Po śniadaniu Rita odciągnęła Nete na stronę.

– Posłuchaj, jak Gitte się tobą znudzi, pójdiesz w odstawkę, a to będzie miało konsekwencje. Widziałaś, co spotkało mnie.

Wyciągnęła ramię, pokazując ślady po wkłuciach. Nete doliczyła się pięciu. To o cztery więcej, niż miała ona sama.

– Moje życie to piekło – ciągnęła Rita, rozglądając się ostrożnie na boki. – Te cholerne wychowawczynie tylko ciągle mnie uciszają i biją, jeśli nie uważam. Czyszczę kible, płuczę zakrwawione podpaski i wylewam popłuczyny na gnojówkę. Przez okrągły dzień najgorsze fuchy, i to z największymi kretynkami. Wychowawczynie, te babsztyłe, są wkurzone i cały czas mi gadają nadęte, że „tego nie można, tamtego nie można i że przecież mi mówiły”. Ale to nieprawda, Nete. Jestem po prostu zaszczuwana, i to przez Gitte. Popatrz. – Rita odwróciła się do niej plecami, poluzowała szelki ogrodniczek, ściągnęła spodnie i pokazała rząd krwawych wybroczyn, ciągnących się w poprzek ud aż do pośladków. – Myślisz, że same się zrobiły?

Obróciła się do Nete z wyciągniętym palcem wskazującym.

– I wiem, że jak następnym razem będzie tu lekarz, to go namówię, by mnie wysterylizowano. Dlatego muszę teraz stąd uciec, a ty ze mną, słyszysz mnie? Jesteś mi potrzebna.

Nete skinęła głową. Jedna rzecz to groźby Gitte Charles, że otruje ją szalejem. Druga – że Gitte była lodowata wobec innych dziewcząt i ryczała ze śmiechu, opisując, jak nimi pomiata i pomimo ich służalczości i tak rekomenduje je do sterylizacji według własnego widzimisię.

Również Nete zaczęła się bać humorów Gitte Charles.

– Jak sobie poradzimy? – spytała Nete.

– Zostaw to mnie.

– A do czego ja ci jestem potrzebna?

– Zdobędziesz dla nas pieniądze.

– Pieniądze? W jaki sposób?

– Ukradniesz Gitte pieniądze, które zaoszczędziła w swoich dawnych miejscach pracy. Przechwalała się tym, kiedy to ja byłam w jej łaskach. Wiem, gdzie je trzyma.

– Gdzie?

– W swoim pokoju, głupia.

– Dlaczego sama tego nie zrobisz?

Rita uśmiechnęła się, pokazując na siebie.

– Co my, dziewczyny w ogrodniczkach, mamy do roboty na korytarzach? – Jej twarz nagle znów spoważniała. – Trzeba to zrobić za dnia, kiedy Gitte będzie nami dyrygowała na dworze. Wiesz, gdzie trzyma klucz, sama mówiłaś.

– Mam to zrobić w ciągu dnia? Nie mogę!

Rita zacisnęła pięść i zbliżyła ją do twarzy Nete. Była blada, mięśnie zuchwy pracowały intensywnie.

– Możesz i po prostu to zrobisz, jeśli życie ci miłe, kapujesz? Trzeba to zrobić teraz. Możemy uciec już dziś wieczorem.

Pokój Gitte mieścił się na pierwszym piętrze nad salą robót ręcznych i Nete przesiadła przez większość przedpołudnia z potem perlącym się nad górną wargą, czekając na moment, by wstać i zniknąć na dwie, trzy minuty. Ale właściwy moment nie nadchodził, bo praca nie była wymagająca, ich nauczycielka siedziała nieruchomo przy oknie, haftując, i w ogóle było zaskakująco spokojnie. Dzień bez kłótni i spraw do załatwienia.

Nete rozejrzała się wkoło. Przecież niesnaski muszą się gdzieś zacząć. Pytanie tylko gdzie i jak.

Wtedy wpadła na pomysł.

Tuż przed nią siedziały dwie dziewczyny, które trudniły się prostytutką na Pisserenden⁹ w Kopenhadze. Nazywano je Bette i Betty, bo ciągle mówiły o Bette Davis i Betty Grable, na cześć podziwianych aktorek z Hollywood. Nete nie miała pojęcia, kim są te cholerne aktorki, bo przede wszystkim nigdy nie była w kinie, a ich gadaniny miała już po dziurki w nosie.

Była też jeszcze inna dziwka, Pia z Aarhus, która siedziała za Nete, tkając. Mniej gadatliwa niż pozostałe, może dlatego, że mówienie słabiej jej szło, należała do nieco starszych prostytutek, które spróbowały już wszystkiego, co można zrobić z mężczyzną. Ona, Bette i Betty miały mnóstwo historii do opowiedzenia o swojej profesji, ale tylko w tych krótkich chwilach, gdy nie było ich nauczycielki prac ręcznych. Były to historie o świerzbie, cenach poszczególnych typów stosunku i innych podobnych usług, o śmierdzących mężczyznach i o tym, co może zdziać kopiać w krocze, kiedy ktoś nie chce płacić.

Nete obejrzała się, a dziwka z Aarhus podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niej. Miała za sobą trzy ciężce; troje dzieci oddano do adopcji tuż po narodzinach i wszystko wskazywało na to, że Pia znajduje się wśród tych, które wkrótce zawiozą do szpitala w Korsør i zoperują. Nete doskonale wiedziała, na czym to polega, dziewczyny nieustannie o tym szeptały. Na wniosek lekarzy i zakładu dla upośledzonych umysłowo ministerstwo polityki społecznej rekomendowało wiele z nich do sterylizacji bez ich wiedzy. Wszystkie miały więc świadomość, że siedzą na tykającej bombie, dziwka Pia z Aarhus też, więc zachowywała się spokojnie, zamknęła w sobie i uciekała w marzenia. Bo wszystkie dziewczyny z wyspy miały swoje marzenia, a większość z nich dotyczyła rodziny i dzieci.

Pia i Nete też.

Nete odwróciła się do niej i zasłaniając usta ręką, wyszeptała:

– Przykro mi, Pio, ale Bette i Betty się wygadały. Słyszałam, jak mówiły nauczycielce, że opowiadałaś, że zarabiałaś sto koron w jedno przedpołudnie, robiąc facetom dobrze ustami, i że znów to będziesz robić, jeśli stąd wyjdiesz. Chciałam cię po prostu ostrzec. Jestem pewna, że Gitte Charles już się o tym dowiedziała. Naprawdę przykro mi to mówić, ale to prawda.

Za Nete zapadła cisza, Pia najwyraźniej przestała tkać i położyła ręce na kolanach. Musiała posiedzieć przez chwilę, by zrozumieć, o co chodzi. Pojąć

konsekwencje, powagę sytuacji i poczuć zawód.

– Mówiły też, że chciałybyś zadźgać Charles nożycami krawieckimi – ciągnęła szeptem Nete. – Zgadza się?

Wyglądało to tak, jakby w dziewczynie nastąpiło spięcie, a sekundę później wstała i zademonstrowała, jak mocny potrafi być chwyt dziwki z Aarhus.

Nete wycofała się i wyszła z sali, podczas gdy nauczycielka wołała o pomoc, a szarpanina między prostytutkami objęła też pozostałe dziewczyny.

Z kuchni i magazynu wybiegli ludzie, ktoś zadzwonił dzwonkiem wiszącym przy gabinecie dyrektorki. W mgnieniu oka spokojny dzień zamienił się w pandemonium ryków, wrzasków i słów, które nigdy nie powinny były paść.

W parę sekund znalazła się przy drzwiach do pokoju i odszukała klucz Gitte na krawędzi framugi.

Nete nigdy nie była w środku, więc teraz zobaczyła, że panuje tu porządek, na ścianach wiszą eleganckie rysunki, a łóżko jest schludnie pościelone. Garść osobistych rzeczy w komódce i para porządnych butów na dłuższe wędrówki, w których Nete nigdy nie widziała Gitte.

Znalazła w nich prawie pięćset koron i obrączkę z wygrawerowanym napisem: „Alistair Charles – Oline Jensen, Thorshavn, 7 sierpnia 1929”.

Obrączkę zostawiła.

Wieczorem zarówno karcery w piwnicy, jak na pierwszym piętrze wypełniły się uczestniczkami sporu ze szwalni.

Był to jeden z tych dni, kiedy podczas kolacji nie padło ani jedno słowo. Żadna z dziewczyn nie chciała się wychylać, bo w głowach wielu strażniczek wciąż żywe były obrazy krwawych wybroczyn, a powietrze, mówiąc oględnie, się iskrzyło.

Rita wpatrywała się w Nete, kręcąc głową. Nie o taki rodzaj zamieszania prosiła.

Wyciągnęła w górę dziesięć palców, a potem oba kciuki, co oznaczało, że akcja rozpoczyna się o północy, cokolwiek wymyśliła, by wydostać się z tego kotła.

Wtedy Nete nie mogła wiedzieć, że Rita zamierza podłożyć ogień pod materac współlokatorki. Normalnie na wyspie na zapalki wyjątkowo uważano, ale Rita nie byłaby Ritą, gdyby nie potrafiła zadowolić się jedną zapalką i strzępką kartonika z siarką, buchniętymi z kuchni. Przez większość dnia leżały sobie bezpiecznie wciśnięte pod jej pełne piersi i zostały użyte dopiero, kiedy skretyniała współlokatorka głęboko zasnęła.

To właśnie współlokatorka podniosła krzyk, gdy w pokoju było aż gęsto od dymu, i wszyscy błyskawicznie zerwali się na nogi, jako że to już się wcześniej zdarzało. Stajnia wielokrotnie stała w płomieniach, a parę lat wcześniej spłonął cały ośrodek. Nawet latarnik i jego pomocnik stawili się w kilka sekund ze zwisającymi szelkami i koszulami wystającymi ze spodni, dyrygując podawaniem wiader z wodą.

Rita i Nete spotkały się za ogródkiem z ziołami, oglądając się na płomień, które wysadziły z hukiem okienko w pokoju Rity, wypuszczając w górę dym, który jak śruba wwiercił się w czyste, rozgwieżdżone niebo.

Zapewne lada chwila podejrzenie padnie na Ritę i rozpoczną się poszukiwania, więc czasu było niewiele.

Zgodnie z przypuszczeniami Nete w „Wolności” czekali marynarze przy blasku lampy naftowej. Nie spodziewała się natomiast, że jednym z nich będzie Viggo i że jej nie pozna.

Spojrzał na nią z tym samym uśmiechem co wtedy, kiedy Nete widziała go ukradkiem, jak stał ze swoim kolegą, przyglądając się, jak trzeci marynarz obsługuje Ritę od tyłu. Uśmiech, który chętnie widziałoby się na ustach ukochanego, ale nie obcego mężczyzny. A teraz był obcy.

Gdy mu powiedziała, że jest dziewczyną z wesołego miasteczka, nawet nie pamiętał tego epizodu. Zaśmiał się tylko i odparł, że skoro już raz się różniły, to z powodzeniem mogą to zrobić znów.

Właśnie wtedy serce Nete pękło na pół.

Tymczasem drugi mężczyzna policzył pieniądze i stwierdził, że jest ich za mało, więc żeby wyrównać rachunek, muszą położyć się na stole i rozłożyć nogi.

Ewidentnie umowa tego nie przewidywała, więc Rita podniosła krzyk i rzuciła się na niego. Prawdopodobnie była to ostatnia rzecz, jaką powinna była zrobić.

– To zostaniesz na wyspie – powiedział, wymierzając jej policzek. – Zjeżdżaj stąd.

Nete spojrzała na Vigga w nadziei, że zaprotestuje, ale nie zareagował. Czyli to nie on podejmował tu decyzje i najwidoczniej mu to odpowiadało.

Rita zmieniła zdanie i podciągnęła sukienkę. Jednak mężczyźni byli zgodni co do jednego. Po co użerać się z tą pyskącą dziwką, którą już wielokrotnie mieli, skoro można mieć nową? Tak właśnie powiedzieli.

– Chodź, Nete, wracamy. Oddajcie nam pieniądze! – zawołała Rita, co sprawiło, że mężczyźni ryknęli gromkim śmiechem i rozdzielili pieniądze między siebie.

Nete była przerażona. Gitte Charles się domyśli, że tylko Nete mogła zabrać te pieniądze. Jak ma wrócić dziś wieczór do ośrodka? To będzie piekło na ziemi.

– Poło... łożę się – wyjąkała, kładąc się na stole, podczas gdy mężczyźni wypchnęli Ritę z domku.

Przez chwilę słyszała przekleństwa i złorzeczenia Rity na zewnątrz, ale potem zapadła cisza i słychać było tylko ciężki oddech obcego mężczyzny.

Kiedy skończył i nadeszła kolej Vigga, Nete pomyślała, że już nigdy w życiu nie będzie potrafiła zapłakać i że życie, które powinno było się kiedyś ułożyć, zostało jej teraz nieodwołalnie odebrane. Nigdy nie przypuszczała, że może istnieć tyle zła i tyle sposobów, by sprawić zawód.

I podczas gdy Viggo się zaspokajał, powiodła wzrokiem po niewielkim pomieszczeniu, żegnając się nie tylko ze Sprogø, ale też z osobą, którą kiedyś była.

W chwili, gdy ciałem Vigga wstrząsały skurcze, a jego kumpel śmiał się w kącie, drzwi się otworzyły i zwróciły się ku niej oskarżycielski palec Rity i świdrujące spojrzenie Gitte Charles.

Mężczyźni zebrali się i czmychnęli, a Nete leżała jak przygwożdżona do stołu z obnażonym krocem.

W tamtej chwili Nete zapałała bezgraniczną nienawiścią do obu kobiet i do Vigga, który nazywał siebie mężczyzną, a był zwykłym bydlakiem.

Listopad 2010

Już na zakręcie przy kościele Brøndbyøster Kirke Curta zdziwiło wielkie zamieszanie. Widział grupki ludzi stojące na środku jezdni i trzęsące się z zimna.

Curt zadrżał, bo stali przed jego domem. Niebieskie, migające światła, krzyki i szum pomp strażackich. Koszmar.

– Jestem właścicielem tego domu, co się stało? – krzyknął, gotów na wszystko.

– Proszę spytać policję, przed chwilą jeszcze tu byli – odkrzyknął strażak, upewniając się, że w morzu popiołów w budynku gospodarczym nie pozostały tłące się resztki. – Jak się nazywał policjant, który tu był, kiedy przyjechaliście? Pamięta pan? – spytał strażaka, który zwijał węże.

– Nie nazywał się Mørck? – Pokręcił głową. Facet widać nie był pewien, ale nie było to wcale konieczne.

Curt usłyszał już wystarczająco dużo. Niedobrze.

– Miał pan naprawdę dużo szczęścia, proszę pana – ciągnął strażak z węzami. – Gdybyśmy przyjechali dwie minuty później, najprawdopodobniej spaliby się i budynek gospodarczy, i dom kryty strzechą po drugiej stronie ulicy. Niestety, w środku znajdował się też ranny mężczyzna. Wyglądał jak Cygan, może to jakiś bezdomny, który wślizgnął się do środka, by się tam przespać. Sądzymy, że to on jest bezpośrednim sprawcą pożaru, ale nie wiemy jeszcze zbyt dużo. W każdym razie palił w tym pomieszczeniu papiery, zapewne po to, by się ogrzać, choć to póki co tylko domysły. Proszę dowiadywać się na policji.

Curt powstrzymał się od reakcji. Nie miał do tego głowy.

Skierował latarkę w kierunku pomieszczenia, gdzie przesuwane drzwi do skrytki odsunięto na bok, a podłogę za nimi pokrywała breja popiołu. Szokujące.

Począł na odjazd strażaków, przebrnął przez popiołową paćkę do skrytki i stwierdził, że nie zostało się absolutnie nic.

Za to na ścianach znajdowały się napisy.

„ASSAD TU BYŁ” – widniało wszędzie.

To sprawiło, że się zachwiał.

– Wszystko przepadło – powiedział do Lønberga, słuchającego go na bezpiecznej linii. – Wszystko. Teczki, wycinki, dokumenty założycielskie, listy członków, kartoteki. Ogień wszystko pochłonął.

– Mam nadzieję, że masz rację – stwierdził Lønberg. – Choć to straszne, mam szczerą nadzieję, że ogień strawił wszystko. Mówisz, że ten Hafez el-Assad jeszcze żył, kiedy go zostawiłeś, ale wiemy w ogóle, kiedy znalazła go policja? Czy jego komórka naprowadziła ich na trop?

– Nie, zabrałem ją i wyłączyłem. Mikael i reszta przeszukują w tej chwili jej pamięć, bo może zawierać informacje, które nam się przydadzą. Ale sama komórka była wyłączona od chwili, kiedyśmy mu ją zabrali. Tak więc nie, nie potrafię ci udzielić odpowiedzi, jak Carl Mørck go znalazł.

– Daj mi dziesięć minut, to sprawdzę sytuację w szpitalu i oddzwonię.

Curt trząsał się ze złości i ze smutku. Gdyby tylko poczekał do jutra z wizytą u przedsiębiorcy pogrzebowego. Gdyby po prostu nigdy nie poznał tego wspaniałego człowieka dzięki pracy na rzecz partii, to wszystko potoczyłoby się inaczej.

Pokręcił głową. Gdyby, gdyby, gdyby. Dlaczego wypili tę dodatkową filiżankę kawy, dlaczego żona przedsiębiorcy tak długo składała kondolencje? Na co się, u licha, zdadzą teraz te pytania? Co się stało, to się nie odstanie.

Teraz chodziło już tylko o to, by trzymać się planu, a ten był dość prosty. Kiedy już pozbędą się Araba, ruszą prosto za jego kumplem. A kiedy i jego zlikwidują, a może się to stać już jutro, wówczas ich człowiek z posterunku City zejdzie do piwnicy Komendy Głównej i zabierze teczkę Nørviga.

Na razie wszystko było pod kontrolą. Bezpośrednie zagrożenie dla partii wkrótce zostanie zażegnane, a przecież o to chodzi.

Pozostał jeszcze jeden szkopuł: w tym wydziale pracowała z nimi kobieta. „Ale ona nie jest zbyt bystra” – stwierdził ich informator z posterunku City, więc tę przeszkodę będzie można łatwo ominąć. A gdyby jednak się mylił, to zarzekał się, że ją skompromitują i wypadnie z gry.

O ile Curtowi było wiadomo, Søren Brandt też nie stanowi już problemu, a w końcu Mikael wybierze się też na Madagaskar i zajmie się Mie Nørvig i Herbertem Sønderkovem.

Potem zostanie już prawdopodobnie tylko jedno zagrożenie: Nete Hermansen.

Jej śmierć musi za wszelką cenę wyglądać naturalnie. Akt zgonu, następnie szybki pochówek – i rozdział zamknięty.

Miał nadzieję, że zamknięty na dobre.

Archiwa Curta spłonęły, koledzy z Tajemnej Walki swoje również zniszczyli, a po rychłej śmierci Carla Mørcka i Hafeza el-Assada dochodzenie policyjne powinno przestać im grozić, bowiem, jak dowiedział się Curt, Departament Q zachowywał swoje sprawy dla siebie. Tak, partia na pewno odzyska spokój, by się uformować, a praca całego życia przyniesie owoce.

Pozostało czekać na raport Lønberga ze szpitala, w którym leży Arab.

Poszedł na piętro i położył się na chwilę obok ukochanej. Jej skóra z wyglądu przypominała śnieg, ale była już od niego zimniejsza.

– Pozwól, że cię ogrzeję, słodka Beate – powiedział, tuląc do siebie zwłoki. Straciły już giętkość. Nastąpiło stężenie pośmiertne i to wtedy, gdy on pił kawę z ludźmi, którzy byli mu obojętni. Jak mógł?

Wtedy zadzwonił telefon.

– Tak, Lønberg. Zlokalizowałeś go?

– Owszem. Leży w szpitalu Hvidovre i nie jest w zbyt dobrym stanie. Właściwie to jest w bardzo złym.

Curt odetchnął z ulgą.

– Kto z nim jest?

– Carl Mørck.

– Aha. Wiesz, czy wyniósł coś ze sobą ze skrytki?

– Wątpię. W każdym razie jeśli już, to nic specjalnego. Kobieta od nas siedzi teraz w poczekalni naprzeciwko Mørcka, spytam ją przez drugi telefon, czy coś wie. Chwileczkę.

Słyszał w tle głos Lønberga, po czym telefon znów zatrzeszczał.

– Trudno powiedzieć, bo nie może się do niego za bardzo zbliżyć. Mówi, że Carl Mørck trzyma coś, co wygląda na listę, ale to mogą być po prostu szpitalne wskazówki dla odwiedzających. Mówi, że trochę to tak wygląda.

– Lista?

– Tak, ale zachowaj spokój, Curt, to pewnie nic takiego. Już po burzy, stary druhu. Ze względów historycznych to oczywiście bardzo irytujące, że przepadły

wszystkie nasze dossier i cała dokumentacja związana z tworzeniem Tajemnej Walki i Czystych Linii, ale skoro nasze kartoteki strawił ogień, to może i dobrze, że twoje archiwa również poszły z dymem. Czy poza tym dobrze się czujesz, Curt?

– Nie. – Wziął głęboki oddech. – Beate nie żyje.

Nastąpiła długa pauza. Curt wiedział, że Lønberg i wielu starszych członków stowarzyszenia mieli słabość do Beate. Nie tylko jako do uzdolnionej organizatorki, która trzymała ich razem, ale też jako kobiety. Była wyjątkowa.

– Cześć jej pamięci – rzekł Lønberg tylko. Widać nie potrafił powiedzieć nic więcej.

Zgodnie z umową z przedsiębiorcą pogrzebowym on i jego pomocnik mieli przyjechać po Beate nazajutrz około dziesiątej, bo jak mówili, dłużej tego nie można odwlekać. Cóż za niefortunny termin.

Curt spojrzał ze smutkiem na żonę. Przedtem postanowił pójść tej nocy w jej ślady. Kiedy przyjechaliby z zakładu pogrzebowego, odkryliby, że będą musieli jeździć dwa razy.

Ale teraz już nie mogło się tak stać.

Najpierw musiał zyskać pewność, że Carl Mørck i Hafez el-Assad pożegnali się z tym światem i że papier, który detektyw w tej chwili czytał w poczekalni, nie był tym, o który Curt najbardziej się obawiał.

Wystukał numer Mikaela.

– Niestety Hafez el-Assad przeżył cios w głowę i podłożył ogień w archiwum, ale najprawdopodobniej nie przeżyje jego skutków. Postaramy się być na bieżąco przez najbliższe godziny dzięki dobrej i lojalnej kobiecie obecnej na miejscu. Pielęgniarsce, która już wielokrotnie nam pomogła i teraz też jest na to gotowa, więc nie sądzę, żebyście musieli się nim zbytnio przejmować. Nie, problemem jest Carl Mørck.

– Okej – rozległo się na drugim końcu.

– Tym razem nie stracie go z oczu ani na sekundę, Mikael. W tej chwili znajduje się w szpitalu Hvidovre i będziecie siedzieć mu na ogonie, rozumiesz? Waszym celem jest usunięcie go z powierzchni ziemi. Przejedźcie go na miazgę, co tam chcecie. Byle szybko.

Listopad 2010

Widząc roztrzęsioną Rose wpatrującą się w trupio bladą twarz Assada przewożonego karetką na OIOM, Carl stwierdził, że całonocne oczekiwanie na wieści o stanie kolegi to będzie dla niej za dużo.

– Jesteś w stanie sama pojechać do domu? – spytał w blasku migającego niebieskiego światła. Podał jej kluczyki do samochodu, myśląc o tym, jakim fatalnym jest kierowcą, ale decyzja już zapadła.

– Dziękuję – powiedziała, przytulając się do niego na krótką, acz przełomową chwilę, po czym pomachała ze smutkiem Assadowi na noszach i poczłapała w kierunku forda ka.

„Całe szczęście, że teraz nie ma zbytniego ruchu” – pomyślał Mørck. Jeśli tej nocy również Rose coś by się stało, on byłby skończony jako policjant.

Może i tak już jest skończony.

Na sali operacyjnej lekarze pracowali niestrudzenie nad Assadem; w końcu medyk o poważnym wyglądzie stanął przed Carlem w poczekalni i poinformował, że na szczęście płuca są w jakim takim stanie, ale ze względu na pęknięcie czaszki i powstałe w jego wyniku krwiaki nie mogą niczego obiecać. Właściwie sprawa jest na tyle poważna, że muszą przenieść go do Szpitala Królewskiego, zostanie przyjęty na Oddział Urazowy, przebadany i prawdopodobnie skierowany na jeszcze jedną operację, a potem na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej.

Carl skinął głową, czując, jak gniew walczy w nim ze smutkiem. Na pewno nie zadzwoni teraz do Rose, by jej to przekazać.

Przycisnął do siebie jedną z kartek, które Assad chował pod koszulą. Curt Wadza to zapłaci. A jeśli nie dopadną go zgodnie z prawem, są też inne sposoby. Było mu wszystko jedno.

– Dopiero usłyszałem o wypadku! – zawołał nagle znany głos gdzieś w głębi korytarza. Marcus Jacobsen pędził do niego ile sił w nogach.

Było to tak smutne i wzruszające zarazem, że Carl musiał otrzeć kąciaki oczu.

– Możemy równie dobrze jechać na komendę, Marcus – powiedział. – Nie mam siły jechać do domu, tyle jest rzeczy do zrobienia.

Marcus Jacobsen spojrział w lusterko wsteczne, poprawiając je.

– Hm, dziwne, że ten samochód tak długo za nami jedzie – mruknął, po czym spojrział na Carla. – Tak, rozumiem cię. Ale bez snu i napitku nie ma bohatera – dodał.

– Okej, więc możesz zacząć od postawienia kieliszka Gammel Dansk, jak już dojedziemy. Sen będzie musiał poczekać.

Zdał szefowi Wydziału Zabójstw relację z tego, co się wydarzyło w ciągu dnia; to było konieczne.

– Zakazałem wam zbliżać się do Curta Wada. I zobacz, co się stało. – Carl skinął głową na tę niepozbowioną racji uwagę. – Ale dobrze, że nie posłuchałeś – dodał szef.

Carl obrócił ku niemu głowę.

– Dzięki, Marcus.

Jego szef starannie dobierał słowa, nim je wypowiedział.

– Muszę porozmawiać z pewnymi ludźmi, zanim będziesz mógł wrócić do tej sprawy.

– Ach tak. Obawiam się, że nie mogę tyle czekać.

– W takim razie niestety będę musiał cię zawiesić.

– Jeśli to zrobisz, tym szumowinom wszystko ujdzie na sucho.

– Co im ujdzie na sucho, Carl? Napad na ciebie? To, co stało się Assadowi? Czy zasady, na których oparli swoją nową partię? I poza tym wszystkie ich dawne przestępstwa?

– To wszystko, tak!

– Coś ci powiem. Jeśli się nie powstrzymasz, dopóki nie omówię sprawy z kilkoma innymi osobami, Curtowi Wadowi i jego ludziom ujdzie na sucho wiele rzeczy, i to zupełnie niepotrzebnie. Czy możemy uzgodnić, że zostajesz w gabinecie, dopóki się z tobą nie skontaktuję?

Carl wzruszył ramionami, żeby nie powiedzieć za dużo.

Zatrzymali się na parkingu i stali przez chwilę każdy sobie przed betonowym budynkiem, patrząc na Komendę Główną i rozmyślając nad wydarzeniami ostatniej

doby.

– Masz papierosa? – spytał szef Wydziału Zabójstw.

Mørck uśmiechnął się przelotnie nad niestałością Marcusa Jacobsena.

– Mam, ale nie mam ognia.

– Chwileczkę – odparł. – Mam zapalniczkę w schowku w samochodzie.

Obrócił się i zdążył odejść parę kroków, kiedy ciemny samochód na wyłączonych światłach, stojący po przekątnej od nich wzdłuż chodnika przy komendzie, nagle dodał gazu i ruszył prosto na nich.

Jeden bok samochodu podrzuciło do góry, gdy uderzył w krawężnik. Dźwięk metalu zazgrzytał Carlowi w uszach, kiedy odskoczył na bok i przeturlał się po chodniku. Wóz przystanął i z piskiem ruszył na wstecznym, aż zgrzytnęła skrzynia biegów i rozniósł się zapach palonej gumy, kiedy koła buksowały po nawierzchni.

Usłyszeli strzał, nie wiedząc, skąd dochodzi. Zdążyli tylko zarejestrować w ułamkach sekundy, że kierunek jazdy samochodu się zmienił, jakby kierowca stracił kontrolę, i że cofając się w poprzek jezdni, wjechał z impetem w zaparkowany wóz jednego z policjantów w cywilu.

Dopiero wtedy dostrzegli funkcjonariusza na motocyklu, pędzącego z Polititorvet z wyciągniętym pistoletem. Dopiero wtedy Carl przekonał się, jak bogaty repertuar przekleństw i złorzeczeń potrafi w jednej chwili paść z ust szefa Wydziału Zabójstw.

Podczas gdy szef działu PR i szef Wydziału Zabójstw trzymali dziennikarzy i ludzi z telewizji w szachu, Carl sprawdził dane zamachowca. Oczywiście nie miał przy sobie papierów, ale pomogła mu szybka rundka wśród kolegów z fotką zabitego mężczyzny, siedzącego w samochodzie z dziurą w szyi. Ludzie z Wydziału C Policji Kryminalnej z drugiego piętra to całkiem zmyślni goście.

– To Ole Christian Schmidt – powiedział jeden z nich bez wahania, a znając nazwisko, Carl mógł przydybać faceta. Były prawicowy aktywista, krzykacz, którego niedawno wypuszczono po dwuipółletnim wyroku za dwa brutalne napady na członkinię zarządu Socjalistów i młodego, zupełnie przypadkowego chłopaka imigranta, idącego sobie po ulicy. Niezbyt bogata kariera przestępcza, ale z pewnością wystarczyła, by obawiać się o dalsze poczynania faceta.

Carl zerknął na TV2 News, które leciały akurat w telewizji.

Marcus Jacobsen i szef działu prasy dobrze radzili sobie z briefingiem na temat

strzelaniny. Ani słowa o toczącym się śledztwie czy o kulisach zajścia. Tylko tyle, że było to nagłe wydarzenie, że mężczyzna prawdopodobnie cierpiał na zaburzenia psychiczne i że dzięki zrządzeniu losu przytomny policjant na motocyklu akurat przejeżdżał obok i uratował życie dwóch detektywów.

Carl skinął głową. Epizod pokazał, że Curt Wad jest już zdesperowany i że na tym nie poprzestanie. Kiedy Marcus wróci do siebie, będą musieli omówić kwestię szybkich aresztowań.

Potem obraz się zmienił i prowadzący program skomentował krótko poczynania Marcusa Jacobsena, wyrażając ubolewanie, że wciąż nie ujawniono nazwisk zabitego i policjanta, który strzelał.

Obraz znów się zmienił, w przeciwieństwie do wyrazu twarzy komentatora.

– Dziś około dziewiątej rano pewien żeglarz przeżył szok, gdy wypłynąwszy z przystani w Havnsø, w połowie drogi do Sejerby natknął się na zwłoki dryfujące po powierzchni wody w pobliżu wyspy Sejerø. Ustalono, że jest to ciało trzydziestoletniego dziennikarza Sørena Brandta, którego bliscy zostali już poinformowani.

Wstrząśnięty Carl odstawił filiżankę z kawą i wlepił wzrok w ekran, gdzie pojawiło się zdjęcie uśmiechniętego Sørena Brandta.

Czy ten koszmar nigdy się nie skończy?

– Znasz Madviga z dawnych czasów, prawda, Carl? – spytał Marcus, prosząc swoich gości, by usiedli.

Mørck skinął głową, podając mężczyźnie rękę. Karl Madvig, jeden z twardzieli z Policyjnych Służb Wywiadowczych. Tak, znał go lepiej niż większość.

– Kopę lat, Mørck – powiedział Madvig.

Nie inaczej. Odkąd on i jego imiennik byli w tej samej drużynie w Szkole Policyjnej, ich drogi się nie przecięły, ale też Madvig był wystarczająco pochłonięty odgrywaniem komety na odizolowanym firmamencie Służb Wywiadowczych. W swoim czasie był całkiem w porządku, ale wieść niosła, że z upływem lat stracił nieco swego wrodzonego uroku. Może to kwestia ciemnego garnituru, w którym ciągle chodził, a może pewność siebie zyskała zbyt dobre warunki rozwoju. Carl miał to gdzieś.

– Cześć, Meduza – rzekł, rozkoszując się tym, że facet drgnął, gdy jego dawne przezwisko wychynęło z mgieł niepamięci. – Czyli doszliśmy do sytuacji, w której

do gry muszą włączyć się służby specjalne. Jakoś mnie to nie zaskakuje. – Spojrzał wymownie na Marcusa.

Szef Wydziału Zabójstw sięgnął po gumę nikotynową.

– Carl, musisz wiedzieć, że Madvig kieruje działaniami służb w kwestiach związanych z założeniem Czystych Linii i ludźmi ze ścisłego kręgu partii, w tym Curtem Wadem. Działania trwają już czwarty rok, więc oczywiście rozumiesz...

– Wszystko rozumiem – powiedział Mørck i zwrócił się do Madviga. – Jestem do twojej dyspozycji, Meduza, dawaj!

Madvig skinął głową i złożył kondolencje z powodu losu jego asystenta. Być może słowo „kondolencje” było jednak nieco chybione, w każdym razie miał wielką nadzieję.

Madvig wyłożył wszystko bardzo otwarcie, bezpośrednio i nawet z zaangażowaniem. Widać było, że ta sprawa pochłania go bez dwóch zdań. Również on w niej grzebał i rozumiał, do czego potrafią być zdolni ludzie za tą pozornie godną szacunku fasadą.

– Przesłuchaliśmy wpływowych członków Czystych Linii oraz licznych członków, których znamy z Tajemnej Walki, tak skrupulatnie, jak się dało, i jesteśmy zaznajomieni z teoriami, o których już poinformowałeś Marcusa Jacobsena. Oczywiście dysponujemy również zeznaniami świadków i dowodami w postaci dokumentów. Zawsze możemy do tego wrócić. Ale te teczki, które... – zrobił w powietrze znak cudzysłowu – „znaleźliście” u Nørviga, a których przeczesanie zajęło nam dobrą, niestety nie wniosły nic, czego nie wiedzielibyśmy już wcześniej. Wszystkie stare sprawy, w których pozywano członków Tajemnej Walki, są oczywiście dostępne w archiwach odpowiednich okręgów policyjnych. Natomiast nie byliśmy świadomi istnienia realnych oznak wykorzystania oddziałów szturmowych Curta Wada do celów bezpośrednio przestępczych. To na swój sposób dobrze, nie ulega bowiem wątpliwości, że opinia publiczna łatwiej zrozumie konieczność powstrzymania tych ludzi i zastopowania tego, za czym się opowiadają.

– Tak – wtrącił się szef Wydziału Zabójstw. – Oczywiście masz prawo czuć się oburzony, że nie wspominałem wcześniej o śledztwie służb, Carl, ale nieodkrywanie kart było konieczne. Wyobraź sobie, jaki byłby skandal, gdyby prasa i opinia publiczna dowiedziały się, że nowa tak zwana demokratyczna partia

polityczna jest podsłuchiwana, śledzona, ba, infiltrowana, i to na ogromną skalę. Widzisz te nagłówki? – Malował hasła w powietrzu: – „Państwo policyjne”, „Prześladowani za przekonania”, „Faszyzm”. Słowa, które nijak się mają zarówno do naszych metod, jak i do właściwego celu dochodzenia.

Carl kiwnął głową.

– Dzięki za zaufanie. Pewnie potrafilibyśmy trzymać język za zębami, ale dość o tym. Wiedzieliście, że zabili też Søren Brandt?

Marcus i Madvig wymienili krótkie spojrzenia.

– Aha, nie wiedzieliście. Søren Brandt był jednym z moich informatorów. Znalaziono go dziś rano w zatoce Sejerøbugten. Zakładam, że wiecie, kim jest?

Madvig i szef Wydziału Zabójstw spojrzeli na niego z identycznymi minami bez wyrazu. Czyli wiedzieli.

– Możecie mieć pewność, że to morderstwo. Brandt obawiał się o swoje życie. Zabunkrował się gdzieś, nawet mnie nie chciał powiedzieć gdzie, ale jak widać i tak mu to nie pomogło.

Madvig spojrział za okno.

– Okej, dziennikarz? Zabili dziennikarza! – Zastanawiał się nad konsekwencjami. – W takim razie mamy za sobą stuprocentowe poparcie prasy. Nikt w naszym kraju nie może ścierpieć, gdy wspomina się o nadużyciach wobec ludzi prasy na Ukrainie czy w Rosji. Wkrótce będziesz mógł to wypuścić – dodał, obracając się do nich z uśmiechem czającym się w kącikach ust. Gdyby temat nie był tak tragiczny, facet pewnie by się klepał po udach z uciechy.

Carl patrzył na niego przez chwilę, zanim zagrał atutową kartą.

– Mam coś, co chętnie wam przekażę, ale w zamian chcę mieć wolne ręce, by dokończyć sprawę, którą prowadzę. Zgodnie z moim przypuszczeniem jej wyjaśnienie przyczyni się do wzmocnienia oskarżenia przeciwko Curtowi Wadowi, jako że wciąż go podejrzewam o udział w kilku sprawach zaginięć. Umowa stoi?

– To naprawdę zależy od tego, co nam zaoferujesz. Nie możemy sobie pozwolić, by twoje polowanie na Curta Wada naraziło na szwank życie twoje i innych. – Marcus Jacobsen uraczył go spojrzeniem mówiącym „Już ja ci dam umowę!”.

Carl położył papiery na biurku.

– Proszę – powiedział. – Oto lista wszystkich członków Tajemnej Walki.

Brwi Madviga się uniosły, wybałuszył oczy. Nawet w najśmielszych marzeniach

nie odważył się podejrzewać, że coś takiego istnieje.

– Tak, powiem wam, że to nie lada gratka. Wielu znanych lekarzy, sporo policjantów, między innymi z posterunku City, pielęgniarki, pracownicy opieki społecznej. Do wyboru, do koloru. Ale najlepsze jeszcze przed wami, bo mamy szczegółowe informacje na temat tych ludzi, łącznie z tymi, których Curt Wad wysyła w teren. Mają nawet oddzielną kolumnę.

Wskazał listę. Z pruską skrupulatnością Curt Wad wpisał nie tylko nazwiska członków i ich współmałżonków, adresy prywatne, miejsca pracy, adresy mailowe, numery ewidencyjne, numery telefonów i faksów, ale również jaką funkcję pełnili w stowarzyszeniu. „Informacja”, „Skierowania”, „Research”, „Interwencje”, „Kremacja”, „Pomoc adwokacka”, „Urzędnik państwowy” – brzmiała garść licznych określeń z listy. Wreszcie na końcu: „Praca terenowa”. Nie trzeba było policjanta, by zrozumieć, co się pod tym kryło.

W każdym razie nie miało to nic wspólnego z wykopkami.

– Pod „Pracą terenową” mamy na przykład nazwisko Olego Christiana Schmidta – powiedział, wskazując je. – Patrzysz pytająco, Marcus. To ten, który dziś rano o mało nas nie ukatrupił.

Widać było gołym okiem, że Madviga aż świerzbi, by wyrwać Carlowi listę. Mørck już sobie wyobrażał, jak wparowuje do gabinetu swojego zespołu, obwieszczając przełom. Ale Mørck jakoś nie podzielał tej nieskrywanej ekscytacji, bo zdobycie tych informacji zostało okupione wielkim kosztem.

Assad właśnie walczył o życie w Szpitalu Królewskim.

– Po numerach ewidencyjnych tych spod „Pracy terenowej” widać, że mieszczą się w zupełnie innej grupie wiekowej niż przykładowo ci wykonujący aborcje – ciągnął. – Nikt z pracujących w terenie nie przekroczył trzydziestki. Proponuję, byśmy tu na komendzie dokonali prewencyjnego aresztowania wszystkich i mocno ich przycisnęli, jeśli mamy poznać ich poczynania w ciągu ostatnich paru dni. Możecie być pewni, że jeśli to zrobimy, próby zamachów i morderstwa od razu się skończą. Wtedy zajmiecie się robotą papierkową tam u was w służbach.

Przycisnął listę członków do siebie.

– Zdobycie tych papierów być może kosztowało życie mojego przyjaciela i kolegi Assada, więc ich nie dostaniecie, jeśli mi nie powiecie, że mamy umowę. Tak to wygląda.

Minęła chwila, podczas której Madvig i szef Wydziału Zabójstw znów wymienili spojrzenia.

– Chyba mogę ci przekazać, że Assad na chwilę odzyskał przytomność, Rose – zameldował Carl przez telefon.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza. Oczywiście taka informacja nie mogła sprawić, że Rose odetchnie.

– Lekarze mówili, że Assad otworzył oczy i się rozejrzał, a potem się uśmiechnął i powiedział: „Czyli mi znaleźli. To dobrze!” – i znów odleciał.

– O Boże – westchnęła Rose. – Myślisz, że z tego wyjdzie?

– Nie wiem, czas pokaże. W międzyczasie chciałbym kontynuować sprawę. Weź sobie wolne, Rose, najwyższy czas. Myślę, że powinnaś sobie wziąć tydzień wolnego za nadgodziny, dobrze ci to zrobi. Wiem, że to były ciężkie dni.

Słyszał, jak jej oddech się pogłębia.

– Zgoda. Ale najpierw musisz się dowiedzieć, że odkryłam pewną niezgodność, Carl.

– Aha. Co to takiego?

– Kartoteka, którą Assad wyniósł z archiwum Curta Wada, wciąż leżała w samochodzie, gdy wracałam do domu. Wzięłam ją ze sobą i dziś rano do niej zajrzałam. Wiesz, kartoteka 64.

– Tak, co z nią?

– Teraz rozumiem, dlaczego Assad uznał, że przed podłożeniem ognia powinien schować ją pod koszulę. Musiał porządnie przeczesać archiwa, skoro był w stanie wybrać właśnie ją i listę członków, którą studiowałeś. Jak to się dobrze złożyło, że buchnął ci tę zapalniczkę. Inaczej nie miałyby w środku światła.

– O co chodzi z tą kartoteką?

– To jest kartoteka lekarska Curta Wada dotycząca dwóch poronień Nete Hermansen.

– Dwóch?

– Tak, kiedy miała piętnaście lat, wezwano lekarza, bo miała krwawienie po upadku na kamienie w potoku. Według lekarza spowodowało to poronienie. A wiesz, kim był ten lekarz? Ojcem Curta Wada.

– Biedna dziewczyna. To rzeczywiście wcześnie. W świetle pojęcia moralności tamtych czasów musiał to być wielki wstyd dla niej i rodziny.

– Możliwe, ale ta sprawa, która mnie zajmuje, to ta sama, którą znamy z teczek Nørviga. Ta, w której Nete Hermansen oskarża Curta Wada o gwałt i przyjęcie pieniędzy za przeprowadzenie u niej nielegalnej aborcji.

– Tego ostatniego raczej nie ma w kartotece.

– Nie, ale jest coś innego, jeszcze ciekawszego.

– Co takiego, Rose? Mów!

– Jest nazwisko faceta, który ją zapłodnił, i od którego się wszystko zaczęło.

– Kto to?

– Viggo Mortensen. Ten, o którym Nete Hermansen twierdziła parę dni temu, że go nie zna.

Wrzesień 1987

Nete dostrzegła Gitte Charles, już kiedy jej sylwetka pojawiła się w sporej odległości od strony budynku Søvillonen. Ten charakterystyczny chód i wymachiwanie rękami przyprawiały Nete o ciarki. Przez ponad trzydzieści lat nie musiała znosić tego widoku, który teraz sprawił, że zacisnęła pięści, rozglądając się po salonie i sprawdzając, czy wszystko gotowe i czy da radę uwinąć się z morderstwem. Lepiej, żeby poszło gładko, bo ból głowy nie zelżał, lecz niczym brzytwa przechodził prosto przez jej mózg, aż zbierało jej się na wymioty.

„Przekłete migreny” – pomyślała. Może złagodnieją, gdy zostawi za sobą wszystko, co raz po raz przypominało jej o życiu, którego ją pozbawiono?

Tak, wystarczy, że wyjedzie na parę miesięcy i wszystko będzie inaczej. Może nawet uda jej się żyć ze świadomością, że Curt Wad nadal chodzi po tym świecie?

„Jak będzie postępował tak jak w tej chwili, prędzej czy później przeszłość go dopadnie i zniszczy” – pomyślała. Musiała trzymać się tej myśli.

W przeciwnym razie nie starczyłoby jej sił, by zabić Gitte.

Gdy od podpalenia i nieudanej próby ucieczki minęły cztery dni, po Nete i Ritę stawiono się kilku policjantów w mundurach. Ani słowa o tym, co je czeka, ale też trudno było mieć wątpliwości. „Podpalaczka, zdeprawowana i idiotka” należały do określeń, które nikomu nie przynosiły korzyści, a Gitte Charles mściła się z zimną krwią. Dlatego Ritę i Nete przewieziono przez wodę i dalej karetką do szpitala w Korsør, przypięte skórzanymi pasami, jakby były więźniarkami wiezionymi na egzekucję. Tak się też czuły, widząc idących w ich stronę pielęgniarzy o owłosionych ramionach i zdecydowanych ruchach. Nete i Rita krzyczały i wierzgały we wszystkie strony, wleczone przez cały oddział aż do części z łózkami. Tam przypięto je do łóżek i pozostawiono, jedną obok drugiej, lamentujące i błagające o litość w imieniu swoich nienarodzonych dzieci. Personel medyczny zachowywał całkowitą obojętność. Zbyt wiele widzieli jednostek

„upośledzonych moralnie”, by łyzy Nete i prośby o pomoc zrobiły na nich wrażenie.

W końcu Rita zaczęła wyć i krzyczeć. Najpierw, że chce rozmawiać z ordynatorem, potem z policją, wreszcie z samym burmistrzem Korsør, ale na nic się to nie zdało.

Nete zaś popadła w stan szoku.

Dwóch lekarzy i dwie pielęgniarki weszli do sali bez słowa i stanęli parami przy ich łózkach, przygotowując zastrzyki. Próbowali je uspokoić, mówiąc, że tak będzie dla nich najlepiej i że potem będą mogły prowadzić normalne życie, ale serce Nete rwało się do wszystkich małych istnień, których nie wyda na świat. A gdy wbili w nią igłę, jej serce prawie stanęło, po czym zrezygnowała i z siebie, i ze swoich marzeń.

Gdy obudziła się parę godzin później, zostały tylko ból i opatrunek. Resztę jej zabrano.

Przez dwa dni w ogóle się nie odzywała, później również, kiedy wieziono je obie z powrotem na Sprogø. Czuła tylko smutek i zniechęcenie.

– Głupia ani słowa nie pisnęła. Może jednak się czegoś nauczyła – mawiał personel w jej obecności. To prawda. Przez miesiąc nie wypowiedziała ani słowa, na co by się to zdało?

Potem ją wypisano.

Ritę natomiast zatrzymano na wyspie. „Mimo wszystko są pewne granice, kogo można wypuścić do społeczeństwa” – mówili.

Nete stała na rufie, patrząc na fale obmywające wyspę i na latarnię morską wolno tonącą za horyzontem, i myślała, że równie dobrze mogła tam zostać, bo życie i tak się skończyło.

Pierwsza rodzina, do której trafiła, składała się z kowala, jego żony i trzech synów, którzy utrzymywali się z prac dorywczych, szwindli i handlu wymiennego. Nikt bardziej niż oni nie potrzebował kogoś, kogo można by wyzywać i wyzyskiwać od rana do wieczora; potrzeba ta została zaspokojona z nawiązką, kiedy przybyła do nich Nete. Zaprzęgnięto ją do wszystkiego, począwszy od uprzątnięcia terenu usianego rdzewiejącym złomem, skończywszy zaś na pomaganiu prostackiej i nieprzyjemnej gospodyni, której jedyną i największą przyjemnością było szykanowanie wszystkich, szczególnie Nete.

– Dziwka, cyganicha, głupia dziewczucha – rozlegało się przez cały dzień, a jeśli

tylko pojawił się najmniejszy pretekst, by z niej zadrwić, wykorzystywała go.

– Powiedz mi, kretynko, nie umiesz przeczytać, co tam jest napisane? Ty debilko – mówiła gospodyni, wskazując napis na odwrocie proszku do prania. A gdy Nete nie umiała, upokorzeniu towarzyszył jeszcze cios w głowę.

– Nie rozumiesz po duńsku, ty tępaczko? – brzmiała codzienna śpiewka, a Nete tylko się kuliła.

Chłopcy łapali ją za piersi, kiedy chcieli, a gospodarz odgrażał się, że posunie się jeszcze dalej. Kiedy się myła, przychodzili jeden za drugim, węsząc jak psy, i stawali pod drzwiami, bezwstydnie dając upust swojej pożądliwości.

– Wpuść nas, Nete. Zobaczysz, będziesz kwiczeć jak świnia, i tak nią jesteś – śmiali się.

Tak mijały dni, ale noce były trudniejsze. Zamykała starannie drzwi do swojej izby, blokowała klamkę oparciem krzesła i kładła się na podłodze przy krótszej części łóżka. Gdyby któremuś z nich udało się wejść i rzucić na pościel, już ona się postara, by czekała na niego niespodzianka. Bo łóżko było puste, a żelazna rura, którą znalazła na podwórzu – bardzo ciężka. Gdyby do tego doszło, było jej zupełnie wszystko jedno, czy kogoś zabije albo uszkodzi. Co gorszego mogło jej się przytrafić niż pobyt tutaj?

Czasami zastanawiała się, czy nie dodać do wieczornej kawy całej rodziny szaleju, który zabrała ze sobą z wyspy. Ale nie starczało jej odwagi, więc nic z tego nie wyszło.

Przełom nastąpił w dniu, kiedy gospodyni wymierzyła swojemu mężowi o jeden siarczysty policzek za dużo: on przyniósł swoją śrutówkę i roztrzaskał jej głowę, kładąc kres egzystencji całej rodziny.

Nete siedziała potem przez wiele godzin zupełnie sama i kiwała się bez przerwy w tę i z powrotem, podczas gdy technicy policyjni wygrzebywali ze ścian pokoju śrut i kawałki ciała.

Dopiero później tego wieczoru los się do niej uśmiechnął.

Dość młody mężczyzna, może zaledwie sześć, siedem lat starszy od niej, wyciągnął do niej rękę i powiedział:

– Nazywam się Erik Hansthalm. Mnie i moją żonę Marianne poproszono, byśmy otoczyli cię opieką.

Słowa „otoczyli cię opieką” brzmiały bardzo obco. Jak odległa muzyka dawnych

dni, ale też jak sygnał ostrzegawczy. Właśnie do takich słów raz po raz na próżno się garnęła, ale tu, w tym strasznym domu, gdzie echo wystrzału wciąż było słyhać pośród ścian, jeszcze nigdy nie wybrzmiały.

Podniosła wzrok na mężczyznę. Sprawiał wrażenie miłego, ale otrząsnęła się z tej myśli. Ileż razy gorzko zawiodła się na tym, jak mili potrafią wydawać się mężczyźni?

– No to niech tak będzie. – Wzruszyła ramionami, bo co mogła powiedzieć? Przecież nie miała tu nic do gadania.

– Marianne i ja dostaliśmy pracę jako nauczyciele niesłyszących w Bredebros. To aż w „zapadłej Jutlandii” – zaśmiał się z tego wyrażenia. – Ale może mimo to zechciałabyś nam towarzyszyć?

Dopiero w tym momencie spojrzała mu prosto w oczy. Ile razy wybory dotyczące jej przyszłości pozostawiano jej samej? Nigdy, jeśli jej pamięć nie myliła. I ile razy ktoś się do niej zwracał słowami „może” czy „zechciałabyś”? Nigdy, odkąd umarła jej mama.

– Widzieliśmy się już, ale to było przed wieloma miesiącami – ciągnął mężczyzna. – Czytałem książkę z niedosłyszącą chorą na białaczkę dziewczynką w szpitalu w Korsør, a ty leżałaś na przeciwległym łóżku. Pamiętasz to?

Skinęła głową, gdy dostrzegł jej oszołomienie i sposób, w jaki parokrotnie mrugnęła, chcąc ukryć się przed jego badawczym spojrzeniem.

Czy to naprawdę on?

– Myślisz, że nie widziałem, jak nas wtedy słuchałaś? Owszem, dobrze widziałem. Takie niebieskie oczy niełatwo zapomnieć.

Wyciągnął do niej ostrożnie rękę, ale jej nie dotknął. Zatrzymał ją w powietrzu obok jej dłoni i czekał.

Czekał, aż ona wyciągnie palce i ujmie go za rękę.

Całe życie Nete przewróciło się do góry nogami parę dni później w służbowym mieszkaniu w Bredebros.

Od chwili przyjazdu leżała w swoim łóżku, czekając, aż zacznie się harówka. Czekwała na kolejne ostre słowa i kolejne rozczarowania, które podążały za nią jak cień.

Młoda kobieta, Marianne Hansthalm, przyszła po nią, zaciągnęła do gabinetu i wskazała tablicę.

– Popatrz tu. Zadam ci kilka pytań, a ty zastanów się, ile czasu potrzebujesz, zanim odpowiesz, dobrze?

Nete spojrzała na tablicę z literami. Zaraz jej świat się zawali, bo dobrze wiedziała, na czym to polega. Wszystkie te znaczki na tablicy były jej przekleństwem od czasu, gdy chodziła do wiejskiej szkoły. Nie zapomina się tak łatwo świszczących ciosów bambusową laską po łędźwiach czy uderzeń linijką po palcach. A kiedy kobieta stojąca naprzeciw niej zorientuje się, że Nete potrafi rozpoznać mniej niż jedną czwartą liter, a do tego nie umie ich ze sobą łączyć, znów zostanie zmieszana z błotem, gdzie jak wszyscy mówili, jest jej miejsce.

Nete zacisnęła usta.

– Chciałabym, pani Hanstholm. Ale nie potrafię.

Spoglądały na siebie przez chwilę w milczeniu; Nete zastanawiała się, kiedy padnie cios, ale Marianne Hanstholm tylko się uśmiechnęła.

– Uwierz, kochanie, potrafisz, tylko nie tak sprawnie. A może tylko powiesz mi, które z tych literek rozpoznajesz? Bardzo się ucieszę.

Nete zmarszczyła czoło. A gdy nie działo się nic więcej, a kobieta naprzeciwko uśmiechnęła się, wskazując kartonową tablicę, Nete wstała niechętnie i do niej podeszła.

– Znam tę literkę – powiedziała, wskazując. – To N, tak się zaczyna moje imię.

A pani Hanstholm zaczęła bić brawo i śmiać się z całego serca.

– Brakuje nam tylko dwudziestu paru liter, czy to nie cudowne? – wykrzyknęła, podrywając się i obejmując Nete. – Poczekaj tylko, już my im wszystkim pokażemy.

Czując wokół siebie ciepłe ramiona, Nete zaczęła się trząść, ale kobieta trzymała ją mocno, szepcząc, że teraz wszystko będzie lepiej. To było niewiarygodne.

Dlatego nie mogła przestać się trząść i płakać.

W tym momencie do gabinetu wszedł Erik Hanstholm zwabiony rwetesem i wzruszył się od razu, widząc szkliste oczy młodej kobiety i jej skulone ramiona.

– Och, Nete. Wypłacz swój ból, kochanie, bo począwszy od dziś, już nigdy nie będziesz musiała go znosić – powiedział i wyszeptał słowa, które od tej pory miały wymazać całe doznane przez nią zło. – Jesteś dobra, Nete. Zapamiętaj to na zawsze: jesteś dobra.

Wpadła na Ritę przed apteką na głównej ulicy Bredebroskiego któregoś jesiennego dnia

w 1961 roku; zanim Nete w ogóle zdążyła zareagować, ogłuszył ją wrzask.

– Zlikwidowali ośrodek na Sprogø – zawołała Rita, parszcząc śmiechem na widok zszokowanej twarzy dawnej towarzyszki.

Potem nagle spowaźniała.

– Większość z nas umieszczono w rodzinach zastępczych, gdzie pracuje się za wikt i dach nad głową, więc pod tym względem niewiele się zmieniło. Tyranie i harówka od rana do wieczora i ani grosza, by sobie kupić cukierka. Człowiek szybko ma tego dość, mówię ci.

Nete skinęła głową. Dobrze to znała. Próbowwała spojrzeć Ricie w oczy, ale było to trudne. Nie sądziła, że będzie musiała jeszcze kiedykolwiek w nie patrzeć.

– Dlaczego tu przyjechałaś? – spytała w końcu, nie wiedząc, czy ma ochotę usłyszeć odpowiedź.

– Pracuję raptem dwadzieścia kilometrów stąd w mleczarni. Pia, ta dziwka z Aarhus, też tam pracuje. Harujemy od piątej rano przez cały dzień, do kitu jest. No to stamtąd uciekłam i jestem tu, by cię spytać, czy ze mną pojedziesz.

Czy Nete z nią pojedzie? Nie, Nete nie chciała o tym słyszeć. Aż ją mdliło na widok Rity. Jak śmiała ją nachodzić po tym, co zrobiła? Gdyby nie jej zazdrość i egoizm, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Nete wy dostałaby się z wyspy i wciąż mogłaby mieć dzieci.

– No dalej, dziewczyno. Przecież chcesz ze mną jechać, co? Czmychamy i niech to wszystko szlag. Pamiętasz nasze dawne plany? Najpierw Anglia, potem Ameryka. Uciec w takie miejsce, gdzie nikt nie będzie nas znał.

Nete odwróciła wzrok.

– Skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

Rita zaśmiała się ochryple. Czyli papierosy zrobiły swoje.

– Myślisz, że Gitte Charles cię nie obserwowała, idiotko? Nie myśl sobie; babsko męczyło mnie dzień w dzień, by jej powiedzieć, gdzie i jak spędzasz swoje życie na wolności.

Gitte Charles! Nete zacisnęła dłonie, słysząc jej imię.

– Charles! Gdzie teraz jest?

– Gdybym to wiedziała, źle by się to dla niej skończyło – odparła Rita chłodno.

Nete patrzyła na nią przez chwilę. Widziała, do czego Rita jest zdolna. Widziała, jak była na oślep warząchwia do prania te dziewczyny, które nie chciały zapłacić za

papierosy. Mocne, celne uderzenia, po których widać było niebieskie pręgi, gdy dziewczyny się rozbierały.

– Idź sobie, Rito – powiedziała, zacięta. – Nigdy więcej nie chcę cię widzieć na oczy, rozumiesz?

Rita uniosła brodę, patrząc na Nete drwiąco.

– Och, jak się wydelikaciłaś, ty dziwko. Nagle zrobiłaś się zbyt wytworna, żeby ze mną gadać, zgadza się?

Nete w myślach przytaknęła. W ciągu swego życia przekonała się, że jeśli chciało się wszystko zrozumieć, to trzeba było trzymać się dwóch prawd o człowieku. Pierwsza zawierała się w słowach jej brata, że ludzie dzielą się na dwa rodzaje, a druga – że życie człowieka jest ciągłym balansowaniem nad przepaścią pokus i że stawiając fałszywy krok, można bardzo głęboko w nią wpaść.

W obecnym momencie czuła ogromną pokusę, by zaciśniętymi pięściami zetrzeć z twarzy Rity wyzywający wyraz, ale Nete nie ugięła się i odwróciła. Jeśli ktoś ma wpaść w przepaść pokus, to na pewno nie ona.

– Szczęśliwej podróży, Rito – powiedziała, odwrócona tyłem. Ale Rita nie dała się zbyć.

– Czekaj! – krzyknęła, chwytając Nete za ramię i zwracając twarz do paru Bogu ducha winnych gospodyń domowych o nieodgadnionych twarzach, niosących siatki z zakupami. – Tu stoją dwie dziwki ze Sprogø, które zerzną waszych mężów za dziesięć koron, a ta tutaj jest najgorsza! – zawołała, chwytając twarz Nete i zmuszając ją, by odwróciła się w stronę kobiet. – Patrzcie na twarz tej dziwki! Jak myślicie, kogo wasi mężowie będą woleli w łóżku, ją czy was, brzydkie babsztyłe? A ona tu mieszka, więc uważajcie.

Rita zwróciła się do Nete, mrużąc oczy.

– Jedziesz ze mną? Bo jeśli nie, to zostanę tu i będę wrzeszczeć co sił w płucach, dopóki nie przyjedzie policja. Potem nie będzie w miasteczku zbyt łatwo, nie uważasz?

Później rozległo się pukanie do drzwi jej pokoju, gdzie siedziała zapłakana; jej ojciec zastępczy wszedł ostrożnie do środka.

Przez dłuższy czas był poważny i milczący.

„Teraz mnie poprosi, bym stąd wyjechała” – pomyślała. „Teraz przekażą mnie jakiejś rodzinie, która będzie trzymać mnie z daleka od zwykłych ludzi. Komuś,

kto się nie wstydzi. Wręcz nie zna, co to wstyd” – myślała.

Położył ostrożnie dłoń na jej ręce.

– Wiedz, że jedyna rzecz, o jakiej się teraz mówi w miasteczku, to twoje pełne godności zachowanie, kiedy to się zdarzyło, Nete. Widzieli, że zacisnęłaś pięści, ale nie uderzyłaś. Posłużyłaś się za to mocą słowa, to dobrze.

– Czyli wszyscy już wiedzą...

– Co wiedzą? Wiedzą tylko, że nachyliłaś się do dziewczyny, która cię zaatakowała, i powiedziałaś: „Mnie nazywasz dziwką? Wiesz co, Rita? Kiedy następnym razem pomylisz mnie ze swoją siostrą bliźniaczką, zapytaj tych wszystkich ludzi o drogę do dobrego optyka. Idź stąd i nigdy nie wracaj, bo wezwę policję. Rozumiemy się?”. – Skinął głową. – Tyle właśnie wiedzą. To jakiś problem?

Spojrzał na nią i uśmiechał się, dopóki nie odtajała.

– I jeszcze jedno, Nete. Mam coś dla ciebie.

Sięgnął po coś za plecami.

– Proszę. – Wręczył jej dyplom z bardzo dużymi literami. Przeczytanie ich chwilę jej zajęło, ale przebrnęła przez całość, słowo po słowie.

„Nikogo, kto potrafi to przeczytać, nie można nazwać analfabetą” – brzmiał napis.

Ścisnął ją za ramię.

– Powieś to na ścianie, Nete. Kiedy przeczytasz wszystkie książki z naszego regału i rozwiążesz wszystkie zadania matematyczne, które zadajemy niesłyszącym, pójdiesz do gimnazjum¹⁰.

Reszta stała się przeszłością, zanim zdążyła się obejrzeć. Gimnazjum, szkoła laborantek, dyplom technika laboratoryjnego, zatrudnienie w Interlabie i małżeństwo z Andreasem Rosenem. Cudowna przeszłość, którą można nazwać drugim życiem Nete. Był to czas, zanim zginął Andreas i na długo zanim znalazła się w tym mieszkaniu, mając na sumieniu cztery morderstwa.

„Jak już pozbędę się Gitte, moje trzecie życie może się zacząć na dobre” – pomyślała.

W tym momencie zadzwieczał domofon.

Gdy Nete otworzyła drzwi na klatkę schodową, stała przed nią Gitte niczym marmurowa kolumna nadgryziona zębem czasu, choć wciąż piękna i dostojna.

– Dziękuję za zaproszenie – powiedziała bez ogródek i wślizgnęła się do środka niczym wąż do mysiej nory.

Gitte rozejrzała się po korytarzu, podała Nete swój płaszcz i wparowała do salonu jak statek piracki na wyprawę łupieżczą. Każda srebrna łyżeczka została zarejestrowana, każdy obraz zmierzony i zważony nader byстрыm okiem Gitte.

Odwróciła się do gospodyni.

– Tak bardzo mi przykro, że jesteś chora. Czy to rak?

Nete skinęła głową.

– I wiadomo na pewno, że nic się nie da zrobić?

Nete znów kiwnęła głową, gotowa poprosić Gitte, by usiadła, ale zupełnie nieprzygotowana na jej ewentualne podchody.

– Nie, to ty usiądź, obsłużę cię. Widzę, że herbata w tamtym dzbanku już gotowa. Pozwól, że ci naleję.

Przesunęła Nete delikatnie i podprowadziła do miejsca na sofie.

– Cukru? – spytała, stojąc przy kredensie.

– Nie, dziękuję – odparła Nete, wstając. – Zrobię nową herbatę, bo ta wystygła. Stoi tu od wyjścia mojego poprzedniego gościa.

– Poprzedniego gościa? To jest ich więcej? – Gitte spojrzała na nią z ciekawością i pomimo protestów gospodyni zabrała się do nalewania herbaty.

Nete poczuła się niepewnie. Jakie będzie kolejne pytanie? Czy Gitte coś wiedziała albo przeczuwała? Przecież Nete widziała ją, jak nadchodzi od strony Søpavillonen, więc ryzyko, że spotkała kogoś z pozostałych, jest raczej niewielkie.

– Tak, było tu przed tobą kilka osób. Ty jesteś ostatnia.

– Ach tak – podała filiżankę Nete i nalała sobie. – Czy wszyscy zostaliśmy wyróżnieni w ten sam sposób?

– Nie, nie wszyscy. Poza tym adwokat akurat wyszedł coś załatwić, dopóki wszystko jest czynne, więc proszę cię o chwilę cierpliwości. Spieszysz się?

Pytanie wywołało wybuch osobliwego śmiechu. Tak jakby pośpiech był ostatnią rzeczą na świecie, jaka przyszlaby Gitte do głowy.

„Muszę doprowadzić do tego, by pozwoliła mi nalać. Tylko jak?” – myślała Nete, czując ból przeszywający jej głowę. W tej chwili czuła się tak, jakby do czaszki dociskano jej hełm wyłożony kolcami.

– To wręcz niewiarygodne, że jesteś ciężko chora. Czas obszedł się z tobą

łagodnie – stwierdziła Gitte, mieszając w filiżance.

Nete pokręciła głową. Z tego, co widziała, były do siebie podobne pod wieloma względami, choć trudno było powiedzieć, że czas obszedł się „łagodnie” z którąkolwiek z nich. Bruzdy, szorstka skóra i siwe włosy pojawiły się już dawno. O nie, widać było wyraźnie, że życie ich obu obfitowało w liczne wyzwania.

Próbowała wrócić myślami do czasów z Gitte Charles na wyspie. Wszystko to wydawało jej się teraz dziwne, kiedy miała świadomość, jak ich role się odwróciły.

Porozmawiawszy przez chwilę o błahostkach, Nete wstała, wzięła filiżankę swoją i Gitte i stanęła przy kredensie odwrócona tyłem, tak jak poprzednio.

– Jeszcze filiżankę? – spytała.

– Nie, dziękuję. Nie nalewaj mi więcej – odparła Gitte, podczas gdy Nete dołała solidną porcję szaleju do jej filiżanki. – Ale sobie nalej.

Nete zignorowała sekutnicę. „Mało się rządziła na tej przeklętej wyspie?” – pomyślała. Dlatego postawiła filiżankę z herbatą przed Gitte, nie przed sobą. Przez migrenę tak skoczyło jej ciśnienie, że czuła szum w uszach, a sam zapach herbaty przyprawiał ją o mdłości.

– Możemy zamienić się miejscami na sofie, Gitte? – spytała, czując w gardle odruch wymiotny. – Mam potworną migrenę i nie toleruję zbyt dobrze siedzenia twarzą do okna.

– O mój Boże, jeszcze i to! – Gitte wstała, podczas gdy gospodyni przesunęła filiżankę na stole.

– Nie mogę teraz rozmawiać – powiedziała Nete. – Muszę posiedzieć przez chwilę z zamkniętymi oczami.

Zamieniły się miejscami, Nete opuściła powieki, gorączkowo zmuszając się do myślenia. Jeśli jej dawna prześladowczyni nie weźmie herbaty i jej nie wypije, to znów zostanie jej młotek. Będzie musiała zaproponować jej filiżankę kawy, przynieść młotek, uderzyć ją w kark i posiedzieć, czekając, aż zelżeje najgorszy atak. Oczywiście od uderzenia młotkiem będzie trochę krwi, ale co to szkodzi, skoro Gitte jest ostatnia? Zawsze może wyprać potem dywany, kiedy już zawlecze jej zwłoki do reszty towarzystwa.

Słyszała kroki za oparciem, ale i tak się wystraszyła, czując, jak ręce Gitte obracają odrobinę jej tułów i kładą się na jej karku.

– Siedź nieruchomo, Nete. Jestem w tym dobra, ale przy tak niewygodnej

pozycji będzie trudno. Byłoby lepiej, gdybyś siedziała na krześle – odezwał się głos nad jej głową, podczas gdy palce zaczęły pracować nad mięśniami karku.

Słyszała, jak szczebioce, ale słowa zlewały się ze sobą. Nete знаła te ruchy z zupełnie innych okoliczności. Były tak pociągająco zmysłowe i dobroczynne, że ich nienawidziła.

– Chyba powinnaś przestać. – Odsunęła się. – Bo zwymiotuję. Muszę po prostu posiedzieć przez chwilę. Już wzięłam tabletkę, za chwilę podziąła. W międzyczasie napij się herbaty i porozmawiamy o wszystkim, kiedy przyjdzie adwokat.

Rozchyliła powieki i zobaczyła, jak palce kobiety odskakują, jakby dotknęły czegoś pod prądem. Potem poczuła, że Gitte przechodzi koło stołu i cicho siada obok na sofie. Po chwili rozległ się też brzęk filiżanki.

Nete odchyliła lekko głowę i widziała spomiędzy rzęs, jak Gitte unosi filiżankę i przysuwa ją do ust. Sprawiała wrażenie spiętej i niespokojnej. Powąchała herbatę, rozdymając nozdrza, wypła łyżeczek i nagle jej oczy otworzyły się szeroko, zdradzając podejrzliwość i czujność. W tej sekundzie Gitte posłała Nete błyskawiczne i przenikliwe spojrzenie i znów wróciła do wączania filiżanki.

Gdy ją odstawiała, Nete powoli otworzyła oczy.

– Och – powiedziała, próbując odgadnąć, co dzieje się w głowie Gitte. – Już troszkę lepiej się czuję. Dobry był ten masaż, jesteś zdolna.

„Wstawaj” – pulsowało w jej wnętrzu. „Idź po młotek i załatw to już. Wtedy szybko wleję formaliny do ust wszystkich zwłok i będę mogła się położyć”.

– Muszę tylko przynieść sobie wody – powiedziała, wstając ostrożnie. – Zasycha mi w ustach przez te wszystkie leki.

– Napij się herbaty – odparła Gitte, podsuwając jej filiżankę.

– Nie, nie lubię takiej zimnej, nastawię kolejną. Wydaje mi się, że adwokat powinien tu być lada chwila.

Przeszła szybkim krokiem do kuchni i otworzyła szafkę, a kiedy się nachylała po młotek, usłyszała głos tuż za plecami.

– Na moje oko, Nete, to w ogóle nie ma żadnego adwokata.

Listopad 2010

Komenda Główna Policji stanowiła mechanizm rejestrujący ruch swoich kół zębatych nawet w najodleglejszym zakątku. Niczym w kopcu mrówek sygnały przebiegały między budynkami, i to niewyobrażalnie szybko. To się po prostu wiedziało, kiedy zatrzymani próbowali czmychnąć po korytarzach, kiedy ginął materiał dowodowy, kiedy jakiś pracownik poważnie zachorował czy komendant policji miał problemy z politykami.

Był to jeden z tych dni, w których wszystko aż kipi od aktywności. W budce wartowniczej przyjmowano gości, piętro komendanta wrzało, roiło się od doradców i ludzi z kancelarii prokuratora generalnego.

Carl wiedział dlaczego.

Chodziło o Tajemną Walkę, a ludzie za nią stojący stanowili materiał wybuchowy. A materiał wybuchowy ma to do siebie, że eksploduje, jeśli zawczasu nie zaleje się go wodą, więc w tej chwili lało się jej w cholere dużo.

Kalkulowano, że w ciągu dnia padną zarzuty wobec czterdziestu osób, i w każdym przypadku bez wyjątku trzeba było zadbać o to, by szybko dostarczyć powód, na którym można by oprzeć oskarżenie. Machina ruszyła i nawet na przesłuchanie zdążyli już trafić funkcjonariusze z listy członkowskiej z archiwum Curta Wada. Gdyby wcześniej nastąpiły przecieki, wszystko by diabli wzięli.

Carl wiedział, że w każdym z departamentów byli ludzie wyznaczeni do przeprowadzenia tej roboty; wielokrotnie już tego dowiedziono. Jednocześnie miał jednak świadomość, że pomimo wszelkich środków bezpieczeństwa w tej doskonale zamaskowanej sieci utkanej z dowodów i poszlak pozostało mnóstwo dziur, przez które można się prześlizgnąć. To tylko kwestia władzy i kontroli, a ci, których chcieli dopaść, tym właśnie dysponowali. Pal więc licho tych wszawych przestępców stosujących przemoc. Pal licho oddziały szturmowe i pachołków Curta Wada. Pal licho żołnierzy; ci zazwyczaj nigdzie nie uciekają, w każdym razie nie za daleko. Nie, trzeba było dorwać strategów i taktyków, więc czekała ich

cierpliwa praca z przesłuchiwaniami drobniacy. Wówczas jest nadzieja, że złapie się grube ryby.

Szkopuł w tym, że Carl był bardziej niecierpliwy niż większość, a już szczególnie teraz. Wieści o stanie Assada nie ulegały zmianie, więc mogą się uznać za szczęściarzy, jeśli ujdzie z życiem.

W takich okolicznościach trudno o cierpliwość.

Siedział przez chwilę, zastanawiając się, za co najlepiej się wziąć. Z jego punktu widzenia były to dwie sprawy, które mogły, ale nie musiały być powiązane. Sprawa zaginięć z 1987 była jedną, drugą zaś nadużycia wobec wielu kobiet i napad na Assada i jego samego.

Rose wprowadziła go w konsternację. Dotąd ich uwaga skupiona była na Curcie Wadzie, zaś Nete Hermansen stanowiła w ich oczach osobliwe, acz niewinne ogniwo między zaginionymi osobami. Teraz paliły się wszystkie światełka ostrzegawcze.

Dlaczego, u diabła, Nete Hermansen ich okłamała? Dlaczego przyznała się do powiązań z wszystkimi zaginionymi oprócz Vigga Mortensena, skoro właściwie to jemu mogła dziękować za uruchomienie łańcucha nieszczęść w swoim życiu? Ciężę, aborcję, gwałt, bezprawne osadzenie w ośrodkach wychowawczych i sterylizację.

Carl tego nie rozumiał.

– Przekażcie Marcusowi Jacobsenowi, żeby łapał mnie na komórcie – powiedział strażnikom w budce wartowniczej, kiedy wreszcie był gotowy do działania.

Nogi niosły go w stronę parkingu, gdzie stały auta służbowe, ale mózg wyłapał błąd i skorygował kierunek. Cholera jasna, przecież nie ma samochodu, jest u Rose.

Spojrzał na terminal pocztowy i skinął kilku policjantom w cywilu, którzy cofali auta. A może by tak pójść pieszo? Dwa kilometry, co to jest dla mężczyzny w sile wieku?

Zdażył przejść kilkaset metrów do Dworca Głównego, kiedy kondycja zaczęła protestować, a taksówki – kusić.

– Proszę pojechać do końca Korsgade wzdłuż Jezior – polecił kierowcy, podczas gdy na zewnątrz mijała ich hałaśliwie chmara ludzi. Carl obejrzał się za siebie. Trudno powiedzieć, czy ktoś go śledził.

Dotknął pistoletu. Tym razem nikt go nie zaskoczy z opuszczonymi spodniami.

Przez domofon w głosie starszej pani słyhać było zaskoczenie, ale poznała go i poprosiła, by wszedł do środka i poczekał chwilę na klatce, by mogła go wpuścić.

Stał przez parę minut, dopóki drzwi się nie otworzyły i Nete Hermansen zaprosiła go do środka, ubrana w plisowaną spódniczkę i ewidentnie świeżo uczesana.

– Przepraszam – powiedział, czując zapach, który bardziej niż poprzednio wskazywał na to, że mieszka tu kobieta, która nie przykłada się do wietrzenia.

Spojrzał w głąb korytarza i zauważył, że na chodniku przy regale przy przeciwległej ścianie utworzyła się fałda, jakby puściły gwoździe mocujące go do podłogi i go podwinięto.

Następnie odwrócił głowę w stronę salonu. Czyli wiedziała, że nie ma zamiaru zaraz sobie iść.

– Przykro mi, że nachodzę bez uprzedzenia, Nete, ale mam parę pytań, które z ogromną chęcią bym z tobą przedyskutował.

Skinęła głową i zaprosiła go do środka; zareagowała na kliknięcie z kuchni, które w domu Carla oznaczało, że czajnik elektryczny zakończył pracę.

– Zrobię nam filiżankę herbaty. I tak o tej porze ją pijam – powiedziała.

Carl pokręcił głową.

– Jeśli to nie problem, wolałbym się napić kawy – odrzekł, myśląc przez chwilę o klajstrze Assada. Gdyby miał okazję, tym razem przyjąłby go z pocałowaniem ręki. Myśl, że być może już nigdy nie będzie mu to dane, dosłownie go paraliżowała.

Dwie minuty później stała za jego plecami przy kredensie i nalewała neski.

Podawała mu filiżankę z uśmiechem, nalala sobie herbaty i usiadła naprzeciwko niego z rękami na kolanach.

– A zatem jak mogę pomóc? – spytała.

– Pamiętasz, że kiedy ostatnio rozmawialiśmy o zaginionych osobach, wspomniałem o Viggum Mortensenie?

– Tak, oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Choć mam siedemdziesiąt trzy lata, na szczęście nie mam jeszcze zupełnej demencji.

Carl nie odwzajemnił uśmiechu.

– Mówiłaś, że go nie znasz. Czy mogłaś się pomylić?

Wzruszyła ramionami. „O co mu chodzi?” – miało to zapewne znaczyć.

– Znałaś wszystkich pozostałych zaginionych, co też zupełnie nie dziwi. Adwokat Nørvig, który prowadził przeciwko tobie sprawę Curta Wada. Twój kuzyn Tage. Pielęgniarka Gitte Charles, która pracowała na Sprogø, i Rita Nielsen, która przebywała tam w tym samym czasie, tyle że jako osadzona. Oczywiście trudno temu zaprzeczyć.

– Oczywiście, że trudno. Dlaczego miałabym to robić? Wszystko się zgadza, a ta zbieżność jest naprawdę bardzo dziwna.

– Ale jednego z zaginionych, jak mówiłaś, nie znałaś, czyli zapewne liczyłaś na to, że uwaga zostanie skierowana gdzie indziej.

Nie zareagowała.

– Tak sobie myślę, że kiedy byliśmy u ciebie w sobotę, powiedziałem ci, że przychodzimy w sprawie Curta Wada. Dlatego pewnie poczułaś, że jesteś poza kręgiem naszego zainteresowania. Ale teraz już wiemy, że kłamałaś, Nete. Znałaś Vigga Mortensena, i to nawet całkiem nieźle. Przecież to on jest winien twojego nieszczęścia. Byłaś z nim w związku, zaszłaś z nim w ciążę, i tak trafiłaś do Curta Wada, który miał przeprowadzić nielegalną aborcję. Można to wyczytać w kartotece, którą założył ci Curt Wad, a musisz wiedzieć, że obecnie znajduje się ona w naszym posiadaniu.

Spodziewał się, że Nete zeszywnieje. Może wręcz wybuchnie płaczem albo się załamie, ale nic podobnego nie nastąpiło. Odchyliła się do tyłu, upiła herbaty i lekko pokręciła głową.

– Tak, co mogę powiedzieć? – odparła. – Przykro mi, że skłamałam, bo przecież to wszystko się zgadza. Owszem, znałam Vigga Mortensena, tak jak mówisz. I owszem, przyznaję ci rację, że musiałam powiedzieć, że go nie znałam.

Spojrzała prosto na niego oczami bez wyrazu.

– Chodzi o to, że nie mam z tym wszystkim nic wspólnego, a nagle widzę, tak jak ty, że wszystko wskazuje na mnie. Co mi pozostało innego niż obrona? Przecież jestem niewinna. Nie mam pojęcia, co stało się z tymi biedakami.

Wydała z siebie cichy, zaprzeczający dźwięk, który miał to podkreślić, i wskazała na kawę Carla.

– Pij kawę, a w międzyczasie opowiedz mi wszystko jeszcze raz, tylko powoli.

Carl zmarszczył czoło. Jak na starszą panią, była niezwykle bezpośrednia. Żadnych refleksji, wątpliwości, niedokończonych zdań czy pytań. Tylko prosto

z mostu: „Opowiedz mi wszystko jeszcze raz”.

Dlaczego? Dlaczego miałyby opowiadać powoli? Chciała zyskać na czasie, o to chodzi? Czy te minuty, kiedy czekał pod drzwiami, chciała wykorzystać, by kogoś ostrzec? Kogoś, kto mógł jej pomóc wydostać się z tarapatów?

Carl nie rozumiał. Przecież nie mogła działać w zмовie z Curtem Wadem, swoim odwiecznym wrogiem.

Nie, jeśli ktoś miał pytania, to był to Carl. Tyle że zupełnie nie wiedział jakie.

Podrapał się po brodzie.

– Miałabyś coś przeciwko, gdybyśmy przeprowadzili przeszukanie tego mieszkania, Nete?

W tym momencie szybko zerknęła w bok. Drobną, wręcz niewidoczną oznaką zdystansowania się do rzeczywistości, którą widział już setki razy, a która mówiła więcej niż wiele słów.

Zaraz powie nie.

– Hm, jeśli uważasz, że to konieczne, to bardzo proszę, możesz się tu rozejrzeć, jeśli chcesz. Tylko nie zrób mi bałaganu w szufladach.

Siliła się na kokieteryjność, ale jej nie wyszło.

Carl przysunął się do przodu na siedzeniu.

– Tak, bardzo bym chciał. Ale muszę cię uczulić, że tym samym wyraziłaś zgodę na przeszukanie wszystkich pomieszczeń i wszystkiego, co poza tym mogę uznać za stosowne. Musisz wiedzieć, że przeszukanie może być gruntowne i długotrwałe.

Uśmiechnęła się.

– W takim razie pij kawę, bo to będzie wymagać energii. Sam rozumiesz, że mieszkanie nie jest zbyt małe.

Wziął solidny łyk, smak był ohydny, więc odstawił filiżankę.

– Zadzwoń jeszcze do mojego przełożonego i poproszę cię, abyś to przed nim potwierdziła, dobrze?

Skinęła głową, wstała i poszła do kuchni. Czyli jednak musi ochłonać.

Tak, teraz Carl był pewien. Coś było nie tak.

– Tak, halo, Lis – powiedział, gdy w końcu odebrała. – Mam do ciebie prośbę, byś przekazała Marcusowi...

Dostrzegł cię za plecami i raptownie się obrócił.

Wystarczyło akurat, by zobaczyć, że cios młotkiem, wymierzonym w jego kark,

padnie bardzo celnie.

Listopad 2010

Trzymał ukochaną za rękę przez całą noc i poranek. Ścisnął, całował i głaskał ją aż do przybycia ludzi z zakładu pogrzebowego.

Drżał poruszony, gdy poproszono go o wejście do salonu, w którym zobaczył ją leżącą w trumnie w śnieżnobiałym jedwabiu, z rękami oplatającymi ślubny bukiet. Od miesiący wiedział, że ten dzień nadejdzie, a jednak trudno mu było to znieść. Iskierka jego życia, matka jego dzieci. Leżała tu. Zeszła z tego świata, oddaliła się od niego.

– Proszę chwilę poczekać, chcę zostać z nią sam – rzekł, odprowadzając oczami pracowników zakładu, dopóki nie opuścili salonu i nie zamknęli za sobą drzwi.

Wtedy uklęknął przed nią i pogładził ostatni raz po włosach.

„O, moje kochanie” – próbował powiedzieć, niestety, głos odmówił mu posłuszeństwa. Otarł oczy, ale łzy wiedziały swoje. Odchrząknął, ale płacz ścisnął mu gardło.

Uczynił na jej twarzy znak krzyża i delikatnie ucałował lodowate czoło.

W torbie na ramię, stojącej przy nim na podłodze, miał wszystko, co trzeba. Dwanaście dwudziestomililitrowych ampulek propofolu, w tym trzy już ponabierane w strzykawkę. Anestetyku wystarczyłoby na spacyfikowanie każdego, a nawet, o ile wiedział, na zabicie jakichś sześciu osób. A gdyby sytuacja tego wymagała, miał też pod dostatkiem flumazenilu, który przeciwdziałał usypiającemu efektowi propofolu. Był dobrze przygotowany.

„Do zobaczenia dziś w nocy, moja ukochana” – pomyślał, wstając. Zdecydował jednak, że zanim nadejdzie jego kolej, umrze jeszcze parę osób.

Czekał tylko na informacje.

Gdzie jest Carl Mørck?

Spotkał się z informatorem dwa domy od miejsca zamieszkania Nete na Peblinge Dossering. To ten sam, który powalił Hafeza el-Assada.

– Sądziłem, że przejdzie całą drogę piechotą, więc spokojnie szedłem tuż za nim aż do Dworca Głównego – usprawiedliwiał się facet. – To dobre miejsce, by wepchnąć człowieka pod autobus, ale nie zdążyłem, bo wziął taksówkę. Wsiadłem do kolejnej i śledziłem go, ale gdy wyjechałem z zakrętu, on już wchodził do budynku.

Curt skinął głową. Widać ten dureń nie potrafi dokończyć roboty jak należy.

– Ile czasu minęło, odkąd wszedł do środka?

Spojrzał na zegarek.

– Godzina piętnaście.

Curt zerknął w stronę mieszkania. Czyli to tu mieszka, odkąd zaprosiła go do siebie wiele lat temu. To zrozumiałe. Nete Hermansen wybrała sobie niezłe miejsce. W centrum, z pięknym widokiem i tętniące życiem.

– Masz dla mnie narzędzie? – spytał.

– Tak, ale ono wymaga wprawy. Pozwól, że cię wpuszczę, wtedy zobaczysz, jak działa.

Curt się zgodził i poszedł za nim do drzwi wejściowych. Dość dobrze znał ten typ zamka.

– To zwykły zamek z sześcioma sztyftami – powiedział facet. Wygląda na dość skomplikowany, ale to pozory. Można założyć, że ten sam typ zamka znajduje się w drzwiach do jej mieszkania. Pewnie wymienili wszystkie przy zakładaniu domofonu.

Wyjął niewielki skórzany pokrowiec i rozejrzał się. Nie licząc młodej, ciasno objętej pary, przechodzącej po ścieżce, nikogo nie było w pobliżu.

– Potrzeba paru cienkich wytrychów – kontynuował, wkładając je do środka. – Zwróć uwagę, żeby górny nie dotykał dolnego. Nie wolno go nacisnąć, dopóki nie włożysz pistoletu do otwierania zamków, dobrze? Popatrz, wkładasz sztyft pistoletu do otworu cylindra, trochę poniżej środka, tuż pod sztyftami cylindra. Można je wyraźnie wyczuć.

Następnie nacisnął, przekręcił wytrychy i otworzył drzwi bez najmniejszego problemu.

Skinął głową, podając narzędzie Curtowi.

– No to jesteś w środku. Poradzisz sobie, czy mam iść z tobą na górę?

Curt pokręcił głową.

– Nie, dziękuję. Możesz już iść do domu.
Odtąd wolał zrobić wszystko sam.

Na klatce panował spokój. Stłumiony szum telewizora dochodzący z lokalu sąsiadującego z Nete, ale poza tym nic, co wskazywałoby na obecność mieszkańców.

Curt nachylił się do drzwi Nete. Spodziewał się, że w środku usłyszy głosy, ale zawiódł się.

Sięgnął do torby, wyjął strzykawkę, upewnił się, że igły trzymają się, jak powinny i włożył strzykawkę do kieszeni.

Pierwsza próba z pistoletem się nie powiodła, ale wtedy przypomniał sobie, że ma uważać, by nie dotykać górnego wytrychu, i spróbował jeszcze raz.

Pomimo swego wieku zamek sprawiał wrażenie niewyrobionego, ale w wyniku manipulowania i przekręcania ustąpił. Curt nacisnął ostrożnie klamkę łokciem, trzymając wytrychy, i drzwi się otworzyły.

Przywitał go dziwnie zatęchły zapach. Jakby starych książek czy od lat nieotwieranych szaf. Jakby pochowanych ubrań, zabezpieczonych naftaliną i kulkami antymolowymi. Jakby sklepów z antykami, nieodwiedzanych przez klientów.

Zobaczył długi korytarz z kilkorgiem drzwi. Na samym końcu panował mrok, ale z najbliższych otworów drzwiowych wylewało się światło. Wnioskując z lekko drżącej poświaty, pomieszczenie po jego prawej stronie było kuchnią z jarzeniówkami. Równie prawdopodobne było to, że żółtawe światło padające z drugiej strony pochodziło z dość znacznej ilości żarówek tego typu, którego Unia o mały włos nie zakazała.

Postawił kolejny krok na korytarzu, odłożył torbę na podłogę i chwycił za jedną ze strzykawek w kieszeni.

Jeśli oboje są w środku, musi zacząć od Carla Mørcka. Szybki zastrzyk w żyłę na szyi i facet padnie. Gdyby doszło do walki, będzie musiał wkląć się prosto w serce, ale nie chciał tego. Jeśli chce się uzyskać informacje, to nie od umarłych, a przecież właśnie po nie przyszedł. Informacje będące w obiegu, które mogą zaszkodzić partii Czyste Linie i docelowo ważnej pracy wykonywanej przez Tajemną Walkę. To właśnie ich poszukiwał.

Nie ulegało wątpliwości, że Nete knuła, jak się na nim zemścić. Wszystko się

zgadzało. Jej dziwaczne zaproszenie sprzed wielu lat, a teraz konszachty z Carlem Mørckiem. Curt musiał po prostu się dowiedzieć, czy coś w tym mieszkaniu mogłoby zagrozić dziełu jego życia. Jak już dopadnie znajdującą się w mieszkaniu dwójkę i podda ich porządnej sedacji, wszystko wyśpiewają. Niech już inni pracują dalej nad informacjami, w które go wtajemniczą.

Nagle usłyszał kroki dochodzące z pokoju wychodzącego na jeziora. Lekkie, odrobinę szurające. Nie stawał ich mężczyzna wzrostu i postury Carla Mørcka.

Wszedł do środka i zobaczył przestraszoną kobietę. Na pierwszy rzut oka w pokoju nie było nikogo innego.

– Dobry wieczór, Nete – powiedział, patrząc prosto na nią. Oczy zmatowiały, zrobiły się też bardziej szare. Ciało nie było już takie jędrne, twarz nie przykuwała uwagi jak kiedyś. Proporcje w widoczny sposób zmienione wiekiem. Tak to przecież jest.

– Przepraszam, ale drzwi były otwarte, więc pozwoliłem sobie wejść. Mam nadzieję, że to nie problem. Oczywiście najpierw zapukałem, ale widocznie nie słyszałaś.

Powoli pokręciła głową.

– No tak, przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi, prawda? Curt Wad jest chyba zawsze mile widziany w twoim domu, prawda, Nete?

Uśmiechnął się, gdy spojrzała na niego w oszołomieniu, i powoli powiódł wzrokiem po pokoju. Nie ma tu nic niezwykłego, jeśli nie liczyć tego, że na stole stały dwie filiżanki, a Carla Mørcka nie było w zasięgu wzroku. Przyjrzał się filiżankom. Ha! Jedna była prawie do końca napełniona czarną kawą, druga do połowy pusta.

Curt podszedł bliżej zastawy, by dotknąć filiżanki z kawą, pilnując równocześnie, by kobieta się nie wymknęła. Kawa była letnia, nie gorąca.

– Gdzie jest Carl Mørck? – spytał.

Chyba się wystraszyła. Jakby Mørck stał gdzieś w kącie, wyglądając na nich. Jeszcze raz się rozejrzał.

– Gdzie jest? – powtórzył.

– Poszedł jakiś czas temu.

– Nie, nie poszedł, Nete. Widzielibyśmy, jak wychodzi z domu. Zapytam jeszcze raz: gdzie on jest? Radzę odpowiedzieć.

– Wyszedł schodami kuchennymi, nie wiem dlaczego.

Curt przez chwilę stał nieruchomo. Czyżby Carl Mørck widział, że jest śledzony? Czyżby cały czas był o krok przed nimi?

– Idziemy do drzwi kuchennych – zdecydował, pokazując jej, że ma iść przodem.

Trzymając rękę na piersi, minęła go z wahaniem i poszła do kuchni.

– Tam. – Z widocznym zmieszaniem wskazała na drzwi w kącie. Curt rozumiał, dlaczego było jej z tym nie po drodze.

– Mówisz, że wyszedł tędy. Czyli starannie pousuwał wszystkie butelki, koszyk z warzywami i worki ze śmieciami, a potem ty z podobną starannością odłożyłaś wszystko na miejsce. Bardzo mi przykro, ale ani trochę w to nie wierzę.

Chwycił ją za ramiona i szarpnięciem obrócił ku sobie. Jej oczy wpatrywały się w podłogę, co dobrze rozumiał. Ta prosta dziewczucha kłamie jak z nut. Zawsze kłamała.

– Gdzie jest Carl Mørck? – spytał ponownie, chwytając strzykawkę w kieszeni, zdejmując osłonkę i przystawiając igłę do jej szyi.

– Zszedł schodami kuchennymi – powtórzyła, niemal szepcząc.

Wtedy wbił jej igłę w szyję i docisnął tłoczek strzykawki do połowy.

Po krótkim czasie zaczęła się słaniać, a potem osunęła się na ziemię jak worek.

– No, teraz jest tak, jak chciałem. Jeśli chcesz mi coś wyznać, to zostanie to między nami. Rozumiesz, Nete Hermansen?

Zostawił ją i wrócił na korytarz; stał przez chwilę, nasłuchując najdrobniejszego znaku świadczącego, że coś jest nie tak. Oddechu, skrzypienia, ostrożnego ruchu, ale niczego nie usłyszał. Wszedł więc znów do salonu. Składał się z dwóch połączonych pomieszczeń, co widać było wyraźnie na sztukaterii. Pierwotnie w rogu dalszego pomieszczenia znajdowały się też zapewne drzwi na korytarz, ale dziś już ich nie było.

Summa summarum, zupełnie zwyczajne mieszkanie jak na starszą kobietę. Nie staromodne, ale też niezbyt nowoczesne. Angielski zegar z wahadłem obok radia z odtwarzaczem CD. Trochę muzyki poważnej, ale też kilka współczesnych szlagierów. Nie w guście Curta.

Na chwilę utkwiał wzrok w filiżankach na stole. Dotknął tej z kawą, usiadł. I próbując odgadnąć, co stało się z Carlem Mørckiem i co w ogóle mają zrobić, by

go znaleźć, wziął filiżankę i się napił. Smak był wyjątkowo gorzki, więc z odrazą odstawił filiżankę.

Odszukał w kieszeni spodni swój bezpieczny telefon. Może posłać kogoś na Komendę Główną, niech sprawdzi, czy Carl Mørck w jakiś tajemniczy sposób tam wrócił. Spojrzał na zegarek. Czy może lepiej wysłać kogoś do domu Carla. Zrobiło się późno.

Curt na moment spuścił głowę, nagle poczuł zmęczenie. Mimo wszystko trudno zignorować swój wiek. Wtedy jego wzrok padł na małą plamkę pośrodku czerwono-żółtego wzoru na dywanie, chyba całkiem świeżą. „Dziwne” – pomyślał, sięgając do niej palcem wskazującym, by sprawdzić, czy plamka jest sucha.

Nie była.

Przyglądał się czubkowi palca, próbując zrozumieć.

Dlaczego na dywanie Nete znajduje się świeża krew? Co, u licha, tu się zdarzyło? Może jednak Carl Mørck nadal tu jest?

Poderwał się, poszedł do kuchni i przyjrzał się Nete, leżącej na podłodze. Nagle poczuł suchość w ustach i dyskomfort, który sprawił, że potarł się po twarzy i napił wody prosto z kranu. Zwilżył czoło, opierając się o kant stołu. W ciągu ostatniej doby przeżył przecież tyle strasznych godzin.

Ochłonawszy, Curt chwycił kolejną strzykawkę z propofolem, sprawdził ją i włożył z powrotem do kieszeni. Będzie mógł ją szybko wydobyć i w okamgnieniu wkłuć w potencjalnego agresora, jeśli zajdzie taka konieczność.

Ostrożnie wyszedł na korytarz i ruszył po nim powoli. Otworzył pierwsze drzwi i spojrzał prosto na niepościelone łóżko, stopy butów i brudnych rajstop.

Wrócił na korytarz i powoli otwierał kolejne drzwi. Przywitała go feeria pozostałości po wcześniejszym życiu. Istna rupieciarnia, gdzie na półkach i haczykach znajdowały się torby, płaszcze i wszystko, czego dusza zapragnie.

„Nic tu nie ma” – pomyślał, zamykając za sobą drzwi. Znów poczuł ten mdły zapach, który uderzył go, kiedy wszedł do mieszkania. Był silniejszy niż przedtem, nawet znacznie silniejszy.

Stał przez moment, węsząc, po czym doszedł do wniosku, że zapach dochodzi z regału, stojącego w rogu korytarza. Dziwne, bo regał praktycznie był pusty; nie licząc starych numerów „Det Bedste” i kilku tygodników, niczego na nim nie było. Czyli zapach nie mógł pochodzić z niego.

Curt przysunął się do regału i wziął głęboki oddech. To nie był wyraźny zapach, ale unoszące się w powietrzu ślady, jak woń ryby czy curry jedzonych poprzedniego dnia.

To pewnie mysz, która wyzionęła ducha za regałem, bo co innego?

Kiedy już miał wracać, by obadać dokładniej salon, zawadził o coś nogą, prawie tracąc równowagę.

Spojrzał w dół. Była to fałda na chodniku z włókna kokosowego, zagięta pod dziwnym kątem. Zupełnie jakby raz po raz zahaczały o nią drzwi. A pośrodku chodnika była krew. Nie brązowa, stara i zakrzepła. Nie, ciemnoczerwona i świeża.

Obrócił się do regału i jeszcze raz przyjrzał się fałdzie na chodniku, po czym włożył rękę za regał po prawej stronie i pociągnął.

Ważył tyle, co nic, więc ciągnął dalej i chwilę później zobaczył kryjące się za nim drzwi. Pełne drzwi z zasuwą, tuż za regałem.

Serce zaczęło mu walić mocniej. Dziwnym sposobem czuł niemal podniecenie. Jakby te drzwi reprezentowały cały mistycyzm i tajemniczość, którymi przez całe życie się otaczał. Sekrety dotyczące wszystkich dzieci, które nigdy nie zaznały życia, i wszystkich przegranych istnień. Uczynków, które napawały go dumą. Może to dziwne, ale tak właśnie było. Tu, przed tymi ukrytymi drzwiami, czuł się dobrze, pomimo że odczuwał suchość w ustach, a przedmioty dokoła ulegały deformacji, jakby przygniatając go do ziemi.

Złożył złe samopoczucie na karb zmęczenia i pociągnął za zasuwę. Zarówno ona, jak i klamka chodziły lekko i drzwi oderwały się od futryny z cmoknięciem. Zapach przybrał na sile, był też dużo ostrzejszy. Przesunął wzrokiem po brzegu futryny, oklejonym taśmą uszczelniającą z grubej gumy, i popchnął nieco drzwi; wydawały się ciężkie. Na pewno nie takie jak zwyczajne drzwi i nie takie, których od lat nie używano.

Curt poczuł wzrastającą czujność i wyciągnął strzykawkę.

– Carl Mørck – wyszeptał, nie oczekując odpowiedzi.

Potem otworzył szeroko drzwi, a widok, który za nimi zastał, niemal zwałił go z nóg.

To stąd dochodził smród i nie ulegało wątpliwości dlaczego.

Powiódł wzrokiem po osobliwym widoku. Po leżącym bez życia na podłodze ciele Carla Mørcka i po szarych, groteskowych trupich czaszkach o zakurzonych,

martwych włosach, wywiniętych wargach i żółto-czarnych zębach. Wysuszone, wydające oblesną woń martwe ciała, siedzące w odświętnych ubraniach i z zastygłym wyrazem twarzy oczekujące na ostatnią wieczerzę. Nigdy czegoś podobnego nie widział. Puste oczodoły gapiące się w kryształowe kieliszki i srebrną zastawę. Przezroczysta skóra naciągnięta na wystające kości i grube ścięgna. Sękate palce o brązowych paznokciach na brzegu stołu, które nigdy niczego nie chwycą.

Przełknął ciężko ślinę i wszedł do środka, gdzie mocno cuchnęło, ale nie zgnilizną. Teraz przypomniał sobie ten zapach. Podobny się odczuwało po otwarciu gabloty z wypchanymi ptakami. Śmierć i wieczność jednocześnie.

Pięć mumii i dwa puste miejsca. Curt spojrzął na najbliższe puste nakrycie przy fotelu. Na ładnym bileciku, postawionym za talerzem, widniał napis „Nete Hermansen”. Czyli nietrudno sobie wyobrazić, dla kogo przeznaczone było drugie puste miejsce. Na karteczce na pewno widniał napis „Curt Wad”.

Jaka wyrachowana diablica z tej Nete Hermansen.

Schylił się, przyglądając się badawczo policjantowi na podłodze. Włosy na jego głowie i skroni lepiły się od krwi, która ciągle kapała na podłogę, czyli prawdopodobnie jeszcze żył. Dotknął tętnicy szyjnej i kiwnął z zadowoleniem. Częściowo dlatego, że Nete skutecznie związała mu ręce i nogi taśmą do pakowania, a częściowo, bo puls był jak należy. Regularny i stały. Nie stracił zbyt wiele krwi. Owszem, paskudny cios, ale jego siła mogła co najwyżej spowodować umiarkowane wstrząśnienie mózgu.

Curt spojrzął raz jeszcze na puste, przeznaczone dla niego miejsce. Jakie to szczęście, że wtedy, przed wieloma laty, nie przyjął zaproszenia. Próbował doliczyć się, jak dawno to było, ale nie było łatwo. Co najmniej dwadzieścia lat. Nic więc dziwnego, że goście wyglądali już na zmęczonych.

Zaśmiał się do siebie, idąc korytarzem do kuchni i chwytając nieprzytomną gospodynię.

– Hopsa, mała Nete. Przyjęcie się wreszcie zaczyna.

Zawłókł ją korytarzem do odosobnionego pokoju i wciągnął na krzesło u szczytu stołu, gdzie było jej miejsce.

Znów poczuł się gorzej i stał przez chwilę, łapiąc powietrze, następnie wyprostował się, przyniósł swoją torbę, stojącą przy drzwiach wejściowych, po

czym wrócił do szczelnie zamykanego pokoju i zamknął drzwi. Z rutynową nonszalancją lekarza rzucił torbę na stół i wyjął nieużywaną strzykawkę i ampułkę z napisem „Flumazenil”. Mały zastrzyk i Nete wróci do rzeczywistości.

Zadrżała, gdy dociskał tłoczek strzykawki, po czym otworzyła oczy, powoli i z wahaniem, jakby miała świadomość, że rzeczywistość ją przerośnie.

Curt uśmiechnął się do niej i poklepał ją po policzku. Za parę minut będzie mógł z nią porozmawiać.

– A co zrobimy z Carlem Mørckiem? – mamrotał do siebie, obracając się po pokoju. – Ach. Mamy przecież dodatkowe krzesło. – Kiwnął uprzejmie głową do ponurych, zeszywniałych gości, wyciągając z rogu krzesło z ciemnymi plamami na siedzeniu.

– Tak, mości państwo. Doszedł nam dodatkowy gość, przyjmijcie go ciepło – powiedział, wsuwając krzesło tuż obok miejsca Nete, u szczytu stołu.

Nachylił się i chwycił rosnącego podkomisarza policji, który przysporzył mu tylu trosk. Podciągnął jego bezwładne ciało i usadził na miejscu.

– Proszę wybaczyć – dodał, sięgając na stół i kiwając głową do czegoś, co kiedyś było mężczyzną. – Nasz gość zapewne pragnie się nieco odświeżyć.

Uniósł karafkę nad głowę Carla, wyjął korek i wylał stojącą od dwudziestu lat wodę na jego zakrwawioną czaszkę, malując na martwej, kredowobiałej twarzy jaskrawe ślady.

Listopad 2010

Carl ocknął się w ciągu kilku sekund, ale etapami. Najpierw przez wodę na twarzy, potem przez ból, odczuwany nie tylko w potylicy, ale też w łokciu i przedramieniu, którymi sparował uderzenie. Głowa opadła mu do przodu, wciąż z zamkniętymi oczami, i ocknął się przez nieprzyjemne uczucie w ciele, którego jeszcze nigdy nie doświadczył. Suchość w ustach, zwidy po wewnętrznej stronie powiek, naprzemiennie błyski i fale barw. Krótko mówiąc, czuł się do dupy. Mdłości i milion przeczuć, że jak otworzy oczy, wcale nie będzie lepiej.

Nagle usłyszał głos.

– No dalej, Mørck. Czy to aż takie trudne?

Głos, który pod żadnym względem nie pasował do miejsca, w którym, jak sądził, się znajduje.

Otworzył powoli oczy i dostrzegł słaby zarys, który z wolna się formował, aż w końcu nagle Carl spojrział prosto na zmumifikowane ludzkie zwłoki z żuchwą zwisającą na szyję jakby w niedokończonym krzyku.

Wtedy otrzeźwiał na dobre i wydał z siebie stłumiony okrzyk, podczas gdy podwójny obraz, jaki widział, wędrował od jednych wysuszonych zwłok do drugich.

– Tak, znalazłeś się w doborowym towarzystwie, Mørck – usłyszał nad sobą.

Próbował uzyskać kontrolę nad mięśniami karku, ale było to trudne. Co tu się, do cholery, stało? Wszędzie obnażone zęby i brązowa skóra. Gdzie on jest?

– Pomogę ci – zaproponował głos i Carl poczuł, jak czyjaś ręka chwyta go za włosy na karku i siłą odchyła głowę tak, że wszystkie zakończenia nerwowe wrzasnęły z bólu.

Starzec naprzeciwno nie odróżniał się zanadto od zwłok przy stole. Skórę miał pooraną i wysuszoną. Kolory zniknęły z twarzy, a wokół tak ostro przedtem zarysowanych tęczęwek krył się wieniec śmierci. Minęła zaledwie doba, a Curt Wad radykalnie się zmienił.

Carl chciał coś do niego powiedzieć. Co, u licha, tu robi i czy Wad i Nete jednak działają w zмовie? Ale nie mógł.

I dlaczego miałyby pytać? Sama obecność Curta Wada stanowiła odpowiedź.

– Witamy na przyjęciu! – Stary puścił jego włosy; głowa Mørcka opadła na bok.

– O tak, Carl. Jak widzisz, masz gospodynię za towarzyszkę przy stole i nawet jeszcze oddycha. Lepiej być nie mogło.

Carl spojrział w twarz Nete Hermansen. Wyglądała, jakby wszystko z niej zwisało: wargi, worki pod oczami, żuchwa. Sprawiała wrażenie sparaliżowanej.

Omiótł wzrokiem jej ciało. Tak jak jego własne, było skrępowane taśmą do pakowania na stopach i udach oraz wokół oparcia krzesła i w pasie.

– Chyba krzywo siedzisz, Nete – powiedział Curt Wad, wyjmując taśmę. Rozległo się kilka szybkich, ostrych dźwięków, kiedy przymocowywał jej ręce do podłokietników. – Dobrze, że wybrałaś dla siebie najlepszy fotel – zaśmiał się, siadając ciężko na jedynym pustym krześle.

– Moi państwo, chciałbym wszystkich serdecznie przywitać. Na zdrowie!

Uniósł swój pusty kieliszek i skinął głową wszystkim zebranim po kolei.

– Nete, zechciałabyś przedstawić mnie swoim gościom? – spytał i skinął do wytrzeszczonych zwłok o zapadłych policzkach, ubranych w nadjedzoną przez mole tweedową marynarkę, które siedziały u drugiego szczytu stołu.

– Owszem, Philipa przecież znam. – Uniósł kieliszek ku mumii. – Na zdrowie, stary druhu. Kiedy podczas pertraktacji u szczytu stołu siedzi Nørvig, wszystko pójdzie jak należy, zgadza się?

Wybuchnął szaleńczym śmiechem. Aż się zbierało na wymioty.

Curt Wad zwrócił wzrok na towarzyszkę Carla.

– Jak tam, Nete, źle się czujesz? Może dostałaś za mało flumazenilu? Bo chyba nogi ci szwankują. Widywałem cię w lepszej formie.

Odpowiedziała coś szeptem, ale Carl nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Było to chyba „Wcale nie widziałeś”.

Starzec tego nie wyłapał, ale wyraz jego twarzy się zmienił.

– Dość zabawy. Widzę, że miałaś wobec nas wszystkich pewne plany i z tego powodu bardzo się cieszę, że mogę dzisiejszego dnia wziąć w nich udział na własnych warunkach. Teraz opowiedzcie mi krótko, ile mówiliście osobom postronnym o mojej działalności, bym mógł ocenić rozmiar szkód i zastanowić się,

jak ludzie mogą odzyskać poczucie spokoju i zaufania do naszych działań.

Carl spojrział na niego zamglonym wzrokiem, usiłując odzyskać pełnię władzy nad swoimi zmysłami. Próbował oddychać na różne sposoby, ale pomogło dopiero wciąganie powietrza kącikiem ust. Czuł, jak odzyskuje większą kontrolę nad dziwnym stanem, w którym znalazło się jego ciało. Przełykał ślinę, odrętwienie na szyi i w przełyku zelżało. Mógł wziąć głębszy oddech.

– Pierdol się – powiedział zatem.

Curt Wad usłyszał, ale uśmiechnął się tylko.

– Mørck, ty mówisz! To wspaniała wiadomość. Wprawdzie czasu mamy pod dostatkiem, ale jednak zacznijmy.

Spojrział na swoją torbę na stole.

– Nie będę przed wami krył, że to będzie wasz ostatni wieczór. Za to mogę obiecać, że jeśli będziecie współpracować, wasza śmierć będzie szybka i bezbolesna. Jeśli zaś nie... – Sięgnął do torby i wyjął z niej skalpel. – Chyba nie muszę nic dodawać. To narzędzie nie jest mi obce.

Nete znów próbowała coś powiedzieć, ale wciąż sprawiała wrażenie sparaliżowanej i nieobecnej.

Carl spojrział na skalpel, próbując się zmobilizować. Szarpnął taśmę wokół nadgarstków, ale brakowało mu siły i nic nie wskórał. Zakołysał się na krześle, ale ciało prawie nie zareagowało. Było to warte śmiechu i łez jednocześnie.

„Co ze mną, kurwa, jest?” – myślał. „Naprawdę tak to jest przy wstrząśnięciu mózgu? Serio?”

Spojrział na Curta Wada. Czyżby po grzbiecie nosa spływał mu pot? Czy zmęczenie sprawiło, że drżały mu ręce?

– Jak się zwąchaliście? Czy to ty, Nete, poszłaś na policję? – Wad otarł czoło i się zaśmiał. – Nie, pewnie nie. Masz co nieco na sumieniu, co? – Machnął ręką po otaczających ich zwłokach. – I kim właściwie są ci biedacy, z którymi zgodnie z twoim planem miałem umrzeć? Na przykład tamten, co to za bezkształtny ciołek?

Wskazał na ciało naprzeciwko siebie. Podobnie jak reszta, było przymocowane do krzesła, ale nie siedziało na nim jak należy. Ciało było bezkształtne i mimo wysuszenia wciąż korpulentne.

Curt Wad uśmiechnął się, ale nagle złapał się za szyję, jakby go zapiekła albo nie mógł złapać oddechu. Carl też chętnie by to zrobił, gdyby mógł.

Wad odchrząknął kilkakrotnie i znów wytarł czoło.

– Powiedz mi, do jakich papierów się dobraliście, Carl. Wynieśliście coś z mojego archiwum? – Skierował skalpel w stronę stołu i naciął obrus. Nie było wątpliwości, że jest ostry.

Carl zamknął oczy. Nie miał najmniejszej ochoty umierać, a już na pewno nie w taki, cholera, sposób. Ale jeśli tak się stanie, to, kurwa, brawurowo. Ten głupi palant dowie się od niego tylko tyle, ile on sam zechce powiedzieć.

– Okej, nic nie mówisz. Kiedy już się z wami uporam, zadzwonię do moich ludzi i poproszę o usunięcie waszych zwłok, choć... – Utkwił wzrok gdzieś w pokoju i parokrotnie zaczerpnął głęboko powietrza. – Choć aż szkoda psuć tak dobrane towarzystwo – dokończył.

Carl nie słuchał. Koncentrował się znów na oddechu. Wdech kącikami ust, wydech przez nos. Wtedy pokój nie wirował aż tak szybko. Oględnie rzecz ujmując, wciąż dziwnie się czuł.

Nagle kobieta obok niego drgnęła.

– Ha! Czyli napiłeś się kawy! – powiedziała ochryple i niemal bezgłośnie, wpatrując się zimno w Wada.

Starzec zeszywniał na chwilę, wziął kieliszek z wodą i parę razy głębiej odetchnął. Sprawiał wrażenie otumanionego, a Carl wiedział dokładnie, jak to jest.

Od strony Nete dobiegły jakieś dźwięki, które można było wziąć za śmiech.

– Czyli jeszcze trochę działa, a miałam wątpliwości.

Wad pochylił głowę i spojrzał na nią zimnym spojrzeniem, które bynajmniej nie wyrażało słabości.

– Co było w tej kawie? – spytał.

Wyśmiała jego pytanie.

– Uwolnij mnie, to się dowiesz. Ale nie byłabym taka pewna, że to ci pomoże.

Curt Wad włożył rękę do kieszeni, wyjął komórkę i wybrał numer, patrząc na kobietę.

– Gadaj, co było w kawie, Nete. Natychmiast, albo cię pokroję, kapujesz? Za chwilę będzie tu któryś z moich pomocników i poda mi antidotum. Powiedz, to cię uwolnię i uznamy, że między nami kwita.

Siedział przez chwilę, nie mogąc się połączyć. Rozłączył się i ponownie wybrał numer. A gdy sytuacja się powtórzyła, wpadł w panikę i wystukał kolejny numer.

Też bezskutecznie.

Carl poczuł, jak żołądek zaciska mu się w skurczu i nabrał powietrza tak głęboko, jak tylko się dało. Bolało jak cholera, ale gdy wypuścił powietrze, napięcie w mięśniach szyi i języka zelżało. To było dobre uczucie.

– Jeśli dzwonisz do swoich pacholków – stęknął – to obawiam się, że nic ci z tego nie przyjdzie, bo się nie dodzwonisz, ty stary bałwanie. – Spojrzał Wadowi prosto w twarz. Widać było wyraźnie, że ten nie rozumie, o co mu chodzi.

Wtedy Carl się uśmiechnął; trudno mu było się powstrzymać.

– Wszyscy zostali aresztowani. Znaleźliśmy listę członków Tajemnej Walki w skrytce w twoim budynku gospodarczym.

Po twarzy Wada przebiegł cień. Starzec znów parę razy przełknął ślinę, powiódł rozbieganym wzrokiem po pokoju, a z jego twarzy zniknął powoli wyraz buty. Odkaszlnął i wlepił w Carla pałający nienawiścią wzrok.

– Obawiam się, Nete, że muszę wyeliminować jednego z twoich gości – warknął. – A kiedy już to zrobię, powiesz mi, czym mnie otrułaś, zrozumiano?

Wyprostował swoje długie, kościste ciało, odsuwając krzesło. Ścisnął skalpel tak mocno, że pobieleły mu kłykcie. Carl spuścił wzrok. Bydlak nie będzie miał przyjemności patrzenia mu w oczy, jak wbije w niego nóż.

– Przestań nazywać mnie Nete – wychrypiała kobieta u jego boku. – Zaprzeczam, jakobym miała z tobą cokolwiek wspólnego, Wad. Wcale mnie nie znasz. – Oddychała z trudnością, ale głos miała wyraźny. – Zanim wstaniesz, wypadaloby przedstawić się towarzyszcze przy stole, zgodnie z etykietą. Uważam, że powinienes.

Starzec spojrział na nią pociemniałymi oczami i odwrócił głowę w drugą stronę na wizytówkę swojej sąsiadki. Pokręcił głową.

– Tu jest napisane „Gitte Charles”. Nie znam jej.

– Aha. W takim razie powinienes lepiej się przyjrzeć. No popatrz na nią, ty gnojku!

Carl uniósł głowę i zobaczył, jak Wad w zwolnionym tempie obraca głowę ku swojej towarzyszcze. Przysunął się bliżej i nachylił nad blatem stołu, by lepiej zobaczyć jej twarz. Chwycił głowę mumii sękatymi rękami i przekręcił siłą do siebie, aż chrupnęło.

I puścił.

Powoli odwrócił ku nim głowę; usta miał otwarte, oczy błędne.

– Przecież to Nete. – Złapał się za serce.

Wtedy stracił kontrolę nad mięśniami twarzy. Jego oblicze zmieniło charakter, jakby się zdeformowało. Ramiona opadły, a wraz z nimi resztką jego wielkości.

Odchylił głowę do tyłu, łapiąc powietrze, i upadł.

Siedzieli w milczeniu, obserwując każde z osobna jego skurcze. Jeszcze oddychał, ale nie miało to potrwać długo.

– To ja jestem Gitte Charles – powiedziała kobieta, obracając twarz do Carla. – Jedyna osoba przy tym stole, którą zabiłam, to Nete. Ona albo ja, to nie było morderstwo. Wystarczył jeden cios młotkiem, którym zamierzała mnie uderzyć.

Carl skinął głową. Czyli nigdy nie rozmawiał z Nete. To wiele wyjaśniało.

Siedzieli przez chwilę w ciszy, przyglądając się bezowocnemu mruganiu Curta Wada i gorączkowym ruchom jego klatki piersiowej.

– Myślę, że wiem, kim są ci wszyscy ludzie przy stole – rzekł. – A kogo z nich ty znałaś? – spytał Carl.

– Oprócz Nete znałam tylko Ritę. – Skinęła w stronę zwłok, które zwieszały się z krzesła obok Carla. – Dopiero kiedy tu przyszliście i zaczęliście mnie wypytywać, zrozumiałam zależności między nazwiskami na wizytówkach i rzeczywistymi osobami, które weszły Nete w drogę. Byłam po prostu jedną z nich.

– Jeśli stąd wyjdziemy, będę musiał cię zaaresztować. Chciałaś zabić mnie młotkiem, a obawiam się, że to nie wszystko – powiedział Carl. – Nie wiem, co było w tej kawie, ale może naprawdę ci się uda mnie pozbyć. – Skinął w stronę mrugającego słabo Curta Wada. Trucizna w połączeniu z wiekiem i szokiem zrobiła swoje.

„Tak, już niedługo” – pomyślał Carl niewzruszony. Życie Curta Wada za życie Assada, tak musiało być.

Kobieta obok niego pokręciła głową.

– Przecież napiłeś się tej kawy tyle, co nic. To na pewno nie wystarczy, by cię zabić. Mieszanka z trucizną była stara.

Carl spojrział na nią ze zdumieniem.

– Gitte, żyłaś życiem Nete przez dwadzieścia trzy lata. Jak ci się to udało?

Spróbowała się zaśmiać.

– Byłyśmy trochę podobne. Ja oczywiście byłam parę lat starsza i dość zniszczona, kiedy to się stało, ale jakoś to poszło. Parę miesięcy na Majorce wystarczyło. Lekkie rozjaśnienie włosów, elegantsze ubrania, to wszystko mi pasowało. Życie Nete było lepsze od mojego, znacznie lepsze. Oczywiście bałam się, że mnie zdemaskują przy kontroli paszportowej, w banku i wszędzie indziej, ale wiesz co? Doszłam do wniosku, że nikt tu w Kopenhadze nie znał Nete. Wystarczyło, bym lekko utykała i już nikt nie zwracał uwagi na nic innego. A moi goście się tu zadowolili. Znalazłam w kuchni mnóstwo formaliny, więc nietrudno było się domyślić, co Nete zamierzała z nią zrobić. Solidna porcja wlana im wszystkim do gardła zapobiegła gniciu i proszę, oto rezultat. Siedzą elegancko tam, gdzie ich posadzono. Co mogłam zrobić innego? Miałam ich poćwiartować i wyrzucić części ciała w workach na śmieci, żeby ktoś je przez przypadek odkrył? Nie, Nete dobrze to obmyśliła. A teraz siedzimy z nią przy stole i tyle nam zostało.

Zaśmiała się histerycznie; nietrudno było wykoncypować dlaczego. Radziła sobie dobrze w podwójnej roli przez ponad dwie dekady, ale na co jej się to teraz zda? Siedziała związana w świetnie izolowanym pokoju. Nawet jeśli by krzyczeli z całych sił, i tak ich nikt nie usłyszy, więc kto ma ich znaleźć? I kiedy? Jediną osobą, która by wiedziała, gdzie szukać Mørcka, była Rose, ale wzięła sobie tydzień wolnego. Więc kto?

Spojrzał na Curta Wada, który nagle wlepił w nich szeroko otwarte oczy. Jego ciało zadrżało, jakby ostatni raz zbierał w sobie siły i nagle przeturlał się, i w ostatnim skurczu sięgnął ręką w stronę kobiety siedzącej obok Carla.

Mørck słyszał, jak Wad umiera. Rzęził bezsilnie przez krótką chwilę i wyzionął ducha. I leżał w bezruchu, patrząc prosto w sufit oczami, które dzieliły ludzi na wartościowych i bezwartościowych.

Carl wziął głęboki oddech, może z ulgi, może z bezradności, sam nie wiedział, po czym obrócił głowę ku drżącej lekko kobiecie i dostrzegł skalpel zatopiony głęboko w jej szyi. Nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku.

W ogóle znikąd nie dochodził żaden dźwięk.

Przez dwie noce dzielił celę z siedmioma martwymi ludźmi. I w każdziuteńkiej sekundzie jego myśli były gdzieś indziej: z ludźmi, których lubił bardziej, niż sądził – teraz to wiedział. Z Assadem, Moną i Hardym. Nawet z Rose.

Kiedy trzecia noc spowiła otaczające go martwe sylwetki, popadł w omdlenie.

Nie było to trudne. Po prostu zasnąć, zasnąć na zawsze.

Obudzili go krzykiem i szarpaniem. Nie znał ich, ale mówili, że są ze służb wywiadowczych. Któryś z nich położył mu rękę na szyi i sprawdził puls, bo od razu zorientował się, jaki jest słaby.

Dopiero kiedy podano mu wodę, poczuł prawdziwą ulgę, że uszedł z życiem.

– Jak? – spytał z wielką trudnością, kiedy usuwali taśmę z jego nóg.

– Jak cię znaleźliśmy? Aresztowaliśmy mnóstwo ludzi, a ten, który cię tu śledził i ostrzegał Curta Wada, nagle zaczął gadać – odparli.

„Śledził mnie” – pomyślał Carl z irytacją. Ktoś go śledził?

Może robi się już za stary do tej gry.

epilog

Grudzień 2010

Carl dosłownie nienawidził takich grudniowych dni, kiedy na ulicy jest chlapa, a wszyscy mają w oczach świąteczny blask. Skąd ten nagły zachwyt nad wodą, która robi się biała, i rozmyślnym, a masowym zużyciem przez wielkie centra handlowe ostatnich zasobów światowej energii?

Naprawdę nie znosił tego gówna, co znajdowało odbicie w jego humorze.

– Masz gości – zaanonsowała Rose w drzwiach.

Obrócił się, chcąc odburknąć, że powinni byli, cholera, uprzedzić o swojej wizycie.

Jego nastrój bynajmniej się nie poprawił, gdy do środka wkroczył Børge Bak.

– Czegoś tu, kuźwa, przylazł? Chcesz mi wbić w plecy kolejny nóż? Jak w ogóle przeszedłeś przez...

– Jest ze mną Esther – powiedział. – Chciałaby podziękować.

Carl zamilkł i spojrzał w stronę drzwi.

Miała na sobie barwny szalik zakrywający szyję i głowę; ukazywała mu twarz etapami. Najpierw stronę, która była tylko trochę odbarwiona i spuchnięta, potem tę, nad którą pracowali intensywnie chirurdzy plastyczni i która jeszcze była czarna od strupów i częściowo zakryta gazą. Patrzyła na niego jednym lśniącym okiem, drugie miała zamknięte. Otworzyła je powoli, by go nie przestraszyć, pokazując, że zostało pozbawione blasku. Mlecznobiałe i martwe, ale w kąciku czaił się uśmiech.

– Børge mi przekazał, że zadbaliście o zniknięcie Linasa Verslovasa. Dziękuję wam za to, bo w przeciwnym razie już nigdy nie odważyłabym się wyjść na miasto.

Trzymała w rękach bukiet i Carl już po niego sięgał z odpowiednią dozą nieśmiałości, gdy zapytała, czy zastała Assada.

Carl skinął powoli do Rose, a gdy poszła po kolegę, stali w milczeniu, czekając.

To tyle, jeśli chodzi o podziękowania.

Pojawił się Assad, który nie wydusił ani słowa, kiedy ona się przedstawiała i mówiła, z czym przyszła.

– Bardzo panu dziękuję. – Podała mu kwiaty.

Minęła dłuższa chwila, zanim podniósł lewą rękę, i równie długa, nim porządnie chwycił bukiet.

– Bardzo się tak z niego cieszę – powiedział. Kiedy mówił, głowa jeszcze trochę mu się trzęsła, ale było już lepiej. Przywołał na usta swój nowy, krzywy uśmiech, próbując unieść prawą rękę w geście pozdrowienia, ale nie dał rady.

– Pozwól, że wstawię je do wazonu, Assad – zaproponowała Rose, podczas gdy Esther Bak go uściskała i skinęła do nich wszystkich na pożegnanie.

– Do zobaczenia wkrótce. Pierwszego stycznia zaczynam pracę w magazynie przywłaszczonego mienia. Ktoś przecież musi zająć się rejestrowaniem kradzionych przedmiotów – rzucił Bak na pożegnanie.

„Noż jasna cholera! Børge Bak u nich w piwnicy”.

– A tutaj masz dzisiejszą pocztę, Carl. Dostałeś kartkę. Ładny motyw, na pewno ci się spodoba. Kiedy już się z nią uporasz, to ruszamy, okej?

Rose podała mu widokówkę, na której główną część stanowiły ogromne, opalone piersi, zakryte dyskretnie napisem „Happy Days in Thailand”, zaś resztę – plaże z palmami i kolorowe lampiony.

Carl odwrócił kartkę ze złym przeczuciem.

Drogi Carlu,

serdeczne pozdrowienia z Pattayi od dawno niewidzianego kuzyna. Chciałem Cię tylko poinformować, że spisałem swoją (naszą) historię o śmierci mojego taty. Brakuje mi tylko kontraktu z wydawnictwem. Jakież pomysły, kto mógłby być zainteresowany?

Serdeczne pozdrowienia

Ronny

Carl pokręcił głową. Ten człowiek doskonalił się w roztaczaniu wokół siebie radości.

Wrzucił kartkę do kosza i wstał.

– Rose, dlaczego to takie ważne, byśmy tam pojechali? Naprawdę nie rozumiem. Stała w korytarzu za Assadem, pomagając mu włożyć kurtkę.

– Bo Assad i ja tego potrzebujemy, okej?

– Siedzisz z tyłu – dodała pięć minut później, przyprowadziwszy miniaturę forda

i zaparkowawszy tę puszkę praktycznie na chodniku przed Komendą Główną.

Carl zaklął, przymierzając się dwukrotnie, by wcisnąć się do ka. Niech szlag trafi Marcusa Jacobsena i jego budżety.

Jechali dziesięć szargających nerwy minut w gęstym ruchu ulicznym, który z respektem usuwał się na bok, kiedy Rose eksperymentowała z nowymi zasadami ruchu, gwałtownie szarpiąc kierownicą i zmieniając biegi.

Wreszcie doturlała auto na ulicę Kapelvej, wcisnęła w poprzek między dwa niepoprawnie zaparkowane samochody i nawet się uśmiechnęła, wyciągając kluczyk ze stacyjki i oznajmiając, że oto dotarli na cmentarz Assistens Kirkegård.

„Chwała niech będzie niebiosom, że za życia” – pomyślał Carl, wyczołgując się z samochodu.

– Leży tam. – Rose ujęła Assada pod rękę.

Poszli powoli w śniegu, choć Assad w ciągu ostatnich tygodni zaczął poruszać się sprawniej.

– Tam. – Wskazała na grób oddalony o jakieś pięćdziesiąt metrów. – Zobacz, Assad, nawet postawili pomnik.

– To dobrze – powiedział.

Carl skinął głową. Sprawa Nete Hermansen całą ich trójkę drogo kosztowała. Prawdę mówiąc, dobrze rozumiał, że odczuwali potrzebę postawienia kropki nad i. Kartotekę 64 trzeba było zamknąć i Rose postanowiła, że stanie się to za pomocą gwiazdkowych dekoracji ze świerku, wstążek i szyszek. Jakżeby inaczej?

– Kto to może być? – spytała Rose, wskazując siwowłosą kobietę, która zmierzała w stronę grobu boczną alejką.

W swoim czasie musiała być znacznie wyższa, ale wiek i życie odcisnęły piętno na jej kręgosłupie tak, że szyja wystawała pomiędzy barków niemal poziomo.

Zatrzymali się na chwilę i patrzyli, jak kobieta sięga do plastikowej siatki i wyciąga coś, co z odległości wyglądało jak pokrywka tekturowego pudełka.

Następnie nachyliła się nad pomnikiem i oparła ów przedmiot o jego bok.

– Co ona robi? – spytała Rose na głos i pociągnęła za sobą obu panów w stronę skromnego widowiska.

Inskrypcję na pomniku widać było już z odległości dziesięciu metrów. „Nete Hermansen 1937–1987” – brzmiał napis, nic więcej. Ani dnia urodzin, ani śmierci, żadnej wzmianki, że po mężu nazywała się Rosen, żadnego „Spoczywaj w pokoju”.

Czyli tylko na tyle wystarczyło majątku.

– Znała ją pani? – spytała Rose staruszkę, która patrzyła na pokryty śnieżną breją grób, kręcąc głową.

– Co może być bardziej godne pożałowania od grobu bez kwiatów? – odparła kobieta.

Rose podeszła bliżej.

– Proszę – powiedziała, podając jej koszmarny stroik z szarfami. – Przecież jest Gwiazdka, więc pomyślałam, że będzie ładnie wyglądać – dodała.

Starsza pani uśmiechnęła się, schyliła i położyła dekorację na grobie.

– Przepraszam, pytała pani, czy znałam Nete. Nazywam się Marianne Hanstholm, byłam jej nauczycielką. Była bliska memu sercu i właśnie dlatego musiałam przyjść. Czytałam o wszystkim w gazetach. O wszystkich tych strasznych ludziach, których aresztowano, i o mężczyźnie, który za tym stał i był winien nieszczęścia Nete. Po prostu mi przykro, że nigdy nie nawiązałam z nią kontaktu i że zniknęłyśmy sobie z oczu. – Rozchyliła chude ręce. – Ale przecież takie jest życie. A kim wy jesteście?

Skinęła w ich stronę, patrząc z łagodnością i uśmiechając się szczerze.

– To my ją odszukaliśmy – odparła Rose.

– Przepraszam, ale co pani tam wcześniej położyła? – spytał Assad, podchodząc bliżej do nagrobka.

– Ach, to tylko parę słów, które moim zdaniem powinna zabrać ze sobą w drogę.

Starsza pani schyliła się z trudnością i podniosła małą drewnianą tabliczkę, która przypominała deskę do krojenia.

Obróciła ją i przytrzymała przed ich oczami.

„Jestem dobra!” – brzmiał napis.

Carl skinął sam do siebie.

Tak, na pewno była dobra.

Kiedyś.

-
- ¹ Na wysepce Sprogø do 1961 r. działał zakład poprawczy dla dziewcząt i dla kobiet [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].
 - ² Chodzi o gęś podawaną zwyczajowo w dniu Świętego Marcina, zwaną w Danii „Mortengås”, dosł. gęś świąteczna.
 - ³ Obszarem Trójkąta (Trekantsområdet) nazywa się obszar na Jutlandii wyznaczony przez trzy miasta: Vejle, Kolding i Fredericię.
 - ⁴ Szkoły Królewskie (De kongelige Skoler) bądź Szkoły Jeździeckie (Rytterskolerne), zakładane na początku XVIII wieku, były poprzedniczkami obecnych szkół podstawowych. Wiele z nich zachowało się w Danii do dzisiaj.
 - ⁵ Chodzi o „Retshjælpen”, świadczącą darmowe porady prawne w Danii.
 - ⁶ W Danii istnieje stanowisko Kammeradvokaten, które nie ma odpowiednika w Polsce. Adwokata Państwowego zatrudnia państwo, a jego zadaniem jest świadczenie usług adwokackich administracji centralnej.
 - ⁷ Dzielnica Kopenhagi zamieszkiwana w większości przez imigrantów w pierwszym i drugim pokoleniu.
 - ⁸ Assad odnosi się do zasady pisowni słowa „linje”. Po duńsku partia Curta Wada nosi nazwę „Rene Linier”, choć obecnie pisownia rzeczownika „linie” przez „i” zostaje wyparta przez bardziej powszechną i prawidłową „linje”, przez „j”.
 - ⁹ Pisserenden to potoczna nazwa części centralnej Kopenhagi, którą można przetłumaczyć jako „ściek sików”, „rów z sikami”, jako że niegdyś mieściły się tu tanie lokale, których klientela załatwiała się na dworze. Do lat 70. XX wieku Pisserenden słynęło również z prostytucji.
 - ¹⁰ „Gimnazjum” tylko częściowo oddaje istotę szkoły, do której pójdzie Nete („realskole” – „szkoła realna”). Ten rodzaj szkoły, zlikwidowany w 1975 roku, obejmował klasy od 7 do 9 i kończył się „realeksamen” („egzaminem realnym”).